

MARY JO PUTNEY

ORIENTALNY KSIĄŻĘ

PROLOG

Anglia, 1839

Nazywał siebie pielgrzymem, wędrowcem, i przybył do Londynu po zemstę.

Zapadał zmierzch, kiedy „Kali” płynęła powoli w górę Tamizy, zmierzając do portu na Isle of Dogs. W powietrzu unosił się smród charakterystyczny dla miejsc, gdzie woda styka się z łodem i gdzie zbyt wielu ludzi żyje stłoczonych na niewielkiej przestrzeni.

Wędrowiec stał oparty o maszt, wpatrywał się w migotliwe światła Londynu i słuchał delikatnego chlupotu wody uderzającej o kadłub statku. Na pozór wydawał się spokojny i zrelaksowany, lecz była to jedynie poza, produkt wielu lat ćwiczeń i dyscypliny, gra, którą prowadził od tak dawna, że stała się jego drugą naturą. Jeszcze jako dziecko zrozumiał, że lepiej nie zdradzać przed nikim prawdziwego stanu swego umysłu i uczuć; od tej pory nauczył się tak doskonale skrywać prawdziwe emocje, że czasami sam nie wiedział, co czuje.

Tego wieczoru jednak nie miał żadnych wątpliwości co do natury swych emocji. Ta mglista, angielska ciemność skrywała jego wroga, a świadomość owego faktu płonęła triumfalnie w jego żyłach. Czekał na ten moment od ćwierć wieku, czekał, by nasycić się powolną, krwawą zemstą za swoje cierpienia.

Płomień nienawiści rozgorzał w jego sercu, kiedy był zaledwie dziesięcioletnim chłopcem. Przez kolejne lata pielęgnował go starannie, podsycił gorzkimi wspomnieniami. Oczekiwanie na zemstę i przygotowania, jakie do niej czynił, były dziwną mieszanką bólu i przyjemności. Przemierzał całą ziemię, gromadził majątek na różne sposoby, ćwiczył umysł i ciało, aż uczynił z nich broń groźniejszą od noża czy pistoletu, uczył się, jak przetrwać i prosperować w różnych krajach, wśród różnych ludzi. Każda nowa umiejętność, każda złota moneta, każdy, najmniejszy nawet postęp w doskonaleniu zręczności umysłu i ręki były dlań kolejnym krokiem w stronę ostatecznego celu.

Teraz wszystkie te przygotowania zaprowadziły go do Londynu, do największego miasta na ziemi, miejsca, gdzie mieszkały obok siebie przepych i nędza, próżność i szlachetne idee.

Obarczył swego kapitana rutynowymi czynnościami, jakie wiązały się z przybiciem do portu, sam zaś sycił się ciszą i rozkoszą oczekiwania. Jeszcze przed podróżą, z dystansu, zaczął oplatać sieć wokół swej ofiary. Teraz chciał dokończyć dzieła, powoli rozprawić się z przeciwnikiem, dręczyć go w najwymyślniejszy i najokrutniejszy sposób. Chciał, by ten wiedział, dlaczego spotyka go taki los; chciał być blisko, by widzieć narastający w nim strach i gniew, by cieszyć się jego ostatecznym upadkiem.

Kiedy załatwili już formalności celne, Wędrowiec wysłał wiadomość do lorda Rossa Carlisle'a, który stanowił ważny element jego planu. Potem czekał. Człowiek znany jako Wędrowiec - wojownik, podróżnik, bogaty i hojny, bohater tajemniczych ludów żyjących poza zasięgiem brytyjskiego prawa - umiał czekać, był cierpliwy. Wiedział jednak, że wkrótce skończy się czas oczekiwania.

1

Wiadomość dotarła do lorda Rossa Carlisle'a bardzo szybko. Nie minęły nawet dwie godziny, a już jego powóz zatrzymał się w porcie. Kiedy wysoki, szczupły Anglik wspiął się na pokład statku i wszedł w krąg światła, rzucanego przez latarnię, Wędrowiec przyglądał mu się przez chwilę, bezpiecznie ukryty w cieniu.

Minęły dwa lata od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni. Wędrowiec ciekaw był, jak silne okażą się więzy ich przyjaźni tutaj, w Anglii, Młodszy syn diuka mógł bez przeszkód bratać się z jakimś nieznanym mu bliżej poszukiwaczem przygód w odległej i dzikiej Azji, nie wiadomo jednak, czy zechce wprowadzić go do własnego kręgu znajomych. Choć obaj mężczyźni pochodzili z zupełnie różnych środowisk, charakteryzowało ich zaskakujące podobieństwo umysłów i poczucia humoru.

Nawet w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa w górach Hindukusz lord Ross pozostawał przede wszystkim angielskim arystokratą. Teraz, obłany blaskiem latarni i odziany w strój, którego równowartość zapewniłaby kafiristańskiej rodzinie bezpieczną egzystencję przez kilka ładnych lat, wyglądał dokładnie na tego, kim był: przedstawicielem klasy rządzącej największego światowego imperium.

Wędrowiec odsunął się od masztu i wszedł w krąg światła.

- Cieszę się, że moja wiadomość zastała cię w domu, Ross. Dobrze, że przyjechałeś tak szybko.

Spojrzenia przyjaciół spotkały się ze sobą dokładnie na tym samym poziomie. Lord Ross miał brązowe oczy, co stanowiło zaskakujący kontrast dla jego jasnych blond włosów. Obaj mężczyźni nie tylko się przyjaźnili, ale i konkurowali ze sobą, a emocje towarzyszące ich spotkaniu wcale nie były zupełnie jednoznaczne.

- Musiałem się przekonać czy to rzeczywiście ty, Mikahl. - Anglik wyciągnął dłoń do powitania. - Nie wierzyłem, że naprawdę zobaczę cię w Londynie.

- Powiedziałem przecież, że tu przyjadę. Ross, nie powinieneś być wątpić w moje słowa. - Choć na pozór traktowali się z ostrożnym dystansem, Wędrowiec uścisnął mocno dłoń arystokraty, szczerze uradowany z tego spotkania po latach i nieco tą radością zaskoczony. - Jadłeś już kolację?

- Tak, ale z chęcią napiłbym się tego świetnego koniaku, który zawsze wozisz ze sobą.

- Zatrzymaliśmy się we Francji specjalnie po to, żeby uzupełnić zapasy.

Wędrowiec zaprowadził przyjaciela pod pokład. Kiedy weszli do bogato zdobionej kabiny gospodarza, ten zerknął ukradkiem na swego towarzysza. Lord Ross wyglądał jak

typowy ociążały angielski arystokrata: czy to możliwe, by naprawdę zmienił się aż tak bardzo?

Kierowany nagłym impulsem, Wędrowiec postanowił niezwłocznie się o tym przekonać. Bez ostrzeżenia odwrócił się na pięcie, kierując jednocześnie łokieć na splot słoneczny przyjaciela. Uderzenie o takiej sile powaliłoby na ziemię podrośniętego wołu, nie mówiąc już o człowieku, nic takiego jednak nie nastąpiło.

Z zadziwiającą szybkością Ross pochwycił ramię Wędrowca, nim jego łokieć dosięgnął celu. Potem pochylił się i obrócił, jednym płynnym ruchem posyłając gospodarza w drugi róg kabiny.

Upadając na prawy bok, Wędrowiec automatycznie zwinął ciało w kłębek i przetoczył się pod ścianę. Podczas prawdziwej walki natychmiast powróciłby do akcji, teraz jednak oparł się plecami o drewniane panele i uspokoił oddech.

- Cieszę się, że cywilizacja nie zrobiła z ciebie ociążałego mię czaka. - Uśmiechnął się szeroko, czując, jak rezerwa i niepewność wywołana dwuletnim rozstaniem znika bez śladu. - Nie nauczyłeś się tego rzutu ode mnie.

Ross roześmiał się wesoło, niczym rozbrykany chłopiec, i poprawił zmierzwione włosy i fular.

- Pomyślałem, że skoro naprawdę wracasz do Anglii, powinienem być odpowiednio przygotowany, ty stary diable. - Wyciągnął rękę, by pomóc gospodarzowi podnieść się na nogi. - Pax?

- Pax - zgodził się Wędrowiec, przyjmując pomocną dłoń i wstając z podłogi. Cieszył się, że więzy przyjaźni przetrwały próbę czasu, i to nie tylko dlatego, że Ross mógł być mu przydatny. - Kiedy wszedłeś na pokład, wydałeś mi się tak bardzo angielski i arystokratyczny, że nie byłem pewien, czy pamiętasz jeszcze Hindukusz.

- Skoro ja wyglądałem jak angielski arystokrata, to ty z kolei przypominałeś wschodniego paszę, który nie może się zdecydować, czy mnie przywitać, czy też wrzucić do lochu.

Ross rozejrzał się po kabinie, której wystrój stanowił mieszankę wschodniego i zachodniego luksusu. Dębowe biurko z pewnością pochodziło z Europy, lecz gruby dywan został utkany w Persji, na obitych zaś aksamitem ławkach zgodnie z tureckim zwyczajem leżały puszyste, wyszywane poduszki. Odpowiednie otoczenie dla człowieka Wschodu, który postanowił wyprawić się w szeroki świat.

Ross usiadł na jednej z poduszek i skrzyżował nogi odziane w eleganckie, skórzane buty. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jego tajemniczy przyjaciel jest w Anglii, bo podobnie jak

jastrząb, którego imię nosił, Wędrowiec przebywał raczej w okolicach dzikich i niedostępnych. Z drugiej jednak strony, choć miał na sobie luźne azjatyckie szaty, a jego czarne włosy były znacznie dłuższe niż włosy angielskich dżentelmenów, wcale nie wydawał się tu nie na miejscu. Kiedy otworzył barek i wyciągnął stamtąd karafkę brandy, poruszał się ze spokojem i pewnością człowieka, który wszędzie czuje się jak u siebie w domu.

- Na okręcie nie ma lochu, więc najwyżej powiesiłbym cię na rei. - Wędrowiec nalał brandy do dwóch kryształowych kielichów. - Ponieważ jednak łamaliśmy razem chleb i dzieliliśmy sól, nie mogę teraz potraktować cię w tak nieelegancki sposób.

Ross przyjął kielich, podziękował krótko, a potem przechylił głowę, przyglądając się swemu przyjacielowi z zaciekawieniem.

- Ćwiczyłeś angielski. Wciąż słyszę delikatny akcent, ale mówisz równie płynnie jak rodowity Brytyjczyk.

- Cieszę się, że tak to oceniasz. - Wędrowiec rozsiadł się na sąsiedniej ławce i uśmiechnął sardonicznie. - Chcę zostać lwem angielskich salonów. Myślisz, że mam jakieś szanse?

Ross omal nie zakrztusił się brandy.

- A dlaczego, u diabła, miałbyś się bawić w coś podobnego? - spytał, na tyle zaskoczony, że zapomniał o taktownym zachowaniu. - Zapewniam cię, że angielscy arystokraci to straszni nudziarze. Wcale do ciebie nie pasują.

- Czy to oznacza, że nie chcesz przedstawić mnie swoim przyjaciółom i rodzinie?

Ross przymrużył oczy, słysząc w głębokim głosie przyjaciela nutkę wyrzutu i groźby jednocześnie.

- Wiesz dobrze, że tak nie myślę, Mikahl. Jestem twoim dłużnikiem, a jeśli zechciałeś nagle wejść do tak zwanego „towarzystwa”, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. Zdobycie powierzchownej akceptacji ze strony tych ludzi wymaga jedynie odpowiedniego wprowadzenia i odpowiednich pieniędzy, a ty masz jedno i drugie. Pamiętaj tylko, że bez względu na to, co zrobisz, zawsze będziesz postrzegany jako outsider.

- Żadne środowisko nie akceptuje w pełni człowieka, który przychodzi z zewnątrz - zgodził się z nim Wędrowiec. - Ja jednak wcale nie marzę o tym, by angielska arystokracja przygarnęła mnie czule do swego łona. Wystarczy, że będą mnie tolerować jako egzotyczną i niegroźną rozrywkę.

- Niech Bóg ma w swej opiece tego, który uzna cię za niegroźną rozrywkę - uśmiechnął się Ross. - Nie mogę jednak pojąć, dlaczego chcesz tracić czas dla ludzi, którym Paryż wydaje się krańcem cywilizowanego świata.

- Może chcę się po prostu przekonać, czy mnie na to stać? - Wędrowiec odchylił głowę do tyłu i opróżnił kielich. - Prawdę mówiąc, towarzystwo jako takie wcale mnie nie interesuje. Jednak podczas pobytu w Anglii chciałbym... - przerwał na moment, szukając odpowiedniego określenia - wyrównać stare rachunki.

- Kimkolwiek jest ten człowiek, nie chciałbym teraz być na jego miejscu - mruknął Ross. - Czy to ktoś, kogo mógłbym znać?

- Całkiem możliwe.

Wędrowiec wyraźnie wahał się, czy powiedzieć coś więcej, o czym świadczył koci błysk w jego zielonych oczach. Pomimo doskonałej angielszczyzny i rozległej wiedzy, której mógłby mu pozazdrościć niejeden absolwent Cambridge, jego zachowanie i gesty natychmiast zdradzały, że jest obcokrajowcem. Ross podejrzewał, że nigdy nie będzie w stanie do końca zrozumieć jego osobowości; właśnie dlatego Wędrowiec był takim fascynującym towarzyszem.

Po chwili milczenia Mikahl przemówił ponownie:

- Biorąc pod uwagę, jak mocno skoligacone są ze sobą rodziny należące do angielskiej arystokracji, może okazać się, że człowiek, który mnie interesuje, jest twoim dalekim kuzynem, synem twojej matki chrzestnej czy kimś w tym rodzaju. W takim wypadku nie będę zdradzał ci moich planów, a poproszę cię jedynie, byś nie przeszkadzał mi w ich realizacji.

Ross nie chciał podejmować żadnych decyzji, nie wiedząc, kogo dotyczą owe plany, spytał więc wprost:

- Jak nazywa się ten człowiek?

- Charles Weldon. Czcigodny... - Wędrowiec wypowiedział ten tytuł z lekką nutką ironii. - Charles Weldon. Przypuszczam, że słyszałeś o nim, nawet jeśli nie znasz go osobiście. To jeden z najśłynniejszych londyńskich biznesmenów.

Ross zmarszczył brwi.

- Owszem, znam go osobiście. Niedawno nadano mu tytuł baroneta, więc teraz jest to już sir Charles Weldon. To zabawne, że wspomniałeś o kuzynach. Nie jesteśmy, co prawda, spokrewnieni, ale niedawno Weldon oświadczył się jednej z moich kuzynek, a ona zamierza przyjąć te oświadczyzny. - Dokończył brandy, jeszcze mocniej marszcząc brwi. - Tak się składa, że bardzo lubię tę kuzynkę.

- Nie wiedziałem, że chce ożenić się powtórnie. - Wędrowiec ponownie napełnił oba kieliszki i usiadł na miękko wyściełanej sofie, układając nogi w pozycji, która większości Anglików sprawiłaby ból. - Domyślam się, że nie pochwalasz tego wyboru. Wiesz o czymś, co mogłoby dyskredytować Weldoną jako męża twojej kuzynki?

- Nie, cieszy się ogromnym szacunkiem. Jako młodszy brat lorda Batsforda obraca się w najwyższych, kręgach towarzystwa, choć sam dorobił się majątku na handlu i operacjach finansowych. - Ross zastanawiał się nad czymś przez chwilę, potem dodał powoli: - Weldon był zawsze bardzo układny i miły, kiedy miałem okazję się z nim spotykać. Nie wiem, dlaczego za nim nie przepadam. Może jest zbyt układny.

- Czy twoja kuzynka go kocha? Ross pokręcił głową.

- Wątpię. Weldon jest ponad dwadzieścia lat starszy od Sary, ona zaś nie należy raczej do romantyczek.

Wędrowiec uśmiechnął się lekko.

- A ponieważ serce tej damy nie płonie miłością, nie będziesz specjalnie zmartwiony, jeśli zaręczyny skończą się niczym?

Ross pomyślał o dziwnym niepokoju, jaki wzbudzał w nim Weldon, o dziwnych pogłoskach dotyczących tego człowieka, aluzjach zbyt niekonkretnych, by nazwać je plotkami.

- Mogę być pewien, że Weldon zasługuje na los, który chcesz mu zgotować?

- Przrzekam ci, że zasłużył w pełni na to, co mogę mu zrobić, i na znacznie, znacznie więcej - odparł Wędrowiec głosem, w którym kryła się śmiertelna groźba.

Ross wierzył mu bez zastrzeżeń. Umysł Wędrowca stanowił zagadkę, on sam kierował się często pobudkami niezrozumiałymi dla przeciętnego Anglika, z pewnością jednak był człowiekiem honoru.

- Prawdę mówiąc, byłbym nawet zadowolony, gdyby nie doszło do tego małżeństwa, pod warunkiem jednak, że nie zrobisz jej krzywdy.

- Nie mam zamiaru krzywdzić niewinnych ludzi. - Wędrowiec oparł się wygodnie o wielkie, bogato wyszywane poduszki. - Powiedz mi coś więcej o swojej kuzynce.

- To lady Sara St. James, jedyna córka diuka Haddonfield. Nasze matki były siostrami bliźniaczkami, dwie szkockie piękności bez wielkich tytułów. Kiedy przybyły do Londynu, nie miały nic prócz urody. - Ross pociągnął kolejny łyk, rozkoszując się bogatym smakiem brandy. - I to im wystarczyło. Nazywano je Cudownymi Siostrzyczkami i obie zostały księżnymi, ustanawiając małżeński rekord, który od tej pory bezskutecznie stara się pobić każda ambitna matka w Wielkiej Brytanii.

- Ile lat ma twoja kuzynka?

Ross dokonał szybko obliczeń. Sara była cztery lata młodsza od niego...

- Dwadzieścia siedem.

- Dość dużo jak na pannę. Nie jest atrakcyjna? Ross roześmiał się.

- Wręcz przeciwnie. W Anglii dwadzieścia siedem lat to jeszcze nie tak dużo jak na pannę. Gdyby Sara okazała kiedykolwiek chęć zamążpójścia, miałaby całą armię starających, jak dotąd jednak nie była na to zdecydowana.

Wędrowiec zadumał się nad jego słowami.

- Chciałbym poznać lady Sarę, i to szybko - powiedział po chwili. - Najpierw jednak muszę upodobnić się do angielskiego dżentelmena.

Ross przyjrzał mu się uważnie.

- To nie będzie trudne. Jutro zabiorę cię do mojego krawca i fryzjera. Ostrzegam cię od razu: modne angielskie ubrania będą znacznie mniej wygodne od tego, co masz teraz na sobie. Nie staraj się jednak za bardzo zmieniać; lekki powiew egzotyki uczyni cię tylko bardziej interesującym, bo towarzystwo zawsze spragnione jest nowości. - Zamyślił się na chwilę, a potem uśmiechnął szelmowsko. - Przedstawię cię jako księcia.

Wędrowiec ściągnął swe czarne, gęste, niemal diaboliczne brwi.

- Książę to nie jest najlepsze tłumaczenie słowa mir.

- Ponieważ w angielskim nie istnieje żaden odpowiednik tego tytułu, książę będzie równie dobry jak każdy inny. W ten sposób zyskasz sobie więcej szacunku, choć żaden obcy tytuł nie może się równać z angielskim - wyjaśnił Ross. - Książę Wędrowiec z Kafiristanu. Będziesz sensacją.

Szczególnie wśród obwieszonych klejnotami dam z towarzystwa, dodał w myślach. Ciekaw był, jak też zachowają się angielskie gołębie, kiedy umieści wśród nich tego azjatyckiego jastrzębia.

Lady Sara St. James przechadzała się po parku za Haddonfield House, kiedy usłyszała zdecydowane, męskie kroki. Ktoś szedł po żwirowej alejce za żywopłotem.

Sara poprawiła niepewnie swoje blond włosy, potem opuściła rękę uświadomiwszy sobie, że zachowuje się jak zdenerwowany podłotek. Właściwie miała do tego pełne prawo, czekała bowiem na swego przyszłego narzeczonego, Charlesa Weldona, z drugiej jednak strony wiedziała doskonale, że ten nie jest wcale zainteresowany jej urodą. Gdyby szukał jakiejś olśniewającej piękności, zwróciłby się gdzie indziej, on jednak potrzebował dobrze urodzonej damy, która byłaby odpowiedzialną gospodynią i dobrą macochą dla jego córki. Sara doskonale nadawała się do obu tych ról, więc jej fryzura nie miała tu żadnego znaczenia. Choć oczywiście była w doskonałym stanie.

Krzywiąc się w duchu, postanowiła, że da Weldonowi to, czego od niej oczekuje, i stanęła przy krzaku róży w dystygowanej, prawdziwie arystokratycznej pozie. Wtedy usłyszała znajomy, wesoły głos:

- Saro, gdzie jesteś? Zapewniano mnie, że gdzieś się tutaj kręcisz. Porzucając sztuczną pozę, Sara odwróciła się na pięcie i wyciągnęła obie ręce do kuchni.

- Ross! Jaka miła niespodzianka. Przyniosłeś mi do przeczytania kolejny rozdział swojej książki?

Ross klasnął w dłonie, a potem pochylił się i złożył na jej policzku delikatny pocałunek.

- Prawdę mówiąc, boję ci się go pokazać. Być może popełniłem błąd, wzbudzając w tobie zainteresowanie Orientem, bo teraz stałaś się aż nadto krytycznym czytelnikiem.

Spojrzała nań z zakłopotaniem.

- Przepraszam, myślałam... Powiedziałeś, że moje komentarze są pożyteczne.

- W tym właśnie leży problem. - Ross westchnął. - Zawsze masz rację. W tej chwili wiesz już znacznie więcej o Azji i Środkowym Wschodzie niż większość urzędników z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś nie miała racji, bo wtedy mógłbym ignorować twoje uwagi. - Skrzywił się lekko. - Następny rozdział będzie gotowy w przyszłym tygodniu. Znacznie łatwiej przyszło mi odbyć tę podróż, niż ją opisać.

Zrozumiawszy, że Ross tylko się z nią droczy, Sara odzyskała dobry humor.

- Nie mogę się już doczekać dalszego ciągu. To będzie twoja najlepsza książka.

- Zawsze tak mówisz - odparł, uśmiechając się do niej ciepło. - Jesteś moim najwierniejszym czytelnikiem.

- A ty jesteś moim oknem na świat.

Sara wiedziała, że nigdy nie ujrzy na własne oczy miejsc, w których bywał kuzyn, lecz jego listy i dzienniki rozświetlały nieco mroki minionych, posępnych lat. Właściwie to ona podsunęła mu myśl, by opisał swoje podróże. Dwa pierwsze dzieła Rossa zdobyły sobie uznanie zarówno zwykłych czytelników, jak i specjalistów, a książka, nad którą właśnie pracował, była prawdopodobnie jeszcze lepsza od poprzednich.

- Ostrzegam cię, że spodziewam się wkrótce bardzo ważnego gościa - dodała.

- Znam go?

Zmarszczyła swój delikatny, arystokratyczny nosek.

- Przybędzie tu Charles Weldon, by dowiedzieć się, czy przyjął jego oświadczenia. Choć wszyscy aktorzy w tym przedstawieniu wiedzą, jakie jest jego zakończenie, i tak muszą wypowiedzieć wcześniej swoje kwestie.

- Właściwie przyszedłem tu, by porozmawiać z tobą o tych zaręczynach. - Ross zmrużył oczy. - Czy przyjmujesz oświadczenia Weldona wbrew swojej woli? Jestem pewien, że wuj do niczego cię nie zmusza.

- Oczywiście, że nie. Ross, nie pozwól, by poniosła cię twoja bujna wyobraźnia. - Sara wsunęła dłoń pod ramię kuzyna i oboje ruszyli powoli w dół zwirowanej alejki. - Ojciec zachęca mnie do tego związku, ale do niczego nie przymusza. Ponieważ tytuł Haddonfieldów i związany z tym majątek przejdzie na kuzyna Mikołaja, tata uznał, że jego obowiązkiem jest znaleźć mi bogatego męża, który potrafiłby o mnie zadbać.

- A ty się z nim zgadzasz? - spytał sceptycznie Ross. - Wuj Haddonfield z pewnością zostawi ci większość swojego prywatnego majątku więc i tak będziesz bardzo bogatą kobietą. Jeśli zależy ci na tym, by wspierał cię i chronił jakiś mężczyzna, możesz zamieszkać ze mną. - Ross spojrział na nią z nadzieją. - Myślisz, że mógłbym cię do tego namówić? To wielkie mauzoleum, w którym przyszło mi żyć, jest o wiele za duże dla jednej osoby.

- Wolalabym raczej mieszkać w skromnej chacie, w otoczeniu kotów i różnych krzewów - Sara się roześmiała. - Bardzo by mi się to podobało, ale z drugiej strony stałabym się tak okropną ekscentryczką, że pewnie wolałbyś się do mnie nie przyznawać.

- O nie, nigdy bym tak nie postąpił - oświadczył Ross. - Oboje odziedziczyliśmy pewne dziwactwa po siostrach Montgomerych. Ja z chęcią zamieszkać w sąsiedniej chacie i otoczę się stertami azjatyckich pism. Ty i twoje koty będziecie zachodzić do mnie na herbatę, a ja będę czytał ci turecką poezję. - Ross uśmiechnął się pod nosem, potem jednak spowaźniał i spytał cicho: - Sara, czy ty kochasz Charlesa Weldona?

Sara podniosła nań wzrok, zaskoczona.

- Oczywiście, że nie, ale myślę, że będzie nam się ze sobą dobrze żyło. Małżeństwo z Charlesem nie jest jakimś strasznym poświęceniem, to inteligentny i dobrze wychowany człowiek, oboje wiemy też, czego się po sobie spodziewać. Tato będzie szczęśliwy, kiedy wyjdę wreszcie za mąż, a i ja chciałabym mieć dzieci.

- Będziecie więc tworzyć spokojne, wyrachowane małżeństwo, w którym każdy będzie chadzał własnymi ścieżkami.

- Otóż to - zgodziła się Sara. - To jedna z rzeczy, które przekonują mnie do tego mariażu. Nie chciałabym mieć męża, który ciągle przeszkadzałby mi w realizacji moich planów.

Ross pokręcił głową ze smutkiem.

- Ależ ty jesteś wyrachowana, Sara. Nigdy nie chciałaś się za kochać?

- Z tego, co widziałam, to przekłety i wielce nieprzyjemny stan. - Sara uściśliła jego ramię i dodała cicho. - Myślałam, że ty zostałeś już uleczony z wiary w małżeństwa zawarte z miłości.

Ross uśmiechnął się cierpko.

- Kto raz był romantykiem, zostanie nim na zawsze. To nieuleczalna choroba. Ty zawsze byłaś rozsądniejsza ode mnie.

Podeszli do ławki wystawionej na blask słońca i usiedli obok siebie.

Z dala dobiegały odgłosy ruchu ulicznego, jednak tutaj, w otoczeniu kwiatów i zieleni trudno było uwierzyć, że ogród znajduje się w centrum Londynu.

- A gdyby Weldon wycofał swoją ofertę, albo wpadł pod karetę, byłabyś bardzo zmartwiona?

- Gdyby wycofał oświadczyzny, przyjąłabym to z pewną ulgą - przyznała, potem jednak obrzuciła kuzyna zimnym, stalowym spojrzeniem. - Nie życzę sobie jednak, by coś mu się stało, więc nie wpychaj go pod karetę w przekonaniu, że w ten sposób mi pomagasz.

- Nie mam takiego zamiaru - zapewnił ją Ross. - Chciałem tylko zrozumieć, jaki jest twój stosunek do tego małżeństwa.

- Doceniam twoją troskę - odparła, starając się ukryć nagle wzruszenie. Ich matki były sobie bardzo bliskie, jak to bywa między bliźniaczkami, a Ross i Sara zostali wychowani jak brat i siostra. Zawsze dzielili się problemami i tajemnicami, zwierzali się sobie z marzeń i razem popadali w tarapaty.

Ich matki nie przepuszczały nawet, jak często szalone pomysły Sary były powodem ich problemów, choć zawsze to Ross upierał się, że jako mężczyzna i starszy wiekiem powinien ponosić karę za nich oboje. W świecie, który uważał lady Sarę St. James za dystyngowaną damę - nudną jak cały ów świat - tylko Ross znał jej drugą, znacznie mniej spokojną naturę. Gdyby miała prawdziwego brata, nie mogłaby kochać go bardziej.

- Nie martw się, mój drogi. Charles to prawdziwy dżentelmen, będzie nam ze sobą naprawdę dobrze.

Ross skinął głową, pozornie usatysfakcjonowany, potem zaś zmienił temat.

- Do Londynu przybył właśnie mój przyjaciel, jestem pewien, że chętnie go poznasz. Nazywa się Mikahl Khanauri, choć w jego kraju zowią go Jastrzębiem. Ponieważ żaden Anglik nie jest w stanie prawidłowo wymówić jego prawdziwego tytułu, on sam nazywa siebie Wędrowcem, od sokoła wędrownego. Książę Wędrowiec z Kafiristanu. O ile wiem, jest pierwszym Kafiristańczykiem, który kiedykolwiek odwiedził Europę.

- Imponujące. - Sara zmarszczyła brwi, wyteżając pamięć. - Kafiristan leży w górach Hindukusz, za północno - zachodnią granicą Indii, prawda? Kilka lat temu napisałeś, że chciałbyś się tam wybrać ale minęły miesiące, nim dostałam twój następny list. Wtedy byłeś już z powrotem w Indiach i nie wspominałeś nawet o wyprawie do Kafiri stanu.

- Być może jestem jedynym Anglikiem, który widział ten kraj. - Jego oblicze

rozjaśniło się nagle; zafascynowany kulturą Wschodu naukowiec wziął górę nad ugrzecznionym dżentelmenem. Podobnie jak w przypadku Sary, tylko na pozór był typowym przedstawicielem angielskiej arystokracji, choć nawet owym pozorom trudno było coś zarzucić. - Kafiristańczycy to niezwykli ludzie, niepodobni do innych narodów zamieszkujących Himalaje. Chętnie poznałbym lepiej ich historię i kulturę; w centralnej Azji można znaleźć zdumiewającą mieszaną ras i języków. Jeśli chodzi o obyczaje i wygląd, Kafiristańczycy przypominają Europejczyków znacznie bardziej niż ich muzułmańscy sąsiedzi. Może to jakieś germańskie plemię, które zawędrowało na wschód, zamiast na zachód. Sami twierdzą, że są potomkami Aleksandra Wielkiego i jego armii. Język Kafiristanu jest praktycznie nie do opanowania, w każdej dolinie mówi się innym dialektem. Kafiristańczycy są nieokiełznani i dzicy jak górskie ptaki, kochają wolność osobistą bardziej niż jakikolwiek lud, który miałem dotąd okazję poznać. - Ross spojrzął z uśmiechem na swoją kuzynkę. - Nawet ich kobiety mogą robić, co zechcą, gdy tylko uporają się z codziennymi obowiązkami.

- Wygląda na to, że to bardzo rozsądny naród - odparła Sara spokojnie, nie reagując na zaczepkę kuzyna. - Twój przyjaciel, Wędrowiec, to karifistański arystokrata?

- W Kafiristanie nie istnieje coś takiego jak nasza brytyjska arystokracja, lecz rzeczywiście, Wędrowiec jest wśród swoich człowiekiem o wielkich wpływach, mirem, czyli wodzem. - Ross przygryzł w zamyśleniu dolną wargę. - Nigdy nie nauczyłem się ich języka dość dobrze, by to zrozumieć, odniosłem jednak wrażenie, że Wędrowiec nie jest rodowitym Kafiristańczykiem. Prawdopodobnie pochodzi z kraju położonego dalej na zachód, może z Turkiestanu. A może jego ojciec był Rosjaninem, który potem opuścił Kafiristan. Nie pytałem o jego pochodzenie, a on sam także nigdy nie poruszał tego tematu.

- Jak go poznałeś? - spytała Sara, zaintrygowana.

- Uratował mi życie. I to dwukrotnie.

Kiedy Sara zmarszczyła brwi i otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, Ross stanowczo pokręcił głową.

- Uwierz mi, na pewno nie chcesz wiedzieć nic więcej na ten temat.

- Ross! - oburzyła się Sara. - Nie możesz wygłaszać takich twierdzeń, nie wyjaśniając, co właściwie masz na myśli.

Ross zachichotał.

- Po raz pierwszy uratował mnie, kiedy przekroczyłem granicę Kafiristanu. Wpadłem w łapy grupy tubylców, którym nie spodobał się mój wygląd i zachowanie. Nie rozumiałem prawie nic, domyślałem się jednak, że dyskutują o tym, w jaki sposób pozbawić mnie życia.

Nie musiałem zresztą bardzo wyteżać umysłu, jako że jednocześnie moi oprawcy dręczyli mnie z upodobaniem. W krytycznym momencie w pobliżu pojawił się właśnie Wędrowiec, którego natychmiast zaproszono do zabawy. Ten uznał, że nie może pozwolić, by jego towarzysze okazali się na tyle niegościnni, by obedrzeć mnie żywcem ze skóry, i zaprosił herszta owej bandy do jakiejś hazardowej gry. O ile pamiętam, postawił dwadzieścia złotych gwinei za moje życie. Kiedy wygrał, stałem się jego własnością. Uratował mnie ponownie, kiedy wracałem już do Indii. Zostaliśmy zaatakowani przez bandytów, a kiedy skończyła mi się amunicja, miałem przeciwko sobie jeszcze dwóch uzbrojonych przeciwników. Wędrowiec wyrównał nasze szanse.

Sara wzdrygnęła się, świadoma, że za żartobliwym opisem kryje się straszliwa rzeczywistość.

- Ile jeszcze razy ocierałeś się o śmierć podczas swoich podróży?

- Powiedziałem ci już, że nie chciałabyś tego wiedzieć. - Ross objął ją ramieniem i uściśnął serdecznie. - Nie musisz się o mnie martwić, kiedy wyjeżdżam z Anglii. Jeśli prawdą jest, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo, ja mam przed sobą jeszcze długie życie. Tak czy inaczej, po tym, jak stałem się własnością Wędrowca, ten zabrał mnie do swojej wioski, ugościł i wyleczył. W pewnym sensie ocalił mnie wtedy po raz kolejny, nie dopuszczając do mnie miejscowego znachora. Kiedy wróciłem do zdrowia i zacząłem interesować się tym, co mnie otacza, stwierdziłem ze zdumieniem, że mój gospodarz mówi całkiem przyzwoitą angielszczyzną. Był również najczystszy Kafiristańczykiem, jakiego spotkałem, co także świadczy o tym, że musi pochodzić z jakiegoś innego kraju. - Ross przerwał na chwilę, popadając w zamyślenie. - Może właśnie dlatego wydawało mi się że jego cera jest jaśniejsza niż innych tubylców. Trudno powiedzieć. Kiedyś widziałem, jak pewien Kafiristańczyk wpadł do strumienia. Był wtedy równie biały jak przeciętny Anglik, lecz po upływie tygodnia znów stał się równie śniady jak przedtem. Ale odbiegam od tematu. W ciągu tych kilku miesięcy, kiedy byłem gościem Wędrowca, zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. To człowiek o niesamowitej osobowości i umyśle, inteligentny i bystry, nigdy niczego nie zapomina. Europa go fascynowała. Wciąż zadawał mi mnóstwo pytań, chłonał każde słowo jak gąbka. Musiał dobrze wykorzystać tę wiedzę, bo kiedy spotkaliśmy się dwa lata temu w Kairze, był już bogatym biznesmenem, a jego przedsięwzięcia i inwestycje obejmowały praktycznie cały Wschód. Wspomniał, że któregoś dnia chciałby także odwiedzić Anglię, no i dotrzymał słowa. - Ross uśmiechnął się niewinnie do swej kuzynki. - Prosta i jednoznaczna opowieść.

- Te twoje proste opowieści zawsze kryją w sobie mnóstwo tajemnic - zauważyła Sara, patrząc nań roziskrzonymi oczyma. - Ale jeśli nawet twój książę to dzikus ze złotymi

kolczykami i sztyletem ukrytym w brodzie, podejmę go z radością ze względu na to, co zrobił dla ciebie.

- Miałem nadzieję, że to powiesz, bo jeśli zechcesz go przyjąć, inni pójdą za twoim przykładem. Wędrowiec na pewno nie jest dzikusiem, choć wcale nie mam też pewności, czy jest do końca ucywilizowany. To niezwykle człowiek, niepodobny do kogokolwiek z twoich znajomych. - Ross otworzył usta, jakby chciał dodać coś jeszcze, potem jednak pokręcił głową. - Ale lepiej będzie, jeśli sama wyciągniesz odpowiednie wnioski. Mogę przyprowadzić go na twoje garden party w przyszłym tygodniu? To doskonała okazja, by przedstawić Wędrowca choć części londyńskiego towarzystwa. Mniej przytłaczająca niż wielki bal.

- Oczywiście, że możesz go przyprowadzić. Bardzo chciałabym go poznać.

Nim Sara zdążyła powiedzieć coś więcej, na ścieżce pojawił się sir Charles Weldon. Sara poczuła ukłucie wstydu; wdając się w tę fascynującą rozmowę z kuzynem, zupełnie zapomniała o zapowiadanim i oczekiwanym gościu.

Kiedy Weldon zbliżył się do ławki, Ross wstał i uścisnął mu dłoń.

- Dzień dobry, sir Charles. Z pewnością chciałby pan porozmawiać z moją kuzynką w cztery oczy, zostawię was więc samych.

Weldon uśmiechnął się kordialnie.

- To bardzo miły gest z pana strony, lordzie Ross. Rzeczywiście, pragnąłbym porozmawiać z lady Sarą na osobności.

Kiedy Ross zniknął już z pola widzenia, Weldon ujął dłoń Sary i pochylił się, by ją ucałować. Kiedy to robił, Sara przyglądała mu się z aprobatą. Choć zbliżał się już do pięćdziesiątki, jej przyszyły mąż nadal był atrakcyjnym mężczyzną, wysokim i dobrze zbudowanym, otoczonym aurą pewności siebie, jaką daje sukces. W jego jasnobrązowych włosach dopiero pokazywały się pierwsze siwe kosmyki, delikatne zmarszczki na twarzy zaś dodawały mu tylko dostojności.

Weldon wyprostował się i spojrzał Sarze prosto w oczy. Ściskając lekko jej dłoń, spytał:

- Wie pani, dlaczego tu przyszedłem, lady Saro. Czy mogę mieć nadzieję, że udzieli mi pani odpowiedzi, o którą się modliłem?

Nie mogła całkowicie stłumić irytacji, którą budził w niej fakt, że Weldon bawi się w romantyczne podchody, podczas gdy sprawa jest już praktycznie załatwiona. Przypuszczał zapewne, że właśnie tego od niego oczekuje. Jak zauważył przed chwilą Ross, Sara była praktyczną, niemal zimnokrwistą kobietą; większość jej koleżanek wolałaby słuchać takich

właśnie słodkich słówek, jakimi obdarzał ją Weldon. Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Jeśli modli się pan o odpowiedź twierdzącą, to ma pan szczęście. Kiedy usłyszał te słowa, jego bladoniebieskie oczy zapłonęły nagle tak gwałtownym triumfem, że Sara po raz pierwszy zastanowiła się, czy aby Weldon nie angażuje się w ten związek nie tylko głową, ale i sercem. Ta myśl wyraźnie ją zaniepokoiła. Gotowa była pełnić rolę oddanej żony, jeśli jednak on oczekiwał od niej żaru uczuć, czekało go gorzkie rozczarowanie.

Błysk niebezpiecznego uniesienia zniknął jednak z jego oczu tak szybko, że Sara uznała to jedynie za przywidzenie. Weldon wyciągnął z kieszeni małe aksamitne pudełeczko i otworzył je zręcznie kciukiem. Pudełeczko zawierało pierścionek z brylantem tak dużym, że Sara wstrzymała oddech, gdy Weldon wkładał go na jej palec. Był to klejnot stosowny dla członka królewskiej rodziny albo bardzo ekskluzywnej kurtyzany.

- Jest naprawdę cudowny, Charles. - Sara przekręciła dłoń, podziwiając blask błękitnego ognia płonącego we wnętrzu brylantu. Naturalna barwa kamienia została jeszcze podkreślona przez otaczające go maleńkie szafiry. Choć nazbyt rzucający się w oczy i zupełnie nie w jej stylu, pierścionek był rzeczywiście śliczny. - Mniejszy kamień byłby może lepszy.

- Nie podoba ci się? - W jego głosie pobrzmiwała ledwie słyszalna nuta rozczarowania.

Zmartwiona, że zraniła jego uczucia, Sara podniosła nań wzrok i uśmiechnęła się czarująco.

- Pierścionek jest cudowny, ale brylant tak wielki, że wydasz fortunę na moje zniszczone rękawiczki.

Weldon odpowiedział uśmiechem i usiadł obok niej.

- Chcę wydawać na ciebie fortunę. Jesteś najlepsza i zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Tym razem Sarze wydawało się, że Weldon przemawia jak jej właściciel. Uznała jednak, że jest przewrażliwiona i że niepotrzebnie tak się przejmuje tymi zaręczynami. W gruncie rzeczy małżeństwo było przecież czymś zupełnie normalnym, stanem, w którym znajdowała się większość dorosłych kobiet. Kiedy i ona przywyknie do tej myśli, nie będzie przejmować się głupstwami i szukać dziury w całym. Okręciła pierścionek na palcu.

- Wybrałeś dobry rozmiar.

- Nie musiałem zgadywać. Podała mi go twoja służąca.

- Czy to było konieczne? - spytała Sara, wcale niezachwycona faktem, że jej przyszły mąż bawi się w swego rodzaju szpiegowanie.

- Zuchwalstwo to jeden z najważniejszych elementów sukcesu, moja droga, a ja jestem człowiekiem sukcesu. - Weldon zrobił dramatyczną pauzę. - Dowiedziałem się właśnie o czymś, co możesz uznać za jeszcze jeden podarunek zaręczynowy. Twój mąż wkrótce już nie będzie zwykłym szlachcicem; w przyszłym roku mam otrzymać tytuł barona. Będę tytułował się jako lord Weldon z Westminster. Brzmi niezłe, prawda? - Uśmiechnął się z ogromną satysfakcją. - Choć jako córka diuka obniżysz swój status, zostając baronową, zapewniam cię, że na tym nie poprzestanę. Nim umrę, będę co najmniej hrabią.

- Byłabym całkowicie usatysfakcjonowana, wychodząc za zwykłego pana Weldona - odparła Sara łagodnie. - Cieszę się jednak, że twoje osiągnięcia doczekały się wreszcie uznania. - Sara zachowała dla siebie dość cyniczną refleksję, że tytuł barona nie był nagrodą za niewątpliwe sukcesy Weldona, lecz raczej za ogromne wsparcie finansowe, jakiego udzielił partii wigów. Ponieważ jednak otrzymanie tytułu lordowskiego było dlań najwyraźniej bardzo istotne, cieszyła się wraz z nim.

Weldon ujął w ręce jej dłonie.

- Musimy ustalić datę ślubu, Saro. Chciałbym, by odbył się za jakieś trzy miesiące, może w pierwszym tygodniu września.

- Tak szybko? - odparła Sara niepewnie. - Ja myślałam raczej o sześciu miesiącach czy nawet roku.

- Dlaczego mielibyśmy czekać tak długo? Przecież oboje nie jesteśmy już dziećmi. - Twarz Weldona złagodniała, w jego oczach pojawiła się nieklamana czułość. - Skoro mowa o dzieciach... Eliza chce, by ślub odbył się jak najszybciej, wtedy będzie mogła bowiem zamieszkać z nami. Choć bardzo lubi swoją ciotkę i wujka, mówi, że brakuje im werwy.

Sara uśmiechnęła się lekko. To właśnie ogromna miłość, jaką Weldon darzył swą jedenastoletnią córkę z pierwszego małżeństwa, przekonała ją w głównej mierze, że będzie on dobrym mężem.

- Cieszę się ogromnie, że Eliza mnie akceptuje. Jest taka kochana. Czy nikt nie mówił jej jeszcze, że macochy uchodzą za nikczemne i okrutne kobiety?

- Eliza jest zbyt rozsądna, by wierzyć w takie niemądre bajki. - Weldon zwrócił błagalne spojrzenie na Sarę. - Powiedz, że wyjdiesz za mnie we wrześniu. Nie chcę czekać.

Miał rację; nie było żadnego powodu, by zwlekać ze ślubem.

- Dobrze, Charles, skoro tego sobie życzysz.

Weldon wziął ją w ramiona i przypieczętował zaręczyny pocałunkiem. Sara oczekiwała tego i próbowała się przygotować. Nie miała wielkiego doświadczenia w całowaniu, nie mówiąc już o tym co następowało później. Kiedy Weldon potężnymi

ramionami przyciągnął ją do nakrochmalonej tkaniny swojej koszuli, uznała, że jego uścisk wcale nie jest taki zły, choć nieco przytłaczający. Może za jakiś czas nauczy się czerpać przyjemność z całowania. Potem wsunął język pomiędzy jej wargi, a Sara natychmiast zeszywniała na całym ciele.

Weldon wypuścił ją z objęć, oddychając ciężko.

- Przepraszam cię, Saro - powiedział ze skruchą. - Zapomniałem się na moment Nie chciałem skalać twej niewinności. Musisz ją zachować na noc poślubną. - W jego oczach pojawił się wygłodniały, władczy błysk.

Sara znów poczuła dziwny niepokój. I znów go stłumiła.

Wędrowiec obracał się powoli w miejscu, oglądając z uwagą salon apartamentu, który wynajął właśnie w Clarendon Hotel. Pokój ów stanowił doskonały przykład europejskiego luksusu, nie brakowało w nim ani połączonych mebli, ani sztukaterii, ani też obrazów przedstawiających pejzaże i sceny myśliwskie. Zdaniem Wędrowca salon wyglądałby lepiej, gdyby wymienić ciężkie wypchane krzesła i fotele na orientalne ławy z poduszkami, uznał jednak, że na razie wystarczy mu taki, a nie inny wystrój.

Do pokoju wszedł Kuram, jego patański służący, odziany w tunikę z czerwonego jedwabiu i biały turban.

- Pan Benjamin Slade do pana, ekscelencjo.

Mężczyzna, który wszedł za Kuramem, był niski i drobny, miał rzadkie siwiejące włosy. Wydawał się całkiem przeciętny i niepozorny, dopóki ktoś nie spojrzał w jego szare, bystre oczy. Kłaniając się grzecznie, powiedział:

- Cieszę się, że mogę powitać pana w Londynie, wasza wysokość. Pielgrzym uśmiechnął się szeroko, ściskając dłoń swojego gościa.

- Widzę, że podobnie jak Kuramowi, spodobał ci się mój książęcy status, Benjaminie, W Indiach zachowywałaś się trochę inaczej.

Slade pozwolił sobie na lekki uśmiezek.

- Będąc księciem, podnosisz swoją pozycję w Londynie. Myślę, że nawet w naszym małym gronie powinniśmy przestrzegać pewnych zasad.

- Z pewnością masz rację. Napijesz się herbaty?

Slade skorzystał z zaproszenia. Kiedy Kuram wyszedł, by zamówić herbatę i ciastka, Anglik przedstawił swojemu pracodawcy aktualny stan jego interesów.

Wędrowiec poznał Benjamin Slade'a przed pięciu laty w Bombaju. Slade, prawnik z wykształcenia, został właśnie zwolniony z Kompanii Wschodnioindyjskiej, której służył lojalnie od dziesięciu lat. Cała ta sprawa otoczona była aurą skandalu, co właśnie skłoniło Wędrowca do przeprowadzenia prywatnego śledztwa. Dowiedział się, że Slade miał niezwykle talent do interesów i że dzięki temu talentowi jego zwierzchnik, niejaki Wilkerson, został bogaczem. Wkrótce ten sam Wilkerson odwdzieczył się Slade'owi, czyniąc zeń kozła ofiarnego i obarczając go winą za dokonane przez siebie oszustwa finansowe.

Benjamin Slade był zgorzkniałym i zdesperowanym człowiekiem, kiedy Wędrowiec złożył mu wizytę i zaoferował dwie rzeczy: pracę i zemstę. Slade przyjął obie. W przeciągu miesiąca wyszły na jaw nowe dowody, które zniszczyły karierę Wilkersona i zaprowadziły go

do więzienia. Choć Slade wiedział, że dowody te musiały zostać sfabrykowane, nie protestował, bo sprawiedliwości stało się zadość. Miesiąc później wsiadł na statek płynący do Londynu, by stać się przedstawicielem interesów Wędrowca w Wielkiej Brytanii. Przez kolejne lata doskonale służył swemu pracodawcy, pomnażając jego majątek na bardziej i mniej ortodoksyjne sposoby.

Wysłuchawszy sprawozdania, Wędrowiec rozsiadł się wygodnie w fotelu i skrzyżował swoje długie nogi.

- Chciałbym wkręcić się na jakiś czas do światka londyńskiej arystokracji, musisz mi więc wyszukać jakąś modną rezydencję. Coś godnego księcia.

Slade skinął głową.

- Wynając czy kupić?

- Wszystko jedno. Jeśli nie znajdziesz żadnej ciekawej rezydencji do wynajęcia, kup coś. Chciałbym także, żebyś poszukał jakiegoś domu na wsi, w odległości nie większej niż dwie godziny jazdy od Londynu. Oprócz domu odpowiedniej wielkości, musi tam być dość ziemi, by można było uprawiać ją z zyskiem.

Agent Wędrowca uniósł lekko brwi.

- Zamierzasz osiąść w Anglii na stałe?

- To się jeszcze okaże. Dla zasady jednak chcę kupić coś, co nie tylko może stanowić rozrywkę, ale przynosić także konkretne zyski. - Wędrowiec zamilkł na chwilę, kiedy Kuram stawiał na stoliku tacę z herbatę, potem kontynuował: - Informacje dotyczące sir Charlesa Weldona, które gromadziłeś na moje polecenie, stanowiły dobry początek, chciałbym jednak, żebyś dokładniej zapoznał się z jego interesami.

Slade znów skinął głową. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Oczywiście. Możesz określić choć w przybliżeniu, czego szukasz? Gdy wędrowiec udzielił odpowiedzi, wystudiowany spokój Slade'a prysnął jak bańka mydlana.

- Dobry Boże - zachłysnął się. - To niewiarygodne.

- Może i niewiarygodne, ale nie niemożliwe - mruknął Wędrowiec. - Właśnie fakt, że wydaje się to niewiarygodne, stanowi dla Weldona najlepszą ochronę. Choć nie mam jeszcze żadnych dowodów, instynkt podpowiada mi, że jeśli poszukasz we wskazanym przeze mnie kierunku, na pewno coś znajdziesz. Twoim zadaniem, Benjaminie, jest odnaleźć igłę w stogu siana, a musisz to robić z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, dyskretnie i po cichu.

Prawnik skinął głową, wciąż oszołomiony.

- Jeśli ta igła rzeczywiście tam jest, znajdę ją, przysięgam. Wędrowiec pociągnął ryk herbaty, zadowolony. Wkrótce miał zadzierzgnąć najważniejszą nić w pajęczynie, która

otaczała powoli sir Charlesa Weldon.

Nieprzewidywalna angielska pogoda tym razem sprzyjała lady Sarze, dzięki czemu garden party urządzone w jej posiadłości było naprawdę udane. Barwne suknie dam wyglądały jak ogromne kwiaty zdobiące zalany słońcem ogród Haddonfield House, nie brakowało ulubionych rozrywek mężczyzn, czyli jedzenia, alkoholu i rozmów. Nad trawnikami unosił się zapach kwiatów, lekka muzyka ukrytego dyskretnie kwartetu smyczkowego, wesołe rozmowy i śmiech. Służący krążyli wśród gości, roznosząc drinki.

Wędrowiec i lord Ross, którzy dopiero przybyli na przyjęcie, stali na skraju ogrodu i przyglądali się gościom, korzystając z przewagi, jaką dawał im wzrost. Kiedy Anglik pouczał półgłosem swego towarzysza, czego może spodziewać się przy takiej okazji, ten słuchał go tylko jednym uchem. Choć na pozór był całkiem spokojny, w środku aż drżał z niecierpliwości. Dzisiaj, po dwudziestu pięciu latach oczekiwania, miał wreszcie stanąć oko w oko ze swoim wrogiem.

Spoglądając spod przymrużonych powiek na tłum gości, Ross powiedział:

- Nie widzę jeszcze Weldon, ale na pewno pojawi się tutaj przed wieczorem.

Rozpoznasz go?

- Rozpoznam - odparł Wędrowiec cicho. Poznałby Weldon na samym dnie piekła. Nie mógł wykluczyć, że i Weldon go pozna, choć gdy widział Wędrowca po raz ostatni, ten miał zaledwie dziesięć lat. Ta niepewność dodawała tylko pikanterii zbliżającemu się spotkaniu.

Zemsta nie sprawiałaby takiej satysfakcji, gdyby Weldon pozostawał nieświadomą ofiarą. Wędrowiec wiedział jednak, że nie dojdzie do tego i że nim zemsta się dopełni, Weldon spróbuje walczyć. Finałowa bitwa zapowiadała się bardzo interesująco, bo choć osaczony, Anglik będzie przecież na własnym terenie, z ogromnymi zasobami pod ręką.

Gdyby jakimś cudem Weldon zdołał jednak zniszczyć swojego prześladowcę, nie cieszyłby się triumfem zbyt długo, zginąłby bowiem z rąk zabójcy aktywowanego śmiercią Wędrowca. Nie było to sportowe zagranie. Wędrowiec jednak nie przejmował się wcale angielskimi zasadami fair play, które jego zdaniem stanowiły luksusowy dodatek dla ludzi nieryzykujących niczym ważnym. Bez względu na przebieg wydarzeń, Weldon miał zginąć i to dopiero wtedy, kiedy zostanie pozbawiony wszystkiego, co było dla niego cenne. Niepewne było tylko to, czy Wędrowiec dożyje tej chwili, on sam jednak nie uważał tego za istotne.

Głos Rossa wyrwał go z tych rozmyślań.

- Jesteś już gotów, bym przedstawił cię niektórym spośród gości? Wędrowiec

uśmiechnął się doń leniwie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile ironii kryje się w fakcie, że jestem tu, w Londynie, i że wkrótce poznam śmietankę towarzyską tego miasta.

- Mówisz tak, jakbyś chciał ich wszystkich pożreć - odparł cierpko Ross. - Być może nie doceniam w pełni wszystkich niuansów, ale wydaje mi się, że ta sytuacja bardzo cię bawi.

- Zgadza się - mruknął Wędrowiec i spoglądając na tłum gości, spytał: - Która spośród tych pięknych dam jest gospodynią?

- Wypatruj najpiękniejszej blondynki. - Ross odszukał wzrokiem swoją kuzynkę i skinął głową w jej stronę, - Sara jest tam, pod drzewem, po drugiej stronie ogrodu - Rozmawia z małą dziewczynką.

W chwili gdy Wędrowiec zlokalizował wskazaną kobietę, do lorda Rossa podszedł jakiś korpulentny jegomość. Przyjaciel odwrócił się, by przywitać nowo przybyłego, a Wędrowiec przez ten czas przyglądał się uważnie lady Sarze St. James. W pierwszej chwili poczuł rozczarowanie, przypuszczał bowiem, że Weldon wybierze żonę nie tylko ze względu na jej wysokie urodzenie, ale i olśniewającą urodę. Widocznie jednak w tej chwili żaden inny diuk nie miał na wydaniu córki, która byłaby od niej ładniejsza.

Kuzynka Rossa była drobna i szczupła, odziana w prostą, kremową suknię. Jej włosy ściągnięte były do tyłu, związane w skromny koczek na szyi, wydawały się przy tym zbyt ciemne, by nazwać lady Sarę blondynką. Wbrew opisom Rossa z pewnością nie należała do kobiet, które przyciągają tłumy adoratorów.

Lady Sara trzymała rękę na ramieniu ładnej, jasnowłosej dziewczynki w wieku dziesięciu lub jedenastu lat. Dziecko aż promieniowało radością, że pozwolono mu uczestniczyć w przyjęciu dla dorosłych. Kiedy podniosła głowę i powiedziała coś do lady Sary, ta roześmiała się i pchnęła ją delikatnie w stronę stołu z jedzeniem.

Kiedy dziecko pobiegło do stolika, lady Sara wyszła z cienia, wciąż uśmiechnięta. W tej samej chwili Wędrowiec wstrzymał oddech, urzeczony niespodziewanym widokiem.

Sara St. James nie była olśniewająca ani nawet zwyczajnie ładna, gdyż uroda była tylko kolejną odmianą mody równie zmiennej jak angielska pogoda. Jednak w kościach jej twarzy, w łagodności jej uśmiechu kryła się mądra, ponadczasowa uroda, którą doceniono by w każdej epoce, wśród wszystkich narodów, jakie zamieszkiwały ziemię. Greckie sybille musiały wyglądać właśnie tak jak ona. Oblane słońcem włosy lady Sary nabrały barwy gęstego miodu, przetykanego bursztynem i złotem, były równie piękne i bogate jak stary jedwab.

Teraz rozumiał już, dlaczego Ross nazywał ją piękną blondynką; nie istniały w

ludzkim języku słowa, które mogłyby właściwie opisać jej włosy. Ani ją samą.

Wędrowiec uśmiechnął się do siebie i oddał w duchu hołd gustowi wroga, gdyż Weldon rzeczywiście wybrał sobie za żonę kobietę o niezwyklej urodzie i pochodzeniu. Rozdzielając kuzynkę Rossa i jej narzeczonego, Wędrowiec nie tylko ocaliłby tę damę przed nikczemnym małżonkiem, nie tylko pozbawiłby Weldona kolejnego trofeum, ale też zyskałby wspaniałe i ekscytujące towarzystwo.

Ponieważ Ross najwyraźniej nie mógł uwolnić się od swego znajomka. Wędrowiec postanowił sam przedstawić się gospodyni. Wśliznął się w tłum niczym pstrąg w wodę. Kiedy mijał go lokaj niosący na tacy pełne kieliszki, Wędrowiec zręcznie porwał jeden z nich. Już po zapachu rozpoznał doskonały francuski szampan, specjalnie dobrany do truskawek, które piętrzyły się wielkimi stosami na stołach zjedzeniem. Zatrzymał się przy nich na chwilę i spróbował świeżych owoców, dochodząc do wniosku, że szampan idealnie uzupełniał ich smak. Ci angielscy arystokraci wiedzieli, jak dobrze żyć, nawet jeśli ich mały świat był sztuczny i oderwany od rzeczywistości.

Dostrzegał zaciekawione spojrzenia, jakie rzucali w jego stronę goście, większość z nich jednak była zbyt dobrze wychowana, by otwarcie mu się przyglądać. Ich zainteresowanie wzbudzał zapewne nie tyle jego wygląd, co sama obecność kogoś, kto nie należał do ich kręgu; Wędrowiec odwiedził w ostatnim czasie krawca, szewca i fryzjera, dzięki czemu wyglądał jak typowy angielski dżentelmen.

Jedyną osobą, która otwarcie mu się przypatrywała, była piękna, złotowłosa kobieta. Kiedy Wędrowiec zatrzymał nieco dłużej spojrzenie na jej równie olśniewającej córce, kobieta zmarszczyła lekko brwi, jakby chciała go przestrzec. Widząc, jak bardzo chce uchronić swą owieczkę przed zębami groźnego wilka, Wędrowiec przesłał jej najbardziej rozbijający ze swych uśmiechów.

Po chwili zdumienia matka odpowiedziała mu uśmiechem, nie odchodząc jednak od swojej córki. Mądra kobieta. Wędrowiec oceniał, że na targu niewolników w Trypolis dziewczyna warta byłaby jakieś pięćset gwinei, a jej matka ponad dwieście, pomimo swego wieku.

Uśmiechnął się w duchu, wyobrażając sobie reakcję otaczających go ludzi, gdyby ci potrafili czytać w jego myślach. Ten tłusty, podstarzały dandys niewart byłby nawet pięciu funtów.

Choć czujność nakazywała mu obserwować uważnie otoczenie, uwaga Wędrowca skupiała się głównie na lady Sarze, która wypełniała sumiennie obowiązki gospodyni, wypytując kolejnych gości o ich potrzeby i zachcianki. Z daleka nie dostrzegał tego tak

dobrze, gdyż Ross był wysoki i dobrze zbudowany, ona zaś szczupła, kiedy jednak podszedł bliżej, zauważył uderzające podobieństwo między dwojgiem kuzynów. Przystojne, męskie rysy Rossa na obliczu Sary okazały się delikatne i kobiece. Oboje mieli także takie same brązowe oczy, wyraźnie zaznaczone brwi i ciemne rzęsy, kontrastujące z jasnymi włosami.

Istniało jednakże inne, mniej powierzchowne podobieństwo, cecha bardziej psychiczna niż fizyczna, wyraźniej nawet obecna w obliczu lady Sary niż Rossa. Wędrowiec męczył się w duchu, nie mogąc jej zdefiniować, nie potrafiąc określić dokładnie tej nieuchwytności.

Potem, gdy ich ścieżki skrzyżowały się ze sobą, kiedy stanęli twarzą w twarz, zrozumiał wreszcie, co nadaje jej oczom ten niezwykły wyraz. Spokojna, sybilińska twarz lady Sary St. James ukształtowana została przez ból.

Gdy tylko Sara ujrzała wysokiego, czarnowłosego mężczyznę, wiedziała, że jest to egzotyczny przyjaciel Rossa. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, skąd ma tę pewność. Jego skóra była śniada, nie bardziej jednak od skóry Anglika, który przebywa dużo na słońcu, jego twarz nie wydawała się w jakiś sposób obca, jego doskonale skrojone ubranie było zaś kwintesencją brytyjskiej mody. Mimo to wiedziała, że to może być tylko księżę Wędrowiec z Kafiristanu.

Wreszcie uznała, że chodzi o sposób, w jaki się porusza, o płynny niebezpieczny krok drapieżcy, zupełnie niepodobny do tego, jakim chodzą Europejczycy. Widziała, jak kobiety przypatrują mu się skrycie, i wcale nie była tym zaskoczona. Kafiristańczyk miał w sobie bowiem coś, co sprawiało, że spokojne i cywilizowane Angielki snuły fantazje o zmysłowych dzikusach, którzy byli w rzeczywistości arystokratami natury i gotowi byliby je porwać do swych dalekich pałaców. Sara uśmiechnęła się do własnych myśli, a potem straciła księcia z oczu, zajęta rozmową z kuzynką swego ojca.

Potem nagle stanęła twarzą w twarz z księciem Wędrowcem. Uniosła wyżej głowę i otworzyła usta, by go przywitać, nie wydobyła jednak głosu, sparaliżowana jego intensywnym, niesamowitym spojrzeniem. Oczy księcia lśniły czystą, niepokojącą zielenią, były niepodobne do żadnych oczu, które widziała do tej pory, dzikie i niezwykle, przypominały jej, że ten człowiek wychował się pod innym niebem, według zupełnie innych zasad. Nieprzenikniona zielona głębia przyciągała ją, wołała, obiecywała... obiecywała co?

Tak łatwo byłoby utonąć w tych oczach, odrzucić honor i dobre wychowanie, zapomnieć o świecie... Zszokowana i przerażona własnymi myślami, Sara przełknęła ciężko, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Jestem gospodynią tego przyjęcia, nazywam się Sara St. James. Pan to zapewne

książę Wędrowiec?

Jego czarne, wąskie brwi powędrowały ku górze, w grymasie udawanej rozpacz. Ściskając jej dłoń, odrzekł głębokim, dźwięcznym głosem:

- Czy to aż tak oczywiste? A ja myślałem, że mam typowe angielskie ubranie. Może powinienem sprzedać mojego krawca do kopalni. - Miał delikatny, chrapliwy akcent, wymawiał też poszczególne słowa nazbyt wyraźnie, poza tym jednak jego angielszczyzna była bez zarzutu.

Sara roześmiała się lekko.

- Brytyjczycy nie mają w zwyczaju sprzedawać ludzi do kopalni, o czym zapewne doskonale pan wie. Poza tym pański krawiec spisał się doskonale. Stare przysłowie mówi, że to szata czyni człowieka, okazuje się jednak, że prawda jest nieco inna. To, co naprawdę kształtuje każdego człowieka, to jego doświadczenia, a pańska twarz nie została ukształtowana przez angielskie życie.

- To prawda. - Książę nadal ścisnął dłoń Sary. Jego dłoń była kształtna i dobrze utrzymana, choć twarde zgrubienia świadczyły o tym, że nieobca była mu praca fizyczna.

Sara przypomniała sobie nagle pokaz elektryczności, który widziała jakiś czas temu, czuła się bowiem tak, jakby przepływał przez nią prąd o potężnej mocy. Prąd ów emanował z jego ciepłego uścisku i tych niesamowitych, zielonych oczu, sprawiał, że stała się nagle dziwnie świadoma jego męskości. Być może twarde, górskie życie uczyniło tego księcia tak silnym i zręcznym, tak atrakcyjnym, że chciała przesuwając dłońmi po jego ciele, dotykać jego mięśni, przyciągnąć go do siebie...

Tylko dzięki ogromnemu opanowaniu Sara nie wyrwała dłoni z uścisku księcia. Ten człowiek musiał być hipnotyzerem! A może przypominał raczej kobrę, która hipnotyzuje swą ofiarę przed uderzeniem. Wzięła głęboki oddech, przywołując się w duchu do porządku, wmawiając sobie, że książę jest po prostu inny niż wszyscy mężczyźni, z którymi miała dotąd do czynienia. Ross powiedział jej kiedyś, że podczas rozmowy Azjaci stoją bliżej siebie niż Europejczycy. Dlatego była tak bardzo świadoma jego bliskości. Wsuwając delikatnie dłoń z jego uścisku, cofnęła się o krok.

- Miejscowe zwyczaje pozwalają uścisnąć lub ucałować dłoń kobiety, potem jednak należy ją natychmiast wypuścić.

Jego twarz przybrała wyraz szczerego żalu.

- Najmocniej panią przepraszam, lady Saro. Wiedziałem o tym, ale zapomniałem. Tyle rzeczy do zapamiętania. Wybacz mi pani moje drobne potknięcia i niezręczności?

- Wydaje mi się, że nieraz jeszcze wystawi mnie pan na ciężką próbę, wasza

wysokość. - Sara miała nadzieję, że jej głos brzmi normalnie. Wciąż czuła mrowienie w miejscu, gdzie jej dotykał, a wszystkie jej zmysły stały się nagle dziwnie wyostrome, niczym zmysły motyla, który właśnie wykluł się z kokonu. Woń kwiatów wydawała się słodsza niż przed chwilą, muzyka lżejsza i bardziej porywająca, samo powietrze pulsowało jakąś tajemniczą obietnicą. - Gdzie jest mój kuzyn? Nie mogę uwierzyć, by był aż tak źle wychowany i zostawił pana na pastwę losu.

- Wręcz przeciwnie, jego maniery są nienaganne. Został osaczony przez jakiegoś męczącego dżentelmena, którego jedynym problemem wydaje się znalezienie odpowiedniego małżonka dla waszej królowej Wiktorii.

Sara skinęła głową.

- Pan Macaw. Rzeczywiście, trudno przed nim uciec.

- Istnieje bardzo prosty sposób, by uwolnić się od takich ludzi oświadczył Kafiristańczyk. - Wystarczy być niegrzecznym. Dobre maniery nie zawsze stanowią zaletę, lady Saro.

- Myślę, że moglibyśmy długo dyskutować na ten temat, wasza wysokość. - Sara próbowała przybrać surowy wyraz twarzy, zdradził ją jednak lekki uśmiech, którego nie potrafiła powstrzymać. Choć książę był niebezpiecznie atrakcyjny, był także przyjacielem Rossa, mogła więc traktować go z pewną swobodą. - Wielka szkoda, że jako gospodyni tego przyjęcia nie mogę spędzić następnej godziny na przekonywaniu pana, że dobre maniery to konieczność, która pozwala nam nieco złagodzić trudy życia. Może poszukamy mojego kuzyna? Jako osoba nazbyt cywilizowana, nie mogę pozwolić sobie na zostawienie pana samego w tłumie obcych ludzi.

Książę rozejrzał się dokoła.

- Chyba nie będzie takiej potrzeby. Lord Ross uwolnił się właśnie od towarzystwa straszliwego pana Macawa.

Ross rzeczywiście dołączył do nich po chwili.

- Przepraszam, że musiałem zostawić cię samego, Mikahl.

- Nie szkodzi - odparł książę. - Twoja kuzynka rozpoznała mnie bez trudu. Uczyła mnie dobrych manier, obawia się jednak, że to beznadziejne zadanie.

Ross uśmiechnął się.

- Jeśli Sara zgodzi się zostać twoim mentorem, będziesz miał naprawdę sporo szczęścia. Nie znalazłbyś lepszego znawcy i nauczyciela miejscowych zwyczajów.

Wędrowiec spojrział na nią z nadzieją.

- Czy zechce pani mnie mentorować, lady Saro? Sara nie mogła powstrzymać

uśmiechu.

- Nie istnieje czasownik od słowa mentor, ale jeśli pan sobie tego życzy, z przyjemnością będę panu doradzać. - Poważniej już dodała: - Ross powiedział mi, że dwukrotnie uratował mu pan życie. Nie mogę odwdziaczyć się panu tym samym, ale uczynię wszystko, co w mojej mocy, by był pan zadowolony z pobytu w Anglii.

Księżę odparł z taką samą powagą:

- Jestem pani ogromnie wdzięczny. Czy mogę złożyć pani wizytę jutro rano? Mam wiele pytań, których nie śmiem zadawać Rossowi, bo wiem, że nie szanuje on towarzystwa na tyle, by udzielić mi rzetelnej odpowiedzi.

- Podczas gdy ja, odpowiedzialna i grzeczna, zawsze wiem, co jest właściwe, a co nie - dodała cierpko Sara. - Oczywiście, proszę mnie odwiedzać. Przecież nie może pan szokować i oburzać londyńczyków, nie wiedząc, co jest uważane za szokujące i oburzające. Z przyjemnością będę służyć panu pomocą.

Księżę szykował się już do odpowiedzi, ubiegł go jednak Ross:

- Saro, przybył właśnie sir Charles i za chwilę do nas dołączy.

Sara podniosła wzrok, by odszukać swego narzeczonego, kątem oka dostrzegła jednak, że księżę także wypatruje Weldon. Choć jego twarz pozostawała niewzruszona, odniosła wrażenie, że otaczają go niewidzialne wyładowania, iskry jakiegoś skrywanego uczucia.

- Przepraszam za spóźnienie, moja droga. - Weldon pochylił się, by ucałować Sarę w policzek, Wędrowiec zaś z zainteresowaniem odnotował, że dama odchyliła się lekko, jakby ten gest nie był jej miły. Nie, z pewnością nie łączyła ich miłość, choć oboje zachowywali się swobodnie, jakby od dawna byli już małżeństwem.

Wędrowiec przyglądał się swemu wrogowi wyglodniałymi oczami. Czas obszedł się z Weldonem bardzo łaskawie, Anglik wyglądał niemal tak samo jak przed laty; dystyngowany mężczyzna o odpowiednim urodzeniu i majątku. Wtedy jego prawdziwa natura ukryta była pod maską czaru i atrakcyjności, które na pozór wciąż mu sprzyjały. Tylko prawdziwie wnikliwy obserwator mógł właściwie zinterpretować wyraz jego twarzy i oczu; jak powiedziała lady Sara, to doświadczenia kształtują oblicze człowieka, a życie, w którym było wiele zła, wyrzeźbiło na twarzy Weldon delikatne linie okrucieństwa.

Jego rozmyślenia przerwał łagodny głos lady Sary.

- Charles, pozwól, że przedstawię ci księcia Wędrowca z Kafirittanu. Przyjechał niedawno do Anglii i jest prawdopodobnie pierwszym obywatelem swego kraju, który odwiedził Europę. Wasza wysokość, sir Charles Weldon.

- Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z pobytu w Londynie, wasza wysokość. - Weldon podał mu dłoń z nieoczekiwaną swobodą. Potem spojrzawszy w oczy Wędrowca i jego uprzejmy uśmiech przybrał wyraz zdumienia. - To pańska pierwsza wizyta w Anglii? Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy.

Kiedy Wędrowiec ścisnął dłoń swego wroga, pociemniało mu na moment w oczach, a więzy, które powstrzymywały na wodzy jego gniew, o mało się nie zerwały. To byłoby takie łatwe, po prostu wyciągnąć sztylet i wbić go między żebra Weldona. Gorąca krew Anglika trysnęłaby strumieniem na jego dłonie, karmazynowa zapłata za zbrodnie z przeszłości. Żyłby jeszcze dość długo, by zdążyć dowiedzieć się, dlaczego umiera...

Przeklinając w duchu, Wędrowiec powstrzymał swe szaleńcze zamiary. Owszem, bez trudu mógłby teraz zabić Weldon, byłaby to jednak zbyt szybka i zbyt bezbolesna śmierć. Poza tym, on sam trafiłby na szubienicę i zrujnowałby opinię Sary.

Odzyskując kontrolę nad swymi odruchami, Wędrowiec uściśnął mocno dłoń Weldona i wypuścił ją szybko.

- Był pan kiedyś w Indiach, sir Charles? Może spotkaliśmy się tam, choć prawdę mówiąc, nie przypominam sobie takiej sytuacji.

Usłyszawszy głęboki, lekko zachrypnięty głos Wędrowca, Weldon wyraźnie się uspokoił.

- Nie, nigdy nie byłem w Indiach i nie spotkaliśmy się wcześniej. To tylko kwestia niezwykle koloru pańskich oczu. Widziałem takie oczy tylko raz czy dwa razy w życiu. - Po krótkiej chwili wahania dodał cicho: - Raz.

Wielu spośród ludu mojego ojca ma zielone oczy - odparł Wędrowiec gładko. Potem zarzucił przynętę, która miała przyciągnąć jego ofiarę jeszcze bliżej: - Cieszę się, że pana poznałem, sir Charles. Cieszy się pan doskonałą reputacją w City of London. Chciałbym zainwestować w tym kraju. Może byłby pan tak uprzejmy i doradził mi w kwestiach finansowych.

Chciwość wzięła górę nad wszelkimi wątpliwościami, które Weldon mógł żywić.

- Jestem do pańskich usług. Może spotkamy się wkrótce w moim klubie?

- Z ogromną przyjemnością. - Wędrowiec czerpał dziwną przyjemność z faktu, że wszystkie jego odpowiedzi kryją w sobie podwójne znaczenie.

Kiedy ustalali datę spotkania, jasnowłosa dziewczynka, która rozmawiała wcześniej z lady Sarą zmaterializowała się nagle u boku Weldona i spojrzawszy z zaciekawieniem na Wędrowca.

- Księżę, to moja córka Eliza - przedstawił ją Weldon.

- Książę? - Błękitne oczy dziewczynki lśniły zachwytem.

- Rzeczywiście, jestem księciem, panno Weldon. - Wędrowiec oczywiście wiedział już sporo na temat Elizy Weldon. Jej matka, Jane Clifton, była córką bogatego londyńskiego bankiera, a jej posag pozwolił Weldonowi rozwinąć żagle i dorobić się majątku. Jane umarła przed trzema laty, kiedy Eliza miała lat osiem. Dziewczynka odziedziczyła po ojcu urodę, a jeśli wraz z nią przejęła także jego wypaczoną naturę, to na razie nie przejawiało się to w żaden sposób na jej twarzy. Była zwykłym, wesołym dzieckiem, które cieszyło się ze spotkania z egzotycznym księciem.

- Elizo, ukłoń się ładnie - pouczyła ją lady Sara.

Dziewczynka dygnęła w wyćwiczonym starannie ukłonie. Kiedy Wędrowiec odpowiedział jej oficjalnym, głębokim skinieniem głowy, zastanawiał się, jaki czeka ją los. Z pewnością Eliza miała krewnych, którzy zajęliby się jej wychowaniem po śmierci ojca.

- Zechce pan wybaczyć, ale musimy oboje porozmawiać z kimś, kto właśnie przybył na przyjęcie - oświadczyła lady Sara. - Mam nadzieję, wasza wysokość, że wkrótce znów się spotkamy.

Kiedy lady Sara odwróciła się i ruszyła w stronę nowo przybyłego gościa, Wędrowiec zauważył, że idzie z pewnym wahaniem, jakby lekko utykając. Może miało to coś wspólnego z bólem, który widział w jej oczach? Mógł spytać o to Rossa, uznał jednak, że ciekawiej będzie, jeśli sam spróbuje rozwiązać tę zagadkę. Żaden człowiek nie był całkowicie ucywilizowany, a Wędrowiec bardzo chciał się przekonać, jaka natura kryje się pod spokojnym i łagodnym obliczem tej damy.

Kiedy szli w stronę biskupa, który miał udzielić im ślubu, Charles zauważył:

- Interesujący człowiek z tego księcia. Przyjaciel lorda Rossa, jak sądzę? - Kiedy Sara skinęła głową, spytał: - Czy Kafiristan to część Indii?

- Nie, leży poza granicami Indii, w górach Hindukusz - wyjaśniła. - To bardzo dziki kraj, praktycznie nic o nim nie wiemy.

- Musi być niezwykłym człowiekiem, jeśli zdecydował się opuścić swoje góry i zobaczyć szeroki świat - mruknął Charles. - Przypuszczam, że jest bogaty?

- Jeśli wierzyć Rossowi, nawet bardzo. Najwyraźniej zaczynał już z niezłym majątkiem, a pomnożył go, inwestując i handlując na całym Wschodzie.

- Zdaje się, Saro, że przypadłaś mu do gustu. Staraj się rozwijać tę znajomość, może być bardzo cenna.

- Zgodziłam się już doradzać mu w kwestii naszych zwyczajów - odparła Sara chłodno. Nie miała nic przeciwko temu, by Ross prosił ją o wsparcie dla swego przyjaciela,

wcale jednak nie podobał jej się fakt, że jej przyszły mąż kazał jej pogłębiać znajomość z potencjalnym inwestorem. Z drugiej jednak strony Charles potrzebował takiej właśnie kobiety, wdzięcznej gospodyni, która podnosiłaby jego status w świecie biznesu i arystokracji; a ona nie mogła się przecież sprzeciwić, kiedy prosił ją o odgrywanie takiej roli.

3

Następnego ranka Sara w towarzystwie swego ojca kończyła właśnie późne śniadanie, kiedy do pokoju wszedł lokaj, wyraźnie czymś zdziwiony.

- Lady Saro, ma pani gościa. Twierdzi, że jest jakimś księciem.

Dobry Boże! - Sara otworzyła szeroko oczy. Potem roześmiała się głośno, dziwnie podekscytowana i rozradowana. - Tato, chciałbyś poznać dżentelmena, o którym ci opowiadałam?

Na zimnej, arystokratycznej twarzy diuka Haddonfielda pojawił się wyraz dezaprobaty.

- Czy on nie wie, że to nie jest odpowiednia pora na odwiedzinę?

- Najwyraźniej nie. Ponieważ jednak wygląda na to, że wszyscy chcą, bym uczyła go dobrych manier, wkrótce się o tym dowie. - Sara dopiła kawę, a potem wyszła w ślad za lokajem.

Kiedy weszła do salonu, księżę oglądał właśnie widoki za oknem. Sara zatrzymała się na chwilę, podziwiając doskonale skrojone ubranie, które podkreślało jego szerokie ramiona i szczupłe ciało. Można tylko było mieć nadzieję, że więcej Kafiristańczyków wybierze się do Anglii. Księżę odwrócił się i obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że me wybrałem złej pory? Pozwoliła mi pani wczoraj na poranną wizytę.

Uśmiechnęła się i podała mu rękę.

- Zapomniałam tylko dodać, że poranne wizyty składa się po południu.

Kiedy wyprostował się, złożony przed nią ukłon, jego twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

- Poranne wizyty składa się po południu? To nielogiczne.

- Nie może pan oczekiwać od towarzystwa, by kierowało się zasadami logiki, wasza wysokość - skomentowała Sara, potem zaś dodała w ramach przypomnienia: - Ręka?

- Ach tak, należy ją natychmiast wypuścić. - Księżę posłusznie uwolnił dłoń Sary z uścisku, spoglądając na nią roziskrzonymi oczami.

- Dlaczego mam nieodparte wrażenie, że wykorzystuje pan status obcokrajowca, by wprowadzać innych w zakłopotanie? - spytała, starając się, by zabrzmiało to jak surowa reprimenda.

- Nie mam pojęcia. Może jest pani z natury wielce podejrzliwa - odparł niewinnym tonem. Potem zamyślił się na moment. - Mógłbym wrócić tu po południu, by złożyć pani

poranną wizytę, ale wtedy z pewnością będzie pani miała mnóstwo gości, którzy przybędą tu złożyć podziękowania za udane przyjęcie. W takim tłumie nie miałyby pani czasu ani możliwości, by poprawiać moje błędy. Dlatego też powinna pani zgodzić się na wspólną przejażdżkę, podczas której będzie pani mogła spokojnie uczyć mnie dobrych manier.

Sara spojrzała nań z podziwem.

- Rozumiem już, dlaczego jest pan tak dobrym handlowcem. Mógłby pan sprzedać piasek Beduinom. - Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, drzwi otworzyły się szeroko, a do salonu wkroczyły trzy pokojówki. Każda z nich niosła ogromną wazę z białymi różami.

Kiedy Sara wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w tę kwietną paradę, Wędrowiec spytał:

- Czy róże to odpowiedni wyraz wdzięczności dla wspaniałej gospodyni?

Skinęła głową, lekko oszołomiona.

- Tak, choć zazwyczaj w mniejszej ilości. W znacznie mniejszej ilości.

Uśmiechnął się; na opalonej skórze w kącikach jego oczu zarysowały się delikatne zmarszczki, dodające mu tylko uroku.

- Być może, ale ja bawiłem się doskonale, znacznie lepiej niż zazwyczaj. - Służące rozstawiły kwiaty na stolikach i wycofały się z pokoju. Wędrowiec podszedł do najbliższej wazy i wyciągnął pojedynczą różę. Powąchał biały pąk, po czym wręczył kwiat Sarze, zaglądając jej głęboko w oczy. - Białe róże, symbol czystości i słodczy. W całym Londynie nie ma ich dość, by odpowiednio panią wynagrodzić.

Rozbawiona i wzruszona, przyjęła kwiat. Był naprawdę piękny, lekko rozchylone płatki różowiły się u nasady, jakby zawstydzone własną urodą. Księżę z zadziwiającą łatwością potrafił uczynić każdy gest niezwykle ekstrawaganckim i romantycznym. Sara pomyślała, że będzie musiała przekonać go, by na przyszłość nieco się ograniczał, w przeciwnym bowiem wypadku każda kobieta, którą pozna, będzie myślała, że jest adorowana.

Sara wciągnęła do nozdrzy delikatny aromat róży i westchnęła. Nie, zbrodnią byłoby oduczać kogoś tak czarujących zwyczajów. Może to Anglicy powinni raczej naśladować Kafiristańczyków, a nie odwrotnie, pomyślała.

Nim zdecydowała, od czego zacząć wykład o dobrych manierach, do salonu wszedł jej ojciec. Diuk Haddonfield miał nieco ponad sześćdziesiąt lat, był raczej drobnym mężczyzną średniego wzrostu, nosił się jednak z taką godnością, że natychmiast zwracał na siebie uwagę otoczenia.

Sara przedstawiła obu mężczyzn, ci zaś przyglądali się sobie badawczo. Wędrowiec odnosił się do diuka dość swobodnie, choć z szacunkiem należnym komuś starszemu. Po

kilku minutach rozmowy początkowa rezerwa ojca Sary zamieniła się w życzliwość. Wkrótce też diuk sam namawiał Sarę, by skorzystała z ładnej pogody i wybrała się z księciem na przejażdżkę po Hyde Parku.

Kiedy Wędrowiec pomagał Sarze wsiąść do swej kariolki, ta zauważyła lekkim tonem:

- Zaczynam przypuszczać, że jest pan oszustem, wasza wysokość. Zaskoczona jego ostrym, zimnym spojrzeniem, wyjaśniła szybko:

- Być może rzeczywiście nigdy dotąd nie był pan w Londynie, ale z pewnością znał pan Europejczyków mieszkających w Indiach i na Środkowym Wschodzie. Kiedy tylko pan zechce, umie pan się za chować. Doskonale poradził pan sobie z moim ojcem, naprawdę potrafił pan go obłaskawić.

Księżę uśmiechnął się szeroko.

- Obłaskawić? Nie znam tego słowa.

- To znaczy, że potrafił pan przekonać kogoś do siebie, sprawić by pana polubił. Trzeba przyznać, że opanował pan tę umiejętność do perfekcji. - Po chwili wahania dodała: - Oczywiście to bardzo cenna rzecz, właściwie klucz do sukcesu w kręgach towarzystwa, proszę jednak nie używać tego określenia zbyt często. Jest nieco... wulgarne.

- Zapamiętam - skinął głową księżę. - Ma pani rację, miałem już okazję poznać zachodnie obyczaje, lecz mimo wszystko Londyn jest nieco przytłaczający dla kogoś, kto przyjechał tu po raz pierwszy.

Sara wątpiła, by cokolwiek mogło onieśmielać lub przytłaczać Wędrowca, zachowała jednak tę myśl dla siebie. Przez chwilę jechali w ciszy, księżę umiejętnie kierował powozem na zatłoczonej ulicy. Wreszcie Sara przerwała milczenie:

- Świetnie pan prowadzi. Czy i tę umiejętność nabył pan w swym górzystym kraju?

- Nie, w Kafiristanie nie ma dróg ani powozów. Większość szlaków jest tak nieprzystępna, że nawet kozice górskie wolałyby z nich nie korzystać. Dlatego właśnie nasze plemiona pozostają wolne i niezależne; naszego kraju praktycznie nie da się podbić. - Nie zmieniając tonu, mówił dalej: - Kiedy panią poznałem, wydawało mi się, że widzę w pani oczach ślady cierpienia. Czy miała pani jakiś poważny wypadek? Może przeszła pani ciężką chorobę?

Lady Sara aż zachłysnęła się ze zdumienia.

- Musi pan zapamiętać, że zadawanie pytań natury osobistej uznawane jest za przejaw grubiaństwa - powiedziała zduszonym głosem. - Jeśli ktoś zechce podzielić się z panem takimi informacjami, zrobi to z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Zrozumiałem. - Wędrowiec zerknął kątem oka na jej pobladłą twarz. Zatrzymał

powóz, by przepuścić pojazdy przejeżdżające przez skrzyżowanie. - Zauważyłem też, że chodzi pani trochę niepewnie, jakby bała się obciążyć jedną nogę. Czy to rezultat jakiegoś wypadku?

- Jest pan niepoprawny - warknęła Sara. Potem westchnęła ciężko - No dobrze, skoro już musi pan wiedzieć. To żadna tajemnica. Doznałam poważnego urazu, kiedy miałam osiemnaście lat, tuż po moim pierwszym sezonie w Londynie. Wybrałam się na konną przejażdżkę i próbowałam przeskoczyć wysoki mur. Robiłam to już poprzednio, ale tym razem nie przyłożyłam się odpowiednio. Moja klacz zawadziła kopytami o mur i spadła na mnie. Musieli ją dobić. Powinni byli zrobić to samo ze mną, ale oczywiście nie mogli. Najpierw lekarze myśleli, że umrę, potem powiedzieli, że nigdy już nie będę chodzić.

- Rozumiem, że była to bardzo długa rekonwalescencja?

- Tak, ciągnęła się latami. Pewnie do tej pory jeździłabym na wózku, gdyby Ross nie wrócił do Anglii i nie powiedział mi, że nie pozwoli, bym marnowała czas i udawała inwalidę. To dzięki jego docinkom i zachętom zdołałam odzyskać wiarę w siebie i na nowo nauczyć się chodzić. - Nim zdążyła się powstrzymać, dodała stłumionym głosem: - Potem zaczęła umierać moja matka.

- A pani, jako kochająca córka, opiekowała się nią do samego końca. Teraz rozumiem, dlaczego do tej pory nie miała pani czasu, by wyjść za mąż. - Zaintrygowany jej milczeniem, zerknął na nią, na zaciśnięte mocno usta i spuszczonego wzrok. Zrozumiał, że to jeszcze nie koniec historii. - Przed wypadkiem był jakiś mężczyzna, prawda?

Odwróciła się powoli, obdarzając go gniewnym spojrzeniem. W jej oczach krył się jednak nie tylko gniew, ale i ogromny smutek.

- Czyta pan w myślach czy też wypytywał pan kogoś o mnie? - Potem znów się odwróciła, jakby łagodniejąc. - Choć prawie nikt nie znał tej części mojego życia.

Domyślając się, ile bólu sprawia jej mówienie o skrywanych głęboko emocjach, odwrócił wzrok i skupił się na prowadzeniu powozu.

- Nie czytam w pani myślach, nie próbowałem też pani szpiegować. Jestem po prostu domyślny. Skoro przyjechała pani wtedy na sezon do Londynu, z pewnością miała pani wielu adoratorów, a w wieku siedemnastu czy osiemnastu lat miłość to rzecz naturalna.

- Naturalna i głupia. - Sara wzruszyła swymi szczupłymi ramionami. - Ponieważ oboje byliśmy jeszcze bardzo młodzi nie doszło do oficjalnych zaręczyn, ale składaliśmy sobie solenne obietnice. Po wypadku... - Zamilkła na moment, a potem dokończyła: - Oczywiście on nie chciał się wiązać z kaleką.

- Przecież wcale nie jest pani kaleką - obruszył się Wędrowiec. - Jakim głupcem

musiał być ten chłopiec, by odrzucić klejnot ze względu na tak drobną skazę. A przecież to właśnie trudności i skazy nadają pięknu prawdziwy charakter.

- Nie powinien pan mówić takich rzeczy - powiedziała Sara zdławionym głosem. - Są zbyt osobiste. To brzmi jak... jak pochlebstwo albo adoracja.

- Ale ja mówię tylko prawdę - odparł ksiązę cicho. - Skoro jednak wprawia to panią w zakłopotanie, znajdę jakiś inny, bezpieczny i nudny temat. Może konie? Te wynajmowane wcale mi się nie podobają. Gdzie mógłbym kupić lepsze?

Spokojniejszym już tonem Sara odrzekła:

- Z pewnością najlepszym miejscem będzie skład Tattersalla, na południe od Hyde Park Corner. Tam sprzedaje się na aukcjach większość najlepszych koni. Poza tym jest to bardzo modne miejsce. Może Ross zabierze tam pana po południu. W lecie sprzedaż odbywa się tylko w poniedziałki, więc jeśli nie wybieriecie się tam dzisiaj, będzie pan musiał czekać do przyszłego tygodnia.

- Jesteśmy prawie przy Hyde Park Corner. W którą stronę powinienem pojechać, by tam trafić?

Sara wskazała odpowiedni kierunek.

- Tattersall's jest po lewej, obok Upper Grosvenor Place, ale nie może pan pójść tam teraz. A właściwie pan może, tylko ja nie.

Kiedy dojechali do skrzyżowania, Wędrowiec zakręcił w ulicę wskazaną przez Sarę.

- Dlaczego nie może pani tam iść?

- Tattersall's to klub dla mężczyzn - wyjaśniła. - Należą do niego prawie wszyscy dzentelmeni związani z wyścigami koni. Chodzą tam, by regulować długi, zobaczyć się z przyjaciółmi, opowiadać nudne myśliwskie historie. Z pewnością nie jest to miejsce dla kobiet.

Wędrowiec zatrzymał powóz przy skraju jezdni, by mógł spokojnie spojrzeć jej w oczy.

- Co by się stało, gdyby poszła tam pani ze mną? Zostałaby pani ukamienowana?

- Oczywiście, że nie!

- Czy istnieje jakieś prawo, które by tego zabraniało? Czy zostałaby pani aresztowana?

- dopytywał się, zaintrygowany. - Zesłana do więzienia Newgate?

- Nie.

- Więc w czym tkwi problem?

- Tego się po prostu nie robi - odparła, nieco już zmęczona jego natarczywością. -

Wszyscy byliby oburzeni, gapiliby się na nas jak na zbrodniarzy.

Jak dalece lady Sara uzależniona była od konwencji i zwyczajów? Nie mogąc oprzeć się ciekawości, Wędrowiec zapytał:

- Jeśli nie chce pani tam iść, nie będę nalegał. Ale czy naprawdę tak bardzo zależy pani na tym, co myślą inni?

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, potem jednak zamknęła je bez słowa. Po długiej chwili milczenia odrzekła wreszcie:

- Tak naprawdę zależy mi jedynie na opinii moich przyjaciół i krewnych. Jednak przestrzeganie pewnych zasad czyni życie prostszym.

- Być może prostszym, ale i znacznie mniej interesującym. Nigdy nie była pani ciekawa, co też mężczyźni robią w tym swoim świętym przybytku?

- Jest pan niemożliwy. - Lady Sara się roześmiała. - Nigdy nie uda mi się wpoić panu zasad obowiązujących w londyńskim towarzystwie. Prędzej to pan do szczytu zepsuje mnie.

Wędrowiec uśmiechnął się do niej. Dziś Sara ubrana była w żółtą suknię, która dodawała ciepłego blasku jej dużym, brązowym oczom, czarująca i oryginalna kobieta; nie mógł pozwolić, by wpadła w łapy Weldona.

- Słodka Saro - powiedział cicho. - Czy naprawdę będę mógł Panią zepsuć?

Śmiech zamarł na jej ustach. Przez chwilę patrzyła nań ze zdumieniem i niepokojem, jakby zastanawiając się, czy słowa te dotyczą czegoś więcej niż obecnej sytuacji. Potem uśmiechnęła się lekko. Wędrowiec był sprytniejszy, niż myślała; prawdziwa dama nie mogła przecież przypuszczać, że przyjaciel jej kuzyna ma wobec niej jakieś nieczne zamiary.

- Z ogromną chęcią zobaczyłabym ten klub. Proszę skrócić w prawo tuż za szpitalem świętego Jerzego. I na miłość Boską - dodała z nutką irytacji - proszę zwracać się do mnie „lady Saro”.

Według standardów modnego świata arystokracji było jeszcze dość wcześnie, dlatego też klub Tattersalla świecił pustkami. Mimo to wszyscy obecni w nim mężczyźni wpatrywali się ze zdumieniem w Sarę, kiedy ta wkroczyła u boku księcia na główne podwórze.

- Miała pani zupełną rację. - Wędrowiec był najwyraźniej ubawiony tą niecodzienną sytuacją. - Taki szok na widok damy. Można by pomyśleć, że ci dżentelmeni nigdy dotąd nie widzieli kobiety. A ja myślałem, że Brytyjczycy to taki liberalny naród. Przypomina mi to wizytę na rolniczych terenach Imperium Otomańskiego, gdzie kobiety karmiące koguty zasłaniają sobie twarze, by uchronić się przed męskimi spojrzeniami. Czy myśli pani, że ci dżentelmeni byliby szczęśliwsi, gdyby mogli założyć na twarze welony, by uchronić się przed pani śmiertelnym spojrzeniem?

- Myślę, że byliby szczęśliwi, gdybym stąd natychmiast zniknęła, rozplynęła się w

powietrzu. Może obawiają się, że jestem Meduzą i że na mój widok zamienią się w kamienie.

- Sara nie mogła powstrzymać uśmiechu, który cisnął się jej na usta. Lekceważenie, jakie jej towarzysz okazywał uświęconym zwyczajom arystokracji, było doprawdy rozbrajające. - A może chodzi o to, że połowa obecnych tu mężczyzn, którzy są moimi znajomymi lub krewnymi, nie może uwierzyć, że lady Sara St. James robi coś nieprzyzwoitego. Chyba łatwiej przyszłoby im pogodzić się z faktem, że zostałam śpiewaczką operową.

Rozejrzała się dokoła z zainteresowaniem, zdecydowana wykorzystać okazję i zobaczyć to sanktuarium męskości. Słynne podwórze było dość obszerne, by pomieścić kilkanaście koni i powozów, otaczały je zaś arkady, pod którymi można było pokazywać konie w czasie złej pogody. Wskazując głową na arkady, powiedziała:

- Wygląda to raczej jak świątynia koni, prawda?

- Zdecydowanie - zgodził się z nią książę. - Widzę tu kilka wspaniałych zwierząt. Powiedziała pani, że jest to także dom aukcyjny. Gdybym chciał kupić któregoś z wierzchowców, muszę czekać z tym do popołudnia czy też mogę zrobić to już teraz?

- Chyba nie musi pan czekać do aukcji - odparła niepewnie. - Oczywiście, jeśli zechce pan zapłacić najwyższą możliwą cenę.

- Zechcę. To doskonały sposób, by wyrobić sobie reputację bajecznie bogatego obcokrajowca, któremu nie brak stylu, za to brak rozsądku. - Spojrzał na nią, a w jego zielonych oczach zapłonął figlarny ogień. - Poza tym, choć świetnie sobie pani z tym radzi, jestem pewien, że nie chciałaby pani przebywać tutaj zbyt długo.

Sara podziwiała w duchu jego spostrzegawczość. Rzeczywiście, potrafiła udawać obojętność i zachowywać się niemal tak swobodnie jak w swoim salonie, z drugiej jednak strony miała już dość przepełnionych oburzeniem spojrzeń, jakie słał jej obecni w klubie mężczyźni.

Kiedy ruszyli w stronę boksów, w których stały konie pociągowe, ze stajni wyszedł dystyngowany mężczyzna w średnim wieku. Pan Tattersall, pomyślała Sara. Na jej widok właściciel klubu otworzył szeroko oczy, nim jednak zdążył zareagować, jeden z gości wyszeptał mu coś do ucha, wyjaśniając prawdopodobnie, że jest córką diuka.

Od tej chwili Tattersall starał się ją ignorować. Mądry człowiek. Choć krewni i znajomi Sary z pewnością nie byli zachwyceni jej wizytą, prawdopodobnie nie pozwoliliby też, by ją stąd wyrzucono. W końcu, jak zauważył Wędrowiec, nie istniało żadne prawo, które zabraniałoby jej przebywać w tym miejscu. Biedny pan Tattersall. Uwięziony między młotem i kowadłem, postanowił po prostu nie robić nic.

- Widzi pan coś godnego uwagi? - spytała Sara. Rozejrzawszy się uważnie dokoła,

Wędrowiec odpowiedział:

- Owszem, tam i zaprowadził ją do pary idealnie dobranych gniadoszy.

Przez kilka następnych minut książę mówił do koni w swym egzotycznym, niezrozumiałym języku, głaszcząc je jednocześnie i uważnie je oglądając. Sara zatrzymała się w cieniu, w dyskretnej odległości. Stajenny, który przyglądał jej się z podziwem, odkąd tylko weszła do klubu, teraz podszedł bliżej i wymamrotał:

- Przyjaciel jaśnie panienki zna się na koniach, nie ma co. Ta parka to prawdziwe чудо, nie mieliśmy takiej od tygodni. Już dawno by ich tu nie było, ale właściciel chce podbić cenę.

Pan Tattersall podszedł do Wędrowca i przedstawił mu się, potem zaś rozpoczął dyskusję o koniach. Rozmowa nieco poprawiła humor właścicielowi, choć od czasu do czasu wciąż zerkał na Sarę, modląc się zapewne w duchu, by jak najszybciej stąd zniknęła.

Po dziesięciu minutach gniadosze zaprezentowały się w chodzie, a książę zaoferował cenę, która natychmiast spotkała się z uznaniem Tattersalla.

- Jestem pewien, że lord Hatfield będzie bardzo zadowolony z pańskiej oferty - mruknął. Potem instynkt kupca znów wziął w nim górę nad irytacją wywołaną obecnością kobiety w klubie, mówił więc dalej: - Może jest pan zainteresowany kupnem jakichś innych koni? Może całej czwórki czy szóstki? Nigdzie nie znajdzie pan lepiej dobranych. Może coś na polowanie albo na przejażdżki?

- Może - odparł Wędrowiec, ujmując Sarę pod ramię. - Panie Tattersall, czy zna pan moją czarującą przewodniczkę, lady Sarę St. James? To właśnie ona powiedziała mi, że mogę kupić u pana doskonałe konie.

Zrezygnowany właściciel złożył jej ukłon i wymamrotał jakąś grzecznościową formułkę. Potem zaczął oprowadzać ich wzdłuż boksów. Wędrowiec jednym spojrzeniem ocenił wszystkie dostępne czwórki i szóstki, potem niemal równie szybko zrezygnował z większości wierzchowców. Wreszcie doszli do ostatniego boksu, w którym znajdował się wielki ogier, tak siwy, że wydawał się niemal biały.

- Ten koń należy do mnie - oświadczył z dumą pan Tattersall. - Dzisiaj wystawiam go na aukcję. Wspaniały, prawda? Pochodzi z linii Eklipse. Jego ojcem był...

Wędrowiec przerwał mu zdecydowanym gestem dłoni.

- Proszę go wyprowadzić.

Stajenny wyprowadził na zewnątrz młodego, pełnego wigoru ogiera. Kiedy koń podrzucił głowę, ciągnąc za uździenicę, Sara cofnęła się o krok, przestraszona. Wędrowiec niczego nie zauważył. Okrążyli ogiera i znów zaczął przemawiać do niego w niezrozumiałym

języku. Uspokojony nieco jego łagodnym dotykiem, siwek przestał się szarpać i spoglądał na księcia z zainteresowaniem.

Sara myślała, że Wędrowiec poprosi o siodło i objedzie podwórze klubu. Ten jednak wziął kantar od stajennego i jednym płynnym ruchem wskoczył na grzbiet ogiera.

- Pozwoli pan? - Nie czekając na odpowiedź, książę ściągnął kapelusz i rzucił go Tattersallowi. Potem, nie zważając na zdumione miny właściciela, stajennych i klienteli, pochylił się nad szyją wierzchowca, kopnął go w żebra, i niczym biała błyskawica przemknął przez podwórze i zniknął w bramie klubu.

Sara, która zdążyła się już przyzwyczać do ekstrawaganckich wyczynów Kafiristańczyka, była nieco mniej zszokowana od pozo stałych. Przypuszczała, że jej towarzysz powróci do stajni za kilka minut, na razie jednak czuła się dziwnie osamotniona wśród innych dżentelmenów.

Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała za plecami znajomy głos.

- Moje oczy mówią mi, że to ty, Saro, ale mój umysł nie chce w to uwierzyć. Upewnij mnie, proszę, że to nie przywidzenia.

Sara odwróciła się do przysadzistego, sympatycznego dżentelmena, sir Wilfreda Whitemana, który był jej dalekim kuzynem.

- Uwierz swym oczom, Wilfredzie - odparła, podając mu dłoń. - Jak się dzisiaj miewasz?

- Doskonale, moja droga. - Whiteman uklonił się grzecznie. - Kim jest twój energiczny towarzysz? Czerwonoskórym wojownikiem z Ameryki? Słyszałem, że oni właśnie jeżdżą bez siodeł.

Sara pokręciła głową.

- To przyjaciel lorda Rossa, książę Wędrowiec z Kafiristanu. Jest świetnym jeźdźcem, prawda?

- O tak - przyznał Wilfred z niekłamanym podziwem.

Sara uśmiechnęła się w duchu; jeśli książę chciał stać się legendą, to robił to bardzo inteligentnie. Bywalcy salonowi klubów, dżentelmeni pokroju Wilfreda byli zdumieni jego wyczynami, było to jednak zdumienie pełne aprobaty. Nawet pan Tattersall, ochłonawszy po pierwszym szoku, wydawał się całkiem spokojny, choć wręczy kapelusz księcia stajennemu.

Przez jakieś dziesięć minut Wilfred zabawiał Sarę plotkami z towarzystwa. Potem na podwórze wjechał książę. Zarówno on, jak i ogier wyglądali na wielce zadowolonych z krótkiej przejażdżki.

- Wspaniały koń, panie Tattersall - powiedział Wędrowiec, zatrzymując wierzchowca.

- Za jaką cenę skłonny byłby pan sprzedać go przed aukcją?

Właściciel zmrugał lekko oczy, zastanawiając się, ile bogaty cudzoziemiec mógłby zapłacić za jego ulubieńca. - Tysiąc gwinei.

- Zgoda.

Sara omal nic wybuchnęła śmiechem, widząc, jaką minę zrobił Tattersall, kiedy zrozumiał, że mógłby zażądać znacznie więcej. Wcale go jednak nie żałowała; tysiąc gwinei było sumą, jakiej prawdopodobnie nigdy nie uzyskałby na aukcji.

Wędrowiec podjechał do Sary. Jego czarne włosy, nieco dłuższe niż włosy przeciętnego Anglika, zmierzwił wiatr, wydawał się nieokiełznany, wspaniały i wolny, zupełnie inny niż Europejczycy.

- Ma wspaniały krok, delikatny jak jedwab, Saro. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź, przejedziemy się razem.

Sara czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Spojrzała na niego bezradnie, wiedząc że książę nawet nie wie, o co prosi. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, jego twarz zmieniła się nagle. A niech go, dostrzegął zbyt wiele. Nie odrywając od niej spojrzenia swych niesamowitych, zielonych oczu, powiedział cicho, by nie usłyszał go nikt inny:

- Zaufaj mi.

Chciała odwrócić się i uciec, zanim jednak zastanowiła się dobrze nad tym, co robi, wzięła głęboki oddech i pochwyciła wyciągniętą dłoń księcia. Ten niemal bez wysiłku poderwał ją z ziemi i obrócił w powietrzu, tak by usiadła bokiem na grzbiecie konia, wspierając nogi o jego lewe udo.

Począł, aż usadowi się wygodnie. Potem, kiedy pochwyciła kurczowo szarą grzywę, ruszył powoli naprzód. Już po chwili przecięli ulicę przy Hyde Park Comer i znaleźli się w samym parku.

Wędrowiec skierował konia w szeroką alejkę zwaną Rotten Row, która o tej porze była niemal całkiem pusta, potem poderwał konia do galopu. Początkowo brak siodła sprawiał, że Sara niemal umierała z przerażenia. Sztywna ze strachu, objęła się o konia z ogromną siłą. Powoli jednak strach zaczął ustępować, gdyż ciepłe, twarde ciało księcia trzymało ją w miejscu mocniej niż jakiekolwiek siodło. Kiedy wreszcie uspokojona opadała się o niego, czuła wszystkie delikatne ruchy, którymi kierował koniem.

Krok ogiera był rzeczywiście niezwykle łagodny. Sara zaczęła wczuwać się w rytm jego mchów. Kiedy jej ciało przywykło na nowo do zapomnianego rytmu, a strach zniknął bez śladu, Sara zaczęła czerpać przyjemność z wiatru na twarzy, z dzikiego pędu. Minęło już tyle lat...

- Wszystko w porządku? - spytał cicho. Skinęła głową.

- Teraz już tak.

- Nie jeździła pani na koniu od czasu wypadku?

- Nie. Podobno należy powrócić do jazdy jak najszybciej, żeby przełamać strach, ale ja nie mogłam tego zrobić przez długie lata. A kiedy byłam już sprawna fizycznie... - wzdrygnęła się. - Nie potrafiłam się do tego zmusić. Jestem okropnym tchórzem.

- Wręcz przeciwnie, słodka Saro, jest pani bardzo odważna. Potrafiła pani złamać niemądre tabu i wejść do klubu dla mężczyzn, a teraz jedźcie pani ze mną, mknij na wietrze niczym Pegaz.

- To wyłącznie pańska zasługa, nie moja - odparła cierpko. Jej umysł podzielił się na dwoje. Z jednej strony miała świadomość, że zachowuje się całkiem irracjonalnie, dosiadając konia na oklep i jadąc przez londyński park z nieobliczalnym człowiekiem. Jej ojciec byłby zszokowany, przyjaciele nie mogliby w to uwierzyć. Z drugiej jednak strony czuła się tak, jakby wszystkie te działania były czymś całkowicie naturalnym. Tajemniczy książę urodził się na drugim końcu świata i wychował zgodnie ze zwyczajami i wartościami, które były jej zupełnie obce. Jednak nikt inny prócz Rossa nie potrafił rozmawiać z nią tak bezpośrednio ani zajrzeć tak głęboko w jej myśli i uczucia. Ross był niemal jej bratem, kim jednak był Wędrowiec?

Sara zacisnęła mocniej palce na grzywie ogiera, kiedy uświadomiła sobie pewną niepokojącą prawdę. Od razu zauważyła, jak atrakcyjnym mężczyzną jest Kafiristańczyk - żadna kobieta nie mogłaby tego nie dostrzec - do tej pory jednak nie wzbudzało to w niej żadnych innych myśli. Choć Wędrowiec był bardzo męski i pociągający, ta świadomość nie miała dla niej osobistego znaczenia. Była córką diuka, miała już narzeczonego, była opanowana i dobrze wychowana. Teraz jednak, siedząc w ramionach człowieka, który był jej niemal zupełnie obcy, czerpała z tego doświadczenia ogromną przyjemność. Dotyk jego ciała, sposób, w jaki poruszali się w rytm biegu konia, bardzo mocno działały na jej zmysły. Nigdy dotąd nie doświadczyła aż takiej bliskości mężczyzny. Co by się stało, gdyby ten kontakt był jeszcze bliższy?

Choć Sara nigdy nie uważała się za kobietę pruderyjną, zrozumiałaby, w jakim kierunku zmierzają jej myśli, zapłonęła rumieńcem. Jak mogła być tak bezwstydna! Na szczęście książę widział w niej jedynie kuzynkę Rossa. Choć traktował ją bardzo uprzejmie, nie wyglądał na człowieka, którego pociągałaby zwykła, nie najmłodsza już kobieta. Najwyraźniej jednak chciał się z nią zaprzyjaźnić. To wystarczało jej w zupełności. Wędrowiec zawrócił konia i ruszył w drogę powrotną.

- Czy teraz powróci pani do jazdy konnej? - spytał.

Sara pomyślała, że bez jego pomocy nie będzie to na początku łatwe, skinęła jednak głową.

- Tak. Brakowało mi jazdy. Nie chcę już dłużej odmawiać sobie tej przyjemności.

- W stajni Tattersalla widziałem bardzo ładną, gniadą klacz, w sam raz dla damy. Mogę ją dla pani kupić?

- Nie! - odparła ostro. - Nie mogłabym przyjąć od pana takiego podarunku.

- A co takiego stałoby się, gdyby go pani jednak przyjęła? - dopytywał się, jak zwykle nie dając łatwo za wygraną. - Okryłaby się pani hańbą? Zostałaby pani odrzucona przez towarzystwo? Nie mogłaby pani już wchodzić do komnat królowej?

Kiedy zatrzymali się na skraju parku, by przepuścić pojazdy sunące ulicą, Sara odwróciła się i obdarzyła go stalowym spojrzeniem.

- Tym razem nie przekona mnie pan do zmiany zdania. Nie chcę ani nie potrzebuję tej klaczy, nie przyjmę też od pana takiego prezentu. Czy to jasne?

Wędrowiec zamrugął gwałtownie. Potem na jego twarzy rozlał się szeroki, leniwy uśmiech.

- Oczywiście, milady, absolutnie. Wiem, kiedy należy poddać się przeważającym siłom.

Roześmiani wracali do klubu Tattersalla. Lady Sara zachwycała Wędrowca swym otwartym umysłem i wyrazistym charakterem. Choć najważniejszym celem było wyrwanie jej z rąk Weldon, książę miał także nadzieję, że uda mu się zaciągnąć ją do łóżka. Wierzył, że dla nich obojga byłoby to niezwykle przeżycie.

Nazajutrz po wizycie w klubie Tattersalla Wędrowiec spotkał się z sir Charlesem Weldonem w City London Club. Benjamin Slade poinformował go wcześniej, że w tym właśnie miejscu spotykają się najbogatsi biznesmeni oraz ludzie związani z rządem i najwyższymi kręgami arystokracji; Rothschildowie ocierali się tutaj o premierów i ministrów. Nawet bez tych wyjaśnień Wędrowiec domyśliłby się, dlaczego Weldon wybrał właśnie ten klub, gdyż ogromny, dystyngowany budynek na odległość cuchnął pieniędzmi, władzą i bezwzględną konkurencją.

W ciągu dni poprzedzających ich spotkanie Wędrowiec utemperował nieco swój gniew, by teraz mógł spotkać się ze swym wrogiem całkiem spokojny i opanowany. Właściwie znajdował w tym spotkaniu pewną przyjemność, traktował je jak partię szachów czy jakąś inną grę strategiczną. Cel Weldona był oczywisty; chciał namówić obcokrajowca, by ten inwestował w Anglii. Cel Wędrowca był znacznie bardziej złożony; chciał zadzierzgnąć ze swym wrogiem więzy fałszywej przyjaźni. Wtedy łatwiej poznałby słabości Weldona i wykorzystał je w odpowiedniej chwili.

Podczas długiej i wystawnej kolacji rozmawiali o mało istotnych drobiazgach, potem przenieśli się do palarni i zaopatrzeni w cygara i porto usiedli w głębokich skórzanych fotelach.

- Jeśli chce pan robić interesy w tym kraju, wasza wysokość - mówił Weldon, obcinając cygaro - to najlepiej chyba będzie zainwestować w kolej. W ciągu następnej dekady to właśnie kolej zrewolucjonizuje transport. Wielu ludzi zbiło już na tym fortuny, a jeszcze więcej zrobi to w przyszłości.

- Wielu ludzi straciło też fortuny - zauważył Wędrowiec. Jeśli miał wygrać tę grę, musiał udowodnić, że nie jest bogatym głupcem, którego można złupić i oszukać. - Kilka lat temu masowo inwestowano w akcje przedsiębiorstw związanych z koleją. Potem balon pękł, a ceny spadły. Zbyt wiele małych, źle zarządzanych firm walczyło ze sobą, budowało dublujące się linie, marnowało kapitał, obiecując usługi i zyski, których nie mogły zapewnić.

Weldon uniósł brwi, spoglądając na księcia z nowym szacunkiem.

- Widzę, że sporo pan o tym wie. Tak, rzeczywiście ta gałąź przemysłu jest teraz na etapie reorganizacji, podczas gdy inwestorzy przyglądają się i czekają. Kapitał jednak stale rośnie. Za dwa lub trzy lata znowu dojdzie do boomu inwestycyjnego, przy którym ten poprzedni będzie wydawał się naprawdę mało istotny. Ci, którym nie brak odwagi, by zainwestować teraz, będą wtedy mieli ogromne zyski.

- Być może. - Wędrowiec pociągnął łyk wina. - Czy ma pan na uwadze jakiś konkretny projekt?

- Londyn i Southampton - odparł natychmiast Weldon. - Southampton to jeden z najważniejszych portów w kraju, a linia kolejowa łącząca go z Londynem po prostu musi przynosić profity. Część tej linii została już wybudowana, nim zajmująca się tym firma upadła w zeszłym roku z powodu braku funduszy. Teraz większość udziałowców jest zdesperowana i wyzbędzie się swoich akcji praktycznie za każdą cenę. Nietrudno będzie zgromadzić większość. Potem trzeba będzie nieco zainwestować, by dokończyć budowę nowej linii, kiedy jednak już do tego dojdzie, trasa Londyn - Southampton stanie się prawdziwą żyłą złota.

Ostentacyjnie swobodny, niemal znudzony, Wędrowiec strzepnął popiół z cygara.

- Skoro ta kompania skazana jest na sukces, to dlaczego obecny zarząd nie szuka nowego inwestora?

- Bardzo celne pytanie - odparł Weldon. Zmienił nieco ton głosu, jakby zrozumiał, że ma do czynienia z równym sobie. - Faktem jest, że inwestorzy obawiali się angażować w budowę tej linii ze względu na problemy dotyczące wielkości rekompensat wypłacanych właścicielom ziem, przez które przebiegać mają tory. Jeden z nich był wyjątkowo uparty i odrzucał wszystkie propozycje, kierując nawet sprawę do sądu. Mam jednak powody przypuszczać, że teraz będzie już bardziej skłonny do ugody.

- Zakładam, że szuka pan inwestorów, którzy zakupiliby wraz z panem kontrolny pakiet akcji przedsiębiorstwa, i że pan zostałby prezesem rady nadzorczej?

- Otóż to. Wiem, że zabrzmiało to nieskromnie, ale zapewniam pana, że nikt inny nie będzie lepiej zarządzał tą firmą - odparł Weldon. - A może to pan chciałby zostać prezesem zarządu?

- Nie, skądże znowu. Nie interesują mnie zajęcia związane z pro wadzeniem firmy. Wolę skoncentrować się na finansach, a zarządzanie zostawić innym. - Wędrowiec ponownie strzepnął popiół z cygara. - Ja także uważam, że można sporo zarobić na inwestycjach w kolejnictwie, jeśli tylko wybierze się odpowiednie firmy. Oczywiście, będę musiał zapoznać się dokładnie z sytuacją finansową i prawną kompanii, o której pan wspomniał, nim poczynię jakieś poważniejsze inwestycje, pańska propozycja jednak wydaje mi się bardzo interesująca. Czy zechciałby pan przesłać te informacje mojemu agentowi?

Oczy Weldon błyszczały z podniecenia.

- Miałem nadzieję, że poprosi pan o to, dlatego przyniosłem ze sobą najważniejsze dokumenty. - Sięgnął do kieszeni surduta i wyjął stamtąd plik dokumentów. - Jeśli zechce pan poznać szczegóły, proszę przysłać mi listę pytań.

- Doskonale. - Wędrowiec odłożył papiery na bok. Chciał teraz przejść do znacznie bardziej interesującego tematu. - Chciałbym poprosić pana o przysługę, sir Charles, przysługę dotyczącą przyjemności, nie interesów. Wszystkie wielkie miasta mają dzielnice i miejsca w których dżentelmeni mogą znaleźć... hm, dyskretną i wyrafinowaną rozrywkę. - Przerwał na moment, by pociągnąć łyk portu. - Niestety, cudzoziemcowi trudno dotrzeć do najlepszych spośród takich lokali, często też konieczne są referencje kogoś, kto był już tam wcześniej. Choć mój przyjaciel, lord Ross Carlisle, jest wspaniałym gospodarzem i przewodnikiem, w tej akurat kwestii nie może służyć mi pomocą.

Zakładam, że człowiek obyty i światowy, taki jak pan, może skierować mnie do kogoś, kto wie nieco więcej na ten temat.

Weldon mógł powiedzieć, że nie interesuje się tego rodzaju przybytkami, albo skierować go do kogoś innego. W jego oczach pojawił się jednak błysk innego rodzaju, świadectwo jakichś mrocznych żądz, a jednocześnie nadziei na osiągnięcie osobistych profitów związanych z tą sytuacją.

- Wasza wysokość, będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Londyn ma do zaoferowania wszystko, o czym tylko marzą prawdziwi mężczyźni, od niewyszukanych prostych przyjemności do egzotycznych epikurejskich rozkoszy.

Wędrowiec wypuścił z ust kłęb dymu. Jego nieprzyjaciel złapał przynętę.

- Ciekaw jestem, czy rozrywki oferowane w Londynie będą egzotyczne dla człowieka, który poznał rozkosze Orientu.

Weldon zmrużył lekko swe bladoniebieskie oczy, jakby dotknięty sugestią, że londyńskie siedliska występku mogą być gorsze od jakichkolwiek innych na świecie.

- Jestem pewien, że żadne inne miasto nie może równać się pod tym względem z Londynem. Za odpowiednią cenę znajdzie pan tutaj wszystko. Wszystko! - Zdusił niedopałek cygara w popielniczce i wstał. - Nim skończy się wieczór, przyzna mi pan rację. Chodźmy.

Wsiadli do zamkniętego powozu Weldon. Wędrowiec odnotował z zainteresowaniem, że pojazdu nie zdobił herb ani żaden inny znak, który pozwoliłby zidentyfikować jego właściciela. Kiedy przejeżdżali przez ciemne ulice, Weldon mówił:

- Zgodnie z angielskim prawem, mężczyzna nie może ciągnąć zysków z prostytucji, może to natomiast robić kobieta. Dlatego większość lokali zarządzana jest właśnie przez kobiety. - Wyciągnął z bocznej kieszeni powozu jakieś czasopismo i podał je księciu. - To może pana zainteresować.

Magazyn nosił tytuł „Piękności”. Wędrowiec otworzył go i zobaczył, że pod nagłówkami w rodzaju „Naga Wenus” mieszczą się opisy kobiet. Przerzucił kilka stron,

notując mimowolnie takie frazy jak:

delikatna blondynka o manierach prawdziwej damy, przy tym jednak pełna wigoru i inwencji albo ciemnowłosa o pełnych kształtach specjalistka od francuskich technik miłości.

- Interesujące - skomentował. - Katalog kurtyzan.

- Zgadza się. Opisuje większość godnych uwagi kurtyzan z Covent Garden i jest regularnie aktualizowany. Podaje także dokładne adresy tawern, w których można je znaleźć. Zwykły przechodzień nie ma do nich dostępu. Gdyby chciał pan skorzystać z ich usług, polecam szczególnie lokal Kate Hamilton przy Princess Street, ale miejsca, do których zabiorę pana dzisiaj, zapewniają wyższą jakość usług.

- Och, jest pan bardzo miły. - Wędrowiec oparł się wygodnie o skórzane siedzenie. Wieczór zapowiadał się naprawdę interesująco.

Najpierw zatrzymali się w konwencjonalnym domu publicznym, niezwykłym jedynie ze względu na bardzo bogaty wystrój wnętrz. Do środka wpuścił ich barczysty mężczyzna, który zapewne miał za sobą karierę zapaśnika lub boksera. Weldon wielkopańskim gestem skwitował uprzejme powitanie, potem zaś spytał, czy może widzieć się z madame de Maintenon. Natychmiast zaprowadzono ich do wysokiej kobiety w średnim wieku. Madame nie miała już doskonałej figury, jej włosy nosiły wyraźne ślady farbowania, a twarz pokryta była grubą warstwą makijażu, nadal jednak mogła uchodzić za urodziwą. Wędrowiec przypuszczał, że w młodości była prawdziwą pięknoscią.

Wymieniwszy powitalne uprzejmości, Weldon powiedział:

- Mój przyjaciel przyjechał niedawno do Anglii i chciałby poznać lepiej Londyn. Pomyślałem, że powinien zacząć od spotkania z panią, madame.

Madame de Maintenon obrzuciła księcia taksującym spojrzeniem, a jej mina świadczyła o tym, że ocena wypadła bardzo zadowolająco. Potem przemówiła zmysłowym głosem, który krył w sobie akcent raczej z East Endu niż z Paryża.

- Miło mi pana poznać, milordzie. Jeśli chce pan zobaczyć moje dziewczęta, proszę podejść tutaj.

Kobieta odsunęła draperię z brokatu i wskazała na małe, przeszklone okienka umieszczone na różnych wysokościach wzdłuż całej ściany. Wędrowiec podszedł do najwyższego z nich i zajrzał do wnętrza luksusowo wyposażonego pokoju, gdzie na sofach i fotelach siedziało kilka młodych kobiet w skąpych, półprzezroczystych strojach, niepozostawiających cienia wątpliwości co do ich profesji. Tego rodzaju system przypominał Wędrowcowi azjatyckie restauracje, gdzie klient mógł wybrać sobie na kolację jedną z ryb pływających w wielkim akwarium.

- Dziewczęta są regularnie badane przez lekarza - mówiła szybko madame. - Wino i przekąski zawierają się w cenie. Przysługuje panu specjalna zniżka, jeśli zechce pan skorzystać z kilku dziewcząt naraz, chyba że jest to bardzo zajęta noc. Wtedy trzeba płacić pełną cenę. Oferujemy także najlepsze przedstawienia kostiumowe w Londynie.

- Przedstawienia kostiumowe?

- Dziewczęta przebijają się i odgrywają określone role - wyjaśniła madame. - Większość klientów bardzo lubi taką zabawę. Guwernantki, uczennice, praczki, niewolnice z haremu, księżne, kobiety przebrane za matki klientów... możemy spełnić każde życzenie. - Przechyliła głowę na bok, zastanawiając się nad czymś. - Przyjechał pan z zagranicy, prawda? Jeśli jest pan katolikiem, może zamówić dziewczynę w przebraniu zakonnicy, papieści to uwielbiają. Mamy też klienta, który zażyczył sobie pastereczki i to razem z owcą, jednak by przygotować tego rodzaju show, potrzebujemy co najmniej dwu dni. - Kobieta roześmiała się nagle. - Jedna z dziewcząt może upodobnić się do królowej, jeśli więc ma pan ochotę pofiglować z Jej Wysokością, nic nie stoi na przeszkodzie. Zapewniam, że Lisette zna rzeczy, o których Wiktoria nigdy by nawet nie pomyślała.

- Nie wątpię. - Wędrowiec zastanawiał się, jak królowa Wiktoria potraktowałaby poddanych winnych takiej obrazy majestatu. - To bardzo interesujące, madame de Maintenon.

- Czego pan sobie życzy, milordzie? - spytała z nadzieją.

Bez wątpienia tytułowanie klienta „milordem” zawarte było w cenie, podobnie jak wino i przekąski. Opuszczając brokatową zasłonę, odparł:

- Dziś zapoznaję się tylko z tym, co oferuje Londyn. Zostanę dłużej przy następnej wizycie.

Pożegnali się grzecznie z madame i wrócili do powozu, gdzie Wędrowiec powiedział:

- Trzeba przyznać, że to lokal z klasą, ale całkiem konwencjonalny.

Czy teraz zechce pan pokazać mi te bardziej egzotyczne przybytki, sir Charles?

Weldon roześmiał się głośno.

- Niełatwo pana zadziwić, prawda? Dobrze, zaprowadzę pana do bardziej niezwykłych domów. Czy chce pan obejrzeć również najlepszy w mieście lokal dla homoseksualistów?

Choć oczekiwał takiego pytania, Wędrowiec z trudem pohamował gniew, zaciskając dłonie w pięści. Dziękując niebiosom za ciemności, które skrywały jego twarz, odparł swobodnym tonem:

- Nie jest to sprawa najistotniejsza, ale warto poznać przynajmniej jeden z takich przybytków. Może przyda się kiedyś w przyszłości.

Po chwili zatrzymali się w Soho, w domu damy, która przedstawiała się jako pani

Cambridge. Odziana w obcisły, jedwabny kostium, z dumą prezentowała kolekcję bicz, skórzanych pasków, pejczy i wielu innych przyrządów o podobnym zastosowaniu. Brzozowe różgi moczyły się w wodzie, by zachować odpowiednią giętkość, w eleganckich wazach tkwiły zaś pęki pokrzyw stosowanych na specjalne życzenie klienta. Głaszcząc skórzany bicz, dama oświadczyła radosnym tonem:

- Te zabawki przywróciły do życia wielu martwych mężczyzn. Największą atrakcją lokalu pani Cambridge było urządzenie zwane Cambridge Chevalet, zaprojektowane przez nią samą. Było to skrzyżowanie półki z wolno stojącą drabiną o zmiennej wysokości, obite do tego miękką tkaniną. Kiedy klient przywiązany do tego urządzenia czekał na karę, specjalnie dobrany asystent pieścił go w różnych miejscach. Pani Cambridge osobiście wymierzała wszystkie kary, chyba że klient zażyczył sobie kogoś innego albo to on sam chciał być katem. Mężczyźni, którzy przychodzili tu z czystej ciekawości, mogli za skromną opłatą przyglądać się tym zabiegom.

Wędrowiec uważał, że życie jest i tak pełne cierpienia i że tylko skończony głupiec mógłby płacić za przywilej doświadczania jeszcze większego bólu, ujęła go jednak szczerą dumą i zaangażowaniem, z jaką pani Cambridge mówiła o swej pracy. Kiedy zbierali się już do wyjścia, książę ucałował dłoń damy i zapewnił ją solennie, że nigdy jeszcze nie widział rzemieślnika, który z takim szacunkiem traktowałby swoje powołanie. Oczarowana pani Cambridge chciała mu koniecznie podarować egzemplarz ulubionego dzieła masochistów *Okrutna guwernantka albo rozkosze biczowania*.

Odwiedziwszy lokal, który słynął z tego, że zupełnie nagie dziewczęta grały w karty i bilard, pojechali do domu publicznego dla homoseksualistów. Przed wejściem Weldon wyciągnął dwie czarne maski, za którymi obaj mogli ukryć swe twarze. Przybyli akurat na czas, by obejrzyć ślub odgrywany przez dwóch mężczyzn. Pod koronkowym welonem kryła się „panna młoda”, którą w rzeczywistości był wąsaty olbrzym o twarzy sierżanta grenadierów, partnera zaś odgrywał niższy o głowę, wąty dżentelmen.

Kelnerzy odziani jedynie we frywolne fartuszki roznosili na tacach kieliszki z szampanem. Tłumiąc dreszcz obrzydzenia, Wędrowiec znalazł sobie spokojne miejsce na uboczu i sącząc szampana obserwował, jak jego gospodarz krąży wśród „gości weselnych”.

W chwili gdy gratulował sobie opanowania i chłodu, z jakim skrywał prawdziwe emocje, ktoś zaszedł go od tyłu i pogłaskał po ramieniu. Wędrowiec odwrócił się na pięcie, obdarzając nieznanego mężczyznę tak przerażającym spojrzeniem, że ten odskoczył do tyłu, mamrocząc jakieś przeprosiny. Dopiero po chwili książę ochłonął na tyle, by skinąć lekko głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że jego reakcja była wynikiem zaskoczenia, a nie

odrazy. Prawdopodobnie nie był zbyt przekonujący, gdyż mężczyzna zniknął szybko w drugim pokoju.

Na szczęście po upływie kilkunastu minut Weldon zaproponował, by pojechali gdzie indziej. Kiedy już zasiedli w powozie, powiedział:

- Na koniec zachowałem to, co najlepsze. Mam nadzieję, że jeśli nie będzie pan sam zainteresowany, zechce pan poczekać na mnie przez jakiś czas.

- Oczywiście, że tak. Pan i tak poświęcił mi już mnóstwo czasu, nie mógłbym więc okazać się niewdzięcznikiem. - Po krótkiej chwili milczenia książę spytał swobodnym, jakby lekko znudzonym tonem. - Której spośród tego rodzaju rozrywek angielski dżentelmen oczekiwałby od żony takiej jak lady Sara St. James?

Wędrowiec słyszał, jak Weldon zachłysnął się ze zdumienia i oburzenia. Nie kryjąc pogardy dla ignorancji obcokrajowca, odparł:

- Żaden angielski dżentelmen nie oczekiwałby od swojej żony rzeczy, które robią kobiety lekkich obyczajów. Dobrze wychowany mąż nie zbliża się do swej żony częściej niż raz lub dwa razy w miesiącu. Wielu mężczyzn robi to tylko po to, by mieć dzieci.

- Skoro tak właśnie myślą angielscy dżentelmeni - odparł cierpko książę - to domy publiczne muszą tu przynosić naprawdę ogromne zyski.

Po chwili wyniosłego milczenia Weldon odpowiedział:

- Przypominam panu, że według angielskiego prawa mężczyzna nie może czerpać korzyści z nierządu.

- Jak już powiedziałem wcześniej, nie interesuje mnie żmudne prowadzenie interesów, nawet tak wyjątkowych jak ten - odrzekł leniwie Wędrowiec. - To była tylko ogólna uwaga. No dobrze, jakież to specjał zachował pan na koniec?

- Lokal, który specjalizuje się w młodych dziewczicach. Radziłbym przed wejściem założyć maskę. - Weldon uśmiechnął się, a jego zęby błysnęły blado w ciemnościach karety. - Nikt nie atakuje zwykłych domów publicznych, jednak przybytki tego szczególnego rodzaju nękanie są czasem przez reformatorów. Lepiej więc zachować dyskrecję. - Weldon zamilkł na moment, po czym znów przemówił, głosem drżącym z podniecenia: - Nie ma nic równie stymulującego jak dziewczica. Wiedzieć, że przeżywa to po raz pierwszy, dotykać jej, posiadać... - Przerwał nagle i roześmiał się z zakłopotaniem. - Pewien jestem jednak, że pan zna tę przyjemność równie dobrze jak ja. Czy to nie w muzułmańskim raju każdy wojownik ma dziesięć tysięcy nałożnic, które po każdej nocy na powrót stają się dziewczicami?

- Tak mówią, choć nie znam nikogo, kto mógłby to potwierdzić. - Wędrowiec nie dziwił się, że Weldon uznał ten ostatni przystanek za najważniejszy punkt programu; lokale

specjalizujące się w dziewicach i dzieciach stanowiły najbardziej perwersyjną odmianę prostytutki, pogardzali nimi nawet właściciele innych domów publicznych.

Po chwili powóz zatrzymał się na skraju ulicy. Wędrowiec założył więc maskę. Kiedy wyszedł na zewnątrz, w nozdrza uderzył go znajomy zapach doków. Była to jedna z najbardziej niebezpiecznych dzielnic Londynu. Kiedy Weldon zapukał do drzwi, ktoś odsunął mały panel i przyjrzał się im uważnie. Dopiero po tej inspekcji zostali wpuszczeni do środka. Znow przywitał ich portier o wyglądzie atlety lub boksera; najwyraźniej w londyńskich domach publicznych zatrudniano wyłącznie tego rodzaju odźwiernych.

- Właścicielka tego lokalu, pani Kent, była wysoką, chudą kobietą o wąskich ustach i okrutnych oczach. Przywitawszy się z Weldonem, oświadczyła:

- Mam dziś coś, co lubi pan najbardziej, milordzie. - Zerknęła na Wędrowca i wymieniła z Weldonem znaczące spojrzenia. - I coś specjalnego dla pańskiego przyjaciela.

Weldon odwrócił się doń z uśmiechem.

- Pozwoli pan, że dziś ja pana ugoszczę. Nalegam. Nie będzie pan żałował, bo w całym Londynie nie ma miejsca, w którym można zaznać takich rozkoszy jak tutaj.

Wędrowiec zawahał się, wiedząc, że w grę wchodzi coś więcej niż zwykła rozpusta. Wspólna wycieczka po londyńskich domach schadzek uczyniła z nich nie tylko partnerów w interesach, ale niejako zbliżyła ich do siebie, stwarzając pozory przyjaźni. Wędrowiec właśnie na to liczył, bo dzięki temu mógł poznać lepiej swego wroga. Teraz jednak Weldon chciał, by obaj oddali się nikczemnej rozrywce, by połączył ich wspólny występki. Księżę wiedział, że jeśli odmówi, nieprzyjaciel znow zacznie traktować go z większym dystansem i że stanie się znacznie bardziej ostrożny.

- To bardzo miły gest z pana strony - odparł uprzejmym tonem, starannie skrywając pogardę. - Chętnie skorzystam.

- Zaraz do pana wrócę, milordzie - oświadczyła pani Kent, po czym wyprowadziła Weldona do innego pomieszczenia. Czekać w samotności na jej powrót, księżę zauważył, że w całym domu panuje niesamowita cisza, do środka nie docierały nawet odgłosy z ulicy. Ściany budynku musiały być specjalnie izolowane, by tłumić dźwięki dochodzące z poszczególnych pomieszczeń.

Wędrowiec powoli obracał się w miejscu, oglądając salon i chłonąc nieprzyjemną, niepokojącą atmosferę domu pani Kent. Choć zazwyczaj w podobny stan wprawiało go przecucie zbliżającego się niebezpieczeństwa, wiedział, że teraz jego przyczyną był ból i rozpacz. Miejsce to przypominało mu pewną przełęcz w Hindukuszu, gdzie w zasadzkach zginęło wielu ludzi.

Świadomie jednak starał się stłumić w sobie te uczucia. Dom pani Kent był tylko jednym z etapów na długiej drodze ku zemście, Gotów był zrobić wszystko, byle tylko osiągnąć wyznaczony cel, nawet jeśli musiałby pozbawić dziewictwa jakąś młodą dziewczynę. Nie był to powód do dumy, ksiązę pocieszał się jednak myślą, że zrobiłby to przynajmniej znacznie delikatniej niż przeciętny klient domu publicznego.

Po kilku minutach do salonu wróciła pani Kent Zaprowadziła Wędrowca na piętro, zatrzymała się na środku korytarza i otworzyła drzwi do jednego z pokoiów.

- To śliczne dziecko, milordzie - oświadczyła. - Jestem pewna, że będzie pan z niej zadowolony.

Książę wszedł do środka i zatrzymał się w bezruchu, czekając, aż właścicielka zamknie za nim drzwi. Blask świec ustawionych na kominku odsłaniał luksusowe wyposażenie pokoju, utrzymane niemal wyłącznie w kolorze czerwonym. Na masywnym łóżu z baldachimem leżała szczupła, drobna postać.

Dziewczynka odwróciła głowę i spojrzała nań w milczeniu. Miała jakieś trzynaście lat, śliczną, dziecinną jeszcze twarz i faliste blond włosy. Jej muślinowa koszula nocna ozdobiona była koronkami i wstążkami, niczym ubranie małego dziecka, przez co miała zapewne wyglądać na jeszcze młodszą, niż była w rzeczywistości. Książę w milczeniu podszedł do kominka, wziął do ręki świecznik i przeniósł go na nocny stolik.

Ręce dziewczynki przywiązane były do kolumn baldachimu, dość luźno jednak, by mogła się trochę poruszać. Nie odrywała spojrzenia od twarzy księcia, a jej wielkie oczy wydawały się zupełnie beznamietne. Nie wyglądała na niewinną istotę, która za moment ma być pozbawiona dziewictwa. Być może została oszołomiona jakimiś środkami, a może nie rozumiała, co ma się za chwilę wydarzyć.

Wędrowiec zmarszczył brwi, próbując wyczytać coś z jej twarzy. Choć dostrzegał oznaki niepokoju i rezygnacji, nie widział strachu, jaki powinna wzbudzać w dziewczynie taka sytuacja. Choć sam nie odwiedzał podobnych lokali, domyślał się, jakie zabiegi stosują ich właściciele. Być może wcale nie będzie musiał robić tego, czego się odeń spodziewano. Zniżając głos do szeptu, spytał:

- Jest tutaj jakiś judasz?

Dziewczyna otworzyła szerzej oczy, spoglądając odruchowo na lustro zawieszone przy drzwiach. Wędrowiec podszedł do lustra i przyjrzał mu się bliżej, by po chwili odnaleźć małą dziurkę ukrytą za szkłem, pośród drewnianych ornamentów. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zawiesił ją na zdobieniach, potem znów zwrócił się do dziewczyny:

- Są jeszcze jakieś inne?

Prostytutka patrzyła nań niepewnie, nie wiedząc, co może oznaczać jego dziwne zachowanie. Wreszcie pokręciła głową. Wędrowiec jednak spędził kilka kolejnych minut na oględzinach miejsc, w których mogły być ukryte otwory. Kiedy był już pewien, że nikt ich nie podgląda, rozwiązał kokardy na przegubach blondynki i usiadł po drugiej stronie łóżka.

- Tak naprawdę wcale nie jesteś już dziewicą, zgadza się?

- Skąd pan wie? - Zdumiona dziewczyna nawet nie próbowała zaprzeczać.

- Domyśliłem się - mruknął, wdzięczny losowi, że nie będzie musiał gwałcić przerażonej dziewczicy.

Dziewczyna wtuliła się w róg łóżka i spoglądała nań oczami pełnymi strachu.

- Proszę, niech pan się jej nie skarży - błagała. - Zrobię wszystko, co pan zechce, wszystko. Tylko proszę jej nie mówić, że nie był pan zadowolony.

Poznawszy już panią Kent, książę nie miał wątpliwości, kim jest ta „ona”, o której dziewczyna mówiła z takim przerażeniem i nienawiścią. Podniósł rękę w uspokajającym geście.

- Nie obawiaj się, dziecko. Nie poskarżę się twojej pani, nie zrobię nic, czego byś nie chciała. W zamian ty opowiesz mi, co się dzieje w tym domu, zgoda?

Dziewczyna zajrzała mu w oczy, jakby chciała upewnić się, czy nie jest jakimś szpiegiem, potem skinęła głową.

- Skoro tego pan właśnie chce. Ale obieca mi pan, że ona o niczym się nie dowie? - Wysławiała się zaskakująco dobrą angielszczyzną, choć w jej głosie pobrzmiwał akcent z londyńskich slumsów.

- Obiecuję. - Wędrowiec skrzyżował ręce na piersiach, jakby chciał pokazać dziewczynce, że nie zamierza jej skrzywdzić. - Często odgrywasz rolę dziewicy?

- Tak, dwa lub trzy razy w tygodniu - odparła beznamiętnym tonem. - Pewnie pan wie, jak to się robi; para z octu, by doprowadzić do naprężenia, potem kawałek gąbki nasączonej krwią. Większość mężczyzn niczego nie zauważa, zwłaszcza jeśli się wyrrywam i krzyczę.

- Jak masz na imię?

- Ona mówi do mnie Jennifer, ale w domu nazywałam się Jenny Miller.

- Zostałaś porwana? Jenny pokręciła głową.

- Czasami porywają dziewczynki z ulicy, ale zwykle to nie jest potrzebne, bo można je bardzo tanio kupić. Mój tata sprzedał mnie za pięć funtów. Pani Kent mówi, że nigdy nie zapłaciła aż tyle, ale uznała, że jestem ładna i że warto mnie trzymać i często wykorzystywać.

- Czy większość dziewcząt to fałszywe dziewice, tak jak ty?

- Nie, tylko dwie. Prawdziwe dziewice to zazwyczaj dziewczyny, które przychodzą tu

tylko raz i robią to za gwineę albo ich rodzice sprzedają je na jedną noc. Niektórzy mężczyźni z tryprem wierzą, że dziewica ich uleczy, więc dostają właśnie takie dziewczyny, które już tu nie zostaną. Ona mówi, że dla dobra interesu nie może pozwolić, by chorowały jej dziewczyny. - Jenny zaczęła się powoli uspokajać, napięcie opuszczało jej drobne ciało. - Czasami przysyła do mnie mężczyzn, którzy lubią młode, ale „zepsute” dziewczyny. Coś takiego jest bardziej męczące niż odgrywanie dziewicy.

- Od jak dawna tu jesteś? Jenny wzruszyła ramionami.

- Od kilku lat. Trzech, może czterech. Ona prowadzi wszystkie księgi i obliczenia, żeby przypadkiem ten sam człowiek nie trafił na mnie dwa razy. Gdy kiedyś się pomyliła, wybuchła straszna awantura, musiała przekonywać tego mężczyznę, że ja byłam młodszą siostrą tej dziewczyny, którą kiedyś już miał.

W ciągu trzech czy czterech lat, pobierając jakieś pięćdziesiąt gwinei za każde spotkanie, pani Kent musiała zbić fortunę na tej jednej dziewczynie.

- Ile masz lat, Jenny?

- Chyba siedemnaście. Może osiemnaście.

- Naprawdę? - Był szczerze zaskoczony. - Wyglądasz znacznie młodziej.

- Tak, dlatego jestem taka cenna. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Ale coraz trudniej przychodzi mi udawać małą dziewczynkę, nawet w takim ubraniu. Boję się, że wkrótce odeślą mnie do normalnego burdelu, gdzie jednego wieczoru będę musiała obsługiwać więcej mężczyzn niż teraz w ciągu tygodnia. To będzie okropne.

Dopiero teraz Wędrowiec zauważył, że pod dziecinnym ubrankiem kryje się raczej ciało kobiety niż dziewczynki. Zacisnął mocniej usta. prostytutka mogła zarobić znacznie więcej niż sprzedawczyni czy młynarka, dlatego też dla niektórych kobiet prostytutka była jedynie krótkim, lecz zyskownym epizodem, po którym rozpoczynały zwykłe życie. Jednak dziewczynę, która była praktycznie ubezwłasnowolniona, czekała czarna przyszłość. Zastanawiał się, czy Jenny czasem myśli o tej przyszłości, czy też woli cieszyć się teraźniejszością, w której miała zapewniony byt.

- Czy gdybyś zechciała, mogłabyś stąd odejść?

- Nie ma mowy - odparła, kręcąc głową. - Zresztą, nawet gdyby udało mi się uciec, nie miałabym dokąd pójść. Na pewno nie wróciłabym do domu. Tata nie wykorzystał mnie tylko dlatego, że jako dziewica byłam więcej warta. Praca na ulicach jest jeszcze gorsza, a służba niewiele różni się od tego, co robię tutaj. Moja starsza siostra była służącą, pracowała piętnaście godzin dziennie, a każdy mężczyzna i tak robił z nią, co chciał. Umarła, kiedy próbowała pozbyć się dziecka.

Książę wcale nie był zaskoczony, słysząc, że Jenny nie narzeka na swój los. Najwyraźniej nieraz już myślała o ucieczce i wykazywała przy tym imponującą dozę zdrowego rozsądku.

- A co chciałabyś robić, gdybyś miała trochę pieniędzy i mogła opuścić to miejsce?

Na delikatnej twarzyczce Jenny pojawił się tęskny uśmiech.

- Chciałabym być pokojówką jakiejś pani. Miałabym piękne rzeczy i byłabym ważną osobistością, nie jak zwykła służąca. Chciałabym pracować dla młodej i modnej damy, która dawałaby mi swoje suknie, gdyby się już nimi znudziła. Może któregoś dnia wyszłabym za jakiegoś przystojnego lokaja. - Zamyśliła się na moment, po czym dodała stanowczym tonem.

- Takiego, który nie piłby tyle co tata.

Jenny spojrzała na Wędrowca, w jej błękitnych oczach pojawił się promyk nadziei.

- Dlaczego pan pyta? Chce pan, bym została pana kochanką? Byłabym naprawdę dobra, umiem robić wszystko, co lubią mężczyźni. Albo... albo mogłabym co noc być dziewicą, jeśli tego pan sobie życzy.

- Nie szukam kochanki, a nawet gdyby, to wolałbym kobietę, która wygląda jak kobieta, a nie jak dziecko - odparł ostro, zły na siebie, że wzbudził w niej płonne nadzieje, zaspokajając tylko swoją ciekawość.

Jenny patrzyła nań błagalnym wzrokiem.

- Proszę. Przysięgam, nie pożałowałby pan.

Wędrowiec westchnął ciężko. Londyn pełen był takich dziewcząt; niektóre znajdowały się w jeszcze gorszej sytuacji, sprzedawały swe ciało każdemu, kto zechciał rzucić im chociaż mamy grosz. Były niczym ziarna piasku, niezliczone, żyły krótko i umierały wcześniej, niczym motyle.

On sam miał bardzo trudne dzieciństwo i nauczył się szybko, że współczucie to niebezpieczny luksus. Widział odmiany i etapy degradacji i cierpienia, i wiedział dobrze, że nie warto tracić czasu na naprawianie świata. Gdyby zechciał, mógłby pomóc tej dziewczynie, jednak jaki sens miało ratowanie jednej małej prostytutki? Nie zmieniłoby to w niczym sytuacji tej ogromnej rzeszy wykorzystywanych, tak ciężko doświadczanych przez los dzieci.

Kiedy jednak Jenny nadal patrzyła nań oczami pełnymi nadziei, zrozumiał, że dla niej byłaby to ogromna, wymarzona zmiana.

Zazwyczaj Wędrowiec świadomie kierował swymi czynami, w razie potrzeby potrafił być nieskończenie cierpliwy. Czasami jednak czuł potężny, irracjonalny impuls, a wtedy zawsze mu się podporządkowywał. Właśnie teraz doznał takiego uczucia. Choć nie starał się

być dobroczyńcą i nie próbował zbawiać świata, wspomnienie człowieka w potrzebie nie sprzeciwiało się też jego zasadom ani w niczym nie psuło jego planów. Winien był też komuś dobry uczynek.

- Nie chcę, żebyś była moją kochanką - burknął. - Ale jeśli naprawdę chcesz się stąd wyrwać, mogę zapewnić ci mieszkanie i znaleźć jakąś przyzwoitą pracę.

Jenny wstrzymała oddech, jakby do tej pory nie wierzyła, że ksiązę naprawdę zechce jej pomóc.

- Och tak, bardzo tego chcę - wyszeptała. - Bardzo. Ale ona nigdy nie pozwoli mi stąd odejść.

Wędrowiec zamyślił się na chwilę. Właściwie mógł kupić dziewczynie wolność, ale wykradzenie jej z rąk pani Kent byłoby znacznie bardziej satysfakcjonujące, a przy tym tańsze. Poza tym zawsze starał się działać z ukrycia.

- Mieszkasz w tym pokoju na stałe? - Kiedy skinęła głową, kontynuował: - Przyjdę tu jutro w nocy, między drugą a trzecią. Rzucę kamykiem w twoje okno. Jeśli będziesz sama, gotowa do ucieczki, otwórz okno, a ja rzucę ci sznur.

- Nie wiem, czy będę mogła je otworzyć - odparła niepewnie. - Jest mocno zatrzęsnięte i zamalowane.

Ksiązę wstał i podszedł do okna. Kiedy rozsunął ciężkie, grube zasłony, przekonał się, że dziewczyna miała rację. Prawdopodobnie okno nie było otwierane od lat, może dziesięcioleci. Wyjąwszy nóż z sekretnego schowka w bucie, przesunął ostrzem między krawędzią okna i futryną, potem próbował podnieść dolną, ruchomą część ramy. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, nim wreszcie okno ruszyło ze zgrzytem do góry.

Wędrowiec wychylił się na zewnątrz i zobaczył, że od sąsiedniego budynku oddziela burdel ciemna, hałaśliwa alejka. Wszystkie okna domu schadzek były szczelnie zasłonięte, nikt więc nie zauważyłby ucieczki Jenny. Policzył okna, by po wyjściu wiedzieć, gdzie znajduje się właściwy pokój, a potem kazał Jenny kilkakrotnie podnieść i opuścić okno, by mieć pewność, że zdoła zrobić to sama.

- Jeśli jutro w nocy nie będę sama, poczeka pan na mnie? - dopytywała się z niepokojem.

- Jakies pół godziny. Jeśli nadal nie będziesz mogła wyjść, wrócę następnej nocy i jeszcze następnej, jeśli będzie to konieczne. Na sznurze, który wrzucę do twojego pokoju, będą grube węzły, co jakąś stopę lub półtorej. Myślisz, że uda ci się po nim zejść?

- Poradzę sobie - odparła krótko.

Uznawszy, że przebywa już z Jenny dość długo, by nie wzbudzać podejrzeń pani

Kent, Wędrowiec podszedł do drzwi.

- Muszę już iść. Mam nadzieję, że zmierzysz pościel tak, by była przekonana, że wszystko odbyło się tak, jak zazwyczaj?

Jenny spojrzała nań z urazą.

- Oczywiście. Wiem o tym znacznie więcej niż pan.

- W takim razie zdaję się na twoje doświadczenie - odparł księżę, rozbawiony. Potem znów spoważniał. - Jesteś pewna, że chcesz stąd odejść? Nic o mnie nie wiesz. Mogę być jeszcze gorszym potworem niż pani Kent.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Owszem, może pan być. Ale chcę zaryzykować. Tutaj nie ma dla mnie przyszłości, a mogę już nigdy nie otrzymać takiej szansy.

- Odważna z ciebie dziewczyna.

- Albo głupia - odrzekła cierpko. W nikłym blasku świec wyglądała jak dziecko, które wkrótce położy się do łóżka, lecz jej twarz wydawała się całkiem dorosła. Wędrowiec uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że posłuchał impulsu. Dziewczyna była inteligentna i rezolutna, zasługiwała na lepsze życie. Był pewien, że wykorzysta szansę, jaką podsuwał jej los.

Kilkadziesiąt minut później, kiedy zaspokojony i zadowolony z siebie Weldon odwiózł księcia do Clarendon Hotel, ten spisał przed snem wszystkie szczegóły nocnej wycieczki. Nazwiska i adresy mogły być pomocne w śledztwie prowadzonym przez Benjaminą Slade'a.

Był to raczej skromny, kameralny bal. Goście mieli dość przestrzeni, by swobodnie zaczerpnąć powietrza, co bardzo cieszyło lady Sarę. Przyjechała tu razem z Charlesem, a kiedy już oboje przywitali wszystkich znajomych, znalazł jej spokojne, zaciszne miejsce za rozłożystym platanem. Przez chwilę siedzieli tam oboje, popijając poncz. Kiedy Sara opróżniła już swój kieliszek, Charles spytał:

- Dobrze ci tutaj, moja droga? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostawię cię na chwilę samą. Chciałbym zajrzeć do pokoju karcianego.

Sara wręczyła mu pustą szklanę.

- Oczywiście, możesz iść. Jeśli będę potrzebowała towarzystwa, na pewno kogoś znajdę.

- Cudowna Saro. - Poglaskał ją po policzku w protekcyjnym geście. - Jestem najszcześniejszym mężczyzną na świecie, bo ty będziesz najlepszą żoną. - Pożegnawszy ją tymi słowami, odwrócił się i zniknął w tłumie.

Mile polechtana tym komplementem, Sara obserwowała przez moment swego narzeczonego. Pomyślała, że wygląda naprawdę elegancko i dystyngowanie w ciemnym, wieczorowym stroju. Potem przeniosła spojrzenie na tłum tancerzy, gromadzących się na parkiecie, i powróciła myślami do swego pierwszego sezonu w Londynie. Choć zawsze była rozsądna i opanowana, ów pierwszy krok w dorosłe życie sprawił jej wtedy ogromną radość; tańczyła, śmiała się i flirtowała jak wszystkie dziewczyny w jej wieku. Teraz wydawało jej się, że od tamtych czasów dzielą ją długie dziesięciolecia.

Wieczór był ciepły, lady Sara rozłożyła więc wachlarz i chłodziła rozgrzaną twarz. Dojrzała Rossa i księcia Wędrowca stojących po drugiej stronie sali. Wcześniej rozmawiała z nimi przez chwilę, Ross jednak szybko porwał księcia, by przedstawić go swym znajomym.

Mierząc Kafiristańczyka krytycznym spojrzeniem, Sara uznała, że nie potrzebuje on już przewodnika po londyńskim towarzystwie - jeśli kiedykolwiek go potrzebował. Poruszał się wśród brytyjskich arystokratów z ogromną pewnością siebie, ci zaś natychmiast go akceptowali, przynajmniej na niezobowiązującym gruncie towarzyskim. Właściwie byli nim urzeczeni; w tej chwili co najmniej trzy piękne damy słuchały z uwagą każdego słowa, które płynęło z jego ust.

Sara zamknęła wachlarz z trzaskiem. Żar bijący od setek świec i ciał gości dusił ją, zatykał nozdrza i usta. W pobliżu znajdowały się drzwi prowadzące na szeroki balkon, szybko więc wymknęła się na zewnątrz. Wciągnęła w płuca świeże, wieczorne powietrze,

rozkoszując się delikatną wonią kwiatów z ogrodu rozciągającego się w dole.

Kołysząc się lekko do rytmu, Sara obserwowała tancerzy we wnętrzu sali. Ich ciała wyglądały jak rozmazane, barwne plamy na tle półprzezroczystych draperii. Od czasu wypadku nigdy nie odważyła się zatańczyć na balu.

Odwróciła się plecami do sali i spojrzała na pełny księżyc, który oblewał ogród i balkon łagodnym złotym blaskiem. Upominała się w myślach, że nie powinna zazdrościć tym, którzy mogą cieszyć się tańcem, i że ma inne, poważniejsze sprawy na głowie. Musiała myśleć o zbliżającym się ślubie. Czeką ją wiele pracy, a mogła liczyć jedynie na pomoc ciotki Marguerite, matki Rossa.

Zatopiona w myślach, nie słyszała, jak otwierają się drzwi balkonu, i podskoczyła ze strachu, kiedy głęboki, męski głos wyszeptał jej do ucha:

- Czy prawdziwej angielskiej damie przystoi ukrywać się przed towarzystwem podczas balu?

Z bijącym sercem odwróciła się do księcia, mile zaskoczona, choć przecież od razu rozpoznała jego łagodny, nieco śpiewny głos.

- Każdemu przystoi wychodzić na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, nie należy natomiast podkraść się i straszyć innych - odparła surowym tonem. - Mógłby pan uczyć koty bezszelestnego kroku.

- Wręcz przeciwnie, to ja uczyłem się kiedyś od kota, jak bezszelestnie podchodzić ofiarę. - Wędrowiec uśmiechnął się, gdy o tym wspomniał. - Od śnieżnego lamparta, ściśle rzecz biorąc.

Czarnowłosey, odziany w ciemne ubranie, należał do nocy, równie tajemniczy jak nieodparcie atrakcyjny. Nie, potrafiła się przecież oprzeć; była dorosłą kobietą i panowała nad swoimi emocjami.

- To pan podkraść się do lamparta czy on do pana?

- Na zmianę. W końcu to ja mogłem go zabić, nie miałem jednak serca. Był zbyt piękny. - Wędrowiec zachichotał. - Proszę nikomu tego nie powtarzać. Barbarzyńcy, nawet dobrze urodzeni, nie powinni chyba być sentymentalni.

Sara zamyśliła się nad jego słowami.

- Można panu przypisać wiele cech, ale z pewnością nie jest pan dzikusiem. Barbarzyńca nie ma pojęcia o regułach obowiązujących w cywilizowanym społeczeństwie. Pan je zna, tyle że nie zawsze chce się pan do nich stosować.

- Jak zwykle, jest pani niepokojąco spostrzegawcza - odparł po chwili. - Dość jednak tych poważnych rozważań. Zatańczy pani ze mną?

- Nie, dziękuję. - Spuściła wzrok i poprawiła jakąś niewidzialną zmarszczkę na sukni.
- Nie tańczę.

- Nie tańczy pani czy nie umie?

- Nie tańczę - odparła krótko. Potem, bojąc się, że była może zbyt obcesowa, podniosła wzrok i dodała: - Prawdopodobnie mogłabym wykonać wszystkie kroki, nie chciałabym jednak, by litowali się nade mną starzy przyjaciele, którzy pamiętają jeszcze, jak tańczyłam kiedyś.

- W takim razie jest pani dla mnie idealną partnerką - odrzekł książę, kusząc ją swym aksamitnym głosem. - Uczyłem się co prawda europejskich tańców, nigdy jednak nie miałem okazji zaprezentować moich umiejętności przed szerszą publicznością. Bardzo panią proszę, razem będziemy wzbudzać litość pani przyjaciół.

Nim zdążyła zaprotestować, przyciągnął ją do siebie; prawą dłoń oparł na jej talii, lewą zaś położył na plecach, tak by oddzielało ich przepisowe dwanaście cali. Kiedy zaczęli poruszać się w rytm walca, Sara oznajmiła z rezygnacją i rozbawieniem jednocześnie:

- Nie wierzę, by istniało coś, na co by się pan nie porwał.

- Porywanie się na coś to ostateczność. Wolę przygotować wszystko zawczasu, by nie mieć żadnych wątpliwości co do rezultatu.

Choć książę nie tańczył ze swobodą, jaką daje długa praktyka, doskonale znał podstawy teoretyczne i swym wrodzonym wdziękiem nadrabiał drobne braki w technice. Sara nie mogła powiedzieć tego samego o sobie. Choć próbowała się rozluźnić, nadal była sztywna, niezręczna i przerażona, że lada moment dojdzie do katastrofy.

Jej obawy znalazły potwierdzenie, kiedy potknęła się przy kolejnym obrocie, nie mogąc utrzymać ciężaru całego ciała na słabszej nodze. Była przygotowana na najgorsze, poczuła jednak tylko mocniejszy uścisk, kiedy książę przytrzymał ją i uchronił przed upadkiem. Uśmiechnął się do niej.

- Chyba nie było aż tak źle, prawda?

Nie odpowiedziała, odchyliła tylko głowę do tyłu i roześmiała się głośno. Teraz czuła się już swobodna, poddała się mocnym ramionom księcia, coraz łatwiej przychodziło jej zapomnieć się w tańcu. Kiedy Wędrowiec zabrał ją na swego wierzchowca, pozbyła się strachu przed jazdą konną. Teraz znów uwalniał ją od innych lęków, przywracał wiarę w siebie. Dlaczego duma wstrzymywała ją przed tańcem? Rzykowała tylko tym, że ktoś uznają za niezdare, a była to doprawdy niewielka cena za tak dużą przyjemność.

Kiedy wirowali na płytach balkonu, Wędrowiec powiedział z uśmiechem:

- Rozczarowuje mnie pani, lady Saro. Oczekiwałem jakichś niezdarnych potknięć,

tymczasem pani tańczy równie dobrze jak pozostałe damy.

- Pan także nie powiedział mi prawdy, wasza wysokość - odparowała. - Bo powinien pan dawać, a nie pobierać lekcje walca.

- Niezupełnie, ale dziękuję za komplement.

Kiedy przesuwali się przez plamy światła padające na podłogę tarasu, czysta zmysłowa przyjemność tańca bez reszty wypełniała jestestwo Sary. Przez wiele miesięcy po wypadku starała się oddzielić od siebie umysł i ciało, bo wierzyła, że tylko w ten sposób może zapomnieć o bólu. Teraz, ogarnięte radością tańca, duch i ciało po raz pierwszy od wielu lat znów stały się jedną całością.

Skończyli jednego walca i byli w połowie drugiego, kiedy Sara uświadomiła sobie, że rośnie w niej jeszcze inna, bardziej skoncentrowana przyjemność. Odczuwała bardzo intensywnie bliskość księcia. Choć miała na dłoniach rękawiczki, czuła mrowienie w palcach, rozkoszną słabość. Był tak silny, tak pociągający, tak bliski...

Zbyt bliski. Oddzielająca ich przestrzeń była co najmniej o połowę za mała, jeszcze chwila, a Sara oparłaby się o jego szeroką, twardą pierś. Co gorsza, właśnie tego pragnęła. Chciała podnieść głowę i przekonać się, jak smakują jego pocałunki, poczuć, jak jego ciało ociera się o nią.

Oblała się rumieńcem, zrozumiałszy, że po raz kolejny uległa czarowi jego zmysłowej, nieodpartej męskości. Ten człowiek był niebezpieczny, choć wcale do tego nie dążył. Sara zatrzymała się raptownie i wysunęła z jego objęć.

- Muszę złapać oddech. Nie jestem przyzwyczajona do takiego wysiłku.

Usiadła na kamiennej ławeczce przy balustradzie i otworzyła wachlarz, chcąc ochłodzić rozpaloną twarz. Wcale nie pomagała jej w tym obecność księcia, który usiadł obok. Choć zachowywał odpowiedni dystans, nadal wydawał jej się zbyt bliski, nadal czuła bijący od niego żar.

- Wygląda na to, że taniec, podobnie jak jazda konna, znów powinien stać się częścią pani życia - zauważył.

- Zapewne ma pan rację. - Sara uśmiechnęła się smutno. - Pan jest niebezpiecznym człowiekiem, wasza wysokość.

Wędrowiec spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

- Dlaczego tak pani uważa?

- Bo potrafi pan wpływać na życie innych ludzi, zmienia pan je szybko i bez trudu. Z pewnością tak dzieje się właśnie w moim przypadku.

Kafinstańczyk wzruszył ramionami.

- Życie zawsze się zmienia, tyle że czasem te zmiany zachodzą szybciej. Czy nie ma pani wkrótce wyjść za mąż? Jeśli pani to zrobi, nic już nie będzie w pani życiu takie samo. - Zmieniając nagle temat, wskazał głową na jej wachlarz. - Słyszałem, że damy komunikują się z dżentelmenami za pomocą wachlarza. Czy wie pani, jak to się odbywa?

- Język wachlarza? - Powróciła myślami do szkolnych czasów, kiedy wraz ze swą najlepszą przyjaciółką, Juliet, poprosiły pewną starszą dziewczynę, by pokazała im odpowiednie gesty. - Zaczęło się to w Hiszpanii, gdzie młodzi mężczyźni i kobiety nie mogli zbyt często przebywać ze sobą. - Przypomniawszy sobie damy, które tłoczyły się wokół księcia, dodała z przekąsem: - Oczywiście teraz można porozumiewać się znacznie łatwiej, być może jednak kiedyś przyda się panu znajomość tego języka. Nie wiem tylko, czy coś jeszcze pamiętam. - Zamyśliła się na chwilę, wyęzając pamięć. - Trzeba panu wiedzieć, że przemawia się nie tylko za pomocą wachlarza, ale także oczu i całego ciała. - Otworzyła elegancki wachlarz, wykonany z czarnej, hiszpańskiej koronki i umocowany na palczkach z kości słoniowej. Był to prezent od Charlesa. Lekko oparła wachlarz o prawy policzek i wyjaśniała: - To oznacza: „tak”. - Przełożyła koronkę na lewy policzek. - To znaczy: „nie”. - Potem przesunęła wachlarz pod oczami i spojrzała na księcia. - To z kolei oznacza: „przepraszam”.

W oczach księcia pojawiły się isierki rozbawienia.

- Czy można w ten sposób przekazać jakieś bardziej złożone wiadomości?

Ponieważ prezentacja poszczególnych gestów pozwalała Sarze oddalić się choć trochę od księcia i uspokoić niezdrowe emocje, wstała i przesłała kilka kroków.

- Jeśli niosę wachlarz w lewej ręce, w taki właśnie sposób, to znaczy, że chciałabym pana poznać.

- Lepiej. - Wędrowiec pokiwał głową z aprobatą. - Ale my już się znamy. Jaki byłby następny krok?

- Jeśli niosę wachlarz w prawej dłoni, przed twarzą, to mówię w ten sposób: „Chodź za mną”. - Podeszła do księcia, potem odwróciła się i zaczęła od niego oddalać, zerkając dyskretnie przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy ten rzeczywiście idzie jej śladem.

Wędrowiec posłusznie wstał z ławki i ruszył za nią. Sara znów się odwróciła, otworzyła szeroko wachlarz i przesłała księciu płomiennie spojrzenie.

- To oznacza: „Czekaj na mnie”.

- A na co czekam? - Spytał książę z zainteresowaniem, zatrzymując się o dwa kroki przed nią.

Sara przesunęła wachlarzem po czole, a potem syknęła melodramatycznie:

- Ktoś nas obserwuje!

Pielgrzym spojrział na drzwi balkonu. W sali tańczono kolejnego walca, muzyka sączyła się przez uchylone okna.

- Na szczęście nie - odparł konspiracyjnym szeptem i odwrócił się do niej. - Najwyraźniej nikt prócz nas nie potrzebuje świeżego powietrza. Czy wachlarz może powiedzieć coś jeszcze, kiedy dwoje ludzi jest już razem, czy też teraz wystarczą nam już słowa?

- Niektóre kobiety są zbyt nieśmiałe, lub zbyt dobrze wychowane, by wypowiedzieć to czego pragną. - Jakiś szalony impuls kazał Sarze zrobić coś, na co nie poważyłaby się w innych okolicznościach. Złożywszy wachlarz, delikatnie dotknęła nim ust. - Ten gest znaczy: „Pocałuj mnie”.

Nie przypuszczała, że podejmie to żartobliwe wyzwanie. Kiedy zbliżył się do niej, ogarnął ją strach, a jednocześnie ogromna ciekawość. Wydawał się nieodparty w swej sile i męskości, niemal przerażający. Sara chciała się wycofać, jednak nie zrobiła tego. Wciąż czekała, zdumiona swą śmiałością i ogromnie ciekawa rezultatu.

Delikatnie ujął ją pod brodę i podniósł jej głowę, spoglądając jej prosto w oczy. Sara wiedziała, że ma teraz ostatnią szansę, by wycofać się z honorem, nadal jednak stała nieruchomo, czekając, co będzie. Książę pochylił się nad nią powoli, zbliżył usta do jej warg. Jego pocałunek był ciepły i subtelny, delikatny jak dotyk motyli skrzydeł, rozbudzał ją jednak w całkiem nieoczekiwany sposób.

Przywarła do niego mocniej, chciała więcej, jednak kiedy książę zareagował, odsunęła się gwałtownie, roztrzęsiona. Przedtem zastanawiała się, jak będzie wyglądał ten pocałunek, lecz zamiast odpowiedzi znalazła tylko więcej pytań. Niebezpiecznych pytań... Z trudem łapiąc oddech, powiedziała:

Jeśli trzymam wachlarz w prawej dłoni, w ten sposób, to znaczy: Jest pan zbyt rozochocony”.

- Czy można być zbyt rozochoconym? - spytał cicho. Znowu pochylił się nad nią i musnął wargami jej czoło. Jednocześnie przesunął czubkami palców po jej szyi i nagim ramieniu w subtelnej, bardzo zmysłowej pieśszczocie.

Sara wstrzymała oddech. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją słodkie, przemożne pragnienie, by oddać się mężczyźnie, by pozwolić mu kierować sobą, jak w czasie walca, wykonywać każde jego polecenie. Wiedziała jednak, że nie może poddać się temu pragnieniu. Uniosła wachlarz i pomachała nim szybko przed twarzą, jakby odgradzając w ten sposób księcia od swych ust.

- Taki gest oznacza: „Jestem zaręczona”.

- No tak, jest pani zaręczona - mruknął. Stał na tle rozświetlonego, jasnego okna, nie mogła więc dojrzeć wyrazu jego twarzy. - Szkoda. Czy pani kocha swego przyszłego męża, lady Saro?

Milczała przez dłuższą chwilę. Pytanie to wprawiało ją w nie mniejsze zakłopotanie niż pocałunek księcia. Uchylając się więc od bezpośredniej odpowiedzi, rzekła:

- Obracanie wachlarza w prawej dłoni znaczy: „Kocham innego”. - Nie zdobyła się jednak na to, by zademonstrować ten gest.

Kiedy spojrzenie Wędrowca powędrowało ku jej nieruchomej, prawej dłoni, dodała nieco jadowitym tonem:

- Obracanie wachlarza w lewej dłoni znaczy z kolei: „Chcę się pana pozbyć”. - Wzięła wachlarz do lewej ręki i obróciła go kilka razy.

- Naprawdę chce się mnie pani pozbyć? - Obdarzył ją leniwym, zmysłowym uśmiechem. Choć nie poruszył nawet palcem, czuła się tak, jakby sięgał po nią, przyciągał do siebie. Jego urok miał taką moc, że gdyby pozwoliła sobie na chwilę słabości, uległaby mu bez reszty.

Nie do pomyślenia! Była dojrzałą kobietą, damą, a nie jakimś podlotkiem. Stoczywszy krótką, wewnętrzną walkę, uniosła wachlarz i oparła go o lewy policzek.

- Nie, nie chcę się pana pozbyć. - Potem opuściła rękę, tak że wachlarz wisiał u jej boku. Opanowana już i pewna siebie, spojrzała mu w oczy. - To znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi. Nic więcej.

- Mam nadzieję, że nic mniej - odparł poważnie. - Nie chciałem pani obrazić.

Być może nie powinna do tego dopuszczać, może przyjaźń z tym człowiekiem była niebezpieczna. Nie uczynił jednak nic złego, po całował ją jedynie w najdelikatniejszy, najsubtelniejszy sposób. To ona stanowiła problem, nie on. Podniosła wachlarz i oparła go o prawy policzek w geście potwierdzenia. „Tak, będę pańską przyjaciółką”.

- To dobrze. - Wskazał głową na salę, gdzie trwała właśnie krótka przerwa. - Czy gotowa jest pani znów zatańczyć ze mną, tym razem przy innych?

Kiedy mówił do niej, niepokojący, zmysłowy żar, który trawił jej umysł, zniknął nagle równie raptownie jak zdmuchnięty płomyk świecy. Przez moment Sara zastanawiała się, czy uległa jakiemuś chwilowemu opętaniu, które teraz opuściło ją bez śladu. Książę znów był tylko mężczyzną; oczywiście nadal bardzo jej się podobał, teraz jednak potrafiłaby mu się oprzeć. Odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że czar księżycowej nocy pozbawił ją na moment rozsądku, lecz na szczęście znów była sobą.

- Z przyjemnością, wasza wysokość.

Kiedy książkę otworzył przed nią drzwi balkonu, weszła do środka, początkowo oślepiąca nieco blaskiem świateł. Dostrzegła Charlesa po drugiej stronie pokoju, ten zaś był wyraźnie zaskoczony i niezadowolony, ujrzawszy ją w towarzystwie księcia Wędrowca. Sara szybko odsunęła od siebie tę myśl, kiedy muzyka rozbrzmiała na nowo, a Kafiristańczyk porwał ją do tańca.

Ten walc był równie przyjemny jak poprzedni, choć nie towarzyszyły mu niebezpieczne pragnienia. Kiedy ucichła muzyka, Wędrowiec uklonił się jej grzecznie, jak nakazywały reguły dobrego wychowania. Sara pomyślała, że podczas ich rozmowy na balkonie on także musiał ulec zgubnemu wpływowi księżycy, teraz zaś powrócił do równowagi psychicznej.

- Musi pani być gotowa na spory wysiłek, lady Saro. Jestem pewien, że wszyscy dżentelmeni obecni na tej sali będą teraz chcieli z panią zatańczyć.

Sara nie zdążyła się nawet roześmiać, kiedy u jej boku stanął Ross.

- Mikahl, przyszedłem odebrać ci moją kuzynkę.

Kiedy sala znów wypełniła się muzyką, Ross objął ją delikatnie i pociągnął do kolejnego walca, potem zaś spytał z udawaną surowością:

- Saro, ty łobuzie, dlaczego zgodziłaś się zatańczyć z nim, a ze mną nie?

- Po prostu nie pozwolił, bym odmówiła jego zaproszeniu - wyjaśniła. - Potem, kiedy już zaczęłam tańczyć, zrozumiałam, że nie chcę przestać. - Kiedy Ross zręcznie ominął parę, która stanęła im niespodziewanie na drodze, Sara kontynuowała: - Przekonał mnie też do jazdy konnej.

Ross gwizdnął cicho, dając w ten sposób wyraz swojemu zdumieniu. Poza Sarą tylko on wiedział, jak wiele bólu i strachu kryło się za tymi słowami.

- Jak tego dokonał?

- Właściwie sama nie wiem - przyznała. - On po prostu sprawia, że niektóre rzeczy... - przez moment szukała odpowiedniej frazy - znów wydają się możliwe.

Przyglądając jej się uważnie, Ross spytał:

- Lubisz go?

- Bardzo. - Wolą nie przyznawać się nawet, jak bardzo. - Jak sam stwierdziłeś, książkę Wędrowiec jest wyjątkowy, niepodobny do żadnego Anglika. - Ponieważ rozmawiali tylko we dwoje, Sara uśmiechnęła się szeroko i pozwoliła sobie na uszczypliwą uwagę: - I bardzo dobrze. Więcej takich jak on przewróciłoby Londyn do góry nogami.

Ross był nie tylko jednym z najprzystojniejszych mężczyzn na sali, ale i doskonałym

tancerzem. Sara czuła się w jego ramionach równie bezpieczna, jak w objęciach Wędrowca. Później, kiedy tańczyła z innymi partnerami, miała kilka drobnych problemów, raz potknęła się nawet i omal nie upadła, nie pozwoliła jednak, by ten incydent zepsuł jej humor.

Przetańczyła cały wieczór, a kiedy opuszczali już bal, czuła przyjemne, radosne zmęczenie. Kiedy Charles odwoził ją do domu swoim powozem, oparła głowę o wykładaną skórą ścianę, z trudem powstrzymując się od zaśnięcia.

- Wygląda na to, że doskonale się bawiłaś, moja droga - stwierdził Charles, kiedy powóz toczył się powoli po brukowanych ulicach. - Nie wiedziałem, że twoje kalectwo pozwala ci tańczyć.

Sara była w zbyt dobrym humorze, by obrażać się na kogokolwiek.

Udała więc, że nie dostrzega nietaktu, który popełnił jej narzeczony, i odparła spokojnie.

- Ja też nie. To ksiązę Wędrowiec namówił mnie, bym spróbowała.

- Ach tak, ksiązę z Kafiristanu. - W jego głosie pobrzmiwała nutka dezaprobaty. - Widziałem, że przez jakiś czas byliście tylko we dwoje na balkonie. Zdumiewasz mnie, Saro.

- To był przypadek, a nie umówione spotkanie. - Całkowicie już rozbudzona, Sara uniosła głowę z oparcia. - Charles, czyżbyś podejrzewał mnie o jakieś niecne uczynki? - Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś kwestionował jej poczynania, a wyrzuty sumienia, które dręczyły ją, odkąd pozwoliła sobie na ten bezwstydnny pocałunek, ustąpiły miejsca irytacji wywołanej jego impertynencją.

- Oczywiście, wiem, że nie pozwoliłabyś sobie na jakieś niegodne zachowanie - zapewnił ją szybko Weldon, zaskoczony jej gwałtowną reakcją. - Ale trzeba pamiętać, że pozory często mylą. To cudzoziemiec, człowiek o wątpliwej moralności.

- Sam zasugerowałeś mi, bym podtrzymywała tę znajomość - wytknęła mu. - Czyżbyś nie chciał już robić z nim interesów?

- Ależ skąd. Wczoraj zjedliśmy razem kolację, jest bardzo zainteresowany moją ofertą. Mam nadzieję, że przyłączy się do pewnego obiecującego przedsięwzięcia. - Po krótkiej pauzie Charles dodał: - Słyszałem jednak... słyszałem o nim rzeczy, które świadczą o tym, że nie jest on odpowiednim towarzyszem dla szanującej się damy.

- Naprawdę? - spytała, szczerze zaciekawiona. - Jakież to rzeczy słyszałeś?

- Nie chciałbym obrażać twoich uszu tak wulgarnymi opowieściami - odrzekł sztywno. - Dość powiedzieć, że nie jest człowiekiem, z którym mogłabyś przebywać sam na sam.

- Ksiązę jest przyjacielem Rossa i zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen -

oświadczyła, nie próbując nawet ukrywać irytacji. - Jeśli nie przedstawiś mi konkretnych zarzutów pod jego adresem, nie zrezygnuję z tej znajomości.

- Saro, nie pozwolę, by moja żona sprzeciwiała się mojej woli. - Choć Charles nie podnosił głosu, wyraźnie pulsowała w nim tłumiona wściekłość.

- Jeszcze nie jestem twoją żoną, Charles. - Sara była zaskoczona jego gniewem, dla którego nie znajdowała zresztą żadnego usprawiedliwienia. - A jeśli zamierzasz nadal zachowywać się w ten sposób, powinniśmy chyba jeszcze raz zastanowić się nad tym małżeństwem. Może jednak nie pasujemy do siebie tak dobrze, jak nam się wydawało.

- Nie! - Zamilkł gwałtownie, tłumiąc z wysiłkiem jakieś przekleństwo. Potem znów przemówił, powoli, starannie dobierając słowa; - Wybacz mi, moja droga. Nie chciałem cię urazić. Lecz Azjaci to bardzo natrętni ludzie. Ponieważ sami trzymają swoje kobiety w zamknięciu, wydaje im się, że większa swoboda kobiet z Europy równoznaczna jest z rozwiązłością. Choć książę pod wieloma względami jest wspaniałym człowiekiem, obawiam się, że może potraktować twoją uprzejmość jako przyzwolenie. - Weldon wziął ją za rękę, jego głos wyraźnie złagodniał. - Jesteś mi bardzo droga. Nie mogę znieść myśli, że ten... ten cudzoziemiec mógłby cię obrazić.

Sara milczała, pozwalając, by jej dłoń spoczywała nieruchomo w jego objęciach. Czy tak rzeczywiście postrzegał ją Kafiristańczyk, jako rozwiązłą kobietę Zachodu, gotową spełnić jego zachcianki? Zacisnęła mocniej usta. Nie była to przyjemna myśl, z drugiej jednak strony nie miała też większego znaczenia, Wędrowiec był tutaj bowiem tylko przelotnie - był spadającą gwiazdą, która wkrótce zniknie z jej życia.

Znacznie ważniejsza była kwestia jej małżeństwa. Jeśli chciała wycofać się z zaręczyn, powinna była zrobić to teraz, nim jeszcze ruszyły przygotowania do ślubu i nim rozesłano zaproszenia.

Mężczyzna miał prawo oczekiwać od swej żony, że ta podda się jego woli i będzie spełniać jego życzenia, co było jednym z powodów, dla których Sara nigdy nie była przekonana do małżeństwa. Czy naprawdę chciała oddać się w ręce Charlesa Weldona? Człowiek pokroju Rossa, z poczuciem humoru i otwartym, ciekawym świata umysłem, byłby znacznie lepszym kandydatem. Być może właśnie dlatego, że nigdy nie spotkała człowieka podobnego do Rossa, do tej pory nie chciała wyjść za mąż.

Choć Charles był bogaty, dobrze wychowany i przystojny, należał do zupełnie innego, bardziej konwencjonalnego rodzaju mężczyzn. W ogóle nie miał poczucia humoru i choć w młodości odbył wiele podróży, te wcale nie poszerzały jego horyzontów umysłowych, lecz umacniały w przekonaniu, że wszystko, co najlepsze, zostało wymyślone przez

Brytyjczyków. Co więcej, ten nagły, irracjonalny wybuch gniewu wskazywał na to, że Weldon może być trudniejszym mężem niż przypuszczała.

Po dłuższej chwili zastanowienia uśmiechnęła się lekko. Nadopiekuńczość Charlesa była oczywiście niepotrzebna i irytująca, wypływała jednak z dobrych intencji. A to małżeństwo miało bardzo wielkie znaczenie dla jej ojca; pamiętała, z jaką powagą i uporem namawiał ją do przyjęcia oświadczeń Charlesa.

Zaniepokojony jej długim milczeniem, Weldon uściśnął lekko jej dłoń.

- Saro? Proszę, powiedz, że wybaczasz mi moje niestosowne zachowanie.

- Nie mam czego wybaczać, bo wiem, że po prostu troszczysz się o mnie. W przyszłości jednak pamiętaj, że potrafię sobie doskonale radzić z męską impertynencją. - Tamten pocałunek nie był wynikiem niewłaściwego zachowania księcia, tylko jej samej. Wiedziała, że to się już nie powtórzy. - Dobrze byłoby jednak, gdybyśmy wcześniej porozmawiali o tym, czego oczekujemy od tego małżeństwa.

Weldon wypuścił jej dłoń.

- Co masz na myśli?

Sara zamilkła na moment, by zebrać myśli.

- Nie jestem już małą dziewczynką, od lat to ja zarządzam domem mego ojca i przyzwyczajona jestem do dużej dozy nie zależności. Potrzebuję przestrzeni, swobody. Jeśli nie możesz tego zaakceptować, być może powinieneś poszukać sobie bardziej odpowiedniej kandydatki na żonę. - Kiedy nie odpowiedział jej natychmiast, dodała: - Jeśli zechcesz, możemy rozwiązać zaręczyny. Nie chcę, byś kiedykolwiek żałował, że wybrałeś właśnie mnie.

- Twoje poczucie godności i honoru dodaje ci tylko wartości w mych oczach - odparł łagodnym, głębokim głosem. - Potrzebuję właśnie takiej żony jak ty, cenię sobie twoją dojrzałość i doświadczenie. Oczywiście, gotów jestem udzielić ci odpowiedniej dozy niezależności, ale ty powinnaś też pogodzić się z tym, że w pewnych sprawach żona musi poddać się woli męża. Obowiązkiem mężczyzny jest przecież chronić swą żonę przed podłością i złymi wpływami.

Sara nie była wcale pewna, czy się z tym zgadza, lecz łagodny, pełen troski głos Weldona pozbawił ją wątpliwości wzbudzonych poprzednim wybuchem gniewu. Za bardzo przejmowała się zwykłą sprzeczką pomiędzy dwojgiem zmęczonych ludzi. Kiedy powóz zatrzymał się przed Haddonfield House, powiedziała:

- Wygląda więc na to, że jednak się rozumiemy. Jeśli pozwolisz mi cieszyć się niezależnością, ja wybaczę ci napady gniewu.

- Doskonale.

Pomógł jej wysiąść z karety, a potem wprowadził na szerokie, granitowe stopnie, pod drzwi domu.

Ku zdumieniu Sary, kiedy oboje czekali na odźwiernego, Charles przyciągnął ją do siebie i ucałował. Nie był to jednak gwałtowny, niemal wulgarny pocałunek, jakim obdarzył ją przy okazji zaręczyn. Przypominał raczej delikatny pocałunek księcia. Sara nie doświadczyła jednak nawet cienia emocji, które towarzyszyły tamtej chwili. Właściwie nie czuła zupełnie nic.

Kiedy powóz odjeżdżał spod rezydencji Haddonfieldów, Weldon wciąż nie mógł zapanować nad rozsadzającym go gniewem, zaciskał z całej siły pięści, jakby chciał wyrządzić komuś krzywdę. Nie kłamał, twierdząc, że lady Sara St. James jest dlań idealną kandydatką na żonę. Liczył oczywiście na jej ogromny posag, jej uroda zaś, choć nieolśniewająca, kryła w sobie pewną szlachetność, która i jemu dodawałaby splendoru. Podniecała go jej chłodna, beznamietna natura, gotów był też wspaniałomyślnie ignorować jej kalectwo.

Najważniejsze jednak było jej urodzenie i pozycja społeczna, które pomogłyby mu uzyskać od dawna pożądany tytuł, tytuł odebrany mu tylko dlatego, że był młodszym synem. Jak ona śmiała przeciwstawiać się swemu przyszłemu mężowi! Był przerażony samowolą i uporem, jakim wykazała się tego wieczoru. Nie tego oczekiwał od prawdziwej damy. Musi znosić jej zachowanie do czasu ślubu, potem jednak szybko nauczy ją, że nie można kwestionować jego poleceń. Żona dżentelmena ma cieszyć się szacunkiem i okazywaną jej troską; w zamian jednak powinna być posłuszna jego woli i to we wszystkich sprawach. Lady Sara także miała zostać posłuszną i oddaną żoną.

To śmieszne, że poróżnił ich jakiś plugawy, niemoralny cudzoziemiec. Oczywiście nie przypuszczał, by dama tak wytworna, jak lady Sara, mogła zachować się nieprzyzwoicie w towarzystwie dzikusa, człowieka, który otwarcie poprosił go o przejażdżkę po londyńskich domach publicznych. Podczas tej wyprawy udowodnił, jak podła jest jego prawdziwa natura. Każdy Anglik wiedział, jak oddzielać święte związki małżeńskie od niskiego pożądania, jakie wzbudzają w mężczyźnie prostytutki; księżę jednak - jeśli naprawdę był księciem - najwyraźniej nie znał takiego rozróżnienia. Niech Bóg ma w opiece kobietę, która zostanie jego żoną, będzie ją bowiem wykorzystywał jak zwykłą dziwkę.

Tego wieczoru Weldon przekonał się także po raz kolejny, że lord Ross Carlisle ma zły wpływ na lady Sarę. To on poprosił ją, by zaprzyjaźniła się z tym Kafiristańczykiem, bez wątplenia popierał także jej nierozsądne i nieskromne zachowanie. Po ślubie musi ograniczyć

kontakty tych dwojga. Nie zrezygnuje zupełnie ze znajomości z lordem Rossem, ten był bowiem synem diuka, da mu jednak do zrozumienia, że nie jest w jego domu mile widzianym gościem. Lady Sara będzie musiała być mu posłuszna w tej kwestii, podobnie zresztą jak we wszystkich innych.

Weldon wyjął chusteczkę i otarł pot z twarzy. Wiedząc, że nie będzie mógł zasnąć tej nocy, dopóki nie wyrzuci z siebie całej złości, zastukał w dach powozu, by przywołać woźnicę, potem zaś wydał mu nowe instrukcje.

Kareta ruszyła w stronę Soho, do lokalu zarządzanego przez panią Cambridge. Wśród jej pomocników znajdowało się pewne rodzeństwo, brat i siostra, oboje bardzo atrakcyjni. Weldon uśmiechnął się do siebie. Ukarze ich za grzechy lady Sary. To będzie bardzo miłe zakończenie wieczoru.

Urowadzenie Jenny Miller z domu publicznego okazało się zaskakująco łatwym zadaniem. Opuściwszy salę balową, Wędrowiec powrócił do hotelu i zamienił strój wieczorowy na ubranie równie ciemne, lecz bardziej anonimowe.

Wcześniej tego samego dnia Wędrowiec wraz ze swym sługą, Kuramem, dokonał dyskretnego oglądu budynku, w którym mieścił się lokal pani Kent, by potem nie tracić czasu na poszukiwania właściwego miejsca. Kuram wynajął także powóz na nocną eskapadę. Czarna dorożka nie różniła się niczym od tysiąca innych londyńskich dorożek i tylko bardzo spostrzegawczy obserwator zauważyłby, że ciągnący ją koń jest znacznie lepiej utrzymany i ładniejszy niż zwierzęta używane zwykle do tej pracy.

Wędrowiec pozwolił Kuramowi powozić, sam zaś siedział w środku i rozmyślał o lady Sarze St. James. Wciąż na nowo go zaskakiwała, była tak różna od wszystkich kobiet, które poznał do tej pory. Oprócz błyskotliwej inteligencji i cichej odwagi, miała w sobie tę samą bezpośredniość, którą tak cenił u lorda Rossa. Oznaczało to, że można nią łatwo manipulować, ci bowiem, którzy sami są otwarci i bezpośredni, nie podejrzewają innych o nieczne zamiary i fałsz.

Chętnie doprowadziłby do zerwania zaręczyn lady Sary, nie krzywdząc przy tym jej samej, a zadając jak największy ból Weldonowi. Zamiast jednak budować taki plan, wciąż powracał myślami do chwil spędzonych wspólnie na balkonie sali balowej. Kiedy zareagowała na jego pocałunek ekscytującą mieszanką niewinnej ciekawości i zmysłowości, zrozumiał, że pod powłoką opanowania i dobrych manier kryje się namiętna kobieta.

Wędrowiec już przed wielu laty nauczył się wzbudzać zainteresowanie kobiet jedynie za pomocą siły woli. Była to kwestia koncentracji, skupienia pasji i pożądania na danej osobie. Kiedy uczynił ten wysiłek, nawet najmniej wrażliwe kobiety zaczynały zwracać na niego uwagę, podczas gdy te bardziej wrażliwe niemal jadły mu z dłoni.

Na szczęście lady Sara należała do tej drugiej grupy. Nie musiał czynić żadnego wysiłku, by połączyła ich niewidzialna nić wzajemnego zainteresowania i namiętności, kiedy zaś świadomie spróbował rozbudzić to uczucie, otworzyła się przed nim jak kwiat. Gdyby nie znajdowali się w miejscu publicznym, z chęcią kontynuowałby to, co wtedy rozpoczęli. Choć Sara nieco się opierała, był przekonany, że bez trudu przekonałby ją do zmiany zdania.

Niepokoila go jednak jej niewinność. Obiecał co prawda Rossowi, że nie skrzywdzi lady Sary, lecz nie wiedział wówczas, że jest tak wrażliwa i niewinna. Choć miała już dwadzieścia siedem lat i wydawała się bardzo rozsądna, istniało duże prawdopodobieństwo,

że gdyby znalazła się pomiędzy dwoma walczącymi stronami, księciem i Weldonem, jej równowaga emocjonalna uległaby zachwianiu.

Wędrowiec zacisnął mocniej usta. Nie chciał łamać obietnicy danej Rossowi, mimo to nawet ona nie mogła przeszkodzić mu w realizacji jego celu. Oczywiście wolałby nie ranić w żaden sposób lady Sary, z drugiej jednak strony uważał, że i tak nie mogłoby spotkać jej nic gorszego niż małżeństwo z Weldonem.

Oderwał się od tych rozmyślań, kiedy powóz wjechał w alejkę, którą wypatrzyli w ciągu dnia. Kuram zatrzymał dorożkę tuż przy wjeździe w ulicę, tak że koń i pojazd ukryte były w cieniu. Dzięki temu w razie potrzeby mogli salwować się szybką ucieczką.

Wędrowiec podniósł zwój liny, którą przygotował wcześniej na tę okoliczność, i zarzucił ją na ramię. Potem wysiadł z powozu i podszedł pod lokal pani Kent. O tej godzinie ulica była całkiem pusta, choć z pobliskiej tawerny dochodziły jakieś pijackie krzyki i śmiech.

Górna część budynku oświetlona była blaskiem księżyca, dzięki czemu ksiązę bez trudu odszukał właściwe okno. Drugie piętro, drugie okno od tyłu. Nie miał ochoty grzebać w londyńskim rynsztoku, przyniósł więc kilka kamieni ze sobą. Teraz wyciągnął jeden z kieszeni i rzucił nim w brudną szybę. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, rzucił drugi.

Sięgał właśnie po trzeci kamień, kiedy okno otworzyło się ze zgrzytem. Po chwili ukazała się w nim blond głowa. Jenny rozglądała się niepewnie, Wędrowiec wszedł więc w blask księżyca, by mogła go rozpoznać. Kiedy pomachała do niego, rzucił jej koniec liny. Za pierwszym razem nie zdążyła jej złapać, a spadający sznur z chrobotem zsunął się po ścianie. Na szczęście nikt nie wyjrzał, by sprawdzić, co się dzieje. W tej okolicy podobne odgłosy przypisywano szczurom.

Przy drugiej próbie Jenny pochwyciła linę, po czym zniknęła we wnętrzu pokoju. Chcąc zaoszczędzić jej czasu i trudu, Wędrowiec zrobił na sznurze specjalną pętlę, teraz więc musiała jedynie założyć ją na jakiś ciężki mebel.

Po chwili Jenny ponownie podeszła do okna, trzymając w dłoni małe zawiniątko z rzeczami. Zrzuciła je księciu, a potem wspięła się na parapet. Nawet z odległości dwudziestu pięciu stóp Wędrowiec widział przerażenie na jej twarzy, Jenny jednak bez wahania odwróciła się i zaczęła schodzić po linie.

Była drobna i bardzo zręczna, i korzystając z węzłów związanych na sznurze w równych, osiemnastocalowych odstępach, bez większych problemów dotarła na ziemię. Zatrzymała się tylko na wysokości pierwszego piętra, kiedy zza okna dobiegł jakiś stłumiony krzyk. Jenny zamarła na chwilę w bezruchu, przypominając sobie zapewne, czego sama doświadczyła w murach tego budynku. Potem podjęła przerwana wędrowkę w dół.

Kiedy była już w jego zasięgu, Wędrowiec odłożył zawiniątko i ujął dziewczynę w tali. Jej ciało była lodowato zimne i drżące. Postawiwszy ją ostrożnie na ziemi, spytał cicho:

- Wszystko w porządku?

Podnosząc swoje rzeczy, Jenny skinęła głową, nie przestała się jednak trząść. Księżę ściągnął płaszcz i zarzucił go na jej ramiona.

- Powóz czeka niedaleko, za rogiem.

Znów skinęła w milczeniu głową i wyszła z nim na ulicę. Niestety, ta nie była już pusta; z tawerny wytoczyli się właśnie trzech pijani marynarze i wsparci o siebie maszerowali środkiem drogi, wyśpiewując przy tym ochryple jakieś wulgarnie piosenki. Wędrowiec i Jenny musieli ich wyminąć, by dotrzeć do powozu. Księżę wolną ręką ujął dziewczynę pod ramię.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - powiedział półgłosem. - Trzymaj się tylko mnie.

- Ej, chłopaki! - zawołał najwyższy z trójki mężczyzn. - Popatrzcie no na tego nocnego ptaszka. - Wyszczерzył zęby do Jenny. - Chodź z nami, słodziutka, nauczysz się trzy razy więcej.

Dziewczyna spojrzała nań z przestachem, a blask księżycy odsłonił jej piękną twarz. Blondwłosa, odziana we frywolną, białą sukienkę, wyglądała jak ucieleśnienie męskich marzeń.

Na ten widok drugi z marynarzy, przysadzisty chłop o posturze niedźwiedzia, gwizdnał przeciągle.

- Ho, ho, to ci dopiero ślicznotka. - Kiedy wszyscy trzech zaczęli się do nich zbliżać, dodał słodkim tonem. - Chodź do mnie, kochaneczko, niech no przyjrzę ci się z bliska.

Wędrowiec postąpił o krok i oświadczył stalowym głosem:

- Ta dama jest ze mną.

- Przecież to nie jest żadna dama, każdy głupek to widzi - parsknął marynarz. Potem dodał pojednawczym tonem: - Nie bądź psem ogrodnika, kolego. Przecież wszyscy czterej możemy się nią podzielić.

Kiedy Jenny jęknęła cicho, księżę stanął pomiędzy nią a pijanymi marynarzami.

- Powiedziałem: nie. Jest moja.

Dobry humor krępego mężczyzny zmienił się w gniew.

- Tylko nie mów potem, żeśmy ładnie nie prosili - warknął i bez ostrzeżenia skoczył naprzód, wyciągając ręce do gardła Wędrowca.

Ten niespiesznie postąpił naprzód i pochwycił prawy nadgarstek napastnika. Jednym ruchem wykręcił jego rękę tak, że każdy gwałtowny ruch z jego strony groził mu

wyłamaniem łokcia. Kiedy marynarz zawył z bólu, jego dwaj towarzysze skoczyli mu na pomoc. Książę obrócił swego więźnia w miejscu i pchnął go na dwóch pozostałych marynarzy.

Nie minęło nawet dziesięć sekund od początku bójki, a trzech pijani napastnicy leżeli już na brudnej ulicy. Kiedy najwyższy z nich próbował wstać, kopniak wymierzony pod żebra odebrał mu chęć do dalszej walki. Równie brutalnie książę obszedł się z jego przysadzistym kolegą.

- Poszukajcie sobie innej kobiety, tylko nie zapomnijcie jej najpierw spytać, czy tego chce. Jeśli spróbujecie się dobierać do takiej, która wam odmówiła, mogę o tym usłyszeć i wrócić tu, a wtedy mamy wasz los.

Pijany marynarz obdarzył go morderczym spojrzeniem, ograniczył się jednak tylko do kilku wulgarnych przekleństw, wyraźnie straciwszy chęć do bitki. Książę ponownie wziął Jenny pod ramię i zaprowadził ją do powozu.

Dziewczyna spojrzała z ciekawością na Kurama, który siedział na koźle woźnicy nieruchomo niczym posąg. Jedynym ustępstwem na rzecz niepozornego, maskującego stroju z jego strony, była wymiana białego turbana na czarny.

- Dlaczego on nie przyszedł panu pomóc? - spytała Jenny księcia. Kuram odpowiedział jej sam, mocno akcentowaną angielszczyzną:

- To nie było potrzebne.

Dziewczyna zerknęła na swego wybawcę, potem uśmiechnęła się lekko.

Rzeczywiście, nie było - mruknęła, wchodząc do powozu. Kiedy dorożka ruszyła już z miejsca, Wędrowiec wyciągnął małą butelkę brandy.

- Napij się trochę. Potrzebujesz tego.

Jenny posłusznie pociągnęła łyk, zakrztusiła się, kiedy piekący płyn spłynął jej do gardła, 'potem oddała butelkę księciu.

- Gdybym kiedykolwiek zechciała pracować na ulicy, takie męty szybko wybiłyby mi z głowy ten pomysł.

- Zgadza się. W porównaniu z takim życiem dom pani Kent wydałby ci się całkiem przytulnym miejscem. Stać cię na znacznie więcej. - Słyszał szelest tkaniny, kiedy otuliła się szczelniej jego płaszczem. - Nie masz żadnych ciepłych ubrań?

Jenny odparła gorzko:

- Ona nie wyrzucałaby przecież pieniędzy na ciepłe ubrania dla kogoś, kto nigdy nie wychodzi na zewnątrz.

- No tak, oczywiście, że by tego nie zrobiła.

Przez kilka minut oboje milczeli. Wreszcie Jenny powiedziała cicho:

- Nie sądziłam, że naprawdę pan przyjdzie.

- Cóż, życie nauczyło cię, że nie należy ufać nikomu - odparł Wędrowiec, nieurazony.

- Ale, jak widzisz, zrobiłem to, co ci obiecałem.

- Tylko dlaczego? - spytała, zakłopotana. - Dlaczego zadaje pan sobie tyle trudu, by pomóc komuś, kto nic dla pana nie znaczy? Nie znam nawet pańskiego imienia.

- Nazywają mnie Wędrowcem, a to, co zrobiłem, wcale nie sprawiło mi większych trudności. Miałem okazję spełnić dobry uczynek, nie wysilając się przy tym specjalnie. Jenny nie dała się jednak odwieść od tematu.

- Bóg jeden wie, ilu mężczyzn odwiedziło mnie przez te wszystkie lata. Niektórzy byli lepsi od innych, nikt jednak nie chciał mi pomóc. Dlaczego pan to zrobił? Czego pan chce ode mnie?

Wędrowiec zrozumiał, że oczekuje od niego szczerzej odpowiedzi, spróbował więc przypomnieć sobie, dlaczego właściwie postanowił jej pomóc. Choć działał pod wpływem impulsu, zazwyczaj potrafił dociec, co jest prawdziwym powodem takich właśnie impulsów.

- Kiedy rozmawiałem z tobą wczorajszej nocy, przekonałem się, że mimo wszystko nie jesteś całkiem zepsuta. Myślę, że należysz do tych nielicznych osób, które pomimo ogromnych przeciwności potrafią podźwignąć się z dna i zbudować sobie lepsze życie. - Spojrzał na skuloną, wciśniętą w kąt dziewczynkę, a jego myśli powędrowały w przeszłość, ku zupełnie innej osobie. - Przypominasz mi pewnego chłopca, chłopca, który także wiele wycierpiał, ale nie dał się złamać. Lecz choć był silny i wytrwały, nie osiągnąłby wiele, gdyby nie pomógł mu ktoś z zewnątrz. - Wędrowiec zamyślił się na moment. — Jeśli zaś chodzi o twoje pytanie... Nie chcę od ciebie niczego prócz obietnicy, że jeśli dzięki tobie ktoś będzie mógł kiedyś odmienić swe życie, nie odmówisz mu pomocy.

- Czy to pan był tym chłopcem? - spytała Jenny z zainteresowaniem.

Bystry dzieciak. Ignorując pytanie, książkę znów podał jej butelkę z brandy.

- Napij się jeszcze. Wciąż szczękasz zębami.

Jenny pociągnęła kolejny łyk, tym razem już się nie krztusząc.

- Dokąd pan mnie zabiera?

- Do domu człowieka, który dla mnie pracuje. Zaopiekuje się tobą, dopóki nie będziesz gotowa do samodzielnego życia.

- Czy on wie... kim ja jestem?

- Wie, że byłaś w burdelu, ale to, co robiłaś, nie określa tego, kim jesteś - odparł ostro Wędrowiec. - Pamiętaj o tym.

- Spróbuję. - Oddała mu butelkę. - Czy on będzie chciał, że bym...? - Jenny wzdrygnęła się z odrazą.

- Nie, nie będzie. - Książę uśmiechnął się słabo. - W odróżnieniu ode mnie, to człowiek honoru.

Jenny rozsądnie przemilczała tę uwagę.

Dom Benjamin Slade'a mieścił się przy cichej ulicy w Westminsterze. Otworzył drzwi już po pierwszym kołataniu.

- Cieszę się, że dotarliście bez kłopotu. - Slade odsunął się na bok, by wpuścić ich do środka. - Proszę przejść do mojego gabinetu. Tam możemy spokojnie porozmawiać.

Gabinet urządony był w klasycznym, męskim stylu, ściany zdobiły dębowe panele, a masywne fotele obite były skórą. Oczekując na ich przybycie, Slade zajmował się pracą, pokój był bowiem dobrze oświetlony, a biurko zasłane jakimiś papierami. Kiedy zamknął za nimi drzwi, Wędrowiec dokonał krótkiej prezentacji:

- Pan Slade, panna Miller. Jenny drgnęła, zaskoczona.

- Nikt dotąd nie nazywał mnie panną Miller.

- Przyzwyczaj się pani do tego - odrzekł Benjamin. Otworzył szerzej oczy, kiedy zobaczył swego gościa w pełnym świetle. Wędrowiec przygotował go na spotkanie z młodą dziewczyną, nie wspomniał jednak, że jest tak niezmiernie piękna. Otrząsnąwszy się ze zdumienia, przypomniał sobie o dobrych manierach. Wskazując na czajnik podgrzewany płomykiem lampki spirytusowej, spytał:

- Może napije się pani herbaty, panno Miller?

Kiedy skinęła głową, nalał jej herbaty do filiżanki, jakby była księżną.

- Jeśli jest pani głodna, proszę częstować się ciastkami. A gdyby chciała pani czegoś więcej, sprawdzę zaraz, co jest w kuchni.

- Och nie, dziękuję, panie Slade, to mi w zupełności wystarczy - odparła nerwowo, siadając przy stoliku i mieszając herbatę.

Książę obserwował ten rytuał z rozbawieniem. Brytyjczycy szukali w herbacie pokrzepienia tak, jak inne narody szukają go u Boga. Najwyraźniej herbata była równie skuteczna jak religia, gdyż blada twarz Jenny powoli odzyskiwała normalne kolory, ona sama zaś nabierała otuchy.

- Ja poczęstuję się czymś mocniejszym, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Benjaminie - powiedział Wędrowiec. Kiedy gospodarz skinął przyzwalająco głową, nalał sobie kieliszek brandy, rozsiadł się w fotelu i mówił dalej: - Nie wspomniałem o tym w liście, ale to właśnie człowiek, którym obaj się interesujemy, wprowadził mnie do domu będącego więzieniem

Jenny. - Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął kartkę złożoną na czworo. - To kilka innych lokali, które powinienś sprawdzić: adresy, specjalności, nazwiska kobiet, które je prowadzą. Jenny była w domu, którego adres umieściłem na samej górze.

Prawnik usiadł i nalał sobie herbaty.

- Domyślałem się, że istnieje jakiś związek pomiędzy tym śledztwem i uprowadzeniem panny Miller. - Kiedy przebiegał wzrokiem kolejne linijki tekstu, na jego twarzy pojawiały się na przemian gniew i odraza. - To ohydne.

- Cóż, to po prostu miejsca, w którym bogaci kupcy oddają się grzechom starym jak świat. - Wędrowiec wzruszył ramionami. Łyknąwszy brandy, dodał: - Powinniśmy sprawdzić, czy pani Kent rzeczywiście jest właścicielką tego domu.

- Nie jest - wtrąciła Jenny z ustami zapchanymi ciastkiem. Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. - Wiesz, kto jest prawdziwym właścicielem? - spytał Wędrowiec. Dziewczyna przełknęła ostatni kęs.

- Tak, pewien bogaty facet, z takich, co to przy innych udają, że w ogóle nie wiedzą, co znaczy słowo „dziwka”.

Księżę zerknął na Slade'a. Ten patrzył na Jenny z coraz większym zainteresowaniem. Obaj widocznie pomyśleli o tym samym. Być może zupełnie przypadkowo wpadł im w ręce bardzo ważny świadek.

- Możesz opisać go nieco dokładniej?

- Ma jakieś pięćdziesiąt lat, ale bardzo dba o siebie. Jasnobrązowe włosy, odrobina siwizny. - Zmierzyła spojrzeniem obu mężczyzn Wzrost... gdzieś pomiędzy panem a panem Slade'em, nie gruby ale dobrze odżywiony.

- Rozpoznałabyś go bez trudu, gdybyś znów mogła go spotkać?

Jej delikatne rysy stężały nagle w grymasie gniewu. Wcale nie przypominała teraz dziecka.

- O tak, rozpoznałabym go nawet w piekle - powiedziała cicho. - To on wziął mnie pierwszy i wcale nie był przy tym delikatny. Choć najbardziej lubił dziewice, odwiedzał mnie później regularnie. Był jednym z najgorszych klientów.

- Skąd pani wie, że to właściciel, a nie klient? - Tym razem pytanie zadał Slade.

- Słyszałam różne plotki i rozmowy - odparła Jenny wymijająco. Wędrowiec podejrzewał, że dziewczyna jest prawdziwym ekspertem od podsłuchiwania. Wiedział doskonale, że w tak ciężkich warunkach, w jakich przyszło jej żyć, była to jedna z bardzo przydatnych umiejętności.

- Pamiętasz, czego dotyczyły te rozmowy?

- Kilka razy słyszałam, jak mówił coś do pani Kent, chodziło mu o zyski, jakie przynosił nasz dom. Kiedyś było tego za mało, więc on jej groził, mówił, że może pani Kent zatrzymuje zbyt dużo dla siebie. Nie podnosił głosu, wydawał się nawet uprzejmy, ale ja wiedziałam, jaki on jest. Dostałam dreszczy ze strachu. - Potem Jenny dodała z satysfakcją. - Ona też musiała się nieźle wystraszyć, bo przez następne kilka dni była wyjątkowo spokojna.

- Znasz nazwisko tego człowieka? - dopytywał się książę. Pokręciła głową.

- Nie, nie znam jego prawdziwego nazwiska. Wiem tylko, że kazał pani Kent, mnie i innym dziewczętom mówić do siebie „Panie”.

Wędrowiec tylko dlatego nie wydał z siebie triumfalnego okrzyku, że zaniepokojeni sąsiedzi mogliby wtedy wezwać policję. Przedtem myślał, że to jakiś nagły odruch dobroci serca kazał mu uwolnić Jenny Miller, teraz jednak zrozumiał, że musiał to być jakiś znacznie głębszy instykt.

- Istnieje szansa, że kiedyś ów właściciel zostanie aresztowany i osądzony za swoje czyny. Gdyby do tego doszło, czy byłabyś go w stanie zidentyfikować, a może nawet zeznawać w sądzie? Zapewniam cię, że ani ten człowiek, ani pani Kent nie mogliby cię skrzywdzić.

Niebieskie oczy Jenny zapłonęły żądzą odwetu.

- Nawet gdyby pan mnie nie ochraniał, zrobiłabym to. Zrobiłabym wszystko, byle tylko zemścić się na tym łajdaku. To człowiek, który wolałby raczej zginąć, niż pokazać światu, kim naprawdę jest, więc publiczny proces byłby dla niego gorszy od chłosty. - Uśmiechnęła się ponuro. - O tak, mogłabym go zidentyfikować. Podałabym taki opis, że sędzia rumieniłby się ze wstydu.

- Dobra dziewczynka. Prawdopodobnie nie będzie takiej konieczności, ale cieszę się, że jesteś gotowa nam pomóc. - Wędrowiec wątpił, by Weldon kiedykolwiek stanął przed sądem; istniało tyle ciekawszych wariantów zemsty na znieawidzonym wrogu. Gdyby jednak doszło do takiego procesu, Jenny byłaby bardzo cennym świadkiem. - Na razie powinnaś odpocząć i przygotować się do nowego życia. Pan Slade zadba o to, byś miała się w co ubrać. Potrzebujesz zupełnie nowej garderoby.

- Świetnie - ucieszyła się Jenny. - Wtedy będę mogła spalić rzeczy, które ona kazała mi nosić.

Książę uśmiechnął się do siebie. Wyczuwał w Jenny pokrewną duszę. Pomimo delikatnego, anielskiego wręcz wyglądu, mogła być niewygodnym i śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem.

- Powiedziałaś wczoraj w nocy, że chętnie pracowałabyś jako pokojówka u jakiejś

damy. Skoro naprawdę o tym marzysz, sprowadzimy tu jakąś doświadczoną służącą, która nauczy cię wszystkich potrzebnych rzeczy. Czy to możliwe, Benjaminie?

Prawnik skinął głową.

- Nie widzę żadnych przeszkód. Myślę, że po takim przeszkoleniu bez trudu znajdzie pani jakąś przyzwoitą posadę.

Jenny odwróciła głowę, by ukryć zakłopotanie i lży wzruszenia.

- Dziękuję wam - wyszeptała. - Bardzo dziękuję. Jej wybawca wstał z fotela, zagadkowy i tajemniczy.

- Niewiele w tym mojej zasługi. Ty sama będziesz musiała wykonać najcięższą pracę.

- Zakładając kapelusz, powiedział: - Jeśli będziesz chciała ze mną porozmawiać, powiedz o tym panu Slade'owi, on wie, jak mnie znaleźć. Śpij dobrze, Jenny.

Jenny obserwowała w milczeniu, jak Wędrowiec żegna się ze swym pracownikiem i wychodzi. Był naprawdę dziwny. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy spojrzał na nią tymi niesamowitymi, zielonymi oczami, naprawdę się wystraszyła. Nawet po tym wszystkim, co dla niej zrobił, wciąż wzbudzał w niej jakiś niepokój, choć nie był to strach.

Kiedy pan Slade powrócił do gabinetu, spytała:

- Skąd pochodzi pan Wędrowiec? Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że jest Irlandczykiem, ale mówił z jakimś dziwnym akcentem. To znaczy, właściwie bez akcentu - poprawiła się - ale inaczej niż wszyscy.

- Wędrowiec jest księciem, pochodzi z dzikiej krainy w Azji, o której większość ludzi nawet nie słyszała - odparł Slade. Potem przechylił lekko głowę i dodał: - Pani też mówi bardzo ładnie. Nie przypuszczałem, że... - urwał nagle zakłopotany.

- Że dziwka może się tak dobrze wysławiać? - dokończyła bez żenady i z zainteresowaniem obserwowała, jak na twarz Slade'a wypływa rumieniec.

- Tak. Przepraszam, nie chciałem pani obrazić, ale... - Przeciągnął dłonią przez siwiejące włosy, zupełnie straciwszy koncept.

- Nie ma się o co obrażać, przecież byłam prostytutką - powiedziała, litując się nad nim i próbując wybawić go z zakłopotania. - Byłam.

I już nigdy nie będę.

Slade uśmiechnął się do niej lekko.

- Jest pani niezwykle młodą kobietą.

- Mówię lepiej, niż którakolwiek inna dziewczyna z domu pani Kent, umiem też czytać i pisać - oświadczyła Jenny z dumą. - Kiedy byłam mała, w sąsiedniej kamienicy mieszkała pewna starsza dama. Panna Crane była kiedyś nauczycielką, ale nie poszczęściło

jej się w życiu i dlatego mieszkała w naszej dzielnicy. Często pomagałam jej w zakupach, sprzątałam jej pokój, kiedy bardzo dokuczał jej reumatyzm. W zamian uczyła mnie różnych rzeczy. Obie to lubiliśmy. Miała mnóstwo książek i pozwalała mi je czytać u siebie w mieszkaniu.

- Czy panna Crane jeszcze żyje?

- Nie, zmarła pewnej nocy we śnie. Po jej śmierci tata mnie sprzedał. Być może właśnie przez nią nie zrobił tego wcześniej. On się jej trochę bał, sama nie wiem dlaczego.

Slade pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Kiedyś myślałem, że życie doświadczyło mnie bardziej niż innych, ale teraz widzę, że nie miałem pojęcia, o czym mówię. Dopóki jest pani moim gościem, może pani bez przeszkód korzystać z biblioteki. - Kiedy Jenny nie zdążyła stłumić ziewnięcia, dodał stanowczym tonem: - Czas do łóżka, panno Miller. Proszę iść za mną.

Jenny zmrużyła oczy. Choć Wędrowiec - kto by pomyślał, że to książę! - zapewniał ją, że pan Slade nie będzie próbował jej skrzywdzić, ten mówił teraz tak, jakby chciał zaciągnąć ją do swej sypialni.

Slade jakby czytał w jej myślach.

- Będzie pani spać sama, tej nocy i każdej innej. Od tej pory jest pani panną Miller, moją młodą kuzynką, która popadła w tarapaty finansowe i zostanie ze mną, dopóki nie znajdzie się jakieś wyjście z tej trudnej sytuacji.

Zawahał się na moment, potem zaś usiadł za biurkiem i wyciągnął z szuflady metalową kasetkę. Otworzył ją wyciągniętym z kieszeni kluczykiem, wyjął kilka banknotów i po zamknięciu ponownie ukrył w szufladzie. Jenny otworzyła szeroko oczy, kiedy wręczył jej pieniądze. Było to całe dwadzieścia funtów, mogłaby przeżyć za to kilka dobrych miesięcy. Skonfundowana podniosła nań wzrok.

- Skoro nie chce pan, żebym z panem spała, to dlaczego daje mi pan pieniądze?

- Żebyś nie czuła się tu uwięziona - odparł. Jego szare oczy były tak dobre, tak łagodne, że znów zebrало jej się na płacz. - Mam nadzieję, że nie uciekniesz, i to zarówno ze względu na twoje dobro, jak i na śledztwo w sprawie człowieka, którego nazywałaś „Panem”. Chcę jednak, byś wiedziała, że nie jesteś tu więźniem.

Jenny przeniosła spojrzenie na szufladę, w której Slade schował kasetkę.

- Nie boi się pan, że ucieknę z pańskimi pieniędzmi? Slade uniósł brwi.

- A powinienem?

Przełknęła ciężko, potem pokręciła głową. Pochyliła się szybko, by ukryć przed nim twarz i schować pieniądze do swego zawiniątka. Nie wiedziała, dlaczego jej zaufał, ale skoro

już to zrobił, wolałaby raczej umrzeć, niż ukraść choćby kawałek węgla z jego kominka.

Kiedy gospodarz prowadził ją na piętro domu, rozmyślała o tym, jak dziwna była ta noc. Najpierw Wędrowiec, a teraz pan Slade; nie wiedziała, że mężczyźni mogą być tacy mili. Z drugiej jednak strony mili mężczyźni raczej nie lubią pastwić się nad małymi dziewczynkami, nie miała więc dotąd okazji poznać nikogo takiego.

W pewnym sensie pan Slade zdumiewał ją nawet bardziej niż Wędrowiec. Książę był człowiekiem niezwykłym, jedynym w swoim rodzaju, to od razu rzucało się w oczy. Ponieważ jednak widziała niemal od samego początku, że jej nie chce, wcale nie była zaskoczona, że trzymał ręce - i wszystko inne - przy sobie.

Lecz pan Slade chciał jej, wiedziała o tym od pierwszej chwili, a mimo to nie próbował w żaden sposób jej niepokoić. Dał jej nawet pieniądze, by mogła odejść, jeśli tego zechce! Zdumiewające. Był niepozorny, na pierwszy czy nawet na drugi rzut oka wydawał się całkiem zwyczajnym człowiekiem, krył jednak w sobie znacznie więcej, niż można by przypuszczać.

Jej pokój był czysty i przytulny, nie wyglądał na używany zbyt często, przy tym różnił się ogromnie od pomieszczenia, w którym przebywała przez ostatnich kilka lat, więc natychmiast go polubiła. Umyła się pospiesznie rękami drżącymi ze zmęczenia i nerwów, włożyła koszulę nocną i wśliznęła się pod kołdrę. Leżąc na wygodnym, czystym łóżku, powiedziała sobie, że nigdy już nie nałoży jednej z tych frywolnych, dziecinnych koszulek, w które kazała jej się ubierać pani Kent - nawet nie zabrała ze sobą żadnej.

Choć była wyczerpana, nie pozwoliła sobie zasnąć od razu. Powoli, świadomie odtwarzała w myślach wszystkie lata spędzone w domu publicznym, od czasu gdy była prawdziwą dziewczicą i gdy zgwałcił ją mężczyzna nazywający siebie Panem, aż do minionej nocy, kiedy bała się, że gruby klient nigdy nie opuści pokoju i że nie będzie miała czasu, by przygotować się do ucieczki, choć nie była wcale pewna, czy Wędrowiec naprawdę po nią przyjdzie. Jednak przyszedł i jej stare życie wreszcie się skończyło. Na zawsze.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni ani nigdy nie przebaczy tym, którzy ją skrzywdzili, nie zamierzała jednak także litować się nad sobą. Niespodziewanie dopisało jej szczęście, dostała od losu szansę na lepsze życie. Nie chciała jej zmarnować.

Nazajutrz sir Charles Weldon otrzymał od pani Kent krótki list, w którym ta informowała go, że jego ulubiona i najbardziej dochodowa prostytutka uciekła. Weldon zaklął paskudnie, wrzucił zmięty liścik do popielniczki i podpałił go. Zrobił już fortunę na Jenny Miller, sam też chętnie korzystał z jej wdzięków. Była dobrą aktoreczką i pomimo wielu lat spędzonych w burdelu, wciąż zachowała w sobie dziecięcą niewinność, która zawsze go

podniecała.

Prawdopodobnie ta mała zdzira namówiła jakiegoś klienta, by zrobił z niej swoją kochankę, i zniknęła na dobre. Palce Weldoną pokryły się sadzą, kiedy zgniótł spaloną kartkę. Jeśli kiedykolwiek jeszcze spotka na swej drodze Jenny Miller, panienska ta gorzko pożałuje, że postanowiła od niego uciec. A on będzie się rozkoszował każdą chwilą jej udreki.

Panna Eliza Weldon wrzuciła garść okruchów chleba do wody i roześmiała się radośnie, kiedy kilka kaczek i łabędzi ruszyło gwałtownie w tę stronę.

Sara śmiała się wraz z nią. Wcześniej razem wybrały się na zakupy i zjadły lody, teraz zaś przeszły się do Hyde Parku, by cieszyć się popołudniowym słońcem. Kiedy Eliza powiedziała swej przyszłej macosze, że nigdy jeszcze nie karmiła kaczek, wstąpiły jeszcze do sklepu po chleb. Rzucając okruchy w stronę rozkwakanego, rosnącego z każdą chwilą stada ptaków, Sara powiedziała:

- Zastanawiające, dlaczego karmienie kaczek jest takie przyjemne.

- Może dlatego, że one się tym tak cieszą. Wtedy człowiek czuje się potrzebny. - Policzki Elizy były różowe, a kosmyki jasnych włosów wymykały się wdzięcznie spod jej czepka. Spoglądając nieśmiało na Sarę, dziewczynka dodała: - Cieszę się, że wkrótce będzie wasz ślub. Tak bardzo chciałabym już z wami mieszkać.

Od śmierci matki Eliza mieszkała z rodziną starszego brata Charlesa, lorda Batsforda. Sara myślała do tej pory, że to bardzo dogodny układ, być może jednak pojawiły się jakieś problemy, o których nie miała pojęcia.

- Nie podoba ci się u wuja i ciotki?

- Och nie, bardzo mi się podoba - odparła Eliza, zaskoczona tym pytaniem. - Traktują mnie jak własne dziecko. Będzie mi ich brakować, ale tak bardzo chciałabym zamieszkać z tatą. - W jej błękitnych oczach pojawił się smutek. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego odprawił mnie z domu po śmierci mamy. Czasami myślę sobie, że może się mnie wstydził.

- Niemożliwe! - Zszokowana Sara położyła rękę na ramieniu dziewczynki. - Skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł?

- On jest taki przystojny, mądry i ważny. - Z opuszczoną głową Eliza odrywała kolejne kawałki chleba i rzucała je kaczkom. - A ja nie jestem nikim ważnym, tylko zwykłą dziewczynką.

- Myślisz, że twój tato wolałby syna?

- A czy nie tego chcą wszyscy mężczyźni? - odparła Eliza nonszalancko, jakby odpowiedź była oczywista.

Sara zmarszczyła brwi. Dziewczynka usłyszała zapewne jakąś rozmowę dorosłych, w której ci narzekali, że żona Charlesa nie powiła mu syna. Te słowa utkwiły w jej pamięci jak cierń i dręczyły ją bezustannie.

- W czasach, kiedy człowiek musiał bronić swych ziem mieczem, synowie byli bardzo

użyteczni, ale teraz nie ma to już takiego znaczenia. Mój ojciec powiedział kiedyś, że chciałby mieć syna, który odziedziczyłby jego tytuł, ale tylko wtedy, gdyby miał tego syna oprócz mnie, a nie zamiast. Wiem, że twój tato czuje to samo.

Eliza podniosła na nią wzrok. Bardzo chciała w to wierzyć.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie myślę, lecz wiem - odparła Sara z naciskiem. - Twój tato mówił mi, jak bardzo cieszy się na twój powrót. Ale jest bardzo zajęty i wiedział, że po śmierci mamy byłabyś samotna. Dlatego zgodził się, byś zamieszkała u swojego wuja. Pomyślał że będziesz szczęśliwsza w towarzystwie cioci i swoich kuzynek.

- Czasami mam dość tego ich towarzystwa - mruknęła Eliza, choć jej twarz wyraźnie pojaśniała. - Jest ich aż sześcioro, a ja tylko jedna.

- Ale po przeprowadzce na pewno będziesz za nimi tęsknić. Dobrze, że nie będziecie mieszkać daleko od siebie. - Sara spojrzała w oczy dziewczynki. - Nigdy nie zapominaj, że twój tato bardzo cię kocha. Bardziej niż mnie czy kogokolwiek innego.

Na rozpromienionej twarzyczce Elizy pojawił się znów niepokój.

- Skoro to prawda, to pewnie wkrótce przestaniesz mnie lubić.

- Ależ skąd. Miłość to nie jest współzawodnictwo, miłość nie jest też ograniczona, jak dzbanek herbaty, którą możesz rozlać tylko do kilku filiżanek. Mężczyźni inaczej kochają swoje żony, a inaczej dzieci. Być może miłość do dziecka jest silniejsza, bo dziecko to przecież częśćka nas. - Sara zachichotała. - Wymądrzam się jak, jakiś wielki autorytet, co? A przecież nigdy nie miałam męża ani dziecka.

Eliza objęła ją w talii i uściskała mocno.

- Ale wkrótce będziesz mieć jedno i drugie.

- Tak, a w dodatku los obdarzył mnie prawie dorosłą córką. Gdybym miała małe dziecko, musiałoby minąć wiele lat, nim mogła bym pójść z nim na zakupy!

Obie śmiały się radośnie, kiedy jakiś głęboki głos zapytał:

- Czy to prywatne kaczki, czy ktoś może mnie im przedstawić? Odwróciły się jednocześnie od stawu i ujrzały księcia Wędrowca, który zeskakiwał właśnie z siwego ogiera zakupionego kilka dni wcześniej u Tattersalla. Jechał zapewne wzdłuż Rotten Row, odległej w tym miejscu zaledwie o kilka jardów od stawu. Choć dziś miał na sobie odpowiedni strój jeździecki, zrezygnował z kapelusza, a potargane wiatrem włosy dodawały mu romantycznego uroku. Z pewnością był to widok, który rozpaliby serce każdej damy. Toteż rozpalił i serce Sary.

Wpatrując się w księcia jak w obrazek, Eliza wykonała ukłon dość głęboki, który

mógłby zadowolić samą królową. Wyglądał nawet lepiej niż przy pierwszym spotkaniu Elizy z księciem; Sara podejrzewała, że dziewczynka ćwiczyła go w domu. Nie potępiła jej też bynajmniej za tak dobitny gest szacunku, gdyż Wędrowiec wydawał się rzeczywiście bardziej godny królewskich honorów niż którykolwiek z członków domu panującego.

- To publiczne kaczki - odparła Sara z uśmiechem. - Są bardzo niezdyscyplinowane, więc będzie pan musiał sam im się przedstawić. Nie mają szacunku dla tytułów i godności.

- Kaczki to naturalnie demokratyczny naród - zgodził się z nią Wędrowiec. - Panno Weldon, czy wiedziała pani, że można wywabić kaczki na ląd, układając w szeregu kawałki chleba?

- Naprawdę? - Eliza natychmiast wypróbowała ten sposób, wyciągając z wody co odważniejsze - lub co bardziej żarłoczne - ptaki. Wkrótce prowadziła już za sobą cały rozkwakany oddział.

- Brawo, wasza wysokość. - Sara pogłaskała aksamitne chrapy ogiera. - Sprytnie pozbył się pan Elizy, byśmy mogli choć przez chwilę swobodnie porozmawiać.

- O co też pani mnie podejrzewa, lady Saro? - odparł książe, spoglądając na nią z urazą. - Naprawdę myśli pani, że chciałem wykorzystać kaczki, by nie splamić niewinności tego dziecka jakąś nieskromną uwagą?

Sara była zafascynowana tym, z jaką niesamowitą łatwością książe łączył tak różne cechy charakteru. Roztaczał wokół siebie aurę tajemniczości i romantyzmu, niczym bohater dzieł Byrona, a jednocześnie potrafił się z nią droczyć i stroić żarty z kaczek.

- Przypuszczam, że kiedy czegoś pan chce, wykorzystasz pan wszystko, nawet żarłoczność kaczek.

Znieruchomiał na moment, jakby te słowa uderzyły go w jakiś nieoczekiwany sposób. Potem spojrzał na Elizę.

- Ładne dziecko.

- Tak. Wyglądem przypomina ojca, ale charakter odziedziczyła podobno po matce. Charles ją uwielbia.

- Naprawdę? - Wędrowiec ściągnął brwi w wyrazie zaskoczenia. - Nie wygląda mi raczej na troskliwego ojca.

- Nie zna go pan zbyt dobrze. - Widząc, że Eliza nie ma już chleba, Sara przywołała ją na moment do siebie i dała jej swoją połówkę bochenka, by dziewczynka nadal mogła bawić się w królową ptactwa wodnego.

- Być może, ale staram się nadrobić zaległości w tej kwestii. Sir Charles to interesujący człowiek. - Siwy ogier cofnął się o krok, kiedy jedna z kaczek przeleciała zbyt

blisko, a księżę uspokoił go łagodnym, pieszczotliwym gestem. — Choć nie zamierzam wygłaszać żadnych nieskromnych uwag, chciałbym panią prosić o przysługę, lady Saro.

Kiedy spojrzała nań pytająco, wyjaśnił:

- Chciałbym kupić dom na wsi, a mój prawnik znalazł pewną posiadłość zwaną Sulgrave. To niedaleko stąd, w Surrey, dlatego też chciałbym się tam jutro wybrać. Prawdę mówiąc, liczyłem na to, że zechce mi pani towarzyszyć w tej podróży.

Sara nie odpowiedziała od razu. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna pozostawać sam na sam z Kafiristańczykiem przez dłuższy czas, wiedziała już, jak dziwnie działa na nią sama jego obecność. Po pocałunku na balu powinna go unikać, powinna czuć się teraz zakłopotana, a tymczasem była tylko zadowolona. Zbyt zadowolona.

Wędrowiec rzucił do ataku cały zapas swego nieodpartego czaru.

- Proszę. Nie mam pojęcia, jak powinna wyglądać wiejska rezydencja w Anglii, by uznać ją za dobre miejsce do mieszkania.

Charles z pewnością nie pochwaliby całodniowego wyjazdu z cudzoziemcem „o wątpliwej moralności”, Charles jednak nie zachowywał się rozsądnie, kiedy chodziło o księcia Wędrowca, a ona nie zamierzała kierować się uprzedzeniami swego narzeczonego.

- Z przyjemnością podzielę się z panem moją opinią, jeśli tak panu na tym zależy.

- Doskonale - odrzekł ciepło. - Czy mogę przyjechać po panią o dziesiątej rano?

- Dobrze. - Po krótkim namyśle dodała: - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym raczej pojechać wierzchem niż w karecie. Przysłano mi właśnie bardzo ładną klacz, a nie miałam jeszcze okazji jej wypróbować.

Księżę zmarszczył brwi.

- To długa droga, może być zbyt męcząca dla kogoś, kto nie jeździł na koniu od dziesięciu lat.

- To prawda - przyznała. - Ale już moja w tym głowa, by tak się nie stało.

Księżę wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To nie głowa będzie panią bolała pod koniec dnia, skoro jednak woli pani jechać wierzchem, muszę się podporządkować.

Krzyk Elizy wybawił Sarę od konieczności wymyślenia jakiejś inteligentnej riposty. Oboje spojrzeli na dziewczynkę, która wywabiła na brzeg łabędzia, a potem próbowała go dotknąć. Łabędzie z natury są złośliwe i nieprzystępne, a ten rozłożył swe wielkie skrzydła i zaczął gonić Elizę, wyciągając przy tym długą szyję i sycząc złowieszczo.

- Ojej - powiedziała Sara, rozbawiona i przestraszona jednocześnie. - Rozzłoszczony łabędź może napędzić strachu nawet dorosłemu człowiekowi, a co dopiero dziecku. Uratuje

pan Elize?

- Oczywiście.

Wędrowiec wręczył Sarze wodze i ruszył w stronę dziewczynki, rozganiając na boki natrętne kaczki. Łabędź jeszcze mocniej wyciągnął szyję i rzucił się w stronę intruza, zatrzymał się jednak, kiedy księżę zaklaskał w dłonie i ostrym głosem wypowiedział jakieś zdanie w obcym języku. Syknąwszy raz jeszcze, ptak wskoczył do wody i odpłynął, potrzepując ogonem ze złością.

Wędrowiec odwrócił się do Elizy i uklonił nisko.

- Czy zabiwszy złego smoka zdobyłem rękę królowy? Dziewczynka była bliska płaczu, słysząc jednak te słowa, szybko odzyskała utraconą godność.

- Zdobyłeś me serce na zawsze, mężny rycerzu. - A gdy oboje szli w stronę lady Sary, spytała: - Co pan powiedział temu łabędziowi?

- Że jeśli nie przestanie i się nie wycofa, skończy jako główne danie na jakimś bankiecie - odparł z uśmiechem księżę.

Sądząc po tym, jak dziewczynka wpatrywała się weń roziskrzonymi oczami, prawdopodobnie zdobył przynajmniej część jej serca. Odwrócił wzrok, myśląc o tym, co powiedziała mu lady Sara. Jeśli Weldon naprawdę był tak oddany dziecku, to należało tego użyć przeciw niemu. Sara miała świętą rację; kiedy czegoś chciał, gotów był wykorzystać wszystko - i wszystkich - co wpadło mu w ręce. Nie widział powodu, by okazać Elizie Weldon więcej litości, niż jej ojciec okazywał setkom niewinnych dzieci w rodzaju Jenny Miller.

Następnego ranka Sara jadła śniadanie razem z ojcem.

- Wybieram się dzisiaj na wieś, na konną przejażdżkę - oświadczyła, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. - Ale powinnam wrócić do domu późnym popołudniem.

- Na konną przejażdżkę? - powtórzył jej ojciec z niedowierzaniem. Był tak zdumiony, że wypuścił z rąk gazetę, która omal nie wpadła do talerza z jajecznicą.

Sara dołała mleka i zamieszała kawę.

- Tak, uznałam, że już najwyższy czas, bym znów zaczęła jeździć konno. Bardzo mi tego brakowało.

Wyraz zdumienia na twarzy diuka zamienił się w uśmiech.

- Tak jak twoja matka, masz talent do mówienia ważnych rzeczy w najmniej odpowiednich momentach. - Diuk zatroskał się nagle. - Jesteś pewna, że to rozsądne?

- Pewnie nie - przyznała. - Ale i tak to zrobię. Kazałam sprowadzić Pansy do miasta. To miła, spokojna klacz, idealna dla kogoś, kto od wielu lat nie siedział w siodle.

- Jedziesz z sir Charlesem?

- Nie, z przyjacielem Rossa, księciem Wędrowcem. Prosił, bym pomogła mu ocenić większą rezydencję, którą chciałby kupić.

Diuk zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy podoba mi się to, że jedziesz sama z tym cudzoziemcem.

Sara westchnęła ciężko. Pomijając Rossa, angielscy dżentelmeni mieli naprawdę dziwne podejście do obcokrajowców.

- Książę jest doskonale wychowany i z pewnością nie narazi na szwank mojej reputacji - oświadczyła, choć wcale nie była tego całkiem pewna. - Charles sam „zachęcał mnie, bym pogłębiała tę znajomość. - Choć nie ostatnio. Uśmiechnęła się przekornie. - Jako córka diuka mam chyba prawo od czasu do czasu przeciwstawić się konwenansom? Choć nie jestem buntowniczką, dawno już wyrosłam z wieku szczenięcego i od lat chodzę wszędzie bez przyzwoitki.

Jej ojciec jeszcze przez chwilę siedział ze zmarszczonym czołem, potem jednak wzruszył ramionami.

- Skoro twój przyszły mąż nie ma nic przeciwko takiemu towarzystwu, to ja chyba nie powinienem zabierać głosu w tej kwestii. - I podnosząc gazetę, dodał: - Baw się dobrze, moja droga.

Sara była pewna, że będzie się dobrze bawić. Oby tylko nie za dobrze.

Dokładnie o dziesiątej odzwierny oznajmił przybycie księcia. Sara jeszcze raz przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Rudy kostium sprzed dziesięciu lat był już trochę niemodny, nadal jednak doskonale na nią pasował, a szerokie rękawy i rozłożysta spódnica sprawiały, że jej wąska talia wydawała się jeszcze węższa. Czy dziki książę z Kafeistanu będzie podziwiał jej wygląd?

Odwróciła się od lustra, mówiąc sobie, że nie powinno jej zależeć na podziwie żadnego innego mężczyzny prócz przyszłego męża.

Uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona własną próżnością. W końcu była tylko kobietą, a która normalna kobieta nie chciałaby widzieć podziwu w oczach atrakcyjnego mężczyzny?

Przemierzyła korytarz i zaczęła schodzić w dół szerokich, łukowatych schodów, lewą ręką podtrzymując szeroką spódnicę, prawą zaś osuwając po wyslizganej poręczy. Książę czekał na dole, wpatrując się w nią swymi zielonymi oczami. Sara natychmiast się potknęła, boleśnie świadoma swej ułomności. Potem ruszyła dalej. Książę doskonale wiedział o jej kalectwie, niepotrzebnie więc próbowała je ukryć. Kiedy jednak stanęła na marmurowej

podłódze, zrozumiała, że chętnie zamieniłaby teraz swoje praktyczne podejście i zdrowy rozsądek na nieskalaną urodę.

- Dzień dobry, wasza wysokość - powiedziała, podając mu rękę. - Czy pan nigdy nie nosi kapelusza?

- Staram się nosić go jak najrzadziej - odparł, ujmując jej dłoń. - Uważam, że prócz sytuacji wyjątkowych, na przykład zamieci śnieżnej, kapelusze powinny zdobić tylko głowy pięknych dam, takich jak pani. - Dotknął palcem pióra na kapeluszu Sary. - Wygląda pani w tym doprawdy czarująco.

- Czyni pan ogromne postępy w sztuce flirtowania. - Próbując wyrwać dłoń z jego uścisku, dodała: - Niestety, zapomniał pan o zasadzie mówiącej, że należy jak najszybciej wypuszczać dłoń damy. Pańska pamięć wydaje się bardzo wybiórcza.

Książę zachichotał, zwalniając jednocześnie uścisk.

- Przejrzała mnie pani, lady Saro. Podobnie jak zegar słoneczny, który odmierza czas tylko w pogodne dni, ja wolę pamiętać tylko to, co chciałbym pamiętać.

- Naprawdę? - Lady Sara posmutniała nagle. - Jak przyjemnie byłoby zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnych chwilach.

Uśmiech zniknął z twarzy Wędrowca.

- Owszem, byłoby to bardzo przyjemne - zgodził się. - Niestety, selektywna pamięć jest celem, którego jeszcze nie udało mi się osiągnąć. Jak na razie najlepiej pamiętam te gorsze czasy.

Sara zerknęła na jego silny profil, zastanawiając się, jak wyglądały te jego gorsze czasy, nawet w jego uśmiechu krył się bowiem zawsze jakiś cień i mroczna tajemnica. Prawdopodobnie jednak nigdy nie miała się dowiedzieć, co uczyniło zeń takiego, a nie innego człowieka; choć on rozszyfrował ją bez trudu już przy pierwszym spotkaniu, ona nadal nie miała pojęcia, co dzieje się w jego umyśle.

Kiedy doszli do stajni za domem Haddonfield, Wędrowiec przyjrzał się krytycznie kasztanowatej klaczy.

- I dla tego zwierzęcia zrezygnowała pani z tej ślicznej gniadoszki, którą chciałem kupić u Tattersalla?

- Nie powinien pan krytykować Pansy. - Sara pogłaskała czule chrapy konia. - Choć nie prezentuje się okazale, przez wiele lat była mi drogą przyjaciółką.

- „Nie prezentuje się okazale” to bardzo delikatne określenie. - Złożył razem dłonie, by pomóc jej wspiąć się na grzbiet. - To nie jest koń, tylko chodząca kanapa, szeroka, miękka i bezkształtna.

Sara obawiała się wcześniej momentu, w którym znów będzie musiała dosiąść koma, teraz jednak śmiech pomógł jej rozładować napięcie, Książę bardzo sprytnie odwrócił jej uwagę od niebezpiecznego tematu.

- Stwierdzenie niezbyt miłe, ale prawdziwe. Pansy rzeczywiście jest wygodna jak kanapa, choć przy tym bardzo wytrzymała. To idealny wierzchowiec dla kogoś, kto powraca do jazdy po wielu latach przerwy.

Jeszcze przez chwilę Wędrowiec stał przy jej strzemieniu i patrzył w twarz Sary. Podobał jej się sposób, w jaki okazywał troskliwość, był uważny, lecz nie natrętny. Kiedy skinęła lekko głową, dając mu do zrozumienia, że najgorsze ma już za sobą, przeszedł do swego konia.

Prawa noga Sary nie była całkiem sprawna, poprawiając się w siodle, czuła sztywność mięśni i stawów. Wiedziała, że pod koniec dnia będzie czuła dojmujący ból w biodrze i kolanie, gotowa była jednak zapłacić tę cenę. Siedząc na grzbiecie konia, czuła ponownie tę pewność siebie, o której zdążyła już zapomnieć. Roześmiała się głośno, ogarnięta nagłą i niewytłumaczalną radością.

Wędrowiec podjechał do niej na swym siwym ogierze, wspaniały mężczyzna na wspaniałym koniu.

- Czy gotowa jest pani stawić czoło niebezpieczeństwu londyńskich ulic, lady Saro?

- Proszę prowadzić, wasza wysokość - odparła, salutując mu pejcem.

Kiedy ramię przy ramieniu wyjechali na ulicę, Sara stwierdziła z zadowoleniem, że pomimo dziesięciu lat przerwy nie straciła nabytych niegdyś umiejętności. Utrzymanie równowagi, delikatna kontrola nad ruchami zwierzęcia, utrzymanie odpowiedniego rytmu, wszystko to było równie naturalne i łatwe, jak oddychanie. Mimo to słusznie postąpiła, wybierając na początek spokojną i obliczalną Pansy, choć od czasu do czasu wzdychała tęsknie, podziwiając jedwabistą elegancję siwego ogiera.

- Jak nazwał pan swojego konia?

- Siva - odparł książę, powstrzymując wierzchowca, by przepuścić ciężko wyładowany wóz z poprzecznej ulicy.

- Sziiwa? - powtórzyła, starając się dokładnie naśladować jego wymowę. - Co to znaczy?

- Siva to jeden z bogów hinduskiego panteonu - wyjaśnił Wędrowiec. - Aspekt boskości, który kieruje zniszczeniem i regeneracją, dokładnie rzecz biorąc.

- Ho, ho! To ogromny ładunek symboliki jak na grzbiet jednego konia - powiedziała. Kiedy książę roześmiał się, dodała: - Choć pewnie tylko ludzie przejmują się wagą

abstrakcyjnych pojęć. Pan jest Hindusem? Myślałam, że jest pan muzułmaninem.

- Nie, nie jestem ani jednym, ani drugim. Kafiristan to wyspa pogaństwa w morzu islamu. Dla muzułmanina Kafiristańczyk to niewierny, stąd zresztą pochodzi nazwa naszego kraju.

- Co pan rozumie przez pogaństwo? - spytała ostrożnie. - A może nie powinnam się tym interesować?

- Wiarę w przodków i siły natury - wytłumaczył spokojnie. - Sporo bóstw różnego rodzaju. Przy kafiristańskich wioskach stoją drewniane posągi przodków. Bardzo kolorowe, przypominają pomniki bohaterów wojennych, które Anglicy z takim upodobaniem stawiają w swoich parkach.

Tym razem to Sara odpowiedziała śmiechem i śmiech towarzyszył im niemal przez całą drogę do Surrey. Kiedy wjechali w malownicze wzgórza tej krainy, Sara zdała sobie sprawę, że to ona mówiła przez większą część podróży i że opowiadała głównie o swoim życiu. Sprytnie dobrane komentarze i pytania księcia skierowały rozmowę na temat jej dzieciństwa, wypadku i powolnego powrotu do zdrowia, nawet na temat związku z Charlesem.

Spojrzała ukradkiem na swego milczącego towarzysza. Podczas rozmowy dała wyraz myślom, których nigdy dotąd nie wypowiedziała głośno, jednak prócz faktu, że Kafiristańczycy są poganami, nie dowiedziała się niczego o księciu i jego życiu. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, nie była nawet pewna, czy Wędrowiec podziela wierzenia swego ludu, mówił bowiem o nich z pewnym dystansem.

Sara westchnęła i potarła obolałą nogę. Książę był mistrzem w sztuce wyciągania informacji od innych i jednocześnie trzymania w ukryciu własnych myśli. Jednak choć fakt, że Kafiristańczyk wie o niej znacznie więcej, niż ona o nim, wprawiał Sarę w lekkie zakłopotanie, nie był sam w sobie niczym złym. Książę nie wychował się przecież w angielskiej tradycji nakazującej rezerwę i dyskrecję i zadawał pytania, które miały zaspokoić ciekawość kraju i ludzi zupełnie dlań obcych. Nikt też nie zmuszał jej do odpowiadania; przychodziło jej to łatwo, aż nazbyt łatwo. Być może sprawiała to świadomość, że książę nie postrzega świata tak, jak przeciętny Anglik.

Kiedy zbliżali się już do celu podróży, ciekawość Wędrowca zwróciła się ku ich otoczeniu. Przyglądał się uważnie wszystkiemu, co mijali po drodze, oceniał rozciągające się dokoła widoki, a jeśli się odzywał, to tylko po to, by zadać Sarze jakieś pytanie.

Wreszcie Sara zauważyła z lekkim przekąsem:

- Przygląda się pan Surrey tak, jak Wellington musiał przyglądać się polom Waterloo.

Spodziewa się pan ataku jakichś dzikich tubylców?

Książę spojrział na nią, zaskoczony, potem zachichotał.

- Nie, bynajmniej. Po prostu nigdy jeszcze nie widziałem angielskiej wsi. Żeglowałem Tamizą w nocy, a potem nie wyjeżdżałem już z Londynu. - Gestem ogarnął otaczający ich sielski krajobraz. - Nie wiedziałem, co tracę. Anglia jest jak ogromny ogród, gdzie wszystko zostało zaprojektowane tak, by cieszyć ludzkie oczy.

Sara powędrowała za jego spojrzeniem i przez chwilę zobaczyła swój kraj świeżym okiem, tak jak musiał go widzieć książę. Po obu stronach szerokiej, trawiastej drogi, którą właśnie jechali, ciągnęły się niskie, przeplatane kwiatami żywopłoty. Za nimi leżał kobierzec pól uprawnych, różne gatunki zbóż i traw barwiły je wszelkimi odcieniami żółci, złota i zieleni. Nad horyzontem wznosiła się kwadratowa, normańska wieża wiejskiego kościółka, w dali zaś majaczyły tajemnicze, mgliste kształty wzgórz zwanych North Downs. Była to nie tylko uczta dla oczu, lecz i dla innych zmysłów, gdyż brzęczenie owadów i śpiew ptaków sycił uszy. w powietrzu zaś unosił się słodki zapach kwiatów i traw.

Sara wstrzymała oddech, czuła się tak, jakby nagle opadły jej z oczu klapki, odsłaniając niezwykle piękny, zachwycający widok.

- Ma pan rację, Anglia jest jak ogromny ogród. Wiedział pan, że posiadłość Rossa, Chapelgate, znajduje się zaledwie o pół godziny drogi stąd? Ponieważ znam tę okolicę tak dobrze, nigdy nie zwracałam szczególnej uwagi na jej piękno. - Uśmiechnęła się do swego towarzysza. - Dziękuję, że pokazał mi je pan na nowo. Lecz czy Surrey nie wydaje się nazbyt spokojne w porównaniu z górami, wśród których pan dorastał?

- Owszem, jest spokojne, ale przy tym... - zawahał się na moment - bardzo pociągające. Zaskakująco pociągające.

Po chwili zza zakrętu wyłoniła się żelazna brama Sulgrave. Musieli kilkakrotnie pociągnąć za dzwonek, by przywołać wreszcie portiera, a ten wpuścił ich do środka dopiero wtedy, gdy Wędrowiec pokazał mu odpowiedni dokument podpisany przez prawnika zajmującego się sprzedażą posiadłości.

By dotrzeć do domu, który prześwitywał tylko od czasu do czasu pośród drzew, musieli najpierw pokonać długą, krętą alejkę. Dopiero przy końcu drogi otwierał się pełny widok na rezydencję, zatrzymali więc konie. Dom wznosił się na niewielkim pagórku, jego czerwone cegły błyszcząły ciepło w południowym słońcu - Budynek był długi i niski, nie nazbyt wielki, lecz proporcjonalny i bogaty w klasyczne zdobienia.

Sara odwróciła głowę, by wygłosić pochlebny komentarz, po wstrzymała jednak język. Wędrowiec wpatrywał się w dom z wygłodniałym wyrazem twarzy, jakby ujrzał nagle

ucieleśnienie swych marzeń. Dobrze, że nie był przy tym obecny właściciel rezydencji, gdyż mógłby spokojnie podwoić cenę; Sara była niemal pewna, że żadne braki i niedoskonałości kuchni czy kanalizacji nie powstrzymają księcia przed kupnem Sulgrave Manor.

Czując na sobie jej spojrzenie, odwrócił się, przybierając obojętny wyraz twarzy.

- Co pani sądzi o tym domu?

- Jest bardzo ładny. Ma chyba jakieś dwieście lat, prawda? - Kiedy uniósł brwi w niemym pytaniu, powiedziała: - Świadczą o tym te flamandzkie szczyty. Były bardzo modne w połowie siedemnastego wieku.

- Wiedziałem, że pani pomoc będzie dzisiaj nieoceniona. Nie odróżniłbym flamandzkiego szczytu od greckiej kopuły.

- To dziwne, że agent zajmujący się sprzedażą nie przyjechał tu z panem, by wyjaśnić wszystko na miejscu - zauważyła, kiedy ponownie ruszyli naprzód.

- Chciał to zrobić, ale ja wolałem zobaczyć wszystko sam. Nie lubię, kiedy ktoś zagląda mi przez ramię i mówi, co mam myśleć.

- Cóż, rzeczywiście na próżno by się trudził - odparła Sara z rozbawieniem. - Wydaje mi się, że to nie tylko dom, ale cały majątek z produkcją rolną. Dlaczego został wystawiony na sprzedaż?

- Należał do pewnego wdowca - wyjaśnił Wędrowiec. - Jego dziedzic mieszka w Ameryce i nie ma zamiaru tu wracać. Powiedziano mi, że dom potrzebuje remontu, ale generalnie jest w dobrym stanie. Oprócz głównej farmy, do majątku należy jeszcze kilka dzierżaw, łącznie jakieś dwa tysiące akrów.

Okrążyli dom i dojechali do stajni. Choć w pobliżu nie było żadnych pracowników, stajnie i podwórze wyglądały na dobrze utrzymane, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach świeżego siana. Wędrowiec zatrzymał ogiera przed otwartymi wrotami stajni, zeskoczył z niego i przywiązawszy cugle do poręczy, poszedł pomóc Sarze.

Prawa noga zupełnie jej zdrętwiała i musiała pomóc sobie ręką, by przenieść ją ponad łękiem siodła. Zaciśnęła zęby, kiedy zsuwała się w objęcia księcia, nie była jednak przygotowana na aż tak dojmujący ból, który objął całe jej biodro i udo. Nie zdołała powstrzymać okrzyku, kiedy prawa noga ugięła się pod ciężarem jej ciała.

Nie zdążyła jednak upaść, książę bowiem natychmiast ją przytrzymał i przyciągnął do siebie.

- Nie może pani ruszać nogą?

Sara potwierdziła, kiwając głową i zagryzając jednocześnie wargę, by powstrzymać się od płaczu. Obrócił ją plecami do siebie, potem objął lewą ręką w talii i pochylił się, by

rozmasować jej udo. Jego palce wbijały się głęboko w skurczone mięśnie.

Sara nie mogła stłumić jęków bólu, wywołanych jego dotykiem.

- Przepraszam - powiedziała, z trudem hamując łzy. - Nie myślałam, że będzie aż tak źle.

- Nie ma za co przeproszać - odparł łagodnym, kojącym głosem. - Gdyby nie wymagała pani od siebie żadnego wysiłku, nadal jeździłaby pani na wózku inwalidzkim. Tym razem jednak wysiłek był za duży.

Pod jego wprawnymi palcami ból zaczął powoli ustępować. Sara także wracała do równowagi; choć wdzięczna była księciu za solidne oparcie.

Kiedy był już pewien, że najgorsze mają za sobą, przełożył dłoń niżej, na kolano, i zaczął stopniowo przesuwając ją ku górze. Dotykał jej teraz delikatniej niż przed chwilą, masował całe udo, od dołu do góry. Sara zaczęła odczuwać coś więcej niż ukojenie, jego palce parzyły ją nawet przez grubą warstwę tkaniny, ból coraz wyraźniej ustępował miejsca przyjemności.

Kiedy sięgnął jeszcze wyżej, masując jej biodro i wewnętrzną część uda, poczuła, jak ogarnia ją rozkoszne ciepło, pragnienie, którego nie знаła nigdy dotąd i którego nie rozumiała. Wzięła głęboki oddech, zdając sobie nagle sprawę, jak intymne są gesty, które wykonuje książę. Kiedy tajemnicze ciepło rozpląnęło się po całym jej ciele, miała ochotę wtulić się w księcia, bezwładna i posłuszna. Wiedząc, czym grozi folgowanie takim myślom, odsunęła się od niego, mówiąc:

- Myślę, że mogę już chodzić o własnych siłach.

Wędrowiec podtrzymał ją, kiedy przeniosła ciężar ciała na prawą nogę. Sara zachwiała się, nie cofnęła jednak nogi, czekając, aż opadnie rozbudzony w niej na nowo ból.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego pani się tak katuje - pokręcił głową książę. Nim zdążyła zaprotestować, wziął ją na ręce i wniósł do stajni.

Choć Sara zawsze była świadoma jego siły, do tej pory mogła się jej tylko domyślać. Teraz czuła ją każdą cząstką swego jestestwa. Drżała, kiedy posadził ją na ławce w stajni. Fizyczny ból nie był największym problemem, gdyż doznała już w życiu wiele cierpienia i wiedziała, jak sobie z nim radzić. Bardziej dokuczała jej bezradność i to, w jaki sposób reagowała na jego męskość.

Nieświadom zamętu, jaki wywołał w jej duszy, powiedział:

- Po krótkim odpoczynku będzie pani mogła chodzić, ale na pewno nie wróci pani do Londynu konno.

- Przepraszam, że sprawiam panu tyle problemów. - Spuściła wzrok, nie będąc w

stanie spojrzeć w oczy swego towarzysza.

- Proszę nie przepraszać, to drobny kłopot, a nie katastrofa. Pojadę do bramy i poproszę portiera, żeby wynajął dla nas powóz i woźnicę. Kiedy będziemy już gotowi, zabierze nas z powrotem do Londynu. - Dotknął delikatnie jej policzka. - Czy strach przed bólem nie jest gorszy od samego bólu?

Skinęła głową, zaaferowana tym, co dostrzegła w głębi jego zielonych oczu. Zazwyczaj Wędrowiec był tajemniczy, nieprzenikniony, przez moment jednak pozwolił jej zajrzeć głębiej. Dzięki temu zobaczyła w nim człowieka, który wiedział o bólu wszystko.

Ten krótki wgląd w duszę księcia pozwolił jej zapanować nad emocjami, zdobyła się nawet na słaby uśmiech.

- To zdumiewające, jak wiele pan rozumie.

- Wcale nie. - Wyprostował się. - Wrócę za kilka minut. Wprowadziwszy Pansy do stajni, wskoczył na grzbiet swojego wierzchowca i wyjechał z podwórza.

Kiedy księżę zniknął już za domem, Sara oparła głowę o drewnianą ścianę i zamknęła oczy. Czowała się słaba i niemądra. Doznała kontuzji, a księżę pomógł jej najlepiej, jak potrafił, z czułością i wyrozumiałością. A ponieważ ona była wrażliwa i wdzięczna, zareagowała tą niesamowicie intensywną świadomością jego męskości. Ale to było tylko jakieś chwilowe zaburzenie, nic więcej.

Postanowiła skupić uwagę na swej chorej nodze. Wiedziała, że nazajutrz nie będzie mogła podnieść się z łóżka, dotykając jednak obolałego uda stwierdziła, że nie jest to jakiś trwały uraz. Za kilka dni znów będzie mogła dosiąść Pansy. Zacznie od krótkich przejazdów do parku i z powrotem, z czasem jednak - obiecywała sobie w duchu - będzie je wydłużać, aż dystans dwudziestu mil nie będzie dla niej stanowił żadnego problemu. Uniosła głowę i zobaczyła prądkowanego kota, który przysiadł spokojnie jakiś jard przed nią i zachowywał się tak, jakby był w tym miejscu od kilku godzin. Rozbawiona jego nonszalancką pozą, powiedziała:

- No i jak, futrzaku, widziałeś, jak robiłam z siebie głupca?

Kot uznał to za zaproszenie i wskoczył jej na kolana. Sara skrzywiła się, kiedy zwierzek wylądował na jej chorej nodze, nie miała jednak sumienia zrzucić go na ziemię. Drapiąc pieśczocho po aksamitnej szyi, mówiła:

- Widziałeś tego człowieka, który może być twoim nowym panem? Będziesz musiał dobrze łapać myszy, bo nie sądzę, by tolerował na swoim terenie nierobów.

Kot zakręcił się w miejscu, potem zwinął w kłębek i zaczął rozkosznie mruścić. Roztaczał wokół siebie aurę spokoju, koił jej rozedrgane nerwy. Przy tym doskonale

zastępował butelkę z ciepłą wodą.

Po kilku minutach Sara westchnęła cicho i zdjęła oburzonego kota z kolan. Potem wstała i powoli zaczęła iść przez stajnię, opierając się prawą ręką o ścianę. Łatwiej było jej skupić się na tym bolesnym, lecz bardzo zwyczajnym zadaniu, niż myśleć o człowieku, którego dotyk zamieniał ją w jakąś obcą, nieznaną jej kobietę.

Odesławszy portiera po powóz, Wędrowiec ponownie dosiadł ogiera i ruszył do domu, obmyślając po drodze strategię działania. Już od dawna planował uczynić podczas tego wyjazdu decydujący ruch, który na dobre rozdzieli lady Sarę i Weldonę.

Od początku była nim zauroczona, choć przy tym zbyt niewinna i zbyt dobrze wychowana, by poddać się instynktom. Wędrowiec działał więc powoli, nie chcąc jej spłoszyć, przygotowując ją stopniowo do momentu, kiedy będzie gotowa mu się oddać. Nie był całkiem pewien, czy chce, by sprawy zaszły aż tak daleko, gdyż uwiedzenie angielskiej damy, a do tego dziewicy, mogło spowodować niepotrzebne komplikacje. Podejrzał jednak, że Sara nie pała jakimś głębokim uczuciem do swego narzeczonego i że zdoła ją odwieść od tego niefortunnego małżeństwa.

Choć Wędrowiec był pewien, że jego zabiegi przyniosą zamierzony skutek, uważał też, że nie powinien uwodzić kobiety dotkniętej cierpieniem. Namówił ją na podróż powozem, podziwiał jednak jej odwagę i determinację. I podziwiał ją nadal, choć owa determinacja doprowadziła do skutków, które mogły pokrzyżować jego plany.

Jeszcze raz zatrzymał się u wylotu drogi, by ogarnąć rezydencję Sulgrave rozmarzonym spojrzeniem. Kupno wiejskiej posiadłości było tylko częścią jego planu - chciał w ten sposób na dobre zadomowić się w londyńskim towarzystwie, a jednocześnie mieć okazję dłużej przebywać sam na sam z lady Sarą. Zaskoczył sam siebie, i to w niezbyt przyjemny sposób, reagując tak jednoznacznie i tak silnie na widok rezydencji. Wiedział, że niebezpiecznie jest pożądać czegoś tak mocno, bo pożądanie i uleganie namiętnościom czynią człowieka słabszym, bardziej podatnym na rączy wroga.

Po chwili, zniecierpliwiony, uderzył konia piętami i ruszył w dalszą drogę. Za bardzo się tym przejmował. Sulgrave to tylko zwykły dom, choć wyjątkowo ładny i stosunkowo tani. Być może kiedyś, w odległej przyszłości, kiedy już wypełni swoją misję, będzie mógł spokojnie się nim cieszyć. Na razie kupno tej posiadłości było tylko kolejnym krokiem w drodze do najważniejszego celu.

Kiedy wjechał na podwórze, natknął się na lady Sarę, spacerującą po stajni. Ze zdumieniem stwierdził, że dziewczyna porusza się całkiem swobodnie, choć utykała wyraźniej niż zazwyczaj. Kiedy zeskoczył z konia i wprowadził go do stajni, powiedział:

- Szybko wraca pani do zdrowia.

- Ćwiczenie czyni mistrza - odparła cierpko. - Zdołał pan przez konać portiera, by zamówił dla nas powóz?

- Nie od razu. Początkowo był dość oporny, dopiero kiedy zrozumiał, że wkrótce mogą być jego nowym pracodawcą, stał się miły i uczynny. - Oporządziwszy konie, książę zaproponował: - Może chciałaby pani pospacerować po ogrodzie, kiedy ja będę oglądał dom?

- Nie przyjechałam tu po to, by patrzeć na motyle. Z chęcią obejrzę rezydencję od środka. - Opierając się na jego ramieniu, Sara dodała: - Choć moim zdaniem kupi pan Sulgrave, nawet gdy okaże się, że wcale nie jest w dobrym stanie.

Spojrzał na nią, wyraźnie niezadowolony.

- Czy aż tak łatwo mnie rozszyfrować?

- Zazwyczaj nie. Ale tym razem to było oczywiste.

Oparła się o niego nieco mocniej niż zwykle, poza tym jednak nie okazywała w żaden sposób bólu czy zmęczenia. Może więc uda mu się zrealizować dzisiejszy plan; postanowił, że pozwoli, by wypadki same go prowadziły.

Prawnik dał Wędrowcowi klucz do tylnych drzwi. Lady Sara stwierdziła, że kuchnie są fatalne i że trzeba je remontować od podstaw, wymieniając nawet stare piece i blaty. Książę, który zupełnie się na tym nie znał, musiał przyznać jej rację. Poza tym jednak dom naprawdę przedstawiał się całkiem dobrze. Duże, przestrzenne komnaty miały bogato zdobione sufity i ściany. Prócz niezłe utrzymanej jadalni, salonu i biblioteki, w domu mieściło się jeszcze sporo pomieszczeń, które książę mógł wykorzystać na przykład na salę bilardową czy salon muzyczny.

Zwiedzanie parteru zakończyli w hallu, gdzie podłogę zdobiły misterne antyczne mozaiki. Wędrowiec uklęknął i przeciągnął palcami po abstrakcyjnych, kwiecistych wzorach.

- Agent mówił mi o tych mozaikach. Odkryto je w ruinach starego rzymskiego miasta w Sttchester.

- Dom jest naprawdę wspaniały - oświadczyła lady Sara, przyglądając się mozaikom. - Oczywiście, trzeba go będzie dokładnie wysprzątać i odświeżyć, ale potem będzie pan z niego na pewno zadowolony. Czy wraz z domem kupuje pan także meble?

Książę wstał, otrzepując dłonie z kurzu.

- Tak, właściciel nie chce robić sobie dodatkowego kłopotu i sprzedawać ich oddzielnie. Niektóre są jeszcze chyba w całkiem niezłym stanie, prawda?

Sara skinęła głową.

- Tak. Niektóre trzeba będzie poddać renowacji, część wyrzucić, ale jeśli lubi pan styl z zeszłego wieku, będzie pan miał niezłą kolekcję na początek.

- Mam nadzieję, że zechce pani udzielić mi także rad w kwestii wyposażenie domu - powiedział. - Zdoła pani wejść na piętro?

Kiedy Sara odwróciła głowę, by ocenić wysokość schodów, Wędrowiec zapatrzył się w jej profil, w czystą linię twarzy, szyi i piersi, tak bardzo przypominający starożytne sybille, o których pomyślał przy pierwszym spotkaniu. Nagle zapragnął jej z mocą, która uderzyła w niego niczym potężna morska fala. Wstrząśnięty, wziął głęboki oddech, wiedząc, że zbyt wielkie pragnienie może utrudnić, a może nawet uniemożliwić realizację jego planów. Kiedy był już pewien, że dotykając jej nie zachowa się jak rozpalony pożądaniem młodzieniec, pochylił się, wziął ją na ręce i ruszył w górę drewnianych schodów.

- Chyba zbyt szybko się pan pospieszył, wasza wysokość - powiedziała Sara, nieco spłoszona. - Mogłabym wejść tam o własnych siłach.

- Bez wątplenia, ale cena tej samodzielności mogłaby okazać się za wysoka. Proszę wykazać odrobinę troski o swoją obolałą nogę.

Sara odchyliła głowę, by spojrzeć mu w twarz.

- Damy nie mają nóg, mają kończyny. „Noga” to coś nieprzyzwoitego.

- Nieprzyzwoitego? - powtórzył, stawiając ją na szczycie schodów. Z poważną miną uniósł nieco krawędź jej spódnicy i spojrzał na jej kostki. - Nie widzę tu nic nieprzyzwoitego.

- Proszę się hamować, wasza wysokość. - Śmiejąc się, Sara zakryła nogi. - Nie powiedziałam, że kobiece nogi jako takie są nieprzyzwoite, ale że to słowo uważane jest za nieprzyzwoite. To taki angielski absurd.

- Jeden z wielu - odparł, ponownie podając jej rękę. - Proszę jednak nie myśleć, że nie doceniam trudu, z jakim stara się pani mnie wyedukować. Należy dobrze poznać zasady gry, nim zaczniesz się je łamać.

- Wasza wysokość, jest pan niepoprawny - powiedziała, opierając się na jego ramieniu.

- Ale nigdy nudny.

Lady Sara uśmiechnęła się doń lekko.

- To prawda. Ale być może potrafiłby pan uczynić z nudy cnotę. Wędrowiec zachichotał.

- Czy mogę oddać komplement, mówiąc, że pani osiągnęła rzecz jeszcze trudniejszą, czyniąc przyzwoitość intrygującą?

W idealnej zgodzie ruszyli na obchód piętra. Znaleźli tu piętnaście dużych i niezłe utrzymanych sypialni. Łazienki i niektóre elementy instalacji kanalizacyjnej wymagały modernizacji, potem jednak mogły stanowić doskonale lokum dla licznych gości.

Na koniec zostawili sobie długą galerię biegnącą wzdłuż tylnej ściany domu. Był to bardzo atrakcyjny pokój, z kominkami po każdej ze stron wielkimi oknami, które wychodziły

wprost na ogród. Wzdłuż okien umocowane były wygodne, wyściełane miękką tkaniną ławki. Obejrzawszy kilka spośród całej galerii mrocznych portretów, Sara spytała:

- Czy te portrety także należą do wyposażenia domu?

- Nie, mają być wysłane do Kanady. - Przyjrzawszy się uważniej jednemu z nich, Wędrowiec skrzywił usta w kpiącym uśmiešku. - Właściwie przydaliby się jacyś szacowni przodkowie, ale ci wyglądają raczej na nudziarzy. Może zamówię u jakiegoś malarza całkiem nową kolekcję.

Spojrzał na przeciwległą ścianę pokoju i nagle spowaźniał. Delikatnie wypuścił rękę Sary i podszedł do okna. Po krótkich zmaganiach otworzył je na całą szerokość i wychylił się na zewnątrz, opierając kolano o ławkę pod spodem. Przed jego oczami rozciągał się angielski krajobraz w całej swej krasie, od pełnego kwiatów ogrodu do zamglonych wzgórz na horyzoncie. Zareagował na ten widok tak samo intensywnie jak w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Sulgrave. Na moment zapomniał o swej towarzyszcze i zdziwił się nieco, usłyszawszy jej głos u boku:

- Ten dom śpiewa dla pana, prawda? - spytała cicho.

- Myślę, że można określić to i w taki sposób. - Próbował zrozumieć dlaczego, ale nie mógł. Prawdopodobnie nie wytłumaczyłby jej tego nawet wtedy, gdyby znał powody. Powiedział więc tylko: - Jest pani angielską arystokratką, urodzoną, wychowaną i przyzwyczajoną do takiego życia, do bogactwa, piękna, spokoju, szansy na sprawiedliwość. Nie potrafi pani w pełni tego docenić, zrozumieć, co to znaczy.

- Prawdopodobnie nie. - Usiadła ostrożnie, by nie nadwreżyć nogi, na drugim końcu ławki. - Ale pan też uważany jest w swym kraju za bogacza, a Ross twierdzi, że Kafiristan jest na swój sposób równie piękny jak Anglia. Czy dla pana znaczy to coś więcej?

- Nie, może nie więcej, ale inaczej. - Księżę odwrócił się od okna i usiadł na ławce tuż obok lady Sary. Była chłodna i opanowana, tylko jej brązowe oczy wydawały się ciepłe i przyjazne. Sara St. James, prawdziwa dama i prawdziwa kobieta. Zostawiła kapelusz do jazdy konnej na dole, a jej włosy nabierały w blasku słońca barwy miodu i złota.

Poczuł dziwny ucisk, gdzieś głęboko we wnętrzu, znów ogarnęło go to ogromne, niepoahamowane pragnienie, którego doświadczył na dole. Zastanawiał się, co rozbudza w nim to dziwne pożądanie, bo nie była to ani jej spokojna uroda, ani siła charakteru, choć podziwiał je obie.

Być może była to jej angielskość, jak Sulgrave, jak sama Anglia, Reprezentowała sobą życie, które teraz leżało w jego zasięgu, choć wydawało mu się to tak dziwne i nieprawdopodobne. Nie wiedział, czy pragnie takiego właśnie życia, i nie mógł dowiedzieć

się tego dopóty, dopóki nie zakończy swej misji. Na razie jednak nie potrafił oprzeć się urokowi lady Sary.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, by usiedzieć w miejscu. Pragnął jej dotknąć, rozbudzić w niej uspioną namiętność, lecz jeszcze nie teraz, nie w chwili, gdy jego własne pożądanie mogło przyćmić zdrowy rozsądek. Powinien skupić się na rozmowie, omotać żądze siecią słów, by odzyskać samokontrolę.

- Kafiristan to biedny kraj, niewiarygodnie biedny. Właściwie nie jest to nawet kraj, tylko zbiorowisko spokrewnionych ze sobą szczepów. Nie trzeba więc mieć wielkiego majątku, by uchodzić tam za krezusa.

- Ale Ross powiedział, że pan jest bardzo bogaty. Jak...? - Sara urwała nagle, a na jej policzkach pojawił się wdzięczny rumieniec.

- Domyślam się, że pytanie o majątek uważane jest za niegrzeczne i nieangielskie. tak? Nieważne, ja nie obrażam się tak łatwo - powiedział, rozbawiony. - Źródło mojego bogactwa nie leży w Kafiristanie. Czy słyszała pani kiedyś o Jedwabnym Szlaku, drodze handlowej wiodącej z Chin do Morza Śródziemnego?

- Słyszałam tylko tyle, ile pan właśnie powiedział.

- Przez jakieś dwa tysiące lat karawany kupieckie woziły towary pomiędzy Wschodem i Zachodem, ze starożytnych Chin do Rzymu. Jedwab i klejnoty, przyprawy, złoto i tysiące innych rzeczy prze chodziły z rąk do rąk i przewożone były za pomocą różnego rodzaju pojazdów. - Zupełnie nieświadomie Wędrowiec zmienił głos, przybrał ton bazarza, który bez reszty przykuwa uwagę słuchacza. - Ludzie kierujący karawanami narażeni byli na bandyckie napady i choroby, najgorsze jednak były naturalne zagrożenia, jakie czyhają na wędrowców w górach i na pustyni. Prawdopodobnie najbardziej niebezpieczna była podróż przez chiński Turkiestan. Tam, w ognistym, rozpalonym jak piec sercu Azji, leży pustynia Takla Makan, ogromne połacie zmiennych, zdradliwych wydm o wysokości trzystu stóp, otoczone przez najwyższe góry świata. W porównaniu z taką pustynią Arabia wydaje się całkiem spokojnym i bezpiecznym krajem. Tam właśnie szaleje słynny kara - buran, czarny huragan, który może pogrzebać bez śladu całą, największą nawet karawanę.

- Mówi pan tak, jakby pan tam był i przeżył coś takiego. Książę skinał głową.

- Jedwabny Szlak prowadził skrajem Takla Makan, a w rozrzuconych po pustyni oazach wyrastały kolejne miasta. Niegdyś były to potężne i bogate ośrodki, jednak kilkaset lat temu większość z nich umarła i zniknęła pod piaskiem pustyni. Nie znam dokładnych przyczyn tego procesu, choć na pewno wiele wspólnego miał z tym rozwój transportu morskiego i nowe szlaki wodne. Powstało wiele legend mówiących o tych właśnie miastach,

o tym, jak niebiosa ukarały je za nikczemność, o demonach, które strzegą zakopanych skarbów.

Sara otworzyła szerzej oczy, zrozumiałwszy, do czego zmierza jego opowieść.

- Pan znalazł jedno z tych zasypanych miast? Wędrowiec ponownie skinął głową.

- Tak, pewien kirgiski pasterz przytoczył mi opowieść, która przechodziła w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie, opowieść o mieście Katak. Katak leży wśród słonych bagien Lop Nor. Niełatwo było je odnaleźć, jeszcze trudniej dotrzeć do ukrytych skarbów, najtrudniejszy jednak okazał się transport przez pustynię i góry.

- Rozumiem, że nie obawiał się pan legendarnych demonów? - Sara zmieniła pozycję, nieświadomie przysuwając się bliżej do księcia.

- To nie były demony mojego ludu, więc nie miały nade mną żadnej władzy. - Wędrowiec zapatrzył się gdzieś w dal, wracając do wspomnień. - Na szczęście udało mi się przekonać o tym moich przyjaciół. Trzykrotnie odbyliśmy podróż z Kafiristanu do martwego miasta Katak, za każdym razem przywoziliśmy ze sobą złoto, srebro i dzieła sztuki. Jako przywódca wyprawy miałem największy udział w skarbie i to on właśnie stanowił fundament mojego bogactwa. Później zszedłem z gór, do Indii, tam nauczyłem się handlu, zacząłem sprzedawać, kupować i inwestować, aż dorobiłem się majątku, który nawet według europejskich standardów uchodzi za ogromny.

Lady Sara skłoniła głowę na bok, na jej twarzy malował się wyraz rozmarzenia.

- Fascynująca i romantyczna opowieść.

- Tylko w retrospektywie - odparł książę sucho. - Wtedy była to głównie wyczerpująca praca, ogromny trud, niewygodny, a od czasu do czasu straszliwe niebezpieczeństwa.

- Ross powiedział to samo o swoich podróżach. Prawdziwi poszukiwacze przygód, tacy jak on i pan, muszą uważać salonowe romantyczki mojego pokroju za naiwne i głupiutkie stworzenia. - Sara wyraźnie posmutniała. - Słuchanie pięknych opowieści to jedyny sposób, w jaki ja będę mogła kiedykolwiek podróżować po świecie.

- Istnieją ludzie, którzy chcą tylko zaspokoić swoją próżność albo znaleźć potwierdzenie dla swych uprzedzeń. Nie tracę czasu na rozmowy z nimi. Lecz pani nigdy nie nazwałbym naiwną ani głupiutką, gdyż słucha pani nie tylko uszami, ale i duszą. - Uśmiechnął się kpiąco. - Proszę jednak nie mówić innym, jak dorobiłem się majątku. Wolę, by ludzie uważali mnie za tajemniczego i zagadkowego osobnika.

- Jest pan w tym bardzo dobry - odparła cicho.

Ich spojrzenia spotkały się nagle ze sobą. Ból zniknął już z oczu Sary, teraz była podekscytowana i oczarowana. Nadszedł czas, by przypuścić ostateczny szturm. Książę

skupił całą siłę woli, by przyciągnąć ją do siebie, by zarzucić niewidzialną sieć. Rozchyliła lekko usta, niepewna, wyczekująca, jakby czuła rosnące pomiędzy nimi napięcie.

- Co pana tu przywiodło, Mikahl? - spytała cicho, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. - Co czyni pana innym od reszty pańskiego ludu? Dlaczego opanował pan tyle umiejętności, dlaczego przebył pan pół świata, by wylądować na tej małej, wilgotnej wyspie, gdzie większość ludzi jest zbyt ograniczona, by docenić to, co pan osiągnął?

- Od dziecka wiedziałem, że moje przeznaczenie jest w Anglii. - Była to prawda, choć lady Sara z pewnością nie mogła zinterpretować jej we właściwy sposób. Wędrowiec nie chciał jednak, nie mógł powiedzieć jej nic więcej. Dodając więc kolejną półprawdę, oświadczył: - Może to ty jesteś powodem, dla którego tu przybyłem.

Podniósł rękę i przesunął czubkami palców po kościach jej policzków i szczęki. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami pełnymi bezradnej niepewności i tęsknoty. Przysunął się bliżej, obdarzył ją najdelikatniejszym z pocałunków, dotykając tylko jej twarzy, muskając czoło i delikatną skórę wokół oczu.

Początkowo był to spokojny, łagodny pocałunek, jak ten, który połączył ich na balu. Potem księżę otworzył szerzej usta, a ona instynktownie zrobiła to samo. Choć drgnęła lekko, zaskoczona, kiedy Wędrowiec pogłębił pocałunek, nie próbowała się wycofać. Wręcz przeciwnie, odpowiedziała niewinnym, pełnym ciekawości entuzjazmem.

Księżę myślał wcześniej, że zapanował nad swoim pożądaniem, lecz smak jej delikatnych, spragnionych ust rozpalił go na nowo, rozżarzył do białości. Gdyby Sara była doświadczoną kobietą, bez wahania rzuciłby się na nią, poddał szaleńczej pasji.

Ona jednak nie była doświadczona, on zaś zachował jeszcze na tyle rozsądku, by nie zrobić czegoś, co mogłoby ją wystraszyć. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie, chcąc poczuć całe jej ciało. Sara przysunęła się doń bez wahania, wsunęła swe szczupłe dłonie pod jego surduty, całowała go wygłodniałymi ustami.

Oparł się o ścianę, przyciągnął ją jeszcze bliżej, tak że ich piersi stykały się ze sobą, a jej uda obejmowały jego nogę. Wędrowiec zapragnął jej jeszcze mocniej, choć przed chwilą nie przypuszczał nawet, by było to możliwe. Obejmując dłońmi delikatne krągłości jej pośladków, posadził ją na swych łądźwiach i przytulił do siebie z całych sił. Jej biodra pulsowały miarowo, on odpowiedział tym samym ruchem, przeklinając w duchu rozdzielające ich grube warstwy ubrań.

Lata doświadczeń nauczyły Wędrowca, że powinien zawsze korzystać z okazji, które podsuwa mu los, teraz też porzucił wszelkie wątpliwości i wahania, gotów iść do samego końca za głosem instynktu. Sara może nie miała doświadczenia, ale była dorosłą kobietą, od

dawna już sama decydowała o sobie. Ucząc jej cielesnej miłości, nie tylko przeżyłby rozkoszne chwile, ale i zbliżył się o krok do wyznaczonego celu.

- Słodka Saro - szeptał, pieszcząc ją bez ustanku, jakby w ten sposób mógł złączyć ich w jedno ciało. - Jesteś równie piękna i równie niezwykła, jak skarby Jedwabnego Szlaku.

Wsunął dłoń pod jej zakiet, przeklinając w duchu bluzkę, halkę i gorset, które wciąż ich rozdzielały. Delikatnie ścisnął jej drobną, kształtną pierś.

- Jesteś jak złoto, jedwab i kość słoniowa powołane do cudownego życia.

Sara omal nie krzyknęła, kiedy jego słowa rozproszyły rozkoszną mgłę otulającą jej zmysły. Choć wiedziała, co robi, w obliczu ogromnego, nieogarnionego pożądania jakby zapomniała o wszelkich hamulcach i nakazach moralnych. Gdy uległa temu pożądaniu, nieśmiała akceptacja zamieniła się w gwałtowną namiętność, a burza zmysłów pozbawiła ją zupełnie poczucia wstydu.

Teraz jednak namiętność nie przyćmiewała już zdrowego rozsądku, choć nadal płonęła w jej żyłach. Przerwała pocałunek i zmusiła się do spojrzenia w ciemną, przystojną twarz Wędrowca. Książę pożerał ją wzrokiem i tym razem wcale nie wydawał się tajemniczy. Pragnął jej. I, co gorsza, ona pragnęła jego.

Sara odepchnęła się od księcia i ześliznęła na ławkę tak, by go nie dotykać.

- Nie - powiedziała chrapliwie. - Przepraszam, ale to jest złe, nie mogę tego zrobić.

Wędrowiec spojrzał na nią ze zdumieniem, potem jednak objął ją w tali i ponownie przyciągnął do siebie. Uniósł jej twarz ku sobie i powiedział niskim, zmysłowym głosem:

- Ależ oczywiście, że możesz to zrobić. Widzisz, jakie to łatwe i przyjemne? - Pochylił się, by złożyć na jej ustach kolejny namiętny pocałunek.

Przez moment Sara bliska była kapitulacji, potem jednak wyrwała się gwałtownie z jego objęć i wstała, odsuwając się na bezpieczną odległość.

- Może jest łatwe i przyjemne - mówiła, z trudem łapiąc oddech - ale na pewno nie jest dobre, bo jestem przeznaczona innemu mężczyźnie. - Cofnęła się jeszcze o kilka kroków, dla pewności przytrzymując się ściany. - Zhańbiłam jego i siebie.

Ciemne włosy Wędrowca rozsypane były w nieładzie, oddychał ciężko, jakby ukończył właśnie długi bieg. Kiedy Sara spojrzała na jego twardą, mocno zaciśniętą szczękę, przeraziła się przez moment. Byli tu zupełnie sami, a ona była zdana na jego łaskę. Nawet angielski dzentelmen, wychowany według tych samych zasad co Sara, mógł stać się w takich okolicznościach niebezpieczny i nieobliczalny.

- Moje zachowanie z pewnością godne jest potępienia i słusznego gniewu, ale proszę...

- Głos załamał jej się nagle; nie czuła już strachu, tylko ogromny wstyd.

Książę odwrócił głowę, widziała, jak jego ciałem wstrząsają dreszcze, jak zaciska palce na parapecie okna. Gdy znów odwrócił się do niej, był już całkowicie opanowany. Kiedy jednak Sara zaczęła się uspokajać, zrozumiała, że grozi jej inne, bardziej subtelne niebezpieczeństwo; ponownie czuła bijącą od księcia niesamowitą moc, jakiś niewidzialny prąd, który ją zniewalał i pchał w jego ramiona.

Sara omal nie poddała się tej mocy. Chciała podejść do niego, ulec mu całkowicie, wiedziała też, że gdyby ją objął, nie mogłaby już mu się przeciwstawić. Na szczęście jednak książę nie ruszał się z miejsca, ona zaś dziękowała w duchu niebiosom za ten akt łaski.

- Nie wyszła pani jeszcze za Weldona i może nie powinna pani tego robić - powiedział chłodnym, oficjalnym tonem. - Czy reaguje pani w ten sposób na jego pocałunki?

- To nie pański interes. - Sara się zarumieniła. - Poza tym małżeństwo niewiele ma wspólnego z namiętnością. To kwestia zaufania, wspólnych wartości i szacunku.

- Proszę nie zapominać o wspólnej własności - dodał ironicznym tonem. - Ma pani całkiem spory posąg, a interesy Weldona wcale nie są tak dochodowe, jakby się wydawało.

Sara wzięła głęboki oddech, starając się uspokoić rozbuchane emocje.

- Charles nie żeni się ze mną dla pieniędzy, a nawet gdyby tak było, nie zmienia to faktu, że jestem z nim zaręczona. Pozwalając sobie na chwilę słabości, dopuściłam się niewybaczalnej zdrady.

Książę znów skrzywił się szyderczo.

- Skoro uważa pani ten skromny pocałunek za rzecz niewybaczalną, to dlaczego nie dokończymy tego, co już zaczęliśmy? Nie tylko zaznałaby pani ogromnej przyjemności, ale miałyby pani przynajmniej prawdziwy powód do wyrzutów sumienia.

Skromny pocałunek, doprawdy! Sara zarumieniła się jeszcze mocniej, przypomniawszy sobie, jak bezwstydnie ocierała się o niego. Chwała niebiosom, że miała na sobie kilka warstw ubrań; gdyby nosiła jedną z tych delikatnych i lekkich sukni z poprzedniego wieku, z pewnością nie zdążyłaby powstrzymać się przed najgorszym.

- Wiem, że nie tylko zhańbiłam siebie, ale i zachowałam się niegodnie w stosunku do pana. Ma pan wszelkie powody do gniewu - oświadczyła, unosząc dumnie głowę. - Proszę jednak nie szydzić ze mnie. To poniżej pana godności.

Twarz księcia złagodniała.

- Nie szydziłem z pani - powiedział cicho. - Ale uważam, że traktuje pani ten drobny incydent zbyt poważnie. Jest pani piękną kobietą, pocałowałem panią i sprawiłem pani przyjemność tym pocałunkiem. To nie taki wielki grzech.

- Być może dla pana jest to mało istotne, lecz nie dla mnie. - Dobry Boże, to co dla

niego było tylko „drobnym incydentem”, dla niej stało się jednym z najbardziej wstrząsających wydarzeń w życiu. Wytarła wilgotne dłonie w spódnicę i oparła się o ścianę, czując, że chora noga znów zaczyna odmawiać jej posłuszeństwa. Przypomniawszy sobie coś, co powiedział jej Charles, dodała: - Angielskie kobiety mają stosunkowo dużo swobody w porównaniu z kobietami z innych krajów, dlatego więc zakłada pan zapewne, że jesteśmy niemoralne. Ale to nieprawda.

Wędrowiec uniósł swe ciemne brwi.

- Nie? Widziałem sporo rzeczy, które świadczą o czymś innym.

- Może bardziej precyzyjne byłoby stwierdzenie, że nie jesteśmy ani mniej, ani bardziej cnotliwe niż inne kobiety - sprostowała, mając w pamięci panny, które otaczały księcia na balu. - Z pewnością czystość ducha i obyczajów to wartość, którą w naszym kraju szanuje się i ceni.

- Ale pani rodaczki mają więcej okazji niż kobiety innych nacji, by o tej czystości zapomnieć. - Wstał i uczyniwszy zaledwie dwa kroki, stanął tuż obok niej, tak że czuła żar bijący od niego. - Choć ta dyskusja jest bardzo interesująca, schodzimy z głównego tematu. Nigdy nie uważałem pani za kobietę niemoralną, lady Saro. Wręcz przeciwnie, otacza panią aura szlachetności i uczciwości. To jedna z rzeczy, które tak bardzo mi się w pani podobają. - Wyciągnął ręce i zamknął jej twarz w obu dłoniach, dotykając swymi długimi, delikatnymi palcami jej rozpalonej i wrażliwej skóry.

Wiedziała, że znów chce ją pocałować. Wiedziała też, że kiedy to zrobi, ona mu się podda, bo pragnęła go całym ciałem i duszą.

Fizycznie była gotowa do tego ostatecznego aktu, oboje o tym wiedzieli. Została jej jednak jeszcze odrobina honoru. Łamiącym się głosem poprosiła:

- Wiesz, że nie mogę ci się oprzeć, ale proszę... proszę, przestań. Nie niszczonej dla tej ulotnej przyjemności, dla kolejnego podboju.

Wędrowiec znieruchomiał.

- Czy tak właśnie o tym myślisz? Nie, Saro, tu nie chodzi o kolejny podbój miłosny. - Powoli opuścił ręce. - Nie chcę cię też zniszczyć. Zaslugujesz na coś więcej.

- Więc czego chcesz? - spytała, opierając się mocniej o ścianę, kiedy znów do niej sięgnął.

Tym razem jednak nie pieścił jej, założył tylko kosmyk włosów za jej ucho w delikatnym, czułym geście.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. Chcę ciebie, właśnie ciebie. Nie może cię zastąpić żadna inna kobieta.

Potrząsnęła głową, bezradna i oszołomiona. W przypadku Anglika takie słowa mogły być wstępem do wyznania miłości, może nawet oświadczyn, była jednak pewna, że Wędrowiec nie to miał na myśli. Zdesperowana, powiedziała cicho:

- Nie rozumiem tego, zupełnie tego nie rozumiem.

Nim mógł odpowiedzieć, z dołu dobiegło głośnie kołatanie. Oboje zamarli na moment w bezruchu.

- To pewnie woźnica z powozem - odezwał się po chwili Kafiristańczyk. - Czeka przed domem. Powiem mu, żeby zajechał od tyłu, bo mam klucz tylko do tylnego wejścia.

Kiedy księżę odwrócił się od niej, roztrzęsiona Sara odetchnęła z ulgą. Podczas gdy jej towarzysz przeszedł do jednej z frontowych sypialni i otworzył okno, by wydać woźnicy odpowiednie polecenia, ona ruszyła w stronę schodów, poruszając się najszybciej, jak mogła z obolałą nogą.

Schodziła właśnie z pierwszego stopnia, uczipiona kurczowo po ręczy, kiedy dołączył do niej Wędrowiec. Przez moment obawiała się, że zechce znieść ją na rękach, on jednak prawidłowo zinterpretował jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Ach, jaka groźna! - powiedział, rozbawiony. - Proszę się nie martwić, słodka Saro, z mojej strony nic pani nie grozi.

- Proszę zwracać się do mnie „lady Saro”, to jedyna odpowiednia forma. Nie pozwoliłam panu na poufałość. - Ogarnięta nagłym gniewem zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy. - Dla pana to tylko zabawa, prawda? Żałuję, że kiedykolwiek się poznaliśmy, bo przewrócił pan moje życie do góry nogami, nic sobie z tego nie robiąc.

- To nie jest dla mnie zabawa i wcale sobie tego nie lekceważę. - Zatrzymał się dwa stopnie niżej i śmiało spoglądając jej w oczy, spytał całkowicie poważnym tonem: - Czy może pani szczerze i uczciwie powiedzieć, że nie skorzystała pani choć trochę z tego, co zrobiłem z pani życiem?

Sara pomyślała o tym, jak pomógł jej pozbyć się jej starych lęków, powrócić do przyjemności, jaką czerpała z jazdy konnej i tańca. Pomyślała też o innej przyjemności, znacznie bardziej niebezpiecznej pasji, którą odkryła w jego ramionach, która mogła ją szybko doprowadzić do zguby. Zamknęła na moment oczy i ze znużeniem wolną ręką potarła skroń.

- Owszem, skorzystałam, i tak naprawdę nie żałuję, że pana poznałam - odparła cicho.

- Ale w przyszłości nie mogę już widywać się z panem sam na sam. Proszę mnie nie odwiedzać i nie zapraszać na konne przejażdżki, bo nie przyjmę takiego zaproszenia.

- Nie ufa mi pani? - Wpatrywał się badawczo w jej twarz, a jego zielone, głębokie jak

toń jeziora oczy znów były tajemnicze i nieprzeniknione.

- Nie - odparła krótko. - Nie ufam też sobie. Nie pozwolę, by znów doszło do takiego incydentu, nie chcę ryzykować.

Księżę milczał długo, nim wreszcie jej odpowiedział.

- Oczywiście, muszę podporządkować się pani życzeniom, lady Saro. - Jego oczy pociemniały nagle, pojawiło się w nich coś subtelnego i niebezpiecznego. - Na razie.

Droga powrotna do Londynu była długa i męcząca. Sara dziękowała niebiosom, że księżę zdecydował się jechać na swym ogierze, a nie wraz z nią we wnętrzu powozu. Kolejne dwie godziny spędzone z nim sam na sam, w ograniczonej, ciasnej przestrzeni, byłyby już ponad jej siły. I tak z trudem przychodziło jej zachować spokój i godną postawę.

Kiedy przybyli do Haddonfield House, księżę traktował ją z nie naganną uprzejmością, odprowadził Pansy do stajni, pomógł Sarze wejść na schody, przytrzymując jej ramię w oficjalnym, bezosobowym geście, wreszcie podziękował jej na pożegnanie za nieocenioną pomoc. Nawet sztywny i wyczulony na etykietę lokaj z Haddonfield, który obserwował ich przyjazd, nie dopatrywał się żadnych uchybień w zachowaniu księcia.

Sara miała jeszcze dość sił, by samodzielnie wspiąć się na piętro, do swego pokoju, choć była to długa i bolesna wspinaczka. Na szczęście jej ojciec wyszedł gdzieś na wieczór. Hoskins, zręczliwa pokojówka, uczyniła kilka zjadliwych komentarzy na temat nogi Sary i faktu, że ostrzegała ją przed tą eskapadą. Umilkła dopiero na kategoryczne żądanie Sary.

Uwolniona od ciężaru amazonki i gorsetu, Sara najchętniej położyłaby się do łóżka i zasnęła, wiedziała jednak z doświadczenia, że nazajutrz będzie czuć się znacznie lepiej, jeśli przed snem weźmie długą, gorącą kąpiel. Poza tym musiała zrobić coś jeszcze.

Kiedy Hoskins wyszła już, by przygotować kąpiel, Sara usiadła przy toalecie i wpatrując się w swe odbicie, powoli wyciągała szpilki z włosów. Uwolnione złote loki opadały na jej ramiona i plecy. Chciała stawić czoło pewnym niemiłym faktom i miała nadzieję, że patrząc w lustro zmusi się do pełnej szczerości.

Bo do tej pory nie była wobec siebie szczerą; od momentu, kiedy ujrzała księcia Wędrowca, okłamywała siebie, nie przyznawała przed sobą, jak bardzo fascynuje ją ten człowiek. Wierzyła, że jest odporna na jego niebezpieczny urok, a to oszustwo doprowadziło do upokarzających wydarzeń, do których doszło w Sulgrave.

Przeciągnęła palcami przez swe gęste włosy, rozplatając je, pozbywając się sztywnego ciężaru na głowie. Szkoda, że równie łatwo nie może pozbyć się wyrzutów sumienia, które ciążyły jej na sercu. Najtańsza ulicznica z Covent Garden zachowałaby się godniej niż lady Sara St. James. Ignorancja nie mogła być usprawiedliwieniem, gdyż od dawna już wiedziała,

co dzieje się między kobietą i mężczyzną, uzyskawszy wszelkie, najbardziej nawet szczegółowe informacje od pewnej bezpruderyjnej pokojówki. Jednak pomimo tej wiedzy i wbrew zasadom, którym hołdowała, z własnej woli doprowadziła do sytuacji, która mogła ją zrujnować, bo w głębi duszy pragnęła namiętności bardziej niż honoru.

Do tej pory zakładała, że jest zbyt dystygowana, zbyt dobrze wychowana, a może zbyt zimna, by ulec takim niskim popędom. Najwyraźniej jednak była w błędzie, choć nie mogła winić się za to, że chciała poddać się namiętności już wtedy, gdy poznała jej zniewalającą moc. Gdyby równie mocno pożądała Charlesa, uznałaby to za dodatkowe błogosławieństwo dla ich małżeństwa. Tymczasem jednak na kilka tygodni przed ślubem straciła głowę dla innego mężczyzny. Co gorsza, mężczyzna ten wcale nie był nią zainteresowany.

Choć Wędrowiec powiedział, że jest jedyną kobietą, której pragnie, uznała to za taktowne kłamstwo doświadczonego uwodziciela, podobne do innych komplementów, którymi ją obdarzał. „Złoto, jedwab i kość słoniowa powołane do cudownego życia”, akurat! Kiedy patrzyła na swe odbicie w lustrze, widziała tylko drobną, niepozorną, nazbyt poważną - zmusiła się, by wyraźnie sformułować w myślach to słowo - kalekę.

To dziwne, ale uwierzyła Wędrowcowi, kiedy powiedział, że nie chce jej zniszczyć, i że nie jest dlań tylko przedmiotem kolejnego miłosnego podboju. Uśmiechnęła się lekko na tę myśl, gdyż nic, co dotyczyło księcia, nie było proste i jednoznaczne. Przychodziły jej jednak do głowy tylko dwie przyczyny, dla których przystojny książę wolałby ją od pięknych, doświadczonych kobiet z londyńskiego towarzystwa, i żadna z tych przyczyn nie przynosiła jej chwały.

Być może pociągało go jej wysokie urodzenie, może dzięki temu właśnie wydawała mu się bardziej atrakcyjna, niż była w rzeczywistości. Z drugiej jednak strony odpowiedź była zapewne znacznie prostsza; książę zapragnął jej dlatego, że sama pchała się w jego ręce. Była na tyle głupia, by postawić się w sytuacji, w której Kafiristańczyk miał prawo uwierzyć, że zaakceptuje jego zaloty. I rzeczywiście, przez chwilę zachowywała się jak nierządnica, by potem zmienić nagle zdanie i wycofać się niczym niezdecydowana, niedojrzała pensjonarka. Mógł ją co najmniej upokorzyć, mógł ją także wykorzystać, powstrzymał się jednak, a ona była mu za to wdzięczna.

Bez wątplenia powinna być także wdzięczna Rossowi, bo to właśnie przyjaźń między tymi dwoma mężczyznami była zapewne powodem, dla którego Wędrowiec nie wykorzystał jej głupoty. Oby tylko Ross, Charles ani jej ojciec nie dowiedzieli się nigdy, co wydarzyło się tego dnia. Ross mógłby to zrozumieć, albo przynajmniej wybaczyłby jej tę słabość, lecz jej

ojciec i narzeczony byliby głęboko i słusznie oburzeni jej karygodnym zachowaniem.

Sara ukryła nagle twarz w dłoniach, niezdolna dłużej patrzeć na swe odbicie. Nawet jeśli mężczyźni jej życia nie dowiedzą się, co zrobiła, nie zdoła ująć najgorszej z kar; świadomości, że nie potrafiła dochować wierności swoim zasadom. Uważała się za cnotliwą kobietę, najwyraźniej jednak jej cnota była tylko wynikiem faktu, że nigdy nie doznała prawdziwej pokusy.

Szczęśliwie dla stanu ducha Sary wkrótce wróciła Hoskins, by oznajmić jej, że kąpiel jest już gotowa. Sara przeszła więc do łazienki, zdjęła aksamitną zieloną sukienkę i zanurzyła się w wielkiej wannie. Parująca, nasycona zapachem róży woda zakryła ją po samą szyję, a obolałe mięśnie zareagowały ulgą tak gwałtowną, że niemal bliską bólu. Przez chwilę Sara doznawała przyjemności równie wyraźnej i zmysłowej jak ta, której doświadczyła z rąk Wędrowca.

Przerażona, starała się odpędzić od siebie te nieczyste myśli, jednak bez powodzenia. Choć wiedziała, że tego rodzaju doznania są jednoznacznie nieprzyzwoite, nie mogła zaprzeczyć temu, co czuje. Powoli, z wahaniem, otworzyła dłonie i zaczęła gładzić swój tułów, przesuwać rękami po kobiecych krągłościach. W gorącej wodzie jej skóra była gładka i delikatna jak satyna.

Dłonie Wędrowca były szczupłe i zwinne, stwardniałe od ciężkiej pracy, a jednak delikatne, tak bardzo delikatne. Ciekawe, co by czuła, gdyby dotykał tymi dłońmi jej nagiego ciała? Na tę myśl przeszedł ją dreszcz rozkoszy i wstydu, nie była jednak na tyle zawstydzona, by przestać się nad tym zastanawiać.

Objęła dłonią jedną pierś. Była miękka, niemal pozbawiona ciężaru. Ciekawa rzecz, kobiece piersi; tak bardzo działały na mężczyzn, ona zaś niemal jęczała z rozkoszy, kiedy palce księcia dotknęły jej przez grubą warstwę materiału.

Przesunęła dłoń niżej, pod żebra, na talię, jeszcze niżej, ku tym częściom ciała, których nie potrafiła nawet nazwać, lecz które pulsowały teraz pożądaniem. Kiedy jej palce dotknęły kręconych, złotych włosów, oczyma wyobraźni ujrzała nagle w tym samym miejscu jego dłoń. Zaledwie kilka godzin temu tuliła się do niego, ich lędźwie ocierały się o siebie...

Sara splonęła nagle rumieńcem wstydu i szybko cofnęła rękę, lecz to nie wyobrażenie dotykającego jej księcia było głównym powodem zakłopotania. Bardziej przejmowała się tym, że zarówno w myślach, jak i w emocjach była nielojalna względem człowieka, któremu oddała swą rękę. Nie przypuszczała, by od śmierci swej żony Charles nigdy nie zboczył ze ścieżki cnoty, ale to wcale jej nie usprawiedliwiało.

Celowo przeniosła uwagę na prawe udo i wpatrzyła się w paskudne, krzywe blizny

pozostawione przez chirurgów. Po wypadku w ranę wdało się zakażenie i lekarze chcieli amputować jej nogę, na szczęście jednak, nim podjęli ostateczną decyzję, stan jej zdrowia zaczął się poprawiać. Te blizny były częścią jej samej, podobnie jak ograniczenia, które na nią sprowadziły. Powinna o tym zawsze pamiętać.

Woda robiła się coraz chłodniejsza. Wzdychając ciężko, Sara wzięła do ręki kostkę francuskiego mydła i zaczęła namydlać swe ciało, potem jednak przestała, śliski, delikatny dotyk znów rozbudzał w niej bowiem nieprzyzwoite pragnienia i myśli. Co ten przekłety Wędrowiec zrobił z jej umysłem i wyobraźnią!

Zaciskając usta w ponurym grymasie, zadała sobie kolejne, trudne pytanie. Wiedziała już, że oszukiwała samą siebie, przyznała, że czuje fizyczny pociąg do tego tajemniczego Kafiristańczyka. Choć była nim zafascynowana, uważała do tej pory, że on nie traktuje jej poważnie. A jeśli się jednak myliła? Co by zrobiła, gdyby Wędrowiec poprosił ją o rękę? Co wtedy?

Straciła ostatecznie panowanie nad swymi emocjami i zaczęła płakać. Wielkie łzy toczyły się po jej policzkach, spadały do wody. A ona nie wiedziała nawet dlaczego.

Był późny wieczór, kiedy Wędrowiec jechał do domu Benjamina Slade'a na ciekawie zapowiadające się spotkanie. Zamiast jednak przygotowywać się do rozmowy o interesach, wciąż powracał myślami do lady Sary St. James, co zresztą czynił bez ustanku przez cały miniony tydzień. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego powstrzymał się tamtego popołudnia w Sulgrave. Pragnął jej mocniej niż jakiegokolwiek innej kobiety, ona zaś była już w trzech czwartych zdecydowana. Jeszcze jeden pocałunek, a poddałaby mu się całkowicie. A jednak powstrzymał się.

Być może zrobił to ze względu na obietnicę daną Rossowi, być może ze względu na nieme błaganie, które widział w oczach lady Sary. Choć tak bardzo jej pożądał, nie mógł zrobić czegoś, co kazałoby jej potem pogardzać samą sobą.

Problem polegał na tym, że lubił tę przekłętą kobietę, lubił jej inteligencję, poczucie humoru i mądry, łagodny charakter. Nie mógł też zaprzeczyć, że budzi w nim szacunek konsekwencją, z jaką trzymała się swoich zasad, swoich wyobrażeń o tym, co jest dobre, a co złe. Podobne zasady były luksusem, na który mogli pozwolić sobie jedynie ludzie prowadzący łatwe, uporządkowane życie, miały jednak pewien swoisty urok.

Skrzywił się ze złością, kiedy pomyślał o reperkusjach owej chwili słabości i niepotrzebnych skrupułów. Okazałby się znacznie mądrzejszy, gdyby po prostu wziął ją bez pytania. Poznał już lady Sarę dość dobrze, by mieć pewność, że wyrzuty sumienia kazałyby jej w takiej sytuacji zerwać zaręczyny. Weldon straciłby swoją bogatą, dobrze urodzoną żonę, on sam osiągnąłby swój cel, a i Sara na dłuższą metę wyszłaby na tym całkiem dobrze.

Ponieważ udało mu się rozbudzić pożądanie lady Sary, ta byłaby zbyt uczciwa, by rzucić nań całą winę, później więc zadreślałaby się wyrzutami sumienia. Najważniejsze jednak, że nie wpadłaby w łapy Weldona, a po jakimś czasie pogodziłaby się ze sobą, była bowiem zbyt rozsądna, by do końca życia zadawać sobie cierpienie.

Zachował się wtedy jak głupiec, za co obojgu przyjdzie im teraz zapłacić wysoką cenę. Wiedział, że zaręczyny koniecznie powinny zostać zerwane, ponieważ jednak mógł widywać się z Sarą tylko przy oficjalnych okazjach, wśród innych ludzi, musiał uciec się do jakiegoś innego planu. Plan ten już formował się w jego umyśle, i choć na pierwszy rzut oka wydawał się nikczemny, nie zawahałby się przed jego realizacją. Tym razem nie pozwoli, by oskarżycielskie spojrzenie brązowych oczu Sary odwiódło go od ostatecznego celu.

Benjamin Slade osadził okulary na nosie z istic prawniczą precyzją i podniósł jedną z licznych kartek zaścielających jego biurko.

- Kierując się twoimi sugestiami, zgromadziłem całkiem spore dossier dotyczące sir Charlesa Weldona. Nie uwierzyłbym, że dżentelmen zdolny jest do takiej podłości i hipokryzji, gdybym na własne oczy nie widział dowodów. - Przerwał i zerknął na Wędrowca znad swych wąskich okularów. - Pamiętaj, że mam tu dowody dwojakiego rodzaju. Niektóre są tak ewidentne, że przekonałyby każdego sędziego w Wielkiej Brytanii. Jednak dowody kilku innych przestępstw popełnionych przez Weldona nie mogłyby znaleźć się w sądzie.

- Rozumiem doskonale to rozróżnienie - odparł Wędrowiec, rozsiadając się w fotelu i krzyżując nogi. - Na szczęście nie ma takiej potrzeby. Chcę tylko wiedzieć, że mamy dość dowodów, by go powiesić. - Właściwie interpretując niepewną minę Slade'a, dodał z uśmiechem: - To tylko metafora. Prawdę mówiąc, uważam, że śmierć na szubienicy byłaby zbyt łagodną karą dla sir Charlesa Weldona.

Ku zdumieniu księcia, Slade skinął głową i odpowiedział:

- Myślę, że masz rację. - Powrócił spojrzeniem do kartki, którą trzymał w dłoni. - Krótko mówiąc, Weldon jest właścicielem wszystkich wymienionych przez ciebie burdeli. Prawdopodobnie posiada także kilka innych, plus nielegalne salony gier hazardowych. W większości przypadków nie da mu się niczego udowodnić, bo przepływ środków dokonywany jest w gotówce, przy minimalnej dokumentacji. Prócz domu pani Kent, rzadko odwiedza należące do niego lokale, woli zbierać pieniądze przez pośredników. Najważniejszym z nich jest niejaki Kane, który mieszka w domu Weldona i zajmuje stanowisko jego osobistego sekretarza.

Wędrowiec skinął głową.

- To mnie nie dziwi. Spotkałem Kane'a kilka razy. Milczący i niebezpieczny, wygląda na byłego żołnierza.

- Całkiem możliwe. Nie zdołałem zebrać żadnych informacji na jego temat, wiem tylko, że zaczął pracować dla Weldona jakieś piętnaście lat temu. - Slade odłożył kartkę i podniósł następną. - Choć życiorys Kane'a pozostaje tajemnicą, jego zbrodnicze talenty to podstawa rozwoju nielegalnych interesów Weldona. Zbiera pieniądze, terroryzuje tych, którzy nie chcą współpracować, generalnie czuwa nad całością spraw. W każdym burdelu jest co najmniej jeden strażnik pochodzący z londyńskiego półświatka, który regularnie zdaje raporty Kane'owi. Coś w rodzaju prywatnej armii. Wszelkie akty przemocy dokonywane są przez Kane'a albo przez tychże strażników, dlatego też trudno połączyć Weldona bezpośrednio z działalnością przestępczą. - Prawnik uśmiechnął się z satysfakcją. - Udało mi się jednak zdobyć kilka cennych zeznań. Jeśli chodzi na przykład o ohydny lokal pani Kent, panna Miller nie tylko podsłuchiwała rozmowę Weldona i swojej przełożonej, ale widziała nawet, jak

ta wręcza mu pieniądze. Gotowa jest poświadczyć to w sądzie.

Wędrowiec uśmiechnął się, rozbawiony. Być może Jenny rzeczywiście widziała podobną scenę, bardziej prawdopodobne wydawało mu się jednak, że wymyśliła tę historię, by zemścić się na Weldonie. Wolał nie wspominać o tej możliwości Benjaminowi, ten bowiem doznałby szoku dowiedziawszy się, że ktoś gotów jest składać pod przysięgą fałszywe zeznania. Wędrowiec nie miał takich skrupułów; zależało mu tylko na tym, by dziewczyna kłamała przekonująco, a podejrzewał, że umie to robić doskonale. Wiedział z doświadczenia, że ktoś, kto żył przez dłuższy czas poza prawem, nie przejmuje się potem zbyt jego subtelnościami.

- Przypuszczam, że aby zebrać te informacje, wydałeś całą fortunę na łapówki.

- Wolałbym nie używać pojęcia łapówka - odparł Slade z godnością. - Ale rzeczywiście, sporo mnie to kosztowało. Dałeś mi przyzwolenie.

- Wcale nie narzekam. Wydawaj tyle, ile musisz, nie ograniczaj się. - Choć Wędrowiec rzadko palił tytoń, teraz sięgnął do pudełka z cygarami leżącego na biurku jego gospodarza. - Udało ci się ustalić, czy Weldon jest powiązany z tymi okrętami, o których rozmawialiśmy poprzednio?

Slade skinął głową; jego szare oczy były zimne jak lód.

- Owszem. Sprawa nie była prosta, musiałem sprawdzić kilka marionetkowych firm i instytucji. W odróżnieniu jednak od większości burdeli, w tym przypadku można udowodnić niezbitcie, że to Weldon jest ich właścicielem.

Wędrowiec odciął koniec cygara, starając się ukryć ekscytację, którą wywołały słowa Slade'a. Miał więc rację; jego wróg był nikczemny, a przy tym na tyle głupi albo arogancki, by pozostawić za sobą wyraźny ślad.

- Co z legalnymi interesami Weldona?

- Choć cieszy się reputacją bogacza i człowieka sukcesu, rzeczywistość wcale nie jest taka różowa. Z pewnością jest bystry, ale często działa w zbyt pośpiechu. Gdyby nie dochody, które czerpie z nielegalnych działań, zbankrutowałby już jakiś czas temu. - Prawnik otworzył nowy plik dokumentów. - W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy podjął kilka błędnych decyzji, teraz zaś musi spłacić sporo pożyczek. Bank prowadzący jego konto stał się trochę nerwowy, zakłada jednak, że Weldon dojdzie do siebie. Weldon zawdzięcza to także faktowi, że ostatnio ogłosił swoje zaręczyny z bogatą dziedziczką, lady Sarą St. James. Wkrótce mają się pobrać. Być może miałeś okazję ją poznać na jakimś oficjalnym przyjęciu. To jedynaczka, córka diuka Haddonfielda.

- Owszem, poznałem ją. - Mrużąc oczy, Wędrowiec podniósł świecznik i przypalił

cygaro. - Jak zmieniłaby się sytuacja finansowa Weldon, gdyby zaręczyny zostały zerwane?

Slade uniósł brwi.

- Z pewnością nie pomogłoby mu to. Masz powody, by wierzyć, że nie dojdzie do tego małżeństwa?

- Jestem pewien, że do niego nie dojdzie. - Księżę zaciągnął się głęboko, potem powoli wydmuchał dym. - Możesz wspomnieć tu i ówdzie w finansowych kręgach, że lady Sara, kobieta rozsądna i inteligentna, poważnie zastanawia się nad zmianą decyzji w kwestii ślubu z Weldonem.

Prawnik spojrzał nań z uwagą.

- Mam wrażenie, że im mniej o tobie wiem, tym lepiej. Możesz być pewien, że wkrótce sporo wpływowych osób dowie się o rozterkach lady Sary i o tym, że Weldon być może nie otrzyma jednak posagu, na który tak liczył. Oczywiście, może znaleźć sobie inną dziedziczkę, ale to rzecz czasochłonna, nawet dla przystojnego mężczyzny o ustalonej reputacji.

Wędrowiec strzepnął popiół z cygara i patrzył przez chwilę, jak czarny pył rozsypuje się na dnie popielniczki.

- Myślisz, że kiedy wieść o planowanym zerwaniu zaręczyn rozniesie się już po Londynie, bank Weldon gotów będzie sprzedać jego długi?

- Całkiem możliwe. Ale jeśli skupisz jego długi, a on nie wybrnie z kłopotów finansowych, poniesiesz spore straty.

- To nieważne - wzruszył ramionami księżę. - Chcę je mieć. Kup je za pośrednictwem tej twojej marionetkowej spółki, nie chcę, żeby w tej sprawie pojawiło się moje nazwisko. A teraz powiedz mi, co z firmą kolejową L&S Railway.

- Przejęcie tej kompanii to najmądrzejsza rzecz, jaką Weldon zrobił od lat - odparł Slade, kiwając głową z aprobatą. - W kręgach finansistów dużo się mówi o nowym zarządzie firmy i o jej perspektywach. W przyszłym tygodniu na rynek ma trafić nowy pakiet akcji, wszyscy są pewni, że bardzo dobrze się sprzeda. Sporo zarobisz na tej inwestycji.

- Dowiedziałeś się, na czym naprawdę polegają te problemy, o których mówił mi Weldon?

- Właśnie chciałem do tego przejść. - Prawnik był wyraźnie zdegustowany jego niecierpliwością. - Jak wiesz, ustawa parlamentarna, dotycząca między innymi kolei, stwierdza, że przedsiębiorstwo może zabrać potrzebne jej ziemie w zamian za odpowiednio wysoką rekompensatę. Pierwsza spółka L&S już od początku była niedokapitalizowana, próbowała więc przejąć tereny po zaniżonej cenie. Nic też dziwnego, że wielu rolników

wniosło sprawę do sądu, domagając się wyższych odszkodowań. Przewodził im pewien farmer z Hampshire o nazwisku Jethro Crawley. Spór między rolnikami i spółką coraz bardziej się zaostrzał. - Slade znów zajrzał do swoich papierów. - I tu właśnie sprawa zaczyna się robić naprawdę interesująca. Choć mało kto wie o tym fakcie, Crawley zrezygnował ze swoich roszczeń po tajemniczym pożarze, który wybuchł na jego farmie. Bardzo niefortunny wypadek. Zdaje się, że nawet ktoś zginął. Po przejęciu firmy przez Weldoną spora część innych farmerów zgodziła się przyjąć rekompensaty niewiele wyższe od proponowanych pierwotnie.

Wędrowiec zastanowił się nad jego słowami.

- Myślisz, że Crawley był ofiarą podpalenia, a inni farmerzy postanowili przyjąć niższe odszkodowania, bo bali się, że spotka ich to samo?

- To całkiem możliwe - zgodził się z nim Slade. - Zamierzałem wybrać się w tym tygodniu do Hampshire i porozmawiać z Jethro Crawleyem, sprawdzić, co naprawdę się tam wydarzyło.

- Chcę sam to zrobić. - Wędrowiec znów zaciągnął się dymem i wypuścił z ust kilka idealnie okrągłych kółek. - Jeśli nie podpisał jeszcze ostatecznej umowy z L&S, może zgodzi się sprzedać tę ziemię nam. Zrobilibyśmy to za pośrednictwem jeszcze innej, podstawionej firmy, by Weldon nie dowiedział się zbyt wcześnie, kto za tym stoi.

- I co wtedy? - Slade spojrzał nań z niepokojem. Oczy Wędrowca błysnęły złowieszczo.

- Ponownie odwołamy się do sądu, tyle że teraz, prócz roszczeń finansowych, Weldon będzie musiał poradzić sobie z oskarżeniem o zastraszanie niewinnych farmerów. Czyż to nie cudowny temat dla gazet? Wybuchnie wielki skandal, który prawdopodobnie na jakiś czas zablokuje dalszą budowę linii. Slade zmarszczył brwi.

- Zainwestowałeś spore pieniądze w tę firmę. Jeśli zatrzymasz budowę, poniesiesz duże straty, ty i inni udziałowcy.

- To nie ma znaczenia. - Wędrowiec uciął dalsze wywody prawnika machnięciem ręki.

- Została nam jeszcze jakaś sprawa do omówienia?

- Sprzedawca Sulgrave chciałby jak najszybciej zakończyć transakcję, więc w przeciągu tygodnia sprawa powinna być ostatecznie zamknięta.

- Im szybciej, tym lepiej. Udało ci się znaleźć jakiś przyjemny dom w mieście?

- Doskonale wyposażony dom przy Park Street jest do wynajęcia. Należy do pewnego dżentelmena, który wyjeżdża na rok za granicę. Jest dość drogi, ale bardzo elegancki. Chcesz go obejrzeć?

Wędrowiec pokręcił głową.

- Skoro uważasz, że jest odpowiedni, po prostu go wynajmij. Mam już dość mieszkania w hotelu. - Książę spojrział na rozżarzoną końcówkę cygara, przypominając sobie o jeszcze jednej sprawie, którą chciał poruszyć tego wieczoru. - Jak się miewa Jenny Miller?

Zimne oczy Slade'a wyraźnie złagodniały.

- Nie wiem, czybyś ją rozpoznał. Jest zdumiewająco bystra, rozumie i zapamiętuje wszystko, co się do niej mówi. Pozbyła się już nawet akcentu z East Endu.

Wędrowiec usłyszał delikatny szmer za drzwiami gabinetu, jakby prześliznęła się tamtędy mysz. Nakazując Slade'owi gestem, by nie przestawał mówić, odłożył cygare na popielniczkę, po czym wstał i bezszelestnym krokiem zbliżył się do drzwi.

Slade ze zdumieniem przyglądał się jego poczynaniom, kontynuował jednak relację:

- Znalazłem pewną kobietę, która służyła jako pokojówka u księżnej. Gotowa jest nauczyć pannę Miller wszystkiego, co potrzebne do wykonywania takiej pracy.

Książę otworzył gwałtownie drzwi i wcale się nie zdziwił, kiedy Jenny omal nie upadła na podłogę gabinetu. Przyłapana na gorącym uczynku, krzyknęła, obróciła się na pięcie i próbowała uciec. Nim jednak uczyniła choćby krok. Wędrowiec chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie.

Ubrana w normalny, kobiecy strój, dziewczyna wyglądała teraz na swój wiek. W skromnej, niebieskiej sukni i z równie skromnym kokiem na głowie, mogła uchodzić za córkę jakiegoś znanego prawnika lub lekarza, a może nawet pastora. Nikt nie uwierzyłby, że ta śliczna młoda dama spędziła kilka lat w domu publicznym.

Wędrowiec spytał łagodnym tonem:

- Mówiliśmy dość głośno, czy mamy wszystko powtórzyć?

- Niczego nie słyszałam - odparła Jenny, drżąc w jego uścisku. - Zeszłam na dół, by zapytać, czy mam przygotować dla pana Slade'a filiżankę herbaty, jak co wieczór.

- To prawda - wtrącił się Benjamin. - Nie strasz dziecka. Nie zrobiła nic złego.

Nie zwracając nań uwagi. Wędrowiec mówił:

- Nie okłamuj mnie, Jenny. - Wprowadził ją do wnętrza gabinetu. - Słyszałem, jak szurałaś pod drzwiami od chwili, kiedy tu wszedłem. Usiądź.

Dziewczyna przysiadła nerwowo na brzegu wysokiego, prostego krzesła. Spojrzała na Slade'a, który uśmiechnął się do niej uspokajająco, potem zaś na Wędrowca, który stał nad nią niczym wyrzut sumienia. Patrząc jej prosto w oczy, książę powiedział:

- Jestem pewien, że doskonale znasz się na szpiegowaniu i podsłuchiowaniu, i że te umiejętności pomogły ci przetrwać. Jestem też pewien, że w najbliższym czasie nie

przestanieś tego robić. Właściwie nie mam nic przeciwko temu, chciałbym tylko, byś przyrzekła mi, że nie wykorzystasz niczego, co tutaj usłyszysz, przeciwko mnie albo moim przyjaciołom. Oczekuję także, że jeśli usłyszysz coś, co mogłoby mnie zainteresować, poinformujesz mnie o tym. Czy to jasne?

Jenny otworzyła szeroko oczy, potem skinęła głową.

- Przyrzekam. Nigdy nie zrobiłabym czegoś, co mogłoby zaszkodzić panu albo panu Slade'owi. Ja... ja po prostu lubię wiedzieć, co się dzieje. Wszystkie te dziurki do podglądania w domu pani Kent działały w obie strony, a ja byłam dość mała, by dostać się w miejsca, do których ona nigdy nawet nie zaglądała. Dowiedziałam się w ten sposób wielu ciekawych rzeczy.

- Nie wątpię - odrzekł cierpko Wędrowiec, podnosząc swe cygaro. - Masz do mnie jakieś pytania, komentarze, skargi?

- O nie. - Jenny potrząsnęła energicznie swą blond główką. - Pan Slade jest dla mnie bardzo dobry. Te ostatnie tygodnie to najlepszy okres mojego życia. Nie mogę się już doczekać, kiedy zostanę pokojówką. Będę naprawdę bardzo dobra.

- Jestem tego pewien. - Wędrowiec zaciągnął się po raz ostatni i zdusił cygaro w popielniczce. - Zostało nam jeszcze coś do omówienia, Benjaminie?

- Nie. - Prawnik wręczył mu gruby plik dokumentów. - Tutaj znajdziesz szczegóły wszystkiego, o czym opowiedziałem ci w skrócie. Myślę, że będzie to dla ciebie fascynująca lektura.

Książę wziął od niego papiery, pożegnał się grzecznie i wyszedł. Kiedy już zamknęły się za nim drzwi, Jenny pokręciła głową.

- To dziwny człowiek, nie ma co. Wydaje się, że słyszy i wie wszystko, i zawsze potrafi człowieka zaskoczyć. Czuję się przy nim tak, jakbym siedziała na rozżarzonych węglach.

- To raczej niezbyt taktowne określenie dla człowieka, który jest twoim dobroczyńcą, ale muszę przyznać, że doskonale cię rozumiem - powiedział Slade z lekkim uśmiechem. - Jeśli jednak nie wchodzisz mu w drogę, nie znajdziesz lepszego przyjaciela ani pracodawcy.

- Na pewno nie chciałabym mieć w nim wroga - wzdrygnęła się Jenny. Potem uśmiechnęła się do Slade'a, jej delikatna twarz złagodniała i rozpromieniła się jakimś wewnętrznym ciepłem. - Zdecydowanie bardziej wolę mieć przyjaciela w panu. Pan nikogo nie straszy. - Wstała z krzesła. - Napije się pan herbaty?

- O tak, z przyjemnością.

Kiedy przechodziła obok jego krzesła, Slade uniósł rękę, opuścił ją jednak bez słowa,

odprowadzając dziewczynę tęsknym spojrzeniem. Potem zacisnął mocniej usta i powrócił do pracy. Robił już wiele trudnych rzeczy dla swego pracodawcy, nigdy jednak nie przypuszczał, że najtrudniejszym z nich będzie przemiana prostytutki w młodą damę.

Farma Crawleya wyglądała solidnie i bezpretensjonalnie, tworzyły ją niskie budynki z szarego kamienia. Jedynym odstępstwem od tej surowej stylistyki była strzecha domu, gdzie na kalenicy słomiany lis gonił trzy słomiane kurczaki. Strzecha była już jednak stara i poszarpana, a lis wyglądał tak, jakby lada moment miał spaść z dachu; była to tylko jedna z wielu oznak zaniedbania świadczących o tym, że farma nie prosperuje najlepiej.

Nikt nie kręcił się wokół domu ani zabudowań gospodarczych, Wędrowiec zsiadł więc z konia i zapukał do drzwi. Po długim oczekiwaniu otworzyła mu wreszcie kobieta w średnim wieku. Miała wesołą, okrągłą twarz, kiedy jednak ujrzała za progiem elegancko odzianego dżentelmena, zacisnęła usta w nieprzyjaznym grymasie.

- Pani Crawley? - spytał Wędrowiec. Kiedy skinęła głową, kontynuował: - Chciałbym rozmawiać z pani mężem. Znajdę go gdzieś w pobliżu?

- Tak - odparła niechętnie. - Powinien być za stajnią.

- Dziękuję pani. - Dotknął dłonią kapelusza i zaczynał się już odwracać, kiedy zza spódnicy pani Crawley wyjrzała mała dziewczynka. Kobieta szybko schowała ją za siebie i zamknęła drzwi. Najwyraźniej na farmie Crawleya działo się coś niedobrego.

Księżę niespiesznym krokiem przeszedł przez podwórze, kierując się ku stajniom. Po prawej stronie podwórka widniały zwęglone resztki stodoły, która spłonęła tu przed rokiem. Kamienna konstrukcja stodoły pozostała właściwie nienaruszona, przy odpowiednich nakładach można więc było ją odbudować, stan farmy świadczył jednak o tym, że Crawleya nie stać na podobną inwestycję.

Jethro Crawley rzeczywiście był za stajniami, siedział na kamieniu i naprawiał zniszczoną uprząż kawałkami nowego rzemienia. Kiedy Wędrowiec zbliżył się do niego, przysadzisty farmer podniósł głowę i zmierzył gościa niechętnym spojrzeniem.

- Czego pan chce? - spytał szorstko.

- Chciałbym porozmawiać o sprawie, którą wniósł pan do sądu przeciwko L&S Railway.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Crawley powrócił spojrzeniem do uprzęży i zajął się poszerzaniem otworu wyciętego przed chwilą w twardym rzemieniu.

- Kiedyś chętniej rozmawiał pan na ten temat. Przekonał pan kilku innych farmerów, że firma nie daje przyzwoitej ceny. Potem wybuchł tu pożar, a pan nagle wycofał sprawę. Pozbawieni przywództwa inni farmerzy szybko poszli pana śladem. Ciekaw jestem dlaczego.

Crawley wstał z kamienia, jego szaroniebieskie oczy płonęły gniewem. Pod gniewem zaś krył się strach.

- Nie muszę na to odpowiadać, ty łajdaku. Ty i tobie podobni narobiliście mi już dość kłopotów. Wynoś się z mojej ziemi!

- Nie zrobię tego, dopóki nie porozmawiamy. - Wędrowiec mówił spokojnym tonem, obserwował jednak czujnie każdy ruch farmera, a kiedy ten zamachnął się nań uprzążniczym biczem, przygotowany był na atak. Błyskawicznie usunął się na bok i zamknął rękę Crowleya w żelaznym uścisku. Kiedy farmer bezskutecznie próbował się wyrwać, książe spytał cicho:

- To był Weldon, prawda?

Crowley nagle przestał się opierać. Przesunął językiem po wargach i spytał ochryple:

- Skąd pan to wie?

- Mam swoje sposoby. - Uwolniwszy rękę Crowleya, Wędrowiec cofnął się o krok, choć nadal zachował czujność. - Weldon jest moim wrogiem, podobnie jak pańskim. Jeśli powie mi pan, co się tu naprawdę wydarzyło, być może pomogę panu wyrównać choć część strat.

Farmer usiadł ponownie na kamieniu, zgarbiony i przybity. Jego palce nerwowo wyginały skórzane paski uprząży.

- Wziąłem pożyczkę, żeby kupić mojemu najstarszemu synowi ziemię w Kanadzie. Potem L&S Railway postanowiło zabrać sporą część mojej farmy. Przy mniejszych zbiorach trudno byłoby mi spłacić pożyczkę, więc wystąpiłem do sądu o odpowiednią rekompensatę. Bez tego mogłem stracić wszystko. - Crawley przełknął ciężko. - Potem pojawił się tutaj ten Weldon i jego sekretarz, Kane. Powiedzieli, że lepiej będzie, jeśli przyjmę taką sumę, jaką dawała mi firma. Oczywiście odmówiłem, potrzebowałem pieniędzy, a chciałem tylko uczciwej zapłaty. „Szkoda”, powiedział wtedy ten Weldon. Nigdy nie zapomnę jego oczu, przypominał węża. Nie przyszedł tu nigdy więcej, ale od tej pory zaczęły spadać na nas same nieszczęścia. Ktoś zatrzał moje owce, straciłem prawie całe stado. Miałem też małe stadko mlecznych krów, ale którejś nocy jakiś łajdak wystrzelał połowę.

A potem... - Farmer zamilkł nagle, czując, że łamie mu się głos.

- A potem spłonęła stodoła, tak? - dokończył Wędrowiec. Crowley skinął głową.

- Stodoła i spichlerz. To było podpalenie, bez dwóch zdań, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów. Spaliło się prawie całe ziarno, które zebraliśmy w zeszłym roku, ale nie to było najgorsze. - Spazm bólu wykrzywił na moment jego ogorzałą twarz. - Mój drugi chłopak, Jimmy. On nie był całkiem normalny, trochę nierozgarnięty, miał taką dziwną, jakby

zgniecioną twarz. Ale dobry to był chłopak, nie spotkałby pan miłszego na całym świecie, a do tego kochał zwierzaki. Kiedy wyzdychały owce i krowy, strasznie to przeżywał. Myśmy zawsze wiedzieli, że sam nie będzie mógł zajmować się farmą, więc chcieliśmy ją zostawić dla trzeciego syna, Willa, a ten już zaopiekowałby się Jimmym. gdyby nas zabrakło. Ale teraz... - Farmer znów umilkł, przejęty cierpieniem.

- Jimmy zginął w pożarze, tak? Crowley skinął głową.

- Wszystko było suche, a strzecha na stodole zajęła się jak hubka. Jemmy słyszał rżenie koni i pobiegł, żeby je stamtąd wyprowadzić. Nie zdążyłem go zatrzymać. Kiedy był w środku, zawalił się dach. - Crowley potrząsnął głową, próbując odgonić łzy, które napływały mu do oczu. - Po kilku dniach dostałem list bez podpisu. Ktoś radził mi, żebym wycofał sprawę z sądu, bo mam przecież jeszcze żonę i dwoje dzieci w domu. No i zrobiłem to.

Usłyszawszy tę opowieść, Wędrowiec był już pewien, że za wszystkimi nieszczęściami farmera stoi Weldon. Czuł, jak wzbiera w nim morderczy gniew, starał się jednak trzymać go na wodzy.

- Czy podpisał pan już ugodę i przyjął oficjalnie pieniądze firmy?

- Jeszcze nie. - Crowley splunął na ziemię. - Mam to zrobić za jakieś dwa tygodnie. Wtedy dostanę pieniądze, choć to tylko połowa tego, ile naprawdę warta jest ta ziemia.

- Nie myślał pan o tym, żeby poinformować władze o podpaleniu i zatruciu bydła? Farmer spojrzał nań drwiąco.

- Wiadomo, że zrobił to Weldon i jego ludzie, to jasne jak słońce niebie, ale nie mam żadnych dowodów. Co by mi przyszło i oskarżenia takiego bogacza jak on?

- Niewiele, ma pan rację - przyznał Wędrowiec. - A nie chciał pan sprzedać farmy i przeprowadzić się gdzie indziej?

- Myślałem i o tym, o wszystkim myślałem - odparł Crowley impulsywnie, jakby chciał dać ujście długo tłumionym emocjom. - Ale po spłaceniu pożyczki nie miałbym już dość pieniędzy, żeby zacząć od nowa. Poza tym, ta ziemia należy do mojej rodziny od czasów dobrej królowej Bess; jak mógłbym stąd uciec? Wezmę te pieniądze i spróbuję jakoś stanąć na nogi. Trzeba będzie ładnych parę lat, żeby odbudować stodołę, powiększyć stada i spłacić pożyczkę. Nie wiadomo, czy nie stracimy znowu wszystkiego, ale muszę spróbować.

Zdjął swój zniszczony kapelusz i przeciągnął ręką po włosach.

- Sam nie wiem. Może powinienem zrobić coś innego, ale nie wiem co. Odkąd umarł Jimmy, nie mam już serca do niczego.

- Nic nie zwróci panu syna - powiedział Wędrowiec cicho - ale jeśli pan zechce, dam panu szansę na powrót do normalnego życia. Będzie pan mógł odbudować farmę, a przy

okazji zemścić się na Weldonie.

Farmer podniósł głowę, zdumiony, potem zaś obrzucił księcia badawczym spojrzeniem. Jego twarz stwardniała, kiedy wrodzony upór i spryt walczyły z rozpaczą przygniatającą go do ziemi. Po długim milczeniu zapytał wreszcie krótko:

- Dlaczego?

- Bo chcę zniszczyć Charlesa Weldona - odparł spokojnie Wędrowiec. - A pan może mi w tym pomóc.

Ich spojrzenia spotkały się na moment ze sobą.

- Co takiego miałbym zrobić? - spytał Crawley po chwili.

- Niech pan sprzeda mi prawa do tej ziemi, a ja ponownie wystąpię do sądu o wyższe odszkodowanie. Spłacę pańską pożyczkę, a prócz tego dam panu jeszcze dwa tysiące funtów na odbudowanie farmy. Na jakiś czas pan i pańska rodzina znikniecie stąd, może popłyniecie odwiedzić syna w Kanadzie. Kiedy Weldon zostanie już unieszkodliwiony, wróci pan tutaj i rozpocznie odbudowę. Prawdopodobnie zdąży pan z tym jeszcze przed wiosennym siewem.

Farmer uniósł wysoko brwi.

- Czym ryzykuję?

- Istnieje szansa, niewielka, lecz realna, że Weldon mnie pokona czy też, innymi słowy, zabije - oświadczył książę beznamiętnym tonem. - Jeśli do tego dojdzie i nie będzie pan mógł sprowadzić tu z powrotem swojej rodziny, przynajmniej sprzeda pan farmę po znacznie wyższej cenie niż teraz i rozpocznie pan nowe życie gdzie indziej.

Przez chwilę Crawley siedział w milczeniu, zastanawiając się nad jego słowami. Potem odłożył uprząż, wstał i podał Wędrowcowi rękę.

- Właśnie kupił pan prawa do mojej ziemi.

Ściskając twardą dłoń farmera, książę uśmiechnął się z satysfakcją. Dodał właśnie kolejną nić do sieci. Wkrótce nadejdzie już chwila, kiedy będzie mógł pochwycić swą ofiarę. Najpierw jednak musi wyrwać lady Sarę St James z rąk Weldona.

Wędrowiec podniósł karafkę i spojrzał na lorda Rossa Carlisle, który siedział po drugiej stronie lśniącego, mahoniowego stołu.

- Wiem, że po kolacji dżentelmeni powinni pić porto, ja jednak staram się unikać go, kiedy tylko mogę. Wolę brandy. A ty czego chciałbyś się napić? Mój nowy lokaj bardzo dba o barek, mam tu chyba wszystkie rodzaje alkoholu znane w cywilizowanym świecie.

Ross uśmiechnął się lekko.

- Może być brandy. Ja też nigdy nie przepadałem za porto. Wędrowiec przeprowadził się poprzedniego dnia do domu, który wynajął dlań Slade, i właśnie z tej okazji zaprosił na

kolację Rossa. Rozlewając brandy do kieliszków, rozmyślał o ironii losu, który kazał mu przez ostatnie tygodnie spotykać się z człowiekiem, którego nienawidził, a jednocześnie niemal pozbawił go kontaktów z Rossem i Sarą.

Nie był to jednak czas stracony, gdyż sir Charles Weldon zaczął traktować Wędrowca jak przyjaciela i zaufanego partnera w interesach. Pod przykrywką „przyjaźni” Kafiristańczyk osaczał powoli swego wroga, poznawał szczegóły jego życia zawodowego i osobistego, jego upodobania i słabości.

Wędrowiec znajdował dziwną, perwersyjną przyjemność w tym, że mógł śmiać się z żartów Weldona, podczas gdy w jego duszy płonęła ogromna nienawiść. Czyniąc lekkie, dowcipne komentarze do jego wypowiedzi, wyobrażał sobie jednocześnie, jak Weldon wije się z bólu, poddawany najbardziej wymyślnym, orientalnym torturom. Zaprosił go na kolację w hotelu i nalewając mu wino, modlił się, by jego wróg poznał gorzkość porażki i zdrady. Wiedział, że zachowuje się jak szaleniec, czerpał jednak z tego ogromną satysfakcję.

Nie podejrzewając nawet, o czym rozmyśla jego gospodarz, Ross przyjął od niego kieliszek brandy.

- Prócz niechęci do portu, przystosowałeś się chyba całkowicie do angielskiego towarzystwa. - Wskazał gestem bogato zdobioną jadalnię. - Można by powiedzieć, że jesteś do tego stworzony.

Wędrowiec uśmiechnął się krzywo.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda.

- Z pewnością wygląda to zupełnie inaczej niż twój dom w Kafiristanie - zgodził się z nim Ross. - Wszyscy ci ludzie i zwierzęta, którzy chodzą swobodnie po całym budynku... Nigdy nie mogłem zrozumieć, kim właściwie była większość z nich i co cię z nimi łączyło.

- Ja także tego nie rozumiałem. Kafiristański system plemienny jest bardzo skomplikowany i większość tych ludzi wcale nie była ze mną spokrewniona. - Książę pociągnął łyk brandy. - Jak tam twoja książka, poczyniłeś jakieś postępy? Nie widywałem cię ostatnio zbyt często.

Ross skrzywił się lekko.

- Pisanie książki to bardzo pracołłonny proces, ale rzeczywiście, są jakieś postępy. Przepraszam, że cię trochę zaniedbałem, odniosłem jednak wrażenie, że właściwie nie potrzebujesz mojej pomocy.

- Nie masz za co przepraszać, nie jesteś moją niańką. Poza tym masz słusność, doskonale radzę sobie sam. Wiele dam chętnie gości w swych salonach oswojonego barbarzyńcę - mówił książę z sardonicznym uśmiechem. - Nie chciałem również ci

przeszkadzać w chwili, kiedy udało ci się namówić twoją muzę do współpracy.

- Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że niemal bez przerwy toczę z moją muzą walkę, choć ona uderza zwykle poniżej pasa. Gdyby nie to, że wydawca co tydzień żąda ode mnie kolejnej części manuskryptu, już dawno bym się poddał - westchnął Ross. - Poza tym mam na głowie inne zajęcia. Moja matka przekonała mnie, że powinienem wydać bal na cześć Sary i sir Charlesa. Bal odbędzie się w mojej wiejskiej posiadłości na trzy tygodnie przed ich ślubem. Nie rozesłałem jeszcze zaproszeń, ale mam nadzieję, że będziesz mógł przyjechać i zostać na parę dni. Dom będzie pełny po raz pierwszy od... - Przerwał nagle, jakby uderzony jakąś smutną myślą. Potem odwrócił wzrok i dokończył beznamiętnym tonem: - Po raz pierwszy od wielu lat.

Wędrowiec z trudem ukrywał podniecenie, które pulsowało w jego żyłach. Los podarował mu właśnie ostatnią nić w sieci.

- Czy goście honorowi zatrzymają się u ciebie?

- Tak, razem z moimi rodzicami i częścią rodziny. - Ross zachichotał. - Właściwie to moja matka zajmuje się przygotowaniami, więc nie powinienem chyba narzekać.

- Z przyjemnością przyjadę na bal i poznam twoich rodziców. Mieszkają głównie na wsi, prawda?

Ross skinął głową.

- Tak, mój ojciec ma już prawie osiemdziesiątkę. Nie narzeka na zdrowie, ale woli też unikać podróży. Choć gotów jest podjąć ten trud ze względu na Sarę. To jego ulubienica.

- Lady Sara jest wspaniałą młodą kobietą. - Wędrowiec starał się przemawiać neutralnym tonem. - Rozumiem, dlaczego tak bardzo ją lubisz.

Ross spoważniał.

- Najwyraźniej nie udało ci się przekonać jej, że powinna zerwać zaręczyny.

- Nie poddałem się jeszcze całkowicie.

Wędrowiec obracał kieliszek w palcach, wpatrując się w rozkołysaną powierzchnię brandy. Spotkał Sarę kilkakrotnie przy jakichś oficjalnych okazjach, tańczył z nią nawet raz czy dwa. Bardzo trudno przychodziło mu traktować ją jak zwykłą znajomą, kiedy łączyło ich tak wiele. Chciał widzieć radość w jej oczach, chciał ją całować, chciał dokończyć to, co rozpoczęli w Sulgrave.

Jeśli nawet Sara chciała tego samego, nie okazywała tej chęci żaden sposób. Traktowała go bardzo uprzejmie, lecz przy tym oficjalnie, jakby był jej zupełnie obcy. Dama w każdym calu. Zirytowany, wypił resztkę brandy i ponownie napełnił swój kieliszek. Była tylko środkiem wiodącym do celu, jednym z etapów planu, i nie powinien był wciąż o niej

rozmyślać.

- Nie sędzę, by lady Sarę wiązało z Weldonem jakieś głębokie uczucie. Myślę, że to honor nakazuje jej wyjść za niego.

- Cała Sara. - Ross pokiwał głową ze smutkiem. - Honorowa aż do przesady. Gotowa byłaby zejść na dno piekieł, by wysłuchać racji diabła. Jeśli znasz jakieś dobre powody, dla których nie powinna wychodzić za Weldoną, lepiej powiedz jej o tym wprost, by sama mogła podjąć decyzję.

Wędrowiec nigdy nie pomyślał o tym, by po prostu wyjawić Sarze prawdę, teraz jednak zastanowił się poważnie nad taką możliwością.

- Obawiam się, że to nic nie da - powiedział po namyśle. - Zbrodnie Weldoną są zbyt przerażające, zbyt podłe... Jest takie angielskie słowo. Odrażające? Tak, zbyt odrażające, by uwierzył w nie człowiek honoru. Gromadzę wciąż odpowiednie dowody, na razie są one jednak zbyt abstrakcyjne, to raczej skomplikowana dokumentacja finansowa, a nie prawdziwy obraz cierpienia, którego był przyczyną. Nie są to dość przekonujące argumenty, by odwieść twą kuzynkę od małżeństwa z Weldonem.

- Zapewne masz rację. - Ross zmarszczył brwi. - Czy Weldon naprawdę jest taki okropny? Nie darzę go sympatią, ale trudno uwierzyć, że to taki potwór, jak mówisz.

- Jest gorszy, niż możesz sobie wyobrazić, a ty widziałeś przecież znacznie więcej zbrodni i podłości niż lady Sara - odparł książe twardo. - Nawet ty, który ufasz zwykle memu słowu, nie jesteś do końca przekonany, że Weldon to zły człowiek. Jakże więc mógłbym o tym przekonać tak niewinną istotę, jak twoja kuzynka?

- Masz rację, choć pewnie łatwiej byłoby mi uwierzyć, gdybyś podał konkretne zarzuty pod adresem Weldoną - zauważył Ross. - Widzę jednak, że nie chcesz na razie mówić nic więcej, i pewnie masz po temu powody. Co się zaś tyczy Sary... powiedziałaś, że nie poddałaś się jeszcze do końca.

Wędrowiec spojrział w oczy swego przyjaciela i uznał, że musi go okłamywać.

- Wkrótce być może trafi w moje ręce bardzo konkretny i przekonujący dowód. Jeśli tak się stanie, chciałbym zaprezentować go w obecności lady Sary, jej ojca, twojej i Weldoną. W ten sposób Weldon będzie mógł się bronić, a ty i Haddonfield będziecie mieli pewność, że nie próbuję jej zmuszać do małżeństwa. Pomożesz mi?

Ross zamyślił się na moment.

- To uczciwa propozycja. Jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc.

Wędrowiec uniósł kielich, by spełnić toast.

- Za szczęśliwą przyszłość lady Sary.

Jednym haustem opróżnił kieliszek. Nie interesowało go blade, nijakie pojecie angielskiej „uczciwości”; chciał, by na Charlesie Weldonie dokonał się akt starotestamentowej sprawiedliwości. I bez względu na konsekwencje gotów był rozdzielić lady Sarę i jej narzeczonego - nawet jeśli ceną byłyby przyjaźń Rossa i reputacja Sary.

- Doskonale pani tańczy, lady Weldon.

Sara, która tańczyła właśnie ze swym narzeczonym, roześmiała się głośno.

- Jeszcze nie jestem lady Weldon, ale to już niedługo, Charles, niedługo. Dobrze się bawisz?

- Świetnie. - Weldon także się do niej uśmiechnął. Wyglądał bardzo przystojnie w ciemnym, wieczorowym stroju, odrobina siwizny na skroniach dodawała mu tylko uroku. - To bardzo miło ze strony twojego kuzyna, że wydał bal na naszą cześć.

- To bardziej zasługa ciotki Marguerite niż Rossa - odparła Sara. Przy kolejnym obrocie zerknęła przelotnie na wysoką, złotowłosą, postać księżnej Windermere, która stała po drugiej stronie sali balowej i z satysfakcją przyglądała się rezultatom swej pracy. Choć miała ponad pięćdziesiąt lat, w delikatnym blasku świec wciąż promieniowała urodą, która zauroczyła księcia. Jak zwykle przy takich okazjach, Sara poczuła ukłucie żalu, że jej własna matka, tak podobna do ciotki Marguerite, nie może stać obok niej i cieszyć się szczęściem swojej córki.

Księżna przechwyciła spojrzenie Sary i uśmiechnęła się do niej ciepło. Sara zdążyła odpowiedzieć jej tym samym, nim wirujący krąg tancerzy przeniósł ją w inne miejsce.

- Choć ciotka Marguerite z własnej woli odcięła się od modnego świata, by zostać ze swym mężem w Norfolk, od czasu do czasu lubi pokazać towarzystwu, że nikt nie potrafi bawić gości równie dobrze jak ona.

- Rzeczywiście, wspaniale jej to wychodzi - zgodził się Charles, wyraźnie uradowany myślą, że wkrótce będzie z księżną spokrewniony. - Ale ty będziesz jeszcze lepsza.

- Jeśli chcesz, bym została doskonałą gospodynią, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię zadowolić. - Sara znów uśmiechnęła się do Weldon. W ciągu ostatnich kilku tygodni wszystko doskonale się między nimi układało. Odkąd przestała widywać się z Wędrowcem, zniknęło napięcie i niepewność, którą odczuwała na początku lata.

Kiedy muzyka ucichła na moment, a pary rozproszyły się po parkiecie, Weldon spytał:

- Jakież to szczęśliwiec jest twoim następnym partnerem?

- Jesteś dzisiaj tres galant, Charles - odparła Sara. - Prawdę mówiąc nie chcę żadnego partnera do tego tańca. Chciałam zrobić sobie teraz przerwę i odwiedzić babcię Sylwię, nie widziałam jej od miesięcy.

Charles udał, że przechodzi go dreszcz.

- W takim razie pozwolisz, że zostawię cię samą. Księżna Sylwia zawsze dziwnie

mnie niepokoiła. Dołączę do ciebie później, przed kolacją.

- Do zobaczenia więc.

Sara uśmiechnęła się na pożegnanie i ruszyła w stronę pokoju karcianego, gdzie prawdopodobnie przebywała jej babcia.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy szła przez salę balową, wymieniając pozdrowienia i przyjmując życzenia od gości. Wciąż powracała myślami do innego balu, podczas którego książę Wędrowiec namówił ją do tańca. Od czasu pamiętnego wyjazdu do Sulgrave książę aż nazbyt skrupulatnie przestrzegał jej zakazu i nie zbliżał się do niej, kiedy mogli zostać sami. Spotykali się tylko na balach i przyjęciach, niemal jak zupełnie obcy sobie ludzie.

Oczywiście była mu za to wdzięczna; odkąd zniknął z jej najbliższego otoczenia, odzyskała równowagę i spokój ducha. Zamówiła suknię ślubną, rozesłała zaproszenia, pojechała z Elizą do domu Charlesa, by wraz z nią omówić wystrój jej nowego pokoju, i spokojnie zaakceptowała skromne, pełne szacunku pocałunki, którymi narzeczony obdarzał ją zawsze na pożegnanie.

Jednak zawsze, gdy widziała Kafiristańczyka, budził się w niej jakiś żal, nieokreślona tęsknota. Jego zachowanie potwierdzało tylko jej tezę; chciał ją uwieść, bo dała mu po temu okazję, kiedy jednak odmówiła, skierował swą uwagę gdzie indziej. Ponieważ poświęcił sporo czasu i wysiłku, by pozbawić ją starych lęków i kompleksów, myślała, że łączy ich przyjaźń, najwyraźniej jednak myliła się. Równie bezmyślnie jak dziecko, które wyrwa kwiaty, zmienił jej życie, a potem ją zostawił. Ta znajomość dała jej jednak tak wiele, że nie miała prawa czuć do niego żalu czy gniewa.

Dziś widziała księcia tylko z oddali. Przyjechał dość późno i natychmiast został otoczony przez krąg dam. Zastanawiała się, czy któraś z nich jest jego kochanką. Być może były nimi wszystkie; przecież w kraju, z którego pochodził, haremy były bardzo popularne.

Muszę przestać myśleć o takich rzeczach, przykazała sobie surowo, kiedy zatrzymała się, by pozdrowić lorda Batsforda, skromnego, miłego brata Charlesa. W jej życiu nie było miejsca dla Wędrowca i nigdy go miało nie być. Nigdy.

Wędrowiec przedzierał się powoli przez tłum gości, zmierzając w stronę Rossa. Grzecznie, lecz stanowczo odmawiał wszystkim, którzy chcieli go zatrzymać. Odkąd przybył do Anglii, poczucie triumfu kryło się gdzieś na skraju jego świadomości, teraz jednak przybrało na sile, wypłynęło na powierzchnię niczym rzeka z ukrytego pod ziemią koryta. Wreszcie nadszedł ten czas. Dziś wieczorem zada Weldonowi pierwszy cios, choć ten nie zrozumie jeszcze, że jest to dopiero początek wojny. Niczym wojownik gotujący się do bitwy, Wędrowiec odczuwał nerwowe podniecenie, wszystkie jego zmysły wyostrzone były do

granic możliwości w oczekiwaniu na wydarzenia, które odwróciłyby sytuację na jego korzyść.

Ross dojrzał go jut z daleki i ruszył mu na spotkanie. Wznosząc głos ponad muzykę i gwar rozmów, spytał:

- Znalazłeś ten dowód, na którym tak ci zależało?

- Tak mi się wydaje.

Wędrowiec przyjrzał się ukradkiem swemu przyjacielowi, świadom, że ten jest najmniej przewidywalnym elementem jego planu. Anglik na pewno nie pogodzi się łatwo z faktem, że został wystrychnięty na dudka. Cóż, tylko ze względu na niego spróbuje najpierw przekonać Sarę jedynie słowami.

- Poproszę Sarę, by przeszła ze mną do biblioteki i wysłuchała tego, co mam jej do powiedzenia. Daj mi trochę czasu, bym przekonał ją do zerwania zaręczyn. Jeśli po upływie pół godziny żadne z nas nie pojawi się tu z powrotem, sprowadź do biblioteki Weldona i Haddonfielda.

Ross uniósł brwi.

- Chcesz zrobić to teraz, w środku balu?

- Ach, ta angielska troska o spokój - mruknął Wędrowiec. - Nie bój się, nie wywołam skandalu. Dlatego właśnie taka okazja jest najlepsza. Otoczeni przez tłum ludzi, główni aktorzy tego małego dramatu zrobią wszystko, by zapanować nad emocjami. Poza tym, im szybciej się to dokona, tym lepiej.

- Z tym zgadzam się w zupełności. No dobrze, pół godziny. Biblioteka to dobry wybór. Nikt nie powinien wam tam przeszkadzać. - Ross zmrużył oczy. Przez moment spod wygładzonej fasady angielskiego dżentelmena wyrzwał człowiek, który przeżył wiele śmiertelnych niebezpieczeństw i który sam mógł być śmiertelnie niebezpieczny. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Wędrowiec uśmiechnął się drapieżnie.

- Wiem.

Potem ruszył na poszukiwanie lady Sary. Muzycy znów zaczęli grać, a Sara obchodziła właśnie salę balową, zmierzając do wyjścia, kiedy ją zauważył. Dziś miała na sobie suknię z bursztynowego jedwabiu, ozdobioną białą koronką, a luksusowa prostota tego stroju idealnie do niej pasowała. Najwyraźniej zakończyła przed momentem kolejny taniec, była bowiem jeszcze lekko zarumieniona z wysiłku, a głęboki dekollet odślaniał falujące i wielce kuszące krągłości.

Zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, Sara spojrzała na księcia z chłodną

rezerwą, która nie opuszczała jej od wydarzeń z Sulgrave. Wędrowiec wstrzymał oddech, niespodziewanie poruszony jej bliskością i radością, jakiej doznał, widząc Sarę St. James. Znow pomyślał o sybilli, o nieprzemijającej urodzie, jednocześnie mądrej i niewinnej, i zapragnął jej mocniej niż kiedykolwiek.

Teraz jednak nie mógł pozwolić sobie na takie myśli, gdyż pożądanie mogło mu przeszkodzić w tym, co wkrótce miało się wydarzyć.

- Lady Saro, muszę porozmawiać z panią na osobności.

- Tak...? - Zatrzymała się raptownie, zdumiona i czujna.

- Mam ważne powody, by o to prosić. - Na moment zapomniał o czekającym go zadaniu, wpatrzony w jej złote włosy, zaczesane do tyłu w lśniących falach, i na idealnie proporcjonalne rysy jej twarzy. Musiał wyczerpać całą siłę woli, by przywołać się ponownie do rzeczywistości. - Jest coś, o czym musi pani wiedzieć.

Lady Sara zdążyła się już opanować i przybrać pozę chłodnej rezerwy. Przyjrzała mu się badawczo, po czym odrzekła:

- Zgoda. Możemy wyjść do patio.

Wyczuwając jej opór, książę skupił na niej swą wolę i wydał bezgłośną komendę. *Chodź ze mną!* Głośno zaś powiedział:

- Biblioteka byłaby lepsza. Nikt nie może posłuchać tego, co mam pani do powiedzenia.

Sara zarzekała się wcześniej, że nigdy już nie zostanie z Wędrowcem sam na sam, jednak jego głęboki głos i intensywnie spojrzenie zielonych oczu zniewalały ją i kazały zapomnieć o wszelkich zakazach. Poza tym była ciekawa, co to za straszliwy sekret chce jej wyjawić. Kiedy jeszcze przez moment stała w miejscu, niezdecydowana, książę wziął ją pod rękę.

Omali nie wyrwała się z jego uścisku, przerażona własną reakcją, nawet ten beznamiętny, lekki dotyk rozbudził bowiem jej zmysły, przypomniał, dlaczego postanowiła trzymać się z dala od tego mężczyzny. W tej chwili jednak książę nie wyglądał na uwodziciela - dobry Boże, co mógł zrobić podczas balu w domu jej kuzyna? - pozwoliła więc wyprowadzić się z sali.

Biblioteka mieściła się po drugiej stronie domu, tak że kiedy Wędrowiec zamknął za nimi drzwi, odgłosy muzyki i rozmów całkowicie ucichły. W pokoju panował półmrok, dwie lampy oświetlające wnętrze ustawione były na najmniejszy płomyk. Książę rozpałił je jaśniej, nim odwrócił się do Sary.

- Może powinna pani usiąść - zasugerował - To, co zamierzam powiedzieć, może być

dla pani szokiem.

Sara usiadła na skraju obitej skórą sofę i złożyła ręce na kolanach. Ta sztywna postawa była odpowiedzią na niebezpieczny i zniewalający urok Kafiristańczyka. Stał kilka kroków dalej i niczym szermierz balansował delikatnie na palcach u stóp. Sara nie widziała żadnego fizycznego zagrożenia, czuła jednak narastające napięcie, przypominające ciszę przed burzą.

- Cóż to za poważna kwestia, o której chciał pan ze mną rozmawiać, wasza wysokość? Nie powinnam opuszczać na długo balu, który wydano na moją cześć.

Księżę przyglądał jej się uważnie, celowo przedłużając milczenie. Wreszcie przemówił:

- Wiem, że nie będzie pani łatwo w to uwierzyć, proszę jednak wysłuchać mych słów z otwartym umysłem. Lady Saro, jest pani zaręczona z człowiekiem złym, zepsutym w sposób, jakiego nie może sobie pani nawet wyobrazić. Nie wolno pani poślubić Charlesa Weldon.

Sara była tak zdumiona, że aż otworzyła usta. Nie wiedziała, czego właściwie oczekuje od Wędrowca, z pewnością jednak nie spodziewała się właśnie tego.

- To absurd! - wykrzyknęła. - Naprawdę przypuszcza pan, że w to uwierzę?

- Powinna pani. - Księżę emanował jakąś surową, niebezpieczną siłą, której nie wyczuwała u niego nigdy dotąd. Zrozumiała, że odrzucił kruchą powłokę cywilizacji, by ukazać groźną twarz górskiego wojownika. - Wie pani, jak umarła jego pierwsza żona?

- O ile mi wiadomo, Jane Weldon potknęła się i spadła ze schodów - odparła powoli Sara. - Tragedia, nie widzę tu jednak żadnego związku z tym, o czym pan mówi.

- Jane Weldon powiedziała mężowi, że odchodzi od niego, zabiera ze sobą Elizę i wraca do swojej rodziny. Następnego dnia zginęła. Z rąk swego męża.

Sara wpatrywała się weń z niedowierzaniem. Czuła, jak wzbiera w niej gniew.

- To kompletna bzdura. Nigdy nie słyszałam o jakichkolwiek kłótniach pomiędzy Charlesem i jego żoną, nikt też nigdy nie sugerował, że jej śmierć mogła być czymś innym niż nieszczęśliwym wypadkiem.

Nie będę tu dłużej siedzieć i słuchać pańskich absurdalnych oskarżeń. - Sara podniosła się z sofę. - Radzę panu nie powtarzać nikomu tych rzeczy, bo może pan zostać oskarżony o oszczerstwo.

- Proszę jeszcze nie odchodzić, lady Saro - rzekł Wędrowiec tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Dopiero zacząłem.

Sara z ociąganiem usiadła, zaciskając dłonie na złożonym wachlarzu. Oczywiście w

zarzutach Wędrowca nie było ani cienia prawdy, skoro jednak zgodziła się go wysłuchać, powinna teraz dotrzymać słowa. Jeśli przy okazji zdoła pokazać mu, jak bardzo się myli względem Charlesa, zaoszczędzi swemu narzeczonemu kłopotów.

- Pokojówka słyszała kłótnię Weldon z żoną na kilka minut przed jej śmiercią. Słyszała też krzyk pani Weldon i odgłos spadającego ciała - mówił księżę. - Ona też jako pierwsza dobiegła do schodów, ale Weldon już uciekł, a jego żona leżała martwa, ze skrzyconym karkiem. Weldon pojawił się tam dopiero godzinę później, twierdząc, że był w gabinecie.

Sara poczuła delikatny, zimny dreszcz u nasady karku. Czy Charles mógł wpaść w tak ogromny gniew, by poddać się gwałtownemu, morderczemu impulsowi? Zawstydzony się, że coś podobnego mogło jej w ogóle przyjść na myśl, spytała:

- Skoro została popełniona zbrodnia, to dlaczego dziewczyna nie zgłosiła tego na policję?

- Bo Weldon porwał ją i wysłał do domu publicznego - odparł księżę chrapliwie. - Zmarła tam po kilku miesiącach, wcześniej jednak opowiedziała o wszystkim innej dziewczynie. Mam zeznanie tej dziewczyny złożone pod przysięgą, ponieważ jednak nie była ona naocznym świadkiem owych wydarzeń, sąd nie może brać tego pod uwagę.

- A ponieważ tamta pokojówka już nie żyje, Charles nie może zweryfikować pańskiej wersji. - Sara potrząsnęła głową, niezdolna pogodzić oskarżeń księcia z obrazem dystyngowanego, miłego mężczyzny, którego miała poślubić. - Dlatego właśnie nasze sądy nie uznają zeznań z drugiej ręki; nie można wykluczyć, że świadek kłamał.

- Gdyby były to jedyne oskarżenia przeciwko pani narzeczonemu, można by je uznać za pomyłkę, z jego osobą wiąże się jednak wiele innych, równie przerażających incydentów. - Wędrowiec uśmiechnął się cynicznie. - Istnieje takie angielskie powiedzenie, nie ma dymu bez ognia, prawda? Weldon otacza dym i ogień z piekła rodem, a ja dopilnuję już, by w nim spłonął.

Sara zmrużyła oczy, zrozumiałwszy wreszcie, do czego zmierza jej rozmówca.

- To nie ma nic wspólnego ze mną, prawda? Chodzi o Charlesa. Myślałam, że jest pan jego przyjacielem, ale byłam w błędzie. Pan go nienawidzi - dodała cicho. - Za każdym razem, kiedy przebywaliśmy tylko we dwoje, czynił pan jakieś uwagi na jego temat. Ponieważ nie chciałam pana słuchać, wymyślił pan te ohydne kłamstwa. Pewnie pana rozczaruję, ale nie wierzę panu i nie zamierzam dłużej słuchać, jak oczernia pan uczciwego człowieka. - Wstała i ruszyła do drzwi, jednak by tam dotrzeć, musiała najpierw minąć Wędrowca.

Książę stanął na jej drodze i pochwycił ją za ramię, delikatnie, lecz stanowczo.

- Tak, nienawidzę go, ale to nie znaczy, że kłamię. - Jego oczy płonęły żywym ogniem. - Weldon jest zepsuty do cna. To książę hipokryzji, śmiertelnie niebezpieczny, bo udaje cnotliwego dżentelmena, popełniając jednocześnie najohydniejsze występki.

Ogromne przekonanie, z jakim Kafiristańczyk wypowiadał te słowa, zachwiało na moment wiarą Sary. Potem jednak pokręciła stanowczo głową.

- Charles od wielu lat jest przyjacielem mojego ojca. Dlaczego miałabym wierzyć panu, a nie jemu?

- Zwłaszcza że ja jestem cudzoziemcem, a on angielskim dżentelmenem, prawda? Rzeczywiście, dlaczego miałaby mi pani wierzyć? - Jego głos przycichł nagle, nabrał uwodzicielskich tonów. - Czyżbyś nie znała jeszcze odpowiedzi, Saro?

Książę puścił jej ramię i przesunął dłońmi ku jej talii w delikatnej, zmysłowej pieśczoce. Kiedy pochylił się nad uniesioną twarzą Sary, ta próbowała się od niego odsunąć, nie miała jednak dość siły.

- Uwierz mi, Saro - szeptał. - Można o mnie powiedzieć wiele rzeczy, głównie złych, ale nie okłamuję cię. Charles Weldon jest złym, podłym człowiekiem.

Zadrżała, kiedy jego usta dotknęły wrażliwego miejsca pod uchem, a potem przesunęły się powoli po szyi.

- Weldon uwielbia niszczyć słabszych od siebie, dręczyć niewinnych - mrucał, a jego ciepły oddech stanowił dodatkową pieśczoce. - Nie pozwolę, byś została jego kolejną ofiarą.

Całował delikatne zagłębienie pomiędzy jej szyją i ramieniem, przesuwając jednocześnie czubkiem palca po krzywiznie jej ucha. Sara jęknęła cicho, czując, jak gdzieś głęboko w jej ciele rodzi się nowe, palące pragnienie. Jak on potrafił wywoływać w niej takie reakcje, skoro ona sama nie wiedziała dotąd, że jest do nich zdolna? Od początku wiedziała, że ten człowiek dysponuje niebezpiecznym, hipnotyzującym urokiem, jednak nigdy dotąd nie był on tak potężny i nieodparty. Czowała się zanurzona w rzece ognia, który pożerał jej wolę, wydawał ją na łaskę tego człowieka.

- Przestań, proszę - powiedziała słabo. Nie miała nawet dość sił, by spróbować go odepchnąć.

On tymczasem objął ją jeszcze mocniej i przyciągnął do swego silnego torsu. Kiedy gładził ją po plecach, przebiegał dłońmi po krągłościach jej bioder, rozpalając w niej ukryte pragnienia, spytał cicho:

- Chcesz, żebym przestał? Wystarczy tylko powiedzieć, że mnie nie pożadasz.

- Ja... nie mogę powiedzieć, że cię nie pożadam, ale nie myśl, że możesz przekonać

mnie pocałunkami, kiedy nie wystarczają słowa. - Nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, wyciągnęła ręce i objęła go za szyję. Jej palce przesuwają się przez jedwabiste, czarne włosy, by złączyć się na twardych, męskich mięśniach. - Wprawiasz mnie w jakieś dziwne oszołomienie, ale nigdy nie pozwolę oszołomić się tak, bym zapomniała, że obiecałam wierność innemu mężczyźnie.

- Wiem o tym, słodka Saro, i doceniam twe szalone, niezachwiane poczucie honoru - odparł, choć jego dłonie przeczyły jego słowom. - Lecz choć nie mogę cię uwieść, chcę choć przez chwilę mocno cię przytulić, bez względu na to, w co wierzysz, bez względu na to, co przyniesie przyszłość.

Sara poczuła, że tonie w odmęcie sprzecznych emocji, pragnienia, wątpliwości i wiary, zawieszona gdzieś pomiędzy słodkim snem a koszmarem. Wiedziała, że pragnąc jednego mężczyzny, w sytuacji, gdy została przyrzeczona innemu, popełnia grzech, nie mogła jednak zaprzeczyć własnym pragnieniom. Skoro więc już popełniła grzech, dlaczego nie kontynuować choć przez chwilę tego, czego tak bardzo chciała? Świadomość, że dom pełen jest ludzi, pozwoli jej zachować te resztki rozsądku i przyzwoitości, których jeszcze nie utraciła.

- Wiem, że to, co robię, jest złe - wyszeptała, ogarnięta jednocześnie pożądaniem i rozpaczą - ale jeszcze tylko przez chwilę, bo może nigdy już nie będzie następnego razu...

Podjąwszy decyzję, Sara stanęła na palcach, by sięgnąć do ust księcia, i ucałowała go z gwałtownością, której on sam jej nauczył. Zamknęła oczy i zacisnęła konwulsyjnie dłonie na jego ramionach, kiedy ich języki zetknęły się ze sobą.

Wędrowiec domyślał się, że drzemią w niej pokłady ogromnej namiętności, początkowo jednak nawet on był zdumiony jej reakcją. Tracąc panowanie nad własnym pożądaniem, zapomniał, dlaczego ją tutaj przyprowadził, zapomniał o wszystkim prócz jej pięknego ciała i bolesnej uczciwości. Nie czuł takiego pożądania od czasów, gdy był jeszcze niedoświadczonym chłopcem. Boże, jakaż ona była słodka, jak rozpaliała go niebezpiecznym żarem niewinności. Niebezpiecznym, gdyż przesłaniał mu najważniejszy, ostateczny cel jego misji.

Ta myśl pomogła mu opanować się choć na chwilę. Łagodnie przerwał pocałunek, zaprowadził posłuszną jak dziecko Sarę do sofy i ułożył ją tam pośród fal bursztynowego jedwabiu. Potem położył się obok niej, przywarł do niej całym ciałem, wsunawszy kolano pomiędzy jej nogi.

Sara wyprężyła się pod nim, zacisnęła palce na jego włosach i przyciągnęła do siebie jego głowę, kiedy on dotykał dłonią jej dekoltu. Jej ciało było równie gładkie i delikatne jak

okrywający je jedwab, znacznie jednak cieplejsze. Sara zadrżała, przejęta dreszczem rozkoszy, jej oddech stał się nierówny, przerywany. Wędrowiec zsunął suknię z jej ramienia i ucałował delikatną krągłość. Taniec pozostawił na jej skórze ledwie wyczuwalny, słony posmak, a słodki, kwietny aromat, bijący od jej rozpuszczonych włosów, mieszał się z zapachem skóry.

Jego dłoń zsunęła się powoli pod krawędź dekoltu, pod gorset i koszulkę, objęła delikatną, kształtną pierś. Kiedy dotknął twardego sutka, poczuł, jak Sara drży na całym ciele, jak jej serce bije w przyspieszonym tempie.

Gdzieś w głębi duszy odczuwał zadowolenie, że nie zdołał przekonać jej słowami. Potrzebował wymówki, by to zrobić, nie tylko dlatego, że w ten sposób mógł skuteczniej oddzielić Sarę od narzeczonego.

Zsunął suknię jeszcze niżej, odsłaniając łagodne wzniesienie jej piersi. Potem wziął do ust jej sutek, rozkoszując się chwilą, kiedy ten stwardniał jeszcze mocniej pod naciskiem jego języka. Kiedy Sara jęknęła cicho, znów omal nie zapomniał się w pożądaniu, choć wiedział, że ulegając emocjom, popełniłby niewybaczalny błąd.

Zegar ukryty gdzieś w głębi jego umysłu ostrzegał go, że pół godziny dobiega już końca i że musi zakryć tę cudowną pierś. Zrobi to za chwileczkę, za jedną chwilę...

Zgrzyt otwieranych drzwi podziałął na nich jak wiadro zimnej wody. Oboje podnieśli wzrok i ujrzeli zszokowane twarze Rossa, diuka Haddonfielda i sir Charlesa Weldona.

Wyglądało to jak scena wyjęta z sennego koszmaru. Czas stanął w miejscu, pozwalając wezbrać wzburzonym emocjom. Sara krzyknęła krótko, zeszywniała na całym ciele, niczym kamienny posąg. Wędrowiec zaklął pod nosem. Choć chciał skompromitować ją w oczach Weldon, nie zależało mu wcale na tym, by została narażona na dodatkowy wstyd, by ktokolwiek poza nim widział jej nagość. Szeptem powiedział:

- Przepraszam, Saro.

Zamieniając się w jednej chwili z kochanka w wojownika, błyskawicznie obciągnął jej suknię. Potem usiadł i podniósł Sarę do pozycji siedzącej, obejmując ją lewą ręką w obronnym geście.

Trzej mężczyźni wciąż tkwili w bezruchu, porażeni tym nieoczekiwanym widokiem. Diuk nie mógł uwierzyć, że cnotliwa córka dała się ponieść namiętności, podczas gdy Ross płonął gniewem rodzącym się z podejrzenia, że jego przyjaciel świadomie go oszukał.

Wędrowiec jednak nie zatrzymywał na nich dłużej spojrzenia, gdyż interesował go przede wszystkim Charles Weldon. Na twarzy jego wroga malował się szok, niedowierzenie i niepohamowana wściekłość, czyli wszystko, czego książę odeń oczekiwał. Teraz sycił się tym widokiem; wreszcie zadał pierwszy cios.

Po kilku kolejnych sekundach czar prysł. Mężczyźni ożyli; Ross zamknął drzwi, podczas gdy Weldon wbił w Sarę wściekle spojrzenie.

- Ty plugawa, obrzydliwa zdiro! – warknął.

Choć Wędrowiec czuł, jak Sara drży pod jego dotykiem, ta nie próbowała umknąć przed oskarżycielskim spojrzeniem narzeczonego.

- Przepraszam, Charles - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie chciałam cię skrzywdzić.

Te przeprosiny jednak, miast uspokoić Weldon, jeszcze bardziej go rozsierdziły.

- Nie, chciałaś mnie tylko zdradzić za moimi plecami. - Weldon ruszył przed siebie, w jego oczach płonął żądza mordu. - Mój Boże, pomyśleć tylko, że uważałem cię za niewinną, prawdziwą damę. Ale ty jesteś tylko kolejną dziwką. Teraz...

Wędrowiec wstał, zasłaniając Sarę swym ciałem, lecz to Ross powstrzymał Weldon, pochwyciwszy go za ramię.

- Niech się pan opanuje! Rozumiem pańskie wzburzenie, ale nie może pan mścić się na słabej kobiecie.

Weldon odwrócił się na pięcie, jakby chciał zaatakować Rossa, zdrowy rozsądek wziął

w nim jednak górę nad szaleńczym gniewem. Spojrzał groźnie na Wędrowca, który stał zaledwie o dwa kroki dalej.

- Mówiłem Sarze, żeby trzymała się z dala od ciebie, że nie można ci ufać, a ta mała zdzira udawała, że nigdy by jej to nawet nie przyszło do głowy - cedził z wściekłością. - Od dawna już rozkłada dla ciebie nogi, no, przyznaj...

- Dość! - uciął ostro Ross. - Wiem, że jest pan wstrząśnięty, ale nie pozwolę zwracać się do Sary w ten sposób.

Weldon strząsnął z ramienia jego dłoń i odwrócił się do diuka, który patrzył na wszystko w milczeniu, blady jak ściana.

- Ta twoja mała kaleka nie wie nawet, co traci, Haddonfield. Gdyby trzymała nogi razem, kiedyś zrobiłbym z niej księżną. Na szczęście odkryłem w porę, kim jest naprawdę.

- Masz wszelkie powody do gniewu, Charles, ale chyba trochę przesadzasz. Sara go tylko całowała. Kobiety bliskie małżeństwa często ciekawe są innych mężczyzn. To nie znaczy wcale, że nie mogą być dobrymi żonami. - Diuk niemal prosił Weldona o wybaczenie. - Nie powinienes chyba zrywać zaręczyn z powodu tego niewinnego incydentu.

- Niewinnego incydentu! Przecież ona była prawie naga. Gdybyśmy przyszli tu pięć minut później, byliby już oboje rozebrani! O nie, nie ożeniłbym się z nią nawet wówczas, gdyby była ostatnią kobietą na ziemi. - Przystojna twarz Weldon'a wykrzywiła się we wrogim grymasie. - Pożalujecie tego oboje. Kiedy powiem ludziom, co się tu dzisiaj wydarzyło, nikt już nie zechce się z tobą ożenić, nie pomoże ani twój tytuł, ani twoje bogactwa. - Przeniósł spojrzenie na Wędrowca - Wiedziałem, że popełniam błąd, wiążąc się z jakimś brudnym dzikusiem. Nie różnisz się niczym od zwierzęcia, nie powinienes mieć dostępu do przyzwoitych kobiet.

- Nie, nie dzikusiem. Barbarzyńcą. Dzicy nie wiedzą, co to cywilizacja. My, barbarzyńcy, doskonale ją znamy, tyle że wcale nie uważamy jej za błogosławieństwo - mówił Wędrowiec ironicznym tonem. - Ale oczywiście tak dobrze wychowany, cywilizowany dżentelmen jak pan nawet nie wie, co znaczą te pojęcia, prawda?

Oczy Weldon'a błysnęły gniewnie, jakby zastanawiał się, czy słowa te kryją w sobie jakieś głębsze znaczenie. Potem spojrzał na księcia spod przymrużonych powiek.

- Pomyśleć tylko, że chciałem być dla ciebie miły i traktowałem cię jak przyjaciela.

- Traktowałeś mnie jak przyjaciela? - Wędrowiec uniósł brwi w szyderyczym zdumieniu. - A ja myślałem, że chodzi tylko o moje pieniądze.

Przez moment wydawało się, że Weldon zaatakuje księcia, jednak ku rozczarowaniu tego ostatniego, opanował się w porę.

- Twoje miejsce jest w rynsztoku - warknął. Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z biblioteki, trzaskając głośno drzwiami.

W pełnej napięcia ciszy, która zapadła po jego wyjściu, książę odwrócił się powoli do swej córki, wciąż siedzącej nieruchomo na sofie.

- Jestem przerażony twoim zachowaniem, Saro. Nigdy nie przy puszczałbym, że możesz dopuścić się tak haniebnego czynu, kiedy jesteś zaręczona z innym mężczyzną. Co masz na swoją obronę?

Sara drgnęła, jakby diuk uderzył ją w twarz.

- Nic, zupełnie nic, ojcze. Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla mego zachowania. - Jej głos drżał lekko. - Przepraszam, że przyniosłam ci wstyd.

Ross stanął obok Sary i położył dłoń na jej ramieniu w geście pocieszenia.

- Nie obarczaj całą winą Sary, wuju Milesie - powiedział Ross. Jego ponure spojrzenie, skierowane na Wędrowca, świadczyło dobitnie o tym, kogo ma na myśli.

- Nie przeczę, że większość winy leży po mojej stronie - zgodził się książę. - Choć, jak z pewnością zauważyliście, Sara wcale mi się nie opierała.

Ross przyjął te słowa z zimną furią, równie wielką jak gniew Weldona, bardziej jednak niebezpieczną, bo kontrolowaną. Wędrowiec wiedział, że wkrótce będzie musiał stawić mu czoło. Ale jeszcze nie teraz.

Haddonfield odwrócił się do Kafiristańczyka.

- Mam nadzieję, że jest pan z siebie zadowolony - powiedział gorzko. - Dla chwili ulotnej przyjemności zrujnował pan przyszłość mojej córki.

Wędrowiec spojrzał na Sarę, która nie patrzyła nań od chwili, gdy im przerwano. Teraz jednak podniosła głowę, a ich spojrzenia spotkały się ze sobą na moment. W sybilińskiej głębi jej oczu książę dojrzał błysk zrozumienia; domyślała się już, że cała ta sytuacja nie była dziełem przypadku.

Potem odwróciła się od niego, o nic nie prosząc i niczego nie oczekując.

- Plotkarki będą zachwycone wiadomością, że lady Sara nie jest lepsza od innych i że spotkała ją słuszna kara, ale twierdzenie, że moje życie zostało zrujnowane, to jednak przesada, ojcze - powiedziała, w pełni już panując nad głosem. - Przez tydzień będzie to główny temat rozmów w towarzystwie, lecz już po miesiącu mało kto będzie o tym pamiętał. A co do małżeństwa... Nigdy nie byłam przekonana, że naprawdę chcę męża.

- Być może nie zrujnowałaś sobie życia, ale z pewnością zepsułaś reputację, a to prawie to samo - odparł Haddonfield. - Już nigdy nie zostaniesz przyjęta na dworze. Jediną rzeczą, która mogłaby cię uratować, jest małżeństwo, ale Charles miał rację; kto by cię teraz

zechciał?

Sara zbladła jak ściana, słysząc tak ostre sformułowania z ust własnego ojca, nie odezwała się już jednak ani słowem. Przeprosiła już za swój czyn, była jednak zbyt dumna, by się płaszczyć i prosić o przebaczenie za to, czego nie można było już zmienić.

Wędrowiec patrzył na jej dumny profil, na mocno zaciśnięte usta. Gdyby przed chwilą nie widział w jej oczach cierpienia, mógłby pomyśleć, że wcale nie przejmuje się tym, co ją spotkało. Zobaczył je jednak i ten widok mocno zapadł mu w pamięć.

Była to noc triumfu, on zaś czerpał ogromną przyjemność z faktu, że jego nieprzyjaciel cierpi. Cios zadany męskiej dumie Weldonowi był jednak tylko początkiem; kiedy ten ochłonie, zda sobie sprawę, że zerwanie zaręczyn oznacza także poważne osłabienie jego pozycji finansowej, że nie tylko stracił kobietę, ale i wpędził się w poważne kłopoty.

Teraz jednak Wędrowiec zrozumiał, że cierpienie Sary nie pozwala mu w pełni cieszyć się sukcesem. W przekonaniu, że koniecznie powinna rozstać się z Weldonem, bez skrupułów uwiódł ją i skompromitował. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bolesne będzie dla niej upokorzenie przed własną rodziną, ani też, jak bardzo jej cierpienie dotknie jego samego. Choć wiedział, że w ostatecznym rozrachunku Sara skorzysta na tym, co się tu wydarzyło, wcale nie czuł się przez to lepiej.

Jedwabna suknia Sary była pomięta, a luźny kosmyk złotych włosów opadał na jej ramię, nie utraciła jednak ani odrobiny swej arystokratycznej godności. Książę sam nie potrafił określić, które z uczuć jest silniejsze: podziw dla jej stoickiej odwagi czy pożądanie.

Wędrowiec odczuwał dziwny, nieznanym sobie rodzaj zakłopotania, mimo to sam był zaskoczony, kiedy usłyszał własny głos, wypowiadający następujące słowa:

- Jeśli lady Sara potrzebuje męża, ja z przyjemnością zajmę tę pozycję.

Pełna zdumienia cisza, jaka zapadła po tym oświadczeniu, przypominała tę sprzed kilku minut, kiedy Sara i książę zostali przyłapani na gorącym uczynku. Troje angielskich arystokratów wpatrywało się w Wędrowca w osłupieniu.

Równie zdumiony jak pozostali, książę szybko przeanalizował sytuację. Zwykle ważył wszystkie istotne decyzje, czasami działał jednak pod wpływem impulsu, jak w przypadku Jenny Miller. Teraz impuls znów pokierował jego czynami, omijając jego umysł.

Jednak nawet obecnie, kiedy rozumiał powagę sytuacji, nie żałował tej decyzji. Nigdy nie planował małżeństwa, ale mądry człowiek dostosowuje swe plany do sytuacji i zmiennych okoliczności. Małżeństwo pomoże mu naprawić krzywdę, jaką wyrządził Sarze, a kiedy patrzył na jej piersi, falujące gwałtownie ze wzburzenia, wiedział, że nie będzie to wcale niemiłe doświadczenie.

Uniósł brwi, rozbawiony nieco zachowaniem trojga Anglików.

- Kiedy powiedział pan, że Sara potrzebuje męża, miał pan zapewne na myśli dobrze urodzonego Anglika. Nie jestem co prawda Anglikiem, ale za to jestem bardzo bogaty, co powinno zrekompensować moje inne braki.

Książę zmierzył go taksującym spojrzeniem, nim odpowiedział burkliwie:

- Myślę, że się pan nadaje. Jeśli do małżeństwa dojdzie w miarę szybko, plotki nie wyrządzą Sarze większej szkody.

- Czy właśnie tego chciałeś od samego początku, Mikahl? - spytał Ross, nie kryjąc gniewu.

- Nie, ten pomysł właśnie przyszedł mi do głowy - odparł spokojnie książę. - Jednak teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, podoba mi się to coraz bardziej. Saro?

Głosem przesyconym ironią, odparła:

Ta szalenie romantyczna propozycja odebrała mi mowę. Wędrowiec uśmiechnął się z uznaniem, lecz do rozmowy ponownie włączył się diuk, mówiąc surowym tonem:

- Nie będziesz miała lepszej okazji, Saro. Zgódź się szybko, zanim zmieni zdanie.

- Lepszy skandal niż nieszczęśliwe małżeństwo - warknął Ross.

- Błędem byłoby podejmowanie tak ważnych decyzji już dzisiaj, na poczekaniu - powiedział łagodnie Wędrowiec. - Porozmawiamy, kiedy Sara już wypocznie i dojdzie do siebie.

- To pierwsza rozsądna rzecz, jaką usłyszałam podczas tej rozmowy - odparła Sara bez humoru.

- Mogę odwiedzić panią jutro o jedenastej rano? - spytał książę.

Dobrze. - Sara wstała i ściągnęła z palca ciężki pierścionek zaręczynowy. Wręczając go swemu ojcu, poprosiła: - Dopilnuj, by trafił z powrotem do Charlesa, dobrze? - Kiedy ten skinął głową, kontynuowała: - Idę teraz do mojego pokoju, Ross, i nie chcę już dzisiaj widzieć się z nikim. Z nikim. - Utykała nieco mocniej niż zazwyczaj, kiedy wychodziła z biblioteki, była jednak dumnie wyprostowana. Wyszła, nie obejrzawszy się za siebie.

- Wuju, czy poprosisz matkę, by zajęła się gośćmi w moim imieniu? - spytał Ross. - Mam kilka spraw do omówienia z moim wielce szacownym przyjacielem.

Zadowolony, że ma jakieś konkretne zadanie, które pozwoli mu oderwać się od smutnych myśli, diuk zgodził się chętnie i opuścił bibliotekę.

- Celowo zaaranżowałeś tę paskudną scenę, co? - warknął Ross, gdy tylko drzwi zamknęły się za diukiem. - Gdybyś nie uratował mi kiedyś życia, już skrzyłbym ci kark. Co to za grę prowadzisz ze mną, Mikahl?

- Od razu zakładasz najgorsze. Czy nie mogło zdarzyć się tak, że po prostu mieliśmy pecha, że daliśmy się ponieść namiętności, zapominając o miejscu i czasie? - Wędrowiec uśmiechał się leciutko, jakby był w doskonałym nastroju.

- Nie. - Ross z trudem powstrzymywał się od tego, by jednym uderzeniem zmasać uśmiezek z twarzy swego rozmówcy. - Tobie nie przydarzają się tego rodzaju wpadki. Zawsze wiedziałem, że jesteś nieobliczalny, miałem cię jednak za człowieka honoru. Ty jednak zawiodłeś mnie i oszukałeś, czyniąc ze mnie instrument twych działań i krzywdząc Sarę. Jeśli to jest twoim zdaniem przyjaźń, to niech Bóg strzeże mnie od podobnych przyjaciół.

- Ostatecznie jednak osiągnąłem swój cel - odparł ksiązę, nie dając się sprowokować. - Lady Sara uwolniona została od niebezpiecznego człowieka.

- Nigdy nie lubiłem Weldona i nie lubię go jeszcze bardziej po tym, co powiedział dzisiaj, prędzej jednak oddałbym Sarę jemu niż takiemu dwulicowemu łajdakowi jak ty. - Ross z coraz większym trudem hamował gniew. - To, co zrobiłeś jej dzisiaj, jest niewybaczalne.

- O tym, co można mi wybaczyć, a co nie, zadecyduje Sara. - Wędrowiec zamyślił się na moment. - Ciekawe, czy zdecyduje się na honorowe wyjście z tej sytuacji i przyjmie oświadczyzny. Myślę, że mam pewne szanse. A co ty o tym sądzisz?

Swoboda, z jaką Kafiristańczyk wypowiadał się o przyszłości Sary, przepelniła czarę goryczy. Nie panując już dłużej nad sobą, Ross wymierzył mu potężny cios.

- Ty zimny...

Na szczęście ksiązę miał doskonały refleks, inaczej bowiem cios Anglika zgruchotałby mu szczękę. Uchylił się szybko, a pięść Rossa uderzyła go w ramię, nim jednak zdołał przyjąć właściwą pozycję, drugi cios trafił go prosto w brzuch.

Kiedy Wędrowiec zgiął się wpół, Ross poczuł ogromną i nieklamana satysfakcję. Nie mógł jednak długo napawać się triumfem. Ksiązę nawet nie próbował się wyprostować, od razu złapał swego przeciwnika za nogi i przewrócił go na podłogę. Upadając, Ross pochwycił przeciwnika za ubranie i pociągnął za sobą.

Obaj mężczyźni byli doskonale wyćwiczeni w walce wręcz, obaj też dość często toczyli ze sobą pojedynki, by przewidzieć ruchy przeciwnika. Dlatego też była to długa, wyrównana i wyczerpująca walka. Zadając sobie niezliczone razy, przetaczali się po podłodze biblioteki, rozbijając po drodze dwa krzesła i globus. Kolejna wymiana uderzeń rzuciła Rossa na biurko w rogu pokoju. Lampa przewróciła się na podłogę, rozlewając na dywan płonący olej. Ross błyskawicznie zerwał swój surdut i przy dusił ogień. Gdy tylko ten wygasł

całkowicie, Anglik powrócił do przerwanej walki.

Wędrowiec starał się nie stosować ciosów i chwytów, które mogłyby wyrządzić poważną krzywdę jego przeciwnikowi, ten jednak nie miał podobnych skrupułów. Choć nie zamierzał zabijać, skrzywdzić księcia chciał. Chciał, by ten poczuł choć cień bólu, na jaki naraził Sarę. Ogarnięty świętym gniewem Ross nigdy jeszcze nie był tak niebezpieczny.

Kiedy obaj mężczyźni byli już posiniaczeni, poobijani i u kresu sił, Wędrowiec zdołał przygwoździć Rossa do podłogi i pochwycić go dłonią za gardło. - Dość! - Kafiristańczyk dyszał ciężko, mówił chrapliwym głosem, przerywając często dla zaczerpnięcia powietrza. - Nigdy ze mną nie wygrasz, mam nad tobą dwadzieścia lat przewagi nieustannej walki o życie. Jeśli jednak nie przestaniemy, któremuś z nas stanie się krzywda, być może nieodwracalna. Wolałbym raczej, żeby to nie dotknęło mnie, a jeśli skrzywdzę ciebie, Sara już na pewno nie zechce na mnie spojrzeć. Pax?

Ross ochłonął już na tyle, że posłuchał głosu zdrowego rozsądku. Nadszedł czas na rozmowę.

- Pax - zgodził się, z trudem wydobywając głos z przygniecionej krtani.

Kiedy Wędrowiec zwolnił uścisk, Ross leżał przez chwilę nieruchomo, łąpczywie chwytając powietrze. Był obolały na całym ciele, czuł, jak z rozbitego łuku brwiowego spływa mu do oka strużka krwi, nie odniósł jednak żadnych poważniejszych obrażeń. Powoli podniósł się na kolana, zastygając na moment w bezruchu, kiedy ogarnęła go fala mdłości.

Jego niedawny przeciwnik wziął go pod ramiona, pomógł mu podnieść się na równe nogi i podprowadził go do sofy. Ross z ulgą opadł na miękkie poduszki, zastanawiając się w duchu, czy ten przeklęty Kafiristańczyk zbudowany jest z drewna i stali. Każdy inny leżałby w tej chwili na podłodze, nieprzytomny i niezdolny do ruchu po podobnej dawce razów.

Ciche trzaski świadczyły o tym, że Wędrowiec odnalazł barek z alkoholem. Po kilku minutach przysiadł na sofie i zaczął delikatnie zmywać krew z twarzy Rossa.

Kiedy wytarł już krew, zwilżył chusteczkę brandy i przyłożył ją do rozbitej brwi. Piekący ból przywrócił Rossowi pełną świadomość. Odzyskawszy nieco sił, wziął od księcia chusteczkę i sam przytrzymał ją w miejscu urazu.

Kafiristańczyk rozlał już brandy do kieliszków. Jeden z nich wręczył Rossowi, sam zaś usiadł po drugiej stronie sofy.

- Czujesz się teraz lepiej?

- Trochę. - Ross stwierdził z satysfakcją, że Wędrowiec też może pochwalić się kilkoma ślicznymi siniakami, w jeszcze większe zadowolenie zaś wprowadził go fakt, że jego przyjaciel porzucił swą irytującą pełną lekceważenia pozę. Może teraz uda się z nim

normalnie porozmawiać.

- Myślę, że czas już, byś podał mi konkretne zarzuty przeciwko Charlesowi Weldonowi. Muszą być naprawdę ważne, by mogły usprawiedliwić to, co zrobiłeś Sarze.

Wędrowiec rozsiadł się wygodniej, wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi.

- Weldon jest właścicielem kilku, może nawet kilkunastu burdeli i nielegalnych salonów gry, osobiście też korzysta z ich usług - powiedział ze znużeniem. - Jego ulubioną rozrywką jest rozdzwiczać młode dziewczyny, często jeszcze dzieci. Prawdopodobnie zamordował swoją żonę, jest także współwłaścicielem kilku statków zaangażowanych w handel niewolnikami. - Uniósł brew, spoglądając ironicznie na Rossa. - To jeszcze nie wszystko, ale masz ogólny obraz.

Przez dłuższą chwilę Ross nie mógł wydobyć z siebie głosu. Choć bardzo nie lubił Weldona, nigdy nie przypuszczał, by ten zdolny był do takich podłości.

- Możesz to udowodnić? - spytał wreszcie, otrząsnąwszy się ze zdumienia.

- Część. Nie wszystko. Możesz zobaczyć moje dokumenty, jeśli masz ochotę, ostrzegam cię jednak, że nie jest to przyjemna lektura.

Ross pociągnął spory łyk whisky, delektując się jej pięknym posmakiem. Wiedział, że później zechce zobaczyć owe dokumenty, na razie jednak w zupełności wystarczały mu zapewnienia przyjaciela.

- Jesteś pewien, że on handluje niewolnikami? Przecież zabroniono tego dwadzieścia lat temu.

- I właśnie dlatego jest to taki dochodowy interes - odrzekł cierpko Wędrowiec. - Okręty z niewolnikami płyną głównie do Indii Zachodnich i Ameryki Południowej, gdzie wciąż brakuje siły roboczej.

Kiedy Ross przyswoił już sobie te szokujące informacje, obudziła się w nim ciekawość badacza.

- Skąd wiesz aż tyle o Weldonie?

- Po prostu bardzo się starałem - odparł książę krótko.

- To nie jest żadna odpowiedź. Co takiego zrobił, że tak bardzo chcesz wymierzyć mu sprawiedliwość?

- Nie twój interes. - Zielone oczy Wędrowca były twarde i zimne jak dwa szmaragdy.

- Czy teraz zgodzisz się ze mną, że Weldon nie jest odpowiednim kandydatem na męża dla twojej kuzynki?

- Przekonałeś mnie. - Ross pomacał się po obolałym boku, doszedł jednak do wniosku, że przy upadku na biurko nie złamał żadnego żebra. - Czy mówiłeś o tym wszystkim Sarze?

Kafiristańczyk dopił resztkę brandy, potem wstał, by ponownie napełnić kieliszek, zabierając ze sobą karafkę i stawiając ją na stole.

- Nie, powiedziałem jej tylko o zabójstwie żony.

- Dlaczego nie całą resztę? - spytał Ross. - Gdyby wiedziała, kim naprawdę jest Weldon, nie musiałbyś jej uwodzić, by doprowadzić do zerwania zaręczyn. To było naprawdę podle.

- Sara to silna i inteligentna kobieta, do tej pory jednak żyła pod kloszem. Czy uwierzyłaby, że człowiek z towarzystwa, przyjaciel jej ojca, zdolny jest do takich zbrodni? - Wędrowiec zawahał się, szukając odpowiednich słów. - Poza tym, to wszystko jest takie... brudne, nikczemne. Nie chciałem być tym, który musi wytłumaczyć jej, ile zła kryje się człowieku.

- Nie doceniasz mojej kuzynki. Sara uważa, że jej obowiązkiem jest być dobrze poinformowaną, i niełatwo ją czymś zszokować. - Ross ostrożnie odjął chusteczkę od czoła i stwierdził z zadowoleniem, że krwawienie ustało. - Dlaczego chcesz się z nią ożenić? Z poczucia winy?

- Nie wierzę w poczucie winy, to bezproduktywna emocja. - Książę znów się zawahał. - Ale rzeczywiście żałuję, że Sara została skrzywdzona, choć to, co zrobiłem, było konieczne.

Ross westchnął i podał przyjacielowi kieliszek do ponownego napełnienia.

- Przynajmniej teoretycznie małżeństwo w tym kraju opiera się na wzajemnym uczuciu, a ze względów praktycznych zawiera się je na całe życie. Żeniąc się z Sarą, tylko po to, by uchronić ją przed skandalem, możesz wpędzić ją w jeszcze większe tarapaty, unieszczęśliwić do końca życia.

Czy chcesz w ten sposób dać mi do zrozumienia, że jesteś przeciwny temu małżeństwu?

Mam co do niego ogromne wątpliwości - odparł bez ogródek Ross. - Nie chodzi mi nawet o dzielące was różnice kulturowe i religijne, lecz o ogromną przepaść etyczną. O ile wiem, jedyna zasada, której trzymasz się wiernie od wielu lat, to przekonanie, że cel uswięca środki.

- Ależ oczywiście. - Wędrowiec uniósł brwi w sardonicznym grymasie. - A istnieją jeszcze jakieś inne?

- Sara wierzy w wyższe wartości - odrzekł Ross sucho. - Nazywają je dobrem i złem.

- To bardzo abstrakcyjne pojęcia. Na poziomie praktycznego, codziennego życia doskonale się z Sarą rozumiemy.

- Dobro i zło nie są dla Sary tylko abstrakcyjnymi pojęciami. - Ross widział po minie

swego przyjaciela, że ten nie rozumie jego argumentów. Bogu dzięki, że Sara jest rozsądną kobietą; nie pozwoliłaby nakłonić się do błędnej decyzji.

- A jednak mam jeszcze jedną zasadę - oświadczył książę nie oczekiwanie. - Staram się nie krzywdzić ludzi, jeśli nie jest to konieczne.

- No tak, w tej sytuacji nie jest to rzeczywiście zła zasada - przyznał Ross. - Bardziej martwi mnie jednak to, co rozumiesz pod pojęciem „konieczności”.

- Dlaczego sam nie ożeniłeś się z Sarą? - spytał Wędrowiec, zmieniając nagle temat. - Małżeństwa między kuzynami pierwszego stopnia nie są przecież w Anglii zabronione. Wierzycie w te same pojęcia i wartości, jesteście blisko ze sobą.

Ross przeciągnął palcami przez rozczochrane włosy. Istniało kilka odpowiedzi na to pytanie, kilku z nich nie miał zamiaru przedstawiać swemu przyjacielowi. Wybierając najbardziej zasadniczy powód, odrzekł:

- Jesteśmy do siebie zbyt podobni. Mówiłem ci, że nasze matki były bliźniaczkami, były dokładnie takie same. Jako dzieci często myliliśmy je z Sarą, to było bardzo kłopotliwe. Dorastaliśmy jak brat i siostra, i taką właśnie miłością się darzymy. Właściwie Sara jest mi bliższa niż mój brat.

- Chciałbym go poznać. Widujecie się ze sobą?

- Rzadko. Lord Kilburn to mój przyrodni brat. Jest ode mnie o dwadzieścia lat starszy i to on dziedziczy tytuł diuka. On i rodzina jego matki sprzeciwiali się ponownemu małżeństwu mojego ojca, bo kolejny potomek zmniejszał oczywiście należne mu dziedzictwo. - Ross wzruszył ramionami. - Jest już bogaty jak Krezus, ale z chciwością trudno dyskutować. Mój brat trzyma się ode mnie z daleka, więc i ja robię to samo. Tak jest lepiej.

- Rodzina to naprawdę diabelska sprawa - zauważył przyjaciel. - Cieszę się, że ja jej nie mam. Ross spojrział nań ze zdumieniem.

- Jak to, a twoja rodzina w Kafiristanie?

To pytanie na moment jakby wytrąciło księcia z równowagi, potem jednak odparł spokojnie:

- Krewni, którzy mieszkają w miejscu oddalonym o pięć tysięcy mil stąd, nie mogą wyrządzić mi krzywdy, więc jest tak, jakby ich nie było. - Wstał i przeciągnął się, krzywiąc się lekko, kiedy świeże siniaki i stłuczenia odezwały się na nowo. - Przypuszczam, że Weldon jest już w połowie drogi do Londynu i że twoi goście zachodzą w głowę, co mogło się tutaj wydarzyć. Lepiej będzie, jeśli spędzę tę noc w Sulgrave. To tylko o pół godziny drogi stąd.

Ross jęknął cicho, pomyślawszy o towarzyskim zamieszaniu, z którym będzie musiał sobie poradzić.

- Tchórz.

- To prawda. - Wędrowiec uśmiechnął się doń słodko. - Ale prawdą jest także, że moja nieobecność uprości wiele spraw. Kiedy jutro rano przyjadę w odwiedziny do Sary, postaram się zrobić to dyskretnie.

- Obarczę wszystkim mamę. Jutro do południa powinna odprawić wszystkich gości, a ci poczytają sobie jeszcze za zaszczyt, że księżna zajmuje się nimi osobiście.

Wędrowiec wygładził surdut, choć te zabiegi w niewielkim stopniu poprawiły jego wygląd.

- Czy przebaczysz mi mój występki? Nie przeciw Sarze, lecz przeciwko tobie.

Ross wykrzywił lekko usta.

- A czy moja opinia ma dla ciebie jakieś znaczenie? Wędrowiec zamyślił się na moment.

- Owszem, ma.

Ross uśmiechnął się niechętnie i wstał z sofy.

- Więc ci przebaczę. Ale następnym razem może powiedz mi od razu o wszystkim, a nie rozbijaj się po mojej bibliotece jak grecka furia.

- Co za błyskotliwy pomysł, choć dość nudny.

Wędrowiec pożegnał go szerokim uśmiechem i wyszedł z biblioteki. Ross opadł z powrotem na sofę. Nie miał jeszcze dość sił, by stawić czoło światu. Jak dobrze, że była tu matka, bez jej pomocy nie ogarnąłby tego wszystkiego. I choć początkowo wydawało mu się to niefortunną okolicznością, teraz cieszył się, że kłopoty żołądkowe zatrzymały ojca w londyńskim domu. Staruszek przynajmniej nie będzie się denerwował bez potrzeby.

Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien pójść do pokoju Sary i pocieszyć jej, szybko jednak odrzucił ten pomysł. Zaznaczyła wyraźnie, że chce być sama, a oni zawsze bardzo szanowali swoją prywatność.

Próbował wyobrazić sobie Sarę w roli żony Wędrowca. Na pozór wydawało się to absurdalne, ale być może wcale takie nie było. Jeśli ktokolwiek mógł oswoić dzikiego jastrzębia, jakim był książę, to tylko Sara. Na swój sposób była równie uparta jak on.

Teraz, kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, zdał sobie sprawę, że Sara zmieniła się nieco, odkąd poznała Wędrowca. Jako dziewczynka zawsze była radosna i pełna energii, dopóki tragiczny wypadek omal nie pozbawił jej życia. Potrzebowała ogromnej samodyscypliny i woli przetrwania, by powrócić do normalności, i choć udała jej się ta sztuka, gdzieś po drodze zgubiła tę pierwotną radość życia. Być może przy Wędrowcu uda jej się odnaleźć ją ponownie.

Sara zdołała jakoś dotrzeć do swego pokoju niezauważona przez innych gości, potem odprawiła pokojówkę, tłumacząc jej, że cierpi na ból głowy i że chciałaby położyć się wcześniej. Kiedy została wreszcie sama, zapadła w głęboki, skórzany fotel, podciągnęła kolana pod brodę i otuliła się szczelnie szlafrokiem, bezskutecznie próbując ogrzać swą zziębniętą duszę. Odczuwała dziwne osłabienie, typowe dla osób, które próbują otrząsnąć się z szoku po wstrząsającym wypadku, a kiedy tylko zamykała oczy, widziała przerażone twarze, oczy wpatrzone w jej nagość. Słyszała wściekle oskarżenia Charlesa, drżała, smagana gniewnymi słowami ojca.

Przede wszystkim jednak widziała Wędrowca, przystojnego jak diabeł i równie nieobliczalnego. Nie był zaskoczony, kiedy nakryto ich na gorącym uczynku; Sara wyczuwała w nim jakąś inną emocję, może ekscytację lub satysfakcję, z pewnością jednak nie zaskoczenie. Zrozumiała natychmiast, wiedziona jakimś pozarozumowym instynktem, że książę zaaranżował tę sytuację. Ross był nie tylko zszokowany, ale i wściekły, jego gniew nie był jednak skierowany ku niej. Prawdopodobnie Wędrowiec uczynił go nieświadomym współnikiem, Sara wiedziała bowiem z całą pewnością, że Ross nigdy nie zrobiłby czegoś, co mógł oby jej sprawić cierpienie.

Dlaczego jednak Wędrowiec miałby zrobić coś równie podłego?

Nie mogła uwierzyć, że chciał ją zrujnować z czystej złośliwości.

I choć przyjemnie byłoby wierzyć, że jest w niej zakochany do szaleństwa i że zaaranżował tę sytuację, by ją zdobyć, Sara wiedziała, że to nieprawda. Wędrowiec był o wiele bardziej zaskoczony własną impulsywną propozycją niż faktem, że został z nią przyłapany w niedwuznacznej sytuacji.

I choć uczynił jej tę propozycję pod wpływem impulsu, wcale nie zamierzał się z niej wycofywać. Ale dlaczego? I co ona miała zrobić w tej sytuacji? Choć od samego początku Wędrowiec ogromnie ją pociągał, uważała, że małżeństwo z tym człowiekiem nie wchodzi w grę. Była to smutna świadomość, rozumiała ją jednak i akceptowała.

Teraz książę mógł należeć do niej, ona zaś musiała podjąć najtrudniejszą w życiu decyzję. Przyjęcie oświadczeń Charlesa było w porównaniu z tym banalnie łatwe, wiedziała bowiem, czego może oczekiwać od tego małżeństwa. Jak jednak mogło wyglądać wspólne życie z tym dzikim Kafiristańczykiem? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Zdesperowana, potarła mocno skronie, potem przesunęła palcami przez swe gęste włosy, zastanawiając się, co zostało z rozsądnej i opanowanej lady Sary St. James, którą była

zaledwie kilka tygodni temu. W obecności Wędrowca stawała się inną kobietą, kobietą, której do tej pory nie znała i której nie umiała zaakceptować. Nigdy nie czuła się tak ożywiona, jak podczas chwil spędzonych wspólnie z księciem, jednak małżeństwo z nim byłoby katastrofą.

Chcąc przerwać te bezproduktywne rozmyślania, nim naprawdę rozboli ją głowa, Sara postanowiła napisać krótki list do Elizy Weldon. Po kilku nieudanych próbach wyjaśnienia nowego stanu rzeczy zdecydowała się na krótkie oświadczenie, że nie wyjdzie za ojca Elizy, gdyż oboje uznali, że nie pasują do siebie.

Kiedy przeczytała już gotowy list, zdała sobie sprawę, że znacznie bardziej będzie jej brakowało Elizy niż Charlesa. Bardzo chciałaby nadal się z nią widywać, zabierać ją do cukierni, na zakupy i na spacer do parku, wiedziała jednak, że Charles nie pozwoli swej córce zbliżyć się do „plugawej, obrzydliwej zdziry”.

Sara podniosła pióro i dopisała jeszcze:

Będzie mi Ciebie brakować. Z życzeniami szczęścia, zawsze kochająca Sara St. James.

Wydawało się to tak suche i oficjalne; Sara zagryzła wargę, wyobrażając sobie zdumienie i rozpacz dziewczynki porzuconej przez kobietę, którą zaakceptowała już jako swoją nową matkę. Biedna Eliza, niewinna ofiara konfliktu dorosłych. Sara nie mogła jednak zrobić nic więcej, by ją pocieszyć. Może list dotrze do niej, nim jeszcze Charles zabroni jej w jakikolwiek sposób kontaktować się ze swą byłą narzeczoną.

Zrobiło się zimno, Sara wsunęła się więc pod kołdrę, zostawiając jednak zapaloną lampę. Tej nocy nie chciała pogrążyć się w ciemnościach.

Kiedy następnego ranka Sara zeszła do małego salonu, w którym czekał na nią Wędrowiec, była poważna i zimna jak lód. Zachowywała się z wyzywającą rezerwą, on zaś zawsze przyjmował nowe wyzwania z podnieceniem i ciekawością. Wyglądała czarująco w jasnoniebieskiej sukni, jej złote włosy ściągnięte były do tyłu i związane w węzeł na karku. Książę miał ogromną ochotę pocałować jej łabędzią szyję i kształtne konchy uszu. Być może będzie miał jeszcze do tego okazję nieco później; bardzo na to liczył.

Tak, pomyślał po raz kolejny, oświadczenie się lady Sarze było jednym z jego lepszych pomysłów, a teraz gotów był zrobić wszystko, by przekonać ją do przyjęcia tej propozycji. Będzie się musiał jednak bardzo starać; lady Sara nie podała mu nawet ręki ani nie poprosiła, by usiadł. Na widok jego posiniaczonej twarzy tylko lekko uniosła brwi.

- Co się panu stało?

- Pani kuzyn wytknął mi brak dobrych manier - odparł książę krótko.

- Zdaje się, że podszedł do tego bardzo fizycznie - orzekła Sara z dezaprobatą. - Mam nadzieję, że nie odniósł jakichś poważniejszych obrażeń?

- Nie. Obaj raczej skorzystaliśmy. Fizyczne dyskusje pomagają czasami oczyścić atmosferę.

Zza drzwi dobiegły głosy kilku kobiet, które przechodziły właśnie obok salonu. Sara przysłuchiwała się im w napięciu.

- Czy wszyscy mówią już o tym, co wydarzyło się wczoraj wieczorem?

- Jeszcze nie. - Wędrowiec pomyślał, że za zimną, nieprzystępną pozą Sara jest delikatna i krucha jak porcelana. - Rozmawiałem kilka minut temu z Rossem. Weldon wyjechał wczoraj do Londynu, nie zamieniwszy z nikim ani słowa. Kiedy gospodarz i goście honorowi opuścili bal, ludzie zaczęli się domyślać, że musiało zajść coś nieoczekiwanego, nikt jednak nie wie co. Być może Weldon ochłonął i postanowił zachować dżentelmeńskie milczenie.

Sara pokręciła głową, odrzucając to nierealne pocieszenie.

- Charles jest mściwy. Nie mówił wczoraj nikomu o moim haniebnym występku tylko dlatego, że chciał jak najszybciej wyjechać. Do jutra poinformuje o tym połowę Londynu.

Z korytarza znów dobiegły jakieś głosy. Wędrowiec zerknął na Sarę, która nie potrafiła ukryć zaniepokojenia.

- W domu jest jeszcze pełno ludzi, nie wyjadą, dopóki nie skończą śniadania, więc może porozmawiamy w ogrodzie? - zaproponował. - Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Kiedy Sara przystała na tę propozycję, oboje wymknęli się z salonu, nie napotykając na swej drodze żadnego z gości Rossa. Wędrowiec ujął Sarę pod ramię. Zesztywniała, nie próbowała się jednak wyrwać.

- Jest pani dzisiaj bardzo nerwowa.

- Oczywiście, że jestem - odparła ze złością. - Nigdy jeszcze nie rozmawiałam o ewentualnym małżeństwie z człowiekiem, który mnie zrujnował, i wcale nie przychodzi mi to z łatwością.

- Może podobnie jak Ross powinna mnie pani obić - zasugerował. - Jemu przyniosło to wielką ulgę, a ja z radością poddam się pani karzącym pięściom.

Przez moment patrzyła na niego gniewnie, potem jednak wybuchnęła śmiechem.

- Jest pan naprawdę niemożliwy. Co ja mam z panem zrobić?

- Wyjść za mnie - odpowiedział szybko. - Wtedy będzie pani mogła spokojnie popracować nad moimi manierami.

- Niestety, nie tylko pańskie maniery potrzebują naprawy - odparła cierpko, jednak atmosfera wyraźnie się poprawiła. Szli powoli przez cudowne, bujne ogrody, pokrywane jakieś dwadzieścia akrów powierzchni i przecięte małą, krętą rzeczką. Kiedy dotarli do

klombów z różami, Wędrowiec zerwał jeden biały kwiat i wręczył go swej towarzyszce.

- Ten kwiat przypomina panią; ciernisty, lecz piękny, otoczony nieodpartym aromatem.

Sara przyjęła różę, przypominając sobie, że dał jej takie same kwiaty w dniu, gdy pojechali do Tattersalla.

- Wygaduje pan naprawdę niestworzone rzeczy - powiedziała, wdychając zapach kwiatu.

- Czy nie powinienem być romantyczny? Myślałem, że kobiety właśnie tego oczekują od mężczyzn.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- To, co wydarzyło się wczoraj, nie było dziełem przypadku, prawda?

Wędrowiec zastanawiał się przez moment, czy nie powinien skłamać, potem jednak odrzucił tę myśl, Sara bowiem i tak nie uwierzyłaby w jego niewinność.

- Nie, nie było. Jak już powiedziałem, Weldon to niebezpieczny człowiek. Przykro mi, że naraziłem panią na stres, ale nie mogłem pozwolić, by pani go poślubiła.

Naraził mnie pan na stres? Doprawdy, nie można łagodniej określić czegoś, co zrujnowało me życie. - Nie była rozzłoszczona; jej zimny, ironiczny dystans był ponad gniewem. - Nie miał pan prawa postąpić ze mną w ten sposób.

- Gdyby zobaczyła pani dziecko wbiegające wprost pod karecię, nie miałyby pani prawa go ratować? - Gdy tylko wyrzekł te słowa, zrozumiał, że dobrał zły przykład.

Sara zacisnęła mocniej usta.

- To nieodpowiednia i ubliżająca analogia. Miałam pewne wątpliwości co do małżeństwa z Charlesem ze względu na jego dominującą osobowość, jak jednak dowodzą fakty, pan był znacznie gorszy.

- Naprawdę pani żałuje, że nie poślubi Weldon? - On znał odpowiedź na to pytanie, ale może nie znała jej Sara.

- Proszę nie zmieniać tematu - odrzekła ostro. - Tu nie chodzi o to, co czuję do Charlesa, tylko o pana haniebną zachowanie. To, co pan zrobił, było złe, bez względu na to, jakie szlachetne pobudki panem kierowały - Jak mogę zaufać człowiekowi, który jest tak bezwzględny? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drewnianego mostu, zawieszzonego łukiem nad rzeczką.

Wędrowiec nie musiał się specjalnie wysilać, by ją dogonić.

- Zaczynam rozumieć coś, o czym wczoraj wieczorem mówił roi Ross - powiedział w zamyśleniu. - Pani kuzyn twierdził, że ja wierzę jedynie w cel uświęcający środki i że pani nie

będzie w stanie tego zaakceptować, jako że pani wierzy w dobro i zło.

- Ross miał rację - zgodziła się Sara. - Cel, który chciał pan osiągnąć, nie uświęcał środków, które wybrał pan do jego realizacji.

- A ja uważałem, że jest inaczej, - Zawahał się, by dobrać właściwe słowa, musiał bowiem zdobyć nie tylko jej ciało, ale i umysł. - Dzieli nas rzeczywiście wiele, Saro, ale nie znaczy to jeszcze, że są to różnice nie do pokonania. Zwykle nie jestem bezwzględny despotą i nie oczekuję wcale, że zawsze będziesz się ze mną zgadzać. Jeśli będziesz miała opinię odmienną od mojej, nie będę cię bił ani więził o chlebie i wodzie. Na pewno nie unikniemy sytuacji, kiedy ty nie będziesz zgadzać się z moimi metodami, a ja z twoim osądem. Z pewnością jednak możemy żyć razem pomimo faktu, że czasami nie zgadzamy się ze sobą.

Małżeństwo z człowiekiem, który uważa, że kobieta ma prawo do własnych, niezależnych opinii, nie było najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać ją w życiu - zakładając oczywiście, że Wędrowiec mówi szczerze, co wcale nie było takie pewne. Sara zatrzymała się na środku mostu i oparła o balustradę, wpatrzona w kielichy wodnych kwiatów.

- Panu wydaje się to może proste, ale zasady moralne to nie jest błaha rzecz - powiedziała powoli. - Odmienne opinie mogą poróżnić małżonków i całe narody. W małżeństwie zaś to mężczyźni mają całkowitą władzę, fizyczną, prawną i finansową. Jeśli pańskie zasady pozwalają panu zmuszać mnie do czegoś, co moim zdaniem jest niewłaściwe, co mi przyjdzie z prawa do własnego zdania?

Prawnie męczyzna rzeczywiście ma władzę nad swoją małżonką, w praktyce jednak sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. Pani jest kobietą o niezwykle silnej osobowości, ma pani też potężną rodzinę, której zależy na pani dobru i która ochroni panią przede mną jeśli uzna pani, że potrzebuje takiej ochrony. Mam jednak nadzieję, że nie będzie to konieczne, rozmawiamy przecież o małżeństwie, nie o wojnie.

- Niektórzy twierdzą, że nie ma wielkiej różnicy między miłością i wojną. - Sara odwróciła głowę i spojrzała nań wyzywająco. - Dlaczego chce się pan ze mną ożenić? Charlesa interesował głównie mój posąg i pozycja społeczna. Czy i pan chce właśnie tego?

- Nieszczęśliwie. - Książę także pochylił się nad barierką. Jego postać odcinała się wyraźnie od zielonych, znaczonych plamami światła liści drzew rosnących nad wodą. - Bogactwo to bardzo przyjemna rzecz, znacznie milej jest mieć pieniądze niż ich nie mieć, ale ja jestem już dostatecznie bogaty. Jeśli powątpiewa pani w moje motywy, możemy spisać umowę, zgodnie z którą pani majątek zostanie przeznaczony „wyłącznie do pani użytku”. Zdaje się, że tak właśnie określa się to w dokumentach prawnych. Co zaś do pozycji

społecznej... - Wzruszył ramionami. - Jeśli zostanę w Anglii, może mi się przydać, ale prawdę mówiąc, nie ma to dla mnie większego znaczenia.

- A zamierza pan zostać w Anglii? - Sara zerwała listek z łądygi róży, wrzuciła go do wody i patrzyła, jak odpływa, niesiony prądem. Czy spodziewał się, że wróci wraz z nim w te góry na końcu świata, by żyć tam w prymitywnych warunkach, nie znając języka i obyczajów? - Nie jestem przeciwna podróżom, ale Anglia to mój dom. Nie wyobrażam sobie, bym miała żyć w Kafiristanie.

- Ani ja. To trudne życie i nie pasuje do pani.

Zamiast być mu wdzięczną, Sara poczuła się dotknięta sugestią, że jest kruchym, delikatnym stworzeniem.

- Więc porzuci mnie pan i wróci do swego domu sam? Wędrowiec pokręcił głową.

- Być może odwiedzę kiedyś Kafiristan, ale nigdy już nie zamieszka tam na stałe.

- Odetnie się pan od swojego kraju i ludzi? - spytała Sara z niedowierzaniem.

- Trudno żyć w miejscu, w którym człowiek zawsze czuje się obco - odrzekł Kafiristańczyk, nie patrząc na nią. - Ten kraj nigdy nie był moim domem. Nawet nie chcę, by nim był.

Dla Sary, której duch był zakorzeniony w angielskiej ziemi równie mocno jak stuletni dąb, była to bardzo dziwna opinia.

- Wie pan, że wędrowiec to wieczny pielgrzym, człowiek bez domu?

- spytała zaczepnie.

- Wiem.

Sara milczała przez chwilę, myśląc o tym, że słowa księcia pozwoliły jej nieco lepiej zrozumieć jego złożoną naturę.

- Czy pan miał kiedyś prawdziwy dom?

- Mam wiele posiadłości w różnych miejscach, ale żadnego z nich nie nazwałbym domem.

Odwrócił głowę i spojrział na nią. Jego oczy były równie zielone jak liście zwieszające się nad wodą.

- Zazdroszczę pani tego przywiązania do konkretnego miejsca. Jest pani angielska do szpiku kości. Nie wyobrażam sobie, by mogła pani żyć gdzie indziej.

- Ma pan rację - przyznała. - To dobrze czy źle?

- Nie wiem - uśmiechnął się smutno. - A pani?

- Cieszę się, że wiem, gdzie jest moje miejsce na ziemi, z pewnością jednak muszę wydawać się nudna komuś, kto widział i przeżył tyle co pan.

- Nigdy nie będzie pani nudna, Saro - odrzekł powoli. - Potrafi pani odrzucić pozory, zobaczyć prawdziwą naturę rzeczy. To cecha tyleż niepokojąca, co interesująca.

Sara odepchnęła się od barierki i ruszyła w dalszą drogę. Zastanawiała się, czego właściwie chce od Wędrowca. Nikt nie mógł zagwarantować szczęścia innej osobie. Nawet gdyby książę próbował przekonać ją, że po ślubie będą pędzić szczęśliwe, pozbawione trosk życie, i tak by mu nie uwierzyła. Może chciała wiedzieć, że zależy mu na niej choć trochę, choć na tyle, by to małżeństwo nie zakończyło się fiaskiem.

Po drugiej stronie rzeki ogród przybierał postać zwykłego parku, tyle że utrzymanego w o wiele lepszym stanie. Po kilku minutach marszu, podczas którego nie zamienili ze sobą ani słowa, dotarli do miejsca, w którym ścieżka zniknęła za wysokim murem przyciętych równo cisów.

- Był pan kiedyś w labiryncie? - spytała Sara. - Ten ma co najmniej dwieście lat, może więcej.

- Nie, nigdy nie byłem w takim miejscu. Labirynt jakoś dziwnie pasuje do tych okoliczności. - Książę spojrzał jej w oczy. - Dość długo już błakaliśmy się bez celu. Czas stawić czoło ostatecznemu pytaniu. Wyjdiesz za mnie, Saro?

Niezdecydowana, znów odwróciła się od niego.

- Nim odpowiem, musimy dotrzeć do serca labiryntu.

- Rozumiem, że zostaliśmy elementami jakiejś przenośni - powie dział Wędrowiec, rozbawiony. - A może raczej alegorii?

Sara uśmiechnęła się i wkroczyła w labirynt, szybko znikając z oczu swego towarzysza, by ten sam odnalazł właściwą drogę. W dzieciństwie bawiła się z tu z Rossem w chowanym i wciąż pamiętała, gdzie powinna zakręcać, by się nie zgubić.

Centrum labiryntu stanowiła owalna polana, pokryta krótką, gęstą trawą, przypominającą miękkie, żywe dywan. Było to jedno z najbardziej odosobnionych miejsc w posiadłości Rossa i zarazem jej ulubiona kryjówka. Tym razem jednak nie mogła się zrelaksować i zapomnieć o zewnętrznym świecie. W oczekiwaniu na swego towarzysza przemierzała polankę nerwowym krokiem, zbyt niespokojna, by móc usiedzieć na kamiennej ławeczce.

Wędrowiec dołączył do niej w imponująco krótkim czasie.

- Jesteśmy już w sercu labiryntu?

- Bynajmniej. - Splotła razem dłonie, starając się wyglądać na spokojną i opanowaną, choć w środku aż drżała ze zdenerwowania. - Jak mogę poślubić człowieka, który jest mi niemal zupełnie obcy i który budzi we mnie niepokój? Podejrzewam, że ma pan już żonę w

Kafiristanie, a może nawet tuzin żon i drugie tyle kochanek w różnych miastach Wschodu.

Wędrowiec pokręcił powoli głową. Był teraz równie poważny jak ona.

- Nie, Saro. Nigdy nie byłem żonaty, nigdy nawet o tym nie myślałem. Choć w przeszłości miałem kochanki, teraz jedyną kobietą, która ma do mnie jakieś prawa, jest pani.

- Czy tak właśnie pan o mnie myśli? Jako o obowiązku, który musi pan wypełnić, bo zniszczył pan moją reputację?

- Nie - odrzekł cicho. - To właśnie jedna z zalet moich nie szlachetnych zasad. Nigdy nie ożeniłbym się z poczucia obowiązku. Po prostu chciałbym mieć panią za żonę, podoba mi się ten pomysł.

Odpowiedź ta przyniosła jej pewne pocieszenie. Przechodząc do kolejnego tematu, Sara spytała:

- A co z religią? Nie wiem, w co pan wierzy, jeśli w ogóle wierzy pan w cokolwiek. Ja zostałam wychowana w wierze Kościoła anglikańskiego i chciałabym też wziąć ślub zgodnie z jego zasadami. Byłby pan temu przeciwny? Czy godziłoby to w pańskie przekonania?

- Nie mam nic przeciwko anglikańskiej ceremonii ślubnej. - Spojrzał na nią z błyskiem humoru w oczach. - Jak już mówiłem, mieszkańcy Kafiristanu to poganie. Wiem sporo o buddyzmie, taoizmie, hinduizmie i kilku innych mniej znanych religiach Wschodu, nieobca jest mi też teologia chrześcijańska i prawo żydowskie. Dwa razy w życiu, kiedy alternatywą była natychmiastowa egzekucja, nawróciłem się na islam, nie uważam jednak tej konwersji za wiążącą.

Zdumiona, a nawet lekko zszokowana tą recytacją, Sara spytała raz jeszcze:

- Lecz w co pan wierzy? Nie wyznaje pan żadnej wiary?

- Wierzę w siebie, słodka Saro. - Podszedł dwa kroki bliżej, a ona znów poczuła tę ogromną moc emanującą od jego ciała, ciągnącą ją ku niemu. - I wierzę w ciebie.

Był tak blisko, że mogła go dotknąć, i chciała tego, chciała tego tak mocno, że odczuwała fizyczny ból. Bardziej jednak niż namiętności potrzebowała zrozumienia; chciała wiedzieć, że istnieje jakiś fundament, na którym mogą zbudować to małżeństwo. Ponieważ Ross wytłumaczył jej już kiedyś, że europejskie pojęcie miłości obce jest ludziom Wschodu, nie oczekiwała od Wędrowca płomiennego uczucia, wystarczyłoby jej coś mniejszego. Znacznie mniejszego.

- Jakąż to wiarę pokłada pan we mnie? - spytała cicho.

- Wierzę, że będzie pani dobra. - Uniósł jej podbródek i wpatrywał się intensywnie w jej oczy. - Wiem, że nie będzie to zawsze łatwe i przyjemne, ale być może pani szlachetna

natura zmieni także i mnie.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Mówi pan tak, jakbym była lekarstwem, które zażywa się z konieczności, nie z wyboru.

- Jest pani jednym i drugim, Saro. - W jego głosie pojawił się smutek. - Jest pani moim wyborem i być może jest pani także koniecznością.

Potem pochylił się i ucałował ją. Najpierw robił to bardzo delikatnie, jakby bawił się z nią, kiedy jednak uległa i objęła go mocno, pogłębił pocałunek. Ona odpowiedziała tym samym, spragniona pocieszenia, które tylko on mógł jej dać. Tak dobrze było jej w jego uścisku, wydawało się to tak naturalne...

Potem przypomniała sobie, dlaczego znaleźli się w tym miejscu, gwałtownie przerwała pocałunek i odsunęła się od niego. Nic nie zostało jeszcze postanowione; potrzebowała odpowiedzi, nie pocałunków. Oddychając nierówno, próbowała sformułować pytania, które pomogłyby jej podjąć ostateczną decyzję.

Nim jednak wypowiedziała choćby jedno słowo, książę wyciągnął do niej rękę.

- Nie sprzeciwiaj się swym pragnieniom, Saro. - Jego głęboki głos był równie kuszący jak zakazany rajski owoc. - I nie uciekaj przede mną. Nie skrzywdzę cię.

Moc, którą emanował, była równie silna i niepowstrzymana jak rzeka mknąca do morza. Mimowolnie uczyniła krok do przodu, potem jednak znów się zatrzymała. To, co czuła, było czymś więcej niż pożądaniem. Było przymusem.

- Niech pan tego nie robi! - wybuchnęła. Wędrowiec zmarszczył brwi.

- Czego mam nie robić?

Sara milczała przez moment, zakłopotana. Wiedziała, że to co powie, zabrzmieni niemiędrze.

- Czasami wydaje mi się, że... że pan rzuca na mnie jakiś czar, zaklęcie, które pozbawia mnie woli.

Rozsądek mówił jej, że to niemożliwe, była jednak pewna, że książę próbuje ją przymusić do miłości. Być może posiadał jakieś subtelne, orientalne zdolności, nieznane Europejczykom.

- To dzieje się zawsze, kiedy chce pan, bym zrobiła coś, czego nie jestem pewna. Czuję się jak... jak mangusta zahipnotyzowana przez kobrę.

Dostrzegła przełomy grymas zdumienia na jego twarzy. Na moment magnetyczne przyciąganie straciło na sile.

- Bardzo oryginalna myśl - powiedział z tajemniczym błyskiem w oku. -

Hipnotyzowanie ludzi, którzy nie są posłuszni mojej woli, byłoby bardzo wygodne. Niestety, nie jest to możliwe. - Kiedy mówił, tajemnicza siła znów wzrosła, stała się potężniejsza niż kiedykolwiek.

Sara walczyła dzielnie z tym niewidzialnym przeciwnikiem. Poddając się, ulegając jego woli, straciłaby szansę wyboru, gdyby bowiem znalazła się w jego ramionach, zapomniałaby o wszelkich zakazach i zdrowym rozsądku.

- Dlaczego chce się pan ze mną ożenić? - spytała ponownie, odwracając oczy, gdyż spojrzenie księcia osłabiało jej wolę. - Właśnie ze mną, a nie z kimś innym? Jeśli nie dla pieniędzy, nie dla tytułu i nie z poczucia winy, to tylko dlatego, że chce pan angielskiej żony, a ja jestem pod ręką?

- Pomija pani powód najważniejszy i najbardziej oczywisty. - Delikatnie położył dłonie na jej ramionach. - Chcę ożenić się z panią, bo jest pani sobą, wyjątkową i fascynującą kobietą, niepodobną do żadnej z tych, które dotąd poznałem. Czy to nie wystarczający powód?

Wypowiedziawszy te słowa, przyciągnął ją do siebie, a jej opór zniknął, rozwiął się jak dym. Wcześniej, przy innych okazjach, chroniło ją poczucie honoru i obowiązku względem jej narzeczonego. Teraz jednak nie była już zobowiązana wobec nikogo i nic nie mogło uratować jej przed własnymi, niebezpiecznymi żądzami.

Przy każdym dotknięciu jej ciało reagowało rozkosznym drżeniem, błogością, która przenikała całe jej jestestwo. I choć nie wyznał jej miłości, to czy jego słowa nie świadczyły o tym, że jednak zależy mu na niej choć trochę? To chyba wystarczy?

- W języku Dżyngis Chana słowo sira oznacza jedwab. Sira Sara, jedwabna Sara - szeptał, kiedy jego usta przesuwały się od jej skroni ku włosom. - Jesteś jak najpiękniejszy jedwab, twoja uroda jest subtelna i zmysłowa, skrzy się ukrytym ogniem.

Delikatnie złapał koniuszek jej ucha w zęby. Subtelny, ledwie wyczuwalny nacisk przyprawił ją o dreszcze, odwróciła głowę, szukając jego ust i znajdując je. Zamknęła oczy, a cały jej świat zamknął się nagle w gorącym, wilgotnym dotyku języków i zębów, dotyku i smaku. Gdzieś na dnie umysłu kołatała się świadomość, że księżę powoli opuszczają na ziemię, na miękką, wygrzaną słońcem trawę, rzeczywistość jednak ograniczała się do ciemnego płomienia pocałunku.

Choć przesłaniał słońce, ogrzewał ją zarem swego ciała, leżąc w połowie na niej, w połowie obok niej. Jego dłonie błądziły po jej ciele, zręczne i doświadczone. Choć tłumiony przez grubą warstwę ubrań, jego dotyk pobudzał ją, rozpalał. Wygięła się w łuk, przyciskając pierś do jego dłoni, chciała, by dotykał jej nagiego ciała, jak poprzedniego wieczoru. Ta

suknia jednak nie poddawała się tak łatwo jak strój wieczorowy, dłonie księcia przesuwały się więc niżej, ku talii i biodrom, w nieustającej pieszczocie, która rozbudzała ją i kusila.

Kiedy po raz pierwszy dotknął jej w miejscu, gdzie łączą się uda i brzuch, zadrżała, przez moment przestraszona, rada, że dzieli ją od niego warstwa tkaniny. Potem jednak ciepło jego dłoni stopiło jej obawy, rozbudziło w niej wewnętrzny żar, zaczęła ocierać się o niego jak kotka.

Gdy uniósł jej suknię i halkę, poczuła się niemal naga; tylko cienka warstwa bielizny dzieliła jej rozpalone ciało od dłoni księcia. Delikatna tkanina szeleściła zmysłowo, kiedy ją pieścił, masował łydkę, kolano, przesuwał się coraz wyżej.

Kiedy dotarł do szczególnie wrażliwych miejsc, do wewnętrznej strony ud, zachłysnęła się strachem i rozkoszą jednocześnie. Oderwała usta od jego ust, by zaczerpnąć powietrza. Szeroka dłoń księcia znieruchomiła na moment, jakby czekając, aż Sara przyzwyczai się do tego nowego doznania, a potem zaczął zataczać nią powolne kręgi. Oddech Sary stał się nierówny, przerywany, kiedy nieznane jej dotąd pragnienia sformowały się pod jego dłonią w jeden, palący wir.

- Podoba ci się to, prawda, słodka Saro? - wymruczał. Potem przeszedł do kolejnej pieszczoty, jego palce zaczęły naciskać na nią mocniej, przesuwały głębiej cienki muślin.

Pulsowała pod jego dłonią w niemej odpowiedzi. Kiedy przerwał pieszczotę, omal nie krzyknęła z żalu, zrozumiała jednak, że zrobił to tylko po to, by rozwiązać wstążkę podtrzymującą jej figi na biodrach. Wiedziała, że powinna zaprotestować, lecz zrobiła coś zupełnie przeciwnego, uniosła biodra, by mu pomóc, nie dbając już o nakazy moralne ani o konsekwencje.

Powietrze objęło jej skórę chłodnym dotykiem, kiedy zsunął delikatną bieliznę. Nie wyzbyła się jeszcze wstydu i znieruchomiła na moment, kiedy jego palce dotknęły satynowej skóry jej brzucha i przesunęły się przez delikatne loki ku skrytym niżej tajemnicom. Kiedy wreszcie dotarł do tego najbardziej wrażliwego miejsca, była zaskoczona i zakłopotana gwałtownością swej reakcji - wilgotnym żarem.

Jedną ręką przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Spokojnie, słodka Saro, spokojnie - szeptał. - Twoje ciało zostało stworzone do miłości. Pozwól, że cię nauczę.

Najpierw była nieznośnie wrażliwa, przestraszona tak intymną inwazją. On jednak znał jej ciało lepiej niż ona sama, wiedział dokładnie, gdzie i jak dotykać, gasząc jej niepokój i rozpalając zmysły.

Słyszała jego kojący głos, lecz nie słowa, które wypowiadał, czuła na policzku dotyk

jego ubrania, jego subtelny, męski zapach. Mimowolnie zaczęła poruszać biodrami, oddychała coraz szybciej, coraz głośniej, kiedy ogarniały ją kolejne fale pożądania.

- Tak, Saro, tak. Poddaj się i bądź wolna. - Jego głos także był nierówny, ochrypły, czuła gorące, twarde zgrubienie w miejscu, gdzie naciskała nań nogą. Świadomość, że i on jest podniecony, że wzbudza w nim pożądanie, pozbawiła ją ostatnich skrupułów i zahamowań. Straciła całkowicie kontrolę nad swoim ciałem, krzycząc, kiedy zagarnęła ją fala nieopisanej rozkoszy. Spadała, spadała, przerażona, lecz szczęśliwa.

Później czuła się tak, jakby rozpadła się na drobne fragmenty i powoli, bardzo powoli zaczęła znów łączyć się w jedną całość. Leżała na boku, Wędrowiec tulił ją do siebie, jedną dłoń trzymał jej głowę, szepcząc coś w języku, którego nie rozumiała. Jego droga dłoń wciąż spoczywała na niej, kołał upojny żar obejmujący najbardziej intymne części jej ciała.

Uniosła głowę, spojrzała na niego, próbując uspokoić rozszalałe emocje.

- Tego właśnie chciałeś mnie nauczyć?

- To był tylko początek, jedwabna Saro, pierwszy krok na drodze, która nie ma końca.

Uśmiechnął się, patrząc na nią rozpalonymi oczami, i znów zaczął ją pieścić.

Myślała, że jej ciało jest już nasycone, on jednak znał je lepiej.

Pod jego dotykiem znów zaczęło się w niej rodzić zarzewie rozkoszy, najpierw powoli, potem coraz szybciej, coraz mocniej. Zamknęła oczy, oddając się błogiej, wyczekującej ciekawości.

Odsunął się od niej lekko, słyszała delikatny szelest tkaniny, palców manipulujących przy guzikach. Potem dotknął jej znowu, jego palce wśliznęły się w nią, rozsunęły delikatne fałdy ciała. Powinna była się domyślić, do czego zmierza, była jednak zbyt oszołomiona, zbyt upojona nowymi doznaniem, by naprawdę to zrozumieć.

Zdolność do niewyobrażalnych, uniesień, którą odkryła w sobie Sara, obudziła się także w Wędrowcu, dotknęła strun zachwyty, o których dawno już zapomniał lub których nigdy nie znał. Kiedy patrzyła na niego, rozpalona pożądaniem, rozkoszna w swym oddaniu, rozbudzała jego ducha równie mocno jak ciało.

Zareagował prymitywną, męską chęcią posiadania, pragnął ponad wszystko uczynić ją tylko swoją. Fizyczna bliskość nie była czymś, co Sara oddałaby lub zaakceptowała bez skrupułów i konsekwencji, uznał więc, że jeśli zostanie jego kochanką, zostanie także żoną. Pragnął jej, na wszystkich bogów ziemi, pragnął jej, a jej reakcja była niezbitym dowodem, że i ona go pragnie.

Rozsunął jej nogi i ułożył się między nimi. Choć chciał wbić się natychmiast w jej słodkie ciało, zdołał jakoś zapanować nad sobą. Zamknął oczy, wyteżył całą siłę woli, starając

się ująć w karby nieposłuszną żądę. Wiedział, że nie może całkowicie wyeliminować bólu. Wchodził w nią jednak bardzo powoli, by w miarę możliwości oszczędzić jej nieprzyjemnych doznań.

Bolesny nacisk wyrwał Sarę z oparów pożądania, krzyknęła, zszokowana i zdezorientowana. Otworzyła gwałtownie oczy i ujrzała nad sobą ciemną, lśniąca od potu twarz Wędrowca. Potrząsnęła głową, chciała powiedzieć: nie, nie teraz, jeszcze nie teraz, głos jednak uwiązł jej w gardle. Pochwyciła zamknięte wokół niej ramiona, nie miała jednak dość sił, on zaś był zbyt głęboko pogrążony w swoich potrzebach, by zauważyć jej słaby opór.

Nagle cienka membrana poddała się naciskowi, on zaś wśliznął się w jej wilgotne, zapraszające wnętrza. Byłaby to dlań chwila niebiańskiej rozkoszy, gdyby nie poczuł spazmu bólu, który wstrząsnął ciałem Sary.

- Przepraszam - wychrypiał jej do ucha. - Tego nie można było uniknąć.

Wspierając ciało na drżącej z wysiłku ręce, starał się opanować rozbuchane żądze, czekał, aż przywyknie do jej dotyku, aż będzie mógł znowu się poruszać. Choć nie robił tego nigdy wcześniej, wiedział, jak należy poczynać sobie z dziewicą; musiał poczekać, aż Sara nieco się uspokoi, rozluźni mięśnie, wtedy zacznie się ruszać, najpierw bardzo powoli, niemal niezauważalnie, potem głębiej i głębiej, prowadząc ją w taniec zmysłów. Napięcie jednak nie malało, wciąż napotykał na opór. Drżał z podniecenia, stopniowo tracił panowanie nad sobą, aż wreszcie z jękiem wsunął się głębiej.

Sara wydała z siebie głuchy, chrapliwy dźwięk, zeszywniała na całym ciele, szepcząc pełne udręki:

- Nie!

Gdzieś w odległej części umysłu słyszał i rozumiał ten protest, wiedział, że powinien przestać. Wiedział, lecz nie mógł tego zrobić, gdyż pożądanie rozniosło na strzepy tę samodyscyplinę, z której był tak dumny, pragnienie było o wiele silniejsze niż jego zdolność do samokontroli.

Jak na ironię, kiedy Sara poruszyła się gwałtownie, próbując zrzucić go z siebie, Wędrowiec zatracił się zupełnie i sięgnął wyżyn rozkoszy. Nawet jednak owa chaotyczna, przedwczesna przyjemność nie mogła zagłuszyć w nim świadomości, że pcha ich oboje ku katastrofie.

Kiedy odzyskał wreszcie zdolność normalnego rozumowania, prze wrócił się na bok i przytulił twarz do jedwabistego policzka Sary. Czuł, jak drży w jego ramionach, domyślał się, że płacze.

- Do diabła - zaklął cicho, przytulił ją mocniej, zaczął głaskać po plecach i szyi. -

Przepraszam, Saro. Źle to rozegrałem.

Dopiero teraz zrozumiał w pełni, co się stało. Ponieważ był upojony pożądaniem, całkowicie błędnie uznał, że i ona gotowa jest na wszystko. Choć nie można było powiedzieć, by ją zgwałcił, zrobił to, co zrobił, bez jej zgody i chęci. Chciał sprawić jej przyjemność, lecz zamiast tego sprawił jej ból, wykazał się niewybaczalnym brakiem taktu i zrozumienia dla jej potrzeb. Nawet jako niedoświadczony młodzieniec nie popełniał tak karygodnych błędów.

Był wściekły na siebie za to, co zrobił Sarze jednak jeszcze większym gniewem napawał go fakt, że stracił nad sobą panowanie. Choć już od miesięcy nie współżył z kobietą, jego nieuporządkowane życie często już wymuszało na nim nawet dłuższe okresy celibatu, nie miał więc żadnego usprawiedliwienia dla bezmyślnej, egoistycznej pasji, której dał się ponieść. Namiętność powinna być sługą człowieka, nie jego panem poddanie się jej woli świadczyło tylko o słabości charakteru.

Całe jego życie zbudowane było na samodyscyplinie, na absolutnym podporządkowaniu celowi. To dzięki temu zaszedł tak wysoko; bez tego byłby niczym. Dosłownie niczym, zginąłby już bowiem setki razy, gdyby nie dysponował tak ogromną, ćwiczoną przez lata siłą woli.

Sara poruszyła się w jego ramionach, odłożył więc na później rozmyślenia o własnej marności. Później będzie miał dość czasu na analizy; teraz musi spróbować naprawić swoje błędy. Podniósł głowę, chcąc ujrzeć jej twarz.

- Saro?

Myślał, że będzie załamana, może zszokowana, gotów był ją pocieszać, przepraszać, uspokajać.

Ona jednak nie płakała, a kiedy zobaczył jej oczy, zimne jak diament oczy sybilli, widział, że sytuacja jest znacznie gorsza, niż przypuszczał. Ta drobna kobieta, którą trzymał w ramionach, która początkowo oddała mu się z taką słodyczą, zamieniła się w jedno z największych wyzwaniań w jego życiu.

Sara leżała nieruchomo w objęciach Wędrowca, wpatrzona w błękit nieba. Powinna być załamana i spragniona pocieszenia, wcale tak jednak nie wyglądała. Głosem, który uderzył z siłą bicia, spytała:

- Skompromitowawszy mnie w oczach rodziny, postanowił pan dokończyć dzieła, bym nie miała wyboru i wyszła za pana?

- Nie było to wynikiem żadnych świadomie podejmowanych decyzji.

Wędrowiec usiadł prosto, myśląc, że Sara jest co prawda niewinna, jednak na pewno nie jest głupia i nie zamierza być niczyją ofiarą. Kobieta mniejszego formatu płakałaby, szukała słów pocieszenia i zapewnień o szczęśliwej przyszłości, Sara jednak gotowa była raczej pozbawić go jego niemądrej głowy.

- To może się pani przydać - powiedział, podając jej chusteczkę. Odwrócił się, kiedy Sara wytarła kilka kropel krwi i założyła bieliznę.

Gdy poprawiła już ubranie, przemówiła cierpkim, ostrym jak nóż tonem.

- Chce pan powiedzieć, że to, co się stało, było wynikiem przypadku? Myślałam, że jest pan człowiekiem, który nie dopuszcza do takich sytuacji.

Czuł, że jeśli powie jedno niewłaściwe słowo, Sara odrzuci jego oświadczenia, nie dbając o konsekwencje. I choć prawdą było, że nie potrzebował żony - prawdę mówiąc małżeństwo stawiało na głowie całe jego dotychczasowe życie - nie mógł znieść myśli, że może ją utracić.

Wiedział, że Sara jest zbyt inteligentna i rozsądna, by dać się omamić łatwym przeprosinom, musiał więc podjąć o wiele trudniejsze zadanie i zdobyć się na szczerłość. Wyciągnął rękę i ujął drobną dłoń Sary.

- To, co się stało, nie było przypadkiem tylko błędem. Ponieważ pani ciało było gotowe do miłości, założyłem błędnie, że gotowe są także pani emocje.

Sara zeszywniała na moment, targana sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony chciała wyszarpnąć dłoń z jego uścisku, z drugiej zaś chciała schować się w jego ramionach, szukać tam pocieszenia i wiary w przyszłość.

To nie ból fizyczny wyrwał ją z rozkosznego upojenia, ten bowiem wcale nie był taki dokuczliwy. Znacznie gorsze było gwałtowne i nieoczekiwane przejście od cudownej radości, do poczucia zniewolenia przez bezwzględną, męską siłę. Nie mogła znieść tego uczucia bezradności; a jednak wciąż tu była, szukała pocieszenia u człowieka, który sprawił jej ból.

Tymczasem książkę mówił ściszym głosem:

- Chciałem wierzyć, że jest pani gotowa, myliłem się jednak, i szczerze tego żałuję.

Z ociąganiem uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, obawiając się, że ujrzy w nich skrywany triumf. Ujrzała jednak tylko żal i samopotępienie, a ten widok znacznie osłabił wzbierający w niej gniew.

Biorąc pod uwagę jej bezwstydną zachowanie, nie mogła winić Mikahla za to, że podejrzewał ją o brak jakichkolwiek hamulców. Była wściekła na siebie, nie rozumiała, jak mogła pozwolić, by pożądanie zniszczyło jej wolę i rozsądek. Jeszcze bardziej irytujące było podejrzenie, że celowo wykorzystał jej słabość, by uwieść ją i w ten sposób zmusić do małżeństwa.

Być może jednak jej obawy były bezpodstawne; jeśli właściwie odczytywała jego reakcję, książę oddawał się w jej ręce, odsłaniał się przed nią, należał bowiem do ludzi, którzy nieczęsto i bardzo niechętnie przyznają się do swych błędów. Chcąc spotkać się z nim w pół drogi, powiedziała z wahaniem:

- Sama nie wiedziałam naprawdę, czego chcę, nic więc dziwnego, że i pan tego nie wiedział.

- Ale powinienem był wiedzieć. Chciałem, by czerpała pani z tego wyłącznie przyjemność. - Westchnął i odwrócił głowę tak, że widziała tylko jego dumny profil. - Pożądanie pozbawia mężczyzn rozumu, choć mnie nigdy dotąd się to nie przydarzyło. Po prostu straciłem nad sobą panowanie, bo zbyt mocno pani pragnąłem. - Zaciśnął mocniej zęby, jakby tłumił jakieś przekleństwo. - Myślę, że zraniłem mocniej pani duszę niż ciało, a tego rodzaju rany goją się najtrudniej. Chciałbym cofnąć czas, naprawić swój błąd, ale wiem, że to niemożliwe. Czy straciłem panią już na zawsze, Saro, czy nie mogę liczyć na przebaczenie?

Wiedziała, że Wędrowiec prędzej przyznałby się do morderstwa niż do braku samokontroli. Z własnego doświadczenia wiedziała, że ludzie często popełniają największe głupstwa, kiedy bardzo im na czymś zależy. Być może właśnie tak było w tym przypadku. Zaciśnęła mocniej palce na jego dłoni.

- Niezupełnie, choć niewiele brakowało. - Uśmiechnęła się słabo. - Nie można też powiedzieć, że zupełnie pan zawiódł. Do pewnego momentu to było... bardzo przyjemne.

- Jest pani bardzo łaskawa. - Spojrzał jej w prosto w oczy, nerwowo pocierając kciukiem jej dłoń. - Wyjdiesz za mnie, Saro? Pomimo mych błędów?

Całkiem beznamytnie, jakby wyszła poza swoje ciało, Sara przeanalizowała zaistniałą sytuację. Wierzyła, że na swój sposób jest z nią szczerą, uważała jednak także, że to, co pcha go do małżeństwa, jest tylko chwilowym, przelotnym impulsem. Jeśli go

przyjmie, być może przyjdzie jej słono zapłacić za chwile radości i szczęścia, nie mogła bowiem wykluczyć, że któregoś dnia Wędrowiec znudzi się Anglią i nią samą, i zostawi je obie na zawsze.

Ponieważ jednak pragnął jej dość mocno, by stracić panowanie nad sobą, i ponieważ wierzyła, że ów brak samokontroli to delikatna iskierka uczucia, którą można zamienić w płomień, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Tak, wyjdę za ciebie.

Po tych słowach zapadła głęboka cisza, przerywana tylko śpiewem drozda wlatującego ku niebu. Potem Mikahl obdarzył ją uśmiechem, od którego jej serce znów zaczęło bić szybciej.

- Bardzo, bardzo się cieszę.

Nie pocałował jej, wyciągnął tylko rękę, by zsunąć z jej twarzy kosmyk włosów, delikatnie otrzeć jej gładki policzek.

- Nie mogę obiecać, że uczynię cię szczęśliwą, obiecuję jednak, że będę się starał.

- To najwięcej, co można zrobić w tej sytuacji. - Nie było to szczególnie romantyczne spostrzeżenie, pomyślała Sara ze smutkiem, nic jednak w tej dziwnej historii nie pasowało do romantycznych opisów.

- Kiedy będziemy mogli wziąć ślub? - Po krótkim wahaniu, dodał: - Ze względów praktycznych, im wcześniej, tym lepiej.

Sara pomyślała, że szanse na poczęcie dziecka były raczej niewielkie, biorąc jednak pod uwagę przewrotność natury, nie mogła ryzykować.

- Można wziąć ślub natychmiast, korzystając ze specjalnego pozwolenia, to jednak wywołałoby skandal - zastanawiała się głośno. - Myślę, że wystarczą trzy tygodnie, tyle trzeba na ogłoszenie zapowiedzi.

- Doskonale. - Wędrowiec zrećnie poderwał się z ziemi, potem pomógł wstać Sarze. - Pójdziemy teraz do domu i obwieścimy tę nowinę pani krewnym? Wiem, że jest już trochę za późno, by prosić pani ojca o pozwolenie, gotów jednak jestem zrobić wszystko, by zadowolić jego i panią.

Sara przygryzła wargę w zamyśleniu.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli sama z nim porozmawiam. Wędrowiec zmarszczył brwi.

- Jest pani pewna?

- Tak - skinęła głową. - Nie wiem, w jakim nastroju będzie dzisiaj mój ojciec. - Czułaby się znacznie pewniej, gdyby Mikahl towarzyszył jej podczas rozmowy z ojcem, jeśli

jednak diuk nadal był rozgniewany, mogło dojść do nieprzyjemnych scen. Sara nie chciała, by w dniu zaręczyn jej przyszły mąż i ojciec skakali sobie do oczu.

Widząc kwaśną minę Wędrowca, zrozumiała, że ten domyśla się jej motywów, powiedział jednak tylko:

- Jak sobie pani życzy.

- Proszę przyjść dziś na kolację - zaproponowała. - Goście rozjadą się już do domów, zostanie tylko rodzina.

- Innymi słowy, wszyscy zdążą się już udobruchać, tak? - Uśmiechnął się do niej zaczepnie. - Obiecuję, że będę grzeczny i potulny jak baranek.

- Niech pan tylko nie przesadza - odparła, także się uśmiechając - bo nikt pana nie rozpozna.

Wędrowiec ujął jej dłonie i przyciągnął do siebie.

- Jeśli tylko pani mnie rozpozna, słodka Saro, cała reszta się nie liczy.

Pochylił się nad nią; jego zielone oczy promieniały radością. Kiedy Sara uniosła głowę do pocałunku, zrozumiała, że nigdy go nie zapomni. Nawet gdyby zniknął nagle w obłoku dymu i ognia, na zawsze pozostałby w jej sercu i duszy.

Każdy, kto zobaczyłby jej wymiętą i poplamioną suknię, domyśliłby się od razu, co przed chwilą robiła, Sara starała się więc przemknąć do swego pokoju niezauważona przez kogokolwiek z domowników czy gości. Ostatnio musiała to robić zresztą dość często. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno prowadziła uporządkowane, spokojne życie.

Nie wzywając do pomocy pokojówki, zmieniła suknię i uporządkowała fryzurę, potem zaś zeszła na parter, by ogłosić rodzinie, co postanowiła. Stwierdziła z ulgą, że wszyscy goście już wyjechali i że nie będzie musiała tłumaczyć się przed nikim z wczorajszego zamieszania. Postanowiła też zacząć od rzeczy najtrudniejszej, czyli od rozmowy z ojcem.

Diuk Haddonfield siedział w bibliotece i pisał list. Przywitał Sarę z chłodem i rezerwą, jakby była kimś zupełnie mu obcym.

Nieco zbity z tropu tym niemiłym przyjęciem, Sara zatrzymała się przy drzwiach.

- Ojczy, postanowiłam przyjąć oświadczyzny księcia Wędrowca.

- Miałem nadzieję, że to zrobisz - odrzekł szorstko. - Tylko w ten sposób możesz uratować swą reputację.

Jego spojrzenie powędrowało ku sofie, gdzie zobaczył ją wczoraj wieczorem, wygiętą lubieżnie w ramionach Wędrowca. Sara odgadła jego myśli i spłonęła rumieńcem. Nie dała się jednak sprowokować i spokojnym głosem oświadczyła:

- Nie wychodzę za niego, by ratować reputację, lecz dlatego że tego chcę.

Ojciec wzruszył ramionami. Zdawało się, że w ciągu tej jednej nocy przybyło mu dwadzieścia lat.

- Dlaczego w ogóle mi o tym mówisz? Jesteś już dorosła i nie potrzebujesz mojego pozwolenia, moja opinia zaś i tak dla ciebie nic nie znaczy.

Sara zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie głęboko w skórę. Powinna była pozwolić, by Mikahl przyszedł tu z nią, było to bowiem gorsze, znacznie gorsze niż przypuszczała.

- Liczyłam na twoje błogosławieństwo.

- Błogosławiłem twemu małżeństwu z Charlesem Weldonem. - Skrzywił usta w gorzkim grymasie. - Ale udzielę wam błogosławieństwa na ślubie. Nie chcę skandalu.

Dotknięta do żywego i ogarnięta gniewem, przez moment miała ochotę odrzucić jego ofertę, gdyby jednak nie przyszedł na ślub, skandal byłby jeszcze większy.

- Chcemy pobrać się za trzy tygodnie, po ogłoszeniu zapowiedzi. Diuk uczynił niedbały ruch ręką.

- Poinformuj mego sekretarza o miejscu i czasie tego wydarzenia. Będę tam na pewno.

Sara miała ochotę rozplakać się i wybiec z pokoju. Przełknęła jednak to kolejne upokorzenie, przeszła przez pokój i uklękła obok ojca.

- Nie potrafiłam żyć według zasad, które mi wpoiliś, okazałam się niegodna twego zaufania - powiedziała cicho. - Ale jestem twoim jedynym dzieckiem, mamy tylko siebie. Jesteś na mnie zły i masz do tego prawo, proszę cię jednak, nie pozwól, by to wydarzenie poróżniło nas na zawsze. Za bardzo cię potrzebuję.

Po raz pierwszy diuk spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie potrzebujesz mnie, bo masz siłę swojej matki. Kiedy umarła... - Westchnął i odwrócił wzrok. - Nie jestem też na ciebie zły, bardziej martwię się konsekwencjami tego, co się wydarzyło. Być może za jakiś czas okaże się, że to było najlepsze wyjście, przynajmniej dla ciebie. Po prostu nie wiem. Skonfundowana, usiadła na piętach.

- Co masz na myśli?

- Obyś się nigdy nie dowiedziała. - Uczyniwszy tę tajemniczą uwagę, dotknął jej włosów. - Idź już. Przygotuję nowe ogłoszenie o twoich zaręczynach. Trzeba jak najszybciej rozesłać je do gazet.

Sara wciąż czuła niepokój, kiedy wyszła z biblioteki. Spodziewała się gniewu, a zamiast tego znalazła smutek i poczucie osamotnienia, które jakoś nie pasowały jej do sytuacji. Może diuk żałował utraconej przyjaźni, po wydarzeniach minionego wieczoru bowiem nie mógł już traktować Weldona z taką zażyłością jak dotychczas. Mimo to jego zachowanie dawało Sarze nadzieję, że po jakimś czasie ojciec zaakceptuje jednak Mikahla.

Opuściwszy bibliotekę, udała się na poszukiwanie Rossa i ciotki Marguerite. Tak jak przypuszczała, Ross siedział w swoim gabinecie, który pierwotnie był salonikiem przylegającym do jego sypialni. Teraz Ross wykorzystywał to pomieszczenie do pracy, zastawiając je półkami wypełnionymi po brzegi przez książki, papiery i pamiątki z podróży.

Ujrawszy w drzwiach gabinetu Sarę, Ross natychmiast wstał od biurka, przyglądając się jej uważnie swymi brązowymi oczami, tak bardzo podobnymi do jej oczu. Znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, jeśli jednak domyślał się, co zaszło w jego ogrodzie, nie skomentował tego w żaden sposób. Podszedł tylko do niej, objął i uściskał serdecznie.

- To był trudny dzień, prawda kuzyneczko?

Pokiwała głową w niemym geście potwierdzenia, niemal drżąc z ulgi, że wreszcie może się odprężyć i pozwolić sobie na szczerość. To dziwne, ale siła bijąca od Mikahla zawsze wprawiała ją w lekki niepokój, w obecności Rossa zaś czuła się tylko bezpieczna i zrelaksowana.

Ross zburzył lekko jej włosy i wypuścił ją ze swych objęć.

- Zdecydowałaś się już?

- Tak. Wyjdę za niego.

Spojrzał na nią z powagą.

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? Skandal można wyciszyć. Nie rób czegoś, czego będziesz potem żałować, tylko ze względu na ludzka paplaninę.

Sara zaczęła chodzić dokoła pokoju.

- Może popełniam błąd, wychodząc za niego. - Wzięła do ręki małą, mosiężną figurkę indyjskiej bogini, miniaturowe studium zmysłowości, i przyjrawszy się jej pobieżnie, odstawiła na miejsce. - Ale... Jestem pewna, że popełniłabym także błąd, nie wychodząc za niego.

- Rozumiem. - Ross przysiadł na skraju biurka i skrzyżował ręce na piersiach. - Jesteś w nim zakochana?

- Nie wiem. - Na przeciwległej ścianie wisiało stare lustro weneckie. Sara wpatrzyła się w swoje odbicie, myśląc, że powinna nosić na czole szkarłatny napis „kobieta upadła”. Właściwie jednak jej wygląd w niczym się nie zmienił. Przeniosła spojrzenie na odbitą w lustrze twarz Rossa i odkryła, że łatwiej przychodzi jej zwracać się do jego wizerunku niż do niego samego. Chciała, by dobrze ją zrozumiał i pomyślała o przykładzie, który wyjaśniłby mu wszystko. Po krótkim wahaniu powiedziała: - Myślę, że teraz rozumiem to, co zaszło między tobą i Juliet.

Przez jego twarz przemknął spazm bólu, tak ulotny, że omal go nie zauważyła.

Przejęta wyrzutami sumienia, odwróciła się na pięcie, żalując, że nie może cofnąć tych słów.

- Tak mi przykro, Ross... Nie powinnam była tego mówić. Minęło już tyle lat... Nie wiedziałam, że nadal tak cierpisz... - Przerwała, zrozumiawszy, że z każdym słowem pogarsza tylko sprawę.

Ross doskonale panował nad swoją twarzą, nie pozwalając, by pojawił się na niej choćby cień targających nim uczuć, Sara wyczuwała jednak napięcie bijące od jego szczupłego ciała.

- Nie życzyłbym nikomu takiego zrozumienia - odrzekł cierpko. - Skoro jednak tak się właśnie czujesz, to rzeczywiście nie pozostaje ci nic innego, jak wyjść za Mikahla. Choć Mikahl bywa nieprzewidywalny, prawdopodobnie wyjdiesz na tym znacznie lepiej niż na małżeństwie z Weldonem.

Sara zmarszczyła brwi.

- Ross, czy ty wiesz, dlaczego Mikahl tak bardzo nie lubi Charlesa?

- Nie spytałaś go o to sama? - zdziwił się kuzyn. Sara oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok.

- Jakoś... nie miałam okazji. Było tyle innych rzeczy do... przedyskutowania. Przyznał jednak, że to, co się wczoraj wydarzyło, nie było tylko dziełem przypadku. Przypuszczam, że zupełnie nieświadomie stałaś się jego pomocnikiem.

Ross skrzywił się lekko.

- Niestety. Przepraszam, Saro. Zbyła to smutnym uśmiechem.

- Gdybyś nie chciał mu pomóc, pewnie zrobiłby to w inny sposób. - Spoglądając wymownie na jego rozbitą brew, spytała: - Co powiedział ci wczoraj wieczorem, kiedy już wymieniliście wszystkie „fizyczne” argumenty?

- Mikahl twierdzi, że Weldon jest właścicielem kilku nielegalnych i odstręczających interesów - odparł Ross ostrożnie. - Jeśli to prawda, to twój były narzeczony jest straszliwym hipokrytą i dobrze się stało, że nie wyjdiesz za niego.

Sara ściągnęła brwi.

- Jedyne nielegalne i odstręczające interesy, jakie przychodzą mi na myśl, to domy publiczne. Z pewnością Charles nie ma z tym nic wspólnego !

- Najwyraźniej jednak ma - westchnął Ross. - W pewnym sensie to bardzo łatwe. Oboje zareagowaliśmy w ten sam sposób, uznaliśmy, że to niemożliwe, by dżentelmen brudził sobie ręce tak plugawymi sprawami. I dlatego właśnie dżentelmenowi, który nie ma takich zahamowań, niemal wszystko może ujść na sucho.

Sara potrząsnęła głową. Na samą myśl o podobnej niegodziwości robiło jej się

niedobrze.

- Być może, ale nie mogę uwierzyć, że byłby do tego zdolny człowiek tak zasadniczy jak Charles, Widziałeś przecież, jakie oburzenie wzbudził w nim mój wczorajszy postępek.

Równie dobrze mogła to być hipokryzja, a nieprawdziwe oburzenie. - Ross spojrział na nią ze współczuciem. - Nie zdręczaj się tym, masz przecież dość innych zmartwień. Jeśli uznasz, że chcesz wiedzieć coś więcej na ten temat, spytaj Mikahla o szczegóły. Choć nie zawsze bywa całkiem szczery, zwykle odpowiada na bezpośrednie pytania.

Sara nie miała w zwyczaju unikać trudnych i nieprzyjemnych kwestii, tym razem jednak skwapliwie skorzystała z propozycji kuzyna. Później będzie dość silna, by ocenić właściwie to, co powie dział jej Ross i zastanowić się, skąd Mikahl. dowiedział się takich rzeczy, jeśli oczywiście były one prawdziwe. Lecz nie teraz. Uśmiechnęła się smutno.

- Kto powiedział, że powinniśmy uważać na swoje życzenia, bo mogą się spełnić? Pomyśleć, że życzyłam sobie, by moje życie stało się trochę bardziej ekscytujące!

Ross uśmiechnął się szeroko.

- Z takim mężem u boku z pewnością nie będziesz narzekać na nudę.

- Jeśli dojdzie do najgorszego i Mikahl porzuci mnie dla jakiegoś arabskiego haremu, skorzystam z twojego zaproszenia i wprowadzę się tutaj.

- Będziesz hodować koty i słuchać, jak czytam ci turecką poezję?

- Otóż to.

Oboje uśmiechnęli się do siebie ciepło. Sara wyszła od kuzyna wyraźnie podniesiona na duchu. Wiedziała już, że może liczyć na pomoc swej rodziny, i że nigdy nie będzie skazana wyłącznie na wolę męża. Mniej pocieszająca była świadomość, że zdecydowała się poślubić człowieka, któremu nie mogła w pełni ufać.

Ciotka Marguerite także udzieliła jej wsparcia. Księżna Windermere niemal od samego rana przebywała w kuchni, komenderując armią kucharzy i pomocników, którzy pod jej czujnym okiem przeglądali i reorganizowali spiżarnie. Ujrawszy Sarę, oderwała się na moment od pracy i przywitała ją serdecznie.

- Gospodyni Rossa radzi sobie całkiem dobrze, ale kuchnia w domu dżentelmena nigdy nie jest właściwie zarządzana - mówiła, ogarniając gestem krzątanie dokola. - Nie uwierzyłabyś, w jakim stanie jest spiżarnia.

- Pokaż mi, ciociu - poprosiła Sara, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Z dwóch cudownych bliźniaczek Montgomery, Marguerite była tą bardziej energiczną i przebojową, Maria zaś, matka Sary, cichą i spokojną. Ross powiedział jej kiedyś, że jego służba bardzo lubi wizyty księżnej, pracując bowiem pod okiem tak ważnej osoby, i oni czują się znacznie

ważniejsi. Choć z natury władcza i wymagająca, Marguerite była przy tym ciepłą, dobrą kobietą i praktyczną gospodynią.

Kiedy dotarły do spiżarni, Marguerite zamknęła drzwi i przyjrzała się badawczo swej siostrzenicy.

- Może ty powiesz mi wreszcie, co się tutaj dzieje? - spytała z przekąsem. - Ross tylko coś przebąkuje, cedzi po słowie. Trudno od niego cokolwiek wyciągnąć, kiedy chce być dyskretny. Chcesz wyjść za tego wspaniałego barbarzyńcę?

- Tak - odparła Sara, myśląc, że utyte przez ciotkę określenie doskonale oddaje naturę księcia. - Uważasz, że jestem szalona?

- Pewnie tak, ale nie bardziej niż jakakolwiek inna zakochana kobieta - odparła jej ciotka pogodnie. - A jeśli już musisz zgłupieć dla jakiegoś mężczyzny, to lepiej zrobić to dla bogacza niż biedaka. Poza tym, prawdę mówiąc, on podoba mi się znacznie bardziej niż Charles Weldon.

Świadomie ignorując uwagę o zakochanych kobietach, Sara powiedziała:

- Przyjdzie dziś wieczorem na rodzinną kolację. Pewnie będzie ustalał z tatą jakieś techniczne szczegóły, umowę przedślubną i tak dalej.

- Jeśli uda mu się to przeżyć, to naprawdę twarda z niego sztuka. - Księżna zagryzła wargę w zamyśleniu. - Musimy usiąść razem i zrobić listę rzeczy do załatwienia. Na początek powinniśmy oddać wszystkie prezenty ślubne, które przysłano dla ciebie i Charlesa.

Sara jęknęła cicho.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Dlaczego wszystkie prawdziwe dramaty kończą się na nudnych szczegółach? Pomyśl o wszystkich prezentach z monogramem „W”!

- Nie przejmuj się tym. W sezonie będą jeszcze dwa śluby osób, których nazwisko zaczyna się na „W”, więc prezenty na pewno się nie zmarnują.

Sara nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Jesteś niemożliwa.

- Oczywiście - odparła ciotka, wruszając ramionami. - Dlatego Windermere ożenił się ze mną. Wszyscy mówili, że to małżeństwo nie ma przyszłości, i że jest między nami zbyt duża różnica wieku i pozycji społecznej, no i oczywiście, że ja poluje na bogatego męża, ale proszę, minęło trzydzieści pięć lat, a my nadal jesteśmy razem. - Księżna westchnęła lekko. - Żałuję tylko, że nie doczekamy już raczej następnych trzydziestu pięciu lat.

Sara wróciła do swego pokoju niemal w pogodnym nastroju. Nieraz miała okazję przekonać się, że małżeństwo Windermere'ów jest naprawdę udane, a ten przykład mógł stanowić dla niej doskonałą inspirację. Być może poradzą sobie z Mikahlem równie dobrze.

Nagle wtargnięcie pokojówki, panny Hoskins, brutalnie przerwało te pogodne rozmyślenia. Sara rozpuszczała właśnie włosy, przygotowując się do drzemki, kiedy Hoskins wpadła do pokoju jak burza.

Służąca była rówieśniczką Sary, jednak wyraz wiecznego niezadowolenia poznał jej twarz wyraźnymi zmarszczkami, przez co wyglądała na znacznie starszą od swej pani.

- Lady Saro - zaczęła głosem drżącym z oburzenia. - Mówią, że ma pani wyjść za tego cudzoziemca, ale ja nie mogę w to uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że zostawiłaby pani takiego dżentelmena jak sir Charles.

Sara odwróciła się do swej pokojówki.

- Tym razem plotki nie kłamią. Zerwałam zaręczyny z sir Charlesem i wkrótce wyjdę za księcia Wędrowca.

Przez moment Hoskins patrzyła na nią w osłupieniu. Potem oświadczyła jadowitym tonem:

- Nigdy nie uwierzyłabym, że moja pani tak się zhańbi, poślubiając jakiegoś plugawego Murzyna.

- Jak śmiesz! - zachłysnęła się Sara. Gniew zamroził ją na moment; nie była tak wściekła od czasu, gdy dowiedziała się, jak opiekunowie z sierocińca wykorzystują powierzone im dzieci. - Nie będziesz musiała się tym martwić, bo cię zwalniam, i to natychmiast. Nie będę trzymać pod moim dachem takiej bezczelnej bigotki jak ty.

- A ja nie pracowałabym dla takiej zdziry jak pani! - odwarknęła Hoskins. - Ładne ubrania i tytuł to jeszcze nie wszystko. Temu cudzoziemcowi tylko jedno w głowie i tylko taka rozpustna wszetecznicą jak pani chciałaby mu to dać. Przyzwoita kobieta brzydzi się nawet o tym myśleć. Ale nie odejdę, dopóki nie dostanę, co mi się należy. Znam swoje prawa.

Przekleństwem człowieka uczciwego jest fakt, że nawet wściekłość nie przewycięży w nim poczucia sprawiedliwości. Z lodowatą godnością, godnością wielu pokoleń St. Jamesów, Sara powiedziała:

- Możesz odebrać swoje rzeczy pojutrze, u głównego lokaja. Dostaniesz pieniądze za ten miesiąc plus dodatkową wypłatę i list polecający. Możesz być pewna, że odpowiednio zostaną ocenione zarówno twoje umiejętności, jak i charakter. A teraz zejdz mi z oczu!

- Z przyjemnością. Dostawałam już wiele dobrych ofert od prawdziwych dam. - Hoskins skrzywiła twarz w złośliwym uśmiechu. - Myślą pewnie, że skoro umiem zadbać o taką kalekę jak pani, to umiem naprawdę dużo. - Zadowolona, że to ona miała ostatnie słowo, służąca uniosła dumnie głowę i wymaszerowała z pokoju.

Sara opadła na krzesło, cała roztrzęsiona. Zauważyła uderzające podobieństwo między

tym, co powiedziała właśnie Hoskins, a słowami Charlesa z poprzedniego wieczoru. Prowadząc spokojne, ciche życie, rzadko miała do czynienia z podobnymi przejawami złości. Co gorsza, wiedziała, że wkrótce podobnie będzie mówić i myśleć znacznie więcej osób. Z drugiej jednak strony uznała, że lepiej, by mówili jej to prosto w oczy niż za plecami.

Była to kolejna lekcja prawdziwego życia, rzeczywistości ukrytej pod wygładzoną powierzchnią codziennej egzystencji. Mężczyzna taki jak Mikahl mógł być osądzony i potępiony tylko za to, że jest obcokrajowcem, angielska dama ogarnięta namiętnością mogła od rzucić wszelkie zakazy moralne, a ułożona i grzeczna na pozór pokojówka mogła odsłonić naturę ulicznicy. Być może nawet Charles Weldon rzeczywiście był właścicielem domów publicznych, choć Sara nie mogła w to uwierzyć.

Kiedy ochłonęła już z gniewu, pomyślała z rozbawieniem, że obelgi rzucane przez Hoskins świadczyły o czymś, do czego ta z pewnością nie chciałaby się przyznać; że i ona uległa męskiemu urokowi Wędrowca, a ten fakt wprawił jej pruderyjny umysł w prawdziwe przerażenie.

Sara uśmiechnęła się lekko, powracając do rozczesywania włosów. Orientalny książe sama swą obecnością siał zamęt w umysłach skromnych, angielskich kobiet. Z pewnością zaś wprowadził zamęt do jej życia. Cieszyła się, że nie straciła przynajmniej poczucia humoru; z pewnością będzie go potrzebowała w nadchodzących tygodniach.

Rodzinną kolację przebiegała nad podziw spokojnie. Ojciec Sary milczał ponuro, lecz Ross i ciotka Marguerite prowadzili w jego zastępstwie konwersację, Mikahl zaś, zgodnie z obietnicą, zachowywał się jak prawdziwy angielski dżentelmen. Sara obserwowała go uważnie, zdumiona łatwością, z jaką książe dopasował się do jej rodziny, choć jednocześnie od czasu do czasu okazywał pewne lekceważenie dla angielskich zwyczajów. Cóż, ona także nie traktowała ich ze śmiertelną powagą, choć przecież były częścią jej życia.

Tak jak się spodziewała, po kolacji narzeczony i diuk zniknęli w bibliotece, by omówić pewne kwestie techniczne. Kiedy stamtąd wrócili, ojciec był już nieco mniej ponury niż poprzednio. Sara miała nadzieję, że to dobra wróżba na przyszłość i że obaj mężczyźni znajdą wspólny język, nawet jeśli nigdy nie zostaną przyjaciółmi.

Kiedy wypili już herbatę, Mikahl zaproponował Sarze spacer po patio. Zgodziła się chętnie, chciała bowiem porozmawiać z nim na osobności. Błady księżyc na niebie przypominał jej tamten wieczór, kiedy książe namówił ją do tańca. Wydawało się, że od tamtej pory upłynęły już całe lata, choć w rzeczywistości było to tylko kilka tygodni. Ona była już inną kobietą, on jednak pozostawał wciąż tym samym, tajemniczym i fascynującym mężczyzną. Tamtej nocy myślała o nim jako o niebezpiecznej, lecz przelotnej ucieczce od

codzienności; teraz był jej przyszłością.

Odsuwając od siebie te poważne rozważania, powiedziała:

- Ciotka Marguerite stwierdziła, że jeśli przeżyje pan ten wieczór, to znaczy, że twarda z pana sztuka. Rozumiem, że doszłście z ojcem do jakiegoś porozumienia.

Książę zachichotał i wsunął jej dłoń pod swój łokieć. Razem ruszyli na spacer po wykładanych kamieniem ścieżkach patio.

- Jest na mnie mocno obrażony, ale przy tym i zbyt dobrze wychowany, by mi to otwarcie okazać. Podejrzewam, że ojcowie nigdy nie lubią mężczyzn, którzy odbierają im córki.

Był to bardzo taktowny opis niechęci, z jaką jej ojciec odnosił się do tego małżeństwa. Uznając, że należy zmienić temat, Sara powiedziała:

- Myślę, że powinnam zwracać się do pana po imieniu, per Mikahl, jak Ross. Chyba że woli pan jakieś inne imię?

- Nie, to jest dobre. Miałem już kilka imion i nazwisk, ale najdłużej używam nazwiska Khanauri, Mikahl Khanauri.

- Mikahl Khan - aur - i - powtórzyła, starając się naśladować dokładnie obco brzmiące samogłoski. - Mikahl to imię zbliżone do chrześcijańskiego Michała. Zawsze je lubiałam. - Spojrzała nań z szelmowskim uśmieszkiem. - Michał to imię archanioła, który prowadzi zastępy niebieskie.

Wędrowiec roześmiał się głośno.

- W takim razie nie jest zbyt dobrze dobrane, bo z pewnością nikt nie wzięłby mnie za anioła.

Sara spojrzała uważnie w jego twarz i odparła:

- Nie byłabym taka pewna. Michał to karząca ręka Boga, święty patron wojowników. Anioły zemsty to z pewnością stworzenia znacznie groźniejsze od tych, które zajmują się jedynie śpiewem i modlitwą.

Wędrowiec zerknął na nią z ukosa.

- Skoro przeznaczeniem Michała jest karanie winnych i zemsta, to być może nie jest to takie złe imię.

Doszli na przeciwległy koniec patio, niewidoczny dla ludzi prze bywających wewnątrz domu. Książę zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Podoba mi się rola narzeczonego. Dzięki temu mogę patrzeć na ciebie do woli i nikt nie nazwie mnie grabianinem, tylko romantykiem - powiedział, przyglądając się jej z nieskrywaną przyjemnością. - Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo rozkosznie, słodka Saro.

Szczery zachwyty, który dojrzała w jego oczach, zawstydził ją nieco, choć jednocześnie sprawił prawdziwą przyjemność.

- Cóż, w takim razie należy to uznać za cud. Dziś po południu zwolniłam moją pokojówkę i mam u siebie okropny bałagan.

Mikahl uniósł lekko brwi.

- Mogę spytać, dlaczego ją zwolniłaś?

Zawahała się na moment, zrozumiawszy, że nie powinna była poruszać tego tematu.

- Ze względu na impertynenckie zachowanie.

Co znaczy, że powiedziała coś paskudnego o twoim nowym narzeczonym. Z pewnością lepiej będzie, jeśli nie dowiem się, co to było.

- Z pewnością - zgodziła się z nim Sara.

Wędrowiec zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad czymś.

- Masz już kogoś na tę posadę? Jeśli nie, zaproponowałbym ci odpowiednią osobę. To młoda dziewczyna, która po trudnym starcie życiowym przyucza się do zawodu pokojówki. Choć nie ma żadnego doświadczenia, jest inteligentna, miła i pracowita.

- Na czym polegał ów trudny życiowy start?

- To nie jest przyjemna historia. - Mikahl przyjrzał się uważnie swej narzeczonej, jakby ciekaw był jej reakcji. - Ojciec sprzedał ją do domu publicznego, kiedy była jeszcze dzieckiem. Spędziła tam kilka lat.

- Rozumiem.

Sara milczała przez chwilę, myśląc o tym, że był to chyba najdziwniejszy dzień w jej życiu. Jeszcze wczoraj o tej samej porze była narzeczoną Charlesa, szanującą się damą. W ciągu dwudziestu czterech godzin została uwiedziona, skompromitowana, zerwała zaręczyny, zaręczyła się ponownie, a teraz proponowano jej na służącą byłą prostytutkę. Poczwała nagły, nieprzyjemny ucisk w żołądku, kiedy pomyślała, jak Mikahl poznał tę dziewczynę; czyżby próbował za trudnić w jej domu swoją kochankę? Nie, uznała, nie posunąłby się do takiej bezczelności. Woliała jednak nie wiedzieć nic więcej na ten temat.

- Przyślij do mnie tę dziewczynę. Jeśli jest miłsza niż moja była pokojówka, zatrudnię ją.

Wędrowiec uniósł brwi.

- Tak po prostu? Nie boisz się, że człowiek o takiej przeszłości może cię zgorszyć?

- Moja była służąca uznała, że to ja jestem dla niej zgorszeniem - odparła Sara cierpko.

- Myślę więc, że poradzę sobie z tym zagrożeniem.

- Moja droga, jesteś żywym dowodem na to, że arystokratyczne wychowanie nie

pozbawia człowiek współczucia i dobroci serca.

Kiedy uśmiechnęła się, zadowolona z komplementu, księżę dotknął jej policzka czubkami palców i powiedział niskim, zmysłowym głosem:

- Nie mogę znieść myśli, że będziemy musieli czekać aż przez trzy tygodnie.

Przeciagnął palcami po jej szyi, a jego dotyk znów budził w niej gorące, niewypowiedziane pragnienia. Tym razem jednak Sara odsunęła się od księcia, nie pozwalając, by pozbawił ją kontroli nad swymi odruchami. Pamięć tego, co robili wcześniej, wisiała w powietrzu jak dym. I choć on chciał powtórzyć to doświadczenie, ona przemyślała sobie wszystko w ciągu minionych godzin i wiedziała, że nie jest jeszcze gotowa.

- Właśnie tego chcę, Mikahl - oświadczyła z mocą. - Czekać.

- Naprawdę mocno cię przestraszyłem dziś rano, prawda? - spytał cicho, kiedy cisza przeciągała się ponad miarę. - Nie martw się, Saro, mogę czekać, ile tylko zechcesz. Być może lepiej będzie, jeśli przed ślubem będziemy widywać się tylko przy oficjalnych okazjach. To powinno uchronić nas przed następnymi... trafami tego rodzaju.

Sara przełknęła ciężko, wdzięczna za tę propozycję.

- Cieszę się, że okazujesz tyle zrozumienia. Jesteś dla mnie bardzo dobry.

Mikahl uśmiechnął się szeroko.

- Jedno, czego na pewno nie można o mnie powiedzieć, to że jestem „bardzo dobry”. Zwykle jednak nie robię głupstw, szczególnie dwa razy w ciągu jednego dnia. - Uniósł lekko jej twarz i obdarzył szybkim, lekkim pocałunkiem, od którego przeszedł ją miły dreszcz. Potem wyszeptał jej do ucha: - Wracajmy do środka, zanim ulegnę pokusie i wyjdę na kłancę.

Sara poczuła ogromną, niemal oszałamiającą ulgę. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że człowiek tak silny, potrafi być jednocześnie tak wyrozumiały. I w tej właśnie chwili mogła wreszcie powiedzieć sobie całą prawdę. To, co czuła do Mikahla, było czymś więcej niż namiętnością, więcej niż zauroczeniem czy potrzebą; to była miłość, prawdziwa i nieodwołalna. Ta świadomość wprawiła ją w radosne uniesienie, czuła się tak, jakby pędziła na koniu przez usianą kwiatami łąkę, albo wirowała w tańcu, tyle że to uczucie było tysiąc razy silniejsze.

Mikahl wciąż trzymał dłonie na jej talii, jakby nie chciał jej naprawdę wypuścić z objęć, mogła więc ująć w dłonie jego głowę i przyciągnąć do siebie. Czując pod palcami jego gęste, jedwabiste włosy, ucałowała go mocno, nie z namiętności, lecz z głęboką, bolesną niemal wdzięcznością. Wyczuwając jej nastrój, oddał pocałunek, delikatny jak skrzydło motyla, i przyciągnął ją mocniej do siebie.

Sara chciałaby wyryć tę chwilę w pamięci - jego wygląd, zapach i dotyk, ciepło jego warg, czułość spojrzenia. Miłość była bardziej przerażająca od namiętności, wiedziała bowiem, że popełnia szaleństwo, zakochując się w kimś, kto jest tak nieprzewidywalny i nieodgadniony. Mikahl nie kochał jej, lecz pożądał; może nie potrafił dać jej takiej miłości, jakiej pragnęła.

Lecz pomimo ryzyka, pomimo świadomości bólu, który musiała przynieść ze sobą przyszłość, wiedziała, że tej miłości nigdy nie będzie żałować.

By nie gorszyć angielskich arystokratów, w drodze do Chapelgate Wędrowiec pozwolił powozić Kuramowi, kiedy jednak wracali do Sulgrave, sam wziął lejce do rąk. Patańczyk ułożył się wygodnie na siedzeniu, wielce zadowolony z tej zmiany ról. Kiedy oddalili się już od miasta, Wędrowiec zauważył:

- Wyglądałeś na zadowolonego z siebie. Rozumiem, że służba kuchenna odpowiednio się tobą zajęła?

Kuram uśmiechnął się szeroko, błyskając w mroku białymi zębami.

- Bardzo przyjazne te angielskie dziewczyny. I bardzo ciekawe nikczemnych obcokrajowców.

Wędrowiec także się uśmiechnął.

- Wiem coś o tym. W końcu żenię się z jedną z nich. Patańczyk parsknął głośno.

- Popełniasz błąd, panie, wpuszczając kobietę do swego życia. To tylko dodatkowy kłopot.

- Mimo to nie mogę się już doczekać ślubu. Zbliża się zima, Kuram, a na północy noce są bardzo zimne. - Wyjechawszy na prosty odcinek drogi, Wędrowiec poderwał konie do galopu, który znacznie bardziej pasował do jego obecnego nastroju niż powolny, miarowy krok. - A moja kobieta to skarb większy i rzadszy niż starożytnie złoto czy srebro Kitajców.

- Jest jak piękna rasowa klacz arabskiej krwi - przyznał Kuram. - Ale dobre kobiety są najgorsze, a mężczyzna nie musi się żenić, by mieć ciepłe łóżko.

- Jesteś cynikiem, Kuram - odrzekł Wędrowiec, nie pozwalając, by sądy sługi wpływały na jego własne opinie.

Kiedy jednak jechał przez okrytą mrokiem uśpioną krainę, wciąż myślał o tym, jak dziwnie układają się jego losy. Przez dwadzieścia pięć lat podporządkowywał osobistą przyjemność swej misji, a teraz, kiedy bliski był jej zwieńczenia, jakby nagle odwrócił hierarchię ważności. To nie zemsta zajmowała jego myśli, lecz przyszłość leżąca za nią. Chciał zapuścić korzenie, znaleźć swoje miejsce na ziemi... i związać swe życie z drugim człowiekiem.

Oczywiście rozsądniej byłoby poczekać do czasu, aż Weldon zostanie ostatecznie pokonany, książę wiedział bowiem, że dom i żona mogą go rozproszyć, utrudnić to najważniejsze zadanie. Z drugiej jednak strony, ociągając się, mógłby stracić i Sarę, i Sulgrave. Zależało mu na jednym i na drugim, a nauczył się już dawno temu, że trzeba korzystać z darów podsuwanych przez los, gdyż ten rzadko oferował drugą szansę. Sulgrave było domem ze snów, wymarzonym miejscem, które przybrało konkretny kształt, a Sara...

Ach, Sara, jak mógłby ją opisać? Była żywym symbolem jego pierwszego triumfu nad Weldonem, ale także czegoś znacznie więcej; inteligencji, ciepła, uczciwości, cichej odwagi i stalowego charakteru. Choć żałował, że zrobił jej krzywdę, nie żałował wcale, że odkrył tę stalową siłę, którą okazała w momentach życiowych przeciwności.

Zajmowanie się Sarą będzie dlań przyjemnością, gdyż samo prze bywanie w jej towarzystwie sprawiało mu radość. Kiedy już zostaną małżeństwem, odpokutuje za swoją niezręczność, odkryje przed nią tajniki namiętności, będzie traktował ją z największą ostrożnością i czułością. Był szczerze zdumiony i wzruszony, kiedy zgodziła się zaakceptować go pomimo tak okropnych błędów, i poprzysiągł sobie w duchu, że postara się, by nigdy nie pożałowała swej wielkoduszności. Kiedy wjeżdżał w bramę Sulgrave, zrozumiał - , że wszystkie rzeczy, których kiedykolwiek pragnął - zemsta, korzenie, prawdziwa towarzyska życia - leżały teraz w jego zasięgu. Wiedział też z pewnością, która czyni wojownika niepokonanym, że nic i nikt nie pozbawi go tych skarbów.

Podczas podróży do domu swego brata Charles Weldon z satysfakcją odtwarzał w myślach wydarzenia minionego dnia. Rano odwiedził swoje kluby, po południu spotkał się z kobietami z towarzystwa, wszędzie, gdzie tylko się pojawił, rozsiewał wieści o swych zerwanych zaręczynach.

Szkoda, rozmyślał, że jako prawdziwy dżentelmen nie może opisać ze szczegółami skandalicznego zachowania Sary, był jednak mistrzem niedopowiedzeń, zamiast słów wystarczyło więc uniesienie brwi czy sugestywne spojrzenie. Opowieść o lady Sarze St. James została przyjęta z nieskrywaną radością, gdyż wiele piękności z towarzystwa żywiło urazę do księcia za to, że odrzucił ich awanse. Teraz rozkoszowały się świadomością, że lady Sara, która zawsze była poza wszelką krytyką, okazała się nie lepsza od nich, a może nawet trochę gorsza.

Tak, to był dobry dzień. Jeśli reputacja lady Sary nie została całkowicie zniszczona, to z pewnością była poważnie nadszarpnięta, to zaś pozwalało mu wierzyć, że w przyszłości dopełni zemsty i ukarze ją dość srodo za zdradę. Oczami wyobraźni po raz kolejny ujrzał rozpaloną, półmagą Sarę w objęciach tego łajdaka. Rozwścieczony, zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią w drugą dłoń. I pomyśleć, że uważał ją za czystą, niewinną kobietę! Niedobrze robiło mu się na myśl, jak zhańbiłaby jego imię, gdyby jednak ja poślubił.

Zaczynał wierzyć, że nie ma na świecie kobiety godnej zaufania. Kiedy ożenił się z Jane Clifton, ta uwielbiała go i była mu całkowicie posłuszna. Także w łóżku zachowywała się jak prawdziwa dama, traktując ów akt z odpowiednią dozą odrazy i jednocześnie z pełnym zrozumieniem dla małżeńskich obowiązków. Potem któregoś dnia oświadczyła bez ostrzeżenia, że zabiera córkę i wraca do swoich rodziców, jakby miała do tego prawo.

Znów uderzył pięścią w dłoń, przypomniawszy sobie, jak krzyczała, spadając ze schodów. To była wyłącznie jej wina, nie powinna była przecież doprowadzać go do wściekłości. Kobieta nie może sprzeciwiać się swemu mężowi; jeśli to robi, zasługuje na każdą karę, która na nią spadnie.

Nie spieszył się z wyborem drugiej żony, chciał kobietę dobrze wychowaną, atrakcyjną, a przy tym bogatą, był bowiem stworzony do wielkich rzeczy i potrzebował żony, która byłaby go godna. Sara St James wydawała się idealną kandydatką, dopóki nie udowodniła, że nie jest prawdziwą lady.

Na myśl o jej lubieżności budziło się w nim perwersyjne, irytujące podniecenie, a jego lędźwia płonęły pożądaniem, odkąd tylko ujrzał ją w bezwstydnym pozie. Zaraz z rana posłał

Kane'a do pani Kent z poleceniem, by ta znalazła mu dziewczinę o szczupłej figurze Sary i jej złotych włosach. Dziewczyna będzie czekać na niego dziś wieczorem, a kiedy ją posiadzie, zamknie oczy i będzie myślał o kobiecie, którejomal nie poślubił.

Któregoś dnia, przysięgał sobie w duchu, dopadnie także i Sarę, choć pewnie było już za późno, by mógł pozbawić ją dziewictwa. Delektował się myślą, że będzie ją dręczył bez litości, choćby błagała go o zmiłowanie.

Szkoda, że musi trochę poczekać, nim ją porwie, nie chciał bowiem, by ktokolwiek łączył jego nazwisko z jej zniknięciem. W takich sprawach należało zachować największą ostrożność, to właśnie bowiem ostrożność, skrupulatność i cierpliwość pozwalały mu prowadzić podwójne życie pod samym nosem towarzystwa i wymiaru sprawiedliwości.

Jak zawsze myśl o własnym sprycie przywróciła mu spokój ducha.

Uważał większość mężczyzn za głupców, którzy nie potrafią docenić przyjemności życia poza wąską, ograniczoną przestrzenią towarzystwa. Te dwa światy, świat prawa i bezprawia, świat przyzwoitości i występku, uzupełniały się nawzajem, każdy kontrast wzbogacał je i dodawał im wartości.

Zastanawiał się, czy w przyszłości nie zatrzymać Sary do własnej dyspozycji, uznał jednak, że pobyt w burdelu będzie dla niej gorsza kara. Wyśle ją gdzieś daleko, gdzie nikt jej nie znajdzie, na przykład do Brukseli. Jeśli przeżyje pierwszy rok, odwiedzi ją i spyta, czy teraz, kiedy posiadły ją już tysiące mężczyzn, nadal pożąda swego pogańskiego kochanka. Zapomni już wtedy o tej swojej wyniosłej pozie, będzie go błagała, by ją wypuścił, ale on tego nie zrobi, powie jej, że hańbiąc siebie i jego, sama skazała się na takie traktowanie.

Weldon poczuł ukłucie żalu, kiedy pomyślał o postępowaniu Kafiristańczyka; zrobił dla niego tak wiele, traktował go niemal jak Anglika. Jedyne, co uśmierzało jego gniew i żal, to świadomość, że trudno spodziewać się czegoś więcej od dzikusa. Być może dlatego we właściwym czasie pozwoli mu umrzeć szybko i w miarę bezboleśnie.

Niestety, z tym także będzie musiał poczekać, ta śmierć bowiem spowodowałaby zamęt w jego finansach i zagroziła sytuacji L&S Railway. Weldon niemal żałował, że kompania tak dobrze sobie radzi, Wędrowiec bowiem czerpał zyski z jego własnych wysiłków. Pieniądze Kafiristańczyka potrzebne były jednak do rekapitalizacji firmy, na razie więc nie mógł się go pozbyć.

Bogu dzięki, ułożył wszystko tak, że choć Wędrowiec był głównym udziałowcem L&S Railway, właściwie nie mógł nią zarządzać. Później, kiedy sprzedadzą już wszystkie akcje nowej emisji, Weldon znajdzie sposób, by wyrzucić Kafiristańczyka z firmy. W między czasie poszuka innych, subtelniej szych sposobów ukarania dzikusa za jego nielojalność.

Weldon musiał przerwać te miłe rozmyślania, gdyż przybył do miejskiej rezydencji swego brata, lorda Batsforda, Chciał porozmawiać najpierw ze swoją bratową, a potem z córką, Eliza musiała jednak dojrzeć jego powóz już wcześniej, nie zdążył bowiem nawet się rozebrać, kiedy dziewczynka wybiegła mu na spotkanie.

- Tato! - krzyknęła radośnie. - Nie spodziewałam się ciebie.

Przyjechałeś do mnie na herbatę?

- Zachowuj się lepiej, Elizo, nie biegaj jak dziecko żebraka. - Kiedy córka zatrzymała się, zmieszana, Weldon przystanął, ciesząc oczy jej widokiem. Wyglądała naprawdę czarująco w różowej sukience z koronkowymi zdobieniami, była słodka i czysta jak anioł. Oto obraz prawdziwej niewinności: być może jedyną kobietą, której może zaufać mężczyzna, jest jego własna córka. Batsford i jego żona byli nudni, pozbawieni wdzięku i niegodni tytułu, który nosili, musiał jednak przyznać, że pod ich opieką Eliza doskonale się rozwijała. Dotknął jej lśniących włosów.

- Muszę z tobą porozmawiać, moja droga, przejdźmy więc do salonu i napijmy się herbaty.

Na srebrnej tacy w hallu leżało kilka listów. Nim Eliza zaprowadziła swego ojca do salonu, zerknęła na nie z nadzieją. Pokrzykując radośnie, podniosła jedną z kopert.

- Spójrz, tato, to list od lady Sary! Poznaję jej pismo.

Oddaj mi to! - Weldon wyrwał list z ręki córki, ogarnięty wściekłością. Jak ona śmie pisać do Elizy, do słodkiej Elizy, jedynej prawdziwie czystej kobiety na świecie! Kiedy dziewczynka wpatrywała się weń w osłupieniu, Weldon zmiął list i włożył go do kieszeni. Przeczyta go później, by dowiedzieć się, jaką trucizną ta ladacznica chciała zepsuć umysł Sary. Musi też polecić wszystkim służącym, by nie przyjmowali żadnych listów z Haddonfield House.

- Czy coś się stało? - spytała niepewnie Eliza.

Nie chcąc, by usłyszał go ktoś ze służby, Weldon nie odpowiedział, dopóki nie wspięli się na schody i nie weszli do salonu. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, oświadczył surowym tonem:

- Nigdy więcej nie wymawiaj imienia tej kobiety. Musisz o niej zapomnieć, zapomnieć wszystko, co kiedykolwiek ci powiedziała, zapomnieć, że kiedykolwiek ją znałaś.

Eliza otworzyła szeroko oczy, zszokowana.

- Ale... czy ty nic ożenisz się z lady Sarą?

- Nigdy! Okryła się hańbą i niegodna jest zostać moją żoną ani twoją matką.

- Ale co takiego się stało? - Co zrobiła lady Sara? - Eliza zmarszczyła brwi,

skonfundowana. - Zawsze była dla mnie taka miła.

- Tej kobiecie nigdy na tobie nie zależało, chciała tylko przypodobać się mnie - warknął, tracąc cierpliwość. - Nie będziemy już dłużej o niej rozmawiać, Elizo, stanowczo ci tego zabraniam.

Kiedy oczy córki napełniły się łzami, poczuł wyrzuty sumienia. Była tylko niewinnym dzieckiem, najcenniejszą istotą w jego życiu. Łagodniej już dodał:

- Usiądź, a ja zadzwonię po herbatę.

Eliza przysiadła na skraju sofy, przestraszona i niepewna, czy znowu nie rozgniewa ojca.

- Czy to znaczy, że nie mogę z tobą zamieszkać?

Weldon chciał już przytaknąć, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Być może nadszedł już czas, by zabrał córkę z tego domu, gdyż jej kuzynki dorastały już do zamążpójścia. Bał się, że jeśli te głupie dziewczuchy zaczną paplać przy Elizie o mężczyznach, skażą jej niewinny umysł. Wkrótce cała służba z pewnością zacznie plotkować na temat Sary, która w dodatku może nawet przekonać lorda Batsforda, by pozwolił jej zobaczyć się z Elizą; ta wszetecznicza zawsze potrafiła owinać sobie jego brata wokół małego palca.

Nie, miejsce Elizy było przy ojcu, który wiedział, co dla niej najlepsze. W odróżnieniu od matki czy tej zdziry, córka była mu szczerze oddana, a by jej to wynagrodzić, musi ją odpowiednio wychować, zadbać o to, by nikt jej nie skrzywdził i nie zepsuł. Zabierze ją ze szkoły i odda pod opiekę guwernantki, takiej, która będzie potrafiła wpoić jej odpowiednie zasady.

- Nie - odrzekł, podejmując ostateczną decyzję. - Chcę, byś jak najszybciej przeprowadziła się do mnie. Brakowało mi dębnie.

Kiedy twarz dziewczynki rozpromieniła się na moment, podszedł bliżej i uściskał ją, co nie zdarzało mu się zbyt często.

- Będziemy we dwoje, tylko ty i ja - powiedział cicho. Będzie musiał znaleźć jakąś inną bogatą żonę, która da mu syna, tym razem jednak będzie ostrożniejszy w wyborze - - Nie potrzebujemy nikogo innego.

- Och, tato, to cudownie.

Eliza z radością przytuliła się do niego. Zawsze marzyła o tyra, by tato okazał jej miłość, i oto marzenia się spełniły.

Kiedy przyniesiono tacę, Eliza ostrożnie naląła ojcu herbaty, wkrótce bowiem miała zostać jego gospodynią. Kiedy sączyła swoją porcję herbaty, przegryzając słodkimi ciastkami, tato wyłożył jej swoje plany. Oczywiście nadal będzie bardzo zajęty, ale w wolnym czasie

będą mogli swobodnie cieszyć się sobą. Nie będzie nawet musiała dzielić się nim z lady Sarą, choć wolałaby zgodzić się na to poświęcenie, byle tylko Sara została jej mamą.

Później jednak, kiedy tato już sobie poszedł, Eliza powzięła pewne postanowienie. Choć tata był najmądrzejszym, najprzystojniejszym mężczyzną na ziemi, mylił się co do lady Sary. Musieli się o coś pokłócić, jak bohaterowie romansów, które czytała razem ze swoimi kuzynkami, ale to nie znaczyło wcale, że lady Sara jest złym człowiekiem.

Choć tata mówił co innego, Eliza wiedziała, że lady Sara naprawdę ją lubi. Wcześniej czy później, obiecała sobie w duchu, znajdzie okazję, by z nią porozmawiać. Może uda jej się ich pogodzić, i tata jednak ożeni się z lady Sarą?

Eliza westchnęła ciężko, wiedząc, że prawdziwe życie wcale nie jest takie proste jak opisywane w książkach. Jednak nawet jeśli nie uda jej się doprowadzić do zgody, przynajmniej zdoła może porozmawiać z Sarą, powiedzieć jej, że bardzo za nią tęskni i dowiedzieć się, co było w tym liście.

Kiedy nazajutrz Jenny Miller stanęła w drzwiach porannego pokoju w Haddonfield House, nie okazywała strachu, widać było bowiem, że jest dziewczyną o twardym charakterze i niełatwo ją wystraszyć. Nie potrafiła jednak ukryć niepokoju, gdy dygnęła grzecznie przed lady Sarą.

Sara zakładała podświadomie, że lata spędzone w domu publicznym musiały odcisnąć na dziewczynie jakieś piętno, delikatna uroda Jenny była więc dla niej sporym zaskoczeniem. W prostej, granatowej sukience z wysokim kołnierzem wyglądała jak córka dyrektora szkoły, a nie nawrócona prostytutka.

- Usiądź - zaprosiła ją Sara. - Nie bój się, nie gryzę. Jenny posłusznie usiadła, uśmiechając się nieśmiało.

- Dziękuję pani.

- Rozumiem, że nie pracowałaś dotąd jako pokojówka - powiedziała Sara. - Jesteś pewna, że będzie ci się to podobać?

- O tak, proszę pani. Potrafię bardzo ładnie układać włosy, dobrze radzę sobie z ubraniami. Umieję dobrać ładną suknię i odpowiednią fryzurę. - Zaczerwieniła się nagle i spuściła głowę, zawstydzona. - Przepraszam. Widzę, że nie należy pani do takich osób, które potrzebują rad pokojówki, ale obiecuję, że będę dbać o pani suknie, pantofle, biżuterię, bieliznę i wszystko inne, będę robić zawsze to, co pani zechce.

Sara uśmiechnęła się, rozbawiona tą powodzią słów.

- Spokojnie, Jenny, chcę cię zatrudnić, a nie kupić. - Dopiero gdy twarz dziewczyny stężała na moment, Sara zrozumiała, że palnęła głupstwo. Przygryzła wargę, zakłopotana. -

Przepraszam, to było bezmyślne. Praktycznie rzecz ujmując, byłaś niewolnicą, prawda?

Jenny przyjrzała się jej ostrożnie.

- Książę opowiadał pani o mnie?

- Bardzo ogólnie. Powiedział tylko, że byłaś przetrzymywana w domu publicznym wbrew swojej woli.

Jenny splonęła szkarłatnym rumieńcem.

- Nie przeszkadza to pani?

- Przeszkadza mi tylko fakt, że doznałaś tylu cierpień - odparła cicho Sara. Wołała sobie nawet nie wyobrażać, przez co przeszła ta dziewczyna i przez co nadal przechodziły tysiące innych dziewczyn w Londynie. - Nie mogę nakazać ci, byś zapomniała o przeszłości, bo przeszłość to część nas samych, podobnie jak kości czy krew. Jeśli jednak chcesz dla mnie pracować, nie będę więcej poruszać tego tematu, chyba że ty sama to zrobisz. Nikt ze służby nie musi o tym wiedzieć.

- Teraz wiem, jak wygląda prawdziwa dama. - Jenny przełknęła ciężko, walcząc ze łzami, które napływały jej do oczu. - Jeśli pani mnie zechce, lady Saro, będę najlepszą pokojówką, jaką pani kiedykolwiek miała.

Dokonując szybkiej, instynktownej decyzji, Sara odparła:

- Z przyjemnością cię zatrudnię. Moja poprzednia pokojówka miała paskudne usposobienie, myślę jednak, że my doskonale będziemy się rozumieć. - Sara wstała z fotela. - Pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać i pracować.

- Cudownie! - Jenny zerwała się z miejsca, uradowana. Potem zatrzymała się jednak, spoglądając niepewnie na Sarę. - Lady Saro czy chce pani wiedzieć, jak poznałam księcia Wędrowca?

Tym razem to Sara się zarumieniła.

- Chyba nie powinnam się interesować tym, co robił przed ślubem.

- To nie było tak, jak pani myśli - oświadczyła Jenny z powagą. - Przyszedł do tego miejsca jako czyjś gość, ale od razu, jak go tylko zobaczyłam, wiedziałam, że wcale mu się to nie podoba. Nawet mnie nie dotknął, zadawał mi tylko pytania. Kiedy dowiedział się, że nie chcę tam być, pomógł mi uciec. To prawdziwy dżentelmen, tak jak pani jest prawdziwą damą.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś, Jenny. - Sara czuła ogromną ulgę i radość, nie tylko dlatego, że dziewczyna nie była kochanką Mikahla, ale również dlatego, że to właśnie on wyrwał ją z niewoli. Był lepszym człowiekiem, niż sam chciał przyznać. - Może i nie powinnam się tym interesować, ale cieszę się, że tak to właśnie wyglądało. No dobrze, gotowa do obchodu?

Jenny pokiwała energicznie głową i ruszyła śladem swej nowej pani, by obejrzeć cudowny świat, który wkrótce miał stać się jej domem.

Jenny nie mogła się już doczekać powrotu pana Slade'a, kiedy więc usłyszała zgrzyt klucza w zamku, wybiegła mu na spotkanie; tak bardzo chciała mu opowiedzieć o wizycie w domu lady Sary.

Slade przywitał ją uśmiechem.

- Nie muszę chyba pytać, jak ci poszło. Widzę po twojej twarzy, że lady Sara cię przyjęła.

Jenny skinęła radośnie głową.

- Jest śliczna i taka miła. W dodatku jest niewiele większa ode mnie, ma taką samą cerę i powiedziała, że większość jej rzeczy będzie na mnie dobrze wyglądać, jeśli nie mam nic przeciwko noszeniu jej używanych sukni. Jakbym mogła coś mieć! Slade roześmiał się wraz z nią.

- Musimy to uczcić. Nie mam szampana, ale możemy wznieść toast maderą.

Zaprowadził ją do biblioteki, rozlał do dwóch kieliszków po odrobinie wina, po czym wznosił toast, mówiąc z powagą:

- Za Jenny. Oby spełniły się wszystkie twoje marzenia.

Choć Slade ogromnie cieszył się sukcesem swej podopiecznej, ze smutkiem opróżniał swój kieliszek. Wędrowiec powiedział mu na początku, że Jenny marzy o tym, by stać się pokojówką jakiejś miłej damy, chodzić w jej sukniach, a w końcu wyjść za jakiegoś przystojnego lokaja. Teraz, kiedy spełniła się pierwsza część tych marzeń, tylko kwestią czasu była realizacja reszty. Jeśli taka śliczna dziewczyna jak Jenny postanowi wyjść za mąż, pomimo swej niechlubnej przeszłości będzie miała na pewno całą armię adoratorów. I będą to młodzi, przystojni mężczyźni, a nie nudni prawnicy starsi od niej prawie o dwadzieścia lat.

Jenny nie podniosła swego kieliszka do ust, kiedy on spełniał toast. Zrobiła to dopiero teraz.

- Za pana, panie Slade, za to, że pan mi to umożliwił.

Slade rad był z tego gestu, nie chciał jednak przyjmować niezasłużonych pochwał.

- Powinnaś raczej wznieść toast za księcia Wędrowca, bo to on cię uwolnił.

- Nie mam nic przeciwko picciu za niego i za jego damę, ale to pan spędził ze mną najwięcej czasu, pokazał mi pan, jak zachowują się prawdziwe damy, znalazł mi pan nauczycielkę, powierzył pieniądze i wciąż dodawał mi otuchy. - Nalała im obojgu jeszcze trochę wina. - To książę dał mi szansę na lepsze życie, ale pan pomógł mi tę szansę wykorzystać.

- Dziękuję ci, Jenny - odparł uroczyście. - To był dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Spełniwszy toast za Wędrowca i jego damę, Slade zapytał:

- Kiedy zaczniesz pracę u Jady Sary?

- Jutro. Przyśle po mnie powóz.

Tak szybko? Slade popijał maderę, rozmyślając o tym, jak ponury był jego dom, dopóki nie pojawiła się w nim Jenny. Wraz z jej odejściem, ogarnie go jeszcze większy mrok, bo po zgaśnięciu światła ciemność zawsze wydaje się głębsza niż po przednio.

- Będziesz teraz pewnie bardzo zajęta, twoja pani przygotowuje się przecież do ślubu.

- Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien mówić coś więcej, w końcu jednak oświadczył krótko: - Będzie mi ciebie brakować, Jenny.

Odstawiła kieliszek, jakby przypomniała sobie o jakiejś ważnej sprawie.

- Chciałabym odwdziaczyć się jakoś za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

- Nie ma takiej potrzeby. - Slade uśmiechnął się lekko. - Odkąd zaczęłaś ćwiczyć na mojej garderobie, moje ubrania nigdy nie wyglądały lepiej; wszystko jest czyściutkie, wyprasowane i równo ułożone.

- To nie wystarczy. Chcę zrobić coś więcej. Nie powinno się tylko brać i nie dawać nic w zamian. - Podeszła bliżej, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła doń całym ciałem. - Wiem, że od razu się panu spodobałam, więc by okazać panu moją wdzięczność, dziś w nocy będę dzielić z panem łóżko.

Zdumienie i palące pożądanie odebrały mu na moment mowę. Była taka piękna, taka kobieca, świeża i słodka niczym bukiet kwiatów. I chętna...

Tylko z wdzięczności. Pospieszenie odsunął ją od siebie, wiedział bowiem, że jeśli nie zrobi tego szybko, nie zapanuje nad sobą.

- Nie, Jenny - rzekł chrapliwie. - Lepiej tego nie róbmy.

- Nic się nie stanie, panie Slade - zapewniała, źle zrozumiałszy jego odmowę. - Nigdy pan o to nie pytał, ale doktor, do którego mnie pan wysłał, powiedział, że jestem zdrowa, więc niczym pan się ode mnie nie zarazi. Wiem też, co robić, żeby nie mieć dzieci, i jak zadowolić mężczyznę.

- Jenny - westchnął Slade, zdetonowany. - To nie jest konieczne. Dałaś mi już bardzo wiele, nawet nie wiesz jak wiele.

Jego podopieczna przechyliła lekko głowę.

- Pan chce być honorowy, prawda? Ale ja nie jestem niewinną dziewczynką, więc wcale pan mnie nie wykorzysta. Jedna noc z panem nic dla mnie nie znaczy.

Gdyby świadomie chciała go zranić, nie zrobiłaby tego lepiej. Slade dopiero po chwili

odzyskał właściwy sobie spokój i opanowanie.

- Wiem, że dla ciebie to nic nie znaczy. Dlatego właśnie nie powinniśmy tego robić.

Pocałował ją w czoło, niczym ojciec czy wujek.

- Życzę ci szczęścia, Jenny. Zaslługujesz na to. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia, zatrzymał się jednak, kiedy przemówiła.

- Czy... czy mogłabym pana odwiedzać, kiedy będę miała wolne? - spytała niepewnie.

- Nie będę mogła cieszyć się naprawdę, jeśli nie opowiem panu o wszystkim.

Rozsądniej byłoby odmówić, odparł jednak bez zastanowienia:

- Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

Potem wyszedł, myśląc, że przyjemnie będzie widywać się z Jenny, przynajmniej dopóki nie znajdzie swego przystojnego lokaja. Kiedy zacznie opowiadać o swoim kawalerze, trzeba będzie o niej zapomnieć. Na razie jednak jej wizyty dadzą mu coś, na co warto czekać.

Jeszcze długo po odejściu gospodarza Jenny wpatrywała się w drewniane panele drzwi, próbując zrozumieć, skąd bierze się w niej poczucie straty. Przed chwilą wydarzyło się coś ważnego, a ona nie rozumiała do końca co. Do tej pory wydawało jej się, że wie wszystko o męskim pożądaniu; wiedziała z całą pewnością, że mężczyźni nie musi zależeć na kobiecie, by jej pragnął.

Nigdy nie przypuszczała jednak, że mężczyzna może pragnąć kobiety i nie wziąć jej właśnie dlatego, że mu na niej zależy. Kryło się w tym coś bardzo delikatnego i bardzo cennego, choć ona nie do końca rozumiała co. Może kiedyś zrozumie.

Była to pierwsza wizyta Slade'a w Sulgrave i rezydencja wywarła na nim spore wrażenie.

- Bardzo ładne miejsce. Zrobiłeś lepszy interes, niż przypuszczałem.

Wprowadzając swego prawnika do gabinetu, Wędrowiec uśmiechnął się leniwie.

- Cieszę się, że ci się podoba, bo to ty znalazłeś tę posiadłość i wynegocjowałeś cenę. Jak ty to robisz? Nie ruszasz się z Londynu, a załatwiasz tyle spraw.

- Wystarczy wiedzieć, kogo zapytać - odparł Slade wymijająco, siadając w fotelu. - Chcesz robić tu jakiś poważny remont?

- Dopiero po ślubie. Jestem pewien, że Sara zechce wprowadzić tu jakieś zmiany. To już tylko tydzień. - Pielgrzym podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wciąż nie mógł się napatrzeć na angielskie wzgórza, często też wybierał się tam na spacerzy albo konne przejażdżki.

- Jak tam interesy Weldona?

Slade pozwolił sobie na lekki uśmiezek i założył okulary.

- Nie najlepiej. Tak jak przypuszczałem, zerwanie zaręczyn bardzo zaniepokoiło dyrekcję jego banku, dzięki czemu wykupiłem jego długi po bardzo przyzwoitej cenie.

- Dobrze. Powiadom go, że jeśli długi nie zostaną spłacone w ciągu trzydziestu dni, wniesiemy zabezpieczenie hipoteczne na jego posiadłości.

- Dlaczego nie zrobić tego od razu?

- Bo dzięki temu Weldon będzie się martwił o trzydzieści dni dłużej - odparł Wędrowiec rzeczowo.

Prawnik zmarszczył brwi. Choć wiedział, że Weldon zasługuje na surową karę, niepokoiło go dziwne, perwersyjne niemal upodobanie, z jakim jego pracodawca dokonywał dzieła zniszczenia. Slade zastanawiał się czasem, co wprowadziło księcia na drogę zemsty, podejrzewał jednak, że lepiej tego nie wiedzieć. Zaglądając ponownie do swoich notatek, powiedział:

Udziały Weldona w L&S Railway są teraz bardzo cenne. Na tyle cenne, że może pożyczyć za nie dość pieniędzy, by nas spłacić.

Tylko jeśli spółka utrzyma swoją wartość. - Wędrowiec odwrócił się ponownie do pokoju i opadł o ramę okna, wyraźnie zadowolony z wieści przedstawianych przez Slade'a. - Czy Weldon dowiedział się już, że Crawley sprzedał prawa do swojej ziemi?

- Nie, ale wkrótce się tego dowie.

A wtedy ponownie wniesiemy do sądu sprawę o wyższe odszkodowanie, do tego oskarżymy całą spółkę, a Weldona w szczególności, o podpalenie i napaść. - Wędrowiec zamyślił się na moment. - Trasa dotarła już prawie do ziemi Crawleya. Jeśli Weldon postanowi nie przerywać układania torów i wkroczy na ten teren pomimo sprawy w sądzie, wniesiesz wniosek o natychmiastowy nakaz wstrzymania prac.

Slade z aprobatą pokiwał głową.

- Więc nawet jeśli Weldon będzie gotów zaoferować przyzwoitą cenę, spółka zostanie tak uwikłana w sprawy sądowe, że inwestorzy zaczną od niej uciekać jak szczury z tonącego okrętu.

- Właśnie o to mi chodzi - przytaknął Wędrowiec. - Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wpędzić L&S Railway w poważne kłopoty finansowe. - Księżę zaczął przechadzać się po pokoju. - Jeszcze jedna sprawa: tytuł barona, o który starał się Weldon. Udało ci się zrobić coś w tej kwestii?

- Owszem, zająłem się tym. Kilku prominentnych członków rządu Jej Wysokości otrzymało listy z informacjami dotyczącymi kilku bardziej wiarygodnych występków Weldona. - Slade uśmiechnął się pod nosem. - Wątpię, czy opinia publiczna dowie się o

czymkolwiek, ale mogę się założyć, że nazwisko Weldon zniknie z listy kandydatów do tytułu barona i już nigdy się na niej nie pojawi. Jeśli spróbuje dowiedzieć się, co było tego przyczyną, nie usłyszy nic prócz wymijających odpowiedzi i obietnic bez pokrycia. Brytyjscy politycy są w tym bardzo dobrzy.

Wędrowiec roześmiał się głośno.

- Benjaminie, jesteś naprawdę niesamowity. Czy ja nie płacę ci za mało?

- Płacisz mi za dużo - odparł Slade surowo. - Już ci to mówiłem. Naprawdę nie masz szacunku dla pieniędzy.

Księżę uśmiechnął się szeroko.

- Ty masz go dość za nas obu. Powiedziałbym nawet, że za dużo. Nie nauczyłeś się jeszcze, że pieniądze są tylko narzędziem, środkiem do celu, a nie celem samym w sobie?

Slade natychmiast pomyślał o Jenny Miller. Przez lata różni mężczyźni kupowali jej ciało za pieniądze, na całym świecie jednak nie było dość pieniędzy, by kupić to, czego on od niej chciał. Głośno odpowiedział swemu pracodawcy:

- Pieniądze nie kupią szczęścia, ale z pewnością uczynią życie bardziej znośnym. Czy jest coś jeszcze, o czym chciałbyś dzisiaj ze mną porozmawiać?

Wędrowiec przyjrzał mu się uważnie, ciekaw, jaką to czułą strunę w duszy Slade'a poruszyły jego słowa, potem wzruszył ramionami. Slade, mistrz gromadzenia informacji i skutecznego działania z ukrycia, nigdy nie opowiadał mu o swym życiu osobistym. Może w ogóle go nie miał.

- Nie, to wszystko. Dziękuję, że zechciałeś tu dzisiaj przyjechać.

Slade skwitował podziękowania skinieniem głowy, zebrał swoje papiery i wyszedł. Wędrowiec usiadł przy biurku, ogromnie zadowolony z przebiegu wypadków. Sieć, którą tak starannie przygotowywał przez ostatnie tygodnie, zaczęła się powoli zaciskać. Żałował, że nie może być obecny przy tym, jak Weldon zda sobie sprawę z rozmiarów swojej porażki.

W biurku znajdowała się sekretna szuflada, w której Wędrowiec przechowywał prywatne notatki dotyczące Weldon. Teraz otworzył ją i wyciągnął jedną z kartek. Tuż po przyjeździe do Anglii sporządził listę osób i rzeczy, które Weldon cenił sobie najbardziej. Teraz nadszedł czas, by podsumować postępy, jakie uczynił od tej pory.

W kolumnie po lewej stronie kartki wypisane były następujące hasła: majątek, reputacja finansowa, kolej, reputacja osobista, pozycja towarzyska, lady Sara St. James, tytuł barona, córka, życie.

Wędrowiec podkreślił majątek, obok zaś dopisał krótką notkę: prywatny majątek odebrany, bankructwo spółki kolejowej zrujnuje go. Przy reputacji finansowej dopisał; z

każdym dniem coraz gorsza. Wędrowiec wiedział, że w kręgach finansowych już zaczęły krążyć plotki o nie najlepszej sytuacji Weldona, był też pewien, że kiedy dojdzie do upadku spółki kolejowej, nikt już nie zechce robić z nim interesów.

Obok reputacji osobistej postawił znak zapytania i dopisał: demaskatorskie artykuły w prasie. Jakiś ambitny dziennikarz szukający drogi do sławy z pewnością chemie podjąłby taki temat i ujawnił cały ogrom hipokryzji Weldona. Po czymś takim Weldon nie mógłby już pokazać się w towarzystwie, a to oznaczało wykreślenie punktów reputacja osobista i pozycja towarzyska.

Obok nazwiska Sary Wędrowiec narysował małą gwiazdkę, jak dotąd bowiem był to jego największy sukces. Wystarczyłoby zerwanie zaręczyn; ogłoszenie przed światem, że Sara wolała innego mężczyznę, było jeszcze lepsze; lecz fakt, że to właśnie on się z nią zenił, był triumfem największym. W ten sposób wkroczył od razu do angielskiego towarzystwa, na terytorium Weldona, któremu zupełnie nieoczekiwanie odebrał narzeczoną.

Przy haśle tytuł barona dopisał nieaktualne, wyglądało bowiem na to, że Slade bardzo skutecznie zajął się tą sprawą. Ciekawe, ile jeszcze czasu minie, nim Weldon zorientuje się, że nigdy nie otrzyma tytułu, na którym tak bardzo mu zależało. Co najmniej kilka tygodni, może dłużej; dobrze, ból straty poprzedzi udręka niepewności.

Zatrzymał się na dłużej przy haśle córka; podobnie jak w wypadku Sary, musiał odsunąć jakoś dziewczynkę od Weldona, nie czyniąc jej przy tym krzywdy. Kwestia ta nabrała dodatkowej wagi, odkąd Eliza zamieszkała w domu ojca. Wędrowiec przypuszczał, że po śmierci Weldona dziewczynka wróci pod opiekę wuja i ciotki, uczciwych i przyzwoitych ludzi. Nie musiała też martwić się o przyszłość, jako że matka zapisała jej całkiem spory majątek.

Najważniejsze pytanie brzmiało więc: jak wykorzystać teraz Elizę przeciwko jej własnemu ojcu? Dziewczynka zajmowała szczególne miejsce w sercu Weldona; być może była jedyną osobą, którą ten darzył prawdziwym, pozbawionym egoizmu uczuciem. Wędrowiec zamyślił się głęboko. Po chwili na jego twarzy pojawił się drapieżny, niebezpieczny uśmiech. Wiedział już, co robić.

Weldon odpowiedzialny był za śmierć i zhańbienie wielu młodych kobiet i dziewcząt; jak zareagowałby na wieść, że jego własna córka została porwana i umieszczona w burdelu? Przekopałby cały Londyn, by ją znaleźć, coraz bardziej zdesperowany, wiedziałby bowiem doskonale, jakich cierpień dozna Eliza z rąk podobnych mu łajdaków.

Oczywiście, dziewczynka nie zostałaby odesłana do domu publicznego; chodziło tylko o to, by Weldon wierzył, że tak się właśnie stało.

Cała sprawa przedstawiała się bardzo prosto, Sara i Eliza były przyjaciółkami, wystarczyło więc zwabić dziewczynkę do domu Haddonfieldów i wywieźć ją na wieś na kilka dni, informując jednocześnie Weldon, że jego córka została porwana. Sara i Eliza spędziłyby razem miłe wakacje, a w tym czasie Weldon szalałby z rozpacz i wściekłości. Doskonale. Oczywiście będzie musiał przeprowadzić to wszystko z największą ostrożnością, bo Sara na pewno nie za akceptowałaby podobnego planu, nie mogła więc nic o nim wiedzieć. Przy słowie córka dopisał: *porwanie/burdel*.

Zostało więc tylko życie. Wędrowiec przygryzł koniec pióra, ponownie popadając w zamyślenie. Weldon obszedł się z nim w okrutny i bezwzględny sposób, zemsta musi więc być równie okrutna. Wędrowiec pragnął sycić się strachem swego wroga; chciał sam zadać śmiertelny cios, widzieć krew wypływającą z jego ciała, gdyż nic innego nie mogło zrównoważyć krzywd z przeszłości. Żeniąc się Sarą zakładał jednak, że pozostanie w Anglii, musiał więc dokonać egzekucji tak, by nikt go nie wytropił.

Wciąż zastanawiał się nad tym, w jaki sposób zadać śmierć Weldonowi, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do gabinetu wszedł Ross. Wędrowiec szybko schował kartkę do sekretnej szuflady i wstał, by przywitać przyjaciela.

- Dzień dobry. Co za niespodzianka.

W oczach Rossa pojawił się błysk zaciekawienia, kiedy księżę ukrył przed nim kartkę, był jednak zbyt dobrze wychowany, by powiedzieć coś na ten temat. Wzdychając ciężko, położył na biurku gruby plik dokumentów, które przyniósł ze sobą.

- Przejrzałem te materiały dotyczące Weldon. Na miłość boską, Mikahl, dlaczego nie zanieś tego na policję i nie powstrzymasz go już teraz? Nie wszystkie dowody są wiążące, jest ich jednak dość, by natychmiast wsadzić łajdaka za kratki i zawieść pod szubienicę.

- Mam powody, by jeszcze trochę z tym poczekać. - Wędrowiec ponownie usiadł za biurkiem i gestem zaprosił przyjaciela, by także zajął miejsce w fotelu. - Obiecuję ci jednak, że wkrótce Weldon zapłaci za swoje grzechy.

- Im szybciej, tym lepiej. - Ross zacisnął usta w gniewnym grymasie. - Słyszałem, że obmawia was przed całym towarzystwem.

- Próbuje - sprostował Wędrowiec. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni byliśmy na kilku przyjęciach, i choć początkowo nie obeszło się bez szeptów i ciekawskich spojrzeń, w końcu Sara podbiła wszystkich. - Uśmiechnął się z dumą. - Jest wspaniała. Nikt, kto porozmawia z nią choć przez chwilę, nie uwierzy, że mogła zrobić coś godnego potępienia. W rezultacie wszystkie te oszczerstwa uderzają z powrotem w Weldon. Wkrótce przekona się, że ma znacznie mniej przyjaciół, niż przypuszczał.

Ross uspokoił się nieco.

- Wierzę, że Sara radzi sobie z plotkami, ale jak ludzie traktują ciebie?

- Jak zwykle, z zaciekawieniem, niektórzy z dezaprobatą. Ponieważ jednak wiedzą, że ożeniwszy się z Sarą będę przebywał wśród nich przynajmniej przez jakiś czas, większość obdarza mnie kredytem zaufania. - Wędrowiec uśmiechnął się lekko. - To zabawne, kiedy ludzie traktują cię z taką rewerencją.

Ross roześmiał się. Czasami trudno było mu rozpoznać Kafiristańczyka w tym cywilizowanym, eleganckim dżentelmenie, który siedział naprzeciwko - prócz chwil, kiedy rozmawiali o Weldonie. Wtedy oczy Wędrowca stawały się zimne i bezlitosne, niczym oczy jastrzębia, którego imię przybrał przed laty. Ross był przekonany, że im szybciej książkę rozprawi się z Weldonem, tym lepiej dla wszystkich.

Wydarzyło się coś nieoczekiwanego, sir Charles. - Walter Baines niepewnie przewracał trzymane w dłoni kartki, wiedząc, że jego pracodawca nie będzie zadowolony z tego, co miał mu do przekazania. - Bank sprzedał pańskie długi po obniżonej cenie, a ich nowy właściciel domaga się spłaty w ciągu trzydziestu dni.

Weldon otworzył usta ze zdumienia i przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Dlaczego mieliby to zrobić, do diabła? - wybuchnął wreszcie. - Od lat prowadzę z nimi interesy i nigdy nie mieli do mnie zastrzeżeń.

- Hmm... no tak, ale płacił pan tylko odsetki od długów, główna suma od dłuższego czasu pozostawała taka sama. Bank wierzył, że za jakiś czas będzie pan w stanie wyrównać debet, ze względu na pana reputację biznesową i pewne... hm, okoliczności innego rodzaju. Jednak w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy zadłużenie wzrosło do sporych rozmiarów. Do tego... - Baines zakasłał niepewnie. - Urzędnik z banku powiedział mi w tajemnicy, że dyrektorzy mocno się zaniepokoiли, kiedy zerwał pan zaręczyny. Wiadomo powszechnie, że lady Sara dysponuje ogromnym majątkiem, ale teraz... - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Oczywiście to nonsens, ale sam pan wie, jacy są bankierzy.

Wyrzuciwszy z siebie wiązaną plugawych przekleństw, Weldon zapytał:

- Ile pieniędzy mamy w rezerwie?

- Prócz niewielkiej sumy na utrzymanie domu i codzienne wydatki nic. Uplłynił pan wszystko, by zdekapitalizować L&S Railway.

Weldon zmarszczył brwi.

- Choć bardzo mi się to nie podoba, być może będę musiał zaciągnąć nową potyczkę, oddając w zastaw moje udziały w spółce. Znajdź kogoś, kto zechce mi pożyczyć odpowiednią

kwotę na przyzwoitych warunkach. - Zamyślił się na moment. - A przy okazji, kto wykupił te długi?

Baines pogrzebał w swoich dokumentach.

- To dziwna sprawa. Transakcji dokonał radca prawny działający z polecenia innego radcy. Nie udało mi się jeszcze dowiedzieć, kto jest ich zwierzchnikiem.

- Zrób to jak najszybciej - polecił Weldon. - Dowiedz się także, czy ten nowy wierzyciel zechce z nami pertraktować i przyjmie kwotę na tyle dużą, by zarobić na całej operacji, ale mniejszą od nominalnej wartości długu.

- Doskonale, sir. - Baines uklonił się nisko i wyszedł.

Jeszcze przez dłuższą chwilę po wyjściu księgowego Weldon siedział w bezruchu, marszcząc brwi. Co za przekłety pech. W ciągu ostatnich kilku lat zainwestował duże pieniądze w politykę, zarówno dla dobra interesów, jak i po to, by zapewnić sobie tytuł barona. W rezultacie przez ostatnie sześć miesięcy stapał po bardzo cienkim lodzie; gdyby nie dochody z nielegalnych interesów, już dawno by zbankrutował.

Sytuacja finansowa była jednym z ważniejszych - jeśli nie najważniejszym - powodów, dla których zdecydował się powtórnie ożenić. Posag lady Sary z pewnością postawiłby go z powrotem na nogi. Kiedy jednak przyłapał ją na rozpuście, był zbyt wściekły, by myśleć o konsekwencjach zerwania zaręczyn. Boże, powinien był poślubić tę ładacznicę! Nie tylko miałby jej pieniądze, ale i mógłby ją od razu ukarać za tę ohydną zdradę. A gdyby groziła mu, że odejdzie i splugawi jego imię - cóż, stracił już jedną żonę w tragicznym wypadku, a takie historie lubią się powtarzać.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie mógłby jeszcze naprawić tej sytuacji, uznał jednak z przygnębieniem, że jest to niemożliwe. Ani Sara, ani jej kochanek nie wybaczyliby rzeczy, które powiedział tamtego wieczoru. To zabawne, że jedynym bogatym człowiekiem, który jeszcze do niedawna mógłby mu pomóc w tej trudnej sytuacji, był Wędrowiec. Ten łajdak miał chyba całą górę pieniędzy i wcale się z nimi nie liczył. Jednak po tym, co się stało, Weldon nie mógł prosić go o pożyczkę.

Szkoda, że po śmierci Jane tak bardzo pogorszyły się jego stosunki z rodziną pierwszej żony; jego teść także miał sporo pieniędzy, ale nie zechciałby mu pomóc. Weldon wiedział to na pewno, kiedy bowiem wspominał o pożyczce rok temu, teść bardzo źle to przyjął. Ta suka musiała wspomnieć mu przed śmiercią, że nie jest szczęśliwa w małżeństwie.

Może powinien sprzedać burdele? Po zastanowieniu uznał, że nie jest to dobry pomysł. Przynosiły mu całkiem niezły, regularny dochód, a przy sprzedaży cena byłaby stosunkowo niska. Poza tym nie był to interes, który można by łatwo sprzedać.

Diuk Haddonfield był z pewnością wystarczająco bogaty, Weldon podejrzewał jednak, że już wykorzystał to źródło do maksimum. Jeśli poprosi go o jeszcze jedną pożyczkę, Haddonfield może wpaść we wściekłość i wysłać go do diabła. Niemniej jednak, jeśli przyjdzie do najgorszego, będzie musiał spróbować.

Wreszcie Weldon otrząsnął się z tych rozmyślań i wyszedł z gabinetu. Sytuacja była trudna, ale nie katastrofalna; wkrótce jakoś sobie z nią poradzi. Na razie powinien zacząć się rozglądać za nową kandydatką na żonę. I podziękować Bogu za doskonałe notowania akcji L&S Railway.

Sara wróciła do Haddonfield na tydzień przed ceremonią, ogromnie zadowolona, że może wreszcie odpocząć. W ciągu dwóch ostatnich tygodni niemal codziennie bywała ze swym narzeczonym na różnego rodzaju przyjęciach i oficjalnych spotkaniach. Choć wszędzie traktowano ich z należytą uprzejmością, Sara świadoma była szeptów i ciekawskich spojrzeń, wiedziała, że ludzie przyglądają się im obojgu z ogromną fascynacją. Nie trudzili się jednak na próżno; skandal został zażegnany, a nazwisko St. James nadal cieszyło się szacunkiem w towarzystwie.

Ze względu na okoliczności towarzyszące zerwaniu zaręczyn Sara postanowiła wziąć ślub w kościele przy swym rodzinnym domu, a nie w Londynie. Po tygodniu gorączkowych przygotowań nadszedł wreszcie dzień zaślubin, nadszedł zdaniem Sary za szybko i za wolno jednocześnie. Później pamiętała własny ślub jako zbiór obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie. Zachowywała się zapewne całkiem normalnie, nikt bowiem nie wspominał później, by było inaczej, głównie jednak dzień ów jawił jej się jako biała plama, przerywana od czasu do czasu chwilami pełnej świadomości.

Zbudziła ją ciotka Marguerite, która przyniosła jej do pokoju tacę z herbatą i tostami. Kiedy Sara wlewała mleko do filiżanki, ciotka zaczęła mówić beznamiętnym, rzeczowym tonem:

- Ponieważ Marii nie ma już wśród nas, to chyba ja powinnam spełnić jej matczyne obowiązki. Nie jesteś już dzieckiem, obie jesteśmy rozsądne i dobrze poinformowane, jednak mimo to wśród młodych dam panuje zdumiewająca ignorancja w kwestii tego, co dzieje się w łożu małżeńskim. - Księżna przechyliła głowę na bok, - Czy powinnam ci to wytłumaczyć? Ostrzegam cię, że taki opis jest dość absurdalny i znacznie mniej atrakcyjny od rzeczywistości. A może uważasz, że posiadasz już wiedzę ogólną i chciałabyś poznać jakieś szczegóły? Nie musisz się mnie wstydzić.

Sara zakrztusiła się herbatą i dopiero po dłuższej chwili odzyskała oddech.

- To nie jest konieczne, ciociu.

Księżna spojrzała na czerwoną twarz siostrzenicy, po czym rzekła z wyraźną aprobatą:

- Rozumiem. Bardzo dobrze, moja droga.

Wiedząc, że ciotka rozumie ją aż za dobrze, Sara pospiesznie dopiła herbatę i zadzwoniła po kąpiel.

Następne wspomnienie dotyczyło Jenny Miller. Sara odwołała zamówienie na rozłożystą, bogato zdobioną suknie, którą miała założyć na ślub z Charlesem, i zdecydowała

się na znacznie prostszą suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Wybierając ten strój, pomyślała z ironią, że nie ma prawa nosić czystej bieli.

Jenny wystroiła swą panią z ogromną wprawą, zadbała, by każda fałdka, każdy fragment delikatnej koronki, znajdowały się dokładnie na swoim miejscu. Na koniec, kiedy umocowała już stroik z jedwabnych kwiatów i welon, sięgający Sarze niemal do pięt, Jenny rozplakała się bezwstydnie.

- Jest pani najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziałam - chlipała. - I będzie pani szczęśliwa. Wiem to.

Sara niestety nie mogła znaleźć w sobie równie wielkich pokładów optymizmu.

Kiedy jechali powozem do kościoła, ojciec był zrezygnowany, lecz nie wydawał się ani zadowolony, ani zgorszony. Kiedy odprowadził ją do ołtarza, wyszeptał jej do ucha:

- Wszyscy sami kształtujemy swój los. Życzę ci szczęścia, moje dziecko, i żałuję, że nie ma tu z nami twojej matki.

Gdyby Sara wyszła za mąż za Charlesa w modnym londyńskim kościele, tak jak chciał tego jej poprzedni narzeczony, towarzyszyłoby jej tuzin druzhen wybranych zarówno z jej, jak i z jego rodziny. Ta ceremonia urządzona była jednak według jej upodobań, a nie według tego, czego życzyłby sobie spragniony rozgłosu bywalec towarzystwa, odbywała się więc w przystrojonym kwiatami parafialnym kościółku, a jedyną druhną Sary była ciotka Marguerite.

Na ślub przybyli głównie mieszkańcy Haddonfield, służący z rodzinami oraz najbliżsi krewni i przyjaciele St. Jamesów. Wędrowiec zaprosił tylko dwóch gości, cichego, londyńskiego biznesmena i jakiegoś Azjatę o groźnym obliczu, który usiadł w tylnym rzędzie i przyglądał się uroczystości z umiarkowanym zaciekawieniem, niczym Europejczyk przybyły na uroczystości plemienne Pigmejów.

Zaczął się wreszcie uroczysty marsz do ołtarza. Na przedzie kroczyła Marguerite, a jej książęca powaga i majestat dodawały ceremonii splendoru. Potem przyszła kolej na Sarę. Dziękowała w duchu opatrności, że może wspierać się o ramię ojca, kiedy bowiem na jej osobie skupiała się uwaga innych ludzi, zawsze mocniej odczuwała swą ułomność. Każdy obraz i dźwięk wydawał się nienaturalnie wzmocniony, nawet szelest trenu ocierającego się o średniowieczną, kamienną posadzkę kościoła.

Kiedy kroczyła powoli w rytm uroczystej, organowej muzyki, rozpoznawała poszczególne twarze w tłumie gości. Tutaj stała żona rządcy, kobieta w jej wieku, matka pięciorga dzieci; tam główny parobek ze stajni diuka, ten sam, który jako pierwszy znalazł Sarę po wypadku i płacząc jak bóbr, zaniósł jej połamane ciało do domu. Pośrodku, obok przyjaciela księcia z Londynu, stała Jenny Miller. Sara widziała całe mnóstwo innych twarzy,

wszystkie rozpromienione i życzliwe. Niektórzy spośród gości na pewno słyszeli plotki na jej temat, jednak traktowali córkę diuka jak kogoś bliskiego i wierzyli w nią.

Dochodziło południe, wewnątrz kościoła wypełnione było światłem. Choć blask słońca rozgrzał nawet stare kamienie i kolorowe witraże w wysokich oknach, Sara niemal drżała z zimna, kurczowo ściskając bukiet w zdrętwiałych palcach.

Przeniosła spojrzenie na mężczyzn czekających przy ołtarzu. Obaj ubrani byli na czarno, wysocy, barczyści i potężni. Sara pomyślała, że w całej Anglii nie można chyba znaleźć dwóch równie przystojnych dżentelmenów. Ross był drużbą. Domyślał się zapewne, jak bardzo jest zdenerwowana, bo nie bacząc na powagę chwili, puścił do niej oko.

Sara patrzyła jednak przede wszystkim na swego przyszłego męża; Mikahl, śniady, egzotyczny i tajemniczy cudzoziemiec, którego miała poślubić. Nie widziała go od powrotu do Haddonfield.

Ojciec zostawił ją przy boku pana młodego i wycofał się. Sara zawahała się przez moment. Ile mogą znaczyć przysięgi wiecznej miłości i wierności dla człowieka, który nie był chrześcijaninem? Zapewne niewiele. Chciała poślubić Mikahla, chciała tego bardziej niż czegokolwiek w życiu, jednak gdyby tylko trzymała się nieco pewniej na nogach, odwróciłaby się i uciekła z kościoła.

Potem podniosła spojrzenie i wpatrzyła się w jego zielone oczy; zielone jak oczy kota, jak szmaragdy, jak wiosenna trawa, jak bezdenne głębie morza, w której można pograć się na wieki. Kiedy przed wieloma tygodniami posadził ją na grzbiecie konia, wyszeptał: „Zaufaj mi”. Teraz jego niesamowite oczy mówiły to samo.

Zaufaj mi.

Wyciągnęła rękę, a on ujął ją w swoją dłoń, silną, emanującą ciepłem, które przenikało do szpiku jej zziębniętych kości. Nie zważając na miejscowe obyczaje, uniósł jej dłoń i ucałował ją z ogromną czułością i wiarą.

Uśmiechnęła się do niego, podniesiona na duchu, a kiedy on także odpowiedział jej uśmiechem, zapomniała o nękających ją obawach. Potem oboje odwrócili się do kapłana, by rozpocząć właściwą ceremonię.

Pamiętała poszczególne frazy i słowa:

Czy ty, Mikahle, bierzesz sobie tę kobietę... głęboki baryton odpowiadający Tak. Czy ty, Saro Margaret Mary, bierzesz sobie tego oto mężczyznę...

Ze zdumieniem skonstatowała, że jej głos brzmi równie pewnie i stanowczo jak głos Mikahla.

Niech ta obrączka będzie znakiem...

Wędrowiec przygotował dla nich wyjątkowe obrączki, wykonane na jego indywidualne zamówienie. Złota obręcz składała się z subtelnych, przeplatających się ze sobą płaszczyzn; zachodni symbol oddany w orientalnym stylu.

Najlepiej jednak pamiętała uścisk jego dłoni i pocałunek, którym obdarzył ją na koniec uroczystości, szepcząc:

- Słodka Saro, słodka żono.

Przytuliła się do niego na moment, wdzięczna za emanującą od niego siłę i czułą troskliwość.

Potem uroczystość dobiegła końca, a ona została Sarą Khanami, związała się na całe życie z jednym mężczyzną. Kolejne obrazy z jej pamięci: wyjście na zewnątrz kościoła, życzenia składane przez całą rzeszę gości, ciotka Marguerite ocierająca łzy wzruszenia, serdeczny, mocny uścisk Rossa, będący zarówno wyrazem najlepszych życzeń, jak i obietnicą wsparcia, gdyby takiego potrzebowała.

Później zjedli uroczysty obiad w towarzystwie rodziny i przyjaciół, podczas gdy na zewnątrz wyprawiono zabawę dla wszystkich mieszkańców wsi. Mikahl nie odstępował jej ani na krok, towarzyszył jej podczas wszystkich etapów przyjęcia i pozwolił jej się oddalić dopiero wtedy, gdy poszła przebrać się do podróży. Wreszcie oboje wsiedli do powozu i żegnani rubasznymi żartami i wybuchami śmiechu, wyjechali z Haddonfield.

Sara powróciła nagle do rzeczywistości, jakby ocknęła się z głębokiego snu. Wiedziała, że teraz nadszedł czas, by skonsumować małżeństwo, a ta świadomość napelniała ją niepokojem.

- Cieszę się, że wzięliśmy ślub w Haddonfield. Wydaje się bardziej rzeczywisty niż wystawna, londyńska uroczystość. Ale cieszę się też, że mamy to już za sobą.

- Rzeczywiście, ślub to dość męczące przedsięwzięcie - zgodził się z nią Wędrowiec. - Wyobrażasz sobie, przez co przechodzi muzułmanin, który może mieć nawet cztery żony? Pomyśl tylko, że musiałabyś wziąć udział jeszcze w trzech ślubach!

- Listy gości i umowy małżeńskie byłyby nieprawdopodobnie skomplikowane - odparła, uśmiechając się lekko. - Może właśnie dlatego Kościół chrześcijański zezwala tylko na związki monogamiczne?

Wędrowiec patrzył na nią w milczeniu, wyczuwając jej zdenerwowanie i niepewność. Sara wciąż go zdumiewała. Była niesamowicie piękna, kiedy kroczyła ku niemu środkiem kościoła, kremowozłota Sybilla z duszą w oczach.

Wiedział jednak, że była wtedy przerażona. Bała się nie tyle jego, czy też instytucji małżeństwa jako takiej, lecz wielkiej niewiadomej, którą sobą reprezentował. Wcale jej za to

nie winił; nie uważał się za osobę godną podziwu i ślepej miłości. A jednak siedziała tu przy nim, a sama jej obecność była aktem wiary.

Co skłoniło Sarę, by kusić los, by podjąć ryzyko i wyjść za niego? To pytanie wciąż go fascynowało, bo choć wiedział, że budzi w niej pożądanie, wiedział także, że to nie mogło być jedyną czy decydującą przyczyną.

Sara spuściła wzrok, kiedy przez dłuższą chwilę wpatrywał się intensywnie w jej twarz. Skubiąc nerwowo rękawiczki, spytała:

- Dokąd jedziemy?

- Ciekaw byłem, czy kiedykolwiek o to zapytasz - odparł z rozbawieniem. - Do Sulgrave, chyba że masz jakieś inne preferencje.

- Myślałeś już o jakiejś konkretnej gospodzie, w której moglibyśmy zatrzymać się na noc? - spytała. - „Czarny Koń” w Oksfordzie to bardzo przyjemne miejsce, a przy tym położone w odpowiedniej odległości od Londynu.

- To nie będzie konieczne - pokręcił głową Wędrowiec. - Będzie my w Sulgrave jeszcze dziś wieczorem.

- Niemożliwe, przecież mamy jeszcze przed sobą szmat drogi - zdumiała się Sara.

- Owszem, to jest możliwe - odpowiedział jej z szelmowskim uśmiechem. - Mam ci wyjaśnić, czy wolisz, bym zrobił ci niespodziankę?

- Wolę niespodziankę.

Głos Sary był spokojny, lecz nerwowe gesty, szarpanie rękawiczek czy nieustanne okręcanie obrączki na palcu świadczyły o tym jak bardzo jest przejęta. Uznając, że czas już skończyć ze sztywnymi manierami, Wędrowiec wziął ją nagle w ramiona i posadził sobie na kolanach.

- Czy tak nie jest znacznie wygodniej?

Zaskoczona, Sara nie mogła przez moment złapać oddechu, potem jednak odpowiedziała spokojnie:

- Dobrze, że Jenny i Kuram jadą z tyłu. Włożyli sporo pracy w przygotowanie naszych ubrań i na pewno nie byliby zachwyceni tym, co teraz z nimi robimy.

Choć siła się na swobodny, wesoły ton, wciąż wyczuwał w niej napięcie. Poważniejąc nagle, powiedział cicho:

- Saro, kiedy mówiłem ci, że dam ci tyle czasu, ile zechcesz, nie miałem na myśli tylko tych trzech tygodni przed ślubem.

Skonfundowana, spojrzała mu w oczy:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Starożytni Hindusi mieli bardzo ciekawy zwyczaj - odparł, na pozór odbiegając od tematu. - Często bardzo młode dziewczyny wychodziły za mężczyzn znacznie starszych od siebie. Ponieważ brutalne traktowanie ze strony zupełnie im obcego człowieka mogło na zawsze zniechęcić je do małżeńskich obowiązków, początkowo młoda para żyła w czystości. Do pierwszego pocałunku dochodziło nie wcześniej niż dziesięć dni po ślubie, potem stopniowo pogłębiano tę zażyłość. Małżeństwo było konsumowane dopiero wtedy, gdy mężczyzna był pewien, że jego oblubienica jest do tego gotowa.

W brązowych oczach Sary pojawiło się nagle rozbawienie.

- Istnieje takie angielskie powiedzenie o skradzionych koniach i zaryglowanych drzwiach stajni Czy nie jest już trochę za późno na zastosowanie tego zwyczaju?

Wędrowiec uśmiechnął się, zadowolony, że Sara odzyskuje poczucie humoru.

- Chyba jednak nie. Posunąłem się za daleko, Saro, chciałem zbyt wiele naraz. Od tej pory nie zrobię nic, dopóki nie będziesz gotowa.

Sara zmarszczyła brwi.

- Ale czy to nie będzie... - przez chwilę szukała właściwego określenia. - Za trudne dla ciebie?

Wędrowiec znów nie mógł się nadziwić wielkoduszności swej żony. Choć wcale nie czuła się komfortowo w tej sytuacji, bardziej dbała o niego niż o siebie samą.

Mam nadzieję, że będzie to raczej kwestia dni niż miesięcy - przyznał. - Ale mamy przed sobą długą przyszłość, więc nie musimy się spieszyć. Warto poczekać, by twoje ciało i umysł pozostawały w harmonii. O mnie się nie martw; oczekiwanie także będzie sprawiać mi ogromną przyjemność.

Sara uśmiechnęła się doń z wdzięcznością.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem - powiedziała cicho. - Dziękuję ci, Mikahl.

Potem położyła głowę na jego ramieniu i spokojna już, przytuliła się do niego. Jedną ręką objęła go w pasie, drugą wsunęła pod surdut i oparła na jego piersi. Kiedy popołudniowe słońce rozpałiło złotem jej gęste włosy, Wędrowiec czuł, jak napięcie opuszcza powoli jej ciało.

To samo napięcie przeniosło się na niego, gdyż Sara słusznie zastanawiała się, czy będzie w stanie zapanować nad swym pożądaniem. Kiedy wtuliła się w niego, przywarła doń swymi cudownymi krągłościami, pomyślał ponuro, że utrzymanie owego dobrowolnego celibatu wcale nie będzie łatwe. Być może jednak po raz pierwszy, odkąd się poznali, Sara była w jego towarzystwie całkowicie zrelaksowana; ta świadomość wynagradzała mu zawiązką wszelkie tymczasowe trudności.

Pogłaskał ją delikatnie po karku, ona zaś odpowiedziała miękkim, głębokim dźwiękiem przypominającym mruczenie kota. Jego żona. Zdumiewająca myśl; jeszcze kilka tygodni temu nawet nie przyszłoby mu do głowy, że może się ożenić. W jakim momencie perspektywa małżeństwa przestała być nieprawdopodobna, a stała się nieunikniona? Zapewne tego wieczoru, kiedy skompromitował Sarę, jednak w żaden sposób nie potrafił opisać, jak i dlaczego tak nagle zmieniło się jego podejście. W gruncie rzeczy nie miało to jednak znaczenia, ważne, że był zadowolony z rezultatu.

Droga, którą podróżowali, miała równą, gładką nawierzchnię, a łagodne kołysanie powozu uspiło jego żonę. Spała jak dziecko, wtulona w niego, ufna i spokojna. Wdychając delikatny, pomarańczowy zapach jej włosów, Wędrowiec zrozumiał, że doświadcza łagodnego spokoju, różnego od wszelkich stanów duszy, których zaznał do tej pory. Zapadając w drzemkę, zastanawiał się, czego jeszcze nauczy się od swej żony.

Czy ta lokomotywa nie była wspianiała, lady Saro? - mówiła Jenny, rozsznurowując gorset swej pani. - Tylko księżę mógł wpaść na taki pomysł i wynająć dla nas wagon!

- Rzeczywiście, to był cudowny pomysł - zgodziła się z nią Sara, oddychając z ulgą, kiedy mogła wreszcie pozbyć się gorsetu. - Rozumiem teraz, dlaczego kolej staje się taka popularna. W ten sposób podróżuje się nie tylko znacznie szybciej, ale i wygodniej niż zwykłym powozem.

Jej sprytny mąż nie tylko wynajął dla nich cały wagon, ale i zamówił elegancką kolację, którą podano im w czasie podróży. W Londynie czekały już na nich dwie karety, którymi nowożeńcy i ich służba pokonali ostatni fragment drogi. W Sulgrave, kiedy Sara zaczęła wysiadać z powozu, Mikahl porwał ją na ręce i wniósł, roześmianą, do wnętrza ich nowego domu.

Sara usiadła, ściągnęła jedwabne pończochy i przez chwilę poruszała palcami u nóg.

- Podoba ci się twój pokój, Jenny? Nie widziałam pomieszczeń dla służby, kiedy byłam tu ostatnim razem.

- Zdążyłam tylko zostawić tam swoje rzeczy, ale pokój wyglądał bardzo przyjemnie. Podoba mi się ten dom. - Jenny zaczęła wyciągać szpilki z fryzury swej pani.

- Mnie też. Sulgrave zostało zaprojektowane dla wygody mieszkańców, a nie na pokaz. Na przykład tutaj, w pokojach pana domu - Sara objęła gestem otaczające ich pomieszczenia, - Jestem pewna, że to kobieta wpadła na pomysł, by umieścić łazienkę pomiędzy garderobami.

- Ojej, przypomniałam sobie, że powinnam sprawdzić wodę do pani kąpieli! - wykrzyknęła Jenny. - Zabiorę też Futrzaka. Na pewno pani nie chce, żeby płatał się tu dzisiaj

pod nogami.

Sara zachichotała, ujrzawszy oburzoną minę kota, którego Jenny wyniosła na korytarz. Był to ów przyjacielski kocur, którego Sara poznała podczas swej pierwszej wizyty w Sulgrave. Mikahl twierdził, że zwierzak wprowadził się do domu tego samego dnia, co i on. Oficjalnie już nazwany imieniem Futrzak, stał się pełnoprawnym lokatorem domu.

Pozostawiona wreszcie samej sobie, Sara zaczęła powoli rozczesywać włosy. Mikahl postąpił bardzo rozsądnie i jednocześnie bardzo uprzejmie, pozwalając, by to ona zdecydowała, kiedy chce skonstruować małżeństwo. Gdyby tego nie zrobił, byłaby teraz spięta niepewna, przestraszona perspektywą nadchodzącej nocy. Tymczasem dzięki owemu posunięciu, czuła się spokojna i zrelaksowana, chciała zostać z Mikahlem sam na sam, nie obawiając się przy tym, że nie sprostą jego oczekiwaniom.

Odprawiwszy Jenny na noc, Sara wzięła kąpiel, założyła haftowaną koszulę nocną i dopasowany do niej peniuar. Delikatny muślin był równie lekki jak jedwab, a jego zmysłowy dotyk pobudzał jej wrażliwą skórę. Nawet ciężar włosów opadających na plecy stymulował jej zmysły. Wędrowiec taktownie zniknął, kiedy weszli już do domu, teraz jednak Sara zaczynała za nim tęsknić.

Zbyt niespokojna, by usiąść czy się położyć, chodziła po sypialni, przestronnym pokoju, z którego za dnia roztaczał się wspaniały widok na wzgórza Downs. Teraz ciemności nocy rozpraszał łagodny, romantyczny blask trzech lampek. Choć Mikahl mieszkał tu zaledwie od kilku tygodni, wystrój pokoju odzwierciedlał wyraźnie jego upodobania. Na jednej ze ścian wisiał orientalny obraz przedstawiający zaśnieżone, piękne w swej grozie góry, podłogę zaś zakrywał najwspanialszy chiński dywan, jaki Sara widziała w swym życiu, barwny i tak gruby, że sprężynował pod stopami niczym dobrze utrzymany, gęsty trawnik.

Łóżko jednak było angielskie, wykonane z drewna orzechowego, solidne i przestronne jednocześnie. Był to naprawdę ładny mebel; Sara z uznaniem dotykała wypolerowanych, grubych drążków, potem spojrzała na niebieską kołdrę, pod którą kryły się delikatne, świeżo wykrochmalone prześcieradła.

Nagle dobry nastrój Sary uleciał, zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Zacisnęła palce na krawędzi łóżka, przypominając sobie wyraźnie ową chwilę w ogrodzie, kiedy zaufanie i przyjemność zamieniły się w ból i gniew. Czuła się zdradzona, przytłoczona jego siłą...

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się. To był niefortunny wypadek, spowodowany jej niezdecydowaniem i jego pożądaniem, oboje w równej mierze byli winni temu, co się stało. Nie chciała nigdy, a tej nocy szczególnie, wracać do tego przykrego wspomnienia.

Na stoliku ustawionym pomiędzy oknami znajdowała się mała, jadeitowa figurka konia i chińska porcelanowa waza z karmazynowymi różami. Sara obawiała się, że Sulgrave będzie surowe i zimne, ponieważ nie dokonywano w nim jeszcze żadnych remontów, Mikahl zadbał jednak o to, by na jej przywitanie dom wypełnił się barwnymi kwiatami późnego lata. Te róże musiały zostać ścięte i ułożone tuż przed jej przyjazdem, na ich płatkach bowiem widniały jeszcze resztki wieczornej rosy. Dotknęła aksamitnego pąka. Czerwień, kolor namiętności.

Doskonale wyczuwając odpowiednią porę, Mikahl pojawił się w drzwiach jej sypialni. Jego śniada, egzotyczna uroda podkreślona była przez czarną, aksamitną szatę, zdobioną bogatymi, szkarłatno - złotymi haftami. Wyglądał wspaniale, niczym gość z jakiegoś szlachetniejszego, bardziej dramatycznego świata. Doskonale pasowało do niego określenie „cudowny barbarzyńca” ukute przez ciotkę Marguente. Sara czuła, jak na jego widok uginają się pod nią kolana.

Jak należy zachowywać się podczas nocy poślubnej, zwłaszcza tak nietypowej? Nie znając właściwej etykiety, Sara ograniczyła się do skąpego komentarza:

- Co za niezwykły strój. Zakładam, że pochodzi gdzieś ze Środkowego Wschodu?

Mikahl skinął głową.

- To jeden z wielu rodzajów tureckiego kaftana. Czasami nużą mnie zachodnie ubrania. - Przeszedł przez pokój i stanął obok niej. - Czy Jenny znalazła wszystko, co było ci potrzebne? Choć ten lokaj, którego mi przysłałaś, jest bardzo kompetentny, nie wszystko jeszcze działa tutaj jak należy.

- Nie brakowało mi niczego - zapewniła go. Potem w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Choć byłam nieco zaskoczona, kiedy zobaczyłam, że sąsiedni pokój to salon. Czy to nie była kiedyś sypialnia pana domu?

Wędrowiec oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach. Czarna szata sprawiała, że wyglądał na jeszcze wyższego i bardziej barczystego niż zazwyczaj.

- Naprawdę chcesz sypiać sama? Nigdy nie będę cię do niczego zmuszał, Saro, ale nigdy też nie mogłem zrozumieć tego angielskiego upodobania do oddzielnych sypialni. W końcu dzielenie łóżka to jeden z głównych powodów, dla których zawiera się małżeństwo. - Uśmiechnął się do niej prowokacyjnie. - Jak panna młoda może przyzwyczaić się do swego małżonka, jeśli nie będą spali razem?

Rumieniąc się, Sara wyjęła z wazonu jedną czerwoną różę.

- Nie wiem, czy wolę dzielić z kimś łóżko, bo nigdy tego nie robiłam, ale gotowa jestem... sprawdzić, czy rzeczywiście jest to lepsze od spania w pojedynkę. - Spuściwszy

wzrok, wciągnęła w nozdrza słodki zapach kwiatu. - Zrobiłeś dzisiaj tak wiele, bym czuła się otoczona troską i czułością. Dziękuję ci, Mikahl.

- Cieszę się - odparł krótko. - Chciałbym zawsze sprawiać ci przyjemność.

Sara zerknęła nań kątem oka, ogromnie poruszona jego troskliwością i radością, jaką czerpał ze spełniania jej życzeń. Gdyby nie fakt, że już darzyła go miłością, natychmiast by się nim zakochała. Szkoda, że nie miała odwagi, by się do tego przyznać. Włożyła różę z powrotem do wazy, podeszła do męża i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Sprawiasz mi więcej radości niż jakikolwiek inny mężczyzna. Biorąc ten uścisk za gest przyzwolenia, wyprostował się i przyciągnął ją do siebie. Przesuwając dłońmi od ramion aż do jej bioder, powiedział: - Och Saro, słodka Saro, jak miło tulić cię bez tej kobiecej zbroi, którą nosisz na co dzień.

- Ja też się cieszę, że nie mam jej na sobie - odparła z uśmiechem, napawając się dotykiem jego twardego, muskularnego ciała.

Przez kilka minut po prostu trzymali się w objęciach, cieszyli bliskością i ukojeniem po trudnym, nużącym dniu. Kiedy Sara poczuła się już całkiem zrelaksowana, zdała sobie sprawę z komizmu tej sytuacji. Rozbawiona, spytała zaczepnie:

- Przypuszczam, że większość nocy poślubnych ma jasno określony program, ponieważ my jednak chcemy trzymać się hinduskiego zwyczaju, ciekawa jestem, co będziemy robić teraz?

Po krótkim namyśle odparł z kamienną twarzą:

- Być może powinienem skorzystać z moich doświadczeń i wiedzy, jaką nabyłem podczas licznych podróży, by opisać ci i zademonstrować różne zwyczaje dotyczące seksu. Jeśli w którymś momencie ów wykład czy demonstracja przestanie ci się podobać, po prostu mi przerwij.

- Wykład połączony z demonstracją. Bardzo intelektualne podejście - Sara potarła policzkiem o jego kaftan, daleka od wszelakich intelektualnych rozważań.

- Postaram się, by informacje te podane zostały w sposób nie uchybiający wysokim standardom moralnym - ciągnął ze śmiertelną powagą, głaszcząc ją jednocześnie po brodzie. - Zacznę od faktu, że kobiety rodzą dzieci. To proste prawo natury jest jednocześnie przyczyną, dla której kobieta nie powinna okazywać swych względów byle komu, musi bowiem znaleźć mężczyznę silnego i odpowiedzialnego, mężczyznę, który będzie dbał o nią samą i o jej dzieci. Ponieważ nieodpowiedni człowiek może zrujnować życie kobiety, młode dziewczyny szybko uczą się, że należy traktować mężczyzn nieufnie.

- Kobiety jednak ulegają urokowi mężczyzn - zauważyła Sara. - Ja robiłam to zawsze,

kiedy byłś w pobliżu.

- Za co jestem głęboko wdzięczny opatrności. - Uniósł dłoń, delikatnie przeciągnął palcami po jej policzku. - Kobiety Zachodu obarczone są dwoma ciężarami; poza tym, że zgodnie z wolą natury nie potrafią same obronić się przed mężczyznami, muszą również podporządkować się zasadom Kościoła. Od prawie dwóch tysięcy lat Kościół naucza, że ciało jest złe, choć nauka ta nie zawsze odnosi pożądany skutek, pragnienia ciała są bowiem fundamentalną częścią ludzkiej natury.

- Dzięki niebiosom za matkę naturę - powiedziała Sara, zaintrygowana tym, z jaką łatwością jej mąż dostrzega powodujące ją siły, siły, o których nigdy dotąd świadomie nie rozmyślała. Równie interesujący wydawał jej się fakt, że kiedy Mikahl dotykał krawędzi jej ucha, czuła przyjemny dreszcz spływający gdzieś do wnętrza jej ciała.

- Skoro dziewczyna zostaje wychowana w nienawiści i strachu przed dotykiem mężczyzny, trudno się potem dziwić, że po ślubie nie umie początkowo czerpać radości z kontaktów małżeńskich - kontynuował. - Niektóre kobiety do końca życia nie potrafią pozbyć się tych obaw, a to oznacza zazwyczaj nieudane i nieszczęśliwe małżeństwo.

Sara ocknęła się nagle z przyjemnego rozmarzenia, kiedy Mikahl rozwiązał wstążki jej peniuaru i lekki materiał opadł na podłogę.

- Zbyt często kobiety nie czują się dobrze w swym ciele i nie potrafią zrozumieć, że to ciało może być źródłem rozkoszy. - Położył dłonie na jej ramionach i zaczął masować je kciukami, powoli, bardzo delikatnie. - Chcę, byś nauczyła się kochać swoje ciało, Saro. Wtedy, po jakimś czasie być może nauczysz się kochać także moje.

Choć czuła się zbyt obnażona, niemal naga w swej półprzezroczystej koszuli, odrzekła z udawaną swobodą:

- Niektóre ciała trudno jest pokochać.

Natychmiast pożałowała tych słów, Mikahl bowiem przestał ją masować, znieruchomiał. Potem ujął jej twarz w dłonie i podniósł ku sobie, tak by patrzyła prosto w jego zielone oczy. Z jego miny wnioskowała, że odsłoniła coś, do czego wolałaby nie przyznawać się nawet przed samą sobą.

- Uważasz, że twojego ciała nie można kochać? Mylisz się, Saro, bardzo się mylisz. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, na przyjęciu w twoim ogrodzie, zachwyciłem się twoją urodą.

- Nie musisz mnie okłamywać. Wolałabym, żebyś tego nie robił. - Odwróciła głowę, unikając jego przenikliwego spojrzenia. - Najlepsze, co można powiedzieć o mojej urodzie, to to, że jest przeciętna.

- Niemądra, niemądra Saro - mruknął. Zaprowadził ją do wielkiego lustra ustawionego po drugiej stronie pokoju i stanął za nią tak, by mogła widzieć ich pełne sylwetki. Nie sięgała mu nawet do brody.

- Spójrz do lustra, Saro. - Uniósł garść jej włosów, potem rozprostował dłoń, pozwolił, by złote loki spłynęły na jej piersi i ramiona, roziskrzzone w blasku lamp. - Twoje włosy są niczym antyczne złoto przekute na delikatne, cienkie nici, to włosy godne bogów. - Uśmiechnął się nagle. - Włosy Rossa są bardzo podobne, ale jakoś nie działają na mnie w taki sam sposób. I twoja twarz - dodał. - Nie ma w niej owej pustej urody, która za rok będzie już niemodna, lecz prawdziwe, nieprzemijające piękno. - Przeciągnął dłońmi po bokach jej twarzy, czubkami palców podkreślając delikatny kształt kości. - Zawsze, kiedy patrzę na ciebie, myślę o starożytnej sybilli, mądrej i czystej. - Potem, nim zrozumiała, co chce zrobić, pochylił się, ujął brzeg jej koszuli i podciągnął go w górę.

Sara zachłysnęła się ze zdumienia, lecz jej protesty zginęły gdzieś w fałdach tkaniny. Kiedy ściągnął z niej koszulę i odrzucił na bok, natychmiast pochylili się i poderwała ją z podłogi. Zaczerwieniona aż po cebulki włosów, przycisnęła koszulę do piersi. Nie dość że po raz pierwszy w życiu stała zupełnie naga przed mężczyzną, to jeszcze zmuszona była patrzeć na odbicie swego okaleczonego ciała. Nie kryjąc gniewu, spytała:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Chce, byś ujrzała siebie moimi oczami. Jeśli tak się stanie, z pewnością pokochasz swoje ciało.

Objął ją w pasie i przyciągnął mocno do siebie, tak że znów stanęła twarzą do lustra.

Aksamitna szata Mikahla tuliła się miękko do jej nagich pleców i pośladków. Na tle jego ciemnej, imponującej postaci, Sara widziała siebie jako nieciekawą, bezbarwną figurę, która z niemądrą miną bezskutecznie próbuje osłonić swą nagość.

Prawą ręką Wędrowiec delikatnie, lecz stanowczo odsunął jej koszulę, tak że od pasa w górę była zupełnie naga.

- Masz piękne ciało, delikatne i kobiece. Cudowne piersi.

Ujął w dłoń jej pierś, ona zaś zadrżała, przeniknięta rozkosznym dreszczem.

- I taka wąska talia. - Dla podkreślenia swych słów przesunął ręką po jej biodrze. - Myślę, że objąłbym ją obiema dłońmi, ale nie chcę próbować, bo jeśli cię teraz puszcze, schowasz się pod kołdrę i nie wyjdiesz stamtąd do rana.

Sara zagryzła wargę, by ukryć uśmiech, rozbrojona jego łagodnymi docinkami. Rozbawienie zaczęło brać górę nad wstydem i pozwoliło jej rozluźnić się nieco. Wykorzystując ten fakt, Mikahl zsunął koszulę jeszcze niżej, tak że teraz zakrywała jedynie

jej nogi i miejsce kojarzone zwykle z listkiem figowym. Pieszcząc jej biodro, powiedział:

- Ciało kobiety jest naprawdę niezwykle, przejmująco piękne. Spróbuj to zobaczyć.

I przez jedną cudowną chwilę rzeczywiście ujrzała siebie taką, jaka musiał widzieć ją Mikahl; istotę zbudowaną z subtelnych krągłości, łagodnych cieni i gładkich powierzchni, tajemniczo kobieca na tle jego intensywnej męskości.

Mikahl pochylił się i ucałował jej ramię, ona zaś wciągnęła ostro powietrze, wzruszona i rozbudzona jednocześnie. Potem wyciągnął koszulę z jej posłusznych palców, zostawiając ją zupełnie nagą.

Chwilowy zachwyt, z jakim Sara patrzyła na swe ciało, roztrzaskał się niczym porcelanowa filiżanka uderzająca o podłogę, gdy ujrzała swe prawe udo. Zawsze starała się omijać spojrzeniem to miejsce, nawet podczas kąpieli, teraz jednak nie mogła przed tym uciec. Dwie paskudne blizny, świadectwo wypadku, który omal nie pozbawił jej życia, ciągnęły się od lędźwi aż po kolano. Jedna była wynikiem samego upadku, kiedy to złamana gałąź rozharatała jej mięsień i uszkodziła kość. Druga powstała w trakcie wykonywanych później zabiegów chirurgicznych.

Choć nie była to już skaza tak wyraźna jak blizny, Sara zdawała sobie sprawę, że jej prawa noga, którą zawsze starała się w miarę możliwości oszczędzać i nie przemęczać, jest teraz chudsza i słabsza od lewej. Kiedy Wędrowiec uwodził ją w ogrodzie, czuła się bezpieczna pod grubą warstwą sukni i halek. Później uznała, że zaślepiony pożądaniem Mikahl prawdopodobnie nawet nie zauważył blizn. Teraz jednak wystawiona była na spojrzenie jego i swoje własne. Czując, jak tłumiony przez dekadę gniew i żal podchodzą jej do gardła, warknęła:

- Czy dwie cudowne piersi równoważą jedną zniekształconą nogę? To pytanie zawisło na moment w powietrzu, pełne jadu, niczym przekleństwo wiedźmy.

Mikahl odpowiedział łagodnie:

- Słodka Saro, piękno nie jest wynikiem zwykłej symetrii.

Potem, ku ogromnemu zdumieniu Sary, uklęknął przed nią i ucałował najdłuższą bliznę.

- Doskonałość byłaby nużąca, najprawdziwsze, największe piękno często jest w pewien sposób skażone, zawsze wyjątkowe - mruczał, rozgrzewając jej ciało swym oddechem, przesuwając czubkiem języka wzdłuż pomarszczonej krawędzi rany. - Blizna na ciele nie może na trwałe zniszczyć piękna. Może to zrobić tylko blizna na duszy.

Jego pocałunek niósł w sobie ogromny ładunek erotyzmu, rozpałał jej zmysły, napętniał żarem jej ciało. Jednocześnie jednak Mikahl czynił coś znacznie ważniejszego, coś

bardzo doniosłego; jego słowa były darem akceptacji, darem przebaczenia dla jej błędów.

Patrząc z góry na jego ciemną głowę, Sara zaczęła drżeć, zachwiała się na nogach, kiedy runął budowany dziesięć lat mur fizycznej i psychicznej niechęci do samej siebie.

- Mikahl - wyszeptała. By utrzymać się na nogach, by poczuć go jeszcze mocniej, zanurzyła dłonie w miękkich falach jego czarnych włosów. Chciała coś powiedzieć, nie znajdowała jednak żadnych słów dla tego, co dla niej robił, mogła więc tylko powtarzać bezradnie: - - Mikahl...

Uniół głowę i spojrzał na nią z powagą, ze zrozumieniem i czułością. Gdyby nie to, że przed dziesięcioma laty przyrzekła sobie nigdy nie płakać, teraz rozplakałaby się z radości.

Widząc jej niemą udrękę, Mikahl wstał, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Ułożywszy ją delikatnie na chłodnych, białych prześcieradłach, sam położył się obok niej i przytulił ją mocno do siebie.

Stara, zaropiała rana została wreszcie przecięta, a kiedy wypłynęły z niej wieloletnie pokłady gniewu i nienawiści do samej siebie, Sara ponownie zaczęła drżeć na całym ciele. Przez dłuższy czas leżała w bezruchu, wtulając twarz w jego ramię, dysząc ciężko, nierówno. Nigdy nie przyznawała nawet przed samą sobą, jak bardzo nienawidzi swojej ułomności, jak bardzo pogardza sobą za tę chwilę lekkomyślności, która zabiła jej konia i okaleczyła ją samą.

Kiedy przestała wreszcie drżeć i uspokoiła oddech, zaczęły docierać do jej świadomości przyziemne szczegóły, takie jak zapach mydła z drzewa sandałowego, którego używał Mikahl, dotyk jego ubrania. Stopniowo wracała do normalności, choć wiedziała, że zmieniła się już na zawsze, że zmieniła się na lepsze.

Nie mogła uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma tygodniami bliskość Rossa przynosiła jej ukojenie, w obecności Wędrowca zaś odczuwała niepokój; tajemniczy księżę, przybysz z dalekiego, bajkowego świata, zamienił się w Mikahla, jej męża, w którego ramionach znalazła pocieszenie i ukojenie.

Kiedy Sara odzyskała wreszcie panowanie nad swym ciałem i umysłem, opadła bezsilnie na poduszki i spytała poważnym tonem:

- Uczyłeś się gdzieś, jak leczyć duszę?

- Nie mam formalnego wykształcenia, ale sporo praktykowałem. Czujesz się lepiej czy gorzej, spojrzawszy na siebie moimi oczami?

- Lepiej. Przez chwilę widziałam siebie tak, jak widzisz mnie ty, i byłam piękna. To nie trwało długo, ale nigdy już nie będę się czuła brzydka czy ułomna. - Skrzywiła się lekko. - To niemądre przejmować się tak bliznami, których i tak nikt nie widzi.

- Owszem, ale te blizny to tylko powierzchnia bardzo głębokiej rzeki. To widomy znak cierpienia, których doznawałaś, ucząc się chodzić, choć znacznie łatwiej było zostać kaleką i nie ruszać się z wózka, to znak bólu, który będzie cię prześladował do końca życia. - Świadomie położył dłoń na jej prawym udzie. - Te ślady są także symbolem straty; straty młodego mężczyzny, którego chciałaś po ślubie, tańca, jazdy konnej, i całej tej fizycznej wolności, która zdrowym ludziom wydaje się czymś normalnym. - Delikatnie ścisnął jej nogę. - A może to także symbol tego, że nie zawsze można sprostać stawianym sobie wymaganiom, że nie zawsze udaje się żyć zgodnie z zasadami, które się wyznaje? Popełniłaś błąd. - Podciągnął kołdrę, okrywając ją do pasa. - Wszyscy je popełniamy. Musisz nauczyć się z tym żyć.

Sara wpatrywała się w niego, oszołomiona, zdumiona jego niezwykłą przenikliwością. Wreszcie, po chwili milczenia, spytała:

- Skąd ty wiesz to wszystko? To jakieś orientalne czary?

- Bynajmniej. - Mikahl wzruszył ramionami. - Obserwuję ludzi. Staram się ich zrozumieć. To bardzo przydatna umiejętność.

- Bardzo niepokojąca umiejętność. - Sara przyglądała mu się z ciekawością i podziwem. - Gzy równie dobrze rozumiesz siebie?

Mikahl był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem, potem zamyślił się na moment.

- Chyba nie. Zrozumienie samego siebie nie przynosi tylu praktycznych korzyści.

Sara musiała się roześmiać.

- Jesteś niesamowity - powiedziała z czułością.

- Niezupełnie - odparł z nutą goryczy w głosie. - Jestem taki, jakim ukształtowała mnie przeszłość. Po prostu nikt inny nie ma takiej przeszłości. - Jego palce przesunęły się po jej ramieniu, w łagodnej, niegroźnej pieszczocie. - Miałaś już dość wykładu i demonstracji jak

na jeden wieczór?

- Prawdę mówiąc, twoje spostrzeżenia bardzo mnie zaciekały. Przypuszczam, że człowiek pochodzący z innego społeczeństwa widzi to wyraźniej niż my. Masz rację, twierdząc, że my, Anglicy, często nie rozumiemy i nie lubimy swych ciał. - Choć w tej samej chwili Sara stwierdziła, że nie wstydzi się swej nagości - być może dlatego, że widziała w oczach Mikahla szczery podziw.

Wciąż był ubrany, nie chcąc jej zapewne niepokoić widokiem potężnego, męskiego ciała. Sara jednak wcale już nie obawiała się tego tak bardzo jak poprzednio. Spojrzała na gęste, czarne włosy widoczne pomiędzy lekko rozchylonymi połamami kaftana.

- Nigdy nie widziałam choćby kawałka tej części męskiego ciała, która kryje się poniżej kołnierza.

Widząc, gdzie skierowane jest jej spojrzenie, uśmiechnął się szeroko.

W każdej chwili możemy temu zaradzić. Sara zarumieniła się lekko. Wolą, by ta dyskusja toczyła się jedynie na płaszczyźnie teoretycznej, przynajmniej na razie.

- Czy podejście do płci i seksu jest rzeczywiście tak różne w różnych krajach?

Wędrowiec oparł głowę na lewej dłoni i spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Wszędzie docenia się siłę i zagrożenia, jakie niosą ze sobą kontakty między płciami. Często fizyczne pożądanie spotyka się z potępieniem, ale nie zawsze. W różnych kulturach i religiach istnieją różne, często bardzo odmienne obyczaje seksualne.

Przesuwał palcami po jej gardle, potem niżej, po piersiach. Choć Sara słuchała jego słów z zainteresowaniem, nie mogła się odpowiednio skupić, rozkojarzona tym przyjemnym doznaniem.

Tymczasem Wędrowiec ciągnął beznamiętnym tonem:

- Szczególnie paradoksalna jest różnica między Wschodem i Zachodem. W twoim kraju kobiety mają więcej wolności, trzeba je więc uczyć, jak mają bronić swej cnoty. Z kolei w wielu krajach Wschodu, kobiety są praktycznie uwięzione, oddzielone od wszystkich mężczyzn prócz własnego małżonka. Zadziwiające, ale to właśnie daje im znacznie większą swobodę seksualną. Na przykład... - Środkowym palcem zataczał powoli kręgi wokół jej lewej piersi, nie dotykając jednak sutka. - Podczas gdy pierwsi ojcowie Kościoła nauczali, że abstynencja seksualna to droga do nieba, mistrzowie taoizmu ze starożytnych Chin twierdzili, że natura to energia pozostająca w nieustającym, a więc paradoksalnie stałym, ruchu. Według taoizmu działają tu dwie główne siły; aktywna energia, yang, i energia receptywna, yin. Yang i yin odnoszą się do wszelkich przeciwstawieństw; lata i zima, słońca i księżyca, mężczyzny i

kobiety. Kiedy energie te pozostają w równowadze, życie jest zdrowe i harmonijne. Dlatego też dla taoistów stosunek seksualny jest ścieżką do równowagi duchowej. Mężczyzna bierze, a kobieta daje; oboje dzielą się swoją energią, poszukując wspólnej równowagi.

Sutki Sary stały się twarde, pragnęły jego dotyku. Zastanawiając się, co jest bardziej pobudzające, jego pieszczoty czy głęboki, zmysłowy głos, spytała:

- Zakładam, że mężczyźni to yang, a kobiety yin?

- Doskonale! Masz umysł filozofa - Wędrowiec przeniósł swą uwagę na drugą pierś Sary. - Choć w gruncie rzeczy nie jest to takie proste. Nawet najbardziej agresywny mężczyzna ma w sobie cząstkę energii yin, i nawet najbardziej pasywna kobieta ma trochę yang.

Coraz trudniej przychodziło jej koncentrować się na jego słowach, jednak robiła, co w jej mocy.

- Ty musisz być bardzo yang - powiedziała, z trudem panując nad oddechem, - Z pewnością jesteś bardzo męski.

- A ty, jedwabna Saro, jesteś bardzo yin; całkowicie i nieodparcie kobieca. - Nakrył jej pierś dłonią, zaspokajając ją i pobudzając na nowo jednocześnie. Potem, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, nachylił się nad nią i pocałował.

Jego usta były yang, agresywne i żądające, podczas gdy jej były yin, uległe i stęsknione. Jak zawsze, gdy ją całował, Sara pragnęła się mu poddać i tym razem chętnie posłuchała tego pragnienia.

Później, kiedy pocałunek się przeciągał, wypełniająca ją energia zaczęła się powoli zmieniać. Była coraz bardziej yang, chciała go coraz mocniej, chciała poznać głębiej jego usta, tak jak on poznawał jej. Kiedy ona stała się bardziej asertywna, on także się zmienił, złagodniał, stał się bardziej uległy. Sara zrozumiała wtedy, że jednoczesne dawanie i branie otwiera przed nią nowe, niezbadane dotąd obszary rozkoszy.

Kiedy zakręciło jej się w głowie z pożądania i braku powietrza, przerwała łagodnie pocałunek. Nie odsuwając głowy, spytała cicho:

- Co... co jeszcze mówią mistrzowie taoizmu?

- Och, bardzo wiele - odparł, równie zdyszany jak Sara. Postanowiwszy przerwać chwilowo wykład i przejść do demonstracji, Wędrowiec przesunął głowę niżej, do jej piersi. Czując, jak jej sutek natychmiast twardnieje w jego ustach, zapomniał zupełnie o filozofii i teoriach taoistów. Przez dłuższą chwilę smakował jej cudowne piersi. Teraz, kiedy została już jego żoną i nie musiała się go obawiać, Sara reagowała bez żadnych zahamowań, a jej niewinny żar był najpotężniejszym afrodyzjakiem, z jakim kiedykolwiek się spotkał.

Zapominając się w pieszczocie, omal nie minął punktu krytycznego, zza którego nie było już odwrotu. Ogarnięty nieprzemyślanym pożądaniem, zaczął już rozpinać kaftan, nim zdał sobie sprawę, jak niewiele dzieli go od katastrofy. W ostatniej chwili przywołał resztki samokontroli i odsunął się od Sary. Do diabła, wiedział, że trudno będzie mu się powstrzymać, nie przypuszczał jednak, że będzie to aż tak trudne. Sara nie reagowałaby tak spontanicznie, gdyby nie wierzyła, że w pełni panuje nad sobą, a on omal nie popełnił tego samego błędu co poprzednio. Co takiego miała w sobie Sara, że nie potrafił przy niej kontrolować własnego ciała i umysłu? Klnąc w duchu na czym świat stoi, zamknął oczy i uspokoił rozszalałe serce.

Uznając, że czas już powrócić na płaszczyznę intelektualnego dyskursu, otworzył oczy i uśmiechnął się krzywo do Sary.

- Ludzki stosunek jest odbiciem kosmicznej równowagi, jakby zjednoczeniem nieba i ziemi. Kiedy kobieta i mężczyzna łączą się ze sobą, spełniają poważny duchowy obowiązek. Mistrzowie taoizmu napisali wiele książek na ten temat.

- Ich książki musiały być bardzo popularne - zauważyła Sara, spoglądając nań rozmarzonymi, lekko zamglonymi oczami.

- Bardzo. - Wędrowiec nie był już w stanie opierać się dłużej pokusie jej jedwabnej skóry, ponownie więc wyciągnął ku niej rękę i zsunął niżej kołdrę, by dotknąć jej brzucha. Nie robi przecież nic złego, musi tylko uważać, by nie posunąć się za daleko...

- Chińczycy uwielbiają poezję i poetyckie obrazowanie, choć niektóre określenia brzmią w przekładzie dość zabawnie. - Położył dłoń na trójkacie miękkich, jasnych włosów, czuł pod palcami krew pulsującą pod jej skórą. - Kobiece organy, na przykład, nosiły takie nazwy jak Otwarty Kwiat Piwonii i Żółty Lotos. - Powoli przesunął palce przez złote loki, aż dotknął miękkich, niezwykle wrażliwych fałd w dole brzucha. - Cynobrowa Szczelina.

- Aach... - Sara zamknęła oczy. Po chwili wyrzekła słabo: - Zawsze... zawsze bardzo lubiłam poezję.

- Więc pewnie zainteresuje cię fakt, że to... - odszukał palcem najbardziej wrażliwy punkt i zaczął go delikatnie gładzić. - Że to nazywane jest Tarasem Klejnotu. Miejsce to ma ogromne znaczenie, bo mistrzowie taoizmu wierzą, że kobieca energia yin jest najsilniejsza, kiedy kobieta znajduje w stosunku pełną satysfakcję.

Sara jęknęła i wygięła się w łuk pod jego dotykiem.

- A jakie... jakie nazwy nosi męski organ?

- Różne. Wierzchołek Energii. Wielki Grzyb. Koronowy Pień.

Wyteżył umysł, starając się przypomnieć sobie różne, jakże liczne nazwy, w tych

okolicznościach jednak było to bardzo trudne - Jadeitowa Łodyga.

To ostatnie określenie wyrwało Sarę na moment z rozkosznego oszołomienia. Zmarszczyła brwi, zaintrygowana.

- To dziwne, przecież jadeit jest zielony. Inne nazwy bardziej mi się podobały.

Mikahl zachichotał.

- Jadeit występuje w różnych kolorach, może być biały lub brązowy. Taoistom chodziło raczej o taką właśnie odmianę.

Z każdą chwilą Sara czuła się coraz bardziej yang, zaskoczyła jednak nawet samą siebie, kiedy sięgnęła do jego kaftana.

- Wykład bardziej przemawia do wyobraźni, jeśli towarzyszy mu demonstracja.

Nieco onieśmielona, lecz zdeterminowana, rozwiązała pasek kaftana, rozsunęła poły na boki i położyła dłonie na piersiach Wędrowca. Gęste, czarne włosy łaskotały ją lekko. Przesuwając powoli otwartymi dłońmi po ciele swego męża, rozkoszowała się jego twardą, męską muskulaturą. W miarę jak sięgała coraz niżej, szorstkie włosy stawały się gęstsze, wreszcie dotarła do Koralowej Łodygi i ujęła ją obiema dłońmi. Jego ciało było gładkie jak jadeit, bardzo ciepłe, twarde, lecz jednocześnie delikatne w dotyku.

Kiedy ścisnęła go lekko, Mikahl jęknął i zaczął poruszać się w jej rękach. Świadomość, że może rozbudzać go równie skutecznie, jak on rozbudza ją, sprawiała jej ogromną przyjemność. Kiedy na próbę zacisnęła mocniej palce na jego męskości, Mikahl zadrżał na całym ciele.

Nagle przetoczył się na plecy, tak by nie mogła go dotykać. Odzyskawszy oddech, oświadczył, wypowiadając każde słowo powoli i wyraźnie:

- Czas już zakończyć wykład, słodka Saro, bo nie wiem, czy będę w stanie dłużej się powstrzymać.

Dotrzymywał danego słowa, lecz czy Sara naprawdę nadal tego chciała? Zrozumiawszy, że dręczące ją obawy rozwiały się jak poranna mgła, powiedziała cicho:

- Więc nie rób tego. - Dotknęła czubkiem języka górnej wargi - Nie powstrzymuj się.

Mikahl milczał przez dłuższą chwilę i przyglądał się jej z uwagą.

- W takim razie powróćmy do Tarasu Klejnotu - zaproponował wreszcie. Przekręcił się na bok i powrócił do przerwanej pieszczoty, szepcząc; - Kobieta jest niewyczerpanym źródłem yin, a to zwiększa jeszcze jej moc.

Dotyk jego zręcznych palców wzbudzał w niej fale coraz większej rozkoszy, zmierzające ku ostatecznemu spełnieniu. Ona jednak nie chciała tego, jeszcze nie teraz, bo Mikahl nie zbliżał się do niej, dawał, nie biorąc niczego w zamian. Sięgnęła do niego, pytając:

- Czy nie byłoby lepiej dla równowagi świata, gdyby yin połączyło się z yang?

Powstrzymał ją, nim zdążyła go dotknąć, pokryty cienką, lśniąca warstwą potu. Śmiertelnie poważny, powiedział:

- Saro, nie myśl, że musisz to robić ze względu na mnie.

- Nie robię tego ze względu na ciebie - odparła cicho. Pochwyciła go za ramiona i opadła na poduszki, wciągając go na siebie. - Po prostu teologia taoistyczna wydaje mi się znacznie bardziej interesująca niż hinduska wstrzemięźliwość.

- Och, Saro, Saro... - wyszeptał, a potem ich usta złączyły się w głębokim, namiętnych pocałunku. Po chwili Mikahl uniósł się nieco ponad nią, rozsunął jej nogi i wszedł w nią, bardzo powoli, delikatnie.

Nie mogąc wciąż zapomnieć o pierwszym razie, Sara zeszywniała odruchowo. Tym razem jednak nie poczuła bólu, lecz całkowite, cudowne zjednoczenie.

Oczarowana, zaczęła poruszać biodrami, delektując się nowym doznaniem wilgotnego, śliskiego tarcia.

- Jesteś urodzoną adeptką taoizmu - powiedział z uśmiechem Mikahl. - Ale to może potrwać dłużej, jeśli nieco zwolnisz i będziesz poruszać się razem ze mną.

Sara posłusznie zwolniła tempo i odkryła wkrótce, że ich ciała same wpadają w ten sam, naturalny rytm. Wtedy, w ogrodzie, była przerażona i przytłoczona jego siłą, teraz jednak przeżywała to zupełnie inaczej, bo teraz oboje obdarzali się swoją energią. Jego siła była równocześnie jej siłą, owo zjednoczenie stanowiło źródło radości i uniesienia. Kaftan z czarnego aksamitu okrył ich niczym kokon. Sara wsunęła ręce pod delikatną, gładką tkaninę, objęła męczyznę mocno w talii, smakując słony pot na jego ramieniu, czując, jak napinają się mięśnie na jego plecach i pośladkach, twarde i kształtne.

Potem wszystko zniknęło w wirze pożądania i spełnienia. Kiedy krzyknęła, wbił się w nią po raz ostatni, wstrząsany dreszczami rozkoszy. I w tym ostatecznym, wszechogarniającym uniesieniu, Sara odnalazła harmonię starożytnych mistrzów.

Zasnęła w ramionach swego męża, przytulona policzkiem do jego policzka, połączona z nim w jedno. Okrywał ją jedynie aksamitny kaftan, lecz ciepło ich stanowiło wystarczającą osłonę przed chłodem nocy.

Obudziła się w środku nocy, po dwóch może trzech godzinach snu. Kiedy otworzyła oczy, lampki wciąż płonęły, wypełniając pokój delikatnym blaskiem. Niebo za oknem wciąż było czarne jak atrament. Sara rozmyślała leniwie o cudownym poczuciu wspólnoty i bliskości, jaką dawał jej sen w ramionach Mikahla. Być może arabski książę i księżniczka śpiąją właśnie tak, okryci jedną szatą, pod rozgwieżdżonym, pustynnym niebem? Pewnie

nie, ale była to przyjemna fantazja. Zmieniła nieco pozycję, a Mikahl natychmiast otworzył oczy i spojrzał na nią. Zdobywając się na wielką odwagę, przesunęła dłonie w dół jego tułowia, ciekawa, co też tam znajdzie. Mikahl uśmiechnął się szeroko, mówiąc:

- Choć kobiece yin jest niewyczerpane, nie można powiedzieć tego samego o zasobach męskiego yang.

Zachichotała, zaintrygowana tym, jak jego ciało zmienia się pod dotykiem jej dłoni.

- Może nie jest niewyczerpane, ale chyba nie jest to jeszcze ten stan. Wędrowiec roześmiał się.

- Wiele religii Wschodu wierzy w reinkarnację, wędrówkę dusz, które żyją w różnych ciałach. Jeśli to prawda, to ty musiałaś być w którymś wcieleniu kurtyzana.

Sara znieruchomiała na moment i spytała niepewnie:

- Nie powinnam tego robić?

- To był komplement, słodka Saro - odrzekł szybko. - Proszę cię bardzo, nie przerywaj.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Chciałeś, bym nauczyła się kochać twoje ciało. Muszę ci powiedzieć, że to bardzo proste zadanie. - Przyszła jej do głowy pewna kusząca myśl, podniosła się więc na jednej ręce i spojrzała mu w oczy. - Ponieważ ty widziałeś przedtem moje nagie ciało, domagam się teraz tego samego przywileju.

Wydawało jej się, że Mikahl drgnął lekko, ledwie zauważalnie, jakby chciał się wycofać. Nie wiedząc, czy nie było to tylko przywidzenie, spojrzała mu pytająco w oczy.

- Oczywiście, sprawiedliwości musi stać się zadość - powiedział opanowanym, obojętnym głosem.

Zastanawiała się przez moment, czy nie powinna jednak zrezygnować, skoro już jednak uzyskała jego pozwolenie, nie mogła nie skorzystać z okazji i nie obejrzeć go w całej okazałości. Mikahl leżał na boku, zsunęła więc kaftan z jego ramienia i strąciła do tyłu, za jego plecy.

Ujrzawszy go zupełnie nagiego, stwierdziła ze zdumieniem, że jego skóra jest niemal równie jasna jak jej. Ponieważ jego twarz i dłonie pokryte były opalenizną, zakładała, że jest śniady na całym ciele, jasna skóra odcinała się jednak wyraźnie od czarnych włosów pokrywających tors i płaski brzuch.

Pogłaskała z uznaniem jedwabiste włosy, a potem dotknęła okrągłej, czerwonej plamy na jego ramieniu.

- Jaki dziwny siniak.

- Ty go zrobiłaś, moja mała lisico - odparł, rozbawiony.

- Ja? - Sara przypomniała sobie, jak bezmyślnie się zachowywała, jak chłoneła go łąpczywie ustami i dłońmi, a to wspomnienie przywołało na jej twarz rumieniec wstydu. By ukryć zakłopotanie, przesuwała dłonią po jego potężnie umięśnionym ramieniu, rozmyślając o tym, że jej mąż jest zbudowany jak starożytni herosi, uwiecznieni przez greckich rzeźbiarzy w marmurze. Był przy tym znacznie od nich piękniejszy, bo płonął w nim boski ogień życia.

Kiedy jej dłoń dotarła do biodra, znieruchomiała nagle, wyczuwając pod palcami dziwny, nierówny znak w kształcie W lub M, coś pomiędzy tatuażem a blizną. Zaintrygowana, zaczęła badać dokładniej tajemniczą skazę.

Mikahl zeszywniał nagle pod jej dotykiem. Spojrzała w jego twarz zastanawiając się, czy zrobiła coś złego. Nie wierzyła, by jego zachowanie było wynikiem nieśmiałości czy przesadnej skromności. Mikahl milczał, patrząc na nią tylko z czujnością zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

Ogarnięta coraz większym niepokojem, Sara przesunęła dłoń dalej, w górę ramienia i na plecy. Tam znów czekała ją niespodzianka; zamiast na gładką, równą skórę okrywającą naprężone mięśnie, natrafiła na szorstką, poszarpaną powierzchnię. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie, że zauważyła to już wcześniej, kiedy się kochali. Usiadła prosto, przyciągając swego męża bliżej, tak by ułożył się na brzuchu. Mikahl posłusznie wykonał jej nieme polecenie.

Sara pochyliła się niżej, wyteżając wzrok. To, co ujrzała, zmroziło w jej żyłach krew i na moment pozbawiło ją oddechu. Plecy męża pokryte były siatką długich, poszarpanych blizn. Niektóre były tak cienkie, że ledwie widoczne, inne szerokie, wrzynające się głęboko w skórę.

- O Boże - wyszeptała, wiedząc, że takie blizny mogą być jedynie skutkiem straszliwej, okrutnej chłosty. Spojrzała w twarz swego męża. Ten patrzył na nią spod przymrużonych powiek beznamiętnym, bezosobowym wzrokiem. Instynktownie wyczuwała, że te blizny są dla niego świadectwem równie traumatycznego przeżycia, jakim dla niej był wypadek sprzed dziesięciu lat.

- Co... Co ci się stało?

- Byłem niewolnikiem - odrzekł głosem wyzutym z wszelkich emocji.

Sara przełknęła ciężko, powracając spojrzeniem do paskudnych szram.

- Domyślam się, że nie byłeś nazbyt pokorny.

- Nie. - Ta krótka sylaba była twarda jak granitowa ściana. Zrozumiawszy, jak niewyobrażalnie odmienne i trudne było życie jej męża, Sara po raz drugi tej nocy miała

ochotę się rozplakać. Mogła zareagować tylko w jeden sposób i zrobiła to z całą miłością, jaka wzrastała w jej sercu.

Pochylając się nisko, ucałowała najgłębszą z blizn. Pod jej miękkimi ustami poszarpana skóra wydawała się twarda i nierówna.

- Być może przez jakiś czas ktoś miał władzę nad twoim ciałem - szeptała, przesuając czule dłońmi wzdłuż straszliwych szram znaczących jego piękne plecy. - Ale nie wierzę, by twój duch kiedykolwiek poddał się czyjejś woli.

Mikahl zadrżał w spazmatycznym dreszczu. Potem przetoczył się na plecy, przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta w gwałtownym pocałunku, który nie był jednak wyrazem czułości czy gry erotycznej, lecz desperacką próbą zapomnienia, odsunięcia straszliwych wspomnień w dalekie zakamarki umysłu.

Gdyby nie doświadczenia sprzed kilku godzin, Sara byłaby prze rażona jego siłą, nauczyła się już jednak zbyt wiele, by reagować w ten sposób. Kiedy sama musiała poradzić sobie z cierpieniem i gniewem, Mikahl pocieszył ją czułością. Teraz ona gotowa była dać mu zapomnienie w namiętności.

Okazało się to jeszcze łatwiejsze niż przypuszczała, bo choć Mikahl walczył z wewnętrzną ciemnością, nie traktował żony przedmiotowo i egoistycznie. Przedtem uczył ją miłości za pomocą czułych pieszczot; teraz jego dłonie i usta zdobywały ją z nieprzepartą siłą rozżarzonej lawy.

Sara odpowiadała własnym zarem i miłością, była gotowa, nawet bardziej niż gotowa, kiedy przetoczył ją na plecy i wbił się w nią. To był pierwotny, dziki seks w cieniu wulkanu. Łączyła się z nim w każdym ruchu, w każdym gwałtownym pchnięciu, obejmowała go mocno nogami, pragnąc oddać choć część tego, co on dał jej wcześniej.

Tak gwałtowny atak namiętności nie mógł trwać długo; Mikahl wkrótce się spełnił, jego głęboki, poszarpany jęk wciągnął ją w rozedrganą rzeczywistość eksplodującej rozkoszy. Później Sara leżała nieruchomo, drżąca i bezsilna, zdyszana jak po długim, męczącym biegu.

Wciąż milcząc, Mikahl przewrócił się na bok, przytulił ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach. Niemal natychmiast oboje zapadli w głęboki, kojący sen.

Wędrowiec budził się powoli, stopniowo odkrywając poszczególne fragmenty rzeczywistości. Leżał z głową wspartą na miękkiej piersi swej żony, obejmując ją w talii. Za oknami wstawał już dzień, lampy dawno pogasły. Sara wciąż spała; słyszał powolne, równomierne bicie serca. Leżał w bezruchu, nie chcąc jej budzić, musiał bowiem przemyśleć wszystkie wydarzenia minionej nocy.

W co on się, do diabła, wpakował? Pożądał Sary i był jej winny zadośćuczynienie,

ożenił się więc, nie zastanawiając się ani przez moment nad konsekwencjami tego kroku.

Zakładał początkowo, że małżeństwo będzie tylko jeszcze jednym z jego licznych romansów. Zawsze podporządkowywał seks interesom; kiedy miał czas i ochotę, zabawiał się z ekskluzywnymi kurtyzanami, które lubiły swą pracę i nie zadawały zbędnych pytań. Znał wiele pięknych kobiet z różnych stron świata, odwiedzał je zawsze, kiedy miał po temu okazję. Lubił przebywać w ich towarzystwie, zarówno w łóżku, jak i poza nim, przypuszczał więc, że małżeństwo będzie podobne - miłe, fizycznie satysfakcjonujące i nieskomplikowane.

Tymczasem okazało się, że małżeństwo to wzajemne odkrywanie swoich słabości, czułych punktów, że wymaga ogromnego zaufania i szczerości. Kiedy zrozumiał, że wypadek sprzed lat i spowodowana nim ułomność wciąż są dla Sary źródłem cierpienia, w naturalnym odruchu dobroci starał się ją pocieszyć, przywrócić wiarę w siebie. Jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób to pocieszanie osłabiło jego własne odruchy obronne.

W pewnym sensie jego okaleczone plecy były świadectwem niezłomności, niezniszczalnym przypomnieniem tego, co wycierpiał i co musiał pomścić. Chcąc ukryć bliźny przed swą żoną, musiałby ograniczyć się do pospiesznych stosunków i zdawkowych, powierzchownych czułości, a to z pewnością nie było jego zamiarem.

Skoro jednak wiedział, że wcześniej czy później Sara odkryje zablźnione ślady biczowania, dlaczego tak bardzo go to poruszyło?

Bo zwykle wiedział, czego chce, rzadko tracił czas na analizowanie motywów swego działania, teraz zaś próbował sięgnąć w głąb swej duszy, zrozumieć, dlaczego zareagował tak gwałtownie. Wreszcie doszedł do wniosku, że to czułość Sary poruszyła w nim jakąś zapomnianą strunę. Chłopiec, który został wy chłostany przed wieloma laty, pragnął pocieszenia i czułości, ale ich nie znalazł, w pewnym sensie szczere współczucie Sary i jej dobroć na nowo obudziły w nim to skrzywdzone dziecko. Dlatego Wędrowiec, dorosły mężczyzna, zareagował z taką siłą.

Traktował to przeżycie jak trzęsienie ziemi; jako interesujące doświadczenie, którego jednak nie chciałby już powtórzyć.

Podpierając się na łokciu, patrzył w twarz Sary. Wyglądała absurdalnie młodo i niewinnie, jej złote włosy rozsypane na poduszce przypominały promienie słońca. Jednak w tym drobnym ciele kryła się kobieta o lwim sercu, kobieta, która potrafiła odpowiedzieć własną siłą i współczuciem na jego gwałtowne pożądanie, choć przecież jeszcze niedawno była dziewczyną.

Być może powinien się wstydzić, że tak ją wykorzystał, z drugiej jednak strony był dość przytomny, by zauważyć, że nie robiła niczego wbrew sobie. Obdarzyła go nie tylko

namiętnością; wniosła do tego spotkania jakąś szczególną, sobie tylko właściwą czułość, poruszyła ukryte gdzieś głęboko w jego wnętrzu pokłady łagodności i spokoju.

I to właśnie było bardzo niebezpieczne, teraz bowiem nie mógł pozwolić sobie ani na łagodność, ani na spokój. W przyszłości musi bardziej :na siebie uważać, trzymać Sarę na dystans, by znów nie weszła zbyt głęboko w jego duszę. Ale to nie powinno być trudne; z pewnością ryzyko nie było tak wielkie, by musiał odmawiać sobie przyjemności obcowania z jej cudownym ciałem.

Dokonawszy tych przemyśleń, Wędrowiec pochylił się i ucałował Sarę lekko.

Otworzyła powoli zaspane oczy i uśmiechnęła się doń ciepło.

- Dzień dobry, mężu. Odgarnął włosy z jej skroni.

- Dzień dobry, żono.

Zastanawiał się, co powinien jej powiedzieć, kiedy spyta, jak i kiedy został niewolnikiem. Choć wolałby jej nie okłamywać, z pewnością nie mógł też wyjawić prawdy, która zniszczyłaby rodzącą się między nimi zażyłość. Niektóre sprawy powinny na zawsze pozostać w ciemności, tam gdzie ich miejsce.

Jednocześnie miał nieodparte wrażenie, że jej mądre oczy widzą i ważą pytania, które sobie zadawał. Był przekonany, że Sara doskonale rozumie jego dylemat i woli milczeć, niż usłyszeć od niego kłamstwa.

- Nie będziemy przerabiać tego salonu obok na sypialnię - mruknęła, spoglądając nań z uśmiechem. - Uznałam, że dzielenie łóża z mężem jest znacznie przyjemniejsze niż spanie w pojedynkę.

- Zgoda.

Opadł ponownie na poduszki i przyciągnął ją do siebie. Kiedy pocałunek zaczął zmieniać się w kolejną sesję równoważenia energii. Wędrowiec pomyślał, że może nazywać siebie szczęściarzem mężczyzna, którego żona ma dość rozumu, by nie zadawać niepotrzebnych pytań.

Charles Weldon miał kilka biur, ostatnio jednak większość czasu spędzał w siedzibie L&S Railway. Jako dyrektor zarządzający musiał podejmować decyzje dotyczące praktycznie każdej sfery działania spółki, od finansów po szczegóły wyglądu wagonów budowanych w Yorkshire.

Sekretarka firmy nauczyła się już, że każdego ranka w gabinecie szefa powinna czekać gorąca herbata i gazeta. Popijając herbatę, Weldon przeglądał nagłówki, by mieć pojęcie o tym, co dzieje się w świecie. Zwykle pomijał kronikę towarzyską, tym razem jednak jego uwagę przykuło słowo „Haddonfield”, zatrzymał więc spojrzenie i przeczytał krótką notkę.

Lady Sara St. James, córka diuka Haddonfield, trzy dni temu poślubiła księcia Wędrowca z Kafiristanu.

Weldon uśmiechnął się pod nosem, czytając ogłoszenie. Nie tracili czasu; ciekawe, czy ta głupia suka jest w ciąży. Cóż, lepiej niech cieszą się miesiącem miodowym, bo wkrótce nie będą już mieli powodów do radości.

Odłożywszy gazetę na bok, zaczął czytać poranną pocztę. Do chodziło już południe, kiedy jego osobisty sekretarz, Kane, przyniósł mu złe wieści.

Kane, człowiek małomówny i surowy w obejściu, bez zaproszenia usiadł naprzeciwko Weldonowi i oświadczył krótko:

- Kłopoty.

Weldon odchylił się w swym obrotowym, dębowym krześle i spojrzał na podwładnego.

- Jakie kłopoty?

- Wysiałeś mnie z umową o przeniesienie praw własności do tego farmera w Hampshire, pamiętasz?

- Oczywiście, za kilka dni rozpoczniemy tam budowę. W czym problem? Crawley znowu chce więcej pieniędzy? Ten dureń powinien się cieszyć, że w ogóle coś dostał, a nie udawać bohatera.

- Nie wiem, kogo udaje, bo go tam nie ma. Zniknął z całą rodziną, dobytkiem, ze wszystkim. Rozmawiałem z sąsiadami. Crawleyowie po prostu się spakowali i wyjechali kilka tygodni temu. Nie powiedzieli, dokąd jadą, ani kiedy zamierzają wrócić.

Weldon zmarszczył brwi, zastanawiając się, jakie mogły być przyczyny tego nieoczekiwanego zajścia.

- Czy Crawley sprzedał farmę komuś innemu?

- Nie wygląda na to.

Weldon znów zamyślił się na chwilę. Cała sprawa wyglądała dość dziwnie, Crawley bowiem z pewnością nie miał pieniędzy, by wyjechać i rozpocząć nowe życie w innej części kraju. Może po prostu wpadł w panikę i uciekł?

Po chwili zbył te rozmyślenia wzruszeniem ramion; tajemnicze zniknięcie farmera nie miało żadnego znaczenia dla budowy.

- Tak czy inaczej, wejdziemy na jego ziemię i będziemy dalej kłaść tory. Crawley nie będzie się sprzeciwiał, a nikt inny nie wie, że nie mamy odpowiedniej umowy. Jeśli wróci, zmusimy go do podpisania papierów, tyle że wtedy nie dostanie już ani pensa.

Odprawiwszy Kane'a, Weldon powrócił do pracy. Tchórzliwa ucieczka Crawleya była

tylko nieistotnym epizodem, niczym więcej.

Mikahl wyjechał wczesnym rankiem do Londynu, Sara spała więc do późna, po przebudzeniu wzięła zaś gorącą kąpiel i przez dłuższy czas wylegiwała się w wannie. Ponieważ miała cały dzień wyłącznie do swojej dyspozycji, postanowiła pojechać do Chapelgate i zjeść lunch z Rossem, uznała bowiem, że po dwóch tygodniach spędzonych w zaciszu Sulgrave czas wreszcie przy poświęcić sobie o reszcie świata. Wieczorem zaś będzie miała przyjemność przywitać męża zmęczonego długą, dziesięciogodzinną podróżą.

Sara wiedziała, że wciąż nosi na twarzy rozmarzony, niezbyt mądry uśmiech, wcale się tym jednak nie przejmowała. Była beznadziejnie, nieodwołalnie zakochana, a małżeństwo okazało się cudowne. Zdawała sobie sprawę, że nadal bardzo niewiele wie o swym mężu, i że on nigdy nie wyznał jej miłości. Czyny jednak ważniejsze były od słów, a Mikahl nie mógł traktować jej z większą czułością i oddaniem. Mąż lubił jej dotykać i robił to ze swobodą niespotykaną u angielskich dżentelmenów. Choć od czasu do czasu Sara nie mogła ukryć rumieńca zawstydenia, uwielbiała jego szczerą naturę i reagowała niczym kwiat otwierający się pod promieniami słońca.

Choć wiedziała, że „ta sielanka nie może trwać wiecznie, nie zamierzała się tym martwić. Bez względu na to, ile cierpień może w przyszłości przynieść jej jeszcze to małżeństwo, minione dwa tygodnie warte były każdej ceny. A czekały ją jeszcze tygodnie lub miesiące podobnego szczęścia; może nawet lata.

Po wyjściu z kąpeli, Sara wezwała Jenny, by pomogła jej się ubrać. Kiedy pokojówka układała jej włosy, Sara spytała:

- Jak podoba ci się Sulgrave po dwóch tygodniach pobytu? Nadal lubisz to miejsce?

- Strasznie tu spokojnie w porównaniu z Londynem - zauważyła dziewczyna. - Ale okolica jest śliczna, a ludzie bardzo mili.

Sara uśmiechnęła się lekko.

- Za kilka dni wyjedziemy wszyscy do Londynu. To powinno uratować cię przed nudą i melancholią.

- To bardzo pocieszająca wiadomość - odparła Jenny poważnie, zręcznie układając włosy nad uchem swej pani.

Obserwując w lustrze dziewczęcą twarz pokojówki, Sara nie mogła zapomnieć o tym, co mówił Mikahl. Lata w domu publicznym. Wtedy nie mogła sobie tego wyobrazić; teraz, kiedy wiedziała już, jak doniosłym, jak bardzo intymnym przeżyciem jest akt miłosny, była wręcz wstrząśnięta. Sama myślała, że jakiś obcy człowiek mógłby osiąść jej ciało przemocą,

zmusić do tego, co powinno być uświęcone, wydawała jej się przerażająca i obrzydliwa. Gdyby utraciła kiedyś Mikahla, nie byłaby w stanie zbliżyć się już do nikogo innego.

Dając wyraz swym myślom, spytała głośno:

- Jenny, jak ty przetrwałaś wszystkie te lata w domu publicznym, nie tracąc zdrowych zmysłów i poczucia humoru?

Jenny drgnęła, zaskoczona, a szpilki, które trzymała w dłoni, rozsypały się po sukni Sary i po podłodze. Zawstydzona Sara odwróciła się do niej szybko i powiedziała:

- Jenny, wybac mi, nie mam prawa pytać o takie rzeczy. Kiedy cię zatrudniłam, obiecałam, że sama nigdy nie będę poruszać tego tematu. Wybac, że się zapomniałam.

Pokojówka uklękła przed nią, by pozbierać rozsypane szpilki. Kiedy się wyprostowała, odrzekła normalnym głosem:

- To nie było aż takie straszne, żebym nie mogła o tym mówić, proszę pani. Byłam po prostu zaskoczona, że pani spytała.

Wprawnymi, precyzyjnymi ruchami Jenny zawinęła warkocz nad prawym uchem Sary i umocowała go w miejscu.

- Udało mi się przetrwać chyba tylko dlatego, że w East Endzie życie zawsze jest ciężkie, a kiedy człowiek oczekuje najgorszego nigdy nie jest rozczarowany - powiedziała Jenny w zamyśleniu - Kiedy tata sprzedał mnie do burdelu, czułam się fatalnie, ale ja nie byłam jeszcze w najgorszej sytuacji. Najtrudniej było dziewczętom które wychowywały się w normalnych, przyzwoitych domach. Niektóre postradały zmysły, kiedy dowiedziały się, co je czeka. - Twarz Jenny pociemniała. - Ściany były grube, ale nie na tyle, żeby nic nie słyszeć. Oczywiście sporo dziewczyn spędzało tam tylko jedną noc, bo był to dom dziewic. Te z nas, które musiały zostać na dłużej... Cóż, po jakimś czasie do wszystkiego można się przyzwycząić.

- Co to jest dom dziewic? - spytała Sara, choć domyślała się już straszliwej prawdy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Takie rzeczy nie nadają się dla uszu damy. Książę nie byłby zadowolony, gdyby dowiedział się, że rozmawiałam z panią na ten temat.

- Dobry Boże, Jenny, jak coś, z czym ty musiałaś żyć, może być zbyt brutalne dla moich delikatnych uszu? - Sara odczuwała tę samą, zimną wściekłość, która ogarnęła ją, gdy dowiedziała się o wykorzystywaniu dzieci z sierocińca przez ich opiekunów. - Każdy, komu los dał władzę i pieniądze, powinien wykorzystać je dla dobra innych. W Haddonfield prowadziłam działalność charytatywną i zamierzam robić to samo tutaj. Choć nie wiem, czy mogę w jakikolwiek sposób naprawić zło, które wyrządzono tobie i które nadal wyrządza się

innym dziewczętom, z pewnością nie będę mogła nic zrobić, jeśli nie dowiem się czegoś więcej na ten temat. - Sara gestem poprosiła pokojówkę, by ta usiadła obok niej. - Jeśli jesteś w stanie o tym mówić, chcę wiedzieć. Być może wtedy uda mi się coś zrobić.

Po krótkim wahaniu, Jenny usiadła i opowiedziała pokrótce, co działo się w domu pani Kent. Sara słuchała tego ze ściśniętym żołądkiem, chciała jednak poznać całą prawdę. Na koniec nie wytrzymała i krzyknęła:

- Jacy mężczyźni mogą tak traktować niewinne dziewczęta? Jenny uśmiechnęła się cynicznie.

- Prawie wszyscy. Mogę się założyć o wszystko, co mam, że niektórzy spośród tych miłych dżentelmenów, którzy całują pani rękę na balu, są klientami pani Kent. Chłopcy, dziewczynki, wszelkie kombinacje, za które mężczyzna gotów jest zapłacić.

- Chłopcy? - powtórzyła Sara, nie rozumiejąc, o czym mówi pokojówka.

Jenny zawstydzila się nieco.

- Na pewno nie chciałaby pani nic o tym wiedzieć. To wbrew naturze.

Sara zacisnęła mocniej usta. Ucieczka przed nieprzyjemną rzeczywistością równała się zdradzie niewinnych ofiar.

- Opowiedz mi.

Jenny wykonała polecenie, opisując ze szczegółami, co dorosły mężczyzna może zrobić małemu chłopcu.

Sara zaciskała palce tak mocno, że jej paznokcie zostawiły czerwone ślady na skórze. Kiedy Jenny skończyła, Sara milczała przez chwilę, wreszcie spytała przez zaciśnięte gardło:

- Jak to możliwe, by do takich podłości dochodziło w sercu największego miasta na świecie?

Choć pytanie to było skierowane raczej do niej samej niż do Jenny, dziewczyna odpowiedziała z goryczą w głosie:

- Prawa ustanawiane są przez możnych, bogatych ludzi. Ilu z tych, którzy mają władzę, interesuje się choć trochę losem biednych? Oni są wilkami, a ja, i mnie podobni, to owce.

Sara westchnęła ciężko.

- Wiem, że życie bardzo cię doświadczyło, Jenny, Ale wierz mi, istnieją bogaci ludzie, którym zależy na losie tych biedniejszych, Postaram się ich odnaleźć i nakłonić do jeszcze większego wysiłku na rzecz pokrzywdzonych i wykorzystywanych.

Pokojówka zerkała na nią niepewnie.

- Nie powtórzy pani księciu tego, co tutaj mówiłam? Byłby na mnie zły.

- Nie, nic mu nie powiem. - Sara uśmiechnęła się smutno. - To człowiek bywały w świecie. Wątpię, czy jest na świecie jakaś podłość, która mogłaby go jeszcze zadziwić. - I jak większość mężczyzn uznałby zapewne, że zło zawsze będzie obecne i że nie ma sensu z nim walczyć. Lecz kim była ona, arystokratka wychowana pod kloszem, by krytykować Mikahla, który sam doznał tylu cierpień? Nic dziwnego, że jego wrażliwość na ludzką krzywdę została przytępiona.

Kiedy Jenny kończyła toaletę swej pani, ta zastanawiała się nad wszystkim, co usłyszała tego ranka. Choć z chęcią zapytałaby Mikahla czy nie można zrobić czegoś, by zamknąć dom pani Kent, nie chciała ściągać jego gniewu na Jenny. Lepiej będzie, jeśli poczeka jeszcze trochę i dowie się czegoś więcej na ten temat.

Sara wiedziała, że nie może zbawić całego świata. Prostytycja istniała od zawsze i nikt zapewne nie był w stanie jej wykorzystać. Gwałcenie bezbronnych dzieci było jednak czymś więcej niż prostytucją; była to niewypowiedziana zbrodnia, a Sara zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, by ją powstrzymać.

Kiedy gotowa już do drogi schodziła na parter, główny lokaj usłyszał jej kroki i wyszedł jej na spotkanie. Gates był długoletnim pracownikiem Haddonfield; po zaręczynach Sary poprosił, by mógł wraz z nią przenieść się do Sulgrave. Ponieważ Mikahl nie miał nic przeciwko temu, Sara z wdzięcznością przyjęła ofertę Gatesa.

- Dzień dobry. - Lokaj uklonił jej się nisko. - Kucharka chce wiedzieć, o której ma dzisiaj podać kolację.

- Prawdopodobnie około ósmej wieczorem, ale powiedz jej, by przygotowała coś, co można podgrzać, na wypadek, gdyby mój mąż wrócił później, niż planował. - Sara zatrzymała się u podnóża schodów i wciągnęła rękawiczki do jazdy konnej. - Wspaniale się spisałeś, Gates. Mąż powiedział mi wczoraj, że wszystko w Sulgrave działa jak w zegarku.

Lokaj uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Miło mi słyszeć te słowa. To drobnostka w porównaniu z tym, co rodzina St. Jamesów i książę Wędrowiec zrobili dla mnie.

Zaintrygowana Sara spytała:

Zrobiłeś dla St. Jamesów równie dużo, jak my dla ciebie, ale co takiego zawdzięczasz mojemu mężowi? Przecież poznałeś go ledwie kilka tygodni temu.

Pewnie wie pani, jak to jest wśród służby; wszyscy wymieniają ważne informacje. Kiedy ogłosiła pani, że zamierza wyjść za księcia, długo o tym dyskutowaliśmy. - Gates wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego z siebie. - Ktoś dowiedział się, że książę jest głównym udziałowcem w nowej spółce L&S Railway. Pomyślałem sobie, że skoro to dobra

inwestycja dla męża lady Sary, to będzie dobra i dla mnie. Więc za wszystkie oszczędności kupiłem jej akcje. Sara zmarszczyła brwi.

- Mój mąż inwestuje w wiele przedsięwzięć i wcale nie spodziewa się, że wszystkie odniosą sukces. Nie chciałabym, byś stracił wszystkie oszczędności, kiedy L&S okaże się niewypałem.

- Ależ ta firma świetnie sobie radzi - zapewnił ją Gates. - Wartość akcji wzrosła prawie o połowę, odkąd je kupiłem.

- Nie znam się na finansach - odparła Sara cierpko. - Ale z pewnością akcje, które tak szybko idą w górę, mogą równie szybko spaść. Może powinieneś sprzedać je właśnie teraz, kiedy cena jest tak korzystna.

- Na pewno cena pójdzie jeszcze do góry, proszę pani - odparł lokaj, niezrażony jej sceptycyzmem. - Kolej to przemysł przyszłości. Kiedy odejdę już ze służby, kupię sobie za te pieniądze gospodę na południu i będę tam wygrzewał stare kości.

Do hallu weszła jedna z pokojówek, Gates natychmiast przybrał więc unізoną, służbową pozę. Starszy służący może rozmawiać swobodnie z pracodawcą, ale nigdy w obecności swoich podwładnych.

Sara przeszła do stajni, myśląc o tym, że ten dzień zaczął się naprawdę dziwnie. Na szczęście przejażdżka do Chapelgate, wzdłuż Downs, przywróciła jej dobry humor. Dosiadała pięknej, bardzo łagodnej klaczy o gniadym umaszczeniu, którą dostała od męża w prezencie ślubnym. Dzień był wspaniały, ciepły i słoneczny, przesycony zapachem zbliżającej się jesieni. Choć świat bywał okrutny i niesprawiedliwy, jej własny zakątek był cudowny.

Kiedy zajechała przed Chapelgate, Ross wyszedł na zewnątrz i przywitał ją.

- Ogromnie się cieszę, że cię widzę, Saro. Przybyłaś w sam czas, by powiedzieć mi, czy powinienem wyrzucić ostatni rozdział do śmieci.

Sara przewróciła oczami w żartobliwym grymasie przerażenia.

- Co? Pozbawić świat twojej złotej prozy?

- Obawiam się, że więcej w niej żużlu niż czystego złota. - Ross wyciągnął ręce, by ją uściskać. Kiedy już się przywitali, Sara podała wodze towarzyszącemu jej parobkowi.

Ross objął ramiona kuzynki i razem weszli na schody.

- Nie muszę chyba pytać, co myślisz o małżeństwie; radość aż bije od ciebie.

Sara roześmiała się głośno.

- Małżeństwo jest wspaniałe - przyznała, nie mogąc zapanować nad rumieńcem, który oblał jej twarz.

Ross spojrział na nią z powagą.

- Żadnych rozczarowań?

- Żadnych - odparła. — Mikahl jest może skomplikowany i tajemniczy, ale traktuje mnie naprawdę cudownie.

Kuzyn westchnął cicho.

- Miesiąc miodowy nie trwa wiecznie.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się. - Ale ilu ludzi doznało w swym życiu dwóch tygodni idealnego szczęścia? Bez względu na to, co wydarzy się w przyszłości, zawsze będę miała te wspomnienia. - Zerknęła na Rossa kątem oka. - To ty mnie z nim poznałeś i dlatego teraz czujesz się odpowiedzialny za mój los. Musisz się przestać tym martwić; przyszłość, lepsza czy gorsza, zależy tylko ode mnie i od Mikahla. Jeśli nam się nie uda, to z pewnością nie będzie to twoja wina.

- Mądra rada, ale chyba nie mogę się do niej zastosować - powie dział Ross z rozbawieniem, otwierając przed nią drzwi. - Musisz więc być szczęśliwa, żeby oszczędzić mi wyrzutów sumienia.

Sara weszła do hallu i zdjęła kapelusz.

- Jedziemy na kilka dni do Londynu. Zaczyna się Mały Sezon, a ja chcę pochwalić się przed wszystkimi moim wspaniałym mężem.

Ross wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy to znaczy, że mama namówiła cię, byś wybrała się na bal kuzynki Leticii?

- To jeden z powodów - przyznała Sara, oddając lokajowi kapelusz i bicz. - Nie widziałam Leticii od lat, ale teraz, kiedy chce wydać córkę za mąż, muszę być tam obecna. Właśnie takich przyjęć nie lubię najbardziej; dużych, hałaśliwych i nudnych. - Uśmiechnęła się znowu. - Mikahl mówi, że nigdy jeszcze nie spotkał kogoś, kto miałby tylu kuzynów i kuzynek co ja, ale chętnie będzie mi towarzyszył przy takich okazjach. Poza tym ma w mieście jakieś interesy, a ja muszę kupić trochę rzeczy do domu, ojciec chce przedstawić Mikahla królowej, znajdzie się pewnie jeszcze kilka spraw do załatwienia. Zostaniemy więc na jakieś dwa tygodnie, może dłużej. Ty też jedziesz na bal Letty?

Kiedy Ross wzruszył ostentacyjnie ramionami, Sara westchnęła:

- Głupie pytanie. Jakby ktokolwiek mógł przeciwstawić się cioci Marguerite!

- Mama ciągle powtarza, że zamieniam się w pustelnika i że jej obowiązkiem jest ciągnąć mnie do towarzystwa. Dlatego zaczynam już myśleć o następnej podróży. Najpierw do Konstantynopola, a potem w dół, do Lewantu.

Sara wzdrygnęła się odruchowo; podróże do niezbadanych części świata niosły ze sobą ogromne ryzyko. Rozumiała jednak potrzeby kuzyna i nie zamierzała powstrzymywać

go przed wyjazdem, podobnie jak nie robili tego jego rodzice. Ci, którzy kochali Rossa, wiedzieli, że puste życie towarzyskie w Anglii szybko doprowadziłoby go do szaleństwa.

Najpierw Jenny, potem Gates, a teraz Ross. Przechodząc do salonu, Sara zrozumiała, że jej miesiąc miodowy dobiegł końca. Nadal będą mogli wraz z Mikahlem cieszyć się sobą, nie uda im się jednak dłużej ukrywać przed światem.

Wkraczając do gabinetu Slade'a, Wędrowiec niedbałym gestem rzucił kapelusz na stolik, owa nonszalancja była jednak tylko pozorna. W rzeczywistości aż wibrował z emocji.

- Dzień dobry, Benjaminie. Ogromnie się cieszę, że wreszcie kości zostały rzucone. Jak City zareagowało na informacje o sprawach wytoczonych przeciwko L&S Railway?

Od rana akcje straciły połowę wartości, a notowania dalej lecą w dół jak kamień. - Slade odsunął krzesło od biurka i splótł dłonie na brzuchu. - Inwestorzy przyjęliby spokojnie pozew o większe odszkodowanie, a nawet nakaz sądowy wstrzymujący prace na ziemi Crawleya. Ale oskarżenia o podpalenie i spowodowanie śmierci Jimmy'ego Crawleya porządnie ich wystraszyły. Jedyne, co mogłoby przerazić ich jeszcze bardziej, to ujawnienie dowodów przeciwko Weldonowi i jego natychmiastowe aresztowanie.

- Doskonale. - Wędrowiec usiadł na fotelu i skrzyżował nogi. - Naprawdę cudownie.

- Reagujesz dość dziwnie, jak na człowieka, który stracił właśnie czterdzieści tysięcy funtów, a wkrótce straci jeszcze więcej - osądził go surowo Slade.

- Gotów byłbym zapłacić znacznie więcej za taką satysfakcję. Masz jeszcze jakieś inne wieści dotyczące Weldona?

- Wiem, że bank Hammersleya gotów był pożyczyć Weldonowi pieniądze na wykupienie długów, które przejeśliśmy jakiś czas temu, wcale się jednak nie zdziwię, jeśli po dzisiejszym spadku notowań wycofa się z tej obietnicy. - Prawnik wydał usta w zamyśleniu. - Jeśli chce uniknąć zastawu hipotecznego, będzie musiał pójść po pożyczkę do jakiegoś przyjaciela albo do lichwiarzy.

- Albo zaczniesz szantażować kogoś, kto był szczególnie niedyskretny w jednym z jego burdeli - dodał cynicznie Wędrowiec.

- Czy to źle? - zdziwił się Slade. - Martwi cię to, że jakiś łajdak może mieć kłopoty z twojego powodu?

- Człowiek nie powinien wstydzić się swoich czynów - odparł spokojnie Wędrowiec. - Tylko tchórz czy hipokryta pozwoli się szantażować. Być może, nim Weldon ostatecznie pogrzeje się w bagnie, pociągnie za sobą jeszcze kilku równie obrzydliwych typów.

Slade bawił się piórem.

- Zrobiłeś z Weldonem dokładnie to, co chciałeś. Zerwałeś jego zaręczyny i poślubiłeś

kobietę, która miała być jego żoną, pozbawiłeś go nadziei na tytuł, doprowadziłeś na skraj bankructwa. Czy myślałeś jednak o tym, co może się wydarzyć, kiedy Weldon dowie się, że to właśnie ty jesteś sprawcą wszystkich jego kłopotów? On może być bardzo niebezpieczny.

- Jestem pewien, że się tego dowie - odparł Wędrowiec z uśmiechem. - Właściwie, bardzo mi na tym zależy. Zemsta nie byłaby tak satysfakcjonująca, gdybym musiał dokonać jej z ukrycia.

Slade spojrzał nań uważnie.

To brawura. A jeśli on spróbuje skrzywdzić lady Sarę?

- Myślisz, że nie potrafię ochronić swojej żony? - odparł książę głosem zimnym jak lód.

- Chcesz zrobić z niej więźnia? W Londynie niemal w każdej chwili może paść ofiarą zabójcy uzbrojonego w pistolet - zauważył Slade równie chłodnym tonem. - Możesz ochronić ją, nie ujawniając choćby części prawdy, czy też nie obchodzi cię to, czy dowie się o twym oszustwie? - Skrzywił się lekko. - Do tej pory była już nieświadomym pionkiem w tej niebezpiecznej grze. Naprawdę chcesz, by stała się jej niewinną ofiarą?

Wściekłość na moment zaślepiła Wędrowca i odebrała mu mowę.

- Posuwasz się za daleko, Slade - wybuchnął wreszcie, uderzając pięścią w biurko. - O co ci chodzi, boisz się o własną skórę?

- O nią też - odparł prawnik, nie dając się zastraszyć. - Starannie zacierałem za sobą ślady, działałem poprzez całą sieć pośredników, ale jakiś zdeterminowany poszukiwacz może w końcu do mnie dotrzeć, a przeze mnie i do ciebie. - Slade odsunął krzesło i rzucił pióro na biurko. - W Indiach uratowałeś mnie przed katastrofą, Mikahl, w zamian za to służę ci najlepiej, jak potrafię. Ale jestem prawnikiem, nie żołnierzem, i prawdę mówiąc, nie mam ochoty zostać męczennikiem twojej obsesji. A co z ludźmi z twojej służby, takimi jak Jenny Miller? Co z przyjaciółmi, co z lordem Rossem? A ojciec twojej żony? Możesz ochronić ich wszystkich?

Choć Wędrowiec był wściekły, nie mógł nie przyznać Slade'owi racji. Zbyt długo pędził samotne życie, nie musiał martwić się o nikogo prócz samego siebie. Odkąd jednak przyplłynął do Anglii, stał się częścią całej sieci stosunków i uzależnień: przyjaciele, pracownicy, powinowaci.

I Sara. Gdyby Weldon chciał go skrzywdzić, uderzyłby przede wszystkim właśnie tutaj, nienawidził już bowiem Sary za jej zdradę. Łagodna, delikatna Sara, która nie miała nawet pojęcia, do jakiego zła zdolny jest człowiek.

Na samą myśl o tym, co może zrobić jego wróg, cierpła na nim skóra. Musiał dokonać

kolejnej zmiany w planach.

- Znajdź sześciu mężczyzn, którzy umieją obchodzić się z bronią i którzy gotowi byliby podjąć się ochrony moich najbliższych, Najlepiej byłych żołnierzy, ludzi, którzy nie dadzą się łatwo przekupić. Powiedz im, że sowicie wynagrodzę ich lojalność.

Było to jednak tylko częściowe rozwiązanie. Slade miał rację, nie mógł zapewnić Sarze całkowitego bezpieczeństwa, nie wyjawiając jej jednocześnie swoich planów. A gdyby nawet Weldon nie mógł osiągnąć jej bezpośrednio, spróbowałby zapewne skrzywdzić jej bliskich, gdyż w ten sposób skrzywdziłby także jego. Zbyt wielu ludzi narażonych było na niebezpieczeństwo, szczególnie jeśli nadal chciał wszystko zachować w sekrecie. Westchnął ciężko, dochodząc do nieuniknionej konkluzji.

- Obawiam się, że będę musiał skończyć tę zabawę w kotka i myszkę wcześniej, niż planowałem.

- Im szybciej, tym lepiej - zgodził się Slade.

Spędzili jeszcze kilka minut na omawianiu pozostałych zagadnień potem Wędrowiec opuścił dom prawnika.

Jeszcze przez dłuższy czas po wyjściu księcia, Slade stał przy oknie, wpatrzony w dal, z posepnym grymasem na twarzy. Nie mógł opędzić się od obaw, że zemsta, tak starannie zaplanowana i realizowana do tej pory bez najmniejszych potknięć, może w końcu obrócić się przeciwko nim. Wędrowiec uważał to za zabawę w kotka i myszkę, ale Weldon był raczej szczurem niż myszką. A osaczony szczur potrafił być naprawdę groźny.

Mąż kuzynki Leticii, lord Sanford, był bardzo bogaty i miał wielkie wpływy w kręgach polityków z partii wigów, więc bal z udziałem jego najstarszej córki uważany był za jedno z najważniejszych wydarzeń jesiennego sezonu towarzyskiego. Kiedy ich powóz dojeżdżał już do rezydencji przy Governor Square, Sara powiedziała z wahaniem do swego męża:

- Prawdopodobnie będzie tu dzisiaj Charles Weldon. Jest spokrewniony z mężem Letty.

- Zdziwiłbym się, gdyby go tutaj nie było. - Wędrowiec zerknął na kolejkę powozów czekających przed podjazdem do rezydencji - Z tego, co widzę, zjechała się tutaj arystokracja z całej Anglii. - Odwrócił się do Sary i spowaźniał. - Wolałabyś go już nigdy nie zobaczyć, prawda?

- Wcześniej czy później musimy się spotkać. Londyńskie towarzystwo nie jest tak duże, byśmy mogli unikać się bez końca - Sara zaczęła się bawić swym chińskim wachlarzem, zamykając go i otwierając na przemian. Postąpiła niegodnie względem Charlesa. Nie uważała tego za powód do dumy, choć z drugiej strony wcale nie żałowała zerwania poprzednich zaręczyn. - Pierwszy raz będzie najgorszy. Potem jakoś się już przyzwyczaję.

- Będiesz czuła się pewniej, jeśli pozostanę przy tobie przez cały wieczór? - spytał Wędrowiec łagodnie. Sara potrząsnęła głową.

- To nie będzie konieczne. Charles jest zbyt dumny, by robić mi jakieś sceny. Poza tym wiem, że ojciec chciałby przedstawić cię swoim znajomym.

- I publicznie uznać swego zięcia za pełnoprawnego członka rodziny? - Mikahl uśmiechnął się lekko. - Myślałem, że załatwiła to już oficjalna wizyta u królowej.

Ojciec nie chce, by ktokolwiek przypuszczał, że nie akceptuje swego zięcia. Duma rodzinna St. Jamesów, rozumiesz. - Sara spojrzała na męża z czułością. - Czy ta wizyta na dworze była aż tak straszna? Powiedziałeś mi tylko, że nie przyniosłeś wstydu sobie ani mnie.

To było interesujące doświadczenie, choć wolałbym go już nie powtarzać. Byłem jednym z dwustu mężczyzn, których przedstawiono królowej, czułem się jak wielbłąd w karawanie. - Wędrowiec wy szczyrzył zęby. - Czy zdradą byłoby stwierdzenie, że gdybym spotkał tę twoją Wiktorię gdziekolwiek indziej, powiedziałbym, że to kokieta o rozbieranym spojrzeniu?

- Nie przeczę, że tak jest naprawdę, ale na miłość boską, nie powtarzaj tego nikomu innemu. - Sara zachichotała. - Drina ma tylko dwadzieścia lat i zawsze lubiła patrzeć na

przystojnych mężczyzn. Nie wiadomo jeszcze, którego ze swych niemieckich kuzynów wybierze na męża, ale z pewnością będzie to jakiś przystojniak.

- Drina?

- To jej przezwisko z dzieciństwa, od Aleksandriny - wyjaśniła Sara. - Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy po wstąpieniu na tron postanowiła używać jednego z dalszych imion. Z drugiej strony, królowa Wiktorja brzmi znacznie lepiej niż królowa Aleksandrina.

- Nie wspominałaś, że tak dobrze znasz królową - zauważył Mikahl z zainteresowaniem.

- Kiedy była dzieckiem, często odwiedzałam ją w Kensington Pałacu. Byłam dość dobrze urodzona, by uznano mnie za odpowiednią towarzyszkę dla królowej. - Sara westchnęła. - Choć jestem od niej siedem lat starsza, Drina i ja przypadłyśmy sobie do gustu. To naprawdę słodkie dziecko, poza tym było mi jej bardzo żal, bo matka Driny, księżna Kentu, trzymała ją niemal przez cały czas w zamknięciu. Kiedy księżna zorientowała się, że dziewczynka bardzo mnie polubiła, nie mogłam jej już więcej odwiedzać.

- Nie wydaje mi się, żeby było to odpowiednie wychowanie dla przyszłej królowej.

- Nie - przyznała Sara. - Lecz mimo to Drina wyrosła na całkiem rozsądną kobietę. Ma swoje zdanie i jest bardzo sumienna. Mało kto o tym wie, ale kiedy została królową, zaczęła spłacać dwudziestoletnie długi swego ojca, zmniejszając wydatki z prywatnych funduszy.

Mikahl uniósł brwi, zaskoczony.

- Hanowerczyk, który spłaca długi? Jej królewscy wujowie prze wracają się chyba w grobach. Może ona jest podrzutkiem?

Sara znów zachichotała.

- Tego też nie powtarzaj przy ludziach. Drina jest dobrym człowiekiem i na pewno będzie też dobrą królową. Poprosiła mnie, bym została jedną z dam dworu, a ja omal się nie zgodziłam, ale życie na dworze jest bardzo nużące i często wymaga nawet kilku godzin stania. W końcu więc odmówiłam, wymawiając się chorą nogą. Ułomność miewa też swoje zalety.

Powóz podjechał o kilka stóp i znów zatrzymał się w miejscu.

- Niewiele wiem o dworskich zwyczajach - mówił Mikahl - ale towarzyskie życie arystokracji jest z pewnością bardzo nużące. Z radością wrócę do Sulgrave.

- Trzeba przyznać, że znosisz te wszystkie bzdury z ogromną cierpliwością. Tęsknisz czasami za prostym, prymitywnym życiem?

- Prymitywne nie zawsze znaczy proste. W porównaniu z systemem społecznym większości plemion, londyńskie układy wydają się naprawdę nieskomplikowane. - Mikahl

uniósł jej dłoń i odsunawszy skraj czarnej rękawiczki, ucałował ją czule. - Poza tym, kiedy będę już bardzo znudzony, odświeżę umysł myślami o tej wspaniałej jedwabnej bieliźnie, którą podarowałem ci dzisiaj wieczorem. Nosisz ją dzisiaj, prawda?

Przeniknięta przyjemnym dreszczem, Sara zarumieniła się i skinęła głową.

- Jesteś naprawdę niepoprawny. Mikahl uniósł brwi.

- Oczywiście. Czyż nie jest to jedna z tych cech, które podobają ci się we mnie najbardziej?

Sara zaczerwieniła się jeszcze mocniej i ponownie skinęła głową.

- A ty, słodka Saro, naprawdę cudownie się rumienisz - oświadczył Wędrowiec, patrząc na nią z niekłamaną przyjemnością. - Możemy wyjechać stąd trochę wcześniej? Chętnie sprawdziłbym, co też wywołuje te wdzięczne rumieńce.

- Wystarczy, że pobędziemy tylko przez godzinę - zapewniła go Sara, również żywo zainteresowana tematem rumieńców.

Wreszcie nadeszła ich kolej, wysiedli więc z powozu i weszli do Sanford House, gdzie znów odczekali swoje, tym razem w kolejce do gospodarzy. Lady Sanford ucieszyła się szczerze na widok Sary, przyjęła też z przychylnym zainteresowaniem jej męża. Mikahl jak zwykle był czarujący, ucałował dłonie gospodyni i jej córki, zostawiając obie damy w stanie całkowitego zauroczenia swą osobą. Sara przywykła już do tego, że kobiety reagują w taki sposób na jej męża; dopóki on nie odpowiadał tym samym, w niczym jej to nie przeszkadzało.

Ogromna, rozjarzona blaskiem setek świec sala balowa powoli się wypełniała gośćmi. Czarne surduty mężczyzn kontrastowały z bajecznie kolorowymi sukniami dam. Sara zatańczyła z Mikahlem, korzystając z faktu, że na parkiecie było jeszcze dość luźno. Dźwięki muzyki przeplatały się z gwarem rozmów, powietrze przesycone było zapachem perfum i rozgrzanych ciał.

Odańczywszy walca ze swoją żoną, Mikahl oddalił się wraz z diukiem Haddonfield do salonu, Sara zaś zaczęła witać się z innymi gośćmi. Cały czas jednak zerknęła czujnie na tłum; jeśli miała spotkać się dzisiaj z Charlesem, chciała być do tego odpowiednio przygotowana.

Charles Weldon stał w grupie rozdyktowanych mężczyzn, sam jednak nie brał udziału w rozmowie, tylko obserwował czujnie drzwi sali. Dzięki temu od razu zauważył wejście lady Sary i jej męża. Choć bardzo nie podobał mu się ten pomysł, zamierzał jeszcze tego wieczoru porozmawiać z Wędrowcem i przeprosić go za obelgi, którymi obrzucił go tamtego feralnego dnia. Jeśli książę da się przebłagać, spróbuje pożyczyć od niego pieniądze, by uratować się przed finansową katastrofą.

Kilka minut później nastrój Weldon wyrażnie się poprawił, do sali wszedł bowiem lord Melbourne, premier z partii wigów. Choć nie łączyła ich osobista zażyłość, Weldon był pewien, że dzięki wsparciu, jakiego udzielał wigom, może liczyć na przychyłność premiera.

Uznając, że nadeszła już pora, by spytać, kiedy wreszcie zostanie obdarzony tytułem barona, Weldon ruszył w stronę lorda Melbourne. Ten dostrzegł go już z daleka.

- Miło mi pana widzieć, sir Charles - powiedział na przywitanie. - Słyszałem o kłopotach pańskiej spółki kolejowej. Ma pan prawdziwego pecha.

Weldon zbył te słowa machnięciem ręki, choć w środku gotował się ze złości.

- Fałszywe oskarżenia człowieka, który nie może pogodzić się ze śmiercią swego syna. Sprawa zostanie rozwiązana w ciągu tygodnia. A tymczasem, ponieważ notowania chwilowo spadły, nadarza się doskonała okazja do kupna akcji L&S.

- Będę to miał na uwadze - odparł Melbourne wymijająco. Odwrócił na moment głowę, szukając wśród tłumu znajomych twarzy. - A teraz, jeśli pan wybaczy...

- Jeszcze chwileczkę, proszę. - Starannie dobierając słowa, Weldon powiedział: - Chciałbym tylko przypomnieć o sprawie, którą poruszaliśmy zeszłego roku podczas pańskich odwiedzin w mojej posiadłości. Czy ma pan już jakieś konkrety?

Premier pokręcił głową.

- Proszę spytać mojego sekretarza. Może on będzie wiedział coś więcej na ten temat.

- Zrobiłem to. - Weldon z trudem zachowywał spokój, - Odesłał mnie do pana..

Melbourne milczał przez chwilę, zachowując obojętny, beznamiętny wyraz twarzy. Wreszcie powiedział:

- Zajmę się tą sprawą, ale nie mogę nic obiecać. Mamy obecnie trudną, naprawdę bardzo trudną sytuację polityczną. Torysi depczą nam po piętach, a mój rząd może upaść w ciągu najbliższych kilku tygodni. To nie jest dobry czas na rozstrzygnięcie kwestii, które mogą wzbudzać podejrzenia o prywatę. - Przesłał Weldonowi szybki, po zbawiony znaczenia uśmiech. - Lepiej odłożyć to na jakiś czas, sir Charles. A teraz naprawdę muszę już iść. Mam bardzo ważne spotkanie.

Kiedy Melbourne zniknął, Weldon stał jak wryty; otepiał ze zdumienia nie zauważał w ogóle tłoczących się dokoła gości. A niech to wszyscy diabli! Znał się na tyle na polityce, by zrozumieć, że jego starania o tytuł zakończyły się właśnie fiaskiem.

Teoretycznie rząd przyznawał tytuły szlacheckie za wybitne zasługi dla narodu; otrzymywali je niemal wszyscy bohaterowie wojenni. Zdarzało się też jednak, że tytuł wędrował do człowieka, którego jedyną zasługą było finansowe wsparcie udzielane danej partii politycznej, czemu zresztą nikt się specjalnie nie dziwił.

Starania o godność barona kosztowały Weldon dwadzieścia tysięcy funtów w postaci łapówek, plus wiele innych przysług, które wyświadczał różnym osobom w ciągu minionych kilku lat. Poza tym wydał ponad sto tysięcy funtów na rzecz partii wigów, oczywiście z myślą o tym, że wysoko postawieni politycy poprą jego starania i zapewnią mu upragniony tytuł.

Sto tysięcy funtów było sumą ogromną, wystarczającą w zupełności do pokrycia jego obecnych długów i znacznej poprawy ogólnej kondycji finansowej jego przedsięwzięć. Teraz pieniądze te przepadły, a on nic nie mógł na to poradzić, bo - teoretycznie - wspierał wigów z czystej sympatii, nie oczekując niczego w zamian.

Wyjaśnienia, których udzielił mu Melbourne, były absurdalne. Rząd wigów już od jakiegoś czasu nie miał mocnej pozycji, gdyby jednak rzeczywiście groził mu upadek, wigowie wykorzystaliby ostatnie chwile, by hojnie rozdzielać tytuły; taki obyczaj także już nikogo nie dziwił.

Dopiero, gdy doszedł w swych rozmyślaniach do tego punktu, Weldon zadał sobie pytanie, co się właściwie stało. Żaden polityk nie odcinałby się bez przyczyny od poważnego sponsora; choć nikt nie mówił tego otwarcie, wiadome było, że Weldon może być już pewny tytułu. Więc co, u diabła, mogło się wydarzyć?

Weldon zrozumiał nagle, że pytanie to dotyczy wszystkich sfer jego życia. Jeszcze kilka miesięcy temu, na początku lata, wszystko doskonale się układało; interesy szły jak po maśle, upragniony tytuł był w zasięgu ręki, został narzeczonym kobiety, której status społeczny zapewniłby mu lepszą pozycję w towarzystwie. Teraz niczym Hiob, musiał patrzeć, jak wszystko obraca się w popiół.

Narzeczona go zdradziła, stał na krawędzi bankructwa, a przedsięwzięcie, w którym pokładał największe nadzieje na sukces finansowy, wplątane było w całą serię procesów sądowych. Zapelniał jakby złośliwy los postanowił nagle zniszczyć jego życie osobiste i publiczne.

Weldon zauważył nagle, że stojący obok goście przyglądają mu się z niepokojem, szybko więc przybrał pogodny wyraz twarzy, by ukryć wewnętrzny zamęt. Wiedział, że kiedy interesy nie idą dobrze, zawsze lepiej wyglądać na pewnego siebie; strach zwabiłby tylko hieny i sępy, gotowe skorzystać na jego nieszczęściu.

Zaczął przeciskać się przez tłum, wypełniający salę balową, i choć sam nie wiedział, gdzie właściwie powinien iść, starał się wyglądać na zdecydowanego. Nagle zupełnie nieoczekiwanie stanął twarzą w twarz z księciem Wędrowcem. Przez chwilę obaj mężczyźni w milczeniu mierzyli się wzrokiem. W spojrzeniu księcia Weldon dostrzegł rezerwę i czujność, ale nie wrogość.

Przypominając sobie, że zamierzał przedtem ponownie obłaskawić barbarzyńcę, Weldon uśmiechnął się grzecznie. Stracił szansę na tytuł, ale może uda mu się jeszcze poprawić sytuację finansową.

- Dobry wieczór, wasza wysokość.

- Dobry wieczór. - Kafiristańczyk wskazał głową na środek sali. - Przypomina mi to zamieszki uliczne w Kalkucie.

Uznając tę uprzejmość za zachętę do dalszej rozmowy, Weldon odparł:

- Rzeczywiście, prawdziwy tłum. Sanfordowie nie uznają półśrodków. - Starając się, by w jego głosie pobrzmiwał szczerzy żal, dodał: - Jestem panu winien przeprosiny. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni... cóż, powiedziałem rzeczy, których nigdy nie powinienem był powiedzieć. Nigdy.

Wędrowiec machnął ręką z lekceważeniem.

- Był pan wzburzony. Któż mógłby zdobyć się na spokój w takich okolicznościach? Zastać swoją kobietę w objęciach innego... To najgorszy koszmar każdego mężczyzny.

- Otóż to. - Weldon postanowił skorzystać z wymówki oferowanej mu przez księcia, choć jego słowa doprowadzały go do pasji. - Szczególnie jeśli ten inny jest dobrym przyjacielem. Powodował mną zresztą nie tylko gniew, ale i troska o lady Sarę. Obawiałem się, że w swej niewinności może paść ofiarą zwykłego uwodziciela. Ale to nie było zwykłe uwiedzenie, prawda? Fakt, że lady Sara została pańską żoną, pozwala mi przypuszczać, że ów incydent był wynikiem miłości, a nie tylko pożądania. W takiej sytuacji, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć wam obojgu szczęścia.

Wędrowiec wcale nie wyglądał na skruszonego, odparł jednak:

- I ja jestem panu winien przeprosiny. Zawiodłem pańskie zaufanie i zdradziłem naszą przyjaźń.

- Przyjaźń często kończy się tam, gdzie pojawia się kobieta - wzruszył ramionami Weldon. - Moja strata jest pańskim zyskiem. Mam nadzieję, że obaj zapomnimy o tym, co było, i znów zostaniemy przyjaciółmi.

- Ależ oczywiście - odparł Kafiristańczyk z dziwnym błyskiem w oku. - Tak się składa, że chciałbym pana zapytać o te sprawy, które wytoczono przeciwko naszej spółce.

Weldon, który uwierzył już prawie w powodzenie swej misji, poczuł, że znowu traci grunt pod nogami. Siłąc się na spokojny, rzeczowy ton, odparł:

- Wszystkie oskarżenia są fałszywe i wkrótce zostaną oddalone.

- Czyżby? - Wędrowiec uniósł brwi w grymasie niedowierzania. - Inwestorzy z City tak nie myślą. Spadek notowań jest wręcz katastrofalny. Procesy o wyższe odszkodowania to

w przypadku spółki budowlanej rzecz normalna, ale oskarżenie o morderstwo to coś zupełnie innego. Jeśli zostanie udowodnione, pan sam może trafić do więzienia.

Weldon zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu.

- Podejrzewam, że stoi za tym jakaś konkurencyjna spółka. Ci ludzie wiedzą, jak dochodowa może być L&S Railway, więc chcą ją doprowadzić do upadku, a potem przejąć. Crawley, ten farmer, który oskarżył nas o podpalenie i zabicie jego syna, wyjechał wraz z całą rodziną. Wyczuwam tu jakiś podstęp.

- Doprawdy? - Wędrowiec znów uniósł brwi.

Na pewno słyszał pan, do jakich metod uciekają się firmy rywalizujące o tę samą trasę. Niektóre spółki zmuszone były wykupywać inne, by nie wypaść z branży - ciągnął Weldon, rozwijając swą teorię. - Wolałbym tego uniknąć, bo nie jest to dobry sposób na pomnażanie zysków, ale być może w tym wypadku przekupienie oskarżycieli byłoby najlepszym wyjściem z sytuacji.

- Tak, być może tak właśnie należałoby zrobić - zgodził się książę. Weldon dotarł wreszcie do sedna sprawy.

- Z powodu tych problemów sądowych i spadku notowań naszych akcji firma cierpi na chwilowy brak gotówki. Czy jest pan może zainteresowany powiększeniem swych udziałów w spółce? To zabezpieczy pańską obecną pozycję, a w przyszłości z pewnością przyniesie spore zyski.

Wędrowiec zmarszczył brwi w zamyśleniu. Weldon wstrzymał oddech, starając się nie okazywać zdenerwowania. Nie był pewien, czy nie przeszedł do zasadniczej kwestii zbyt szybko, jednak mina Kafiristańczyka rokowała jak najlepiej.

Wędrowiec spojrzał prosto w oczy Weldona i oświadczył uprzejmym tonem:

- Prędzej zobaczę cię w piekle.

Nie wierząc własnym uszom, Weldon wydukał tylko:

- Cc.cco?

Książę posłusznie powtórzył swe słowa:

- Prędzej ujrzę cię w piekle, niż ocalę przed katastrofą, na którą tak bardzo sobie zasłużyłeś.

Była to jedna z tych chwil, kiedy wszystkie zmysły człowieka są niezwykle wyostrzone. Weldon słyszał pulsującą wokół nich muzykę, strzępy rozmów, czuł zapach perfum i spoconych ciał. Jakaś kobieta musnęła go skrajem sukni, wirując w tanecznym obrocie. Przede wszystkim jednak świadom był hipnotyzującego spojrzenia zielonych oczu Kafinstańczyk, który patrzył nań ze złośliwą satysfakcją. Weldon nigdy nie widział równie

zielonych oczu.

Nie, jednak widział już kiedyś takie oczy. Kiedy po raz pierwszy spotkał Wędrowca, miał wrażenie, że skądś go zna. Kiedy i gdzie widział takie zielone oczy? Intensywny namysł przyniósł wreszcie nieprawdopodobną, wstrząsającą odpowiedź.

- Trypolis - wykrztusił Weldon. Przyglądał się twarzy stojącego przed nim mężczyzny, szukając rysów zapomnianego chłopca. - Nie, to niemożliwe. Ty nie możesz być...

Wciąż szyderczo uprzejmy, Kafiristańczyk odpowiedział:

- Co jest niemożliwe, że wreszcie dosięgła cię sprawiedliwość? Wtedy też mówiłeś, że to niemożliwe. Wydawałoby się, że świadectwo twoich oczu powinno cię jednak przekonać, że jest inaczej.

Słowa te brzmiały niczym echo z odległego czasu i miejsca i natychmiast rozwiały wszelkie wątpliwości Weldon. Nagle wszystko ułożyło się w jedną przerażającą całość, bo uświadomił sobie że wszystkie problemy rozpoczęły się z chwilą, gdy w jego życie wkroczył Wędrowiec.

Gotując się z wściekłości, Weldon wysyczał:

- Więc to nie był zwykły pech, tak? Ty nędzny szubrawcze, prześladowałeś mnie od miesięcy, gnębiłeś w każdy możliwy sposób. Lady Sara, kolej, może nawet tytuł barona.

- Właśnie tak. - Wędrowiec zachowywał kamienną twarz, choć w środku aż wibrował z podniecenia. Dwadzieścia pięć lat czekał na tę chwilę, na chwilę, gdy Weldon zrozumie, że zbliża się jego kres. - Postanowiłem ci o tym powiedzieć, bo nie mogłem się doczekać, kiedy sam mnie rozpoznasz.

Na twarzy Weldon malowała się cała gama emocji; szok, wściekłość, a przede wszystkim strach. Po chwili jednak zapanował nad sobą, a spod maski dżentelmena wyjrzała jego prawdziwa, podła natura.

- Bez wątpienia zmieniłeś się od tamtego czasu. - Zmierzył Wędrowca szyderczym spojrzeniem. - Nigdy nie uwierzyłbym, że taki brudny bachor jak ty, może skutecznie naśladować maniery dżentelmena. Bo to właśnie robisz: naśladujesz.

- Uczyłem się tej sztuki od prawdziwego mistrza - odparł Wędrowiec uprzejmie.

Głośne tony skrzypiec zapowiedziały nowego walca - soczysta, zmysłowa muzyka okręciła się wokół dwójki mężczyzn. Weldon wykrzywił twarz w pogardliwym uśmiechu.

- Jak dorobiłeś się fortuny? Pewnie zacząłeś od sprzedawania swojego ślicznego...

Nim Weldon zdążył dokończyć zdanie, Wędrowiec eksplodował, wściekłość zalała mu oczy czerwoną falą. Lewą dłonią złapał swego wroga za gardło, prawą zacisnął w pięść.

Czuł, jak krew Weldon pulsuje pod jego palcami.

potem dojrzał triumf w jego oczach i zrozumiał, że został sprowokowany do takiej właśnie reakcji. Coraz więcej głów odwracało się w ich stronę; jeszcze chwila, a obaj będą w centrum uwagi, odegrają przed wszystkimi scenę, w której to Wędrowiec będzie złoczyńcą.

Natychmiast puścił gardło Weldon i potarł dłonią klapę jego surduta, jakby strzepywał stamtąd jakiś pyłek. Zaciekawieni goście odwrócili głowy, przekonam, że to, co dojrzeli kątem oka, musiało być tylko złudzeniem.

Uśmiechając się łagodnie, Wędrowiec powiedział:

- Następnym razem już mnie tak nie podejdziesz, Weldon. Masz szczęście, mógłbym cię bez trudu udusić. Miałbym potem kłopoty z prawem, ale ty byłbyś już martwy. - Uśmiechnął się szerzej. - Cudowna perspektywa, tyle że taka śmierć byłaby dla ciebie o wiele, o wiele za szybka.

Odpowiadając równie nieszczerym uśmiechem, Weldon spytał:

- Czego ode mnie chcesz, bydlaku?

- Och, z pewnością dobrze wiesz czego, Weldon. - Uśmiech zniknął z twarzy Wędrowca, a jego głos stał się twardy jak stal. - Przybyłem tu, by cię zniszczyć w imieniu wszystkich twoich ofiar. Zabrałem ci już wiele, spośród tego, co cenisz sobie najbardziej, ale nie spocznę, dopóki nie wychylisz kielicha gorzkiego.

- Jesteś szalony - odparł Weldon z pogardą, - To tylko melodramatyczne bzdury ze Wschodu. Tutaj jest Anglia, Pomimo wszystkich problemów, których mi przysporzyłeś, mam jeszcze dość władzy, pieniędzy i wpływów, by zgnieść takiego szczura jak ty. Teraz, kiedy wiem już, co robisz, bez trudu się z tobą rozprawię. Na nic się nie zdadzą twoje nędzne knowania.

Jak dotąd te moje nędzne knowania okazały się dość skuteczne, co? - mruknął Wędrowiec, rozmyślając o tym, jak dziwne, a jednocześnie odpowiednie, są okoliczności tej rozmowy; oto dwóch śmiertelnych wrogów spotyka się ze sobą pośród rozbawionego tłumu.

Weldon zmrużył oczy, poruszony nową myślą.

- Moje długi... to ty je wykupiłeś i żądasz teraz zapłaty? Wędrowiec ukłonił się lekko, pozwalając sobie przy tym na kpiący uśmieszek.

- Mam ten skromny zaszczyt.

- W takim razie ja z przyjemnością odmówię zapłaty - warknął Weldon.

- Przykro mi pozbawiać cię przyjemności - westchnął Wędrowiec z udawanym żalem.

- Ale gdy tylko to zrobisz, natychmiast naśle na ciebie komorników. Zajmę wszystkie twoje posiadłości; rezydencję w Londynie, posiadłość w Hertfordshire, budynki w City. - Potarł

brodę w zamyśleniu. - Zastanawiam się, czy mógłbym też zająć burdele. Oczywiście działają nielegalnie, ale są częścią twojego majątku, i mogę to udowodnić w sądzie.

Weldon pobałdł.

- Ile ty o mnie wiesz?

- Wszystko - odparł cicho Wędrowiec. Te słowa zawisły w powietrzu niczym dym z ogniska. Obok przemknęła jakaś roześmiana para, zostawiając za sobą zapach perfum i potu.

W oczach Weldona pojawił się drapieżny błysk.

- Więc to wojna. Ponieważ ty chcesz zniszczyć mnie, nie mam innego wyjścia, jak zniszczyć wpięrw ciebie.

- Możesz próbować, ale i tak ci się nie uda. Nawet jeśli zdołasz mnie zabić, osiągnę cię zza grobu.

- Oszczędź mi tych melodramatycznych bzdur. Obaj mamy wiele do stracenia, ale tylko ty stracisz wszystko - mówił Weldon z naciskiem. - Odsłaniając się, wydał na siebie wyrok, bo zrobię wszystko, by cię zniszczyć.

- Jest pewna granica, której nie przekroczysz - odparł Wędrowiec lodowatym tonem. - Jeśli skrzywdzisz Sarę, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś, przysięgam ci to.

Tym razem na twarzy Weldona pojawił się prawdziwy uśmiech.

- Jakież z ciebie głupiec. Właśnie włożyłeś mi do ręki idealną broń. Trudno uwierzyć, że taka mała, oziębła pokraka jak ona może interesować jakiegokolwiek mężczyznę, skoro jednak zależy ci na niej, to właśnie ona zapłaci za twoje zbrodnie.

Weldon próbował się odwrócić, ale Wędrowiec złapał go za ramię.

- Posłuchaj mnie uważnie; Nie skrzywdzisz Sary! Jeśli coś jej się stanie, to Eliza zapłaci za twoją niegodziwość.

Weldon zbałdł jak ściana.

- Nie zabiłbyś małej dziewczynki. Nawet ty nie jesteś takim potworem.

- Rzeczywiście, nie zabiłbym jej - odrzekł Wędrowiec spokojnie. - Ale oboje żałowałibyście, że tego nie zrobiłem. Choćbyś nie wiem jak się starał, nigdy nie zdołasz ukryć przede mną Elizy. A kiedy ją znajdę, sprzedam ją do burdelu.

Kiedy Weldon cofnął się o krok, przerażony, Wędrowiec wykręcił mu rękę w nadgarstku. Zniżając głos do zimnego, złowrogiego szeptu, mówił dalej:

- Najpierw wysłałbym ją do domu dziewic. Pomyśl tylko, Weldon, twoja ukochana mała dziewczynka w łapskach takich brutalni jak ty. Poleciłbym też, by najpierw oddano ją mężczyźnie, który przez stosunek z dziewczycą chce uleczyć syfilis. Potem posłałbym ją do bardziej wyspecjalizowanego lokalu, może tam, gdzie używa się biczu albo mechanicznych

urządzeń. Oczywiście nie byłby to żaden z angielskich burdeli. Wysłałbym ją gdzieś daleko, gdzie nigdy byś jej już nie odnalazł. - Przekreślił rękę Weldon jeszcze mocniej, omal nie wyłamując mu jej ze stawu. - Jak myślisz, jak długo pożyje twoja wypieszczona córeczka, hm? Zadbam też o to, by wiedziała, że to jej kochany tatuś wysłał ją do piekła.

- Ty plugawy bękarcie! - zaklął Weldon, rozwścieczony i przerażony jednocześnie. - Jesteś podły, naprawdę podły!

Wędrowiec wypuścił jego rękę z uścisku.

- Podłości uczyłem się od mistrza, podobnie jak naśladowania prawdziwych dżentelmenów. Rozumiem, że sprawa została załatwiona: ty zostawisz Sarę, a ja oszczędzę Elizę?

- Zgoda. Ale to jedyna umowa między nami. - Weldon potarł obolały nadgarstek, patrząc na Wędrowca z nienawiścią. - Pożałujesz, że zachciało ci się kiedykolwiek podnieść na mnie rękę. Jesteś zwykłym kryminalistą, nie masz ze mną najmniej szych szans.

- Wręcz przeciwnie, nie jestem kryminalistą, lecz wcieloną sprawiedliwością. - Wędrowiec rozkoszował się tą chwilą, myśląc, że kiedy rozmowa dobiegnie już końca, będzie musiał odszukać Sarę i podzielić się z nią swoją radością. Ponownie zniżył głos do zło wrogiego szeptu: - Posiałeś wiatr, Weldon. Teraz zbierzesz burzę.

Sara zaczęła się właśnie zastanawiać, co porabia jej mąż, kiedy ten stanął przed nią, dziwnie rozpromieniony. Powitawszy grzecznie starą ciotkę, z którą rozmawiała właśnie Sara, powiedział cicho:

- Chodźmy stąd, słodka Saro. Znalazłem miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie potańczyć, a nie gnieść się jak śledzie w beczce.

Sara uśmiechnęła się pod nosem, po czym grzecznie zakończyła rozmowę z ciotką. Kiedy mąż prowadził ją przez salę balową, spytała:

- Znalazłeś kolejny balkon, na którym będę mogła uczyć cię mowy wachlarza?

- Coś lepszego.

W jego głosie pobrzmiwały jakieś dziwne nuty. Sara spojrzała nań pytająco, zastanawiając się, czy nie pił alkoholu. Nigdy jeszcze nie widziała Mikahla pijanego, teraz jednak wydawał się dziwnie pod ekscytowany. Wywiódł ją z sali, potem skręcił w ciemny korytarz. Doszedłszy do połowy korytarza, otworzył drzwi po prawej stronie i wprowadził Sarę do niewielkiego saloniku, w którym płonęła tylko jedna lampka.

Sara niepewnie rozejrzała się dokoła.

- Jesteś pewien, że powinniśmy tutaj zostać?

Pewnie nie. - Wędrowiec przekręcił klucz w zamku i dopiero wtedy odwrócił się do żony. - Podejrzewam, że tutaj przyjmuje się nieproszonych gości; niewiele tu mebli, a przy tym wszystkie są niewygodne. Z drugiej strony, jest tu trochę otwartej przestrzeni, a sala balowa jest tuż za ścianą, więc całkiem dobrze słyhać muzykę. - Ukłonił się nisko. - Czy moja dama zechce ze mną zatańczyć?

- Oczywiście. - Uśmiechając się, Sara wyciągnęła rękę, stając w tanecznej pozycji. - Muszę ci jednak powiedzieć, że to bardzo niestosowne zachowanie.

- Co takiego? Taniec z własną żoną jest niestosowny?

- Ukrywanie się w oddzielnym pokoju, zamykanie drzwi na klucz i trzymanie partnerki tak blisko z pewnością jest niestosowne. - Spoczęła w objęciach Mikahla. Miała wrażenie, że jej stopy ledwie dotykają ziemi. Tylko jej mąż mógł zapewnić im absolutną prywatność w miejscu, gdzie bawiło się kilkaset osób. - Pamiętaj, partnerów musi dzielić odległość co najmniej dwunastu cali.

- A ja myślałem już, że wiem wszystko o dobrych manierach - mruknął, przyciągając ją mocno do siebie. - To naprawdę dziwny kraj.

Sara odchyliła głowę do tyłu i się roześmiała.

- Oczywiście, że to dziwny kraj. Dwa czy trzy lata temu lady Gough opublikowała podręcznik dobrych manier, w którym zaleca, by książki autorstwa kobiet i mężczyzn stały na oddzielnych półkach.

- Żartujesz!

- Wcale nie - odparła Sara poważnie, z przyjemnością pozwalając by Mikahl wprowadzał ją do kolejnego, płynnego obrotu. - Chyba że autorzy są małżeństwem, wtedy ich książki mogą spoczywać obok siebie na tej samej półce.

- Nigdy nie zrozumieję Anglików. - Książkę parsknął śmiechem. - Ale czy fakt, że zostałem przedstawiony królowej, nie czyni mnie przyzwoitym, godnym szacunku dżentelmenem?

- Nic i nigdy nie uczyni cię całkiem przyzwoitym - odrzekła Sara z przekonaniem, Mikahl roześmiał się, wprawiając w drżenie całe ją ciało. Po chwili zwolnił tempo tańca, zataczając niniejsze, powolniejsze kręgi. Potem pochylił się i ucałował żonę. Sara z chęcią, przyjęła pocałunek, taniec bowiem rozbudził wszystkie komórki jej ciała, nappełnił je rozkosznym oczekiwaniem. Wkrótce kręcili się już tylko wokół własnej osi, wreszcie zupełnie przerwali taniec, pozwalając, by rytm kierował tylko ruchem ich ust, języków i przyspieszonych oddechów.

Kiedy muzyka za ścianą ucichła, Sara odchyliła głowę do tyłu i wyszeptwała:

- Moja energia yin j est teraz bardzo silna.

Mikahl uśmiechnął się szeroko i delikatnie popchnął ją do tyłu, aż oparła się plecami o ścianę.

- Doskonale, bo ja czuję się bardzo yang.

Ściągnął rękawiczki i włożył je do kieszeni surduta, po czym znów zaczął ją całować. Tym razem jego dłonie błądziły po całym jej ciele, pieściły ją i rozpalały.

- Moja stara guwernantka miała rację, kiedy ostrzegała mnie, że walc to niebezpieczny taniec - powiedziała Sara słabo, opierając się o ścianę.

- Mądra kobieta ta twoja guwernantka. - Szeptał jej prosto do ucha, wypełniał je ciepłym powietrzem, co przynosiło jeszcze bardziej zniewalające efekty. - Przed czym jeszcze cię ostrzegała? - Obejmując dłońmi pośladki Sary, przyciągnął ją mocniej do siebie.

Czując, jak ogień pożądania rozpala jej lędźwia, odparła bez tchu:

Przed wilkami w owczej skórze.

Czy ja jestem takim wilkiem, Saro?

Nie, ty jesteś raczej wilkiem w wilczej skórze. - Orkiestra rozpoczęła kolejną melodię. Sara czuła, jak muzyka pulsuje w jej ciele, wibruje od stóp aż po końcówki włosów. - Moje

guwernantka na pewno by cię nie zaakceptowała.

To dobrze, bo ja na pewno nie zaakceptowałbym jej. - Mikahl położył dłoń na wzniesieniu Wenus i zaczął zataczać nią powolne kręgi. Wzgórze Wenus, Cynobrowa Brama.

Jesteś całkiem... całkiem bezwstydnym. - Sara miała wrażenie, że zaraz spłonie żywym ogniem. - Proszę - błagała. - Chodźmy stąd natychmiast. Oszaleję, jeśli nie wrócimy zaraz do domu.

- Przyznaję, że jestem bezwstydnym, ale jeszcze nie czas na powrót do domu. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Pochylił się, by podnieść brzeg jej sukni, potem wstał, wsuwając jednocześnie dłoń między jej uda.

Aaach... - jęknęła Sara i zamknęła oczy, poddając się kolejnym falom przyjemności. Dobrze, że w tym pokoju nie było porządnej sofy, bo zapewne już by na niej leżeli. Jedwabne figi były tak cienkie, że właściwie niewyczuwalne pod dotykiem jego dłoni.

Otworzyła raptownie oczy, kiedy zrozumiała, że jego palce rzeczywiście dotykają jej nagiego ciała, wsuwają się w jej wilgotne, intymne głębie.

- Jak...? - Po chwili zrozumiała, że figi muszą mieć otwarty szew, Mikahl podarował jej tę bieliznę tuż przed balem, zakładała ją więc tak szybko, że nie zdążyła tego zauważyć.

- Ty diable! - Przestraszona, odruchowo zacisnęła palce na jego ramieniu. - Więc dlatego chciałeś, żebym je dziś włożyła. Planowałeś to?

Zaniósł się głębokim męskim śmiechem.

- Niezupełnie. Nie wiedziałem, czy w tym domu jest miejsce, gdzie moglibyśmy schować się przed innymi. Wolałem jednak być przy gotowaniu na taką ewentualność.

Jedna część jej umysłu była zgorziona i zszokowana bezwstydem, którego się tutaj dopuszczali. Rzeczą przyzwoitą było obcowanie z mężem we własnym łóżku czy nawet w cichym zakątku ogrodu, ale tutaj, pośrodku balu, gdzie połowa znajomych i krewnych Sary, łącznie z jej ojcem, znajdowała się nie dalej niż kilkadziesiąt kroków od niej?

Jednak pozostała część jej umysłu i całe jej ciało wcale nie były przerażone tą sytuacją, a jedyne szoku doznały w chwili, kiedy Mikahl cofnął rękę.

- Mam przestać, słodka Saro? - wymruczał jej do ucha. - Zachowywać się jak prawdziwy dżentelmen?

- Ani mi się ważyć! - wydyszała. - Z dwojga złego wolę być pozbawiona wstydu niż przyjemności.

- Doskonale, moja mała lisiczko. Jedno, czego nauczyłem się w małżeństwie, to że należy wypełniać polecenia swej pani.

Słyszała szelest rozpinanych guzików i rozsuwanej tkaniny. Mikahl westchnął z ulgą,

wsunął dłonie pod pośladki Sary i podniósł ją, zamykając ją pomiędzy ścianą i własnym tułowiem. Kierowana raczej intuicją niż świadomą myślą, Sara ujęła go w dłoń i naprowadziła na właściwe miejsce, kiedy zaczął ją opuszczać. Wciągnęła głośno powietrze, kiedy znalazł się już w jej wnętrzu.

- Jakie to uczucie? - wyszeptał, tuląc ją mocniej do siebie i pozwalając, by Sara objęła go w pasie nogami.

- Cudowne. Dekadenckie. Zupełnie, zupełnie szalone - wydyszała, kręcąc jednocześnie biodrami, sycąc się jego dotykiem.

Westchnęła z satysfakcją, kiedy ten ruch pozbawił go na moment kontroli i kazał mu wbić się jeszcze głębiej.

- Ach, Saro, jesteś powietrzem, ogniem i krwią serca - jęknął, dostosowując się do rytmu jej ruchów.

Sara słyszała szelest halek ocierających się o podłogę, wtulała policzek w ramię Mikahla, łącząc się z nim w najwspanialszym tańcu. Byli blisko, bardzo blisko, zarówno fizycznie jak i duchowo. Może powinna była odczuwać strach, zawieszona w tak niepewnej pozycji, miała jednak pełne zaufanie do swego męża.

To był gorący, słodki seks, a świadomość, że tuż obok są inni ludzie, czyniła go niemal nieznośnie erotycznym. Nikt jednak nie mógł ich tutaj zobaczyć, nikt nie mógł zgorszyć się ich szaleństwem. To był prywatny, intymny wszechświat namiętności, który wypełniał bez reszty serce Sary, jej ciało i umysł, by wreszcie rozpaść się w ostatecznym uniesieniu. Zatopiła zęby w ramieniu swego męża, rozedrgana, a jej gwałtowne ruchy wywołały taką samą reakcję Mikahla.

W sali balowej zakończył się właśnie kolejny taniec, a najgłośniejszym dźwiękiem były teraz ich ciężkie oddechy i pulsowanie krwi. Ogromne, szalone napięcie wypłynęło z ciała Sary niczym woda z rozbitej szklanki.

Mikahl łagodnie wysunął się z niej, potem postawił ją na podłodze i mocno objął. Przez długie minuty stali w milczeniu, przytuleni do siebie, delektując się własną bliskością i wracając powoli do sił.

Wreszcie Mikahl powiedział:

- A ty mi mówiłaś, że to będzie taki nudny bal. Sara zachichotała cicho.

- Ja też nigdy nie byłam na takim balu. - Wysunęła się z objęć męża, przyjęła od niego chusteczkę, wytarła się, potem zaś obejrzała swoją suknię i dotknęła fryzury, - Jak wyglądam?

Mikahl zapiął spodnie, obciągnął surdut i kilkoma zręcznymi ruchami doprowadził do

ładu zagięte halki i suknię Sary.

- Suknia jest trochę wymięta, ale to normalna rzecz na balu. - Wsunął na miejsce kosmyk włosów, który wysunął się z jej koafiury. - Wyglądasz cudownie. Jak zawsze.

Sara nie mogła się nadziwić, jak w ciągu kilku zaledwie minut jej mąż potrafił przeistaczać się z rozpalonego namiętnością kochanka w chłodnego, dystygowanego dżentelmena. Wiedziała, że ona sama wciąż ma na policzkach rumieńce, a w oczach radość spełnienia, i zastanawiała się, czy wszyscy domyśla się od razu, co robiła przed chwilą.

Mikahl założył rękawiczki i podał jej rękę.

- Czy mogę zaprowadzić moją damę na bal?

Drzwi zadrżały, kiedy ktoś próbował wejść do środka, potem z zewnątrz dobiegły głosy dwóch mężczyzn omawiających tę nieoczekiwaną sytuację.

Mikahl przekręcił klucz i otworzył drzwi, stając przed dwoma dżentelmenami w średnim wieku, którzy trzymali w dłoniach niezapalone cygara. Beznamiętnym tonem oświadczył:

- Moja żona źle się poczuła i musiała odpocząć przez kilka minut. Teraz jednak czuje się znacznie lepiej, pozwól więc panowie, że się oddalimy.

Potem wyprowadził Sarę, nim którykolwiek z mężczyzn zdążył zareagować na jego słowa. Sara ukloniła się grzecznie i przytuliła do ramienia swego męża, z trudem tłumiąc śmiech. Dopiero kiedy znaleźli się za rogiem, powiedziała:

- Jesteś urodzonym kłamcą, mój mężu.

- Nonsens - odparł, kiedy ponownie wkroczyli do sali balowej. - Czy to nie ty sama mówiłaś mi kiedyś, że kłamstwa, które pozwalają uniknąć kłopotliwych sytuacji w towarzystwie, są nie tylko dozwolone, ale wręcz konieczne?

- Autorzy podręczników dobrych manier nie wyobrażali sobie nawet kogoś takiego jak ty - odparowała Sara.

Mikahl zatrzymał się.

- Widzę Rossa. Chciałbym porozmawiać z nim przez chwilę, a potem pojechać do domu. Chyba że chcesz zostać dłużej?

- Nie, choć to mogłoby dobrze wpłynąć na nasze stosunki - odparła i zaczerwieniła się jak burak, usłyszawszy własne słowa.

- Słodka Saro, co za wspaniały kalambur - zachwycił się Wędrowiec - Gdyby nie to, że jesteśmy wśród ludzi, jeszcze raz bym cię pocałował. Ale, jak widzisz, trzymam się etykiety. Mam nadzieję, że w odpowiedniej chwili docenisz moje poświęcenie. - Jeszcze raz omiół spojrzeniem salę balową i powiedział: - Twoja ciotka Margareite stoi przy drzwiach.

Spotkamy się tam za chwilę, dobrze?

Sara skinęła głową. Uściskawszy dłoń męża na pożegnanie, ruszyła w stronę wyjścia z sali. Trzyma się etykiety, dobre sobie. Mikahl mógłby przyprowadzić o rumieniec wstydu nawet kamień. A ona go kochała, dobry Boże, jak ona go kochała.

Po wstrząsającym przeżyciu, jakim była rozmowa z Wędrowcem, Weldon potrzebował trochę whisky, by uspokoić rozedrgane nerwy. Na szczęście można było znaleźć jej pod dostatkiem w jednym z mniejszych pokoiów, gdzie zgromadzili się mężczyźni spragnieni mocniejszych trunków. Sącząc złocisty płyn, zastanawiał się, jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji. Wiedząc, kim jest jego przeciwnik, mógł wreszcie podjąć jakieś konkretne działania, znacznie łatwiej bowiem jest walczyć z drugim człowiekiem niż ze ślepym losem.

Po chwili miał już gotowy ogólny plan. Diuk Haddonfield prawdopodobnie pożyczyc mu odpowiednią sumę pieniędzy, bo na pewno nie będzie chciał, by londyńskie towarzystwo dowiedziało się, kim w rzeczywistości jest jego zięć. Potem musi zdyskredytować Wędrowca w oczach arystokracji, tak by nikt nie traktował na poważnie jego słów. Weldon pokręcił głową, nalewając sobie drugą szklaneczkę whisky. Ujawniając się przed nim, Wędrowiec postąpił jak ostatni dureń. Gdyby pozostał w cieniu, może zdołałby go pograżyć, teraz jednak skazany był na przegraną.

Po trzech drinkach Weldon uznał, że czas już wrócić do domu i skonsultować się z Kane'em. Właśnie ruszył w stronę wyjścia, kiedy dojrzał lady Sarę i Wędrowca wychodzących z korytarza po przeciwnej stronie sali.

Zatrzymał się i przez chwilę obserwował ich z ukrycia. Widząc, jak wymieniają między sobą czułe spojrzenia i dyskretne uściski, zrozumiał od razu, że przed chwilą całowali się w którymś z mniejszych pokoi. A może nawet robili coś jeszcze gorszego, zdawało się bowiem, że oboje aż promieniają seksem. Co za bezwstydną bydlęta.

Po chwili para rozdzieliła się, Wędrowiec odszedł w jedną stronę, lady Sara w drugą. Wtedy właśnie Weldon wpadł na wspaniałą myśl. Nie mógł zranić Sary fizycznie, lecz mógł powiedzieć jej kilka rzeczy o jej ukochanym mężu; rzeczy, które upokorzyłyby tę dziwkę, a być może nawet rozbiły ich małżeństwo.

Co najważniejsze, mógł zrobić to całkiem bezkarnie, bo Sara była mimo wszystko zbyt pruderyjna, by powtórzyć komukolwiek to, co zamierzał jej powiedzieć. Dzięki temu nie tylko odplaci Wędrowcowi za upokorzenie, którego sam doznał z jego ręki, ale i unieszczęśliwi Sarę.

Weldon szybkim krokiem pokonał odległość dzielącą go od Sary i dogonił ją, nim

jeszcze orkiestra rozpoczęła kolejny taniec.

- Sara, moja droga - powiedział aksamitnym głosem, biorąc ją za rękę. - Zatańczysz ze mną? - Wyczuwając jej opór, dodał ciszej: - Ludzie nas obserwują. Jeśli zobaczą, że spokojnie tańczymy ze sobą, nikt nie będzie rozsiewał plotek na nasz temat.

- Dobrze. - Sara stanęła w jego objęciach, zachowując przepisową odległość i patrząc na jakiś nieokreślony punkt za jego plecami.

Weldon zauważył delikatne zaczerwienienie na jej szyi, jakby potarła ją w tym miejscu twarda, szorstka twarz mężczyzny. Otaczał ją też delikatny, ledwie wyczuwalny zapach seksu. To tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyło, trzymał jednak nerwy na wodzy.

- Spróbuj chociaż udawać, że się dobrze bawisz, moja droga - upomniał ją cicho. - Nie burmiesz się tak. Pamiętaj, to ja jestem tutaj osobą pokrzywdzoną, a nie winowajcą.

Sara spojrzała nań z powagą.

- Wiem. Dlatego tak trudno mi z tobą rozmawiać. Jestem ci winna przeprosiny, Charles. Naprawdę, ogromnie wstydzę się swego za chowania. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, prócz tego, że., że nie mogłam się powstrzymać.

Jej słowa jeszcze bardziej go rozsierdziły. Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu.

- Ladacznice zawsze tak mówią - oświadczył miłym tonem. - To brzmi lepiej niż przyznanie się do zdrady.

Sara splonęła rumieńcem, lecz nie próbowała się bronić. Uznając, że czas już przejść do sedna sprawy, Weldon powiedział:

- Wiesz, kiedy po raz pierwszy spotkałem księcia Wędrowca, wydał mi się znajomy. To te zielone oczy. Bardzo charakterystyczne. Unikalne, można powiedzieć. Zgodzisz się ze mną?

Sara niechętnie skinęła głową.

- Lecz choć wciąż miałem wrażenie, że skądś go znam, nie potrafiłem go umiejscowić - kontynuował Weldon. - Minęło tyle lat, że nie mogłem skojarzyć czasu ani miejsca. Jednak dziś wieczorem porozmawialiśmy ze sobą, i teraz już wiem.

Widział, że jego słowa zaintrygowały Sarę i że może przejść już do ostatecznego ataku.

- On mnie nienawidzi. Wiedziałaś o tym, moja droga?

- Wiedziałam, że jest coś między wami - odpada powoli. - Lecz nie wiem co.

- O nie, on sam by się do tego nie przyznał - pokręcił głową Weldon. - Poznaliśmy się w północnej Afryce, w Trypolis. Odbywałem wtedy podróż po krajach śródziemnomorskich. Wtedy nie nazywał siebie Wędrowcem. Bóg jeden wie, skąd wziął to imię, zresztą ma ich

pewnie ze sto.

- Powiedział, że Wędrowiec to odpowiednik imienia, którym nazywają go w Kafiristanie - odrzekła Sara ostrożnie.

- Być może, choć on wcale nie jest Kafiristańczykiem. - Weldon uśmiechnął się do Sary i poprowadził ją do kolejnego obrotu. - Twój mąż jest doskonałym kłamcą i trudno nawet winić kogokolwiek za to, że dał mu się zwieść.

W brązowych oczach Sary pojawił się gniewny błysk.

- Posuwasz się za daleko - powiedziała, próbując wyrwać się z jego objęć. - Nie zostanę tu ani chwili dłużej, by słuchać, jak obrażasz mojego męża.

- Ale zostaniesz, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej, prawda? - odrzekł Weldon groźnym tonem, trzymając ją w stalowym uścisku.

Sara uspokoiła się, wiedząc, że tylko w ten sposób uniknie skandalu.

- Był takim ślicznym chłopcem - mówił Weldon w zamyśleniu, jakby wracał do jakichś odległych wspomnień. - Bardzo mnie lubił, wydawało się nawet, że zostaniemy przyjaciółmi. Niestety, sympatia zamieniła się w nienawiść i obawiam się, że była to wyłącznie moja wina.

Charles, czy możesz wyrażać się konkretniej? - spytała Sara ostro. - Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Próbuję ci wyjaśnić, dlaczego twój mąż mnie nienawidzi, moja droga Saro. - Weldon celowo przedłużał tę chwilę, delektując się każdą sekundą. - Widzisz, on był dziwką i nigdy nie mógł pogodzić się z tym, że wykopałem go ze swojego łóżka.

Sara czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Jeszcze dwa tygodnie temu nie wiedziałyby, o czym Charles mówi, wykład Jenny był jednak bardzo pouczający.

Były narzeczony obdarzył ją ironicznym spojrzeniem.

- Wiesz, co to znaczy, moja droga, czy też muszę ci wyjaśnić?

- Wiem - odparła cichym, wibrującym z gniewu głosem. - I nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Mój mąż powiedział, że jesteś nikczemny, i miał rację. Nie przysparzasz sobie chwały, rozpowiadając takie kłamstwa.

Przez moment Sara doświadczyła niepokojącego uczucia *deja vu*, gdyż ta scena przypominała jej żywo chwilę, kiedy to Mikahl opowiadał jej o łajdactwach Charlesa. Odsunęła to spostrzeżenie na bok, jako materiał do późniejszych przemyśleń, głośno zaś oświadczyła:

- Jesteś pijany, Charles, czuję alkohol w twoim oddechu.

- Oczywiście, że nie chcesz mi uwierzyć, Saro - mruczał Weldon. - Ale to nie znaczy, że kłamię. Zauważyłaś kiedyś bliznę na jego lewym biodrze?

Sara zeszywniała.

- Ma wiele blizn.

- Ta, o której mówię, przypomina kształtem literę M. To bardzo szczególna pamiątka. Wędrowiec wyciął ją sobie sztyletem na znak uwielbienia, którym mnie darzył. Przynajmniej tak twierdził. Moim zdaniem był trochę pomieszany na umyśle.

Choć do tej pory Sara starannie skrywała emocje, tym razem nie zdążyła nad sobą zapanować i wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ową bliznę. Zachęcony tą reakcją, Weldon kontynuował:

- M jak *Master* czyli Pan. Twierdził, że chce wrócić ze mną do Anglii jako niewolnik miłości. - Oczy Weldon znow zasnuły się mgłą wspomnień. - Schlebiało mi to, ale oczywiście nie mogłem zabrać go do Anglii. Dla mnie twój obecny mąż był tylko jedną z wielu rozrywek, miejscowym zwyczajem, którego miałem ochotę popróbować. Trzeba jednak przyznać, że był naprawdę ślicznym chłopcem, znacznie ładniejszym niż teraz, a przy tym bardzo namiętnym. Zauważyłaś chyba, że jest niezwykle namiętny?

- Zauważyłam, że ty jesteś obrzydliwy - wycodziła Sara przez zęby, starając się uwolnić z jego uścisku. Weldon jednak trzymał ją mocno przy sobie, by nie wywoływać skandalu, musiała więc czekać do końca walca. - Fakt, że wiesz o bliznie, nie jest jeszcze dowodem.

- Trudno o jakiś dowód po tylu latach - zgodził się Weldon. - Szkoda, że nie zachowałem jego listów miłosnych, wtedy może chętniej byś mi uwierzyła. Oczywiście beznadziejne, jeśli chodzi o ortografię i stylistykę, ale jednocześnie bardzo wzruszające i bezpośrednie, by nie rzec dosadne, w opisie tego, czego chciał ode mnie najbardziej. Mam zacytować?

Nie czekając na jej zgodę, wyrecytował kilka przykładów, używając przy tym wulgarnego, ledwie zrozumiałego języka. Roztrzęsiona Sara potknęła się przy kolejnym obrocie i omal nie upadła.

Okrutny uścisk Weldona przytrzymał ją w miejscu.

- Nie mdłej mi tu teraz - warknął. - Wysił ten swój błyskotliwy umysł. Widzisz przecież, jak on mnie nienawidzi; nie słyszałaś nigdy, że najgorsza i najpotężniejsza jest nienawiść odrzuconego kochanka? Mawiał kiedyś, że jestem miłością jego życia. Myślałem, że to tylko chłopięce zauroczenie i że szybko o mnie zapomni, on jednak szukał mnie przez wszystkie te lata. A teraz, jak wzgardzony kochanek, chce mnie zniszczyć.

Myśląc o tym, co Mikahl powiedział o pierwszej żonie Weldona.

Sara potrząsnęła energicznie głową.

- Nie, to nie jest tylko jakiś osobisty uraz. On ma więcej powodów by cię nienawidzić.

- Och? Czyżby dał ci już jakieś dowody mojej nikczemności? - Uśmiechnął się ironicznie, patrząc na jej niepewną minę. - Nie sądzę. Pozostaje więc tylko jego słowo przeciwko mojemu. Słyszałaś, by ktokolwiek prócz niego podawał w wątpliwość moje dobre imię? I kim on właściwie jest? Jakimś awanturnikiem, którego twój kuzyn poznał podczas podróży do Azji. Wykorzystał lorda Rossa, by wkręcić j się do towarzystwa, a teraz wykorzystuje ciebie.

Nie chcąc ustąpić ani na krok, Sara odrzekła stanowczo:

Jeśli mam wybierać pomiędzy wami dwoma, wolę wierzyć mojemu mężowi.

- Twojemu mężowi - parsknął pogardliwie Weldon. - Jak myślisz, dlaczego on się z tobą ożenił, Saro? Z pewnością nie dla twojej urody. Bogactwo też nie jest wystarczającym powodem dla kogoś równie bogatego jak on.

Ożenił się ze mną, bo mnie kocha - odparowała Sara. Choć Mikahl nigdy tego nie powiedział, chciała w to wierzyć, a jego zachowanie dawało jej ku temu wszelkie podstawy.

- Powiedział tak? Cóż, zawsze mówi ludziom to, co chcieliby usłyszeć. - Weldon wykrzywił usta w szyderczym grymasie. - Jakaś ty naiwna. Posłuchaj mnie uważnie, ty głupia suko. Ożenił się z tobą, bo nie mógł mieć mnie, a ty byłaś najbliższej. Miał nadzieję, że wykradając moją przyszłą żonę, skrzywdzi mnie. Mylił się, oczywiście, bo w ten sposób

uraził jedynie moją dumę. Trzeba jednak przyznać, że nie brakuje mu wyobraźni.

- Wiedziałaś, że interesuje cię tylko mój tytuł i posag - odparła Sara, nie pozwalając, by obelgi Weldona i jego jadowite docinki pozbawiły ją zdrowego rozsądku. - Ale Mikahl jest inny niż ty. Nie uwiódł mnie, nikt też nie zmuszał go, by mnie poślubił. Prawdę mówiąc, musiał mnie długo namawiać, bym przyjęła jego oświadczenia.

Więc nawet wtedy miałaś wątpliwości? Powinnaś była ich posłuchać i nie wiązać się z szaleńcem. - Charles ścisnął mocniej jej prawą dłoń jakby chciał sprawić jej ból. - Wiedziałaś, że rozmawialiśmy ze sobą tego wieczoru? Groził mi, mówił, co zrobi, jeśli znów nie zostanę jego kochankiem. Kiedy mu odmówiłem, zaciągnął cię do innego pokoju i wyładował na tobie swoją frustrację. Jak się czujesz, wiedząc, że jesteś jedynie naczyniem jego chorej żądz?

Dobry Boże, czy ten taniec nigdy się nie skończy? Sara czuła, jak coraz mocniej kręci jej się w głowie, jak zbiera jej się na mdłości. Choć darzyła Mikahla prawdziwą miłością, wcale nie znała go dobrze, nie ufała mu też w pełni. Bardzo chciała odrzucić wszystkie oskarżenia Charlesa, uznając je jedynie za wyraz jego jadowitej złości, nie potrafiła jednak tego zrobić.

Fakt, że Charles wiedział o dziwnej bliznie na biodrze Mikahla, nie dowodził jeszcze wcale, że byli kochankami, z drugiej jednak strony skąd mężczyzna mógł znać tak dobrze ciało innego mężczyzny? Pamiętała też, że kiedy odkryła to znamię, reakcja Mikahla była dziwna i irracjonalna. Wtedy wykorzystał jej ciało, by zapomnieć o przeszłości; być może to samo zrobił dzisiaj wieczorem.

Ta myśl wydawała jej się odrażająca, z drugiej jednak strony nie mogła zaprzeczyć, że jej mąż był tego wieczoru w dziwnym, nie zwykłym nastroju. Miłosne przeżycie, które zapisało się w jej pamięci jako miłe, ekscytujące wspomnienie, teraz zostało splugawione oskarżeniami Charlesa.

Tym, co najbardziej podważało wiarę Sary w męża, było jednak złośliwe, lecz aż nazbyt prawdopodobne, wyjaśnienie powodów, dla których Mikahl ją poślubił. Nie potrzebował przecież jej pieniędzy, nie dbał o jej tytuł, nigdy nie powiedział, że ją kocha. Pożądał jej, to prawda, ale pożądanie nie jest miłością.

Choć bardzo nie chciała w to wierzyć, nienawiść, jaką Mikahl żywił do Charlesa, rzeczywiście mogła przypominać nienawiść odrzuconego kochanka. Jeśli naprawdę kiedyś łączyła ich miłość, Mikahl mógł poślubić ją dla zemsty lub jako substytut człowieka, którego naprawdę kochał. Być może zrobił to z obu powodów.

Charles przyglądał się jej uważnie, potem skinął głową, zadowolony.

- Zaczynasz mi wierzyć, prawda? Doskonale. Zawsze ceniłem cię za twoją inteligencję. Kiedy masz do czynienia z faktami, myślisz logicznie, a nie wpadasz w histerię. Może pocieszy cię myśl, że twój mąż jest bigamistą i że porzuci cię, gdy tylko gotów będzie do wyjazdu z Anglii. Wtedy wreszcie się go pozbędziesz.

Choć niewiele rzeczy mogło ją jeszcze zadziwić czy zaniepokoić, Sara musiała przyznać, że Charles ze zdumiewającą łatwością odczytuje wszelkie obawy, które wiązała ze swym małżeństwem. Oczywiście, wcale nie zamierzała się do nich przyznawać.

- Nie podałeś mi żadnych faktów, Charles - odrzekła beznamiętnym tonem. - Pokazałeś mi tylko swoją prawdziwą, jakże nikczemną naturę.

Weldon pokręcił głową ze współczuciem.

- Wkrótce poznasz prawdę, ale teraz jest już za późno. Wychodząc za niego, zrujnowałaś sobie życie i reputację.

Muzyka dobiegła wreszcie końca. Weldon uklonił się jej dwornie i ucałował jej dłoń, potem zaś obdarzył ją szyderczym uśmiechem i powiedział:

- Radziłbym ci nie rozmawiać na ten temat z mężem. To niebezpieczny i nieobliczalny człowiek, nie wiadomo, jak zareaguje, dowiedziawszy się, że poznałaś jego tajemnicę. Powinnaś trzymać się od niego z daleka.

Z tymi słowy Charles odwrócił się na pięcie i zostawił ją samą.

Sara stała nieruchomo, starając się oddychać równomiernie. Po chwili zawroty głowy ustąpiły. Kiedy uznała już, że może normalnie chodzić, ruszyła w stronę drzwi, przy których oczekiwał na nią Mikahl.

Oddałaby cały swój majątek, byleby tylko przed spotkaniem z Mikahlem los dał jej dość czasu na przemyślenie wszystkiego, co przed chwilą usłyszała. Kiedy Wędrowiec próbował przekonać ją, że Weldon to nikczemnie wierzyła mu. Odkąd zostali małżeństwem, odsunęła od siebie ten temat i starała się nigdy doń nie wracać.

Tego wieczoru Charles ukazał swą prawdziwą twarz; teraz Sara skłonna była nawet uwierzyć, że jej niedoszły narzeczony rzeczywiście zabił swoją żonę w napadzie szału. Mimo to, choć wiedziała, że Weldon robi wszystko, by zniszczyć ich związek i skrzywdzić ich oboje, nie mogła pozbyć się natrętnej i przerażającej myśli, że gdzieś w plątaninie jego kłamstw i pomówień kryje się ziarno prawdy.

Ross dyskutował z grupą mężczyzn o polityce kolonialnej. Wędrowiec musiał więc zaczekać kilka minut, by móc porozmawiać z nim na osobności. Kiedy zostali wreszcie sami, powiedział tylko:

- Kot wpadł między gołębie.

Ross uniósł lekko brwi, zastanawiając się nad znaczeniem tego stwierdzenia.

- Chcesz powiedzieć, że odkryłeś przed Weldonem karty?

- Tak jest. Uznałem, że czas rozpocząć ostateczną rozgrywkę. Weldon może być niebezpieczny. Nie sądzę, by zagroził tobie, ale miej się na baczności, bo on jest jak obluzowana armata na pokładzie okrętu.

- Co z bezpieczeństwem Sary? Wędrowiec uśmiechnął się pośpiesznie.

- Weldon przystał na jeden warunek; nie skrzywdzi Sary. W zamian ja nie skrzywdzę jego córki, Elizy.

Ross zmarszczył brwi.

- Coraz mniej mi się to podoba.

- Mnie nigdy się nie podobało. - Wędrowiec wzruszył ramionami. - Ale wkrótce będzie po wszystkim. Chciałbym spotkać się z tobą ponownie za kilka dni. Wynajmuję strażników, byłych żołnierzy, dobrze byłoby, gdybyś ty także przyjął jednego. Wiem, że potrafisz obronić się sam, ale nikt nie może patrzeć na wszystkie strony jednocześnie.

Naprawdę myślisz, że może być aż tak źle? Spodziewaj się najgorszego. Dzięki temu nigdy się nie rozczarujesz.

Wędrowiec pożegnał się z Rossem, po czym odszedł, by poszukać swojej żony. Zatrzymał się raptownie i zacisnął usta w gniewnym grymasie, kiedy zobaczył, że Sara tańczy z Charlesem Weldonem.

Muzyka ucichła, Weldon pokłonił się nisko i opuścił swoją partnerki. Przez chwilę Sara stała nieruchomo, potem odwróciła się i powoli ruszyła w stronę drzwi, przy których miał jej oczekiwać. Zastanawiając się, co takiego mógł powiedzieć jej Weldon, Wędrowiec ponownie, zaczął przepychać się przez zbity tłum gości. Po drodze musiał jeszcze kilkakrotnie przystawać, zaczepiany przez znajomych, minęło więc kilka minut, nim wreszcie, zirytowany, stanął u boku Sary.

Wzdrygnęła się, kiedy dotknął jej ramienia, potem podniosła nań puste, niewidzące spojrzenie.

Wędrowiec przeklął w duchu swego wroga i powiedział cicho:

- Widziałem, że tańczyłaś z Weldonem. Groził ci? Próbował cię nastraszyć?

Potrząsnęła głową i zdobyła się na słaby uśmiech.

- Nie, wręcz przeciwnie, Charles chciał pokazać wszystkim, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Teraz dręczą mnie po prostu wyrzuty sumienia. Mówiłam ci, że to pierwsze spotkanie będzie najtrudniejsze. Za kilka minut przyjdę do siebie.

Wędrowiec zmarszczył brwi, pewien, że Weldon powiedział coś, co wzburzyło Sarę.

Postanowił jednak, że na razie nie będzie jej o to wypytywał. Ujmując ją pod ramię, poprosił:

- Pojedziemy już do domu, dobrze?

- Najpierw musimy pożegnać się z ciotką Letty.

Wędrowiec wolałby darować sobie te formalności, wiedział jednak, że Sara na to nie pozwoli. Rozejrzał się po sali i stwierdził z zadowoleniem, że lord i lady Sanford stoją przy głównym wejściu, uprzejme pożegnanie było więc tylko kwestią kilku chwil.

Kiedy byli już niemal przy drzwiach, na salę wkroczyli jacyś nowi goście, wywołując swą obecnością szmer zdumienia. Orkiestra prze stała grać i wszyscy obecni na sali odwrócili się w stronę wejścia. Lady Sanford dygnęła uniznienie, jej mąż skłonił się nisko.

Wędrowiec gwizdnął cicho ze zdumienia, kiedy rozpoznał nowo przybyłych.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale na salę weszła właśnie królowa Wiktoria z całą armią dworzan.

Ta wiadomość wyrwała Sarę z zamyślenia.

- Drina jest tutaj? - spytała zdziwiona. Stała na palcach i wyciągnęła szyję, nie mogła jednak dojrzeć niczego zza głów wyższych ludzi.

- Na to wygląda. Czy królowa często przychodzi na prywatne bale?

- Prawie nigdy - odparła Sara. - Sanfordowie jednak działają bardzo aktywnie na dworze, są też oddanymi zwolennikami wigów. Podobno królowa obawia się, że wkrótce torysi przejmą rządy. Melbourne to jedyny premier, z jakim do tej pory pracowała, jest do niego bardzo przywiązana. Przyjeżdżając tutaj, chce zapewne okazać swoje poparcie dla wigów.

- Sprytna dziewczucha - mruknął Wędrowiec z podziwem.

- Na miłość boską! - zachłysnęła się Sara, powracając choć na chwilę do swego normalnego zachowania, - Nie powtarzaj tego przy ludziach. Co się tam dzieje?

- Podszedł do niej Melbourne. Może wiedział, że się tu pojawi? - komentował Wędrowiec zniżonym głosem. - Teraz królowa idzie w naszą stronę. Zatrzymuje się od czasu do czasu, żeby zamienić z kimś kilka słów. Bardziej przypomina polityka niż królową.

Wędrowiec z zainteresowaniem obserwował poczynania Wiktorii. Była niska, nie miała nawet pięciu stóp wzrostu, lecz mimo to wspaniale się prezentowała. Była też całkiem ładna, choć nieco zbyt pulchna, co w ciągu najbliższych lat mogło doprowadzić ją do otyłości.

Wiedząc, że królowa zna Sarę, przypuszczał, że zatrzyma się także przy nich na krótką rozmowę. Wielki zaszczyt, bez wątpienia, wolałby jednak, by opuścili bal jeszcze przed wizytą Wiktorii.

Podobnie jak wszyscy obecni na sali, Weldon był zaskoczony wizytą królowej i

onieśmielony jej obecnością, a jednocześnie rozzłoszczony nieoczekiwanym opóźnieniem. Zmarszczył brwi, kiedy ujrzał, jak monarchini podchodzi do Wędrowca i lady Sary. Wiktoria była nie tylko władczynią imperium brytyjskiego, ale i młodą, skromną kobietą. To okropne, że musi zadawać się z tym plugawym dzikusiem.

Nagle Weldon po raz drugi tego samego wieczoru doznał olśnienia. Chciał zdyskredytować swego przeciwnika; czy mógł wymarzyć sobie lepszą okazję? Skompromituje go przed najbardziej wpływową kobietą w Anglii i nie będzie musiał nawet kłamać; prawda była wystarczająco okropna.

Tak, szczęście wreszcie uśmiechnęło się do niego, odwróciła się zła karta. Nie zwlekając ani chwili, Weldon zaczął przepychać się w stronę królowej.

Wiktoria szła powoli przez salę w towarzystwie Melboume'a i Sanfordów, by wreszcie zatrzymać się przed Sarą i Wędrowcem. Skinąwszy łaskawie głową, powiedziała:

- Miło mi panią widzieć, lady Saro. - Jej głos był czysty i słodki niczym głos słowika.

Sara dygnęła dwornie.

- Cóż za nieoczekiwany zaszczyt, wasza wysokość.

- Miałam niedawno okazję poznać pani męża. - Królowa odwróciła się do Wędrowca.

- Książę, mam nadzieję, że kontakty między naszymi krajami będą owocne dla obu stron.

Wędrowiec uklonił się nisko i odparł:

- Ja także żywię taką nadzieję, wasza wysokość.

Kiedy podniósł głowę, ujrzał Weldona występującego przed tłum. Jego oczy błyszczały triumfalnie. Ukloniwszy się królowej, Weldon oświadczył doniosłym głosem:

- Proszę wybaczyć, wasza królewska mość, że ośmielam się przemawiać niepytany, muszę jednak przestrzec waszą wysokość, że ten człowiek to oszust. Nie jest wcale księciem, nie jest nawet prawdziwym Kafiristańczykiem. Nie jest godzien tego, by przedstawiać go waszej królewskiej mości.

Tłum zafalował, zdumiony i zszokowany wystąpieniem Weldona. Oburzona odstępstwem od protokołu, królowa spojrzała na intruza, który ośmielił się jej przeszkodzić. Melbourne podszedł do niej i wyszeptał jej coś do ucha, prawdopodobnie identyfikując Weldona.

Wędrowiec zrozumiał z przerażeniem, że Weldon znalazł sobie doskonałą okazję, by go zdyskredytować. Oczywiście mógł z tego jakoś wybrnąć, potrafił przecież doskonale kłamać, komu jednak chętniej uwierzą ci sztywni angielscy arystokraci, człowiekowi ze swojego kręgu, czy też cudzoziemcowi o wątpliwej reputacji i pochodzeniu? Odpowiedź była oczywista.

Gdyby chodziło tylko o jego osobę, Wędrowiec nie przejmowałby się zbyt, znacznie bardziej jednak mogli ucierpieć jego przyjaciele, należący do tego świata. Ross i Haddonfield czuliby się upokorzeni i zdradzeni, zresztą całkiem słusznie. A. Sara? Dobry Boże, co pomyśli sobie Sara?

Wiedząc, że wszystkie oczy zwrócone są na niego, Weldon kontynuował:

- Człowiek nazywający siebie księciem Wędrowcem z Kafiristanu jest oszustem. W rzeczywistości to Anglik, nieślubne dziecko barmanki spod Londynu. - Odwrócił się do Wędrowca, spoglądając nań z jadowitą satysfakcją. - I ten oszust, ten szczur z londyńskich slumsów próbuje wodzić za nos całe londyńskie towarzystwo.

Królowa otworzyła usta ze zdumienia i przez moment wyglądała jak przestraszona, młoda dziewczyna, a nie monarchini. W sali zapadła absolutna cisza, słychać było tylko tykanie zegara z hallu. Potem Wiktoria zmrużyła swe niebieskie oczy i odwróciła się do Wędrowca. Obraza majestatu nie była czymś, co mogłaby łatwo wybaczyć. Głosem zimnym jak lód spytała:

- Czy to, co mówi sir Charles, jest prawdą?

Wędrowiec powinien był obmyślać najlepsze wyjście z tej katastrofalnej sytuacji, nie mógł jednak oderwać spojrzenia od twarzy swej żony. Sara, blada jak ściana, patrzyła nań szeroko otwartymi, zszokowanymi oczami. Zastanawiał się, czy wierzy oskarżeniom Weldona. I co zrobi, jeśli tak jest w istocie.

- Zadałam panu pytanie, sir - warknęła Wiktoria, nie używając już tytułu, którym zwracała się doń do tej pory.

Wędrowiec powoli odwrócił głowę, zastanawiając się, czy zdoła jakoś wykaraskać się z tej sytuacji. Być może powinien był po prostu przyznać się do wszystkiego, z drugiej jednak strony nie mógł tego zrobić ze względu na swych przyjaciół.

Wtedy do rozmowy włączył się inny, chłodny głos:

- Przypuszczam, że księżę Wędrowiec jest po prostu zszokowany tym nedorzecznym oskarżeniem, wasza królewska mość.

Z kręgu gapiów wyszedł lord Ross Carlisle, zbliżył się do królowej i złożył jej niski pokłon. Elegancki, przystojny i opanowany, niczym wzór angielskiego dżentelmena, był godnym przeciwnikiem dla Weldona.

- Sir Charles raczy żartować. Osobiście odwiedziłem pałac księcia w Kafiristanie i widziałem, jaką czcią otacza go tamtejszy lud.

Głos Rossa wyrwał Wędrowca z odrętwienia. Proszę wybaczyć moje milczenie, wasza królewska mość, ale czasami jeszcze mam kłopoty z waszym językiem - oświadczył, celowo

mówiąc z obcym akcentem. - W pewnym sensie sir Charles ma rację, nie jestem bowiem księciem w europejskim znaczeniu tego słowa. W Kafiristanie po prostu taki tytuł nie istnieje. W moim kraju nazywany jestem - zawahał się na moment - myślę, że „jastrząb wojny” to najbliższe tłumaczenie. Przekładając to na rangę czy tytuł, można powiedzieć, że jestem przywódcą lub wodzem. Jeśli pozostanę w Anglii, prawdopodobnie w ogóle zrezygnuję z tego tytułu, jako że tutaj nie ma on żadnej wagi.

- To ja zaproponowałem memu przyjacielowi, by używał tytułu księcia, wasza królewska mość - ponownie wtrącił się Ross. - Choć nie jest to idealny odpowiednik, mogę zapewnić, że Wędrowiec był najpotężniejszym i najbardziej poważanym człowiekiem w Kafiristanie.

- Lord Ross również należy do spisku, wasza królewska mość - warknął Weldon z twarzą pociemniałą z gniewu. - Bez jego pomocy ten prostak nigdy nie zaszedłby tak wysoko. Obaj kpią sobie z nas w żywe oczy.

Królowa zmarszczyła brwi, ważąc słowa Rossa i Wędrowca przeciwko oskarżeniom Weldon.

Wtedy przemówiła Sara:

- Wasza królewska mość zna mnie od lat - zaczęła cichym, lecz stanowczym głosem, który słyhać było zaledwie w odległości kilku kroków. - Czy wasza królewska mość podejrzewa, że zhańbiłabym swoje nazwisko, wiążąc się z człowiekiem o wątpliwym pochodzeniu?

Spojrzenia obu kobiet spotkały się ze sobą. W oczach Wiktorii pojawiła się na moment ciepła sympatia dla starej przyjaciółki. Być może przypomniła sobie także, że Weldon był zaręczony z Sarą i że żywi do niej głęboką urazę. Potem na powrót przybrała pozę królewskiej wyniosłości. Zwracając się do Weldon, oświadczyła głosem, który przeciąłby szkło:

- Jeśli to miał być żart, to wcale nas nie rozbawił.

To powiedziawszy, skinęła lekko głową w stronę Sary i Wędrowca.

- Księżę, lady Saro. Mam nadzieję, że wkrótce ponownie spotkamy się na dworze.

Potem odwróciła się i podjęła na nowo przerwany marsz przez salę.

Blady z wściekłości, Weldon odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Ludzie odsuwali się od niego, jakby był zadzumiony.

Uwaga pozostałych gości skupiona była na królowej i jej świcie, Wędrowiec, Ross i Sara mogli więc odetchnąć wreszcie z ulgą. Ross, najwyraźniej rozbawiony całym zajściem, oświadczył:

- Masz rację, Mikahl, musimy się wkrótce spotkać. Dobranoc, Saro. - Potem odwrócił się i wyszedł.

Wędrowiec spojrział na Sarę. Jej pobladła twarz nie zdradzała żadnych emocji. On sam czuł, że jeśli jeszcze przez chwilę pozostanie na tym przeklętym balu, eksploduje.

- Saro, wychodzimy - rozkazał szorstko. Nie zdziwiłby się, gdyby jego żona odmówiła, ona jednak skinęła tylko głową.

Kiedy Sara narzucała wieczorny szal, Wędrowiec wezwał ich powóz. Nie zamienili ze sobą ani słowa podczas krótkiej podróży do domu przy Park Street, lecz atmosfera we wnętrzu powozu była bardzo napięta.

Przy każdym obrocie kół karety. Wędrowiec słyszał zimny, arystokratyczny głos swej żony:

Czy wasza królewska mość podejrzewa, że zhańbiłabym swoje nazwisko, wiążąc się z człowiekiem o wątpliwym pochodzeniu?

Po krótkiej podróży do domu, Sara zaczęła, aż Jenny pomoże jej się przebrać, potem zaś odprawiła pokojówkę i przeszła do głównej sypialni. Tego wieczoru po raz pierwszy chętnie skorzystałaby z od dzielnej komnaty, lecz tutaj, podobnie jak w Sulgrave, pan i pani domu mieli do dyspozycji tylko jedno, wspólne łóżko.

Sara zastanawiała się przez moment, czy nie wsunąć się po prostu pod kołdrę i nakryć głowę poduszką, uznała jednak, że w tak napiętej sytuacji nie jest to możliwe. Znużona, usiadła w bujanym fotelu, przekonana, że czeka ich burzliwa, długa kłótnia. Wolałaby stawić jej czoło wypoczęta i opanowana, lecz kłótnie, podobnie jak porody, same wybierają swój czas.

Mikahl także się przebrał, miał na sobie swój szeroki, czarny kaftan. Stał przy oknie, zapatrzony w ciemność, i popijał brandy. Kiedy kochał się z nią na balu, był w niecodziennym, lecz pogodnym nastroju. Teraz wydawał się ponury i niebezpieczny, i bardzo, bardzo obcy. Odwrócił się do Sary, kiedy weszła do pokoju, i obrzucił ją chmurnym spojrzeniem.

- Czemu piorunujesz mnie wzrokiem? - spytała, próbując odwołać się do jego poczucia humoru. - Po tym wszystkim, co usłyszałam dziś wieczorem na twój temat, to ja powinnam gotować się ze złości.

Mikahl nawet się nie uśmiechnął.

- Więc jednak Weldon powiedział ci coś paskudnego, kiedy tańczyliście ze sobą - mruknął posepnie. - O co mnie wtedy oskarżył? O to samo, co przed królową, czy o coś jeszcze gorszego?

Przechodził więc do sedna sprawy. Sara wolałaby jakąś bezsensowną kłótnię, o której można zapomnieć przez noc. Rozmowa o tym, co wydarzyło się tego wieczoru, mogła odsłonić wszystkie ciemne sekrety jej męża. Sara bała się, że te sekrety mogą z kolei zniszczyć ich małżeństwo. Mimo to wzięła głęboki oddech i oświadczyła:

- O coś gorszego. Charles twierdzi, że poznał cię wiele lat temu, w Trypolisie.

Mikahl zeszywniał nagle na całym ciele.

- I co jeszcze?

Sara chciała spuścić wzrok, ale nie mogła.

- Powiedział jeszcze, że kiedy się poznaliście, byłeś męską prostytutką, i że nienawidzisz go, bo cię porzucił.

Wściekłość wręcz sączyła się z niego, otaczała go jak ognie świętego Elma. Sara

zadrzała; jeśli kiedykolwiek powinna była bać się swego męża, to właśnie teraz nadszedł ten czas.

On jednak nie ruszył się z miejsca, nie groził jej, wbił w nią tylko lodowate spojrzenie:

- Wierzysz mu?

- Wiem, że kierowała nim złość, na pewno też był przekonany, że może pozwolić sobie na wiele, bo będę zbyt zgorszona i przestraszona, by powtórzyć ci jego oskarżenia. - Zawahała się, starannie dobierając słowa. - Mimo to, myślę, że kryje się w tym ziarno prawdy.

Starając się panować nad głosem, Wędrowiec spytał:

- I które z tych rzeczy, które powiedział ci Weldon, uważasz za prawdziwe?

- Nie jestem pewna - odparła Sara ostrożnie. - Miałam jednak wrażenie, że nie wszystko jest tylko jego wymysłem.

Zdawało się, że temperatura w pokoju spadła nagle o jakieś dziesięć stopni.

- A jeśli zaprzeczę tym oskarżeniom, komu uwierzysz? Mnie, czy swojemu byłemu narzeczonemu z towarzystwa?

- Jesteś moim mężem - odparła Sara, wzbierając gniewem. - Mam nadzieję, że mogę ci zaufać.

- Ale nie jesteś pewna - parsknął Mikahl z goryczą. - Cóż za wzruszający dowód zaufania mojej własnej żony.

Nie panując już nad złością, Sara warknęła:

- Staram się, naprawdę bardzo się staram wierzyć w ciebie Mikahl, ale ty nie dajesz mi do tego żadnych podstaw. Do diabła, jesteśmy małżeństwem, już chyba czas, byś powiedział mi wreszcie całą prawdę o swej przeszłości.

Mikahl poderwał głowę, zaskoczony przekleństwem, które usłyszał z jej ust. Potem jednym łykiem pochłonął całą zawartość szklanki.

- Z pewnością wiesz już wszystko, co potrzebujesz wiedzieć. Taka arystokratka jak ty nigdy nie zhańbiłaby swego nazwiska, wychodząc za człowieka o niepewnym pochodzeniu. Ergo, musisz być pewna mojego odpowiedniego pochodzenia, a Weldon kłamał z czystej złośliwości.

- To nie jest odpowiedź - zirytowała się Sara. - Dlaczego nie odpowiesz wreszcie na kilka prostych pytań, zamiast ciągle je stawiać?

Odstawił szklankę na stół, przeszedł przez pokój i oparł ręce na poręczach jej fotela.

- Jakie odpowiedzi chcesz poznać, słodka Saro? - spytał cicho, lecz groźnie. Górował nad nią; oczy błyszczały mu jak szmaragdy. - Chcesz wiedzieć, czy jestem dziwką, czy też

szczurem z londyńskich slumsów? Co zrobisz, jeśli powiem ci, że to prawda? Wrócisz do domu swego ojca i poszukasz kogoś o „pewnym pochodzeniu”, kiedy dowiesz się już, kim jestem?

Sara doznała nagłego olśnienia. Mikahl był wściekły na Weldon, który omal nie upokorzył go przed królową i całym towarzystwem, był jednak zły i na nią, a ona wiedziała już dlaczego. To zdumiewające, ale jej potężny, pewny siebie mąż obawiał się, że porzuci go, gdy pozna prawdę o jego pochodzeniu.

Sara uniosła rękę i objęła go za szyję, gładząc delikatnie napięte mięśnie.

- Wiem, kim jesteś, Mikahl - powiedziała cicho. - Dlatego za ciebie wyszłam. Przyznaję jednak, że jestem także ciekawa, kim byłeś.

Gniewny grymas zniknął nagle z jego twarzy, pozostawiając na niej tylko smutek i niepewność. Potem Wędrowiec wyprostował się nagle, nie mogąc znieść czułości, którą widział w jej oczach. Znów stanął przy oknie, pokazując jej tylko swe szerokie, odziane w czarny kaftan plecy. Sara czuła, jak bijąca od niego energia wiruje w pokoju, zmienia się niczym światło przepuszczone przez pryzmat.

Minęło kilka długich minut, nim wreszcie powiedział cichym, ledwie słyszalnym głosem:

- Większość rzeczy, które dzisiaj usłyszałaś, to prawda. Mikahl odwrócił się od okna., podszedł do stołu i drżącymi rękami nalał sobie kolejną porcję brandy.

- Chciałabyś odrobinę brandy, Saro? Jeśli chcesz wysłuchać gorzkiej historii mego życia, czeka cię długa noc.

- Proszę. - Sara zamknęła oczy i westchnęła z ulgą, uradowana, że Mikahl jest znów tym samym mężczyzną, którego znała i kochała.

Kiedy włożył szklankę w jej dłoń, uniosła powieki.

- Ale historia o tym, że byłeś męską prostytutką i do szaleństwa zakochałeś się w Charlesie, to kłamstwo, prawda?

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Muszę przyznać, że czasami mnie przerażasz, Saro. Dlaczego tak myślisz?

- Po prostu nie wierzę, byś mógł to robić - odrzekła krótko.

- I masz rację. To było kłamstwo. - Zaczął przechadzać się po pokoju, zbyt zdenerwowany, by móc usiedzieć na miejscu. - Ale cała reszta nic odbiegała daleko od prawdy. Urodziłem się niecałe pięć mil stąd, w pobliżu doków East Endu.

Sara pokręciła głową ze zdumieniem.

- Więc naprawdę jesteś Anglikiem. Nie do wiary.

- Urodziłem się w Londynie i spędziłem tu pierwsze osiem lat życia, ale to nie znaczy jeszcze, że jestem Anglikiem - poprawił ją ostro. - Poza tym Anglia, którą ja znałem, bardzo różni się od twojego świata.

Sara знаła East End tylko z opowiadań, wiedziała jednak, że Mikahl ma rację. Mimo to był Anglikiem, może nawet bardziej niż ona, bo jej uprzywilejowane życie stanowiło raczej wyjątek niż regułę.

- Kim byli twoi rodzice?

- Na pewno nie był to nikt z twoich znajomych - odparł cierpko. - Moja matka była wiejską dziewczyną z Cheshire, która uciekła od rodziców z żołnierzem. Kiedy ją porzucił, została barmanką w portowej tawernie. Mój ojciec był marynarzem, służył w marynarce wojennej. Mieszkał z matką, kiedy przyplływał do Londynu. On sam miał już żonę, żył z nią w separacji, ale nie mógł ożenić się powtórnie z moją matką, choć ją kochał, a przynajmniej ona tak twierdziła. Może tak było naprawdę, nie wiem.

- Co się z nimi stało?

- Ojciec zginął pod Trafalgarem, kiedy miałem dwa lata. Nie pamiętam go, ale matka mówiła, że jestem do niego bardzo podobny. - Mikahl przysiadł na parapecie. - Miała na imię Annie. Kobieta prosta, ale dobra i wesoła. Nigdy nie narzekała, zawsze potrafiła znaleźć sobie jakiś powód do radości. Nie była prostytutką, ale po śmierci ojca miała kilku „przyjaciół”, którzy mieszkali u nas, kiedy przyplływali do Londynu, i pomagali jej opłacać rachunki. Kiedy zacząłem łobuzować, matka sprzedała złoty naszyjnik, podarunek od jednego z przyjaciół, i umieściła mnie w taniej szkole. Dzięki temu nie skończyłem na szubienicy i nie zostałem analfabetą.

- Jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko?

- Michael Connery, po ojcu. Był Irlandczykiem. - Wędrowiec zamyślił się na chwilę, wracając do wspomnień. - Podejrzewam, że nie mam prawa do nazwiska Connery, bo byłem przecież bękartem, ale moja matka zawsze mówiła o sobie „pani Connery”. Nigdy się nie dowiedziałem, jak brzmiało jej panieńskie nazwisko.

Michael Connery. Wystarczy wymówić je z obcym akcentem i powstaje Mikahl Khanauri. Sara spojrzała na swego męża innymi oczami: wysoki wzrost, czarne włosy i jasna skóra, zielone oczy. niezwykły, nieodparty urok.

- Irlandczyk. Powinnaś się była domyślić - mruknęła. - Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że wielu ludzi z ojczyzny twego ojca ma podobne oczy.

- To prawda. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Możesz mi wie rzyć lub nie, Saro, ale w miarę możliwości starałem się mówić ci prawdę.

Sara powróciła myślami do ich rozmów i po chwili zastanowienia, odrzekła:

- Wierzę ci. Nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek twierdził, że jesteś Kafiristańczykiem. W wielu innych przypadkach to moje oczekiwania kształtowały to, co do mnie mówiłeś. Bez wątpienia jesteś mistrzem w manipulowaniu faktami.

- Nie jest to może bardzo przydatna umiejętność, ale rzeczywiście opanowałem ją do perfekcji - odrzekł, szydząc z samego siebie.

Sara zmarszczyła brwi, myśląc już o kolejnym pytaniu.

- A co z twoim akcentem? Nie mogę go nigdzie umiejscowić. Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że mówisz jak Azjata, który studiował w Oksfordzie. Z pewnością nie jak londyńczyk z East Endu.

- Kiedy opuściłem Anglię, musiałem posługiwać się standardowym angielskim. Potem na wiele lat straciłem kontakt z językiem ojczystym, choć czytałem po angielsku, kiedy tylko wpadła mi w ręce jakaś książka. Nie chciałem zapomnieć języka, bo wiedziałem, że kiedyś jeszcze mi się przyda - wyjaśnił. - Kiedy wyjechałem do Indii i po długiej przerwie miałem wreszcie okazję porozmawiać po angielsku, okazało się, że mój oryginalny akcent został zmodyfikowany przez języki, którymi posługiwałem się w ciągu minionych lat. Celowo zacząłem wzmocniać te obce naleciałości, by ukryć akcent z londyńskich slumsów. Wiedziałem, że jeśli wrócę do Anglii, znacznie łatwiej zostanę przyjęty jako bogaty cudzoziemiec, niż jako szczur z rynsztoków East Endu, któremu cudem udało się wybić.

Uśmiechnął się lekko, po raz pierwszy, odkąd rozstali się na balu.

- Nadal potrafię mówić z akcentem tak silnym, że zrozumiałabyś najwyżej co trzecie słowo. Traktuję to jak jeszcze jeden obcy język.

Sara podciągnęła kolana pod brodę i okryła nogi niebieską koszulą nocną.

- Powiedziałeś, że mieszkałeś w Anglii przez pierwsze osiem lat życia. Dlaczego ją opuściłeś?

Moja matka umarła niespodziewanie. Na szczęście w porcie był akurat jeden z jej przyjaciół, kapitan statku. Wiedział, że jeśli zostanę sam, skończę na szubienicy, postanowił więc zabrać mnie na statek. - Mikahl westchnął ciężko, zasmucony. - Kapitan Jamie McFarland, z Glasgow. Jeśli posłuchasz mnie uważnie, zauważysz pewnie ślady szkockiego akcentu w mojej angielszczyźnie. Większość kochanek mojej matki traktowała mnie jak niepotrzebny bachora, ale Jamie McFarland naprawdę mnie lubił. Zawsze przywoził mi z podróży jakieś drobne podarunki, zawsze też znalazł wolną chwilę, by ze mną porozmawiać. Nie pamiętam swojego prawdziwego ojca, ale on traktował mnie prawie tak, jakbyśmy byli jedną rodziną.

Sara nigdy nie wyobrażała sobie swego męża jako dziecka, wydawał jej się zbyt silny, zbyt męski. Teraz jednak ujrzała oczami wyobraźni dziewczynę o imieniu Annie, która poszła za głosem serca i która przekazała twardy charakter i dobrotliwą naturę swemu synowi. Równie łatwo przyszło jej też wyobrazić sobie osieroczonego chłopca, Ignącego do mężczyzny, który dał mu miłość i opiekę należną wszystkim dzieciom.

Tak bardzo było jej go żal, wołała jednak zmienić temat, wiedząc, że Mikahl nie lubi okazywać słabości.

- Jak trafiłeś do Azji? Wędrowiec na powrót spochmurniał.

- To długa historia, za długa jak na jedną noc. Ujmując to w dwóch zdaniach: kiedy skończyłem już pływać po morzach, zaciągnąłem się do pracy w karawanach podróżujących przez centralną Azję. Kiedy miałem jakieś dwadzieścia lat, zostałem pojmany przez bandytów i sprzedany w niewolę.

Sara skrzywiła się odruchowo.

- Stąd te blizny na plecach?

Wędrowiec pociągnął łyk brandy i nie zmieniając wyrazu twarzy, odparł:

- Niektóre. To był mój drugi pobyt w niewoli, a większość blizn pochodzi z pierwszego okresu. Po roku udało mi się uciec z przyjacielem, Kafiristańczykiem o imieniu Malik. Kiedy byliśmy już wolni, on chciał wrócić do siebie, do swoich gór. Ja nie miałem żadnego pomysłu, więc poszedłem z nim.

- I zostałeś? Mikahl skinął głową.

- Tak. Bardzo polubiłem Kafiristańczyków. Zostałem członkiem rodziny Malika. Przyjęli mnie jak rodzzonego syna, a ja stwierdziłem, że nawet mi się to podoba. Choć wiedziałem, że wcześniej czy później będę musiał stamtąd wyjechać, przez następnych kilkanaście lat Kafiristan stał się moją bazą wypadową.

- Naprawdę zostałeś księciem? - spytała Sara, szczerze zaciekawiona.

- W Kafiristanie nie ma dziedzicznych tytułów, nie ma też arystokracji w europejskim znaczeniu tego słowa. Pozycję mężczyzny wyznacza jego majątek i waleczność. Szczególnie majątek. Po wyprawie do zaginionego miasta Katak, zostałem najbogatszym człowiekiem w Kafiristanie. W pewnym sensie mam więc prawo tytułować się księciem. - Pociągnął kolejny łyk brandy, popadając na moment w zamyślenie. - Miałem tam dość dziwny status, czułem się jak ulubiony kuzyn, który przyjechał w dłuższe odwiedziny. Spędziłem tam w sumie kilka lat, pozostałe strawiłem na podróżach i pomnażaniu majątku. Malik i jego rodzina zawsze witali mnie z radością. Zresztą to głównie dzięki mnie sami doszli do bogactwa. Zawsze powtarzali, że ich dom jest moim domem, i wcale nie była to tylko przenośnia.

- Gdzie poznałeś Kurama?

- W Indiach. Był zwiadowcą w indyjskiej armii. Po tym, jak popadł w konflikt ze swoim przełożonym, pomogłem mu uniknąć przykrych konsekwencji. Czuł się wobec mnie zobowiązany i chciał spłacić dług wdzięczności, zostając moim sługą. Poza tym pragnął też podróżować i zobaczyć świat. Za pół roku, najdalej za rok, wróci do domu. Odwiedzi też wtedy Malika i jego rodzinę, by zapewnić ich, że doskonale się czuję i że wciąż pozostają w mych myślach. To prawda.

Sara odchyliła głowę do tyłu i oparła ją o fotel.

- Tyle rzeczy nabiera teraz sensu - powiedziała cicho. - Mówiłeś, na przykład, że nigdy nie należałeś do miejsca, w którym się urodziłeś, i że nawet nie chcesz do niego należeć. Teraz wiem już dlaczego.

- Nikt nie chciałby z własnej woli wrócić do nędzy i przemocy East Endu. - Wędrowiec zmrużył oczy. - I co powiesz mi teraz, kiedy znasz już niezbyt chlubną historię mojego dzieciństwa?

Niełatwe pytanie. Starannie dobierając słowa, Sara odparła:

- Choć teraz jesteś obywatelem świata, cieszę się, że pierwsze lata życia spędziłeś tutaj, w Anglii. To czyni cię bardziej zrozumiałym. Mniej obcym.

Mikahl wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu.

- Nie jesteś zszokowana faktem, że ty, córka diuka, dzieliłaś łóżko z bękartem z East Endu?

- Odkąd cię poznałam, moje życie to jedno pasmo niespodzianek i szokujących wydarzeń, więc informacja, że urodziłeś się w Londynie, nie jest warta nawet uniesienia brwi - odparła cierpko. - Wspomniałam przedtem o odpowiednim pochodzeniu tylko dlatego, że Drina jest bardzo wyczulona na te kwestie, a chciałam powiedzieć coś, co przekonałoby ją do ciebie.

Twarc Wędrowca ponownie stężała w ponurym grymasie.

- Nie będzie zachwycona, kiedy dowie się, że przedstawiono jej zwykłego ulicznika z East Endu.

Sara westchnęła z irytacją i odparła:

- Założycielką szacownego domu St. Jamesów była aktorka z przedmieść Londynu, Nellie James, jedna z wielu kochanek Karola II. Nie różniła się niczym od wielu innych, naiwnych i niezbyt rozgarniętych dziewcząt z pałacu, a Karol wcale nie był do końca przekonany, czy rzeczywiście jest ojcem jej syna. Był jednak człowiekiem hojnym i rozsądnym jednocześnie, poszedł więc na kompromis i obdarzył chłopca tytułem hrabiego, a

nie diuka, co robił w przypadku tych potomków, co do których nie miał wątpliwości.

- Naprawdę? - spytał Mikahl, ogromnie zdumiony.

- Naprawdę. Pierwsi hrabiowie z rodziny St. Jamesów znani byli głównie z tego, że chętnie żenili się z córkami bogatych kupców. Mój pradziadek Nigel był sprytnym kombinatorem, który odziedziczył spory majątek po rodzinie swej żony. Nigel zamienił bagniste tereny na obrzeżach Londynu w modne i drogie tereny mieszkalne, za co otrzymał tytuł diuka Haddonfield. Zarobił też na tym ogromne pieniądze, dzięki czemu mój ojciec mógł ożenić się z miłości, a nie dla majątku. Moja matka pochodziła z rodziny szacownej, lecz zubożałej szkockiej szlachty. W tej gałęzi Montgomerych nie było żadnych arystokratów, tylko farmerzy i żołnierze.

Mikahl pokręcił głową, szczerze rozbawiony.

- Przypuszczam, że twój ojciec zna na pamięć historię swojej rodziny.

- Oczywiście, choć woli nie rozwodzić się zbyt nad Nellie James. Znalazłam kiedyś jej portret w jednej ze starych książek z biblioteki ojca. Wcale nie wyglądała na stateczną i godną szacunku damę.

- Gdyby tak wyglądała, pewnie nie przypadłaby do gustu Karolowi.

- To prawda. - Sara westchnęła. - Odkąd cię poznałam, odkryłam, że w moich żyłach płynie całkiem spora dawka jej krwi. Pomyśl o tym tylko, Mikahl. Ja także jestem potomkiem kobiety ze slumsów i jej nieślubnego syna, a także biednych farmerów i żołnierzy. Nie musisz więc nadymać się jak jeź, kiedy tylko wspomnę o twoim pochodzeniu.

- Jak jeź. - Wędrowiec uniósł brwi, zaskoczony tym porównaniem. - Dobrze, zrozumiałem. Twoi przodkowie wydają się jeszcze gorsi od moich.

Sara uśmiechnęła się do niego, nie zapominając jednak o pierwotnej przyczynie ich kłótni.

- O wielu rzeczach jeszcze nie wspomniałeś - powiedziała cicho. - Nie wiem nadal, jak trafiłeś z okrętu do karawany ani dlaczego tak bardzo nienawidzisz Charlesa Weldona.

- Wiem. Winien ci jestem wyjaśnienie. - Mikahl zamknął oczy, wyprężył się na moment, jakby przeszyty bolesnym spazmem. - To będzie... bardzo trudne. Wolałbym nie robić tego dziś wieczorem, choć spróbuję, jeśli mnie poprosisz.

Fakt, że Mikahl prosił ją w ten zawołany sposób o cierpliwość, świadczył tylko o tym, jak bardzo wyczerpały go wydarzenia minionego wieczoru. Sara także miała już dość emocji jak na jeden dzień; większa dawka mogłaby zaszkodzić im obojgu.

Podniosła się z fotela, podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na szyję. Kiedy otworzył oczy, dojrzała w nich ogromne napięcie.

Tuląc się do niego, wyszeptwała:

- Innym razem, Mikahl. Teraz chodźmy już do łóżka. A jutro zabierz mnie do Sulgrave, proszę.

Wędrowiec przygarnął ją mocniej do siebie.

- O Boże - mruknął drżącym głosem. - Saro, czym ja sobie na ciebie zasłużyłem?

Nie odpowiedziała, zamknęła tylko oczy, wdzięczna, że udało im się wspólnie zażegnać tę burzę.

Być może jednak ich małżeństwo miało przed sobą jakąś przyszłość. Od dnia ślubu aż do tej pory ani razu nie poróżnili się ze sobą, łączyły ich rozmowy, śmiech, rozkosze ciała. Sara jednak nigdy nie czuła się mocniej związana ze swym mężem niż właśnie w tej chwili.

Weldon gotował się z wściekłości, kiedy przyjechał do domu. Ujawnił prawdę o tym przeklętym bękarcie, a w zamian został upokorzony przed królową i całą śmietanką towarzyską Londynu. Choć to Wędrowiec był zasadniczą przyczyną jego problemów, sam nie wybrnąłby z tej sytuacji, gdyby nie pomoc lady Sary i lorda Rossa. To oni kłamali w żywe oczy, stając w obronie Wędrowca, i zasłużyli na srogą karę. O tak, już on im za to odpłaci. Weldon już wcześniej zamierzał zemścić się na Sarze, teraz jednak dodał do listy swych ofiar nazwisko Rossa.

Choć było już dobrze po północy, wezwał do siebie Kane'a. Ten pojawił się po dziesięciu minutach, ubrany, bez śladów zmęczenia czy rozespania na twarzy. Weldon nieraz zastanawiał się, czy ten człowiek kiedykolwiek śpi i czy rzeczywiście jest takim beznamiętnym, morderczym narzędziem, na jakie wyglądał. Nie tracąc ani chwili, Weldon oświadczył:

- Odkryłem, że stoi za wszystkimi moimi problemami człowiek nazywający siebie Wędrowcem. Za wszystkimi! Przybył do Anglii, by mnie zniszczyć. Musi umrzeć.

- Łatwa sprawa. - Kane nawet nie mrugnął. - Kiedy? Jutro? Myśli pan o jakimś szczególnym rodzaju śmierci, czy mam to załatwić w najprostszy sposób?

Weldon dopiero teraz ochłonął na tyle, by się nad tym zastanowić.

- Lepiej poczekajmy z tym jeszcze kilka dni - postanowił. - Muszę dowiedzieć się, jak daleko sięgają macki tego łajdaka. Postaw ludzi pod jego domem w mieście i na wsi. Chcę, by byli na miejscu już jutro rano, a raczej dziś rano. Wędrowiec musi być pod stałą obserwacją. Muszę też dowiedzieć się, kim są jego wspólnicy, zwłaszcza człowiek czy też ludzie, którzy działają w jego imieniu w City. Co zaś do metody zabójstwa... - Znów zamyślił się na moment. - Jeśli uda ci się wywieść go za miasto, najlepszy będzie wypadek na polowaniu, przypadkowy strzał. Jeśli zrobisz to w Londynie, upozoruj morderstwo na napad rabunkowy. Nie muszę ci chyba mówić, że masz zatrzeć po sobie ślady, by nikt nie powiązał tego z moją osobą. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, wykorzystaj ludzi z burdeli. A jeśli z Wędrowcem będzie lord Ross Carlisle, możesz zabić ich obu.

Kane skinął głową.

- Co z lady Sarą?

- Nie zabijaj jej - odrzekł Weldon, uśmiechając się paskudnie. - Mam wobec niej inne plany.

Diuk Haddonfield nie był zaskoczony, kiedy nazajutrz po balu u Sanfordów pojawił

się u niego sir Charles Weldon. Od dawna już podejrzewał, że księcia Wędrowca i Weldoną łączy jakaś ciemna i niebezpieczna tajemnica; czy mu się to podobało, czy też nie, Haddonfield i jego córka także uczestniczyli teraz w tej rozgrywce. I tylko on był temu winny.

Kiedy Haddonfield wszedł do pokoju porannego, zauważył, że jego gość jest spięty i zdenerwowany. Obaj mężczyźni nie spotykali się ze sobą od tamtego pamiętnego wieczoru w Chapelgate, kiedy to Sara dała się skompromitować.

- Dzień dobry, Charles - powiedział diuk z beznamiętną uprzejmością. - Przypuszczam, że twoja wizyta ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się wczoraj u Sanfordów, czyż nie tak?

- Owszem, istnieje pewien związek - odburknął jego gość. - Wszystko, co powiedziałem o twoim zięciu, jest prawdą. Gdyby nie twoja córka i twój siostrzeniec, Wędrowca spotkałaby zasłużona kara.

Diuk usiadł na prostym, drewnianym krześle.

- Jak mniemam, podkreślasz fakt, że to mój zięć, moja córka i mój siostrzeniec, by udowodnić mi, że to ja jestem odpowiedzialny za ich czyny.

- Gdybyś odpowiednio wychował swoją córkę, byłaby teraz moją żoną, a ja nie miałbym nawet jednej dziesiątej obecnych problemów - odparł Weldon, siadając bez zaproszenia. - Ponieważ jednak jest ladaczną, wyszła za zwykłego kryminalistę, który robi wszystko, by mnie zniszczyć.

Doprawdy? - Arystokratyczna twarz diuka wyrażała jedynie chłodne zdziwienie, dawno już bowiem nauczył się, że ukazywanie prawdziwych uczuć w obecności pewnych ludzi może być fatalne w skutkach.

Gość skrzywił się ze złością.

- Ty też dałeś się oczarować temu bękartowi? Tak bardzo, że nie obchodzi cię nawet, kim on jest?

- Wiem, że przede wszystkim jest mężem mojej córki i właśnie ze względu na nią, chcę pozostawać z nim w dobrych stosunkach. Muszę też wspomnieć, że zawsze jest wobec mnie uprzejmy, czego nie da się powiedzieć o tobie - dodał diuk jadawym tonem.

- Pożałujesz jeszcze, że kiedykolwiek go spotkałeś, Haddonfield - odparł Weldon, uśmiechając się szyderczo. - Posłuchaj tylko, jak ja poznałem twego zięcia przed wielu laty, w Trypolisie.

Diuk z trudem zachowywał kamienną twarz, wysłuchując historii Weldoną. Bez wątpienia ten ostatni ubarwiał swą opowieść dla większego efektu, mimo to diuk nie mógł

znieść spokojnie myśli, że łagodna, miła Sara wyszła za człowieka o tak okropnej przeszłości. Haddonfield zatrzymał jednak te spostrzeżenia dla siebie; jakiś czas temu uznał, że nie ma prawa oceniać czynów swej córki. Kiedy więc Weldon skończył opowiadać, diuk rzekł tylko:

- Wszystko to dotyczy odległych czasów i miejsc. Przestańmy już obrzucać się obelgami i przejdźmy od razu do sedna sprawy. Zakładam, że skoro tu przyszedłeś, masz do mnie jakąś sprawę, prawda?

- Potrzebuję osiemdziesięciu tysięcy funtów, natychmiast - odparł Weldon. - Wędrowiec wykupił potajemnie wszystkie moje prywatne długi i żąda spłaty w przeciągu kilku dni. Zrujnował już niemal całkowicie wszystkie moje prywatne i publiczne przedsięwzięcia, toteż nikt nie pożyczy mi takiej kwoty. - Weldon uśmiechnął się posepnie. - Pomyślałem więc o tobie, moim przyjacielu i niedoszłym teściu.

- Byliście przyjaciółmi? - mruknął diuk. - Kiedy myślę o przeszłości, czuję się raczej jak twoja ofiara.

Weldon roześmiał chrapliwie.

- Zdaje się, że właśnie taką rolę lubisz najbardziej. Haddonfield zaczerwienił się, celnie ugodzony.

- Wciąż jesteś mi coś winien, Haddonfield - ciągnął Weldon. - Powiedziałeś, że oddasz mi Sarę, i nie zrobiłeś tego.

- Nigdy nie obiecywałem, że „oddam” ci moją córkę. Powiedziałem tylko, że będę ją namawiał, by przyjęła twe oświadczenia, a to nie to samo - sprostował diuk. - Choć teraz wstyd mi się do tego przyznać, wypełniłem swoją część umowy. Bogu dzięki, że Sara zerwała te zaręczyny, choć wolałbym, by zrobiła to w inny sposób.

Oczy Weldon zapłonęły gniewem.

- Gdybyś należycie ją wychował i nauczył spełniać rozkazy ojca, obaj mielibyśmy znacznie mniej kłopotów. Ponieważ jednak jestem wyrozumiały i wspaniałomyślny, pozwolę ci naprawić ten błąd. Jeśli zaś nie chcesz dać mi tych pieniędzy...

- Świat dowie się o niezbyt chwalebnych incydentach z mojej przeszłości, tak? - przerwał mu diuk, nie kryjąc ironii. - Pachnie mi to szantażem. Tym razem jednak spełnię twoje życzenie. Pamiętaj tylko, że choć milczenie jest złotem, nie można go kupować bez końca.

Weldon wyraźnie się odprężył, w jego oczach pojawił się triumfalny błysk.

- Wystarczy ten jeden raz.

Omówiwszy pokrótce sposób, w jaki pieniądze zostaną przekazane na jego konto, Weldon wyszedł.

Haddonfield pozostał jeszcze przez chwilę w porannym pokoju, wpatrzony w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. Zdecydował się zapłacić Weldonowi, bo zasługiwał na karę. A pieniądze przeznaczone były dla Wędrowca, więc tak czy inaczej miary pozostać w rodzinie.

Po chwili potrząsnął głową i wstał z krzesła. Bóg jeden wiedział, kim naprawdę jest Wędrowiec, z pewnością nie mógł być jednak gorszym mężem dla Sary, niż byłby Weldon.

Następnego ranka, przed wyjazdem do Sulgrave, Wędrowiec odwiedził Benjaminą Slade'a, by zdać mu relację z ostatnich wydarzeń. Prawnik uniósł brwi, kiedy usłyszał, co zaszło na balu u Sanfordów.

- Więc powiedziałeś Weldonowi, że to ty stoisz za jego problemami? Nie wiem, czy to było rozsądne.

- Może i nie było rozsądne, ale konieczne - odparł krótko Wędrowiec. - Czego trzeba, by Weldon trafił na szubienicę?

Slade zamyślił się na moment.

- Niepodważalnego dowodu, że popełnił osobiście jakieś morderstwo. Myślę jednak, że wolisz zabić go osobiście, niż pozwolić, by wyręczył cię w tym sąd naszej królowej.

Wędrowiec zignorował tę uwagę, choć uznał w duchu, że jego najbliżsi znają go już nazbyt dobrze.

- Dwóch spośród ośmiu strażników, których dla mnie znalazłeś, będzie pilnowało ciebie. Zabieraj ich wszędzie ze sobą, zadbaj też o to, by przez całą dobę pilnowali twojego domu.

Slade spojrzał nań z niedowierzaniem.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne?

- Przypuszczam, że nim Weldon zaatakuje mnie osobiście, spróbuje poprawić sytuację spółki. Jeśli dowie się, że to ty kierujesz tymi sprawami, uzna zapewne, że twoja śmierć pomoże jemu, a zaszkodzi mnie. - Wędrowiec uśmiechnął się sardonicznie. - To pierwsze założenie może okazać się mylne, drugie jednak z pewnością będzie prawdziwe.

Prawnik znów przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Skoro tak stawiasz sprawę, z chęcią przyjmę strażników. Czy możliwe jest, by Weldon wyeliminował zarówno mnie, jak i ciebie, a przy tym wymigał się od wszelkiej odpowiedzialności?

- Nie ma takiej możliwości. Sporządziłem trzecią kopię wszystkich dokumentów obciążających Weldona i przekazałem ją komuś, kogo Weldon nigdy nie skojarzy z moją osobą. Bez względu na to, co wydarzy się w najbliższych dniach, Weldon odpowie za swoje zbrodnie. - Spoglądając na Slade'a, książę dodał: - Nie rób takiej ponurej miny. Staram się

tylko brać pod uwagę wszelkie możliwości. Weldon nie jest jakimś niezwyciężonym herosem. To tylko szaleniak, który ma na swych usługach kilku osiłków i zbójów. Być może nigdy cię nie odnajdzie, a jeśli nawet, to wcale nie musi mieć wobec ciebie jakichś zbrodniczych planów.

Pożegnawszy się ze Slade'em, Wędrowiec wyszedł z jego domu, obmyślając jut następne środki ostrożności.

Mężczyzna, który stał po drugiej stronie ulicy, dowiedział się już od sklepikarza, kto mieszka pod tym adresem. Kiedy Wędrowiec opuścił mieszkanie Slade'a, mężczyzna ruszył za nim.

Tego samego popołudnia Weldon otrzymał raport o porannej wizycie księcia. Sekretarz Weldon, zajmujący się sprawami spółki kolejowej, rozpoznał nazwisko Benjamina Slade'a. Wkrótce obaj ustalili ponad wszelką wątpliwość, że Slade jest pracownikiem Wędrowca. Jak na człowieka, który pracuje niemal wyłącznie we własnym domu, prawnik był zadziwiająco dobrze znany w kręgach biznesowych. Cieszył się także ogromnym szacunkiem, graniczącym niemal z uwielbieniem.

Kiedy kolejne fragmenty układanki złączyły się w jedną całość. Weldon zatarł ręce z satysfakcją. Tak, szczęście wciąż było po jego stronie. W ciągu tygodnia powinien zakończyć sprawę Michaela Connery, głupca, któremu wydawało się, że może pokonać Charlesa Weldon.

Tej nocy do domu Benjamina Slade'a włamali się dwaj mężczyźni. Intruzi podkładali właśnie ogień, kiedy zostali zaskoczeni przez dwóch uzbrojonych strażników. Doszło do wymiany strzałów, a jeden z włamywaczy został ranny, o czym świadczyły plamy krwi na podłodze i parapecie okna. Slade przybył na miejsce dość szybko, by pomóc strażnikom ugasić pożar, który na szczęście nie wyrządził większych szkód.

Mocno poruszony tymi wydarzeniami, prawnik z samego rana wysłał wiadomość do swego pracodawcy. Wędrowiec przybył do jego domu tuż po lunchu. Kiedy strażnik wpuścił gościa, Slade wyszedł mu na spotkanie i omal nie został uduszony przez Jenny Miller, która rzuciła mu się w ramiona i objęła go mocno za szyję.

- Kiedy dowiedziała się, że otrzymałem od ciebie pilną wiadomość, dręczyła mnie dopóty, dopóki nie wyjaśniłem jej wszystkiego - wyjaśnił Wędrowiec, uśmiechając się lekko.

- Potem nie pozwoliła mi wyjechać z domu bez niej.

- Nic panu nie jest, panie Slade? - spytała Jenny z niepokojem, jednocześnie uważnie mu się przyglądając, jakby szukała śladów oparzeń.

- Jestem cały i zdrow, Jenny - zapewnił ją. Ubrana w suknie lady Sary, Jenny Miller

mogłaby śmiało pokazywać się nawet w najbardziej wykwinnym towarzystwie. Z pewnym ociąganiem Slade odsunął dziewczynę od siebie, po czym spojrział na Wędrowca i spytał: - Chcesz porozmawiać ze mną na osobności?

Jenny może równie dobrze pójść z nami - odparł księżę z przekąsem. - Jeśli ją tu zostawimy, i tak będzie podsłuchiwać pod drzwiami.

- Zgadza się, proszę pana - odparła Jenny z wyzywającym błyskiem w oku. Nie odstępując Slade'a ani na krok, przeszła z nim do gabinetu i usiadła obok niego na sofie. Przez cały czas trzymała go za rękę, jakby jej obecność miała zapewnić mu absolutne bezpieczeństwo.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Wędrowiec powiedział:

- Spakuj najważniejsze rzeczy i zamknij dom. Będziesz bezpieczniejszy w Sulgrave. To kwestia kilku dni; cokolwiek ma się wydarzyć, wydarzy się wkrótce.

Slade zmarszczył brwi.

- Czy strażnicy mogą zostać tutaj? Nie chciałbym po powrocie zamiast domu zastać tylko zgliszcza.

- Zgoda, choć uważam, że jeśli stąd wyjedziesz, próby podpalenia już się nie powtórzą.

Prawnik przygryzł wargę.

- Nie wiesz, w jaki sposób Weldon zdołał mnie tak szybko namierzyć?

Wędrowiec skrzywił się z niesmakiem.

- Prawdopodobnie ktoś mnie śledził wczoraj rano. Przyszedłem do ciebie dość wcześniej i myślałem, że Weldon nie zdążył jeszcze rozesłać swoich ludzi po mieście. Wygląda na to, że sam go za prowadziłem. - Potrząsnął głową, zły na siebie. - Zachowałem się jak głupiec, nie doceniając jego możliwości.

- Twoi strażnicy zapobiegli przecież nieszczęściu - zauważył Slade.

- To prawda. Tym razem wyprzedziłem Weldona o krok, choć niewielka to satysfakcja. - Zacisnął usta w stanowczym grymasie. - Nie pozwolę, by moi przyjaciele cierpieli przez moje niedopatrzania.

- Jesteśmy przyjaciółmi? Myślałem, że jestem tylko twoim pracownikiem.

- Czy wykonałbyś te wszystkie dziwne i podejrzane polecenia, gdybyś miał robić to tylko dla pieniędzy?

- Nie, raczej nie.

- Tak też myślałem. - Wędrowiec zawahał się na chwilę, niełatwo bowiem przychodziło mu mówić głośno o uczuciach. - Bardzo cię cenię, Benjaminie, i nie chciałbym,

by przydarzyło ci się coś złego.

Slade wyglądał na równie zakłopotanego jak jego pracodawca.

- Dziękuję. Doceniam to. - Uśmiechnął się, zerkając na kobietę, siedzącą u jego boku.

- Moje życie stało się bardzo interesujące, odkąd poznałem ciebie.

Wędrowiec uśmiechnął się ponuro.

- Chińczycy mają przekleństwo, które brzmi „Obyś żył w ciekawych czasach”. Mam nadzieję, że w przyszłości nie będziesz uważał naszego spotkania za przekleństwo.

Slade był pełen uznania dla lady Sary, kiedy ta przyjęła go w Sulgrave, nie okazując nawet śladu zdziwienia. Pomyślał, że to dobrze wróży jej małżeństwu; kobieta, która poślubiła Wędrowca, nie powinna dziwić się niczemu. Slade otrzymał dwa wygodne pokoje; jeden pełnił funkcję gabinetu, drugi sypialni. Tuż po kolacji pożegnał się grzecznie z gospodarzami i wrócił do swoich pokoi, chcąc zająć się pracą, którą musiał odłożyć ze względu na nieoczekiwaną przeprowadzkę.

Było już dosyć późno, kiedy ktoś zapukał delikatnie do drzwi. Przekonany, że to Wędrowiec, Slade zaprosił gościa do środka. Tymczasem w drzwiach ukazała się Jenny, z niepewną miną na twarzy i tacą w dłoniach.

- Napije się pan herbaty, panie Slade? Prawnik nie mógł ukryć uśmiechu zadowolenia.

- Naprawdę nie powinnaś tutaj przychodzić - powiedział, wstając z krzesła. - To nie wypada, lady Sara może się gniewać na ciebie.

- Skończyłam już pracę, więc nie będzie miała nic przeciwko temu. - Jenny postawiła tacę na stole i rozlała herbatę do dwóch filiżanek. - Właściwie nawet tego nie zauważy. Przecież widzi tylko swojego męża.

- Są szczęśliwi? - Slade podsunął Jenny krzesło. Dziewczyna skinęła głową i usiadła.

- Są jacyś tacy... rozpromienieni. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. - Jenny podsunęła Slade'owi talerzyk z ciastkami i zmarszczyła brwi. - Ale on nie mówi jej o tym, co się tu dzieje. To niedobrze, bo ona przecież jest częścią tego wszystkiego.

- Rozumiem, dlaczego Wędrowiec nie chce mieszać żony do swoich kłopotów. Chyba nikt prócz niego i Weldon nie zna całej prawdy. Z pewnością nie wyjawি jej mnie.

- Popelnia błąd - pokręciła głową Jenny. - Lady Sara nie zna ciemnej strony życia, ale nie jest też dzieckiem. Będzie wściekła, kiedy dowie się, że księżę coś przed nią ukrywa. Poza tym, nie wiedząc, co dzieje się wokół niej, jest bardziej narażona na niebezpieczeństwo.

- Powiedz to księciu, jeśli masz dość odwagi - uśmiechnął się Slade. - Boja nie mam.

- Ja też nie - westchnęła z żalem Jenny. - Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Ale czekają nas jeszcze poważne kłopoty, czuję to w kościach. Kiedy dowiedziałam się, że

ktoś chciał podpalić pański dom... - Wzdrygnęła się. - Mógł pan zginąć, spłonąć żywcem.

- Ale nie zginąłem. Jestem tutaj, cały i bezpieczny, a nasze kłopoty wkrótce się skończą.

Jenny pokręciła głową i odparła z poważną miną:

- Weldon i Wędrowiec są jak dwa koguty: nie spoczną, dopóki któryś z nich nie zginie. I niech Bóg ma w opiece tych, którzy ośmielą się wejść pomiędzy nich.

- Slade milczał, świadom, że dziewczyna prawdopodobnie ma rację. On sam znalazł się pomiędzy walczącymi stronami i mógłby już zginąć, gdyby Wędrowiec nie postawił w jego domu strażników.

Uznawszy, że rozmowa staje się nazbyt poważna, zaczął wypytywać Jenny o życie na wsi. Opowieści o pierwszych kontaktach dziewczyny wychowanej w mieście ze zwierzętami gospodarskimi i farmerami były naprawdę zabawne, wieczór więc upłynął im bardzo szybko.

Zegar wybijający północ przypomniał wreszcie Slade'owi o późną porze.

- Czas do łóżka, Jenny. Dziękuję za odwiedzinę, bardzo brakowało mi naszych wieczornych rozmów.

- Mnie też. - Wstała, postawiła na tacy filiżanki i talerzyki, zamiast jednak wyjść, zaczęła bawić się przykrywką dzbanka. Nie podnosząc wzroku, powiedziała: - Pamięta pan, jak powiedział, że wspólnie spędzona noc powinna coś znaczyć?

Slade zeszywniał, zaskoczony i skonfundowany.

- Pamiętam.

Jenny zerknęła na niego spod oka.

- Gdybyśmy zrobili to teraz... to by coś znaczyło. - Ponownie wbiła spojrzenie w tacę.
- Jeśli nadal pan tego chce.

Slade przełknął ciężko, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć. Dzisiejsza propozycja różniła się znacznie od tej pierwszej, choć sam nie był pewien jak. Potem zrozumiał. Jenny nie była już tą młodą kobietą, która bez skrupułów ofiarowała mu swe ciało jako wyraz wdzięczności. Dziś była onieśmielona, bała się odrzucenia, bo tym razem w grę wchodziły jej uczucia.

- Och tak, Jenny, chcę tego - odrzekł cicho. - Ale nadal nie wiem, czy powinienem to zrobić. Co z twoim nowym życiem i przystojnym, młodym lokajem?

- Poznałam tu różnych mężczyzn. - Jenny wzruszyła ramionami. - I parobków, lokajów, strażników i ogrodników. Większość próbowała mnie poderwać, niektórzy są nawet przystojni, ale żaden z nich nie jest panem.

Slade zrozumiał nagle, że otrzymał najwspanialszy prezent w swym życiu. Nie dbając

już o to, czy powinien to robić, czy też nie, położył dłoń na jej policzku, ciesząc się delikatnym dotykiem jej skóry.

- Ach, Jenny, jesteś taka śliczna - wyszeptał. Potem pochylił się i ucałował ją, bardzo delikatnie. Choć nie żył w celibacie i od czasu do czasu miał bliższe kontakty z kobietami, nigdy nie uważał się za amanta i wiedział, że nie jest wspaniałym, wyrafinowanym kochankiem. Chciał jednak, pragnął każdą cząstką ciała, zadowolić tę młodą kobietę, która zaznała w życiu tak mało przyjemności.

Jenny odpowiedziała na jego pocałunek subtelnym, niepewnym dotykiem, równie onieśmielona jak on. Potem westchnęła cicho, położyła dłonie na jego ramionach i przyciągnęła go do siebie. Kiedy zegar odmierzał kolejne minuty, mężczyzna o niewielkim doświadczeniu i dziewczyna, która miała go aż nazbyt wiele, odnaleźli razem magiczną krainę rozkoszy.

Kiedy już leżeli obok siebie, zmęczeni, Jenny zaczęła płakać. Przerazony Slade podniósł się i spojrzał na nią.

- Co się stało, Jenny? Zrobiłem ci krzywdę?

Myślał, że dziewczyna odsunie się od niego, ona jednak przytuliła się tylko mocniej i objęła go swymi drobnymi ramionami.

- Ja... ja nie wiedziałam, że to może być takie słodkie.

Slade przytulił ją, głaskał jedną dłonią jej jasne włosy, zdumiony, że tak piękna kobieta znalazła szczęście w jego ramionach. Kiedy kochali się ze sobą, nie wszystko szło po ich myśli, musieli się jeszcze wiele nauczyć, lecz Jenny miała rację; łączyła ich jakaś ogromna słodycz. Po chwili powiedział cicho:

- Wiem, że trochę na to za wcześnie, ale zastanów się, proszę, czy nie chciałabyś wyjść za mnie.

Zszokowana, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała nań zapłakanymi oczyma.

- Wyjść za pana? - powtórzyła drżącym głosem. Ostrożnie otarł dłonią łzy z jej policzka.

- Wiem, że nie powinienem o to pytać. Jestem prawie dwa razy starszy od ciebie i niezbyt interesujący, ale mam całkiem przyzwoity majątek i naprawdę bardzo dbałbym o ciebie. Jako moja żona nigdy już nie zaznałabyś głodu i chłodu, miałabyś wszystkiego pod dostatkiem.

- Jest pan najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego poznałam - odparła Jenny z naciskiem. - Ale nie może pan się ze mną ożenić! Jest pan dżentelmenem.

Slade uśmiechnął się pod nosem.

Mogę ożenić się z każdą kobietą, którą zdołam do tego namówić Jenny, choć do tej pory nigdy nie myślałem o małżeństwie.

- Co powiedzieliby ludzie? - spytała Jenny żałośnie. - Dżentelmeni nie żenią się z prostytutkami. Wstydziłby się pan mnie.

- Nie mów tak! Nie jesteś prostytutką. Jesteś odważną, piękną, młodą kobietą, która przetrwała pomimo przeciwności losu. Jesteś jak piękna róża, która zakwitła pomiędzy chwastami.

Jenny zachichotała.

- Nie brzmi to zbyt romantycznie.

- Pewnie nie. Nie mam natury romantyka - przyznał, zadowolony, że Jenny znów się śmieje. - I nie mów, że sobie nie poradzisz. Jesteś bardzo zdolna, szybko uczysz się odpowiedniego języka i manier. Za kilka miesięcy ludzie nie będą nawet podejrzewać, że twoja przeszłość różni się w jakiś zasadniczy sposób od ich nudnego życia.

Jenny uśmiechnęła się, lecz jednocześnie potrząsnęła głową.

- Myślę, że teraz jest pan właśnie bardzo romantyczny, panie Slade. Nie musi pan żenić się ze mną tylko z powodu tego, co przed chwilą robiliśmy.

- A ja myślę, że powinnaś przestać nazywać mnie panem Slade i zwracać się do mnie po imieniu. - Położył się na poduszce, oparł jej głowę o swoje ramię i gładził delikatnie jej długie, jedwabiste włosy. - Kiedyś, dawno temu, zawsze robiłem to, co ludzie uważali za właściwe. Uczyłem się, ciężko pracowałem, przestrzegałem wszystkich reguł, przekonany, że cnotliwe życie zostanie w końcu nagrodzone. Pojechałem do Indii, jako pracownik Kompanii Wschodnioindyjskiej, by zrobić tam karierę i zbić majątek. - Westchnął ciężko, wracając wspomnieniami do Indii, do czasów, kiedy omal nie popełnił samobójstwa z rozpacz. - I po wszystkich tych staraniach zostałem w końcu kozłem ofiarnym, rzekomym sprawcą malwersacji popełnionych przez mego zwierzchnika. Straciłem pracę, reputację, większość przyjaciół i wolność. Gdyby nie Wędrowiec, który znalazł się tam przypadkiem i wybawił mnie z opresji w nielegalny, lecz skuteczny sposób, pewnie dawno bym już nie żył albo gnął w więzieniu. - Uniósł głowę i pocałował Jenny w czubek nosa. - Później nie dbałem już o to, co pomyśli o mnie świat. Postanowiłem, że w przyszłości będę dbał przede wszystkim o siebie, a nie o opinię innych ludzi. Byłbym naprawdę ogromnie zadowolony, gdybyś za mnie wyszła, oczywiście pod warunkiem, że i ty szczerze tego zapragniesz.

Jenny milczała, wiedząc, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, znów się rozplacze. Położyła dłoń na piersiach Slade'a. Poznała wiele męskich ciał, traktowała je w najlepszym razie z obojętnością, zwykle zaś ze strachem i obrzydzeniem. Nigdy jednak nie marzyła o

tym, by być blisko takiego mężczyzny jak ten. Benjamin miał miłe ciało, szczupłe i umięśnione, nie wielkie i przerażające.

Kochając się z nim, doznała wielkiej przyjemności, czuła się otoczona troską, niczym najdelikatniejsza porcelana. Słyszała, że kobiety mogą odczuwać namiętność równie wielką jak mężczyźni, ale nigdy w to nie wierzyła. Teraz wiedziała już, że to prawda, i przeczuwała, że któregoś dnia odpowie na pieszczoty Benjamina czymś więcej niż tylko słodyczą.

- Pragnę tego - odrzekła cicho. - Jest jeszcze za wcześnie, ale może później, jeśli nie znudzisz się mną...

- Nigdy się tobą nie znudzę, Jenny. Ale nie chcę cię poganiać. Małżeństwo to bardzo poważna sprawa i powinnaś dobrze ją sobie przemyśleć. A tymczasem...

Pocałował ją, tym razem poważnie. A kiedy oddała pocałunek, wiedział, że nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo mężczyzną.

Kane leżał na brzuchu, ukryty w wysokiej trawie, i obserwował przez lornetkę dwóch mężczyzn galopujących wzdłuż grzbietu wzgórza. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Przyjechał tu dziś tylko na zwiady, lecz oto los podsuwał mu obu mężczyzn, których chciał zabić Weldon. Zachowywali się jak bezmyślni chłopcy, pozbawieni jakiegokolwiek ochrony, jakby sami chcieli oddać się w jego ręce.

Choć jego pracodawca wolałby zapewne odsunąć egzekucję jeszcze o kilka dni, Kane nie zamierzał zmarnować tak doskonałej okazji. Wiedział, że Weldon będzie na niego wściekły, lecz nie przejmował się tym zbytnio; dla przyjemności zabijania gotów był ścierpieć znacznie więcej niż wybuch gniewu swego szefa. Poza tym Weldon potrzebował go znacznie bardziej niż on Weldon.

Powoli przeczłogał się w dół zbocza, uważając przy tym, by ani na moment nie wychynąć zza zasłony traw. Uśmiechnął się z pogardą, biorąc pod uwagę bezmyślność jego ofiar, mógł prawdopodobnie darować sobie takie środki ostrożności.

W lewej ręce trzymał lekką, bardzo precyzyjną strzelbę, sprowadzoną specjalnie dla niego aż z Prus. Chciał przycząić się w jakimś dogodnym miejscu i poczekać tam na obu jeźdźców. Był pewien, że wrócą tą samą drogą, którą przyjechali z Sulgrave. Tyle że tym razem czekała ich tutaj niemiła niespodzianka.

Siva nie potrzebował specjalnej zachęty, by galopować wzdłuż North Downs. Kiedy pędzili po starym górskim szlaku, Wędrowiec pochylił się nad szyją ogiera, pozwalając by cudowny, chłodny wiatr przegnał choć na chwilę dręczący go niepokój.

Dwa dni, które upłynęły od balu u Sanfordów, nie były dlań łatwe. Przez cały czas obserwował bacznie Sarę, zastanawiając się, czy teraz kiedy znała już jego pochodzenie, będzie traktować go inaczej niż dotychczas. Nie zauważył jednak w jej zachowaniu żadnych zmian. Kiedy przedstawi jej Benjamin Slade'a i zapowiedział, że pomieszka u nich przez jakiś czas, Sara nie mrugnęła nawet okiem, a potem starała się ze wszystkich sił, by prawnik czuł się u nich jak u siebie w domu.

Jednak pod tą spokojną powierzchnią kryło się dziwne kłębowisko emocji, mieszanina czułości i niecierpliwego wyczekiwania. Wędrowiec wiedział, że jego żona czeka, by uzupełnił brakujące fragmenty swej opowieści i wyjawiał jej, dlaczego chce się zemścić na Charlesie Weldonie. Kilkakrotnie niemal otwierał już usta, by to zrobić, zawsze jednak wycofywał się w ostatniej chwili.

Zachowywał milczenie z dwóch powodów. Po pierwsze czuł ogromne obrzydzenie na

samą myśl, że musiałyby opowiedzieć komuś o tym, co ukrywał starannie przez lata. Nie był nawet pewien, czy w ogóle przejdzie mu to przez gardło. I choć wiedział, że może liczyć na wyrozumiałość Sary i jej współczucie, to właśnie ona była ostatnią osobą na ziemi, której chciałby powiedzieć o swym upokorzeniu.

Po drugie, nie wiedział jeszcze, co właściwie chce zrobić potem. Musiał jak najszybciej podjąć jakąś decyzję, nie mógł bowiem oddać inicjatywy swemu przeciwnikowi. Z drugiej jednak strony nie mógł działać, nie wiedząc, co jest jego ostatecznym celem.

Dlatego też ogromnie się ucieszył kiedy Ross przyjechał doń z Chapelgate i zaproponował wspólną przejażdżkę po wzgórzach. Ross znał sytuację lepiej niż ktokolwiek poza nim samym. Poza tym Ross był jedynym spośród jego przyjaciół i znajomych, który rozumiał zarówno świat szanujących prawo obywateli, jak i ciemny obszar bezprawia, gdzie toczyła się śmiertelna walka pomiędzy nim i Weldonem.

Siva zaczął coraz ciężiej dyszeć, Wędrowiec ściągnął więc wodze, przechodząc w kłus. Kilka minut później dogonił go Ross.

- Czy ta twoja ociężała chabeta jest może spokrewniona z Pansy, ulubioną kłaczą Sary? - zawołał Wędrowiec.

- Widzę, że chcesz mnie sprowokować - roześmiał się Ross, dostosowując tempo do swego towarzysza. - Jeśli chcesz stanąć do wyścigu, możemy zrobić to któregoś dnia, kiedy mój koń będzie wypoczęty. A jeśli będzie to bieg z przeszkodami, to gwarantuję ci, że ten twój leniwiec zobaczy tylko zad mojego Iskandera.

- Być może - zgodził się Wędrowiec. - Siva jest szybki jak wiatr, ale nie skacze najlepiej.

Mężczyźni zawrócili konie i ruszyli w drogę powrotną do domu. Wędrowiec westchnął ciężko, czując, jak opuszcza go dobry humor wywołany przejażdżką. Marszcząc brwi, rozejrzał się uważnie dokoła.

- Nie powinniśmy byli przyjeżdżać aż tutaj. Jesteśmy zbyt odsłonięci i stanowimy doskonały cel dla snajpera. Robię się lekkomyślny; nawet nie zabrałem ze sobą broni.

Ross spojrzał nań z niepokojem.

- Naprawdę myślisz, że Weldon spróbuje cię zamordować?

- Tak, choć przypuszczam, że zaczeka z tym jeszcze kilka dni. Najpierw zechce pewnie wysledzić wszystkie moje powiązania i przekonać się, gdzie jeszcze popsulem mu szyki. - Wędrowiec zerknął na swego przyjaciela. - Obawiam się, że po tym, co się wydarzyło na balu, będzie chciał dopaść i ciebie. Widziałeś jego minę, kiedy wystąpiłeś z tłumu i ująłeś się za mną?

Ross skinął głową.

- Myślę, że ten człowiek jest naprawdę szalony, a twoja wendeta rozbudza w nim tylko najgorsze instynkty.

- Zło, które zawsze w nim mieszkało, dopiero teraz ujawnia się w całej okazałości - odrzekł książę. - Stając po mojej stronie, sprawiłeś, że to on został skompromitowany, a nie ja. Weldon nigdy nie przyzna się przed sobą samym do błędu, całą winą obarczy więc ciebie i Sarę.

- Mogłeś sam przekonać Wiktorię, kiedy już otrząsnąłeś się z szoku. - Ścieżka zwązła się, by otoczyć niewielki staw. Ross wysunął się przed swego przyjaciela, a kiedy droga była już odpowiednio szeroka, znów zajął miejsce obok niego. - Przyznam, że byłem zaskoczony, kiedy straciłeś na moment głowę. W końcu w grę wchodziło tylko jego słowo przeciwko twojemu, a jako odrzucony zalotnik Weldon miał oczywisty motyw, by próbować cię zniszczyć.

- Być może. - Wędrowiec westchnął. - Pomyślałem jednak, że w konfrontacji angielskiego dżentelmena z cudzoziemcem, to ten pierwszy łatwiej znajdzie posłuch u królowej. Nie przypuszczałem, że moi przyjaciele będą dla mnie kłamać.

- Wcale nie kłamałem - zaprzeczył Ross z niewinną miną. - Przecież naprawdę poznałem cię w Kafiristanie i choć trudno nazwać twój dom pałacem, był to rzeczywiście największy budynek w wiosce, a Kafiristańczycy mają o tobie bardzo wysokie mniemanie. - Po krótkim namyśle dodał: - Nie mogę też powiedzieć, by Sara skłamała. Po prostu pojęcie właściwego pochodzenia jest dla niej znacznie szersze niż dla Wiktorii.

Wędrowiec musiał się roześmiać.

- Oboje jesteście siebie warci. Ross wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Naprawdę urodziłeś się w Londynie?

- Naprawdę. - Wędrowiec opowiedział przyjacielowi pokrótce wszystko, co wyjawiał dwa dni wcześniej Sarze. Na koniec zaś dodał: - Nie wyglądasz na zaskoczonego.

- Bo nie jestem. Już w Kafiristanie podejrzewałem, że jesteś albo mieszkańcem, albo adoptowanym synem z jakiegoś innego kraju - odparł Ross. - Odkąd przyплынаłeś do Anglii na początku lata, byłem przekonany, że jesteś przynajmniej częściowo Europejczykiem. A skoro Europejczykiem, to czemu nie Anglikiem?

- Co mnie zdradziło?

Ross zastanawiał się przez chwilę.

- Coś bardzo nieuchwytnego. Sposób myślenia zbliżony bardziej do zachodnich niż wschodnich standardów. Nie potrafię tego bliżej określić.

- Biorąc pod uwagę twoją znajomość świata i ludzi, trudno się właściwie dziwić, że mnie rozszyfrowałeś. - Siłąc się na obojętny ton, Wędrowiec spytał: - Czy fakt, że jestem bękartem ze slumsów, ma dla ciebie znaczenie?

Ross spojrzał nań chłodno.

- Jesteś dumny ze swego pochodzenia, czy też się go wstydzisz? Wędrowiec był mocno zaskoczony tym pytaniem.

- Nie, nie wstydzę się. Myślę, że w pewnym sensie jestem z tego dumny. Gdybym został wychowany w bardziej przyjaznym środowisku, nie przeżyłbym tego, co spotkało mnie później.

- Więc nie broń się przed tym, co uczyniło cię tym, kim jesteś teraz - odrzekł Ross ostro.

Wędrowiec uznał, że to ostatecznie zamyka kwestię jego pochodzenia. W brytyjskim społeczeństwie nie brakowało uprzedzeń klasowych, on jednak miał to ogromne szczęście, że jego żona i najlepszy przyjaciel nie przykładali wagi do takich spraw.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Wędrowiec wciąż rozglądał się dokoła, obserwując uważnie pobliskie wzgórza i drzewa. Zauważył, że jego przyjaciel robi to samo. Wreszcie Ross przerwał ciszę, pytając:

- Co zamierzasz zrobić z Weldonem?

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem - przyznał Wędrowiec. Opowiedział o włamaniu do domu Slade'a. - Gdyby doszło do pożaru, Benjamin prawdopodobnie by zginął, a jego dokumenty zostałyby zniszczone. Weldon musi umrzeć, jest zbyt niebezpieczny dla wielu ludzi. Pytanie tylko, jak do tego doprowadzić. Nie sądzę, by prawo mogło to zagwarantować.

Ross obdarzył go ironicznym spojrzeniem.

- Dlaczego mówisz o prawie? Przecież chcesz zabić go osobiście. Wędrowiec zachował kamienną twarz. Tak, przyjaciele znali go już zbyt dobrze.

- Wolę myśleć o tym jako o egzekucji.

- Więc co cię powstrzymuje? Wędrowiec uniósł lekko brwi.

- Jak to, nie będzie wykładu o moralności?

- Wcale mi się nie podoba to, co zamierzasz - odrzekł Ross cierpko - ale nie widzę innego rozwiązania. To oczywiste, że toczycie z Weldonem walkę na śmierci życie, a skoro jeden z was musi zginąć, wolę, by był to Weldon.

- Jeśli zdecyduję się zabić Weldona, zrobię to tak, by nikt nie mógł mnie wytropić - powiedział Wędrowiec, wdzięczny za pragmatyczną aprobatę dla jego planów, - Lecz jeśli coś mi się nie uda i będę musiał opuścić Anglię... Chciałbym mieć pewność, że zaopiekujesz

się Sarą. - Zamilkł na chwilę, potem znów przemówił. - Wiem, że zrobisz to tak czy inaczej, lecz będę czuł się lepiej, wiedząc, że choć jedna osoba wie, co się naprawdę wydarzyło. W oczach Rossa pojawiły się iskierki gniewu.

- Więc zamierzasz porzucić swoją żonę? - warknął, znacznie bardziej poruszony tą perspektywą niż faktem, że przyjaciel chce popełnić morderstwo.

- Nie ożeniłem się z nią po to, by ją porzucać, ale wątpię, czy w razie konieczności zechce ze mną wyjechać - oświadczył Wędrowiec chłodnym tonem. - Całe jej życie to Anglia; wszyscy przyjaciele, krewni. Jak mógłbym jej to odebrać?

- Możesz pozwolić, by to ona sama dokonała wyboru - odrzekł Ross równie zimnym głosem. - Przysięgam, że jeśli ją porzucisz, odnajdę cię choćby na końcu świata, a wtedy pożałujesz, że kiedykolwiek przyplłynąłeś do Anglii.

Wędrowiec zachichotał, chcąc rozładować sytuację.

- Zaczynasz mówić jak ja. Zbyt częste kontakty ze mną źle wpływają na twoje morale. Kiedy Ross uśmiechnął się niechętnie, Wędrowiec kontynuował:

- Uwierz mi, wcale nie mam ochoty uciekać z Anglii jako przestępca, tak jak nie mam ochoty zmuszać Sary do wyboru, który może ją unieszczęśliwić. - Poza tym domyślał się, jaką decyzję podjęłaby Sara, i wcale nie byłaby to decyzja na jego korzyść. - Chcę być tylko przygotowany na wszelkie ewentualności.

- Spróbuj nie dać się zabić - mruknął Ross. - Sarze na pewno by się to nie spodobało, a ja znalazłbym się w bardzo nieciekawej sytuacji. Musiałbym sam dopaść Weldona, nim ten skrzywdziłby mnie albo Sarę. - I stosując typowe, brytyjskie niedomówienie, dodał: - Nieprzyjemna historia.

- Bardzo nieprzyjemna - zgodził się z nim Wędrowiec. - Kiedy przyjechałem do Anglii, myślałem, że zemsta to prosta sprawa. Tymczasem moje życie niewiarygodnie się skomplikowało.

Ross uśmiechnął się lekko.

Witaj w rzeczywistym świecie.

Słyszac nadjeżdżające konie, Kane przygotował się do strzału. Znalazł doskonałą kryjówkę za skalnym występem. Ścieżka oddalona była od tego miejsca o jakieś sześćdziesiąt stóp, doświadczony snajper nie mógł więc mieć żadnych problemów z trafieniem do celu. Podobnie jak wiele starych traktów i ten przebiegał o jakieś trzy stopy poniżej poziomu gruntu, lecz jeźdźcy i tak byli doskonale widoczni.

Kane ułożył się na brzucha i przygotował broń do strzału. Wolał sam wykonywać takie zadania; pomocnicy sprawiali więcej kłopotów niż pożytku. Osilek, którego zabrał do

domu prawnika, był zbyt głupi i dał się postrzelić. Nie, zdecydowanie lepiej jest pracować w pojedynkę.

W polu widzenia pojawili się dwaj jeźdźcy. Kane upewnił się najpierw, że to właściwe osoby. Zawsze był w tej kwestii bardzo ostrożny.

Lord Ross Carlisle był bliżej, Kane mierzył jednak do Wędrowca, gdyż ten śniady obcokrajowiec był ważniejszym celem, a poza tym miał doświadczenie, które pozwoliłoby mu zachować zimną krew pod ostrzałem. Rozpieszczony angielski arystokrata, jak lord Ross, prawdopodobnie byłby zbyt wystraszony i zdumiony, by schować się, nim Kane ponownie załaduje broń.

Celując prosto w serce, Kane zaczął powoli przesuwać lufę karabinu. Jeszcze chwilka, tylko jedna chwilka...

Bez pośpiechu pociągnął za spust.

Gdyby słońce nie wyszło zza chmur kilka minut wcześniej, Ross niczego by nie zauważył. Co prawda dojrzał błysk słońca na lufie karabinu w ostatniej chwili, ale to mu wystarczyło. Zareagował odruchowo, tak jak nakazywał mu instynkt wyćwiczony podczas wielu niebezpiecznych podróży.

Sądząc po położeniu lufy, to Wędrowiec był celem. Tymczasem ten, niczego nieświadomy, przyglądał się kępie drzew po drugiej stronie drogi. Ścieżka była w tym miejscu bardzo wąska, tak że obaj mężczyźni niemal dotykali się kolanami.

- Na dół! - krzyknął Ross instynktownie. Jednocześnie rzucił się w bok, próbując zepchnąć swego towarzysza z konia.

Zarówno okrzyk, jak i działanie były o ułamek sekundy spóźnione. Kiedy Ross złapał Wędrowca za ramię, straszliwy ból przeszył mu plecy. Nim stracił przytomność, pomyślał jeszcze o ironii losu, który pozwolił mu przetrwać podróże do Bokhary i Afganistanu tylko po to, by uśmiercić go wśród zielonych wzgórz Anglii.

Potem zamknęła się nad nim ciemność.

Kane z wściekłością obserwował, jak cały jego plan bierze w łeb. Anglik musiał coś zobaczyć, bo krzyknął i zasłonił sobą Kafiristańczyka. Kiedy przez dolinę przetaczał się huk wystrzału, któryś z koni zarżał przeraźliwie i obaj mężczyźni zniknęli z jego pola widzenia, ukryci między wierzchowcami. Ponieważ ścieżka ukryta była poniżej linii gruntu, Kane nie widział, co się tam dzieje. Oba konie biegły galopem w dół ścieżki. Potem zapadła absolutna cisza.

Przeładowując szybko broń, Kane kłął pod nosem. Jego karabin miał ogromną moc, więc być może kula przeszła przez ciało lorda Rossa i trafiła też Wędrowca. Było to całkiem

prawdopodobne, bo z miejsca, gdzie zniknęli mężczyźni, nie dochodził żaden odgłos. Z drugiej jednak strony Kane wiedział, że nie był to najlepszy strzał i że jeden z mężczyzn mógł jeszcze żyć. Musiał dobić go z mniejszej odległości, co wykluczy hipotezę, że śmierć była wynikiem nieszczęśliwego wypadku na polowaniu.

Było już jednak za późno na odwrót. Wyteżając wszystkie zmysły, Kane zaczął skradać się w stronę swych ofiar.

Ogłuszający huk wystrzału uświadomił Wędrowcowi, że po raz drugi tragicznie pomylił się w swych rachubach. Weldon wcale nie czekał, od razu postanowił zadać śmiertelny cios.

Wędrowiec mógł odzyskać równowagę i utrzymać się w siodle, pozwolił jednak, by ciężar spadającego ciała Rossa ściągnął go na ziemię. Choć był na siebie wściekły, jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Strzał został oddany z prawej strony ścieżki, obserwowanej przez Rossa, a nie przez niego. Krył się tam tylko jeden snajper, inaczej bowiem obaj już by nie żyli. A Ross przyjął na siebie kulę przeznaczoną dla przyjaciela.

Wędrowiec uderzył mocno o ziemię, ciało Rossa upadło na niego. Konie przerażone hukami i zapachem krwi pobiegły dalej. Nie wychylając głowy znad krawędzi ścieżki, Wędrowiec obejrzał szybko ranę przyjaciela, modląc się w duchu, by nie okazała się śmiertelna. Kula uderzyła w górną, lewą część pleców. Kiedy odwrócił Rossa, by zobaczyć, czy na jego piersi jest otwór wylotowy, ten uniósł lekko powieki.

- To był cholernie głupi pomysł - kłął Wędrowiec szeptem. - Tylko nie mi tu umieraj, bo Sara nigdy mi tego nie wybaczy.

Ross próbował się uśmiechnąć. Potem otworzył usta i przemówił cichym, ledwie słyszalnym głosem:

- Powiedz Sarze... byłem ci to winien... życie za życie... - Potem znów zamknął oczy.

Wędrowiec wykrzywił twarz w paskudnym grymasie, kiedy zobaczył plamę krwi rozprzestrzeniającą się na białej koszuli Rossa. Na szczęście kula przeszła go na wylot, rana zaś znajdowała się na tyle wysoko, że prawdopodobnie płuco nie zostało uszkodzone. Jednak jeśli nawet sam postrzał nie był śmiertelny, bez pomocy lekarza Ross mógł umrzeć z upływu krwi.

Duszą Wędrowca targały dwa sprzeczne impulsy; z jednej strony chciał zatamować krew, nim było jeszcze za późno, z drugiej zaś nie mógł tracić ani chwili, kiedy w pobliżu czaił się morderca.

On sam uzbrojony był tylko w nóż, który zawsze nosił w cholewie buta. To musiało mu wystarczyć. Pochylił się nisko, by nie było widać go znad krawędzi ścieżki, szybko

przesunął się o pięćdziesiąt jardów na lewo. Potem wysunął głowę nad brzeg drogi i spojrzał w stronę, z której prawdopodobnie padł strzał. Właśnie tam znajdował się wysoki występ skalny.

Trwał w absolutnym bezruchu; nasłuchiwał. Przez chwilę nie dochodził go żaden dźwięk, potem jednak usłyszał delikatny szelest traw. Nadal nie widział snajpera, domyślał się jednak, że ten skrada się od skał ku ścieżce.

Wysoka trawa, drzewa i krzewy zasłaniały mordercę przed wzrokiem Wędrowca, lecz jednocześnie pozwalały mu podkraść się niepostrzeżenie w jego kierunku. Wyjął nóż z buta i trzymając go w prawej dłoni, zaczął przemykać się w jego kierunku. Musiał poruszać się powoli, bo suche trawy i liście zdradziłyby jego obecność, na szczęście jednak snajper robił dość hałasu, by zagłuszyć ledwie słyszalne odgłosy jego kroków.

Strzelec zatrzymał się na kilka kroków przed ścieżką, prezentując swe plecy Wędrowcowi, który nadal był o jakieś dziesięć stóp za nim, Trzymając broń na ramieniu, snajper zajrzał do wąskiego wąwozu, by przekonać się, jakie szkody wyrządził jego strzał. Kiedy ujrzał tylko jedno ciało, natychmiast zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Błyskawicznie odwrócił się do tyłu, zaciskając dłonie na strzelbie. To był Kane, prawa ręka Weldona.

Ujrzawszy Wędrowca, Kane warknął:

- Wreszcie cię dopadłem!

Wędrowiec pokonał dzielący ich dystans trzema długimi susami.

- Jeszcze nie! - krzyknął, rzucając się na swego przeciwnika.

Kane popełnił błąd, zbyt długo składając się do strzału. Wędrowiec zanurkował pod lufą karabinu i pchnął przeciwnika do tyłu. Broń wypaliła, a pocisk niemal otarł się o policzek Wędrowca, kiedy ten powalił Kane'a na ziemię. Walka była krótka i bezlitosna. Wyrzucając z siebie stek przekleństw, Kane próbował zaskoczyć go wszelkimi znanymi sobie chwytami, lecz Wędrowiec znał ich więcej i był od niego sprawniejszy. W ciągu dziesięciu sekund przygwoździł przeciwnika do ziemi.

Słaby, ledwie słyszalny głos rozsądku podpowiadał mu, że powinien najpierw przesłuchać Kane'a, bo ten może wiedzieć coś więcej o planach Weldona. Lecz rozsądek nie miał żadnych szans w konfrontacji z furją, która kierowała jego poczynaniami.

- Gin, ty bydlaku - warknął. Potem jednym, błyskawicznym ruchem poderżnął Kane'owi gardło. Krew trysnęła gęstym strumieniem, a z przeciętej krtani Kane'a wydobył się jakiś chrapliwy, nieartykułowany dźwięk. Po chwili krew sączyła się już tylko z przeciętego gardła, wreszcie ustała. Wędrowiec wstał i wytarł nóż o płaszcz Kane'a, potem zaciągnął jego

ciało w gąszcz krzewów. Poświecił krótką chwilę na zdjęcie płaszcza i koszuli ze swej ofiary, potem biegiem ruszył w stronę Rossa.

Ross wciąż żył, choć jego oddech był płytki, a twarz blada jak kreda z szoku i wpływu krwi. Wędrowiec miał spore doświadczenie w opatrywaniu ran, szybko więc sporządził prowizoryczny bandaż z koszuli Kane'a, przykładając grube tampony do ran na plecach i piersiach Rossa.

Kiedy zrobił już wszystko co w jego mocy, by zatrzymać krwawienie, wstał i pobiegł w kierunku, w którym zniknęły konie, modląc się, by choć jeden z nich był gdzieś w pobliżu.

Bogowie, do których się zwracał, musieli go wysłuchać, bo zaledwie o ćwierć mili dalej odnalazł wierzchowca Rossa. Iskander miał łagodne usposobienie, uciekał jednak przed dzikim, okrwawionym człowiekiem, który usiłował go złapać. Minęło kilka długich minut, nim Wędrowiec uspokoił się na tyle, by Iskander pozwolił mu zbliżyć się do siebie. Wreszcie zdołał pochwycić spłoszonego konia.

Galopem wrócił do Rossa. Następne pół godziny wspominał potem jako serię oddzielnych, koszmarnych epizodów. Najpierw musiał się porządnie namęczyć, nim wciągnął ciężkie ciało przyjaciela na grzbiet konia. Potem sam dosiadł Iskandera i ruszył w drogę, jedną ręką trzymając wodze, drugą zaś podtrzymując Rossa w miejscu. Zmuszał obciążonego podwójnym ciężarem wierzchowca do morderczej jazdy. I modlił się, by przyjaciel wciąż żył, kiedy dojadą już do Sulgrave.

Sara zajmowała się haftowaniem tylko wtedy, kiedy chciała coś przemyśleć. Wybierając kolejny motek zielonej, jedwabnej nici, uświadomiła sobie ze smutkiem, że w ciągu ostatnich dwóch dni zajmowała się prawie wyłącznie haftowaniem. Po powrocie do Sulgrave miała nadzieję, że Mikahl wkrótce ujawni jej brakujące fragmenty historii swojego życia, on jednak wcale się do tego nie kwapił, Sara zaś nie chciała nań naciskać.

Wyczuwała w powietrzu jakieś napięcie, coś przypominającego wstążkę roztopionego szkła, która, rozciągana, staje się coraz cieńsza i cieńsza, aż wreszcie musi pęknąć. Zamyślona, pochyliła się, by podrapać za uchem Futrzaka, który ułożył się wygodnie na skraju jej sukni. Wciąż dręczyło ją przekonanie, że jest coś, o czym nie wie, a powinna wiedzieć, i że ta tajemnica zaowocuje wkrótce jakimś ważnym wydarzeniem.

Ocknęła się z tych rozmyślań, kiedy do salonu wkroczył lokaj z popołudniową herbatą. Podniosła wzrok, by mu podziękować, zamknęła jednak usta, dojrawszy na jego twarzy wyraz głębokiej troski. Przypominając sobie z wyrzutem, że nie ona jedna na tym świecie ma problemy, opuściła obręcz z robótką i spytała:

- Czy coś się stało, Gates?

Lokaj wahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy ma zaprzeczyć, czy też powiedzieć prawdę, wreszcie oświadczył z ponurą miną:

- Miała pani rację. Powinienem być pani posłuchać i sprzedać akcję L&S Railway, kiedy ich cena była wysoka.

- A teraz spadła? - domyśliła się Sara.

- I to jak. W gazetach piszą nawet, że spółka jest na skraju bankructwa. - Po kolejnej chwili wahania, Gates spytał z nadzieją: - Czy księżę Wędrowiec powiedział pani coś, co mogłoby wskazywać, że to tylko przejściowe problemy i że spółka znowu będzie prosperować?

Sara musiała rozwiać jego nadzieje.

- Przykro mi, ale mąż nigdy nie rozmawia ze mną o interesach - odparła, kręcąc głową. Widząc jednak ogromne rozczarowanie w jego oczach, dodała szybko: - To nie znaczy, że sytuacja spółki nie zmieni się jeszcze na lepsze, po prostu nic nie wiem na ten temat. Może sam powinieneś go o to zapytać.

Gates był niemal oburzony tą propozycją.

- Nie mógłbym tego zrobić, to nie wypada.

Sara doskonale go rozumiała. Gates wychował się w Haddonfield i mógł swobodnie

rozmawiać tylko z ludźmi, których znał od lat. Wędrowiec nadal pozostawał dla niego kimś obcym.

- Spytam go o to dziś wieczorem - zaoferowała się Sara.

- Byłbym pani bardzo wdzięczny. - Pochylił się, by lnianą ściereczką usunąć jakąś niewidzialną plamkę ze lśniącej powierzchni stołu. Potem oświadczył głosem pełnym goryczy: - Powinienem był wiedzieć, że spółki i akcje to zabawa dla bogaczy. Zachowałem się jak głupiec, myśląc, że ktoś taki jak ja może zrobić na tym dobry interes.

Sara ze smutkiem przysłuchiwała się jego zwierzeniom, wiedząc, że sam fakt, iż Gates zdecydował się jej o tym powiedzieć, był miarą ogromnego stresu, jaki przeżywał w związku ze spadkiem cen akcji. Z drugiej strony była niemal pewna, że mąż wcale się tym nie przejmuje; ponieważ spółka była oczkiem w głowie Weldon, Mikahl prawdopodobnie cieszył się z jej kłopotów.

Ich rozmowa została nagle przerwana przez jakieś hałasy dobiegające z głównego hallu. Zaciekawiona Sara odłożyła robótkę i zeszła na parter, by sprawdzić, co się dzieje.

Zamarła z przerażenia, kiedy ujrzała Mikahla i lokaja wnoszących do hallu bezwładne ciało jej kuzyna. Zarówno ubranie jej męża, jak i Rossa przesiąknięte było krwią. Czując, jak uginają się pod nią nogi, Sara oparta się plecami o ścianę.

- Boże, co się stało? Mikahl podniósł na nią wzrok; jego zielone oczy płonęły gniewem.

- Jakiś głupi myśliwy postrzelił Rossa.

Sara przycisnęła pięści do ust i spojrzała ze zgrozą na ciało rannego.

- Czy... czy on żyje?

- Na razie jeszcze żyje - padła ponura odpowiedź. - Poślij po lekarza, a my tymczasem wniesiemy go na górę.

Sara skinęła głową, wdzięczna, że może się czymś zająć. Odwracając się do Gatesa, który wszedł za nią do hallu, powiedziała:

- Wyślij któregoś lokaja do Reigate. Niech obieca lekarzowi każdą sumę, byle tylko natychmiast tu przyjechał.

Gates skinął głową i odszedł, by wypełnić jej polecenie. Sara stała przez chwilę w bezruchu, przyciskając dłonie do skroni i zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Boże, Ross nie może przecież umrzeć. Był przy niej przez całe życie, śmiał się wraz z nią w dobrych chwilach, pomagał w złych, zawsze otaczał ją troską. A teraz jego życie zawisło na włosku.

Uświadomiwszy sobie, że jej oddech staje się coraz szybszy i coraz płytszy, wyteżyła

całą siłę woli, by uspokoić rozszalałe emocje. Wpadając w histerię, z pewnością nie pomoże swemu kuzynowi.

Po chwili jej umysł znów zaczął normalnie pracować. Zwabieni nagłym zamieszaniem, w hallu pojawili się inni służący, Sara kazała więc jednemu z nich przynieść pacjentowi ciepłą wodę. Potem sama weszła na górę, by wyjąć ze schowka na pościel czyste prześcieradła.

Kiedy weszła do pokoju, w którym ułożono Rossa, pochylony Mikahl z zatroskaną miną przyglądał się przemoczonym bandażom.

- Znów zaczął krwawić. Pomożesz mi założyć nowy opatrunek? Jeśli nie możesz znieść widoku krwi, wyjdź i przyslij tu kogoś ze służących. Nie mogę zajmować się jednocześnie tobą i Rossem.

- Zostanę - odparła Sara krótko. Przymotnie zabrała ze sobą nożyczki, którymi pocięła teraz prześcieradło na wąskie pasy. Kiedy jej mąż podniósł Rossa, by przewrócić go na brzuch, podłożyła pod ciało kuzyna kolejne prześcieradło, które miało wchłonać krew podczas zmiany opatrunku.

- Jechaliśmy ścieżką wzdłuż grzbietu Downs - wyjaśniał Mikahl, usuwając jednocześnie zlepione krwią, prowizoryczne bandaże, - To był tylko jeden strzał. Myśliwy musiał uciec, kiedy zrozumiał, co się stało.

- To musiał być kłusownik - powiedziała Sara, odwracając wzrok, kiedy Mikahl odsłonił krwawiącą ranę na ramieniu Rossa.

- Bardzo możliwe. - Zakrył ranę grubą warstwą materiału, po czym przywiązał go mocno jednym z długich pasów, które podała mu Sara. - Oba konie uciekły, ale udało mi się złapać Iskandera. Po drodze spotkaliśmy lokaja. Domyślił się, że wydarzyło się jakieś nieszczęście, kiedy mój koń wrócił do domu sam, z raną na szyi.

- Dobry Boże - wyszeptała Sara. - Gdyby kula trafiła ciebie, a nie Siveę, obaj moglibyście tam zginąć.

- Ale nie zginęliśmy. - Przyłożywszy drugi opatrunek do piersi Rossa, Mikahl zaczął go starannie obwiązywać. - Choć wolę nawet nie myśleć, co by się stało, gdybym nie złapał konia Rossa.

Pokojówka przyniosła dzbanek z ciepłą wodą i miednicę, więc kiedy Mikahl założył już opatrunek, Sara zaczęła delikatnie zmywać krew z nagiego ramienia i piersi kuzyna. Jego twarz była blada i nieruchoma niczym oblicze marmurowego posągu. Ten widok sprawiał Sarze niemal fizyczny ból. Nie mogła uwierzyć, że człowiek tak energiczny i pełen życia jak Ross, bliski jest śmierci.

Mikahl położył dłoń na jej ramieniu.

- Przykro mi, Saro - powiedział cicho. - Wolałbym, żeby to mnie trafiła ta kula.

- Tego też nie mogłabym znieść - odrzekła Sara drżącym głosem. - Wypadki się zdarzają. Nie możesz się za to obwiniać.

Przez moment zacisnął mocniej palce, potem zdjął rękę z jej ramienia.

- Nie powinienem cię dotykać, bo za chwilę i ty będziesz cała poplamiona krwią. Musze teraz wyjść na moment i coś załatwić. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Nie zważając na jego ostrzeżenia i poplamione ubranie, Sara wstała i przytuliła się do niego, spragniona męskiego wsparcia.

- Proszę - szepnęła. - Obejmij mnie.

Mikahl przygarnął ją do siebie, objął mocno ramionami, jakby chciał uchronić ją przed całym złem świata.

- Nic ci nie będzie?

Sara wyczuwała w jego ciele nerwowe napięcie. Wolała nawet nie myśleć, co przeżył, widząc, jak Ross pada zakrwawiony na ziemię.

- Poradzę sobie - westchnęła. - Nie pozostaje mi zresztą nic innego, jak czekać na lekarza.

Mikahl ucałował ją w czoło i wyszedł, prawdopodobnie by zmienić ubranie i obejrzyć zranionego konia. Sara usiadła przy łóżku i ponownie zaczęła obmywać ciało Rossa. Nie było to bardzo pomocne ani potrzebne, ale tylko w ten sposób mogła wyrazić swą miłość.

Lekarz przybył tuż przed kolacją. Obejrząwszy ranę Rossa i założywszy nowy opatrunek, powiedział Sarze, że jej kuzyn miał dużo szczęścia, gdyby bowiem ktoś nie zatamował w porę krwawienia, byłby już martwy. Prócz złamanej kości w ramieniu lord Ross nie odniósł innych obrażeń, sama zaś rana postrzałowa nie była już groźna, należało tylko baczyć, by nie wdało się zakażenie. Chirurg zaopatrzył Sarę w porcję laudanum dla uśmierzenia bólu, po czym wyjechał, obiecując, że wróci nazajutrz.

- Bogu dzięki - powiedział Mikahl, kiedy lekarz wyszedł z pokoju. Umyty już i przebrany siedział wraz z Sarą przy łóżku chorego.

- Amen - dodała Sara, odetchnąwszy z ulgą.

- Zamierzasz poinformować o tym jego rodziców?

Sara zastanawiała się przez chwilę, potem pokręciła głową.

- Nie, raczej nie. Ross na pewno by sobie tego nie życzył. Chyba że uważasz, iż powinnam to zrobić?

- To twoja rodzina i ty znasz ich najlepiej - odrzekł Mikahl. - A teraz chodźmy już

stąd. - Pomógł jej wstać z fotela. - Zadzwoń po kogoś, niech czuwa przy łóżku. Ty musisz się przede wszystkim przebrać, jesteś cała poplamiona krwią. Potem zabiorę cię do jadalni i dopilnuję, byś zjadła kolację. Nie chcę, byś ty także zachorowała.

- To nie będzie konieczne. Teraz, kiedy wiem już, że Ross wyzdrowieje, mogę odejść stąd na pół godziny. Ale wrócę tutaj i zostanę przy nim na noc. - Spojrzała na swego męża wyzywająco, spodziewając się sprzeciwu z jego strony.

- Byłbym zdziwiony, gdybyś tego nie chciała. - Mikahl przez chwilę patrzył z troską na nieruchome ciało Rossa. - Ale ja chyba nie będę w stanie wysiedzieć tutaj przez całą noc, wybacz, moja droga.

- Wcale nie oczekuję tego od ciebie. Jestem pewna, że i Ross nie potrafiłby usiedzieć tyle czasu w jednym miejscu.

Mikahl przyciągnął ją do siebie i trzymał przez chwilę w uścisku, masując swymi wielkimi dłońmi jej kark i ramiona.

- Jesteś bardzo wyrozumiałą kobietą.

Jenny czuwała przy chorym, kiedy Sara i jej mąż spożywali kolację. Potem jej miejsce ponownie zajęła Sara.

Wcześniej tego samego dnia, jeszcze przed przybyciem lekarza, Wędrowiec pojechał na wzgórze, biorąc ze sobą luźnego konia. Tam odnalazł ciało Kane'a, owinał je w koc i zawiózł z powrotem do Sulgrave. Dbając o to, by nikt nie zauważył jego poczynań, ukrył ciało w małej, rzadko używanej szopie. Po zapadnięciu zmroku zabrał je stamtąd i ułożył na wozie używanym do różnych prac gospodarczych.

Odziany w ciemne, nierzucające się w oczy ubranie, zaprzągnął konia do wozu i wyjechał do Londynu. Nie spieszył się zbytnio, nie chciał bowiem pojawić się w mieście wcześniej niż przed północą. Kiedy już tam dotarł, pozbył się ciała Kane'a, dokładnie tak, jak to zaplanował, i ruszył w drogę powrotną. Uczyniony został kolejny ruch w śmiertelnej rozgrywce pomiędzy nim i Weldonem, Jadąc samotnie do Sulgrave, Wędrowiec obmyślał już następne posunięcia.

Sara ogromnie się ucieszyła, kiedy Ross zaczął przewracać się i wiercić niespokojnie. Nie miał gorączki, a wszelkie oznaki życia lepsze były od śmiertelnego bezruchu, który doprowadzał Sarę do rozpacz. Udało jej się nakarmić chorego kilkoma łyżkami rosółu, do którego dodała porcję laudanum.

Sama kilkakrotnie zapadała w płytki sen, obudziła się jednak gwałtownie, kiedy usłyszała słabe wołanie:

- Sally?

Ross nazywał ją tak czasem, kiedy byli jeszcze dziećmi. Uradowana, że wreszcie odzyskał przytomność, nachyliła się nad łóżkiem.

- Jak się czujesz?

Ross mrugnął kilkakrotnie, by skupić wzrok na jej twarzy.

- Jak diabli pomiot, jeśli wybaczysz to porównanie. - Jego głos był ledwie słyszalny.

- Wybaczam.

Ross podniósł powoli prawą rękę, sięgając do obandażowanego ramienia.

- Nie mogę pozbierać myśli, wszystko jest jakoś dziwnie spowolnione.

- Lepiej nie ruszaj opatrunku. - Sara odsunęła jego rękę od bandażu. - Dałam ci trochę laudanum, dlatego jesteś taki otępiały. Pamiętasz, co się stało?

Jechałem z Mikahlem przez Downs. - Ross zmarszczył brwi. - Czy on też jest ranny?

- Nic mu nie jest - zapewniła go Sara. - Ta sama kula, która trafiła ciebie, zraniła też jego konia, ale on pozostał nietknięty. Opatrzył cię i przywiózł do Sulgrave.

- Cieszę się, że nic mu nie jest. - Ross nerwowo poruszał palcami w uścisku Sary. - Gdyby Weldon wysłał dwóch zabójców, a niejednego, obaj już byśmy nie żyli.

- Weldon? - powtórzyła Sara, skonfundowana. Chciała powiedzieć, że przecież był to przypadkowy strzał kłusownika, lecz Ross przemówił pierwszy.

- To zabawne. Zaledwie kilka minut przed tym, jak zostałem trafiony, Wędrowiec powiedział, że jesteśmy zbyt odsłonięci i że to może być niebezpieczne. Nie przypuszczał jednak, że Weldon tak szybko spróbuje go zabić. - Ross oswobodził zdrową rękę z uścisku Sary i potarł czoło, jakby chciał oczyścić w ten sposób umysł. - Myślę, że snajper mierzył do Mikahla, nie do mnie. Zobaczyłem karabin i próbowałem zepchnąć Mikahla z linii strzału, a sam na nią wszedłem. To było naprawdę cholernie głupie.

Serce zamarło na moment w piersiach Sary. Po chwili spytała ostrożnie:

- Jesteście pewni, że stoi za tym Charles Weldon?

- Oczywiście. Weldon wiedział, że wcześniej czy później Mikahl spróbuje go zabić, więc postanowił go uprzedzić. - Ross spojrział nagle z niepokojem na twarz swej kuzynki. - A niech to. Nic o tym nie wiedziałaś, prawda?

- Nie, ale ty wszystko mi teraz opowiesz, Ross - odparła Sara zimno. - Co się tu właściwie dzieje?

- Mikahl nie chciał ci o tym mówić - zaczął niepewnie jej kuzyn. - Nie chciał cię martwić.

- Mój mąż popełnił więc błąd - powiedziała Sara, z trudem hamując gniew. - A ty go teraz, naprawisz.

- Być może, gdyby nie był tak oszołomiony środkiem przeciwbólowym, Ross próbowałby się opierać, teraz jednak westchnął tylko i przeciągnął dłonią przez włosy.

- Uważałem, że on sam powinien ci o tym powiedzieć. Co właściwie wiesz?

Sara zamyśliła się na moment. Do tej pory odbyła już z Mikahlem kilka poważnych rozmów, ale nadal skazana była niemal wyłącznie na domysły i podejrzenia.

- Wiem, że Mikahl i Charles nienawidzą się nawzajem. Mikahl powiedział, że Charles jest nikczemnikiem i że zabił swoją żonę, zrzucając ją ze schodów. Ty powiedziałaś mi kiedyś, że Charles może być powiązany z jakimiś nielegalnymi interesami, ale wydawało mi się to tak nieprawdopodobne, że nie uwierzyłam. Czy to rzeczywiście prawda?

Ross znów westchnął ciężko, zamknął na chwilę oczy i rozpoczął długą litanię, która zmroziła krew w żyłach Sary. Charles Weldon naprawdę był właścicielem nielegalnych salonów gry i domów pub licznych, łącznie z tym, w którym więziona była Jenny Miller; do niego należała także część okrętów przewożących niewolników; pośrednio był prawdopodobnie sprawcą licznych morderstw i przestępstw mniejszego kalibru. Na koniec Sara dowiedziała się także, że jej mąż chce zniszczyć Weldona i że nie cofnie się przed niczym, by tego dokonać.

Słowa Rossa odmalowały przed nią przerażający obraz sytuacji, choć nadal brakowało w nim kilku elementów; nie wiedziała, na przykład, dlaczego Mikahl tak bardzo nienawidzi Weldona i co właściwie chce z nim zrobić. Sara czuła się jak dziecko, które żyło do tej pory wśród miłych, barwnych dekoracji i nagle zostało wyrwane z tego sztucznego świata, przeniesione do potwornej rzeczywistości. Myślała dotąd, że buduje z Mikahlem wspólne życie i przyszłość; okazało się, że jest tylko bezwolnym fragmentem tragedii, której nawet nie rozumiała.

- Ross, czy ty wiesz, co właściwie planuje Mikahl ? - spytała cicho starając się nie okazywać targających nią emocji.

- Nie wiem - odparł ten ze znużeniem. Po chwili dodał: - Kiedyś, gdy wszedłem do jego gabinetu, przeglądał jakieś papiery, a na mój widok szybko schował je do sekretnej szuflady. Może tam znajdziesz odpowiedź. Może nie.

- Sprawdź to - skinęła głową Sara.

Ross był błądzący ze zmęczenia, nie chciał jednak jeszcze zasypiać.

- Nie zrobisz jakiegoś głupstwa, prawda?

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, co dzieje się wokół mnie. - Sara ściągnęła brwi, zastanawiając się nad czymś. - Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym zostawiła cię tu z gospodynią? Obiecała, że zmieni mnie, kiedy poczyję się zmęczona.

Ross spojrział na nią z urazą.

- Nie potrzebuję tu nikogo.

- Cóż, ty może nie, ale ja z pewnością tego potrzebuję. - Nachyliła się nad łóżkiem i pocałowała go w czoło. - Prześpij się teraz trochę, mój drogi. Wszystko będzie dobrze.

Choć starała się wypowiadać te słowa z przekonaniem, wcale w nie nie wierzyła. Obawiała się, że nigdy już jej świat nie będzie taki sam jak dotąd. Poczekała, aż Ross zaśnie, a potem zadzwoniła po gospodynię, panią Adams. Kiedy kobieta pojawiła się w pokoju, Sara zeszła na dół, do gabinetu. Wiedziała, gdzie zazwyczaj mieszczą się sekretne szuflady w angielskich biurkach, bez trudu odszukała więc tę, w której Mikahl przechowywał swoje dokumenty. Potem zabrała je na górę, by tam dokładnie je przestudiować.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy Wędrowiec wśliznął się ukradkiem do domu. Zajrzał do pokoju Rossa i stwierdził ze zdumieniem, że miejsce Sary zajęła gospodyni. Zakładając, że świadczy to o poprawie stanu chorego, poszedł dalej, nie budząc pani Adams, która drzemała smacznie w fotelu.

Myślał, że Sara będzie spała, mylił się jednak. Jego żona siedziała z podwiniętymi nogami na fotelu, ubrana w niebieską, aksamitną suknię, a jej rozpuszczone złote włosy, spływały gęstymi lokami na ramiona. Kiedy wszedł do pokoju, odłożyła na bok dokumenty, które właśnie czytała, i podniosła nań wzrok. Jej twarz nie przypominała teraz sybilli, lecz oblicze samej bogini Nemezis.

Zatrzymał się tuż za drzwiami, przeczuwając, że to jeszcze nie koniec ciężkiej i obfitującej w wydarzenia nocy.

- Zakładam, że Ross czuje się lepiej, skoro postanowiłaś go opuścić.

- Ross czuje się całkiem dobrze - odparła Sara stalowym głosem, - Odbyliśmy nawet dłuższą rozmowę. Dzięki laudanum udało mi się wydobyć od niego sporo interesujących informacji. - Podniosła plik papierów. - Czy zechciałbyś mi wyjaśnić, co zamierzasz zrobić z Charlesem Weldonem i dlaczego?

Wędrowiec uniósł brwi w udawanym grymasie zdziwienia.

- Widzę, że szacowna lady Sara przeglądała moje prywatne dokumenty. Nie spodziewałem się tego po tobie.

- Nie próbuj zmieniać tematu! Jeśli moje zasady zmieniają się na gorsze, to jest to prawdopodobnie efekt kontaktów z tobą - oświadczyła Sara. - Co ty robisz, do diabła? I ilu jeszcze ludzi skrzywdzisz, prowadząc swoją prywatną wojnę z Charlesem?

- Nie robię niczego, na co Weldon by sobie nie zasłużył - odrzekł spokojnie Wędrowiec.

Sara spiorunowała go wzrokiem.

- Jakim prawem przypisujesz sobie rolę sędziego, ławy przysięgłych i kata jednocześnie?

- Jesteś zbyt cywilizowana, Saro - odparował Wędrowiec. - Wszystko, co jest moralne dla prawa, jest moralne także dla jednostki, tak jak zły czyn nie staje się dobrym tylko dlatego, że dokonał go rząd, a nie jednostka.

- Nie interesuje mnie twoja sofistyka. Może jestem zbyt cywilizowana, ale ty jesteś anarchista, a twoje osobiste porachunki omal nie zabiły Rossa - grzmiała Sara, nie panując już nad gniewem. - Jeśli chcesz, by Charles Weldon zapłacił za swoje zbrodnie, to dlaczego po prostu nie oddasz go w ręce władz? Wygląda na to, że masz dość dowodów, by wsadzić go do więzienia na resztę życia.

Więzienie byłoby zbyt łagodną karą - odrzekł, już nie tak spokojnie jak przed chwilą. - Chcę, by cierpiał. Poprzysiągłem sobie, że odbiorę mu wszystko, co ma dla niego jaką wartość, i właśnie to robię.

Podniosła kartkę, na której Wędrowiec wypisał wszystkie swoje cele i osiągnięcia.

Zauważyłam. Zauważyłam też, że jestem gdzieś pośrodku listy, pomiędzy reputacją, a tytułem barona. Nie musiałeś jednak posuwać się aż do małżeństwa, wystarczyłoby tylko zerwać zaręczyny.

Aaa... - pokiwał głową Wędrowiec, myśląc, że już wszystko rozumie. - Więc to cię tak wzburzyło. Masz rację, wystarczyłoby doprowadzić do zerwania zaręczyn, by zranić Weldon. Ożeniłem się z tobą, bo tego chciałem.

Myślał, że to oświadczenie udobrucha jego żonę, znów się jednak i pomylił. Sara uderzyła plikiem papierów w kolano.

- Przyznaję, że nie schlebia mi specjalnie moja pozycja na liście, nigdy jednak nie miałam wygórowanych oczekiwań. To, co przeraża mnie najbardziej, to cierpienia, jakie ponoszą inni ze względu na twoją prywatną wojnę. Ilu ludzi zostanie skrzywdzonych tylko dlatego, że chcesz doprowadzić spółkę kolejową do bankructwa?

Wędrowiec wzruszył ramionami.

- Kiedy gracze giełdowi podejmują właściwe decyzje, zarabiają. Kiedy się mylą, tracą. Mają to, na co sobie zasłużyli.

- Nie mówię wcale o bogatych biznesmenach - warknęła Sara. - Wiedziałeś, że nasz główny lokaj zainwestował w tę spółkę wszystkie swoje oszczędności, bo kierował się twoimi decyzjami?

Wędrowiec spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nie miałem o tym pojęcia. Wyrównam mu wszystkie straty.

- Pomożesz jemu, ale co z setkami innych, podobnych mu pechowców? - pytała Sara.

- Niektórzy inwestorzy to zapewne bogaci biznesmeni, którzy machną na to ręką, ale z pewnością wielu skromnych, uczciwych ludzi pokładało w tej spółce nadzieje na przyszłość, a teraz spotkało ich srogie rozczarowanie.

- Zaryzykowali, jak wszyscy inni.

- Nie wiedzieli jednak, że inwestują w przedsięwzięcie, które ty postanowiłeś wykorzystać jako broń. - Zaciśnęła usta w gniewnym grymasie. - Siejesz dokoła zniszczenie, niczym czterej jeźdźcy apokalipsy. Postąpiłeś niegodnie, celowo doprowadzając spółkę na skraj bankructwa, ale brak działania w kwestii domów publicznych to rzecz wręcz niewybaczalna. Mogłeś już dawno zamknąć to okropne miejsce, w którym przetrzymywano Jenny, ale nie zrobiłeś tego.

- Czekałem na odpowiedni moment - bronił się Wędrowiec.

- Do diabła z odpowiednim momentem! - wybuchnęła Sara, zrywając się na równe nogi. - Wiedziałaś o tym domu od miesięcy, i przez cały ten czas, każdej nocy, dziewczyny takie jak Jenny dręczone były przez obcych mężczyzn.

Jedyna odpowiedź, na jaką mógł zdobyć się Wędrowiec, brzmiała:

- Pomogłem Jenny.

- To za mało, Mikahl - odparła Sara drżącym głosem. - To tylko jedna osoba. Co z innymi ludźmi, którzy cierpieli tylko dlatego, że ty chciałeś sycić się każdą chwilą zemsty?

- Świat pełen jest zła, a ja nie jestem w stanie tego zmienić. Gdybym zamknął dom pani Kent, ktoś inny otworzyłby taki sam lokal w przeciągu tygodnia.

- Ale ty mogłeś zrobić coś, co pomogłoby kilku dręczonym dziewczynom, i nie zrobiłeś tego! - Pochyliła głowę i przycisnęła dłońe do oczu. - Ty nawet nie rozumiesz, dlaczego tak się tym przejmuję, prawda? Ponieważ ty możesz przetrwać wszystko, nie potrafisz współczuć tym, którzy są słabsi od ciebie. Gotów jesteś pomóc komuś, kogo znasz osobiście, o innych jednak już nie myślisz.

- Dlaczego miałbym myśleć o jakichś obcych ludziach? - Zrobiło mu się gorąco, ściągnął więc płaszcz i rzucił go na krzesło. - Wystarczy, że martwię się tymi, których znam. Nigdy nie skrzywdziłem celowo kogoś, kto na to nie zasługiwał.

Sara pokręciła głową z rezygnacją.

- Fakt, że nie krzywdzisz świadomie obcych ci ludzi, nie zwalnia cię wcale z odpowiedzialności. Nic, co zrobił ci Charles Weldon, nie usprawiedliwia tego, co ty robisz innym.

Gniew wywołany jej krytyką zamienił się w prawdziwą furię.

- I tutaj się mylisz, moja mała, naiwna żono. Charles Weldon zasłużył na wszystko, co z nim robię i znacznie, znacznie więcej. Przez wiele lat jedyną rzeczą, która utrzymywała mnie przy życiu była nadzieja, że kiedyś się na nim zemszczę, że będzie cierpiał tak, jak cierpiałem ja. I obiecałem sobie, że będę wtedy przy nim, by cieszyć się każdą cząstką jego bólu.

- Czy to dotyczy także umieszczenia jego córki w domu publicznym? - spytała Sara, twardo obstając przy swoich racjach. - Kiedy zobaczyłam to na twojej liście, nie mogłam uwierzyć, że to zrobisz.

- I wcale nie zrobiłem - odrzekł ostro. - Początkowo zastanawiałem się nad tym, ale potem uznałem, że wystarczy, jeśli dziewczynka zniknie na kilka dni, a Weldon będzie myślał, że została sprzedana do burdelu. W ten sposób Elizie nie stałaby się żadna krzywda, a Weldon dostałby nauczkę.

Sara otworzyła szeroko oczy, nie posiadając się ze zdumienia.

- Bogu dzięki, że poznałeś Elizę osobiście. Odesłałbyś ją bez skrupułów do domu publicznego, gdyby była dla ciebie jedynie nazwiskiem? Sam fakt, że rozważałeś coś podobnego... Dobry Boże, byłbyś potworem. - Odwróciła się, niezdolna dłużej patrzeć na swego męża.

Wędrowiec chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Jeśli jestem potworem, to on mnie nim uczynił. Sara powoli zmierzyła go spojrzeniem.

- Charles Weldon nie zniszczył twego życia w jakiś oczywisty i trwały sposób. Jesteś bogatym, inteligentnym mężczyzną, człowiekiem sukcesu. Możesz robić niemal wszystko, co zechcesz. Wydaje mi się, że zostałeś potworem z wyboru, a nie przymusu.

Rozwścieczony, miał ochotę potrząsnąć nią z całych sił. Zamiast tego jednak zdjął rękę z jej ramienia.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Wiec powiedz mi - odrzekła Sara cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Co zrobił ci Charles Weldon? Dlaczego uważasz, że masz prawo popełniać zbrodnie tylko dlatego, że chcesz go zniszczyć?

Właśnie tego Wędrowiec chciał uniknąć. Wiedział jednak, że jeśli Sara go nie zrozumie, powstanie między nimi przepaść, której już nigdy nie uda im się zasypać.

Odwrócił się, świadom, że nie będzie w stanie wyjawić prawdy, patrząc jej w oczy.

- Powiedziałem ci, że Jamie McFarland zabrał mnie na swój statek. Pływałem z nim

przez dwa lata, poznając świat i ucząc się tego, czego on sam zechciał mnie nauczyć. Kiedy miałem dziesięć lat, nasz okręt został porwany przez piratów z Trypolisu. - Wziął głęboki oddech, przygotowując się do tego, co czekało go za chwilę. - Większość piratów z Berbery była w istocie korsarzami, zatrudnianymi przez ich rząd. Prawdziwi korsarze przestrzegali określonych zasad, między innymi nie napadali na okręty większości państw europejskich, jako że te płaciły za bezpieczeństwo swej floty. Istniały także reguły dotyczące sprzedaży cudzoziemców na targach niewolników, a miejscowy konsul miał prawo uwolnić wszystkich obywateli swego państwa, którzy zostali pojmani nielegalnie. - Wędrowiec stanął przy oknie i zapatrzył się w ciemność. - Niektóre statki działały jednak na własną rękę i nie stosowały się do tych reguł. Choć pływaliśmy pod brytyjską banderą, zostaliśmy zaatakowani przez piratów. Połowa załogi Jamiego zginęła jeszcze na pokładzie. Reszta została pojmana i przewieziona na nielegalny targ niewolników w Trypolisie.

Na targu panował straszliwy zaduch, rozpalone powietrze przesycone było zapachem strachu i bólu.

Był tam Charles Weldon. Podróżował po krajach położonych nad Morzem Śródziemnym i był honorowym gościem władz miasta. Myślę, że przyszedł na targ z czystej ciekawości. Ponieważ ja byłem jeszcze dzieckiem, oddzielono mnie od Jamiego i reszty załogi i zabrano w miejsce, gdzie sprzedawano kobiety i dzieci. Zobaczyłem tam właśnie Weldona, pomyślałem, że może być Anglikiem, więc wyrwałem się strażnikowi i podbiegłem do niego.

Nawet ćwierć wieku później to wspomnienie wciąż pozostawało żywe i niezatarte. Weldon był młody i przystojny, nienagannie ubrany, pomimo upału panującego w Trypolisie. Zmarszczył z obrzydzeniem nos, kiedy podbiegł do niego brudny, śmierdzący chłopiec. „Więc jesteś Anglikiem. No tak, tylko dziecko z Bast Endu może mieć taki fatalny akcent”. Lekko rozbawiony, uniósł palcem brodę Michaela, „Ładny z ciebie chłopiec, choć z pewnością przydałaby ci się porządna kąpiel. Nigdy nie widziałem oczu o takiej barwie”.

W tym momencie dobiegł do nich strażnik, by zabrać Michaela do grupy kobiet i dzieci przeznaczonych na sprzedaż. Kiedy odciągał chłopca od Weldona, ten powiedział bez większego przekonania: „Zobaczę, co da się zrobić”.

Wędrowiec zacisnął konwulsyjnie pięści, wbijając paznokcie w skórę, by ból przywołał go do rzeczywistości.

- Chrześcijanie nie mogli kupować niewolników, więc Weldon poprosił swego gospodarza, by ten kupił mnie dla niego. Kiedy zabrał mnie do wynajętego domu, opowiedziałem mu o lamie McFarlandzie i pozostałych. Wiedziałem, że jeśli zostanie o tym

powiadomiony angielski konsul, być może uda mu się uwolnić moich przyjaciół. Błagałem Weldon, by skontaktował się z konsulem. Obiecywał, że to zrobi.

Michael był ogromnie uradowany; nie tylko sam zdołał wyrwać się z opresji, ale mógł także pomóc Jamiemu i odwdzięczyć się za wszystko, co ten zrobił dla niego.

Kilka tygodni później Weldon powiedział mi, że nie poinformował o niczym konsula. Minęło wiele lat, nim mogłem powrócić do Trypolis. Kiedy wreszcie trafiłem tam ponownie, próbowałem do wiedzieć się, co stało się z Jamiem i resztą załogi, ale wszyscy zniknęli bez śladu. Jestem pewien, że Jamie umarł w niewoli, choć tylko jeden Bóg wie, jak to się stało i kiedy. Ale gdy poznałem Weldon, byłem przekonany, że ten pomoże Jamiemu odzyskać wolność.

W domu Weldon minęło kilka spokojnych dni. Michael z rzadka tylko widywał swego dobroczyńcę, który kazał mu się wykapać i spalić stare ubrania. W zamian obdarzono go eleganckim, arabskim ubraniem. Miał pod dostatkiem świeżych owoców i różnego rodzaju pożywienia. Potem, kiedy Michael zaczynał się już nudzić i niepokoić, Weldon przysłał po niego.

Michael z ochotą pobiegł do jego pokoju. Fascynował go ten wspaniały, młody mężczyzna, który wyratował go z niewoli. Na pewno człowiek o takiej władzy mógł zrobić to samo dla Jamie go McFarlanda. Może to właśnie sam Jamie czekał jut by zabrać go ze sobą.

Tymczasem w pokoju by ł tylko Weldon, lekko podpity i spragniony rozrywki. Na początku Michael nie rozumiał, czego chce ten młody, czarujący arystokrata. Choć sposób, w jaki dotykał go Weldon, budził w nim zażenowanie, starał się tego nie okazywać, nie chciał bowiem obrazić swego dobroczyńcy.

Kiedy intencje Weldon stały się aż nazbyt oczywiste, Michael próbował uciec. Walczył rozpaczliwie, niczym zwierzę schwymane w pułapkę, kiedy Weldon pochwycił go i przycisnął do dywanu. Był jednak tylko dzieckiem i nie miał szans w starciu z dorosłym człowiekiem.

Wędrowiec milczał przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, czy będzie w stanie kontynuować. Choć od tamtych wydarzeń minęło tyle lat, wciąż z taką samą siłą odczuwał dawne emocje, strach, ból i nienawiść. Kiedy wreszcie zdołał przemówić, nie poznał własnego głosu.

- Nigdy nie byłem prostytutką, ale on tak mnie potraktował. Usłyszawszy stłumiony okrzyk przerażenia za swymi plecami, zrozumiał, że Sara wie, co miał na myśli. Nie mogła jednak wiedzieć, co oznaczało to dla przerażonego, dziesięcioletniego chłopca. Nie mogła nawet wyobrazić sobie owego straszliwego upokorzenia, po czucia nieodwracalnej krzywdy,

potwornej hańby, której nigdy nie da się zmyć.

- Wyrywałem się, walczyłem, Boże, jak ja walczyłem - mówił cicho. - Być może to był błąd, bo walka tylko go podniecała, nie mogłem jednak bezwolnie poddać się czemuś równie obrzydliwemu. Po tygodniu czy dwóch Weldon miał już dość tej szarpaniny, więc przywiązał mnie do łóżka i uczył mnie dobrych manier za pomocą bicia.

Weldonowi ogromnie podobała się ta nowa zabawa. Z każdą chwilą był coraz bardziej podniecony, oblizując lubieżnie wargi brał szeroki zamach i uderzał z całych sił. Miał afrykański bicz ze skóry nosorożca, który przecinał skórę niczym nóż.

- Widziałas efekty tego biczowania. Nadal próbowałem się bronić, ale byłem na wpół martwy, więc bez trudu poradził sobie ze mną.

Weldon lubił zapach krwi. Gdy tylko Michael nabierał nieco sił, Weldon znów używał bicia. Wreszcie Michael przestał się bronić.

- Nie wiem, jak długo mnie tam trzymał. Prawdopodobnie kilka miesięcy. Straciłem rachubę czasu.

Sara podeszła do swego męża i zobaczyła, że ten splywa potem, jakby wykonał właśnie jakąś ciężką, fizyczną pracę. Było jej ogromnie żal tego przerażonego, małego chłopca sprzed lat, współczuła też dorosłemu mężczyźnie, który już do końca życia naznaczony był fizycznymi i psychicznymi bliznami. Chcąc go pocieszyć, położyła dłoń na jego ramieniu.

Zatopiony we wspomnieniach, Wędrowiec odwrócił się na pięcie i omal jej nie uderzył. Miał zaciśnięte pięści, jego oczy były ślepiami dzikiego zwierzęcia. W ostatniej chwili powstrzymał się od ciosu.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Sara zaczęła drzeć, bo jego gwałtowna reakcja mówiła o krzywdzie wyrządzonej mu przez Weltona znacznie więcej, niż mogły przekazać to jakiegokolwiek słowa. Przełknęła ciężko i spytała:

- Jak od niego uciekłeś?

- Nie uciekłem - odparł Mikahl z goryczą. - W końcu Weldon doszedł do wniosku, że powinien ruszyć w dalszą drogę. Nie miał ze mną co zrobić, oddał mnie więc miejscowemu paszy, sugerując, by ten mnie wykastrował. Powiedział, że wyświadcza mi w ten sposób wielką przysługę, bo eunuchowie mogą zrobić wielką karierę w Imperium Otomańskim.

- Dobry Boże, jak ktoś może tak krzywdzić dziecko? - wyszeptwała Sara wstrząśnięta myślą, że jej mąż mógł zostać pozbawiony męskości tylko przez kaprys jakiegoś szaleńca. Namiętność i bliskość, które ich łączyły, wymiana energii, która pozwalała im zespolić się niemal w jedno ciało, mogły nigdy nie zaistnieć. Mikahl mógł umrzeć podczas

niebezpiecznego zabiegu kastracji.

- Weldon uwielbia dręczyć dzieci. Na pożegnanie wyciął swój inicjał na moim biodrze i wtarł w ranę sadzę z lampy. Był ogromnie zadowolony ze swego dzieła, bo jedna litera miała dwa znaczenia: M jak Master i W jak Weldon. Przeklinałem go ze wszystkich sił, a uwierz mi, dziecko, które wychowało się w slumsach East Endu, i które spędziło dwa lata na morzu, zna chyba wszystkie przekleństwa, jakie istnieją w naszym języku. Przysięgałem, że kiedyś go odnajdę i odpłacę za wszystko, co mi zrobił. - Wędrowiec zacisnął mocniej zęby, przypominając sobie ową chwilę. - Śmiał się ze mnie. Jestem pewien, że wkrótce po wyjeździe z Trypolisu zapomniał o wszystkim. Byłem tylko małym epizodem w jego nikczemnym życiu.

- A jednak, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, dokonałeś tego, co mu poprzysiągłeś. - Sara wzdrygnęła się, zrozumiałwszy, w jak przewrotny sposób wypaczył prawdę Weldon, opowiadając jej o przeszłości jej męża. Rzeczywiście, Mikahl darzył go szczególnym rodzajem nienawiści, nie była to jednak nienawiść odrzuconego kochanka, lecz osieroconego chłopca, który pragnął miłości, a został okrutnie zdradzony i wykorzystany. Mikahl miał rację: Weldon był naprawdę nikczemny. - Jak przedostałeś się z północnej Afryki do Azji?

- Pasza nie kazał mnie od razu wykastrować, lecz podarował mnie sułtanowi Konstantynopola wraz z grupą innych chłopców. - Mikahl skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - To te cudowne, zielone oczy, które tak bardzo ci się podobają. Wyróżniają mnie z tłumu, Żyłoby mi się znacznie łatwiej, gdyby były brązowe lub niebieskie.

Sara zadrżała, przejęta irracjonalnym poczuciem winy; ona także dała się zauroczyć tym niesamowitym, zielonym oczom.

Okręt przyplłynął do Konstantynopola późnym wieczorem i zakotwiczył na noc przy wybrzeżu - kontynuował Wędrowiec. - Udało mi się wyskoczyć za burtę i dopłynąć do brzegu. Mówiłem już wtedy całkiem dobrze po arabska i turecku, znałem też muzułmańskie zwyczaje, mogłem więc uchodzić za jeszcze jedno dziecko ulicy o niewiadomym pochodzeniu. Miałem szczęście i wkrótce znalazłem pracę u pewnego perskiego kupca, który nie miał własnych dzieci, Kiedy zauważył, że interesuję się handlem, nauczył mnie, jak prowadzić interesy. Po jego śmierci sam zostałem kupcem i jeździłem z karawanami korzystającymi ze starego Jedwabnego Szlaku. Resztę już znasz.

- To nieprawdopodobne, że przetrwałeś to wszystko i że stałeś się tym, kim teraz jesteś. - Sara kręciła głową, z trudem obejmując myślami ogrom cierpienia i ciężkiej pracy, które kształtowały życie jej męża. - I po wszystkich tych latach przyjechałeś do Anglii, by

wymierzyć Weldonowi sprawiedliwość.

- Właśnie tak. By zadać mu cierpienie, a w końcu zabić. - Głos Mikahla wibrował od tłumionych emocji. - Czy teraz rozumiesz już, dlaczego moja zemsta jest usprawiedliwiona?

- Nie mogę zaakceptować faktu, że sam bierzesz prawo w swoje ręce, choć doskonale rozumiem, dlaczego chcesz to robić. - Sara zamknęła oczy, wstrząsana bolesnym spazmem. - Weldon zasługuje na surową karę, ale to, co robisz, wykracza poza zwykłą sprawiedliwość. - Pomyślała, że lepiej by było, gdyby Ross nie powiedział jej jednak, co się dzieje, ale teraz, kiedy знаła już prawdę, nie mogła odwrócić się od niej i uciec przed konsekwencjami. Obawiając się, że może zemdleć, ponownie usiała na fotelu i ze znużeniem potarła skronie. - Pewnie nie mam prawa oceniać tego, jak postępujesz z Weldonem, ale ty nie masz też prawa krzywdzić innych ludzi, dążąc do wypełnienia swej zemsty. To jest złe, Mikahl. Bez względu na to, ile wycierpiałeś, nie powinieneś krzywdzić niewinnych.

Wędrowiec był zszokowany. Myślał, że kiedy Sara pozna prawdę, zrozumie i zaakceptuje jego postępowanie.

- Uważam, że jesteś niesprawiedliwa - powiedział, znów unosząc się gniewem. - Potępiasz mnie za to, że zrujnowałem spółkę, która i tak mogłaby wkrótce upaść, za to, że nie zamknąłem burdelu, który i tak wkrótce działałby od nowa, za to, że rozważyłem coś, czego i tak w końcu nie zrobiłem.

- Myślę, że nigdy nie dojdziemy w tej kwestii do zgody - odrzekła Sara ze znużeniem. - Rób, co uważasz za stosowne, ciesz się swoją zemstą, delektuj się każdą jej chwilą, zabij Weldona gołymi rękami. - Zamilkła na moment, patrząc na niego smutnymi oczami. Z dołu dochodziło głośnie tykanie zegara, ostre i natrętne niczym stukot końskich kopyt. Wreszcie Sara dokończyła chrapliwym, ledwie słyszalnym głosem: - Ale ja nie mogę żyć z człowiekiem, który lekkomyślnie krzywdzi niewinnych ludzi.

Nie mogę żyć z człowiekiem, który lekkomyślnie krzywdzi niewinnych ludzi.

Słowa Sary zawisły w powietrzu niczym gęsty dym. Początkowo Wędrowiec nie zrozumiał do końca ich znaczenia. Potem ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Podeszedł do fotela i zacisnął dłonie na poręczach, starając się skierować gniew raczej na martwy przedmiot niż na żonę.

- Jak śmiesz stawiać mi ultimatum? Naprawdę myślisz, że możesz mnie zmusić, bym spokojnie zrezygnował z tego, na co czekałem przez całe życie?

Patrzyła nań oczami pełnymi smutku i bólu.

- Nie stawiam żadnego ultimatum, bo nie mam nic, czym mogłabym cię przekupić - odparła cicho, nie zważając na jego gniew. - Wiem, że moja miłość nic dla ciebie nie znaczy, nie mogę cię więc do niczego zmusić. Nie mam nawet prawa próbować. Jesteśmy tym, czym jesteśmy, Mikahl. Ty musisz ukrzyżować Weldona, tak jak ja muszę odejść do ciebie..

Te słowa podziały nań jak potężne uderzenie pięścią. Cofnął się o krok, zbyt oszołomiony, by wiedzieć, co właściwie czuje.

- Po raz pierwszy wspomniałaś o miłości. Co znaczy dla ciebie to słowo? Czy to jakaś niezwykła broń, którą chcesz mnie trzymać w szachu?

- Nigdy nie mówiłam o miłości, bo nigdy nie sądziłam, byś chciał tego słuchać - odrzekła, blada i roztrzęsiona. - Kochałam cię niemal od samego początku, od dnia, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Inaczej nigdy nie zrobiłabym aż tylu rzeczy niezgodnych z moimi zasadami.

- Wydawało mi się, że przynajmniej niektóre sprawiały ci wtedy przyjemność - odparł zjadliwie. - Czy nie dlatego właśnie wyszłaś za mnie?

Sara potrząsnęła głową.

- Jeśli masz na myśli pożądanie, to mylisz się, to wcale nie była najważniejsza przyczyna. Wyszłam za ciebie, bo cię kochałam; wiedziałam, że wcześniej czy później złamiesz mi serce, więc jaka siła prócz miłości mogła mnie zmusić do małżeństwa z tobą?

Wędrowiec patrzył na nią w osłupieniu.

- Niby jak miałem ci złamać serce?

- Zostawiając mnie. - Odgarnęła do tyłu rozsypane włosy, coraz bardziej zmęczona tą smutną rozmową. - Kiedy się pobraliśmy, nie wierzyłam, by nasze małżeństwo mogło potrwać dłużej niż kilka miesięcy. Wiedziałam, że kiedy odejdiesz, będę cierpieła jak nigdy wcześniej. Jednak tak bardzo chciałam być z tobą, że gotowa byłam zapłacić za to każdą

cenę.

Wędrowiec czuł się tak, jakby wylądował nagle w jakiejś zupełnie obcej krainie.

- Naprawdę uważałaś, że ożeniłem się z tobą w przekonaniu, że wkrótce i takcie opuszczę?

- Nie, nie myślałam, że jesteś aż tak wyrachowany - odparła powoli. - Myślę, że ożeniłeś się ze mną z wielu mało istotnych powodów, które razem jednak przeważyły szalę. Bawiłam cię. Miałaś wyrzuty sumienia, bo zrujnowałaś moją reputację. Intrygowała cię myśl o małżeństwie z córką diuka, pożyłaś mnie. Teraz wiem także, że byłam pionkiem w twojej rozgrywce przeciwko Weldonowi: odebranie komuś kobiety to klasyczna forma zemsty. - Odchyliła się w fotelu, głęboko przejęta smutkiem. - Ale nigdy nie mówiłaś o miłości. Teraz rozumiem już dlaczego. Jest w tobie tyle gniewu i nienawiści, że nie ma już miejsca na miłość.

- Ty także nie wspominałaś do tej pory o miłości - zauważył Wędrowiec.

- Pochodzimy z tak różnych światów, że nie miałam pojęcia, co znaczyłyby dla ciebie te słowa. - Uśmiechnęła się ponuro. - To była też kwestia dumy. Świadomość, że mnie opuścisz, była już wystarczająco przykra. Nie chciałam do tego odsłaniać się przed tobą i narażać na śmieszność.

- Skąd, do stu diabłów, miałaś pewność, że cię opuszczę? - wybuchnął. - Wciąż do tego wracasz, a ja nie rozumiem dlaczego. Owszem, pochodzę z innego świata, ale zazwyczaj dotrzymuję słowa. Myślisz, że przysięga ślubna nie ma dla mnie żadnego znaczenia?

- Nie wyobrażałam sobie, byś po życiu spędzonym na podróżach mógł teraz usiedzieć dłużej w jednym miejscu. Powiedziałeś mi, że przedtem nigdy nie myślałeś o małżeństwie, podejrzewałam więc, że kiedy już się mną znudzisz, po prostu wyjedziesz. - Sara zamilkła na moment, szukając właściwych słów. - Gdybym wiedziała wtedy, że jesteś Anglikiem, byłabym zapewne większą optymistką, łączy nas bowiem więcej, niż przypuszczałam. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich tygodni coraz mocniej w to wierzyłam... - Przerwała i odwróciła wzrok, jakby bała się, że Mikahl dojrzy w jej oczach łzy.

Wędrowiec miał ochotę zaprzeczyć wszystkiemu, co mówiła, rzucić jej w twarz jej własne argumenty i oświadczyć, że się myliła. Jednak nie mógł tego zrobić, bo w jej wywodach kryło się ziarno prawdy. Niemniej jednak ostateczny wniosek tego rozumowania był błędny, bo na jego decyzję o małżeństwie wpłynęło coś znacznie więcej niż suma podanych przez nią powodów.

Czując, że brakuje mu powietrza, ściągnął z szyi fular i zaczął nerwowo miąć go w palcach.

- Widzę, że pomyślałaś za mnie o wszystkim i włożyłaś do mojej głowy sądy i postanowienia, których nigdy tam nie było. Zdaje się jednak, że popełniłaś w swych obliczeniach jeden zasadniczy błąd. Nie opuściłem cię ani nie mam najmniejszego zamiaru tego zrobić. To ty grozisz, że ode mnie odejdiesz, nie ja.

Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

- Cóż za ironia losu, prawda? - wyszeptała. - Wiedziałaś, że złamiesz mi serce. Nie przypuszczałam tylko, że odbędzie się to właśnie w taki sposób.

- Jeśli masz złamane serce, to nie ja jestem temu winny - warknął. - Starłem się być dobrym mężem i aż do dzisiaj na nic się nie skarżyłaś.

Sara uniosła głowę.

- I nadal się nie skarzę. Nie mógłbyś traktować mnie lepiej, nawet gdybyś mnie kochał. To, z czym nie mogę się pogodzić, to sposób, w jaki traktujesz resztę świata. Z powodu twojej prywatnej wendety Ross omal dzisiaj nie zginął.

- Myślisz, że tego nie żałuję?

- Jestem pewna, że żałujesz, ale to nie zwalnia cię od odpowiedzialności. - Spojrzała nań błagalnie. - Czyżbyś nie widział, jak pragnienie zemsty wypaczyło twoje życie i umysł? Owszem, nie ma słów, którymi można by opisać ohydę tego, co zrobił ci Weldon, ale czy było to o wiele gorsze od cierpień, których doznała Jenny Miller, kiedy została umieszczona w domu publicznym? Płacisz za tę zemstę zbyt wysoką cenę, bo płacisz własną duszą.

Wędrowiec milczał przez chwilę, uderzony tym porównaniem. Wyobrażał sobie dziecięcą twarzyczkę Jenny Miller sprzed kilku lat i widział w niej to wszystko, co sam czuł jako ofiara Weldona.

- Ten argument wcale nie przekonuje mnie do tego, bym pozostawił Weldona przy życiu - oświadczył wreszcie. - To właśnie drogi Charles pozbawił Jenny dziewictwa. Była tak śliczna, że zechciał zrobić to osobiście. Potem kazał jej udawać dziewicę, odgrywać co noc ten sam spektakl. Sam także regularnie ją odwiedzał. Jestem pewien, że gdybym dał Jenny nóż do ręki i oddał jej skrepowanego Weldona, z przyjemnością pocięłaby go na kawałki.

- Ile innych dziewczyn musiało wycierpieć to samo co Jenny w czasie, gdy ty plotłeś swoją sieć wokół Charlesa Weldona? Czy przedłużanie twej zemsty warte było ich bólu?

Nie mógł udzielić jej żadnej odpowiedzi, bo wreszcie zrozumiał, dlaczego Sara jest tak głęboko poruszona. Mimo to nadal uważał, że jest naiwna. Nie mógł zmienić świata, lecz mógł zadbać o to, by Weldon poniósł odpowiednią karę za swoje zbrodnie. Znużony, powiedział więc:

- To był długi i nudny dzień dla nas obojga. Chodźmy już spać, dokończymy tę

rozmowę rano. Teraz tylko ranimy się nawzajem.

- Do rana nic się nie zmieni. - Sara wstała i odwróciła się od niego. - Ale masz rację, nic wyjadę nigdzie o tej porze. Prześpię się w jednym z pokoi gościnnych. .

Nie wierzył, by naprawdę zamierzała go opuścić. Jak mogłaby to zrobić, skoro łączyło ich tak wiele?

Nim dotarła do drzwi, pochwycił ją. za ramię i odwrócił do siebie.

- O nie, słodka Saro — powiedział cicho. - Jesteś moją żoną na dobre i na złe. Kościół nie zezwala na rozwód z powodu różnicy poglądów. Przysięgałaś mi. a ja nie zwalnięm cię z tej przysięgi. Fakt że ubzdurałaś sobie, że cię opuszczę, nie usprawiedliwia twego odejścia.

Sara tylko spojrzała na niego swymi smutnymi, przygaszonymi oczami.

- To nie jest jakiś azjatycki harem, Mikahl. Nie zatrzymasz mnie, jeśli zechcę odejść. Przynajmniej nie na długo.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, rozmyślił się jednak. I tak padło już między nimi zbyt wiele słów. Przyciągnął Sarę do siebie i ucałował ją, wykorzystując całą siłę woli, cały swój urok, by zmusić ją do uległości.

Sara zeszytniała na moment, potem jednak z cichym westchnieniem otworzyła usta i złączyła się z nim w pocałunku.

- Kocham cię - wyszeptła stęsknionym, pełnym żalu głosem. - Niech mi Bóg wybaczy, lecz pomimo wszystkiego, co zrobiłeś, wciąż nie mogę przestać cię kochać.

Kiedy objęła go w pól, Mikahl uśmiechnął się w duchu triumfalnie, bo wiedział, że wygrał. Niepotrzebnie tracił czas na kłótnie; łączyło ich coś ważniejszego od słów i filozofii. Wygłodniały jej ust i jej ciała, wodził dłońmi po jej łagodnych krągłościach.

Kiedy Sara ponownie jęknęła i przytuliła się mocniej, rozwiązał jej suknię i pozwolił, by opadła na podłogę. Gdy ściągnął z niej koszulę, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie mógł oderwać wzroku od jej szczupłego, pięknego ciała. Rozpalony, szybko ściągał z niej resztę ubrania. W całym swym życiu nie pożył kobiety tak mocno, jak pożył teraz Sary.

Położył się obok swej żony i nachylił się nad nią, by ucałować jej usta, zamarł jednak w bezruchu, kiedy zobaczył, że Sara płacze. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a łzy powoli spływały po jej policzkach, każda z nich niczym kolejny sztylet wbijany w jego serce. Nigdy dotąd nie widział jej płaczącej, ani po nieudanej inicjacji, ani podczas nocy poślubnej, kiedy odsłonił jej blizny, ani nawet wtedy kiedy Ross walczył ze śmiercią. Jej łzy nie były jednak świadectwem zrezygnowania, pragnęła go bowiem równie mocno, jak on jej. Pochwyciła go za ramiona i przyciągnęła do siebie, potem znaczyła jego ciało palcami i ustami; na przemian gwałtowna i czuła, bez słów dowodziła swej miłości.

Nigdy dotąd nie kochał się z płaczącą kobietą, teraz wykorzystał więc wszystkie znane mu arkana sztuki miłości, by osuszyć jej łzy namiętnością. Reagowała spontanicznie, bez najmniejszych zahamowań, a kiedy obdarzył ją najbardziej intymnym ze wszystkich pocałunków, w ciągu kilku chwil zaledwie wspięła się na szczyty rozkoszy Krzyknęła, a potem leżała przez kilka minut nieruchomo, zakrywszy oczy ręką.

Później, po raz pierwszy w życiu, Sara odpowiedziała mu równie śmiałą pieśczętą. Przycisnęła go do poduszek, a potem oddawała językiem i ustami hołd temu, co Mikahl mógł stracić jako dziecko. Choć brakowało jej doświadczenia, kierowała się instynktem, rozbudzała i wyносиła go na coraz wyższe poziomy przyjemności, potem zwolniła, by przedłużyć ekstazę.

Kiedy bliski był już spełnienia, Sara położyła się na plecach i wciągnęła go na siebie, by złączyć się z nim w ostatecznym uniesieniu. Kiedy wbijał się w nią raz za razem, wymawiała jego imię, powtarzała je niczym jakąś przerywaną modlitwę. I wciąż płakała, nawet kiedy jej ciało wygięło się w łuk i przywarło do niego. Jej łzy działały nań niczym potężny afrodyzjak, rozpalały go do szaleństwa, prowokowały do tego, by bez reszty nappełnił ją namiętnością i rozkoszą i przegnał z niej wszelki żal.

Kiedy pożądanie i smutek połączyły się w przejmującej, wszechogarniającej chwili upojenia, leżeli wtuleni w siebie, wyczerpani, niezdolni do najmniejszego ruchu. Wreszcie Mikahl przetoczył się na bok i przygarnął ją do siebie, wplatając palce w jej gęste, splecione włosy. Lekki oddech Sary pieścił jego wilgotną skórę.

Nie pozwolił sobie na sen. dopóki nie poczuł, że Sara jest już całkiem rozluźniona i spokojna. Dopiero wtedy zasnął, z przekonaniem, że jego żona porzuciła niemądre pomysły i nigdy go już nie zostawi.

Sara spała przez jakieś trzy godziny. Kiedy się obudziła, do pokoju wpadał szary blask świtu. Mikahl leżał na brzuchu, jedną ręką obejmował ją w talii, jakby chciał ją chronić i więzić jednocześnie. Jego twarz, odprężona i spokojna, wydawała się teraz niezwykle młoda i przystojna. Przez chwilę Sara przyglądała mu się z czułością, zapamiętując zarys ust i nosa, długie czarne rzęsy, twarde, męski podbródek.

Choć ciało przesycone było zmęczeniem, jej umysł pozostawał zupełnie jasny. Może łatwiej byłoby wyjechać w ciągu dnia, pod jego nieobecność, pragnęła jednak uciec jak najszybciej, natychmiast. Wiedziała, że z czasem coraz trudniej przychodziłoby jej zdobyć się i na taki krok, a świadomość, że nie może zostać z Mikahlem, czyniłaby z każdej chwili prawdziwą męczarnię.

Sara zsunęła się powoli z łóżka. Kiedy jej mąż mruknął coś przez sen i poruszył się

niespokojnie, włożyła mu pod rękę poduszkę. Mikahl przygarnął ją do siebie i uspokoił się.

Chciała pocałować go na pożegnanie, bała się jednak, że może go obudzić. Powiedzieli już wszystko, co mieli sobie do powiedzenia; kolejna kłótnia niczego by nie zmieniła.

Choć kochała go nie mniej niż dotychczas, a może nawet bardziej, wiedziała, że nie może żyć z człowiekiem, który bez skrupułów przysparza innym cierpień. Nie wierzyła, by cokolwiek mogło go teraz powstrzymać przed dopełnieniem zemsty, to zaś oznaczało, że nigdy już nie będzie mogła być z nim szczęśliwa - chyba że zmieniłaby swoje poglądy na naturę dobra i zła, i stała się kimś, kim nie chciała być.

Sara powoli przeszła przez pokój, musiała jednak zatrzymać się jeszcze przy drzwiach, by po raz ostatni spojrzeć na człowieka, którego pokochała, poślubiła i utraciła. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy.

Weszła do garderoby i cicho zamknęła za sobą drzwi. Kiedy była już ubrana, zaczęła się pakować. Część ubrań została w Londynie, nie musiała więc zabierać dużego bagażu.

Kończyła już, kiedy z korytarza weszła do garderoby Jenny. Pokojówka zatrzymała się w drzwiach, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Sara przyłożyła palec do ust, prosząc ją o ciche zachowanie.

- Wyjeżdżam, Jenny - oświadczyła szeptem. - Chcesz pojechać ze mną? Daję ci wolną rękę.

- To znaczy, że opuszcza pani księcia? Nie wyjeżdża pani po prostu na kilka dni na zakupy? - pytała Jenny z niedowierzaniem.

- Otóż to.

Pokojówka przełknęła ciężko, nie zadawała jednak żadnych pytań.

- W takim razie pojedę z panią. Przyda się pani ktoś do pomocy.

- Doskonale. Poproszę, by powóz był gotowy za pół godziny. Ty tymczasem spakuj się szybko i pożegnaj ze wszystkimi.

Jenny jeszcze raz spojrzała na nią pytająco, po czym ukłoniła się grzecznie i wyszła, zabierając ze sobą jedną z dwóch toreb swej pani.

Sara zastanawiała się przez chwilę, czy Jenny spędziła noc z Benjaminem Slade'em, uznała jednak w końcu, że woli tego nie wiedzieć. Z pewnością nie był to typowy przypadek uwiedzenia młodej i naiwnej pokojówki przez starszego mężczyznę; Jenny nie była naiwna, a Slade nie wyglądał bynajmniej na uwodziciela. Sara widziała kiedyś, jak ci dwoje rozmawiali ze sobą; pomimo różnicy wieku i pochodzenia, najwyraźniej niebyli sobie obojętni. Może będą szczęśliwsi i mądrzejsi niż ona i Mikahl.

Podniosła torbę i wyszła na korytarz, zaglądając jeszcze do pokoju Rossa. Ten spał smacznie, podobnie jak pani Adams. Nie był już taki blady jak przed kilkoma godzinami, wyglądał niemal zupełnie normalnie. Pocałowała go, nie obudził się jednak, więc pozwoliła mu spać dalej. Miała lekkie wyrzuty sumienia, że zostawia go tak bez słowa, wiedziała jednak, że Mikahl dobrze się nim zaopiekuje. Mikahl naprawdę potrafił się troszczyć o tych, których znał i lubił.

Obudziła gospodynię, szarpiąc ją delikatnie za ramię, i poprosiła gestem, by wyszła na korytarz. Tu wyjaśniła jej, że wyjeżdża do Londynu i że teraz to właśnie pani Adams będzie odpowiedzialna za prowadzenie domu. Ponieważ stan Rossa był już stabilny, pozwoliła gospodyni wrócić do własnego łóżka, poprosiła jednak, by ta zamówiła jej najpierw powóz.

Kiedy zdumiona pani Adams oddaliła się, by wypełnić jej polecenia, Sara zeszła do gabinetu i napisała krótki liścik do Mikahla. Zostawiła go w garderobie, a potem gotowa już była opuścić dom, w którym przez kilka tygodni zaznała prawdziwego szczęścia.

Pokojówka Fanny miała tego dnia prawdziwego pecha. Jak każdego ranka musiała wyczyścić kołatkę i schody prowadzące do drzwi domu Weldona. Ziewając raz za razem wymyła frontowe stopnie i przeszła przez kuchnię do tylnego wyjścia.

Otworzyła drzwi i potknęła się o jakiś gruby tłumok leżący na schodach. Nigdy nie grzeszyła szczególną bystrością umysłu, szczególnie wczesnym rankiem, i nie domyślała się nawet, co znalazła. Ostrożnie poruszyła tłumok czubkiem buta.

Koc zsunął się na bok, odsłaniając przecięte gardło i zakrwawione ciało Kane'a.

Fanny zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, nadržając spóźnioną reakcję siłą głosu. Zwabiona krzykiem pokojówki, w przeciągu dwóch minut w kuchni zgromadziła się prawie cała służba.

Hałas obudził także Weldona, który pospiesznie narzucił na siebie szlafrok i zbiegł na parter. Zniecierpliwiony precyzyjnie przesunął się przez tłum służących, chcąc sprawdzić, co jest przyczyną zamieszania.

To, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Zastanawiał się wieczorem, gdzie też podziewa się jego sekretarz, Kane chadzał jednak własnymi ścieżkami, więc jego nieobecność nie była niczym niepokojącym. Teraz leżał martwy u jego stóp. Jaki będzie następny krok Wędrowca?

Weldon otrząsnął się z szoku, usłyszawszy głos Elizy.

- Co się stało? - zawołała dziewczynka, wchodząc do kuchni. - Dlaczego Fanny krzyczy?

Weldon warknął do lokaja:

- Ucisz tę głupią dziewczkę. - Potem wyprowadził Elizę z kuchni, by nie doznała wstrząsu, ujrzawszy zmasakrowane ciało Kane'a. - Zdarzył się wypadek, ale to nie ma z tobą nic wspólnego, kochanie.

Starął się uspokoić rozbiegane myśli i trzeźwo ocenić nową sytuację. Teraz, kiedy Wędrowiec przywiódł wojnę pod sam próg jego domu, powinien chyba odesłać Elizę do swego brata. Tak, uznał Weldon, tak będzie najlepiej. Tam dziewczynka przeczeka bezpiecznie całą tę paskudną awanturę.

Wędrowiec budził się powoli, wreszcie jednak ocknął się i od razu sięgnął po Sarę. Otrzeźwiał natychmiast, zrozumiawszy, że nie ma jej w łóżku. Potem spojrzął za okno i zrozumiał, że spał dłużej niż zazwyczaj; nic dziwnego, że Sara już wstała. Włożył kaftan i przeszedł do garderoby, spodziewając się zastać tam żonę. Jeśli jeszcze nie zdążyła się ubrać, namówi ją, by wróciła do łóżka.

Garderoba była pusta. Kiedy już odwracał się do wyjścia, zobaczył kopertę ze swoim nazwiskiem wetkniętą za ramę wysokiego lustra. Tknięty złym przeczuciem, sięgnął po kopertę i otworzył ją.

Kiedy wyciągał zgietą na dwoje kartkę, na podłogę upadł jakiś mały przedmiot. Wędrowiec nie podniósł go jednak od razu, lecz przeczytał najpierw krótką notkę. Zawierała zaledwie kilka krótkich zdań:

Mikahl, namiętność nie wystarczy. Nawet miłość nie wystarczy. Żałuję, że jedno z nas nie jest inne. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece. Kocham Cię, Sara.

Nie dowierzając własnym oczom, przeczytał list jeszcze raz. Potem pochylił się, oteściały, i podniósł przedmiot, który wypadł z koperty. Kiedy się wyprostował, trzymał w palcach delikatnie rzeźbioną, złotą obrączkę, którą zamówił specjalnie dla swej żony.

Namiętność minionej nocy wcale nie przekonała Sary do zmiany zdania. Nim jeszcze, zaślepiony niepoohamowaną furią, stracił nad sobą panowanie, zrozumiał, że jej łzy nie oznaczały poddania. Płakała, bo żegnała się z nim na zawsze.

Ross ocknął się raptownie, wyrwany ze snu przeraźliwym, mrozącym krew w żyłach wyciem. Dźwięk ów przypominał jednocześnie afgański okrzyk wojenny i żalosne - zawodzenie kobiet oplakujących swych zmarłych. Ross próbował zerwać się z łóżka, omal jednak nie runął na podłogę, przeszyty gwałtownym bólem i niezwykle słaby.

Opierając się zdrową ręką o nocny stolik, zbierał przez chwilę siły i próbował przypomnieć sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Pamięć podsuwała mu tylko jakieś fragmentaryczne obrazy: długa, bolesna podróż na grzbiecie konia, czyjeś palce dotykające obolałego ramienia, kojący głos Sary. To ostatnie tłumaczyło przynajmniej, dlaczego pokój

wydawał mu się obcy; był w Sulgrave.

Wycie ustało, teraz jednak z tego samego kierunku dochodziły jakieś huki i trzaski. Czyżby zdesperowany Weldon przypuścił atak na dom Wędrowca? Słaniając się na nogach, Ross doszedł jakoś do kominka i wziął do ręki pogrzebacz, używając go jako laski. Potem, ubrany jedynie w bieliznę, otworzył drzwi i nasłuchiwał przez chwilę, starając się zlokalizować źródło hałasów.

Wydawało się, że w garderobie jego kuzynki toczy się jakaś zjadła walka. Trzymając się ściany i opierając jednocześnie na pogrzebaczu, Ross doszedł do drzwi garderoby i otworzył je ostrożnie. Gdyby rzeczywiście kryło się tam jakieś niebezpieczeństwo, nie miałby najmniejszych szans na obronę, przy jego obecnym stanie bowiem nawet kot Sary byłby dlań zbyt silnym przeciwnikiem.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, wprowadził go w osłupienie. Mikahl oszalał. Przewrócił już ciężką szafę, a podłoga pokryta była grubą warstwą damskich ubrań, butów i pogniecionych kapeluszy.

Pochłonięty dziełem zniszczenia, Wędrowiec nie zauważył nawet obecności Rossa. Warcząc niczym wściekły pies, przewrócił komodę, a potem zaczął wyciągać z niej kolejne szuflady i rzucać nimi o ścianę. Drewniane skrzynki rozpadały się z trzaskiem na kawałki, wybijając przy tym dziury w ścianie. Kiedy komoda była już pusta, pochwycił leżącą obok suknię i rozerwał ją na pół.

Ross zacisnął mocniej palce na pogrzebaczy, bo ogarnięty szałem Mikahl wyglądał naprawdę przerażająco. Podnosząc głos, spytał ostro:

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Wędrowiec odwrócił się na pięcie, gotów do natychmiastowego ataku. Ujrawszy swego przyjaciela, opamiętał się nieco, jego oczy jednak nadal płonęły gniewem.

- Twoja przeklęta kuzynka mnie zostawiła.

Ross gwizdnął cicho. Napad Weldon na Sulgrave wydawałby mu się bardziej prawdopodobny niż odejście Sary. Uznawszy, że nie grozi mu jednak żadne niebezpieczeństwo, oparł się całym ciężarem ciała o futrynę i wypuścił z dłoni pogrzebacz.

- Dlaczego?

- Bo jestem łajdakiem, który bez skrupułów krzywdzi niewinnych ludzi - odparł Mikahl chrapliwie. - Bo jestem potworem, który sieje dokoła zniszczenie, niczym jeden z jeźdźców apokalipsy.

Ross zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nie zostawiła cię, bo jesteś łajdakiem - powiedział wreszcie z cierpkim humorem. -

Choć cała reszta może być prawdą.

Przypuszczał, że ta uwaga może wywołać dwojaką reakcję i albo ściągnąć gniew Mikahla na jego głowę, albo przywrócić mu zdrowy rozsądek. Na szczęście, po krótkiej chwili niepewności, doczekał się tej drugiej reakcji. Mikahl spojrział na niego trzeźwiejszym wzrokiem i warknął:

- Co ty tu właściwie robisz? Nie powinieneś raczej leżeć w łóżku?

- Przyszedłem sprawdzić, czy Weldon nie włamał się do domu z bandą wynajętych rzezimieszków.

- Jeszcze nie. - Wędrowiec uśmiechnął się posępnie. - Myślę, że Weldon będzie musiał najpierw przegrupować siły. Jego prawa ręka, Kane, człowiek, który cię postrzelił, odpowiada teraz przed kimś znacznie ważniejszym niż Charles Weldon.

Ross uniósł brwi.

- Co się stało?

- Miałem nóż i byłem szybszy od mego - odparł przyjaciel z ponurą satysfakcją. - Ktoś ze służby Weldona prawdopodobnie już znalazł jego ciało.

Ross wzdygnął się odruchowo; z pewnością była to paskudna sprawa.

- I co teraz?

- Nie wiem. - Mikahl ze znużeniem odgarnął włosy z czoła. - Po prostu nie wiem.

- Cóż, lepiej, żebyś coś szybko wymyślił — zauważył Ross zgryźliwie. - Czy Sara będzie bezpieczna w Londynie?

Mikahl podniósł nań wzrok, uderzony tą myślą.

- Zaraz sprawdzę, czy pojechał z nią któryś ze strażników.

- Dobry pomysł. - Ross czuł, że powoli zaczynają uginać się pod nim kolana, spytał więc: - Pomożesz mi wrócić do łóżka, nim dołączę do tych śmieci na podłodze?

Klnąc siarczyście, Mikahl doskoczył do przyjaciela, w ostatniej chwili ratując go przed upadkiem. Mocny uścisk przejął całe ciało Rossa piekącym bólem, na moment pociemniało mu w oczach.

- Ani ty, ani twoja kuzynka nie macie więcej rozumu niż wróbel - mruczał Mikahl, zakładając sobie na szyję ramię Rossa, i choć zżymał się nieustannie na lekkomyślność swego przyjaciela, traktował go z największą troską. Kiedy już Ross leżał bezpiecznie w łóżku, Wędrowiec obejrzał uważnie jego opatrunek. - Na szczęście nie doprowadziłeś do ponownego krwawienia. Masz dość rozumu, by zostać w łóżku do pełnego wyzdrowienia?

- Zrobię to z prawdziwą przyjemnością - odrzekł Ross, ocierając pot z czoła. - Przynajmniej dopóki dom nie zostanie zaatakowany przez Weldona.

- Zapewniam cię, że do tego nie dojdzie. - Mikahl wyprostował się. - Zamierzasz mnie pobić, czy pouczyć mnie, jak powinienem traktować swoją żonę?

- Nie udało mi się pobić cię, kiedy byłem zdrowy, więc z pewnością nie mógłbym zrobić tego teraz. - Ross uśmiechnął się cierpko. - I choć robiłem już w życiu wiele głupstw, nie jestem na tyle niemądry, by mieszać się do czyjegoś małżeństwa. - W tej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż na powrót zapaść w głęboki sen, wiedział jednak, że musi najpierw dokończyć rozmowę z Wędrowcem. - Nikt nie twierdził, że małżeństwo to sprawa łatwa, większość problemów da się jednak jakoś rozwiązać.

Mikahl pokręcił głową.

- Nie ten. Powiedziałeś kiedyś, że ja wierzę w cel uświęcający środki i że Sara kieruje się wyższymi zasadami, wiarą w dobro i zło. To jest właśnie istota naszego sporu. Nie sądzę, by można było zmienić coś tak podstawowego.

Ross westchnął ciężko.

Nie mów tylko, że cię nie ostrzegałem. Kiedy Sara była dzieckiem, zakochała się w Regułach postępowania Johna Wesleya. Wesley założył kościół metodystów, a jego dewiza brzmiała następująco:

Czyń wszelkie dobro, jakie możesz czynić, wszelkimi dostępnymi ci środkami, na wszystkie dostępne ci sposoby, we wszystkich dostępnych ci miejscach, w każdym czasie i o każdej porze, dla wszystkich ludzi, tak długo, jak tylko będziesz mógł.

Sara wyszyła to na skrawku materiału i kazała mi nauczyć się tego na pamięć.

- Jeśli naprawdę w to wierzy, to sytuacja jest beznadziejna - odrzekł Mikahl zjadliwie. - Nikt nie byłby w stanie żyć według takich zasad.

- Może nie, ale chodzi o to, by dążyć do takiego ideału - wyjaśnił Ross słabnącym głosem. - Dlaczego nie poszukasz jakiegoś kompromisu? Podejrzewam, że Sara jest równie załamana jak ty. Na pewno znajdziecie jakiś wspólny grunt.

- Nie jestem załamany i niepotrzebna mi do szczęścia jakaś pruderyjna, moralizująca kobieta - warknął Mikahl, przykrywając przyjaciela kocami.

Ross słyszał już bardziej przekonujące zapewnienia, wolał jednak nie mówić tego Mikahlowi. Nim zapadł w ciemność, pomodlił się jeszcze w duchu, by Mikahl i Sara znaleźli jakiś sposób na zasypanie dzielącej ich przepaści.

Opuściwszy pokój Rossa, Wędrowiec wypytał służbę, kiedy i jak Sara wyjechała z Sulgrave. Odetchnął z ulgą, kiedy dowiedział się, że towarzyszyła jej Jenny Miller i że to właśnie pokojówka uparła się, by pojechali z nimi jeszcze dwaj strażnicy. Bogu dzięki za Jenny, która rozumiała grożące im niebezpieczeństwo i potrafiła zadbać o Sarę.

Kiedy Wędrowiec kończył poranną kawę, rozstrzygnął się kolejny etap rozgrywki. Do Sulgrave przybył adwokat z kopertą zawierającą potwierdzenie spłaty długów Weldon. Wędrowiec zapomniał, że był to ostatni dzień wyznaczonego przezeń terminu, Benjamin Slade oczywiście dobrze o tym pamiętał; gdyby potwierdzenie spłaty nie dotarło na czas, prawnik już następnego ranka przejąłby wszelkie aktywa Weldon. Ten zdołał jednak wybronić się przed wtrąceniem do więzienia dla dłużników.

Znacznie bardziej interesująca niż same pieniądze była notka, dołączona do dokumentu. Weldon pisał w niej, że diuk Haddonfield z radością użyczył mu potrzebnej kwoty, byle tylko pokrzyżować szyki swemu zięciowi, który podnosił rękę na angielskiego dżentelmena. Bez wątplenia wiadomość ta miała wywołać jego wściekłość i frustrację, jednak tego rodzaju drobnostka nie mogła sprowokować Wędrowca. Poza tym, on otrzymał dzisiaj osiemdziesiąt tysięcy funtów, a Weldon martwe ciało Kane'a; Wędrowiec uważał, że wyszedł całkiem nieźle na tej transakcji.

Przekazawszy potwierdzenie Slade'owi, Wędrowiec poszedł do stajni. Siva, choć tylko lekko ranny, potrzebował czasu, by dojść do pełnej formy, Mikahl wybrał więc innego konia. Potem ruszył galopem w stronę Downs, spragniony otwartej przestrzeni i pędu powietrza, które pomogłyby mu uporządkować rozsypane myśli i uczucia.

Teoretycznie samotna wyprawa w góry mogła być niebezpieczna. Wędrowiec wierzył jednak w to, co powiedział kiedyś Rossowi. Weldon nigdy nie atakował osobiście, chyba że miał do czynienia z kimś znacznie mniejszym i słabszym od siebie. Teraz będzie musiał znaleźć kogoś na miejsce Kane'a, co wcale nie było takie łatwe. Co najmniej przez dzień okolice Downs były bezpieczne, choć Wędrowiec od czasu do czasu lustrował wzrokiem pobliskie wzgórza.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że Sara odeszła. Zaledwie kilka dni temu jechali razem tą samą ścieżką, zatrzymywali się, by podziwiać widoki, by coś zjeść, by się kochać.

Po raz setny tego ranka powiedział sobie, że wcale jej nie potrzebuje. Poradzi sobie i bez niej, spotkały go już w życiu rzeczy znacznie gorsze niż utrata kobiety.

Wyjechał na najwyższe wzgórze w tej części Downs. Pod nim ciągnęły się pagórki,

poła i wsie południowej Anglii. Była to spokojna, bogata kraina, choć komuś mogłaby wydawać się nudna.

Bez Sary nie miał po co zostawać w Anglii. Mógłby szybko zabić Weldona, nie troszcząc się o zacieranie śladów, a potem na zawsze wyjechać z kraju. Życie wędrowca wolne jest od zobowiązań i ograniczeń. Im dłużej pozostawał w Anglii, tym bardziej stawał się Mikahlem Khanami, teraz jednak na powrót mógł przeistoczyć się w Wędrowca.

Cały świat znów leżał u jego stóp. Wysokie Himalaje, gdzie kryształowe powietrze przenikało do płuc tak głęboko, jak piękno przenikało do serca. Pustynne noce z ogromnym niebem usianym miliardami gwiazd. Tropikalne wyspy z turkusową wodą i setkami gatunków ryb o nieprawdopodobnych kształtach i barwach.

Widział już wszystkie te miejsca i nie potrzebował wcale widzieć ich ponownie. Żadne z nich nie równało się z Sulgrave.

Rzeczą, która czyniła jakieś miejsce wartym ponownych odwiedzin, byli przyjaciele. Wróciłby do Kafiristanu, gdzie Malik i jego rodzina przyjęliby go z prawdziwą radością. Mógł pozostać tam tak długo, jak tylko zechciał, i zawsze byłby mile widziany.

Nigdy jednak nie byłby do końca jednym z nich, nawet gdyby zamieszkał tam na całe życie.

Miał wielu przyjaciół rozsianych w różnych punktach świata, mężczyzn różnych ras i stanów. Były też kobiety, o których myślał z wielką sympatią; w jednym czy dwóch przypadkach nawet z odrobiną miłości. Z pewnością zostałyby także mile przyjęte przez te, które umilały życie mężczyznom dość bogatym, by mogli pozwolić sobie na ich usługi.

Jednak żadna z nich nie byłaby jego kobietą. Żadna z nich nie zaryzykowałaby dlań nic ponad to, co i tak mogła bezpiecznie utracić. Żadna nie byłaby dość odważna i niemądra, by oddawać swe serce ukochanemu mężczyźnie ze świadomością, że ten wcześniej czy później je złamie.

Teraz już rozumiał, dlaczego Sara była tak przerażona w dniu ich ślubu. Nie bała się fizycznego bólu, tylko bólu nieuniknionej straty. I mimo to, z desperacką, pełną miłości odwagą, oddała się w jego ręce. Znów poderwał konia do biegu. Co stało się z nim, odkąd przyjechał do Anglii? Przez dwadzieścia pięć lat żył tylko dla jednego celu, podporządkowywał mu wszystkie swe poczynania i zamiary.

Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, czuł się rozdarty wewnętrznie. Znalazł Sulgrave, swój dom. I Sarę, ach, Boże, Sarę. W ciągu kilku krótkich tygodni przeniknęła na wskroś jego duszę, wypełniła wszystkie jej zakamarki, teraz więc, kiedy znów został sam, czuł się jak nędzarz odarty z odzienia i wyrzucony na mróz.

Lato ustępowało miejsca jesieni, chłodny wiatr niósł ze sobą wyschnięte, szeleszczące liście. Kiedy Wędrowiec dotarł do miejsca, w którym postrzelono Rossa, zatrzymał się i zeskoczył z konia. Na drodze widniała jeszcze ciemna plama, przypadkowy przechodzień prawdopodobnie jednak nawet by jej nie zauważył. Wędrowiec przyklęknął obok kałuży zakrzepłej krwi swego przyjaciela. Byłem ci to winien... życie za życie.

Nie uczynił zbyt wiele, by zasłużyć sobie na taką wdzięczność. Kiedy po raz pierwszy ujrzał Rossa Cadisle'a, ten był posiniaczonym, obitym więźniem. Musiał wiedzieć, że jego oprawcy szykują mu jakąś wyjątkowo paskudną śmierć, siedział jednak spokojnie, jakby wcale go to nie obchodziło.

Jego obojętna, wyniosła postawa przywoływała nieprzyjemne skojarzenie z Charlesem Weldonem i dlatego też Wędrowiec omal nie pozostawił go własnemu losowi. Wiedział jednak, że dobrze urodzony Anglik może mu się przydać w przyszłości, postanowił więc zagrać o jego życie. Nie ryzykował wiele; przegrana kosztowałaby go tylko garść złota, którego i tak miał pod dostatkiem. Udało mu się jednak wygrać, a kiedy zabrał jeńca do domu, zrozumiał, że wygrał także przyjaciela; człowieka, którego charakter i poczucie humoru bliskie były jego własnym przekonaniom i upodobaniom.

Potem była jeszcze ta druga sytuacja, w Afganistanie. Pozbawiony amunicji i otoczony przez wrogów, Ross mógł zginąć, choć niewykluczone, że jako doświadczony wojownik zdołałby się jakoś obronić i ująć z życiem. Wędrowiec pospieszył mu z pomocą, znów niewiele samemu ryzykując, tym razem jednak przynajmniej nie był to wynik chłodnej kalkulacji, lecz bezinteresowna, przyjacielska przysługa.

Wziął do ręki garść twardej, przesiąkniętej krwią ziemi i skruszył ją między palcami. Byłem ci to winien... życie za życie.

Ross przyjął go w Anglii z otwartymi ramionami, przedstawił swym przyjaciołom i rodzinie, wprowadził do towarzystwa, bronił go w obecności królowej. Co najważniejsze, Ross obdarzył go zaufaniem i nie kwestionował jego planów dotyczących Weldon. A wczoraj przyjął na siebie kulę przeznaczoną dla niego. Gdyby nie Ross, to Wędrowiec, a nie Kane, stałby teraz przed obliczem Boga. Tylko łut szczęścia sprawił, że kula nie trafiła w serce jego przyjaciela. Uśmiechnął się ponuro, przypominając sobie własne słowa sprzed kilku miesięcy, kiedy to twierdził stanowczo, że nie wierzy w poczucie winy, bo to bezproduktywna emocja. Gdyby Ross umarł, wyrzuty sumienia dręczyłyby Wędrowca do końca życia.

Nikt nie mógłby życzyć sobie przyjaciela lepszego niż Ross. Tymczasem Wędrowiec uwiódł i skompromitował jego ukochaną kuzynkę. I nawet wtedy Ross próbował go

zrozumieć, a w końcu i wybaczył.

Gniew i duma, które od tylu lat stanowiły siłę napędową jego poczynań, straciły teraz na znaczeniu, zastąpione wszechogarniającym, niezmiernym smutkiem. Kiedy zrozumiał, że Sara go opuściła, wpadł w niepohamowany szal, teraz jednak pozostał tylko ból i rozpacz. Opadł na oba kolana i ukrył twarz w dłoniach, dysząc chrapliwie, jakby wraz z odejściem Sary zabrakło mu powietrza. Nie płakał, bo nie uronił łzy od czasu śmierci matki; ani dla siebie, ani dla Jamiego McFarlanda. Kołysał się na piętach, wstrząsany zimnymi dreszczami, niczym człowiek ogarnięty tropikalną gorączką.

Sara miała rację. Napełnił swe życie nienawiścią, czcił mrocznych bogów zemsty. Cóż w nim pozostanie, kiedy już zakończy swą misję? Nic. Będzie pusty jak wydrążona skorupa orzecha, martwy jak kamień.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co będzie robił po dokonaniu zemsty; dlatego też nie przerażała go zbyt myślenie o śmierci. Ostatnio jednak zaczynał wyczuwać, że może być życie poza nienawiścią, poza odwetem; życie z przyjaciółmi, z domem i miłością. Przede wszystkim z miłością.

- Saro - wyszeptał łamiącym się głosem. - O Boże, Saro.

Myślał, że Charles Weldon pokazał mu, czym jest piekło. Mylił się. Piekło to nie ból, nawet nie nienawiść. Piekło to utracona miłość.

Twarz Wędrowca znów wykrzywił gorzki uśmiech. On nie utracił miłości; on ją odrzucił, co było nieskończenie gorsze.

Nie potrzebował Sary, by nadal żyć. Lecz bez niej życie nie miało dlań żadnej wartości. Napisała w swym liście:

Żałuję, że jedno z nas nie jest inne. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece. Kocham Cię, Sara.

Jego żona darzyła go prawdziwą, głęboką miłością, dawała mu czułość, namiętność i akceptację. Tylko przy niej zaznał prawdziwego spokoju.

Nie brakowało mu miłości i spokoju, kiedy były to dlań tylko puste słowa. Teraz jednak, gdy poznał już ich prawdziwe znaczenie, nie mógł bez nich żyć.

Po raz pierwszy zastanawiał się, czy powinien, czy może zrezygnować z misji, która stanowiła centrum jego życia. Co mógł zrobić, żeby Sara zechciała doń wrócić?

Bez trudu mógł doprowadzić do zamknięcia domu pani Kent; i tak wkrótce zamierzał to zrobić. Nie musiał też specjalnie się wysilać by uratować spółkę kolejową i jej pechowych akcjonariuszy.

Te kwestie były stosunkowo proste. Największy problem stanowił Weldon.

Wędrowiec przysiągł sobie, że zabije go własnymi rękami, jeśli jednak chciał odzyskać Sarę, musiał odmówić sobie tej przyjemności.

Weldon i Sara. Życie i śmierć. Osobie postronnej wybór wydawałby się całkiem prosty, lecz wcale taki nie był. Myśl o zemście była jedyną rzeczą, która utrzymywała Michaela Connery'ego przy życiu, kiedy Weldon zdierał skórę z jego pleców. By łatwiej znieść ból i upokorzenia, Michael wyobrażał sobie wtedy różne tortury, jakie zada kiedyś swemu oprawcy.

Przez lata marzenie o odwecie pozwalało mu przetrwać wszelkie trudności; żar pustyni, który wypalał szpik z jego kości, głód i choroby, ataki bandytów i pragnienie tak straszliwe, że graniczące z szaleństwem. Jednak bez względu na to, jak trudna wydawała się sytuacja, nigdy nie wpadał w rozpacz, wiedział bowiem, że nie może umrzeć, dopóki nie dopełni swej misji.

W ciągu tych lat doszedł także do wniosku, że choć może zabić człowieka w walce, w napadzie szału, nie byłby w stanie nikogo dręczyć, torturować z zimną krwią - nawet Weldona. Stąd zrodził się pomysł tortury psychicznej, odbierania Weldonowi wszystkiego, co ten uważał za cenne. Była to znacznie bardziej wyrafinowana zemsta niż krwawe marzenia młodego Michaela Connery'ego, a przez to znacznie bardziej satysfakcjonująca.

Dopiero teraz, kiedy jego misja bliska była ukończenia, zdał sobie sprawę z jej ograniczeń.

Wzdychając ciężko, uniósł głowę i przysiadł na piętach. Wziął do ręki kolejną grudkę ziemi, skruszył ją i pozwolił, by miazgi pyłu przesypały się między jego palcami. Zemsta była niczym pył na wietrze, bezwartościowa, gdyż nie mogła odmienić przeszłości.

Bez wątpienia prowadzenie kampanii przeciwko Weldonowi sprawiało mu ogromną przyjemność. Wszystkie jej elementy - uwiedzenie Sary, odebranie Weldonowi szans na tytuł barona, doprowadzenie spółki na skraj bankructwa - pozwalały mu cieszyć się strachem i wściekłością swego przeciwnika. Jednak żadne, nawet największe obecne cierpienia Weldona nie mogły wymazać z pamięci Wędrowca straszliwych wspomnień z dzieciństwa, nie mogły przywrócić utraconego czasu. Teraz, kiedy patrzył na swą misję z innej perspektywy, zrozumiał, że zemsta nigdy nie może przynieść pełnej satysfakcji.

Nawet śmierć Weldona nie uleczyłaby ran z przeszłości. Blizny na ciele musiały pozostać z nim do końca życia, a jedynym balsamem, który mógł uleczyć jego duszę, była miłość Sary.

Powoli wstał i otrzepał kurz z dłoni. Nadal pragnął poczuć na nich krew swego wroga i zastanawiał się, czy nie mógłby zabić go tak, by Sara nie dowiedziała się nigdy, że to

właśnie on jest mordercą. Po krótkim namyśle pokręcił głową. Nie byłby w stanie oszukiwać kobiety, która poznała jego duszę, wątpił też, czy mogliby zbudować przyszłość na kłamstwie.

Choć nie przyszło mu to łatwo, pogodził się z myślą, że utrata Sary jest zbyt wysoką ceną za przyjemność, jaką dałoby mu zabicie Weldon. Musiał oddać jego los w niepewne ręce prawa.

Nie mógł zmienić tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, tak jak nie mógł zmienić owych straszliwych dni w Trypolisie, które tak bardzo wpłynęły na jego życie. Mógł jednak zmienić teraźniejszość i przyszłość w nadziei, że Sara doceni jego dobre uczynki. To prawda, dążąc do spełnienia swej misji skrzywdził wielu nieznanym mu ludzi, kilku innym jednak pomógł. Choćby Sarze i Jenny Miller.

Wskoczył na konia i ruszył w drogę powrotną, modląc się, by Sara zechciała dać mu jeszcze jedną szansę. Gdyby tego nie zrobiła, miałby przed sobą przyszłość pozbawioną wszelkiej nadziei i radości.

Po powrocie do Sulgrave Wędrowiec natychmiast odszukał Benjamina Slade, który pracował w swoim gabinecie. Nie tracąc czasu na przydługie wstępy, oświadczył:

- Benjaminie, chcę, byś zebrał wszystkie dowody przeciwko Charlesowi Weldonowi i zawiózł je na policję.

Slade, zdumiony, odsunął się od biurka.

- Naprawdę chcesz, by to państwo wymierzyło mu sprawiedliwość?

- Tak - odrzekł krótko Wędrowiec. - Chcę także, byś wycofał oskarżenia przeciwko L&S Railway. Mam nadzieję, że Weldon będzie miał wkrótce tyle kłopotów, że i tak wycofa się ze spółki.

- Myślę, że to całkiem prawdopodobne - zgodził się Slade. Potem odchylił się do tyłu i spojrzał na Wędrowca spod przymrużonych powiek. - Co zamierzasz zrobić z tą spółką? Przy nieco wyższym nakładzie inwestycji i dobrym zarządzaniu nadal będzie mogła przy nosić spore zyski. Jako największy udziałowiec sam możesz nią kierować, jeśli tylko zechcesz. Wędrowiec skrzywił się lekko.

- Nie, dziękuję. Pomyśl, kto miałby dość umiejętności i doświadczenia, by zająć się kierowaniem spółką. Jestem pewien, że znajdziesz jakiegoś dobrego kandydata.

Slade uśmiechnął się błogo.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wreszcie będę pomagał ci zarabiać pieniądze, a nie trwonić je.

Ignorując tę uwagę, Wędrowiec dodał:

- Jutro rano wyjeżdżam na kilka dni do Londynu. Myślę, że ty także powinieneś pojechać ze mną i zostać tam przynajmniej do czasu, gdy Weldon zostanie aresztowany.

- Zgoda. - Slade skinął głową. - Spokojne wiejskie życie zaczyna mnie już nużyć. Ale co z lordem Rossem? Zostawisz go tutaj samego?

- Ross będzie miał dobrą opiekę - zapewnił go Wędrowiec. - A kiedy dowie się, dlaczego jadę do Londynu, sam będzie namawiał mnie do pośpiechu.

Czysty przypadek sprawił, że Weldon widział powrót Sary do Londynu. Droga z jego domu do biura wiodła obok Haddonfield House, kiedy więc jechał tego dnia do pracy, zauważył powóz stojący przed rezydencją diuka. Pochylił się do przodu i wyjrzał przez okno powozu.

Na chodniku stała lady Sara, leżące obok niej bagaże świadczyły o tym, że przyjechała do ojca na dłuższy pobyt. Czyżby dwa gołąbki pokłóciły się o coś? Weldon miał nadzieję, że tak się właśnie stało. Miał już spuścić zasłonkę i odchylić się na siedzenie, kiedy z powozu wyszła jeszcze jedna drobna postać. Weldon zachłysnął się ze zdumienia i ponownie przywarł do okna. Tak, na Boga, tą drugą kobietą była Jenny Miller, która zachowywała się jak pokojówka lady Sary. W tym momencie jego powóz minął obie kobiety, nie mógł więc zobaczyć już nic więcej. Weldon opadł na siedzenie i skrzyżował nogi, myśląc o tym, co przed chwilą ujrzał. Do diabła, ta dziewczyna zniknęła z domu pani Kent dzień czy dwa po wizycie Wędrowca, Weldon nie skojarzył do tej pory tych dwóch faktów, teraz jednak był niemal pewien, że ten łajdak pomógł Jenny w ucieczce. Uczynił ją zapewne swoją kochanką, a po ślubie zatrudnił jako pokojówkę swej żony.

Był to akt niezwyklego zuchwalstwa, coś, w czym Weldon sam bardzo gustował. Ciekaw był, czy Sara wie, że mąż trzyma kochankę pod samym jej nosem. Prawdopodobnie nie; była zbyt pruderyjna, by to zaakceptować, nie mówiąc już o tym, by przyłączyć się do igraszek tych dwojga.

Weldon zaczął stukać palcami w kolano. Nie mógł tknąć Sary, bo w ten sposób narażałby Elizę na niebezpieczeństwo, umowa zawarta z Wędrowcem nie dotyczyła jednak Jenny Miller. Poprzysiągł kiedyś, że jeśli uda mu się odnaleźć tę bezczelną dziewczucę, odplaci jej srodze za ucieczkę. Teraz los podsuwał mu niezwykle okazję; mógł jednocześnie zemścić się na Jenny i zadać bolesny cios swemu przeciwnikowi.

Kazał zawrócić powóz do domu, a gdy tylko się tam znalazł, wezwał do siebie Jimmonsa, który miał zastąpić nieodżałowanego Kane'a. Niestety, choć Jimmons był najbardziej rozbudowanym spośród wszystkich strażników zatrudnionych w burdelach, w porównaniu z Kane'em wypadł bardzo mizernie, niczym koń pociągowy przy wierzchowcu

pełnej krwi, Niemniej jednak, był silny i bez szemrania wypełniał wszystkie rozkazy.

Kiedy Jimmons pojawił się wreszcie w jego biurze, Weldon wyjaśnił mu pokrótce, czego odeń oczekuje.

- Chcę, by Haddonfield House był pod stałą obserwacją. Możesz zatrudnić do tego dwóch strażników z burdelu. Będą robili to tylko za dnia, więc nocą mogą normalnie pracować. - Kiedy podwładny skinął głową, Weldon kontynuował: - Dziewczyna, która pracowała w domu pani Kent, jest teraz u Haddonfielda, prawdopodobnie jako pokojówka. Ma jakieś osiemnaście lat, ale wygląda na znacznie młodszą. Drobną blondynką, bardzo ładną. Kiedy będzie sama wychodzić z domu, albo wchodzić do niego, twoi ludzie pochwyć ją. Mają zrobić to dyskretnie, by nikt nie zauważył nic podejrzanego. - Po krótkim namyśle dodał: - Powiedz im, żeby jej nie skrzywdzili. Jest cenna.

- Tak jest A co mamy z nią zrobić potem?

- Zabierzcie ją do domu pani Kent - polecił Weldon. Postanowił, że sam ukarze ją za ucieczkę i za wspieranie jego wroga.

Początkowo Eliza Weldon czuła się dotknięta, kiedy ojciec po wiedział jej, że musi na kilka dni zamieszkać u swojego wujka, jednak uradowana ze spotkania z kuzynami szybko zapomniała o wszelkich smutkach. Choć tata był cudowny, widywała go dość rzadko i brakowało jej towarzystwa innych młodych ludzi.

Centrum aktywności towarzyskiej dziewcząt zawsze stanowiła sypialnia szesnastoletniej Jane, najstarszej córki w rodzinie. Eliza nie zdążyła się jeszcze dobrze przywitać z wujostwem, a już została porwana na górę przez dwunastolatkę Annę, najbardziej zbliżoną do niej wiekiem kuzynkę. Całości dopełniała środkowa córka, czternastoletnia Lucy. Kiedy były już w komplecie, dziewczynki zajęły się przede wszystkim pochłanianiem ogromnych ilości marcepanu i plot kowaniem. Taka orgia mogła mieć miejsce tylko wtedy, gdy guwernantka miała wolny dzień - córki lorda Batsforda zawsze skwapliwie wykorzystywały podobne okazje.

Wiosną najstarsza z nich miała po raz pierwszy pokazać się w towarzystwie, większość popołudnia dziewczynki spędziły więc na przeglądaniu żurnali mody i sporach o to, jakie suknie pasują najbardziej do wysokiej i szczupłej Jane. Eliza brała żywy udział w dyskusji, bo brakowało jej ostatnio takich damskich pogaduszek.

Kiedy zamknęły już ostami żurnal, Jane zauważyła mimochodem:

- Elizo, widziałam wczoraj twoją niedoszłą macochę, kiedy mama zabrała mnie na Bond Street. Kiedy lady Sara zobaczyła mamę i mnie, zrobiła taką minę, jakby bała się, że zaraz ją zwymyślamy za to, co zrobiła wujkowi Charlesowi. Ale mama oczywiście nigdy nie

powie działały złego słowa lady Sarze. - Jane miała dodać, że zdaniem jej mamy lady Sara postąpiła całkiem rozsądnie, nie wychodząc za Charlesa Weldona, przypomniała sobie jednak w porę, że nie powinna mówić takich rzeczy przy Elizie.

Eliza wpatrywała się w nią z przejęciem.

- Jak się miewa lady Sara? Jane zmarszczyła brwi.

- Wyglądała na zmęczoną. Może za długo chodziła po sklepach. Ale była bardzo uprzejma. - Jane zamyśliła się na moment i westchnęła cicho. - Ciekawe, jak ona to robi, że zawsze jest taka elegancka i miła.

Ignorując tę ostatnią uwagę, Eliza spytała:

- Przyjechała tylko na jeden dzień, czy zostanie w mieście dłużej?

- Wspomniała, że zatrzymała się w Haddonfield House - odparła Jane. - To znaczy, że przyjechała pewnie tylko na dwa, trzy dni i nie chce otwierać własnego domu.

- Bardzo chciałabym ją zobaczyć - westchnęła Eliza ze smutkiem. Lucy spojrzała na nią surowo.

- Nie możesz. Wujek Charles przykazał wszystkim służącym, by nie dopuszczali do ciebie lady Sary. Nawet gdyby przyjechała tu z wizytą, ty nie mogłabyś jej zobaczyć.

- Moim zdaniem to trochę niesprawiedliwe, Eliza nie zrobiła przecież nic złego - zauważyła Annę.

- To dlatego, że wuj Charles ma złamane serce - pokiwała głową Jane. - Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy spotka ich coś podobnego. Ja też myślałam, że oszaleję, kiedy mama odprawiła signore Carlo.

Siostry zaczęły oplakiwać utratę signore Carlo, przystojnego nauczyciela muzyki, który został wyrzucony z domu po tym, jak przyłapano go na całowaniu pokojówki. Eliza milczała, zajęta własnymi myślami. Tym razem musi wykorzystać okazję i zobaczyć się z lady Sarą. Oczywiście, młoda dama nie powinna wychodzić sama na ulicę, ale Haddonfield House oddalony był tylko o dwie przecznice od tego miejsca, a poza tym, cóż mogło przydarzyć się jej w dzielnicy Mayfair i to w biały dzień?

Wymknie się rankiem, postanowiła wreszcie, tuż po śniadaniu, a przed rozpoczęciem lekcji. Włoży zwykłą sukienkę i płaszcz, by ludzie brali ją za pokojówkę. Do domu Haddonfieldów dojdzie w ciągu kilku minut. Choć wolałaby pobyć dłużej z lady Sarą, wiedziała, że na wyjaśnienie najważniejszych rzeczy wystarczy im choćby kwadrans. Wróci do domu, nim ktokolwiek zauważy jej nieobecność.

Powrót do Haddonfield House był dla Jenny Miller bardzo interesującym przeżyciem. Spędziła tu tylko dwa tygodnie przed ślubem lady Sary, i choć nadrabiała wtedy miną, była

przeżona nowym otoczeniem, bała się wszystkiego i wszystkich, a szczególnie głównego lokaja. Teraz, kiedy pobyla już trochę w Suigrave i miejskim domu księcia, niełatwo było ją czymś wystraszyć. I dobrze, bo inne służące wciąż wypytywały ją, dlaczego lady Sara przyjechała do swego ojca, a nie do domu męża. Jenny nie dała się jednak sprowokować i nie powiedziała ani słowa wścibskim plotkarkom.

Chciała, by jak najszybciej wrócili na wieś i to nie tylko dlatego, że został tam Benjamin. Biedna lady Sara tęskniła za swym mężem tak bardzo, że aż żal było na nią patrzeć. Oczywiście nie wspominała ani słowem o tym, co się stało, więc Jenny umierała z ciekawości. Co takiego mogło poróżnić dwoje ludzi, którzy szaleli za sobą i którzy powinni cieszyć się jeszcze swoim miesiącem miodowym? Było to przygnębiające pytanie, szczególnie dla młodej damy, która sama zastanawiała się nad wstąpieniem w związek małżeński.

Kiedy podała już lady Sarze herbatę i małeńki tost, którym nie najadłby się nawet wygłodniały wróbel, Jenny miała chwilę dla siebie. Siedziała przy oknie w saloniku lady Sary i popijając herbatę, obserwowała ulicę przed rezydencją diuka. Robiła to z dwóch powodów; po pierwsze, zawsze z przyjemnością patrzyła na modne powozy i eleganckich ludzi przechadzających się ulicami Mayfair, po drugie zaś, łudziła się nadzieją, że zobaczy na podjeździe księcia Wędrowca lub Benjamina, a najlepiej obu.

Skończyła pić herbatę i miała już odejść od okna, kiedy jej uwagę przykuł dziwny incydent rozgrywający się przed wejściem do domu. Jakaś dziewczynka wchodziła właśnie na stopnie rezydencji, kiedy od tyłu podszedł do niej potężnie zbudowany mężczyzna i zapytał o coś. Dziewczynka odwróciła się, by odpowiedzieć. Potem nagle znalazła się w ramionach mężczyzny, choć Jenny nie potrafiła powiedzieć, jak do tego doszło. W tej samej chwili przed dom zajechał stary powóz, do którego wsiadł mężczyzna z dziewczynką na rękach.

Jenny zmarszczyła brwi. Gdyby była to inna część miasta, poważnie zaniepokoiłaby się o los dziewczynki. Nawet tutaj, w Mayfair, całe to zajście wydało jej się podejrzanym. Dziewczynka mówiła jednak coś do mężczyzny, więc może go znała.

Jenny zastanawiała się przez moment, czy powinna powiedzieć o tym lady Sarze, uznała jednak, że nie miałyby to większego sensu.

I tak było już za późno na jakiegokolwiek działanie, powóz zniknął za rogiem ulicy, a wyglądał jak tysiące innych powozów. Nie powinna niepotrzebnie martwić swej pani, szczególnie jeśli i tak nie przyniosłoby to żadnego pożytku.

Mimo to, Jenny nie mogła zapomnieć o tym wydarzeniu. Potężny mężczyzna wydał jej się dziwnie znajomy, choć nie mogła skojarzyć go z żadnym konkretnym miejscem.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy zdała sobie sprawę, że dziewczynka zarówno wzrostem jak i kolorem włosów przypominała ją samą. Nigdzie już ulice nie były bezpieczne.

Dziewczynka była blada jak ściana, z jej wielkich, niebieskich oczu wзираło przerażenie. Zamknawszy swą ofiarę w sypialni, pani Kent zeszła na parter i spojrzała groźnie na dwóch osiłków, którzy przywieźli dziewczynkę do jej domu.

- To nie ta dziewczyna, której chciał pan, dumie. Będzie wściekły. A jeśli to ukochana córeczka jakiegoś bogacza?

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie.

- Wygląda tak, jak pan mówił - odparł wreszcie jeden z nich. - To pewnie tylko pokojówka. Nie jest wystrojona, a poza tym szła sama.

Pani Kent zastanowiła się nad jego słowami. Rzeczywiście, suknia dziewczynki pasowała raczej do służącej niż do młodej damy. Weldon będzie wściekły, kiedy dowie się, że to nie Jenny, ale może udobrucha go fakt, że dziewczynka może ją do pewnego stopnia zastąpić. Doskonale się do tego nadawała, była młoda, ładna i wystraszona. Z pewnością już po pierwszej nocy przyniesie im co najmniej pięćdziesiąt funtów zysku.

- Zazwyczaj nie porywali dziewcząt - nie było takiej potrzeby - w tym jednak wypadku musieli ją zatrzymać. Gdyby wypuścili ją na wolność, mała podniosłaby straszny krzyk i choć sama nie potrafiłaby zapewne odnaleźć drogi do tego miejsca, policja mogłaby zrobić to za nią.

Pani Kent usiadła za biurkiem i napisała krótki list do swego pracodawcy, informując go, że porwali niewłaściwą dziewczynkę i że lepiej będzie ją zatrzymać.

W ciągu dwóch godzin Weldon przysłał odpowiedź, nakazując, by dziewczynka została wykorzystana jeszcze tej samej nocy i by tego dnia nie posyłać już strażników do Haddonfield House. Pani Kent uśmiechnęła się pod nosem, zadowolona, że pomyłka wyszła im jednak na dobre. Nowa dziewczyna pasowała idealnie do upodobań jednego z jej najlepszych klientów, pewnego bogatego kupca. Prześle mu dyskretne zamówienie, a kupiec z pewnością zjawi się u niej jeszcze tego samego wieczoru.

Wędrowiec został przyjęty w Haddonfield bardzo uprzejmie. Miał nadzieję, że to dobry znak, z drugiej jednak strony wiedział, że Sara nigdy nie kazałaby swej służbie odnosić się do kogoś w niegrzeczny sposób.

Kiedy spytał o lady Sarę, główny lokaj skłonił głowę i odparł:

- Sprawdzę, czy pani jest w domu.

Wędrowiec zagryzł wargę w bezsilnej złości; musiał zachowywać się jak zwykły gość, choć chciał porozmawiać z własną żoną. Zbyt zdenerwowany, by usiedzieć w jednym miejscu, Wędrowiec zaczął przechadzać się pokoju. Wolałby spotkać się z Sarą w jakimś innym miejscu, a nie w domu jej ojca; może uda mu się namówić ją na przejażdżkę, a może nawet na powrót do ich domu, gdzie mogliby całkiem swobodnie porozmawiać. Prawdopodobnie jednak Sara nie chciałaby na to przystać, obawiając się, że spróbuje ją uwieść.

Miała rację; próbowaliby. Choć wiedział, że ostatecznie może połączyć ich tylko jedność umysłów, a nie ciał, pragnął jej fizycznej bliskości, tak jak palacz opium pragnie swego narkotyku.

Kiedy ktoś otworzył drzwi za jego plecami, Wędrowiec błyskawicznie się odwrócił, gotów do konfrontacji. Był to jednak tylko diuk Haddonfield. Obaj mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ze względu na Sarę zawsze traktowali się z uprzejmością, nie łączyły ich jednak więzy sympatii. Książę przemówił pierwszy.

- Niestety, Sary nie ma w tej chwili w domu.

- Naprawdę wyszła, czy to tylko grzeczna wymówka? Diuk uniósł brwi, zaskoczony taką bezpośredniością.

- Naprawdę wyszła. Odwiedza przyjaciół, o ile mi wiadomo. Przypuszczam, że wróci gdzieś po południu, nie wiem jednak, o której godzinie. Widziałem się z nią tylko przez krótką chwilę.

- Rozumiem. - Wędrowiec zastanawiał się przez moment, czy nie poczekać na jej powrót, jednak beczynne oczekiwanie doprowadziłoby go do szaleństwa. Poza tym Slade chciał, by obaj udali się na policję i złożyli tam dowody przeciwko Weldonowi; jeśli dopisze im szczęście, jeszcze tego samego dnia zostanie wydany nakaz aresztowania, a długi, dręczący koszmar dobiegnie wreszcie końca. - Proszę prze kazać Sarze, że chciałbym się z nią zobaczyć. Może przesłać wiadomość do mojej miejskiej rezydencji. Jeśli nie skontaktuje się ze mną do wieczoru, wrócę tu jutro.

Haddonfield uśmiechnął się sardonicznie.

- To groźba czy obietnica?

- Prośba. - Potem, choć wiedział, że nie powinien tego robić, spytał: - Czy Sara mówiła panu coś o nas?

Diuk pokręcił głową.

- Nie, choć domyślam się, że macie jakieś problemy. Zechciałby mi pan przybliżyć ich naturę?

- Różnice filozoficzne - odparł krótko Wędrowiec. Uznając, że czas już zmienić temat, powiedział: - Wczoraj Charles Weldon wpłacił na moje konto osiemdziesiąt tysięcy funtów. Twierdzi, że dał mu pan te pieniądze głównie po to, by pokrzyżować mi szyki. Czy to prawda, czy też Weldon pana szantażował?

Diuk zbladł. To nie była już bezpośredniość, lecz zuchwalstwo. Przez moment gniew walczył w jego duszy z poczuciem winy. Wreszcie Haddonfield westchnął i usiadł na fotelu.

Można nazwać to szantażem. Choć zrobiłem to także po to, by ukarać samego siebie.

Dlaczego? Bo popierał pan małżeństwo swej jedynej córki z Charlesem Weldonem? - Wędrowiec z trudem panował nad złością. - To z pewnością zasługuje na surową karę.

- Wiedziałem, że Charles Weldon ma na sumieniu różne drobne grzeszki i różne słabości, ale któż ich nie ma? - bronił się słabo diuk. - Myślałem, że będzie dobrym mężem dla mojej córki.

- Ze względu na dobro Sary powinien był pan najpierw sprawdzić, jakim człowiekiem jest naprawdę Charles Weldon. Ponieważ jednak na pozór pozostawał poza wszelkim podejrzeniem, wygodniej było panu nosić klapki na oczach.

Uznając w pełni słuszność tego zarzutu, Haddonfield opuścił wzrok.

- Teraz to widzę. Wtedy nie widziałem.

Idąc za głosem intuicji, Wędrowiec kontynuował:

- Co Weldon wiedział o panu? Jest pan klientem któregoś z jego domów publicznych? Ma ich całkiem sporo, gdyby pan o tym nie wiedział.

- On jest ich właścicielem? - Haddonfield otworzył szeroko oczy, a jego arystokratyczna wyniosłość i chłód zniknęły nagle bez śladu. - Po śmierci mojej żony, ja sam czułem się... na wpół umarły. Nie czułem się już jak mężczyzna. Charles zaproponował wyprawę do miejsca, gdzie... gdzie przywracają mężczyzn do życia. Zacząłem odwiedzać je regularnie. Nie mogłem się powstrzymać... - Diuk zamilkł na moment, starając się zapanować nad emocjami, - Charles nigdy nie próbował mnie szantażować. Gdyby to zrobił, odmówiłbym mu bez namysłu. Wciąż tylko powtarzał, jak bardzo podziwia Sarę i jak bardzo

zależy mu na jej akceptacji. Nie musiał wcale grozić, że opowie światu o moich słabościach, wystarczyło, że o nich wiedział. W rezultacie starałem się ze wszystkich sił namówić Sarę do tego małżeństwa.

Wędrowiec zastanawiał się, który z lokali Weldon tak bardzo spodobał się diukowi. Wizyty w zwykłym domu publicznym nie wprawiałyby go w takie zawstydzenie. Strzelając w ciemno, spytał:

- Co to był za lokal, dom pani Kent z dziećmi, czy lokal pani Cambridge?

Książę był zszokowany.

- Z dziećmi? Słyszałem o takich miejscach, ale Weldon nie ma chyba nic wspólnego z czymś równie ohydny.

- Owszem, ma - odrzekł cierpko Wędrowiec. - To, że ktoś urodził się angielskim dżentelmenem, nie znaczy jeszcze, że nie jest zdolny do największych podłości. Wątpię, czy istnieje na tym świecie coś, co mogłoby zawstydzić Charlesa Weldon.

Haddonfield kręcił głową, głęboko wstrząśnięty tym, co właśnie usłyszał.

- To, co zrobiłem ja, było wystarczająco ohydne. Bywałem w tym drugim miejscu, o którym pan wspomniał.

Szlachetny diuk Haddonfield lubił więc biczować innych lub być biczowanym. Prawdopodobnie chodziło o to drugie. Teraz Wędrowiec rozumiał już, dlaczego zależało mu na tym, by świat nie dowiedział się o jego upodobaniach.

- Więc w zamian za milczenie zdecydował się pan oddać swą córkę potworowi. Niech Bóg chroni nas przed angielskimi dżentelmenami.

Haddonfield spuścił głowę jeszcze niżej.

- Zaslługuję na potępienie, proszę jednak pamiętać, że Sara także przychylnie odnosiła się do tego zamiaru. Przysięgam, że wolałbym zostać publicznie upokorzony, niż pozwolić, by Sarze stała się jakaś krzywda. Nie wiedziałem wtedy, kim naprawdę jest Weldon, choć pewnie powinienem był się domyślać.

- Rzeczywiście, powinien pan być. - Wędrowiec miał dorzucić kolejną uszczypliwą uwagę, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili, zrozumiawszy, że ta rozmowa przypomina w pewnym stopniu jego kłótnię z Sarą. Wtedy to on używał tych samych argumentów co diuk, twierdząc, że nie miał pojęcia o konsekwencjach swych czynów. Obaj byli winowajcami. Diuk wykazał ogromną odwagę, przyznając się przed nim do swej słabości i do tego, że zawiódł swą córkę, on zaś nie miał prawa dłużej go dręczyć.

Poza tym, jeśli oczekiwał litości od Sary, powinien sam okazać ją jej ojcu. Uznając, że powiedziane zostało już wszystko, co należało powiedzieć, ruszył do drzwi.

- Proszę przekazać Sarze, że może wysłać do mnie wiadomość o każdej porze, choćby wróciła bardzo późno.

Diuk skinął głową i wstał z fotela. Wyraźnie zakłopotany, zapytał niepewnie:

- Czy powie pan Sarze o... o tym, co robiłem?

Wędrowiec pokręcił głową.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby o tym wiedzieć. - Położył dłoń na klamce, potem jednak zawahał się jeszcze na moment. Ja zaś mam nadzieję, że nie będzie pan zachęcał Sary, by odeszła ode mnie na stałe.

- Nie, nie będę wchodził pomiędzy was - zapewnił go Haddonfield. Po długiej pauzie dodał: - Jest pan lepszym człowiekiem niż Charles Weldon. Lepszym niż ja. Chciałbym, by udało się wam z Sarą przezwyciężyć jakoś te „różnice filozoficzne”.

- Dziękuję.

Opuszczając Haddonfield House, Wędrowiec zrozumiał, że jego stosunki z diukiem uległy właśnie zasadniczej odmianie. Być może nigdy nie zostaną przyjaciółmi, udało im się jednak znaleźć płaszczyznę porozumienia. Miał nadzieję, że to dobry znak na przyszłość.

Dopiero w południe zauważono nieobecność Elizy, wszyscy bowiem przypuszczali, że jest gdzie indziej. Lady Batsford myślała, że jej bratanica jest z guwernantką, jej córki zaś były pewne, że Eliza nie będzie brała udziału w lekcjach, bo przyjechała tylko na kilka dni.

Kiedy dziewczynka nie pojawiła się na obiedzie, przeszukano cały dom, co zajęło kolejnych kilkadziesiąt minut. Dopiero gdy oczywiste się stało, że Eliza wyszła gdzieś poza rezydencję, lady Batsford wezwała do siebie córki. Surowym głosem spytała:

- Czy Eliza planowała jakąś psotę? Jeśli zataicie przede mną jakąś ważną informację, będziecie odpowiedzialne za to, co jej się stanie.

Trzy córki wymieniły zakłopotane spojrzenia. Jane, jako najstarsza, przemawiała zwykle w imieniu swoim i siostr, więc także i teraz właśnie ona zabrała głos.

- Eliza nic nam nie mówiła, mamo, naprawdę. - Przypominając sobie ich rozmowę z poprzedniego dnia, dodała: - Ale powiedziałam jej wczoraj, że spotkałyśmy lady Sarę i że lady Sara zostanie na kilka dni u swego ojca. Eliza bardzo się tym interesowała.

Annę, najmłodsza z trzech dziewczynek, oświadczyła swym słowiczym głosikiem:

- Eliza mówiła mi kilka razy, że bardzo chciałaby się zobaczyć z lady Sarą i powiedzieć jej, że ona wcale się na nią nie gniewa, choć tato zabronił jej widywać się z nią.

Lady Batsford przygryzła wargę, niezdecydowana. Znała Elizę dość dobrze, by wiedzieć, że ta zdolna jest do podobnego wybryku i że darzy lady Sarę bezgranicznym uwielbieniem. Westchnęła ciężko; choć bardzo lubiła swoją bratanicę, czasami nie potrafiła

nad nią zapanować. Lady Sara natychmiast odwiozłaby dziewczynkę, gdyby wiedziała, że ta wybrała się do niej z wizytą samowolnie, nikogo o tym nie powiadamiając. Eliza mogła jednak skłamać i przekonać ją, że zrobiła to za zgodą swej ciotki.

Charles Weldon będzie wściekły, jeśli dowie się, że córka złożyła wizytę jego byłej narzeczonej. Lepiej nie powiadamiać go o zniknięciu Elizy, chyba że dziewczynka nie wróci nawet na kolację. Lady Batsford nie przypuszczała jednak, by doszło do tego; Eliza prawdopodobnie doskonale bawi się u lady Sary. Ona sama uważała, że jej szwagier postępował niemądrze i okrutnie, zabraniając swej córce kontynuowania tej znajomości, choć rozumiała jego zranioną dumę.

Lady Batsford była miłą, dobroduszną kobietą i nigdy nie spodziewała się najgorszego. Dlatego też bez większego pośpiechu wysłała do lady Sary notkę, pytając, czy przebywa u niej Eliza Weldon i prosząc o odesłanie dziewczynki do domu.

Sara wróciła do Haddonfield po południu, niemal kompletnie wyczerpana. Choć bez przerwy wynajdywała sobie nowe zajęcia, w nadziei, że pozwoli jej to zapomnieć o smutku i samotności, udawanie, że czuje się całkiem dobrze i że niczego jej nie brakuje, okazało się zadaniem ponad jej siły. Wyszła za Mikahla przekonana, że ma w sobie dość samozaparcia i siły, by przetrwać nieunikniony ból. Najwyraźniej jednak przeliczyła się, bo nigdy jeszcze nie cierpiała tak bardzo jak teraz.

Lokaj wręczył jej przy wejściu dwa listy. Sara zabrała je na górę, do swego salonu, i dopiero tam otworzyła. Autorem pierwszego był jej ojciec, przypuszczalnie informował ją więc tylko, że zje kolację w klubie. Tak było w istocie, tyle że najpierw diuk napisał o wizycie jej męża i o tym, że ten bardzo chciał się z nią spotkać. Księżę prosił ją o wiadomość, kiedy już dotrze do domu; mówił też, że jeśli nie otrzyma takowej, nazajutrz przyjedzie do niej ponownie.

Sara zadrżała gwałtownie na całym ciele i bliska omdlenia usiadła na najbliższym krześle. Wierc Mikahl chciał się z nią zobaczyć. Przeczytała list raz jeszcze, ojciec jednak nie wspominał w nim ani słowem o nastroju jej męża.

Sara zamknęła na chwilę oczy, modląc się, by jej mąż pragnął pojednania równie mocno jak ona. Gdyby tylko gotów był spróbować, z pewnością zdołałby wypracować jakiś kompromis. Nie oczekiwała od niego jakiegokolwiek radykalnej zmiany, nie chciała, by nagle zamienił się w świętego, zależało jej tylko na tym, by nie popełnił morderstwa, by przestał rujnować życie innych ludzi.

Westchnęła ciężko i potarła skronie zdrętwiałymi palcami. Może jednak wymagała zbyt wiele od człowieka, który żył zemstą.

- Czy coś się stało, lady Saro? - spytał czyjś zatroskany głos. Sara otworzyła oczy i ujrzała w drzwiach salonu swoją pokojówkę.

- Nie, nic się nie stało, Jenny.

Lekko drżącymi dłońmi na powrót złożyła kartkę papieru. Potem, by ukryć emocje, otworzyła drugi list. Przeczytała go dwukrotnie, nim dotarł do niej jego pełny sens. Potem zmarszczyła brwi.

- Dziwne. To list od lady Batsford, bratowej Charles'a Weldona. Jeśli dobrze wszystko zrozumiałam, Eliza, córka Charlesa, mieszka obecnie u niej, a lady Batsford podejrzewa, że Biza wybrała się dziś do mnie z wizytą. To niedaleko. Nie wiesz, czy była tu dzisiaj mała dziewczynka?

Jenny składała właśnie szal Sary, jednak słysząc to pytanie, poderwała raptownie głowę, zaniepokojona.

- O jakiej porze mogła się tutaj pojawić? Sara spojrzała na list.

- Nie wiem. Prawdopodobnie gdzieś rano. Lokaj powiedział, że otrzymał wiadomość od lady Batsford wczesnym popołudniem. Nie wiesz, czy Eliza przyszła tutaj i została odprawiona?

Jenny jakby nie słyszała jej pytania.

- Ile ma lat ta dziewczynka i jak wygląda? - dopytywała się z przejęciem.

- Ma jedenaście lat, jest dość wysoka jak na swój wiek, ma jasne blond włosy - odparta Sara, - Właściwie jest całkiem podobna do ciebie.

- Dziś rano, kiedy pani jadła śniadanie, widziałam na ulicy taką właśnie dziewczynkę. Potem zabrało ją jakichś dwóch mężczyzn. - Jenny nerwowo miała szal - Wydawało mi się to dość dziwne, ale nie widziałam dokładnie, co się właściwie stało. Potem zniknęli tak szybko, że nie zdążyłam pani nawet o tym powiedzieć.

Sara zaczynała się poważnie niepokoić.

- Myślisz, że ci mężczyźni mogli porwać Elizę? Jenny zagryzła wargę i skinęła głową.

- Wydawało mi się, że znam skądś jednego z tych mężczyzn, ale nie byłam pewna. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że widziałam go kiedyś w domu pani Kent. Zastępował chorego strażnika.

- Sara ściągnęła brwi, próbując rozszyfrować tę dziwną zagadkę.

- Charles prawdopodobnie nie wiedział, że Eliza wybrała się do mnie z wizytą. A gdyby się nawet dowiedział, przyjechałby tu osobiście albo przysłał służącego, a nie ściągał ludzi z drugiego końca Londynu.

- A jeśli oni wcale nie chcieli porwać panny Elizy? - spytała Jenny ponuro. -

Powiedziała pani, że jest podobna do mnie. A jeśli ci ludzie wzięli ją za mnie? Zawsze wiedziałam, że Weldon będzie na mnie wściekły, nie sądziłam jednak, by kiedykolwiek mnie odnalazł. Może jednak dowiedział się, gdzie jestem i przysłał tu po mnie dwóch strażników. Pani Kent wiedziałaby, że porwali niewłaściwą dziewczynę, ale pewnie i tak by ją zatrzymała. Zawsze szuka nowych dziewczyn. - Jenny przełknęła ciężko. - Nie życzyłabym takiego losu nikomu, nawet córce Weldona.

Sara wstała z krzesła.

- Chodź. Musimy pojechać do mojego męża. On będzie wiedział, co robić.

Żadna z kobiet nie przemówiła ani słowa podczas dziesięciominutowej przejażdżki do domu przy Park Street. Choć Sara nie chciała wierzyć, że Eliza została zabrana do domu pani Kent, miała straszliwe przeczucie, że tak właśnie wygląda prawda. Jeśli tak się stało, to dziewczynka byłaby kolejną niewinną ofiarą porachunków pomiędzy Mikahlem i Weldonem.

Choć rozstali się w niezgodzie, Sara była pewna, że Mikahl pomoże jej uratować Elizę: nienawidził Weldona lecz postanowił już nie karać dziecka za zbrodnię ojca.

Tak bardzo liczyła na pomoc męża, że po przybyciu do jego domu doznała szoku, dowiedziawszy się, że Mikahl gdzieś wyjechał. Nie było także Benjamin Slade'a, który przyjechał do miasta wraz ze swym pracodawcą. Obaj mężczyźni opuścili dom kilka godzin wcześniej, nie mówiąc ani dokąd jadą, ani kiedy wrócą.

Po krótkim, gorączkowym namyśle, Sara zaciągnęła Jenny do salonu, by tam porozmawiać z nią na osobności.

- Wiesz, gdzie jest dom pani Kent? - Kiedy Jenny skinęła głową, Sara oświadczyła: - W takim razie pojedę tam i zabiorę Elizę do domu, jeśli naprawdę ją tam zamknęli.

- Nie może tam pani pojechać! - przeraziła się Jenny, - To jedna z najgorszych dzielnic w mieście, poza tym strażnicy w domu pani Kent mogą panią skrzywdzić.

- Muszę tam pojechać, Jenny - odparła Sara cicho. - Nie mogę pozwolić, by Eliza była przetrzymywana w takim miejscu. Jest tam już od kilku godzin, a im dłużej tam przebywa, tym większe prawdopodobieństwo, że spotka ją coś strasznego. - Zagryzła wargę, niezdolna wypowiedzieć głośno tego, co mogło stać się z dziewczynką.

- Ale my nawet nie wiemy, czy ona tam jest - nie poddawała się Jenny, - Naprawdę, nie może tam pani jechać.

- Nie pojedę sama. Wezmę ze sobą jednego ze strażników. Albo jeszcze lepiej, Kurama. Mówiłaś, zdaje się, że był z Mikahlem tamtej nocy, kiedy uciekłaś z domu pani Kent?

- Przypuszczam, że potrafiłby go odnaleźć, ale to po prostu zbyt niebezpieczne

miejsce dla damy - upierała się przy swoim pokojówka.

- Mój płaszcz wygląda niepozornie i ma kaptur, więc nikt nie weźmie mnie za damę - zbyła ją Sara. - Dom publiczny nastawiony jest na zarobek, wezmę więc ze sobą dużo pieniędzy i po prostu wykupię Elizę. Z Kuramem u boku będę bezpieczna. Nie mamy czasu do stracenia. Zbliża się już pora kolacji, a chyba właśnie o tej porze w tego rodzaju lokalach zaczyna się największy ruch.

Jenny skinęła głową, niechętnie przyznając jej rację.

- Pojadę z panią.

Sara ustanawiała się przez moment nad tą ofertą. Jenny z pewnością wiedziała o takich miejscach znacznie więcej niż ona. Pani Kent mogła jednak rozpoznać swą byłą podopieczną i siłą zatrzymać ją w swym lokalu. Ryzyko było zbyt wielkie.

- Zostaniesz tutaj i wyjaśnisz wszystko Mikahlowi, jeśli wróci wcześniej ode mnie - oświadczyła Sara. - Jeśli trzeba będzie podjąć jakieś dodatkowe kroki, on będzie wiedział, co robić. - To dziwne, pomyślała, że pomimo dzielącego ich konfliktu, nadal ufała swemu mężowi. I to ufała mu bezgranicznie.

Choć Jenny wcale nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy, zgodziła się zostać. Kuram także miał spore wątpliwości, czy powinien zabierać żonę swego pana do podobnego miejsca, skapitulował jednak pod naporem argumentów Sary. Dziesięć minut później Sara jechała już w stronę doków, w małym zamkniętym powozie. Kuram zajął miejsce na zewnątrz, obok woźnicy.

Kiedy koła powozu stukały miarowo o bruk, a nad wąskimi ulicami zapadał powoli zmierzch, Sara modliła się, by nie przybyć za późno i zdążyć ocalić Elizę przed koszmarem, który przeżyli Mikahl i Jenny.

Kluczem do sukcesu było zabicie Wędrowca, rozmyślał Weldon. Kiedy już pozbędzie się tego szubrawca, bez trudu wybroni się od wszelkich oskarżeń, jakie ten mógł przeciwko niemu wnieść. Będzie twierdził, że cudzoziemiec próbował go pogrążyć z czystej zazdrości, jako byłego narzeczonego swej żony. Weldon wciąż miał dość wpływów, by wyciszyć ewentualne śledztwo.

Wędrowiec nie był jednak łatwą zdobyczą, szczególnie teraz, kiedy dobrze się pilnował. Pozbawiony pomocy Kane'a. Weldon nie wiedział, jakie kroki powinien teraz przedsięwziąć. Może wywołać pożar? Albo poszukać innego zabójcy? Szkoda, że Jimmons i jego kompani byli tylko tępymi osiłkami, którym nie mógł powierzyć zadania wymagającego sprytu i samodzielnego myślenia. Może Jimmons znał kogoś podobnego do Kane'a? Należało jednak uważać, by człowiek taki nie obrócił się ostatecznie przeciwko swemu pracodawcy i

nie zaczął go szantażować.

Najlepiej byłoby, gdyby Weldon osobiście podjął się tego zadania. Choć był dobrym strzelcem, nie miał doświadczenia w zabijaniu na odległość. Nie wzdragał się przed samym aktem morderstwa; z jego rąk zginęło już kilku słabych i nieskorych do współpracy partnerów. To było jednak coś zupełnie innego.

Weldon westchnął ciężko, sfrustrowany własną niemocą i brakiem pomysłów. Dobiegał już wieczór, a on nie był ani o krok bliżej rozwiązania swych problemów niż rankiem. Kiedy nalewał porto do kieliszka, uderzyła go nagle nieprawdopodobna myśl. Pani Kent powiedziała, że schwytała dziewczynka to nie Jenny Miller, mogło się więc zdarzyć, że jej ludzie porwali samą lady Sarę. Choć jego była narzeczona nie przypominała zbytnio Jenny, także była drobna i miała jasne włosy. Ubierała się przy tym dość skromnie i wyglądała młodo, jak na swoje lata.

Choć Weldon nie planował porwania lady Sary, z pewnością nie zrezygnowałby z szansy danej mu przez los i nie wypuściłby jej na wolność. Zaczął kalkulować w myślach. Jeśli Sara rzeczywiście jest u pani Kent, jutro odeśle Elizę do swej chaty myśliwskiej w Szkocji. Wędrowiec nigdy jej tam nie znajdzie. Nieobecność Elizy pozwoliłaby Weldonowi wykorzystać Sarę przeciwko jej mężowi.

Uznawszy, że najlepiej, będzie, jeśli pojedzie do pani Kent i sam obejrzy pojmaną dziewczynę, natychmiast wezwał powóz. Pomyślał, że podróż i tak nie będzie stracona, bo jeśli nawet to nie Sara była nowym więźniem pani Kent, przed powrotem do domu zabawi się trochę z którąś z dziewczynek.

Wędrowiec wszedł za Slade'em na stopnie swego domu, niepomiernie zadowolony z wykonanej tego dnia pracy. Wrócili właśnie od sędziego nazwiskiem Hanlon, człowieka o niezłomnych zasadach, szczególnie wrażliwego na krzywdę dzieci. Hanlon uznał dowody przeciwko Weldonowi za bardzo przekonujące i jeszcze przed wyjściem Wędrowca i Slade'a zaczął przygotowywać nakaz aresztowania. Gdyby teraz okazało się jeszcze, że w domu czeka wiadomość od Sary...

Zamiast listu od lady Sary obaj mężczyźni zastali w domu rozgorączkowana Jenny Miller.

- Bogu dzięki, że już wróciliście! - Dziewczyna rzuciła się na szyję Slade'owi, nie milknąc jednak ani na moment. - Zniknęła Eliza Weldon, podejrzewamy, że została zabrana do domu pani Kent. A ponieważ nie było was tutaj, lady Sara sama pojechała do pani Kent, by zabrać stamtąd Elizę.

Dopiero po chwili dotarł do Wędrowca pełny sens tego, co mówiła Jenny. Zaklął

cicho pod nosem i wprowadził Jenny wraz ze Slade'em do salonu, by tam wyciągnąć od niej bardziej szczegółowe informacje. Uzyskawszy odpowiedzi na kilka pytań, miał już jasny obraz sytuacji. Odetchnął z ulgą, dowiedziawszy się, że z Sarą pojechał Kuram, nadal jednak był mocno zaniepokojony ojej los.

- Kiedy stąd wyjechali? - spytał na koniec. Jenny spojrzała na zegar.

Jakieś pół godziny temu.

Jadę za nią - oświadczył krótko Wędrowiec. - Pojadę wierzchem, tak będzie szybciej.

Slade zmarszczył brwi.

Jesteś pewien, że to bezpieczne? Byłeś już kiedyś u pani Kent i zapewne zostaniesz tam rozpoznany. Jeśli Weldon ostrzegł swoich pracowników, by mieli na ciebie oko, możesz mieć poważne kłopoty. Wędrowiec zamyślił się na moment.

- Nie sądzę, by to zrobił, ale ostrożność nigdy nie zaszkodzi. W domu są jeszcze dwaj strażnicy, pojedą za mną w dużym powozie. Jeśli ani Sara, ani ja nie wyjdziemy szybko z domu, niech wejdą do środka i odszukają nas. - Spojrzał na Jenny. - Wolałbym cię o to nie prosić, ale czy pojedziesz z nimi i pokażesz im drogę do domu pani Kent?

Oczywiście - odparła Jenny. - Oszałamiałam ze zdenerwowania, gdybym musiała siedzieć tutaj beczynnym i czekać na wasz powrót. Slade chciał zaprotestować, zmienił jednak zdanie.

- Dobrze, ale ja jadę z tobą, Jenny.

Pokojówka spojrzała na swego kochanka z wdzięcznością, potem zwróciła się ponownie do Wędrowca.

- Wszystko rozgrywa się naraz, prawda? Wędrowiec skinął głową.

- Wróciliśmy właśnie od sędziego. Nakaz aresztowania Weldona jest już niemal gotowy, a dom pani Kent zostanie zamknięty w ciągu najbliższych dni.

- Wasza wysokość, proszę. - Jenny położyła dłoń na jego ramieniu. - Wiem, że wszystko musi odbywać się zgodnie z prawem, ale wiem też, że nikt nie będzie przejmował się dziewczynami z tego domu ani tym, co się z nimi stanie. Możemy je stamtąd zabrać? Znam kilka z nich i wiem, że będą śmiertelnie przerażone, kiedy do domu wejdzie policja. Później mogą zeznawać przeciwko pani Kent, na razie jednak lepiej byłoby, gdyby zostały z kimś takim jak ja, z kimś, kto wie, przez co przeszły.

Sara chciała, by przejmował się losem nieznanym mu ludzi, i być może winien był coś tym anonimowym dziewczynom za to, że wcześniej nie podjął żadnych działań przeciwko pani Kent.

- Dobrze - zgodził się. - Zrób dla nich, co tylko możesz. Benjaminie, sprowadź powóz

i konia dla mnie. Ja odszukam strażników i powiem im, co mają robić.

Kilka minut później Wędrowiec galopował przez ciemne ulice Londynu. Pod połą płaszczą wioził ukryty pistolet. Był gotów na wszystko, byle tylko zapewnić bezpieczeństwo Sarze.

Już po krótkiej rozmowie z panią Kent Weldon miał pewność, że to jednak nie Sara wpadła w jego sidła.

- Nie, proszę pana - zapewniała go madame. - To jeszcze dziecko. Z pewnością nie dwudziestokilkuletnia kobieta.

- Szkoda - westchnął Weldon z żalem. - Ładna?

- Bardzo. Długie blond włosy, jak u aniołka. - Pani Kent skinęła głową z aprobatą. - Może być drugą Jenny Miller, odgrywać bez końca rolę dziewicy. Cenna.

W takim razie zatrzymamy ją tutaj. - Weldon spojrzał ku górze. - W którym jest pokoju? Ktoś musi być pierwszy, więc ja chętnie skorzystam z tego przywileju.

Pani Kent zmarszczyła brwi.

- Obiecałam ją już komuś innemu na dzisiejszy wieczór. Mam wyjątkowo dobrego klienta, który gustuje w blondynkach, zwłaszcza bardzo młodych.

Weldon wzruszył obojętnie ramionami.

- Może być drugi. Chyba, że ma pani w domu jakąś inną dziewicę?

- Nie dziś. Tylko trzy stałe dziewczyny i ta nowa. Jutro pewien człowiek ma przyprowadzić swoje dwie córki tylko na jedną noc. - W jej głosie pojawiła się nutka irytacji.

- Znacznie trudniej jest prowadzić dom dziewic niż zwykły burdel.

- I dlatego właśnie tak dużo pani zarabia - odrzekł zimno Weldon. - Wiec w którym pokoju jest ta dziewczyna?

- Na końcu korytarza, po prawej.

- Jak się nazywa?

- Nie chciała powiedzieć. W ogóle nie mówiła nic, tylko płakała za ojcem - parsknęła pani Kent z pogardą. - Ale przygotowałam ją już na odwiedziny klientów. - Podeszła do biurka i wyciągnęła klucz. - To klucz do tego pokoju.

Weldon wyszedł do hallu i wspiął się na schody. Przed drzwiami pokoju nowej dziewczynki zatrzymał się jeszcze na chwilę, czując, jak narasta w nim coraz większe podniecenie. Świadomość, że jest pierwszy, że jeszcze nikt przed nim nie penetrował tego niewinnego ciała, zawsze wprawiała go niemal w ekstazę. Sfrustrowany zmaganiem z Wędrowcem, potrzebował tego, by odzyskać siły i pewność siebie.

Powoli przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. W przytłumionym, dyskretnym

blasku lampki dojrzał najpierw tylko szczupłą postać i jasne włosy rozrzucone na poduszce. Jak zwykle, dziewczynka miała na sobie półprzezroczystą, dziecienną koszulkę, a jej ręce przywiązane były do poręczy łóżka.

Obliział wargi, wstrząsany dreszczem pożądania, które zagłuszało wszelkie inne emocje, obawy i frustrację. Tak, bardzo tego potrzebował. Przeszedł cicho przez pokój, radując się myślą o słodkim smaku dziecka.

Dziewczynka jęknęła tylko ze strachu, kiedy usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi. Teraz odwróciła głowę w stronę wejścia i smuga światła padła prosto na jej dziecięcą twarzyczkę.

Weldon zamarł w pół kroku. Nagle ogarnęły go mdłości, zmieszane z paralizującym przerażeniem.

Błękitne oczy dziecka otworzyły się szeroko, przepełnione najpierw zdumieniem, a potem radością.

- Tatusiu! - wyszeptała Eliza głosem ochryłym od płaczu. - Tatusiu, wiedziałam, że po mnie przyjdiesz.

Minęło sporo czasu, nim Kuram odnalazł dom pani Kent, w tej części Londynu bowiem ulice nie były zbyt dobrze oznaczone. Sara płonęła z niecierpliwości, a kiedy Kuram otworzył wreszcie drzwi i oświadczył, że to tutaj, natychmiast wyskoczyła na zewnątrz.

Było już całkiem ciemno. Sara założyła kaptur, tak by jej twarz ginęła w cieniu. Kuram polecił woźnicy, by wjechał do bocznej alejki, gdzie powóz nie będzie rzucał się w oczy.

Potem oboje weszli na schody. Lady Sara zakołatała do drzwi. Przez dłuższą chwilę nikt nie reagował na pukanie. Wreszcie, po nieznośnie długim oczekiwaniu, ujrzeli, jak w drzwiach odsuwa się małe okienko.

- Kim jesteście i czego chcecie? - spytał chrapliwy głos.

Być może należało odpowiedzieć jakimś umówionym hasłem, Sara jednak nie próbowała zgadywać i powiedziała wprost:

Przyszłam tutaj w interesach. Pani Kent może sporo zarobić. Okienko zamknęło się ponownie, i tym razem czekali tak długo, że Sara zaczęła zastanawiać się, czy o nich nie zapomniano. W końcu jednak ktoś uchylił przed nimi drzwi i mogli wejść do środka.

W ponurym, mrocznym hallu stał wysoki, zwalisty mężczyzna i duża, antypatyczna kobieta, której wygląd pasował do opisu pani Kent podanego przez Jenny. Przyglądając im się podejrzliwie, pani Kent warknęła:

- Czego tu szukacie? Macie córkę do sprzedania? Ukrywając obrzydzenie i gniew, Sara odparła:

- Mam powody, by przypuszczać, że dziś rano trafiła tu przez pomyłkę pewna dziewczynka. Dobrze zapłacę za jej uwolnienie.

Pani Kent zmarszczyła brwi.

Skąd pani wiedziała, jak tu trafić?

To nie ma znaczenia. - Sara machnęła lekceważąco ręką, starając się wyglądać na pewną siebie, choć wcale się tak nie czuła. Dom przesiąknięty był złem, podłością. Nawet jeśli nie było tutaj Elizy, Sara chętnie wydałaby przywiezione pieniądze, by kupić wolność dla któregośkolwiek z więzionych tu dzieci.

Madame wyduła wargi, potem zerknęła na swego strażnika.

- Proszę przejść do mojego gabinetu, tam porozmawiamy.

Sara skinęła głową i ruszyła za panią Kent. Zrobiła zaledwie kilka kroków, kiedy za jej plecami eksplodowały nagle odgłosy walki. Sara odwróciła się na pięcie i zrozumiała, że

strażnik musiał otrzymać od pani Kent jakiś tajemny sygnał, zaatakował bowiem Karania. Obaj mężczyźni tarzali się po podłodze hallu, okładali się pięściami i głośno przeklinali. Kuram walczył jak lew Jego przeciwnik górował jednak nad nim wzrostem i masą ciała.

Zrozumiawszy, że jej towarzysz ma niewielkie szanse na wygraną, Sara rozejrzała się po hallu, szukając jakiejś broni, której mogłaby utyc przeciwko strażnikowi. Kiedy jej wzrok spoczął na drewnianym krześle, pani Kent pochwyciła ją mocno za rękę.

Choć Sara próbowała się wyrwać, większa i silniejsza kobieta unieruchomiła ją bez większego trudu.

- Nie wiem, kim jesteś, moja damulko - warknęła madame. - Ale nie powinnaś tutaj przychodzić.

Kuram zdołał zrzucić z siebie przeciwnika, ten jednak w tej samej chwili pochwycił ciężki kamień powstrzymujący drzwi przed pełnym otwarciem. Walka zakończyła się raptownie, kiedy strażnik uderzył nim Kurama w skroń.

Patańczyk jęknął głucho i osunął się na podłogę. Kiedy na białym turbanie pojawiła się rosnąca z każdą chwilą plama krwi, Sara krzyknęła i chciała podbiec do Kurama, pani Kent trzymała ją jednak w żelaznym uścisku.

- Zwiąż go i zostaw w tylnym pokoju - poleciła strażnikowi. - Może pan będzie chciał z nim porozmawiać, więc nie zabijaj go od razu.

Podczas szarpaniny kaptur zsunął się z głowy Sary i odsłonił jej twarz. Pani Kent patrzyła na nią przez chwilę, a potem uśmiechnęła się paskudnie.

- Założę się o pięćdziesiąt funtów, że to ty jesteś tą starszą dziewczuchą, o którą przed chwilą pytał mój pan. O, na pewno bardzo się ucieszy, kiedy cię tutaj zobaczy. - Madame boleśnie wykręciła rękę Sary. - Poczekamy na niego w moim gabinecie.

Zaprowadziwszy Sarę do gabinetu, pani Kent dokładnie ją przeszukała. Gwizdnęła cicho, kiedy odkryła pieniądze ukryte w kieszeni płaszcza.

- No proszę, mamy dzisiaj wyjątkowo udany dzień. Najpierw przez przypadek dostajemy nową dziewczynę, a teraz ty sama przynosisz nam całkiem sporą sumkę.

Pani Kent posadziła Sarę na krześle, wykręciła jej rękę do tyłu i przywiązała je do oparcia.

Wiedząc, że jeśli będzie udawała bezradną i przerażoną, pani Kent zlekceważy ją i da jej więcej swobody, Sara kulila się niczym mała, wystraszona dziewczynka. Nie było to wcale trudne, bo naprawdę się bała - Jenny miała rację, mówiąc, że nie powinna tu przychodzić. Nie tylko nie pomogła Elizie, ale naraziła życie swoje i Kurama. Co gorsza, wkrótce mógł pojawić się tutaj Mikahl, który nie spodziewał się przecież ataku strażnika.

Sara zamknęła oczy i próbowała opanować rozedrgane emocje. Potem zaczęła się modlić.

Kiedy Eliza przemówiła do niego, Weldon stanął jak wryty, odrętwiały ze zdumienia i przerażenia. On, który zawsze chełpił się swą odpornością psychiczną, teraz nie mógł złapać powietrza, przeszyty nieopisanym bólem i smutkiem.

- Tatusiu? - spytała niepewnie Eliza. - Tatusiu, nic ci nie jest?

Jej pytanie wyrwało wreszcie Weldonowi z osłupienia i napełniło go straszliwym, niepohamowanym gniewem. Gdyby nie Wędrowiec, Eliza nigdy nie zostałaby porwana. Jej obecność w tym plugawym miejscu była świętokradztwem, splamieniem niewinności, za które odpowiedzialny był głównie ten bydlak i za które będzie musiał ponieść straszliwą karę.

Weldon opamiętał się nieco, ujrawszy szeroko otwarte, wystraszone oczy Elizy. Nim dokona zemsty, musi najpierw uwolnić swą córkę. Niezgrabnymi palcami zaczął rozwiązywać wstążki, którymi dziewczynka przywiązana była do łóżka.

- Nie martw się, kochanie - mówił łamiącym się głosem. - Tatuś jest z tobą. Nie pozwolę, by ktoś zrobił ci krzywdę.

Oswobodzona z pęt, Eliza usiadła na łóżku i wtuliła się w swego ojca, pochlipując z radości.

- Chciałam odwiedzić lady Sarę. porozmawiać z nią tylko przez chwilę, ale oni zabrali mnie ze schodów Haddonfield House - opowiadała przerywanym głosem. - Założyli mi na głowę jakiś śmierdzący worek, a ja zaraz usnęłam. Kiedy się obudziłam, byłam już tutaj, dotykała mnie jakaś okropna kobieta. Powiedziała, że nigdy już nie wrócę do domu. Powiedziała, że będę musiała...

Kiedy jego córka umilkła, wstrząsana płaczem, Weldon głaskał ją po głowie i powtarzał bez końca, że teraz jest już bezpieczna i że tatuś nie pozwoli jej skrzywdzić. Kiedy dziewczynka uspokoiła się wreszcie, spytał:

- Gdzie jest twoje ubranie?

Eliza przełknęła ciężko i starając się panować nad głosem, odparła:

- Ta okropna kobieta schowała je do komody.

- Ubierz się, a ja pójdę na chwilę na dół i sprawdzę, czy możemy bezpiecznie wyjść. - Drżąca dłoń Weldon dotknęła jasnych włosów dziewczynki, kiedy ta wpatrywała się weń ufnymi oczyma.

- Dobrze, tato. - W obecności ojca Eliza szybko wracała do równowagi. - Wiedziałam, że przyjdiesz po mnie i że wszystko będzie dobrze.

Weldon ucałował córkę i wyszedł na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

Dopiero tutaj oparł się o ścianę i wstrząsany dreszczami, próbował uspokoić oddech, odegnąć od siebie obrazy tego, co mogło stać się z Elizą, gdyby nie przyjechał tego wieczoru do domu pani Kent. Jego ukochana córeczka zostałaby zbezczeszczona przez jakiegoś plugawego brutala, który nie potrafi odróżnić prawdziwej niewinności od zwykłej, sprzedajnej dziewczuchy.

Stał za tym głównie Wędrowiec, lecz pani Kent i strażnicy, którzy porwali Elizę, także byli winni. Powinni od razu zrozumieć, że to czysta, prawdziwie niewinna istota, nie powinni nigdy dotykać jej swymi brudnymi łapskami. Zapłacą mu za to, na Boga, wszyscy za to zapłacą.

Weldon zawsze miał przy sobie mały pistolet, kiedy wybierał się do tej części Londynu. Teraz wyciągnął broń spod płaszcza, odbezpieczył ją i ukrył ponownie. Dysząc z wściekłości, zszedł na parter, do gabinetu pani Kent.

Kiedy otworzył drzwi, madame oświadczyła:

- Mamy gościa, sir. Ta dama wtargnęła tu przed chwilą i złożyła mi bezczelną propozycję. Czy to ta, o której opowiadał mi pan przedtem?

Obelgi, którymi Weldon zamierzał potraktować swą podwładną, uwięzły mu w gardle, kiedy ujrzał Sarę przywiązaną do krzesła. Nie dowierzając własnym oczom, wykrzyknął:

- Co ty to robisz?

Sara wpatrywała się weń szeroko otwartymi oczami, równie zszokowana jak on.

- Mogłabym zapytać cię o to samo, Charles. Nie chciałam wierzyć, że masz coś wspólnego z tak ohydny przedsięwzięciem, widzę jednak, że się myliłam. - Na jej twarz powrócił wyraz chłodnego opanowania i wyniosłości. - Przyjechałam do tego miejsca, bo obawiałam się, że przywieziono tu Elizę. Jest na górze?

- Tak, ale wkrótce stąd wyjdzie. - Twarz Weldona wykrzywił uśmiezek złośliwej satysfakcji. - Ty za to zostaniesz tutaj na dłużej. - Potem odwrócił się do pani Kent, na powrót ogarnięty gniewem - - Ta dziewczynka na górze to moja córka, ty głupia suko. Czy te dwa bydlaki, które ją porwały, są w domu?

Pani Kent pobladła.

- Jeden wrócił do pani Cambridge. Drugi jest tutaj, w tylnym pokoju, pilnuje służącego, który przyszedł z tą damą.

- Za to, że ośmieliłaś się położyć ręce na mojej córce, musisz zginąć - warknął Weldon i sięgnął pod płaszcz, wyciągając stamtąd mały pistolet.

Pani Kent zachłysnęła się z przerażenia i spojrzała błagalnie na swego pracodawcę.

- Nie może mnie pan winić za to, że nie wiedziałam, kim ona jest. Nie chciała nawet

podać swego nazwiska.

- Powinnaś była wiedzieć, że jest niewinna - odparł zimno i zacisnął palec na spuście.

- A ty potraktowałaś ją jak zwykłą, bezwartościową dziwkę.

Zrozumiawszy wreszcie, że jej pan naprawdę zamierza ją zabić, pani Kent krzyknęła i rzuciła się do ucieczki, było już jednak za późno. Pistolet wypalił, a w pokoju rozległ się ogłuszający huk. Pani Kent, trafiona prosto w skroń, runęła na podłogę, pociągając za sobą drewniane krzesło. Po chwili zastygła w śmiertelnym skurczu, a w jej otwartych oczach wciąż widać było niedowierzanie i paniczny strach.

- Dobrze, że ściany w tym domu są dźwiękoszczelne. - Weldon odwrócił się do Sary z dzikim, niebezpiecznym błyskiem w oku, i ponownie załadował pistolet. - Zanim z tobą skończę, pożałujesz, że nie zabiłem cię równie szybko. Mam jeszcze pewną sprawę do załatwienia, ale wkrótce do ciebie wrócę.

Wyszedł z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi Sara zaczęła się rozpaczliwie szarpać, próbując zsunąć z rąk krępujące ją więzy. Jeszcze przed chwilą nie wierzyła, by Charles naprawdę mógł wyrządzić jej krzywdę, teraz jednak przekonała się, że zdolny jest do najgorszej nawet zbrodni.

Znieruchomiała na moment, kiedy usłyszała przytłumiony huk wystrzału. Zabił strażnika czy Kurama? Biorąc pod uwagę to, że przed momentem uśmiercił panią Kent za tragiczną w skutkach pomyłkę prawdopodobnie zastrzelił strażnika i, przynajmniej na razie, oszczędził Kurama. Weldon był szalony, ogarnięty przerażającym obłędem, zabijał innych za tę samą zbrodnię, którą sam wielokrotnie popełniał względem innych dzieci.

Słyszała, jak Weldon wspina się na schody. Kilka minut później z korytarza dobiegły kroki dwóch osób, dorosłego i dziecka. Sara poznała głos Elizy, która pytała ojca ze strachem:

- Czy ta okropna kobieta już sobie poszła?

- Tak, kochanie - odparł Weldon łagodnym, kojącym głosem; wzór ojcowskich cnót. - Teraz jesteś już bezpieczna. Tatuś nie pozwoli, by ktoś cię skrzywdził. Ale musisz być dzielna i pojechać do domu sama. Woźnica zabierze cię prosto do wujka.

- Nie możesz jechać ze mną?

- Nie, kochanie, mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Musze, ukarać ludzi, którzy cię skrzywdzili.

Sara mogła krzyczeć, ale to w niczym nie zmieniłoby jej sytuacji. Eliza nie mogła jej pomóc, a wiedząc, że Sara także przebywa w tym samym domu publicznym, czułaby się zupełnie zdezorientowana.

Z dala dobiegł trzask otwieranych i zamykanych drzwi frontowych. Przez chwilę w

domu panowała zupełna cisza. Po burzliwych wydarzeniach sprzed kilku minut ów spokój wydawał się nieprawdopodobny i niesamowity; Sara przypuszczała, że dzieci siedzą zamknięte w swoich pokojach, a jest jeszcze za wcześnie na odwiedzin klientów. Służący, jeśli takowi w ogóle tu przebywali, pochowali się zapewne gdzieś po kątach albo dawno już uciekli.

Sara uwolniła już niemal jedną rękę, kiedy Weldon wrócił do domu i ruszył prosto do gabinetu. Bez słowa podszedł do Sary, rozwiązał jej pęta i poderwał ją z krzesła. Potem syknął przez zęby:

- Idziemy na górę, tam będę mógł spokojnie cię ukarać. Modląc się, by zdołała go jakoś uspokoić, Sara spytała cicho:

- Czym zasłużyłam sobie na karę, Charles? Przyjechałam tu, by ratować Elizę, ryzykowałam dla niej życie.

Jego oczy na powrót zapłonęły wściekłością.

- Próbowalaś ją zepsuć! Eliza została porwana, kiedy szła z wizytą do ciebie. Nigdy nie sprzeciwiłaby się poleceniom swego ojca, gdyby nie twój szkodliwy wpływ. Ale to nie tylko ze względu na nią musisz zostać ukarana. - Wyciągając Sarę z pokoju i prowadząc ją na górę, kontynuował. - Uważałem cię za damę, godną zostać macochą Elizy. A ty mnie zostawiłaś dla jakiegoś śmierdzącego dzikusa. Dziś zapłacisz za tę zdradę.

Sara zastanawiała się przez moment, czy nie powiedzieć mu, że wkrótce w domu pojawi się Mikahl, i powstrzymać go w ten sposób przed aktem okrucieństwa, którego zamierzał się na niej dopuścić. Szybko jednak odrzuciła ten pomysł. Gdyby Weldon spodziewał się przybycia swojego wroga, związałby ją ponownie i czekał na Mikahla z pistoletem w ręku.

Weldon zaprowadził ją do pustego pokoju na końcu korytarza i wepchnął do środka. Sara potknęła się, kiedy osłabiona noga odmówiła jej na moment posłuszeństwa, zdołała jednak utrzymać równowagę.

- Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że to ty sam możesz być winny wszystkim swoim problemom? - spytała gniewnie, nie dbając już o to, że może rozzłościć go jeszcze bardziej. - Eliza została z pewnością porwana na twoje polecenie, a nie pani Kent.

- Przeraziła moją córkę. Nie powinna była tego robić. A strażnik skrzywdził Elizę, uboje zasłużyli na to, co ich spotkało - odparł Weldon z szaleństwem w oczach. - A teraz ty, moja mała dziwko, dostaniesz to, na co zasłużyłaś.

Jedną ręką przyciągnął ją do siebie, drugą zaś zaczął ją bez ceremonialnie dotykać, wbijając głęboko palce w najintymniejsze zakamarki jej ciała.

Zszokowana, Sara próbowała się wyrwać, nie mogła jednak uciec przed jego natrętną dłońią. Choć chroniła ją jeszcze gruba warstwą ubrań, czuła się zbrukana.

Weldon uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

- Nie udawaj cnotliwej damulki. Podobałoby ci się to, gdybym był tym bękartem? - Wypuścił ją na moment, sięgnął do drzwi i chciał przekręcić klucz w zamku. - Nim skończy się noc, zrobisz dla mnie wszystko, co robiłaś dla niego.

Kiedy tylko Weldon odwrócił się do drzwi, Sara sięgnęła pod jego płaszcz, próbując odebrać mu pistolet. Jej palce dotykały już rękojeści broni, kiedy Weldon zorientował się w jej zamiarach i błyskawicznie odwrócił się w jej stronę.

- Pożałujesz tego - warknął. Rozwiązał jej płaszcz, który osunął się z szelestem na podłogę. Potem pochwycił kołnierz jej sukni i jednym szarpnięciem rozdarł ją aż do talii.

Sara rzuciła się na swego oprawcę, próbując wydrapać mu oczy, Weldon jednak z łatwością odepchnął jej ręce. Potem pchnął ją na podłogę i przygniół ciężarem własnego ciała.

Siła uderzenia na moment ogłuszyła Sarę, kiedy jednak Weldon sięgnął do niej swymi wielkimi dłońmi, krzyknęła i zaczęła się rozpaczliwie szarpać. W swej naiwności sądziła, że rozumie choć w części żądzę odwetu, jaką pałał do Weldona Mikahl. Teraz te wyobrażenia wydawały się zaledwie namiastką głębokiej, zajadłej wściekłości, jaką budziło w niej zwierzęce zachowanie Weldona. Jednak nawet największa wściekłość nie mogła przeciwstawić się brutalnej sile jej oprawcy.

Kiedy Weldon rozerwał kolejny fragment jej ubrania, Sara zaczęła się modlić o siłę dla przetrwania horroru, który ją czekał.

Przed wejściem do domu pani Kent, Wędrowiec zajrzał do alejki, w której Kuram zatrzymał powóz owej nocy, kiedy pomagali Jenny w ucieczce. Tym razem alejka także była zajęta, a powozu strzegł uzbrojony woźnica Wędrowca.

Wędrowiec zadał mu kilka pytań i dowiedział się, że Sara i Kuram weszli do domu przed dwudziestoma minutami. Zaledwie przed chwilą z budynku wyszedł jakiś mężczyzna z małą dziewczynką. Mężczyzna wsadził dziecko do czekającego na ulicy powozu, po czym sam wrócił do domu.

Sądząc z opisu, ową parą był Weldon i Eliza, to zaś oznaczało, że Eliza jest bezpieczna, los Sary i Kurama pozostawał jednak niewiadomy. Wędrowiec przeklął w duchu złośliwy traf, który sprowadził Weldona do burdelu akurat w tym samym czasie, kiedy przyjechała tam Sara.

Zostawiwszy swego konia pod opieką woźnicy, pobiegł do domu pani Kent i zapukał

do drzwi. Kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, przyjrzał się uważnie fasadzie budynku. Okna na niższym poziomie zawsze były zakratowane, po ucieczce Jenny zaś wstawiono kraty także na pierwszym piętrze.

Próbował odtworzyć w myślach wygląd wnętrza domu, tak jak zapamiętał go z poprzedniej wizyty. Pamiętał, że frontowe drzwi i zamek są bardzo solidne. Wydawało mu się jednak, że futryna wyglądała już na bardzo starą i spróchniałą.

Licząc na to, że pamięć go nie zawodzi i że nie złamie sobie nogi, kopnął z całej siły w drzwi, tuż obok zamka. Drzwi zatrzeszczały przeraźliwie i przesunęły się do środka. Po dwóch kolejnych kopnięciach zamek wyleciał z futryny, a drzwi otworzyły się na oścież. Wędrowiec wyjął pistolet, rozejrzał się uważnie dokoła i powoli wszedł do środka, trzymając broń gotową do strzału.

Hałas, jaki towarzyszył jego wejściu, powinien był zwabić wszystkich obecnych, w budynku panowała jednak niesamowita cisza. Wędrowiec omiół spojrzeniem mroczny hall, zdumiony i zaniepokojony. Nie dziwił się, że nie przyszedł tu żaden z klientów, ale co z panią Kent? Poza tym, przy drzwiach powinien stać jakiś strażnik. Wędrowiec bezszelestnie przeszedł do gabinetu madame i zajrzał do środka.

Pani Kent leżała na podłodze w kałuży krwi. Wędrowiec gwizdnął cicho, ciekaw, co też mogło się tu wydarzyć. Znacznie bardziej jednak interesowała go odpowiedź na pytanie, gdzie podziewa się Sara, Kuram i Weldon.

Kiedy wrócił do hallu, z góry dobiegł go stłumiony krzyk. Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że to głos Sary. Przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegł na piętro. Kolejny krzyk doprowadził go do pokoju przy końcu korytarza. Tym razem był pewien, że to Sara.

Ze zdumieniem stwierdził, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Wiedząc, że może to być pułapka, pochylił się tak, by stanowić trudniejszy cel, i dopiero wtedy gwałtownie, otworzył drzwi i wpadł do pokoju.

Od razu zobaczył dwie walczące na podłodze postacie, które, zaskoczone jego nagłym wtargnięciem, na moment zamarły w bez ruchu. Wędrowiec napotkał spojrzenie swej żony. W jej oczach pojawiła się ogromna ulga, a zaraz potem strach.

- Uważaj! - krzyknęła Sara. - On ma broń.

W tej samej chwili Weldon zerwał się z podłogi, sięgnął pod płaszcz i warknął:

- Ty głupcze, sam oddałeś się w moje ręce.

Bojąc się, że może trafić swoją żonę, Wędrowiec zwlekał ze strzałem.

- Sara, odsuń się!

Kiedy Sara przetoczyła się w róg pokoju, Weldon odciągnął kurek i wycelował w Wędrowca. Ten strzelił jednak pierwszy, mierząc wysoko, by nie narażać swej żony. Choć kula tylko drasnęła ramię Weldon, zmusiła go do rzucenia pistoletu. Broń upadła na podłogę; na szczęście nie wypaliła.

Teraz zostali tylko oni dwaj, jeden na jednego, pozbawieni fałszywej przewagi, jaką dawała broń. Wędrowiec rzucił się na Weldon, omal nie powalając go od razu na podłogę potężnym ciosem w szczękę. Weldon utrzymał się jednak na nogach, a ponieważ w młodości ćwiczył boks, zdołał w ostatniej chwili zablokować kolejne uderzenie.

To była bezlitosna walka wręcz, bez zasad i bez arbitrażu. Wędrowiec jakby w jednej chwili zapomniał o minionych dwudziestu pięciu latach i znów był zdradzonym, okrutnie wykorzystywanym dzieckiem Koło fortuny obróciło się jednak i teraz wszystkie atuty stały po jego stronie. Obijał więc swego przeciwnika z dziką radością, a każdy jęk i bolesne stęknięcie Weldon działały niczym balsam na jego zranioną duszę.

Weldon był cięższy i walczył jak szaleniec, był jednak również starszy i mniej sprawny od swego oponenta. Bez broni nie miał żadnych szans. Kiedy dosięgnął go kolejny, druzgocący cios, Weldon runął na podłogę, oszołomiony i obryzganą własną krwią.

Wędrowiec wyjął nóż z cholewy i przyklęknął na jednym kolanie obok powalonego przeciwnika.

- Śmiałeś się, kiedy przysięgałem ci zemstę, lecz w końcu dosięgło cię przeznaczenie - przemawiał głosem ochrypłym z nienawiści. Przyłożył ostrze do gardła Weldon i przeciągnął nim lekko, znacząc jego szyję krwawą rysą. - Czekałem na tę chwilę dwadzieścia pięć lat.

Dotyk zimnego ostrza przywrócił Weldon do przytomności. Krzywiąc twarz w pogardliwym grymasie, odrzekł:

- Gdyby nie ja, byłbyś niewolnikiem albo prostym żeglarzem Powinieneś być mi wdzięczny, bo beze mnie nie miałbyś takiej motywacji i do niczego byś nie doszedł.

Słyszac to szyderstwo. Wędrowiec omal nie wbił noża w gardło swego oprawcy sprzed lat. Powstrzymał się w ostatniej chwili, uznając, że jeszcze nie nadeszła pora, by wysłać go do piekła.

- Myślisz, że Jamie McFarland podziękowałby ci za to, co zrobiłeś? Albo którykolwiek z jego żeglarzy, którzy umarli w niewoli tylko dlatego, że tobie nie chciało się nawet ruszyć palcem, by im pomóc? - mówił Wędrowiec z lodowatą wściekłością. - Szkoda, że ty umrzesz zbyt szybko i nie zdążysz wycierpieć tyle, ile oni musieli wycierpieć przez ciebie.

Przesunął nóż z gardła na krocze Weldon, przebijając czubkiem ostrza grubą warstwę materiału.

- Mam zrobić to, co ty chciałeś zrobić mnie, Weldon? - spytał cicho. - Ciekawe, ile czasu minie, nim wykrwawisz się na śmierć, jeśli postanowię cię wykastrować?

- Ty plugawy bękarcie! - Twarz Weldon nie przypominała już gładkiego oblicza biznesmena i arystokraty. Śmiertelnie przerażony, próbował pochwycić broń swego przeciwnika.

Wędrowiec bez pośpiechu odsunął nóż poza zasięg jego ręki, a potem wymierzył mu potężny cios w splot słoneczny. Kiedy Weldon zwinął się w kłębek, porażony bólem. Wędrowiec przyłożył ostrze do jego oka.

- A może zabawimy się jeszcze inaczej? - pytał z szyderczą kurtuazją. - Najpierw wylupię ci oczy. Potem będę powoli odcinał kolejne części twojego ciała. To będzie angielska wersja chińskiej śmierci tysiąca cięć.

- Wcale nie żałuję tego, co ci zrobiłem - splunął Weldon, spoglądając z nienawiścią na swego oprawcę. - Żałuję tylko, że cię wtedy nie zabiłem.

- Rzeczywiście, popełniłeś błąd, nie robiąc tego. - Wędrowiec unosił się na skrzydłach ognistej zemsty, delektował się kulminacją swej misji. Weldon skazany był na jego łaskę i niełaskę i nic już nie mogło go uratować.

Wtem Wędrowiec poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Zaślepiiony wściekłością, zapomniał, gdzie się znajduje, teraz jednak podniósł wzrok i zobaczył Sarę. Ta stała oparta o ścianę i przyglądała mu się pełnymi rozpaczyci oczami. Sara, jego sumienie i zbawienie.

Na jej widok Wędrowiec ochłonął nagle, jakby ktoś wylał nań wiadro zimnej wody. Przejmujący ból, który rozpałał jego gniew, ustąpił żywym wspomnieniom ciepła jej ciała, dotyku jej ust na jego poszarpanych plecach, jej słodkiej miłości.

Pochylił głowę i spojrzał jeszcze raz na człowieka, który był jego prześladowcą i jego przeznaczeniem. Choć dzika furia, która kierowała jego poczynaniami, osłabła już znacznie na sile, nadal pragnął odebrać swemu wrogowi życie. Odsuwając od siebie obraz twarzy Sary, powoli uniósł nóż nad ciałem Weldon, mierząc najpierw w serce, potem w gardło, wreszcie w oczy. Doznałby ogromnej satysfakcji wymierzając wreszcie sprawiedliwość zbrodniarzowi, który do tej pory bezkarnie stąpał po ziemi.

Było już jednak za późno. Chwila zaślepienia minęła; zabijając teraz Weldon, popełniłby morderstwo z zimną krwią, wyrachowane i okrutne.

Być może Sara wybaczyłaby mu tę zbrodnię. A może nie.

- Do diabła! - zaklął Wędrowiec. Przez chwilę zmagął się z gorzką świadomością tego,

co będzie musiał zrobić. Potem odwrócił się do swego wroga i jednym płynnym ruchem opuścił nóż ku jego gardłu.

Sparaliżowany strachem Weldon wpatrywał się jak zaczarowany w lśniące ostrze, czekając na śmiertelne uderzenie. Kiedy światło odbiło się na moment w opadającym nożu, wydał z siebie przeraźliwy, zwierzęcy krzyk.

Skowyt Weldoną zagłuszony został przez triumfalny okrzyk wojenny Wędrowca. Wstrząśnięta Sara zamknęła oczy, nie chcąc być świadkiem drugiego morderstwa popełnionego tego wieczoru.

Sara bliska była omdlenia, kiedy ponownie uniosła powieki i dopiero po długiej, pełnej zdumienia chwili uwierzyła w to, co ujrzała.

Weldon wciąż żył, choć był blady jak kreda i wił się z przerażenia. Mikahl nie zadał mu śmiertelnego ciosu, lecz celowo wbił nóż w podłogę tuż obok jego gardła.

- Nie jesteś wart nawet tego, bym cię zabił - mruknął pogardliwie Wędrowiec, wyciągając ostrze z podłogi. - Zamiast brudzić sobie ręce twoją krwią, oddam cię w ręce brytyjskiej sprawiedliwości.

Gotów w każdej chwili do odparcia ataku, Wędrowiec powoli podniósł się z podłogi. Nie musiał się jednak niczego obawiać. Weldon został ostatecznie złamany. Niczym zbity pies, leżał uległy i pokorny u stóp swego pana.

- Chodźmy, Saro - powiedział Mikahl. - Zamknę Weldoną w tym pokoju i przyślę po niego policję.

Sara pochyliła się, podniosła z podłogi swój płaszcz i stanęła u boku swego męża.

Weldon powoli usiadł na podłodze, wciąż nie mogąc uwierzyć, że został jednak oszczędzony. Nie odrywając spojrzenia od swego wręga, Mikahl podniósł oba pistolety, wręczył pusty Sarze, sam zaś zatrzymał nabity. Potem wycofał się do drzwi.

- Wszystkie gazety w Anglii będą domagały się twojej krwi, Weldon. Twoje nazwisko stanie się symbolem okrucieństwa i hipokryzji.

Mikahl poczekał, aż Sara wyjdzie na zewnątrz, po czym wyciągnął klucz z zamka.

- Będziesz wisiał, Weldon, choćby za zabójstwo pani Kent. Może sznur od razu złamię ci kark i umrzesz szybko, ale nie zawsze się tak dzieje. Śmierć przez uduszenie jest powolna i bolesna. Pomyśl o tym, kiedy będzieszgnił w więzieniu.

Potem zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Weldon nie mógł uciec przez zakratowane okna, musiał więc czekać na przybycie policji.

Wciąż drżąc ze zdenerwowania i strachu, Sara w milczeniu obserwowała poczynania Mikahla. Wiedziała, że ten będzie na nią wściekły, wykazała się bowiem wyjątkową

lekkomyślnością, przyjeżdżając sama do tego miejsca. Kiedy więc odwrócił się i spojrzał na nią płonącymi oczami, przygotowała się na wybuch gniewu.

Choć mąż z pewnością był na nią zły, nie tracił czasu na robienie jej wyrzutów. Podszedł do niej bez słowa i wziął ją w objęcia. Sara omal nie zapłakała z radości, wtuliła się w niego mocno, znajdując w jego ramionach siłę i pocieszenie.

Mikahl postawił ją wkrótce na ziemi i z zaskakującą łagodnością, oświadczył:

- Przyjazd do tego miejsca me był najlepszym z twoich pomysłów, Saro.

- Wiem. - Drżącą ręką odgarnęła włosy z oczu. - Bardzo bałam się o Elizę, ale w końcu wcale jej nie pomogłam.

- Nic się jej nie stało?

- Chyba nic. Słyszałam, jak rozmawiała z Charlesem, kiedy schodzili oboje do wyjścia. - Sara wzdrygnęła się. - Myślę, że przyjechał tu, by zgwałcić nową dziewczynkę. Kiedy zobaczył, że to Eliza, musiał udawać, że przybył jej na ratunek. Mam nadzieję, że ona nigdy nie dowie się, co zaszło tutaj naprawdę. A gdyby tak pokój nie był oświetlony albo gdyby Weldon był zbyt pijany, by zauważyć, kim ona jest?

- Na szczęście nie doszło do tego - odparł cicho Wędrowiec. - Eliza jest bezpieczna, ty jesteś bezpieczna. I nie byłabyś moją Sarą, gdybyś nie próbowała z narażeniem życia ratować niewinnego dziecka.

Choć minął już napad dzikiej wściekłości, która opętała przedtem Mikahla, w jego oczach płonęło jakieś dziwne, nieznanne Sarze światło. Mieli sobie tak wiele do powiedzenia, nim jednak otworzyła usta, z dołu dobiegł jakiś hałas, ktoś wszedł do wnętrza domu. Sara zeszywniała, obawiając się nowego zagrożenia.

- Nie martw się - uspokoił ją mąż. - To moi strażnicy i Slade. Na pewno jest też z nimi Jenny.

Sara uśmiechnęła się smutno.

- Jenny ma święte prawo powtarzać mi teraz bez końca: „A nie mówiłam”.

Mikahl wziął od Sary płaszcz i otulił ją tak, by zakryć rozerwaną suknię. Potem oboje zeszli na parter. Minęło kilka dobrych minut, nim uspokoiłi nowo przybyłych i wyjaśnili im całą sytuację.

Kierując się wskazówkami Sary, odnaleźli Kurama w tylnym pokoju, obok ciała martwego strażnika. Kiedy wyjęto mu knebel z ust, Patańczyk zaklął siarczyście, wściekły, że dał się pokonać. Jego turban osłabił siłę uderzenia, a krótkie oględziny potwierdziły, że nie jest poważnie ranny.

Jenny, głęboko przejęta swoją misją, odszukała w biurku pani Kent klucze do pokojów

i poszła uwolnić zamknięte w nich dzieci. Nim wyszła z gabinetu, Mikahl przestrzegł ją:

- Nie otwieraj drzwi po prawej stronie, na końcu korytarza na piętrze. Zamknąłem tam Weldon, ma poczekać tam na przyjazd policji.

Weldon żyje? - spytał Slade ze zdumieniem.

Nie patrząc na Sarę, Mikahl odparł cierpko:

- Moja żona nie pochwała morderstwa. Po krótkim namyśle Slade zaproponował.

- Lady Sara jest na pewno bardzo zmęczona. Może odwieziesz ją do domu, a ja załatwię tu wszystko, co trzeba? Razem z Jenny odwieziemy dzieci do mojego domu, potem zawiadomię policję i sędziego o tym, co się tutaj stało.

- Doskonale. Weź broń Weldon, choć nie sądzę, by była ci potrzebna. Uważaj, jest naładowana. - Mikahl obdarzył Sarę nieodgadnionym spojrzeniem. - Chodźmy. Zawiozę cię do domu.

Wziął Sarę pod rękę i bez słowa wyprowadził ją na zewnątrz.

Serce Sary ścisnęło się z bólu, kiedy mąż polecił woźnicy jechać do Haddonfield House. Oznaczało to, że chce oddać ją pod opiekę ojcu.

Przekonała się już, że Mikahl nie zapomina ani nie przebacza łatwo. Kiedy usiadła już w karecie, modliła się, by mąż darował jej kiedyś, że go opuściła.

Pozostawiony samemu sobie, Slade przez chwilę w zamyśleniu przyglądał się broni, potem poszedł odszukać Jenny. W domu pani Kent przebywały chwilowo tylko trzy dziewczynki, z których jedna znana była Jenny, dwie pozostałe zaś trafiły tam dopiero niedawno. Ponieważ Jenny sama była kiedyś jedną z nich, dziewczynki ufały jej i chętnie skorzystały z okazji na odmianę losu i zbudowanie nowego, lepszego życia.

Dzieci szybko pozbierały swoje drobiazgi i wyszły na zewnątrz. Kiedy zajęły już miejsca w powozie, Slade zwrócił ślę do woźnicy:

- Poczekaj tu na mnie. Muszę załatwić jeszcze sprawę.

Woźnica skinął głową, a Slade wszedł z powrotem do domu. Jenny truchtała obok niego.

- Co masz tam jeszcze do zrobienia? - pytała zaintrygowana.

- Muszę dopełnić sprawiedliwości - odparł prawnik i spojrzał na nią. - Chcę porozmawiać z Weldonem, ale ty nie powinnaś być przy tym obecna.

Jenny uniosła dumnie głowę.

- Chcę go zobaczyć.

Slade przyjrzał jej się uważnie, po czym skinął głową i wszedł wraz z nią na schody. Powoli otworzył drzwi, trzymając broń gotową do strzału, jednak te środki ostrożności

okazały się niepotrzebne.

Weldon leżał na łóżku posiniaczony i okrwawiony. Wpatrywał się tępo w sufit, jakby nadal nie mógł uwierzyć, że szczęście odwróciło się od niego na dobre. Kiedy usłyszał kroki Slade'a i Jenny, usiadł prosto i spojrzał złowrogo na intruzów, był to jednak tylko cień jego dawnych manier.

- Czyż to nie moja ulubiona dziwka? - uśmiechnął się złośliwie. - Wróciłaś, bo się za mną stęskniłaś, moja mała?

Jenny zmrużyła gniewnie oczy.

- Wróciłam, żeby zobaczyć twoją klęskę. Wkrótce napluję na twój grób.

Slade objął jej szczupłe ramiona i przytulił do siebie.

- Chce okazać ci więcej litości, niż na to zasługujesz, Weldon - oświadczył chłodno. - Przegrałeś, nic cię już nie ocali. Jeśli staniesz przed sądem, skandal i zła sława będą ciągnąć się za twoją córką do końca jej życia. Jeśli jednak umrzesz jeszcze dzisiaj, nikt prócz kilku wtajemniczonych osób nie dowie się o twoich zbrodniach, a Eliza nie będzie musiała borykać się ze świadomością, że jej ojciec był potworem. Ponieważ Wędrowiec chce ocalić spółkę kolejową przed bankructwem, twoja córka będzie nawet kiedyś bardzo bogata dzięki udziałom, które po tobie odzie dziczy.

Weldon spojrzał nań uważnie.

- Dla was także byłoby to najprostsze wyjście. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale nic z tego, nie postąpię jak tchórz. Kto wie, co może wydarzyć się w sądzie.

Slade wzruszył obojętnie ramionami.

- Jeśli chcesz oszukiwać samego siebie i łudzić się, że ocali cię jakiś cud, to proszę bardzo. Twoja córka będzie cierpieć, choć nawet nie w dziesiątej części tak, jak cierpiały twoje ofiary.

Prawnik położył naładowany pistolet na szafce przy wejściu, po czym wycofał się z Jenny i starannie zamknął za sobą drzwi.

Weldon wpatrywał się przez chwilę w drzwi po czym wstał i chwiejnym krokiem podszedł do pistoletu. Pieszcząc ciepłe drewno i zimną stal, obracał pistolet w dłoni i zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Slade.

Eliza była największą radością jego życia, jedyną czystą kobietą, jaką kiedykolwiek znał. Pomyślał o tym, co zobaczył dziś wieczorem w jej oczach. Uwielbiała go, tak jak córka powinna uwielbiać ojca. Cały jej świat ległby w gruzach, gdyby on został publicznie upokorzony. Jako kobieta nigdy nie potrafiłaby zrozumieć neodpartej pokusy ciemnej strony życia; zniechęciłaby wspomnienie swego ojca, jej niewinna miłość zostałaby zniszczona

przez ludzi, którzy wciąż przypominają jej o jego zbrodniach.

Poza tym gdyby popełnił teraz samobójstwo, Wędrowiec nie mógłby cieszyć się jego cierpieniem. Szybko, dopóki miał jeszcze dość odwagi, by uczynić ten krok, Weldon przystawi lufę pistoletu do skroni i pociągnął za spust.

Słyszając buk wystrzału dobiegający z pierwszego piętra, Jenny zadrżała i przytuliła się do Slade'a.

- Dlaczego pozwoliłeś mu to zrobić?

- Tak będzie lepiej dla wszystkich, Jenny. Nikt nie ucierpi już z winy Weldon, Wędrowiec i jego żona nie będą mieli kłopotów, twoja reputacja pozostanie nienaruszona. - Szare oczy Slade'a błyszczały zimną satysfakcją. Prześladowca Jenny nie żył. Dobry prawnik potrafi dokonać morderstwa, nie dotykając nawet broni.

Uśmiechnął się i pochylił nad Jenny.

- Ponieważ masz zostać moją żoną, mnie także powinno zależeć na twojej reputacji. Bo wyjdiesz za mnie, prawda, Jenny?

- Tak, Benjaminie - odparła, czując, jak rozkwita w niej ogromna, niewysłowiona radość. Stała na palcach i ucałowała go delikatnie. Potem, ze swym przyszłym mężem u boku, Jenny na zawsze już opuściła dom śmierci.

Kuram twierdził uparcie, że doskonale się czuje i zamiast jechać w powozie, dosiadł wierzchowca. Wędrowiec został więc sam na sam z Sarą. Owinięta w swój płaszcz, jego żona siedziała wciśnięta w kąt powozu, nawet go nie dotykając. Wędrowiec czuł, jak narasta między nimi coraz większe napięcie. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, nie miał jednak pojęcia, od czego zacząć.

Odetchnął z ulgą, kiedy delikatny głos Sary przerwał ciszę.

- Dlaczego go nie zabiłeś?

Wiedząc, jak wiele zależy od tej odpowiedzi, zastanawiał się przez chwilę, starannie dobierając słowa.

- Kiedy wyjechałaś z Sulgrave, dużo rozmyślałem i zdałem sobie sprawę, że zemsta nie może uleczyć ran z przeszłości. Dzisiaj, gdybym pozostał w amoku choćby minutę dłużej, zabiłbym Weldon, ale ty uśmierzyłaś mój gniew. Kiedy na ciebie spojrzałem, nie mogłem już tego zrobić.

- Chcesz powiedzieć, że zrezygnowałeś z zemsty tylko ze względu na mnie? - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

Wędrowiec uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi:

- Po naszej ostatniej kłótni zrozumiałem, że mówiłaś nie tylko o dobru i złu, ale o tym,

czy wybrać życie oparte na miłości, czy też na nienawiści. Przez wiele lat żywiłem się nienawiścią, Saro. Potem poznałem ciebie, i powoli, bez mojego świadomego udziału, ów środek ciężkości zmienił się, przesunął ku miłości. - Przerwał, by znów poszukać właściwych słów. - Jeśli zabicie Weldon miałoby oznaczać utratę ciebie, cena była za wysoka, bo wtedy skazywałbym się na życie w pustce, w martwocie. - Po krótkiej pauzie dodał cierpko: - Nim się pobraliśmy, powiedziałem, że znam twoją dobroć i ufam, że to się nie zmieni. Na szczęście nie wiedziałem wtedy, jak trudne może być życie z kimś, kto zawsze jest dobry, bo mógłbym się tego przestraszyć.

- Wygląda na to, że jestem strasznie pruderyjna - zauważyła Sara, śmiejąc się niepewnie. Blask latarni oświetlił na moment jej czysty, posagowy profil.

- W sprawach naprawdę ważnych wcale nie jesteś pruderyjna. - W jego głosie pojawił się na moment cień uśmiechu, był jednak śmiertelnie poważny, kiedy mówił dalej: - Yin i yang znaczą wiele rzeczy. Światło i ciemność, dobro i zło, nawet miłość i nienawiść. Razem przeciwieństwa tworzą całość. Jesteś moim sercem, Saro, a twoje światło równowazy moją ciemność. Wrócisz do domu? Sara natychmiast rzuciła mu się w ramiona.

- Oczywiście, że tak! - odparła radośnie, łaskocząc go oddechem w szyję. - Kiedy kazałeś woźnicy jechać do Haddonfield House, bałam się, że to ty nie chcesz, bym wróciła.

Wędrowiec roześmiał się głośno i wyjaśnił:

- Chciałem zachować się jak dżentelmen, choć to niezgodne z moją naturą. - Bolesny ucisk w jego piersiach zniknął bez siadu, kiedy posadził Sarę na kolanach i przytulił do siebie. - Zawsze, gdy zastanawiałaś się, dlaczego się z tobą ożeniłem, odpowiadałem, że po prostu tego chciałem. Sam nigdy nie szukałem głębszych przyczyn. - Poglaskał delikatnie jedwabiste włosy Sary, które wymknęły się z koka podczas walki z Weldonem. - Kiedy wyjechałaś, zdałem sobie sprawę, że nie miałem po prostu dość odwagi, by przyznać, że cię kocham.

Sara wciągnęła głośno powietrze.

- Nie wierzyłam, że kiedykolwiek to powiesz. - Podniosła dłoń i czule pogłaskała go po policzku. - Tak bardzo się zmieniłeś. Kiedy cię poznałam, byłeś niczym jakieś egzotyczne, obce stworzenie, nieokiełznane i niezrozumiałe. Wydawało mi się, że to niemożliwe, byś kiedykolwiek pokochał mnie równie mocno, jak ja pokochałam ciebie.

- Zacząłem się zmieniać, odkąd tylko cię poznałem, choć na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy. A kiedy wreszcie dotarło to do mnie, wcale nie byłem zachwycony. Jednak pierwsze lata swego życia spędziłem właśnie tutaj, i im dłużej tu przebywam, tym bardziej czuję się Anglikiem. To moje dziedzictwo, i nie chcę mu już dłużej zaprzeczać. - W jego głosie pojawiła się nutka rozbawienia, jakby chciał podroczyć się z Sarą; - Właściwie

ograniczyłem się do bardzo banalnych marzeń; chciałbym zostać angielskim dżentelmenem, zamieszkać z moją żoną na wsi i prowadzić tam usatkwane, spokojne życie, zajmować się wychowaniem dzieci i hodowlą koni.

- Szczęście nigdy nie jest banalne - odparła Sara. - Jeśli podobne marzenia są dosyć powszechne, to dlatego, że to po prostu dobre życie. Ale ty nigdy nie będziesz banalny; nigdy dotąd nie było takiego człowieka jak ty, i nigdy już nie będzie. I choć nie chcesz się do tego przyznać, z natury jesteś dobry.

- Skoro tak uważasz... - zgodził się Mikahl, rozbawiony. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i poprosił: - Podaj mi lewą dłoń.

Kiedy posłusznie podała mu rękę, wsunął jej na palec obrączkę. Potem uniósł jej dłoń do ust i ucałował ją z największą czcią.

- Chcę zawsze być z tobą, Saro - powiedział cicho. - Chcę się z tobą kochać, z tobą się śmiać i z tobą milczeć. A przede wszystkim chcę być mężczyzną, którym jestem tylko przy tobie.

- A ja chcę być kobietą, którą jestem tylko przy tobie. - Sara zacisnęła palce wokół obrączki. I nieśmiało dodała: - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamówię dla ciebie obrączkę taką samą jak moja.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. - Po krótkiej pauzie, powiedział; - Skoro zamierzam pozostać w Anglii, to może powinienem znów nazywać się Michael Connery? Powiemy ludziom, że postanowiłem dla wygody zangielszczyć moje imię. Chciałabyś zostać Sarą Connery?

Wyczuła, że Mikahl wcale nie proponuje tylko zmiany nazwiska; chciał zaakceptować swoją przeszłość - całą, ze wszystkim, co dobre i złe. Ta akceptacja była konsekwencją uleczenia. Wreszcie, po wielu, wielu latach, zraniony chłopiec stał się mężczyzną.

Próbując przebić wzrokiem ciemności, Sara zajrzała głęboko w oczy swego męża.

- Kocham cię - wyszeptała. - Zawsze będę cię kochać, bez względu na to, czy będziesz Wędrowcem, Michaelem czy Mikahlem.

Ich usta zetknęły się w pocałunku, zrazu delikatnym, potem coraz bardziej namiętnym, kiedy bez słów wyznawali sobie miłość.

Nieme wyznania i obietnice wkrótce zamieniły się w pożądanie, a podróż przez Londyn upłynęła we mgle miłości, dotyku i śmiechu. Kiedy dotarli do Haddonfield House, Wędrowiec polecił woźnicy, by jechali dalej, do ich domu.

Gdy powóz zatrzymał się wreszcie na miejscu, Mikahl wyskoczył pierwszy, a potem bez najmniejszego wysiłku porwał Sarę na ręce.

- Zanim wniosę cię na górę i zacznę się z tobą kochać - powiedział, stawiając ją ostrożnie na ziemi - powinienem chyba pożegnać się z Wędrowcem, bo nie jestem już człowiekiem bez ojczyzny i domu.

- Więc mój jastrząb został gołębiem? - Ze zmierzwionymi włosami i oczami zasnutymi mgłą pożądania, Sara ujęła jego twarz w dłonie i wyszeptała: - Witaj w domu, pielgrzymie, witaj w domu.

OD AUTORKI

KAFIRISTAN, zwany także Dardistanem, jest obecnie częścią Afganistanu. Hindukusz był jednym z najbardziej niedostępnych i odległych zakątków świata, a Kafiristan został oficjalnie naniesiony na mapy dopiero w roku 1889, kiedy kraj ten odwiedził George Scott Robertson. Jego nazwa pochodzi od arabskiego słowa „qafir”, czyli „niewierny”. (Arabscy niewolnicy nazywali tym samym słowem plemiona ze wschodniej Afryki, a „kaffir” stało się pogardliwym określeniem czarnych Afrykanów).

Jak wspomniano w niniejszej książce, mieszkańcy Kafiristanu twierdzili, że są potomkami Aleksandra Wielkiego. Niektóre spośród ich zwyczajów wydawały się bardziej europejskie niż azjatyckie, Europejczycy zaś zostali przez nich przyjęci jak odzyskani po wielu latach rozłąki krewni. (Rosjanie uważali Kafiristańczyków za plemię słowiańskie).

Kafiristan w nieco ubarwionej wersji był celem poszukiwaczy przygód w filmie *The Man Who Would Be King*, opartego na opowiadaniu Rudyarda Kiplinga. W 1895 roku Amir Abdur Rahman, władca Afganistanu, podbił Kafiristan i siłą nawrócił jego mieszkańców na islam. Od tej pory region ten znany jest jako Nuristan, Kraj Światła.